

CZARODZIEJSKA GÓRA

PRZEŁOŻYŁ JÓZEF KRAMSZTYK
POSŁOWIE ROMANA KARSTA

PRZYJAZD

Było to w środku lata. Pewien zwyczajny sobie młody człowiek jechał z Hamburga, swego rodzinnego miasta, do uzdrowiska Davos w kantonie Graubiinden. Jechał w odwiedziny na przeciąg trzech tygodni.

Z Hamburga aż tam, na górę, daleka to podróż; właściwie zbyt daleka na tak krótki pobyt. Jedzie się przez wiele różnych krajów, to pod górę, to na dół, z Wyżyny Bawarskiej do brzegów Jeziora Bodeńskiego, potem statkiem po jego skocznych falach, nad otchłaniami, które dawniej uchodziły za niezgłębione.

Stąd już komplikuje się droga, która tak długo wiodła wielkimi, prostymi szlakami. Zdarzają się postoje, trzeba załatwiać formalności. W miejscowości Rorschach, na ziemi szwajcarskiej, powierza się swój los znowu kolei żelaznej, ale dojeżdża się na razie tylko do alpejskiej stacyjki Landquart, gdzie trzeba się przesiąść. Po długim wyczekiwaniu, w miejscu niezbyt malowniczym i wystawionym na wiatr, wsiada się do kolejki wąskotorowej i z chwilą kiedy rusza niepozorna, ale niewątpliwie bardzo mocna lokomotywa, rozpoczyna się prawdziwie karkołomna część drogi, nagłe i uporczywe wspinanie się pod górę, nie mające, zdawałoby się, końca. Bo stacja Landquart leży stosunkowo jeszcze nie bardzo wysoko, ale od niej jedzie się już dziką, uciążliwą drogą skalną, naprawdę w góry.

Hans Castorp — tak się ów młody człowiek nazywał — siedział sam w ciasnym przedziale, którego wyściełane ławki pokryte były szarym materiałem: miał z sobą ręczną walizkę ze

skóry krokodylowej, podarunek wuja i opiekuna, konsula Tienappla — by wymienić tu od razu i to nazwisko — palto zimowe, które bujało na haku, i pled zwinięty w rulon; siedział przy spuszczonej oknie, a ponieważ popołudnie stawało się coraz chłodniejsze, rozpieszczony jedynak podniósł kołnierz swojego skrojonego według ostatniej mody, szerokiego letniego płaszcza na jedwabnej podszewce. Obok niego na ławce leżała nieoprawna książka, zatytułowana *Ocean steamships* *, do której na początku podróży zaglądał od czasu do czasu; ale teraz leżała porzucona, a wpadający do przedziału oddech ciężko sapiącej lokomotywy posypywał jej okładkę czarnym pyłem węglowym.

Dwa dni podróży oddalają człowieka — a szczególnie człowieka młodego, który jeszcze nie tak mocno tkwi w życiu — od jego zwykłego otoczenia, od tego wszystkiego, co nazywał swoimi obowiązkami, interesami, kłopotami i widokami, o wiele bardziej, niż mogło mu się to wydawać podczas jazdy dorożką na dworzec. Przestrzeń, która wijąc się i pędząc wdziera się pomiędzy niego a ojczystą glebę, wykazuje moc, przypisywaną na ogół wyłącznie czasowi; z godziny na godzinę wywołuje ona wewnętrzne zmiany, bardzo podobne do zmian wywoływanych przez czas, ale poniekąd jeszcze je przewyższające.

Przestrzeń, podobnie jak czas, przynosi zapomnienie, ale czyni to przerywając dotychczasowe stosunki człowieka z jego otoczeniem, przenosząc go w stan pierwotnej wolności i czyniąc w mgnieniu oka nawet z pedanta i osiadłego mieszczucha coś w rodzaju włóczęgi. Mówi się, że czas to Leta, ale i błękit oddalenia jest takim napojem zapomnienia, a jeżeli działa mniej gruntownie, to za to o wiele szybciej.

Doświadczył tego także Hans Castorp. Nie miał zamiaru przywiązywać szczególnej wagi do swojej podróży, oddać się jej wewnętrznej swą istotą. Raczej pragnął szybko odbyć tę podróż, bo odbyć ją musiał, chciał powrócić zupełnie takim samym, jakim był wyjeżdżając, i na nowo rozpocząć życie dokładnie w tym samym miejscu, w którym musiał je na chwilę porzucić. Jeszcze wczoraj obracał się w swoim zwykłym kręgu myślo-

wym, zajmował się tylko tym, co właśnie opuścił, swoim egzaminem i tym, co go czekało w najbliższej przyszłości: rozpoczęciem praktyki w firmie „Tunder & Wilms” (stocznia okrętowa, fabryka maszyn i odlewnia), toteż wybiegał myślą poza najbliższe trzy tygodnie z tak wielką niecierpliwością, na jaką tylko pozwalało jego usposobienie. Teraz jednak wydawało mu się, że okoliczności wymagają całej jego uwagi i że nie należy ich lekceważyć. To wznoszenie się do regionów, w których nigdy jeszcze nie oddychał i gdzie, jak wiedział, panowały całkiem obce mu, szczególnie ciasne i skąpe warunki bytowania, zaczęło go podniecać i budzić w nim pewną skłonność do lęku. Ojczyzna i ład były nie tylko daleko, ale leżały, w dosłownym znaczeniu, głęboko pod nim, a on wciąż się jeszcze ponad nie wznosił. Unosząc się między nimi a nieznanym, zapytywał sam siebie, jak mu będzie tam w górze. Może to było niemądre i niewskazane, że, urodzony i przyzwyczajony do oddychania na wysokości zaledwie kilku metrów nad poziomem morza, kazał się wieźć natjęle do tych podniebnych okolic, nie przepędziwszy chociażby paru dni w miejscu położonym na średniej wysokości? Chciał być już u celu, bo sądził, że gdy się znajdzie w górze, będzie żył jak gdzie indziej i nie będzie musiał, jak teraz podczas wdrapywania się, wciąż myśleć o tym, w jak niezwykłych przebywa sferach.

Wyjrzał przez okno: pociąg zataczał łuk ku wąskiej przełęczy? widać było przednie wagony, widać było maszynę, która wyrzucała wśród znoonej swej pracy rozwiewające się brunatne, zielone i czarne masy dymu. W głębi po prawej stronie szumiała woda; na lewo ciemne świerki pięły się pomiędzy skalnymi zwałami ku kamiennej szarości nieba. Pociąg wpadał w mroczne tunele, a kiedy się znowu rozjaśniało, otwierały się rozległe przepaści, w których głębi widniały wioski. Potem zamykały się znowu, znowu jechało się przez wąskie przesmyki skalne, ^a w ich rozpadlinach i szczelinach białą resztki śniegu. Trafiły się przystanki u nędznych domków dworcowych, stacje czołowe, które pociąg opuszczał w odwrotnym kierunku, tak że Hans Castorp nie wiedział, dokąd jedzie, i nie odróżniał już

stron świata. Otwierały się wspaniałe, rozległe widoki na święte fantasmagorie spiętrzonych szczytów górskich, ku którym pociąg piał się, w których łono się wdierał, a potem, za jakimś zakrętem drogi, znikaly znowu sprzed kornie patrzących oczu. W pewnej chwili pomyślał, że strefa drzew liściastych została już pod nim, a zapewne i strefa śpiewających ptaków, i myśl, że oto coś dobiega kresu, że coś ubożeje, przyprawiła go o lekką zawrót głowy; czując się niedobrze, na dwie sekundy zakrył ręką oczy. Ale to przeszło. Spostrzegł, że pociąg przestał się wznosić, że znalazł się na wysokości przełęczy. Po równym dnie doliny posuwał się już bez trudu.

Było koło godziny ósmej i jeszcze jasno. W oddali ukazało się jezioro szarą powierzchnią wody, czarne lasy świerkowe wstępowały znad jego brzegów na otaczające wyniosłości, rzędniejąc w miarę wznoszenia się, i niknąc odsłaniały nagie skały o mglistych zarysach. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Hans Castorp usłyszał, jak wywoływano na peronie nazwę Davos-Wieś; a więc już niezadługo będzie u celu. Wtem usłyszał obok siebie głos Joachima Ziemssena, swego kuzyna, mówiącego spokojnym hamburskim akcentem:

— Jak się masz? No, ty, wysiadaj już, wysiadaj.

A kiedy wyrzwał, zobaczył stojącego pod oknem Joachima we własnej osobie, w brązowym palcie, z gołą głową i wyglądającego tak zdrowo jak jeszcze nigdy w życiu. Joachim śmiał się i powtórzył:

— Wysiadajże, nie krępuj się!

— Ale przecie jeszcze nie zajęchałem — odpowiedział zdziwiony Hans Castorp, nie ruszając się z miejsca.

— Owszem, już zajęchałeś. Tutaj jest Davos-Wieś i stąd jest bliżej do sanatorium. Mój powóz czeka. Daj no mi swoje rzeczy.

Śmiejąc się, oszołomiony i podniecony kresem podróży i spotkaniem z kuzynem, Hans Castorp podał mu przez okno walizkę, zimowe palto, pled zwinięty wraz z laską i parasolem, a wreszcie i *Ocean steamships*. Potem pobiegł przez ciasny korytarz i wyskoczył na peron, aby się teraz dopiero naprawdę i, że tak powiemy, osobiście przywitać z kuzynem. Przywitanie to od-

było się bez zbytnich uniesień, jak przystało na ludzi chłodnych i powściągliwych. Chociaż może się to wydawać dziwnym, ale obaj kuzyni od dawna unikali mówienia sobie po imieniu, wyłącznie i jedynie z obawy przed zbyt wielką serdecznością. A że trudno przecież im było zwracać się do siebie po nazwisku, więc ograniczali się do słówka „ty”. Zwyczaj ten przyjął się między nimi od dawna.

- Człowiek w liberii i w czapce z galonem patrzył przez chwilę, jak, trochę zażenowani, podali sobie szybko ręce — młody Ziemssen w wojskowej postawie — a potem zbliżył się do nich i poprosił o kwit bagażowy Hansa Castorpa. Był to portier Międzynarodowego Sanatorium „Berghof”; zaofiarował się sprowadzić kufer nowo przybyłego gościa z dworca „Davos-Uzdrowisko”, podczas gdy panowie mieli pojechać powozem prosto na kolację. Człowiek ten silnie utykał, pierwszą więc rzeczą, z jaką Hans Castorp zwrócił się do Joachima Ziemssena, było pytanie:

— Czy to inwalida wojenny? Dlaczego on tak kuleje?

— Rzeczywiście — odparł Joachim z pewną goryczą w głosie. — Inwalida wojenny! On to ma w kolanie — albo przynajmniej miał, bo później wyjęto mu rzepkę kolanową.

Hans Castorp domyślił się dość szybko.

— Ach, tak! — powiedział i szedł dalej, podniósłszy głowę i rozglądając się przelotnie wokół siebie. — Ale nie zechcesz chyba we mnie wmawiać, że i ty masz jeszcze coś takiego? Wyglądasz przecież, jak gdybyś już miał swoją szablę u boku i właśnie wracał z manewrów. — I spojrzął na kuzyna.

Joachim, wyższy od niego i szerszy w ramionach, był uosobieniem siły młodzieńczej i jakby stworzony do munduru. Był typem bruneta, zdarzającym się nierzadko w ich blond ojczyźnie, a jego i tak ciemna cera przybrała wskutek opalenizny barwę brązu. Byłby wprost ładny, ze swoimi czarnymi oczami, ciemnym wąsikiem i pełnymi, dobrze zarysowanymi wargami, gdyby nie szpeciły go odstające uszy. One to były do niedawna J^ogo jedynym zmartwieniem i jedyną zgryzotą. Teraz miał już inne troski. Hans Castorp mówił dalej:

— Zjedziesz chyba od razu ze mną na dół? Naprawdę nie widzę żadnej przeszkody.

— Od razu z tobą? — zapytał kuzyn i zwrócił na niego swoje wielkie oczy, które zawsze patrzyły łagodnie, ale w ciągu ostatnich pięciu miesięcy przybrały nieco znużony, a nawet smutny wyraz. — To znaczy kiedy?

— No, za trzy tygodnie.

— Ach, tak, ty już w myśli wracasz do domu — odrzekł Joachim. — Zaczekaj, dopiero wysiadłeś z wagonu. Trzy tygodnie to oczywiście nic prawie dla nas tutaj w górze, ale dla ciebie to duży kawał czasu, bo przecie przyjechałeś tylko z wizytą i w ogóle nie chcesz dłużej tu zostać. Przede wszystkim jednak musisz się zaaklimatyzować; to wcale nie jest takie proste, przekonasz się. Zresztą, nie tylko klimat jest u nas czymś niezwykłym. Zobaczysz tu niejedną nową rzecz, uważaj tylko. A ze mną to nie taka prosta sprawa, jak ci się wydaje; „za trzy tygodnie do domu” — to są pomysły z dołu. Prawda, że jestem opalony, ale to jest prawie wyłącznie działanie śniegu i nie ma wielkiego znaczenia, jak utrzymuje Behrens, a przy ostatnim generalnym badaniu powiedział, że prawie na pewno potrwa to jeszcze z pół roku.

— Pół roku? Czyś ty oszalał? — zawołał Hans Castorp. Właśnie zajęli miejsce w żółtym kabriolecie, zaprzężonym w dwa kasztanki, który ich oczekiwał na wybrukowanym placyku przed budynkiem stacyjnym, niewiele lepszym od jakiejś szopy,- pojazd był już w ruchu, ale Hans Castorp, oburzony, nie mógł sobie jeszcze znaleźć miejsca na twartym siedzeniu.

— Pół roku? Przecież już prawie pół roku tu jesteś! Przecie nie ma się aż tyle czasu!...

— Tak... czasu — powiedział Joachim i pokiwał głową, nie zwracając bynajmniej uwagi na szczere oburzenie kuzyna. — Nie masz wyobrażenia, jak oni obchodzą się tu z ludzkim czasem. Dla nich trzy tygodnie to jeden dzień najwyżej. Przekonasz się sam, sam wszystko zobaczysz — rzekł, a potem dodał: — Tutaj pojęcia ulegają zmianie.

Hans Castorp bezustannie przyglądał mu się z boku.

— Ty jednak rzeczywiście bardzo przyszedłeś do siebie — powiedział potrząsając głową.

— Tak uważasz? — odparł Joachim. — Ja jestem również tego zdania — powiedział i oparł się wyżej na poduszkach, zaraz jednak wrócił do swojej pochylonej pozycji. — Czuję się o wiele lepiej, ale zupełnie zdrowy jeszcze nie jestem; w lewym szczycie, gdzie przedtem słychać było rżenie, jest już tylko szorstki ton, to jeszcze nie najgorsze, ale na dole jest jeszcze bardzo szorstki ton, a ponadto słychać szmery także w drugiej przestrzeni międzybrowej.

— Widzę, że zdobyłeś tu niemałe wykształcenie — zauważył Hans Castorp.

— Ach, Boże, ładne wykształcenie! Cieszyłbym się, gdyby ze mnie w służbie znowu wyparowało — odparł Joachim. — Poza tym odpluwam wciąż jeszcze — dodał, wzruszając ramionami na w pół leniwie, na w pół gwałtownie, z czym mu było nie do twarzy. Mówiąc to, z kieszeni palta, znajdującej się od strony Castorpa, wyciągnął do połowy i zaraz na powrót wsunął płaską, łukowato wygiętą flaszeczkę z niebieskiego szkła, opatrzoną metalową przykrywką. — Większość nas tutaj w górze nosi przy sobie ten przedmiot — objaśniał. — Ma on tu nawet pewne żartobliwe przezwisko, bardzo zabawne. Oglądasz okolicę?

Hans Castorp rozglądał się rzeczywiście.

— Cudowna! — rzekł.

— Sądzisz? — spytał Joachim.

Z początku jechali równolegle do szyn kolejowych, wzdłuż doliny, nieregularnie zabudowaną drogą, potem skręcili na lewo, przecięli wąski tor, przejechali ponad strumieniem i zaczęli wspinać się stępą po łagodnej pochyłości ku zboczom gór, porośniętych lasem. Przed nimi, na małym zielonym płaskowzgórzu, widać było podłużny budynek, zwrócony frontem ku południowemu zachodowi; jego wieżyczka zakończona była kopułą, a fasada tak podziurawiona licznymi wnękami balkonów, że z daleka robił wrażenie porowatej gąbki; w oknach zapalało właśnie pierwsze światła. Zapadał szybki zmrok. Błada zorza wieczorna, która na krótką chwilę ożywiła niebo, jednostajnie

zaciągnięte chmurami, już zgasła i w naturze zapanował ów bezbarwny, bezduszny i smutny stan przejściowy, bezpośrednio poprzedzający ostateczne nadejście nocy. W długiej, lekko wygiętej dolinie rozblęskły teraz wszędzie światła, zarówno w głębi, jak tu i ówdzie na stokach — zwłaszcza na prawym stoku, na którym tarasowo wznosiły się zabudowania. Z lewej strony na zboczach gór rozciągały się łąki poprzerzynane ścieżkami, które wyżej ginęły w matowej czerni szpilkowego lasu. U ujścia zwiężającej się doliny niebieszczały wyraźne zarysy dalekich gór. Zerwał się wiatr i chłód wieczorny dawał się już we znaki.

— Nie, prawdę powiedziawszy, nie widzę, żeby to było takie porywające — odezwał się Hans Castorp. — Gdzież są rowodowce i wieczne śniegi, i potężne olbrzymy skalne? Zdaje mi się, że to tu przed nami nie jest chyba bardzo wysokie.

— Owszem, te góry są wysokie — odpowiedział Joachim. — Prawie wszędzie widać granicę drzew, niezwykle ostro zarysowaną: kończą się świerki, a z nimi kończy się wszystko; nie ma już nic, tylko skały, jak widzisz. A tam masz nawet lodowiec — na prawo od Schwarzhornu, tego ostrego szczytu — tam, gdzie jest tak niebiesko. Nie jest zbyt rozległy, ale to jednak prawdziwy lodowiec, nazywa się Scaletta. Piz Michel i Tinzehorn — w tym wcięciu — stąd ich nie widać — są zawsze pokryte śniegiem, przez cały rok.

— Wiecznym śniegiem — rzekł Hans Castorp.

— Wiecznym, jeżeli chcesz. O tak, to wszystko wokół jest naprawdę wysokie. Ale przecie my sami jesteśmy straszliwie wysoko, pomyśl, tysiąc sześćset metrów nad poziomem morza. Dlatego te wzniesienia wydają się stąd dość nikłe.

— Tak, tak, mówię ci, że lęk mnie ogarniał, kiedyśmy się tutaj wspinali. Tysiąc sześćset metrów! To mniej więcej pięć tysięcy stóp, jeżeli dobrze liczę. Nigdy w życiu nie byłem jeszcze tak wysoko.

I zaciekawiony Hans Castorp wciągnął głęboko, na próbę, obce powietrze. Było świeże — nic więcej; nie było w nim aromatu, treści, wilgoci, łatwo wchodziło do płuc i nie przemawiała do duszy.

— Świetne! — rzekł uprzejmie.

— Tak, to powietrze jest słynne. Zresztą okolica prezentuje się dzisiaj jakoś nieszczególnie; niekiedy, zwłaszcza w śniegu, wygląda ładniej. Ale z czasem ma się jej dosyć; wierzaj mi, że nam wszystkim tutaj w górze już się straszliwie znudziła — mówił Joachim; jego usta wykrzywiły się z wyrazem jakby przesadnego i nieopanowanego wstrętu, z którym znowu było mu nie do twarzy.

— Wyrażasz się tak dziwnie — powiedział Hans Castorp.

— Dziwnie się wyrażam? — spytał Joachim z odcieniem niepokoju w głosie i odwrócił się do kuzyna...

— Nie, nie, przepraszam cię, tak mi się tylko przez chwilę wydawało! — odparł Hans Castorp pośpiesznie. Miał na myśli zwrot „nam tutaj w górze”, którego Joachim użył już po raz trzeci lub czwarty, a który go jakoś dziwnie przykro uderzał.

— Nasze sanatorium, jak widzisz, leży jeszcze wyżej niż ta miejscowość — ciągnął Joachim. — Wyżej o pięćdziesiąt metrów. W prospekcie podane jest „sto”, ale naprawdę jest tylko pięćdziesiąt. Najwyżej położone jest sanatorium Schatzalp, tam, po tamtej stronie, stąd go nie widać. Ci muszą w zimie ekspediować swoje zwłoki na bobslejach, bo drogi są zasypane.

— Swoje zwłoki? Ach, tak! No wiesz! — zawołał Hans Castorp. I nagle wybuchnął śmiechem, gwałtownym i niepowstrzymanym śmiechem, który wstrząsał całą jego pierś i bolesnym grymasem wykrzywił twarz, nieco zeszywniała od chłodnego wiatru. — Na bobslejach! I opowiadasz mi to tak z całym spokojem? Ależ ty stałeś się straszliwie cyniczny w ciągu tych pięciu miesięcy!

— Bynajmniej nie cyniczny — odpowiedział Joachim wrzuszając ramionami. — Dlaczegoż by? Zwłokom przecie wszystko jedno... A zresztą, możliwe, że tu u nas człowiek staje się cynikiem. Sam Behrens jest także takim starym cynikiem, poza tym to wspomniały chłop, były korporant i świetny operator, zapewne ci się spodoba. Ponadto jest tu jeszcze Krokowski, jego asystent — nadzwyczajnie sprytna sztuka. W prospekcie jest

specjalna wzmianka o jego działalności: uprawia mianowicie z pacjentami analizę duszy.

— Co uprawia? Analizę duszy? Przecież to wstrętne — zawołał Hans Castorp i znowu owładnęła nim wesołość. Nie umiał już nad nią zapanować, do reszty rozbawiła go owa analiza duszy; śmiał się na całe gardło, tak że łzy spływały mu spod ręki, którą, pochyliwszy się, przysłonił sobie oczy. Joachim śmiał się również serdecznie — widocznie dobrze mu to robiło. Tak więc obaj młodzi ludzie w świetnych humorach wysiedli z powozu, który, ©d pewnego czasu jadąc stępa po stromej, wijącej się drodze, zatrzymał się wreszcie przed bramą Międzynarodowego Sanatorium „Berghof”.

NR 34

Zaraz po prawej stronie między bramą a drzwiami wahadłowymi znajdowała się dyżurka portiera, a w niej, przy telefonie, siedział czytając gazetę wyglądający na Francuza służący w szarej liberii, takiej samej, jaką miał na sobie ów kaleka na dworcu; na widok wchodzących odłożył gazety i poprowadził ich przez jasno oświetlony hall, z którego na lewo wchodziło się do sal ogólnych. Przez uchylone drzwi zauważył Hans Castorp, że sale te były puste. Zapytał Joachima, gdzie teraz znajdują się goście.

— Werandują — odpowiedział kuzyn. — Ja miałem dzisiaj wychodne, bo chciałem iść po ciebie na kolej, ale zwykle także leżę po kolacji na balkonie.

Niewiele brakowało, a Hans Castorp byłby się znowu roześmiał.

— Co, nocą we mgle leżycie jeszcze na balkonie? — spytał niepewnym głosem.

— Tak, takie są tutaj przepisy; od ósmej do dziesiątej. Ale teraz chodź, obejrzyj swój pokój i umyj sobie ręce.

Weszli do windy; Francuz uruchomił elektryczny mechanizm. Podczas wznoszenia się w górę Hans Castorp wycierał sobie oczy chustką.

— Jestem zupełnie rozbity i wyczerpany śmiechem — powiedział i wciągnął powietrze ustami. — Naopowiadałeś mi tyle dziwnych rzeczy... Analiza duszy to dla mnie za wiele, mógłbyś być mi tego oszczędzić. Poza tym jestem pewnie trochę zmęczony podróżą. Czy tobie także tak marzną nogi? A jednocześnie tak pali twarz, to jest bardzo przykre. Pewnie zaraz coś zjemy? Wydaje mi się, że jestem głodny. A czy jada się dobrze tu u was na górze?

Kokosowy chodnik, którym wyłożony był wąski korytarz, tłumiał odgłos ich kroków. Klosze z mlecznego szkła rzucały blade światło spod sufitu. Ściany powleczone olejną farbą błyszczały biało i twardo, jak wylakierowane. Gdzieś w przejściu mignęła postać pielęgniarki w białym czepku i z binoklami na nosie, których sznurek przeciągnęła sobie za ucho. Z pewnością była protestantką, pozbawioną prawdziwego umiłowania swojego zawodu — ciekawską, którą dręczy i niepokoi nuda. W dwóch miejscach korytarza przed wylakierowanymi na biało, numerowanymi drzwiami stały na podłodze jakieś balony, wielkie, pękate naczynia o krótkich szyjkach. Hans Castorp zapomniał na razie zapytać o ich przeznaczenie.

— Mieszkaś tutaj — odezwał się Joachim. — Numer trzydziesty czwarty. Na prawo jest mój pokój, a na lewo mieszka pewne małżeństwo rosyjskie, trzeba powiedzieć, niezbyt czyste i trochę zanadto głośne, ale inaczej nie dało się zrobić. No, cóż?

Na ścianie między podwójnymi drzwiami przybite były haki na ubrania.

Joachim zapalił górną lampę. W jej drżącej poświacie ukazał się pokój miły i zaciszny, z białymi, praktycznymi meblami, z również białymi, grubymi tapetami do zmywania, z czystym linoleum na podłodze i płóciennymi firankami, haftowanymi w modne, proste i wesołe desenie. Drzwi od balkonu były otwarte; widać było światła rozsiane w dolinie i z daleka dochodziły dźwięki muzyki tanecznej. Poczciwy Joachim postawił na komodzie trochę kwiatów w wazoniku — jakie udało mu się znaleźć w trawie zieleniejącej po raz drugi tego lata: parę

krwawników i dzwonek przez niego samego zebranych na zboczu.

— Ach, jak to ślicznie z twojej strony — powiedział Hans Castorp. — Co za miły pokój! Z przyjemnością można tu spędzić kilka tygodni.

— Przedwczoraj umarła tu jedna Amerykanka — rzekł Joachim. — Behrens od razu powiedział, że będzie z nią koniec, zanim przyjedziesz, i że będziesz mógł dostać jej pokój. Był przy niej jej narzeczony, oficer marynarki angielskiej, ale się bynajmniej mężnie nie zachowywał. Co chwila wychodził na korytarz, żeby płakać — zupełnie jak mały chłopak. A potem smarował sobie twarz cold creamem, bo był wygolony i lży paliły mu skórę. Przedwczoraj wieczorem Amerykanka dostała jeszcze dwóch krwotoków pierwszej klasy, to był koniec. Ale wyniesiono ją już wczoraj rano, a potem zrobiono tu naturalnie gruntowną dezynfekcję formaliną, to ma być nadzwyczaj celowe.

Hans Castorp wysłuchiwał tego opowiadania z pewnego rodzaju niespokojnym roztargnieniem. Stał z zakasanyimi rękawami przed dużą umywalnią, której niklowane krany błyszcząły w elektrycznym świetle, i zaledwie przelotne spojrzenie rzucił na czysto zasłane łóżko z białego metalu.

— Dezynfekcję? To doskonale — powiedział uprzejmie i trochę nieskładnie, myjąc i wycierając sobie ręce. — Aldehyd metylowy... tego nawet najsilniejsza bakteria nie wytrzyma, H₂CO... ale to kręci w nosie, prawda? Ma się rozumieć, że największa czystość jest pierwszym warunkiem...

Hans Castorp mówił północnym akcentem, podczas gdy kuzyn jego za czasów studenckich przyswoił sobie rozpowszechniony w południowych Niemczech sposób wymawiania. Rozgadawszy się prawił dalej:

— Co to jeszcze chciałem powiedzieć... Prawdopodobnie ten oficer marynarki golił się maszynką; tak przypuszczam, bo w ten sposób można się łatwiej zaciąć niż dobrze wyostrzoną brzytwą — takie jest przynajmniej moje osobiste doświadczenie — ja używam na zmianę raz jednego, raz drugiego... A po-

drażniona skóra nie znosi słonej wody; pewnie w służbie przyzwyczał się używać cold creamu, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego... — Tak gadał dalej, opowiedział, że ma w kufrze dwieście sztuk cygar marki „Maria Mancini”, które wyłącznie pali, że rewizja na granicy była bardzo łagodna, i przekazał Joachimowi ukłony od różnych osób z ich rodzinnego miasta.

— Czy tu wcale nie palą? — zawołał nagle i podbiegł do radiatora, chcąc położyć na nim rękę...

— Nie, nas trzymają w stosunkowo niskiej temperaturze — odpowiedział Joachim. — Musiałaby być zupełnie inna pogoda, żeby zaczęli palić w sierpniu.

— Sierpień, sierpień — powtórzył Hans Castorp. — Ależ ja marznę! Okropnie marznę na całym ciele, tylko twarz mnie jakoś dziwnie pali. O, dotknij, zobacz, jaka gorąca!...

Propozycja, żeby ktoś dotykał jego twarzy, nie licowała z charakterem Hansa Castorpa i sam ją przykro odczuł. Joachim nie zgodził się też na nią, tylko powiedział krótko:

— Nic nie szkodzi, to skutek tutejszego powietrza. Sam Behrens ma zawsze sine policzki. Nie wszyscy mogą się tu zaaklimatyzować. No, go on, bo inaczej nie dostaniemy już nic do jedzenia.

Na korytarzu ukazała się znowu pielęgniarzka i z daleka ciekawie im się przyglądała. Na pierwszym piętrze Hans Castorp zatrzymał się nagle, uderzony jakimś niezwykle przykrym odgłosem, który rozlegał się gdzieś blisko, za zakrętem korytarza; odgłos ten nie był intensywny, ale tak wyjątkowo ohydny, że Hans Castorp skrzywił się i szeroko otwartymi oczami spojrział na swego kuzyna. Był to wyraźny kaszel — kaszel męczyzny, ale nie przypominał żadnego z kaszłów, które Hans Castorp dotychczas słyszał; każdy inny znany mu kaszel był raczej wspianym i zdrowym wyrazem żywotności w porównaniu z tym beznadziejnym kaszlem, który nie składał się z poszczególnych wybuchów, ale brzmiał jak straszliwie bezsilne gmeranie w papce organicznego rozkładu.

— ■ Tak — powiedział Joachim — z nim jest niedobrze. Jakiś austriacki arystokrata, wiesz, bardzo elegancki mężczyzna, wy-

gląda jak urodzony sportsmen. A teraz tak źle jest z nim. Ale pokazuje się jeszcze.

Idąc dalej, Hans Castorp z przejściem mówił o kaszlu sportsmena.

— Pomyśl tylko, że ja nigdy nic podobnego nie słyszałem, to jest dla mnie zupełnie nowe, więc musi na mnie robić wrażenie. Są różne rodzaje kaszlu, suche i flegmiste, a te flegmiste są podobno lepsze i mniej szkodliwe od takiego szczekania. Kiedy w młodości (Hans Castorp powiedział: „w młodości”) byłem chory na krup, szczekałem jak wilk i wszyscy się ucieszyli, kiedy ten kaszel się zaflegmił — pamiętam to doskonale. Ale takiego kaszlu jak ten nie było jeszcze nigdy na świecie, tak mi się przynajmniej wydaje, to już nie jest żywy kaszel. Nie jest suchy, ale nie można go też nazwać flegmistym, jest jakiś zupełnie inny. To jest tak, jak gdyby zaglądało się do środka człowieka, a tam już nic więcej nie było, tylko papka i szlam.

— No, no — powiedział Joachim — ja to słyszę przecie codziennie, nie potrzebujesz mi tego opisywać.

Ale Hans Castorp długo jeszcze nie mógł się uspokoić i raz po raz powtarzał, że słuchając tego kaszlu zagląda się po prostu do wnętrza chorego sportsmena; kiedy weszli do restauracji, jego oczy, zmęczone podróżą, błyszczały niezdrowo.

W RESTAURACJI

W restauracji było jasno, elegancko i przytulnie. Znajdowała się zaraz na prawo od hallu, naprzeciwko pokoiów ogólnych. Joachim opowiadał, że w sali tej jadają przeważnie nowo przybyli, zamawiający posiłek poza zwykłymi godzinami, a także ci, którzy podejmują gości. Świącono tu również uroczyste rocznice urodzin, wigilie odjazdów, a nawet pomyślne wyniki generalnego badania lekarskiego. — Czasami w restauracji odchodzi zabawa; podają nawet szampana — dodał Joachim. Teraz siedziała tam tylko jedna pani, mniej więcej trzydziestoletnia, czytała książkę, ale przy tym nuciła jakąś melodię, środkowym

palcem lewej ręki wybijając lekko takt na obrusie. Kiedy młodzieńcy usiedli, zmieniła miejsce, aby odwrócić się do nich plecami. Joachim objaśnił szeptem, że chora ta unika ludzi i w restauracji jada zawsze z książką przed sobą; powiadają, że już jako młodzianka dziewczyna przebywała w sanatoriach i od tego czasu nie powróciła do świata.

— No, to w porównaniu z nią jesteś dopiero początkujący, nawet gdyby się twoja kuracja nie skończyła jeszcze po tych pierwszych pięciu miesiącach i gdybyś cały rok tu przesiedział — powiedział Hans Castorp. Joachim wykonał znowu ów niezwykły dawniej u niego ruch ramion i sięgnął po menu.

Siedzieli naprzeciwko siebie w najładniejszym kącie sali, przy stoliku, który stał na podwyższeniu pod oknem, zasłoniętym kremową firanką; na twarze ich padało czerwone światło stojącej elektrycznej lampki z czerwonym abażurem. Hans Castorp zacierał świeżo umyte ręce, gestem wyrażającym zadowolenie i oczekiwanie; robił tak zawsze, siadając do stołu — A. może dlatego, że jego przodkowie modlili się przed podaniem zupy. Usługiwała im uprzejma dziewczyna w czarnej sukni i białym fartuszkowi, z szeroką twarzą o niezwykle zdrowej cerze, i z gardłową wymową. Zamówili u niej butelkę Gruaud Larose, ale Hans Castorp odesłał flaszkę z powrotem, by jej nadano właściwą temperaturę. Jedzenie było doskonałe. Podano zupę szparagową, faszerowane pomidory, pieczeń suto garniowaną, wyjątkowo smaczną leguminę, sery i owoce. Hans Castorp jadł bardzo wiele, chociaż apetyt nie dopisał mu w tym stopniu, jak się tego spodziewał; ale ponieważ dbał o swoje zdrowie, przeto jadał dużo nawet wtedy, kiedy nie był głodny.

Joachim ledwie tknął potraw. Mówił, że mu się tutejsza kuchnia przejadła, że oni wszyscy tutaj mają jej dosyć i że się już przyjęło wymyślać na jedzenie, bo przecie siedząc tu wieczność ^{cał}ą z okładem... Ale wino pił z przyjemnością, nawet z pewną ^{pas}ją, i kilkakrotnie — jednakże starannie unikając zbytniej uczuciowości — dawał wyraz swojemu zadowoleniu, że wreszcie znalazł się ktoś, z kim można rozsądnie porozmawiać.

— Ach, jak to świetnie, żeś przyjechał! — powiedział i jego spokojny głos zdrzął wzruszeniem. — Mogę śmiało powiedzieć, że jest to dla mnie prawdziwy ewenement. Jest to wreszcie jakaś odmiana, że tak powiem: wyłom, pauza w tej wiecznej, bezgranicznej monotonii...

— Ale zapewne czas upływa wam tu szybko — zauważył Hans Castorp.

— I prędko, i powoli, jak kto chce — odrzekł Joachim. — Właściwie, powiem ci, nie upływa wcale, to w ogóle nie jest czas i w ogóle to nie jest życie — o nie, na pewno nie — mówił potrząsając głową i znowu sięgnął po kieliszek.

Hans Castorp pił także, chociaż twarz paliła go teraz jak ogień. Ale poza tym w całym ciele czuł ciągle jeszcze zimno i ogarnął go jakiś dziwnie radosny, a jednak męczący niepokój. Słowa goniły jedno drugie, raz po raz się mylił, ale, machnąwszy na to ręką, mówił dalej. Zresztą i Joachim był bardzo ożywiony, a ich rozmowa toczyła się tym swobodniej i weselej, że nucała i stukająca pani nagle wstała i opuściła salę. Wymachiwali widelcami, mając pełne usta jedzenia, przybierali ważne miny, śmiali się, przytakiwali sobie, podnosili ramiona i zanim zdążyli przełknąć, już mówili dalej. Joachim chciał się dowiedzieć, co słyhać w Hamburgu, i naprowadził rozmowę na projektowaną regulację Łaby.

— To będzie rzecz epokowa! — powiedział Hans Castorp. — Epokowa dla rozwoju naszej żeglugi — rezultaty będą olbrzymie. Wstawiamy do budżetu pozycję pięćdziesięciu milionów jako jednorazowy wydatek i możesz być przekonany, że dobrze wiemy, co robimy.

Zresztą, pomimo wielkiej wagi, którą przywiązywał do regulacji Łaby, zmienił zaraz temat i prosił Joachima, żeby opowiedział mu coś jeszcze o życiu „tutaj w górze” i o kuracjach, na co ten chętnie się zgodził, bo przyjemnie mu było, że może sobie ulżyć i wypowiedzieć się. Musiał więc powtórzyć historię o zwłokach zwożonych w dół po torze bobslejowym i raz jeszcze wyraźnie potwierdzić, że to szczerą prawdą. Ponieważ Hansa Castorpa znowu śmiech ogarnął, śmiał się i Joa-

chim i widać było, że się rozkoszuje swym własnym rozbawieniem; toteż ażeby podsyć wesoły nastrój, opowiadał i o różnych innych zabawnych rzeczach. Jest tu pewna dama, żona jakiegoś muzyka z Cannstatt, nazywa się pani Stóhr, zresztą dość poważnie chora, siedzi z nim przy stole; jest to osoba najmniej kulturalna, jaką kiedykolwiek widział; mówi „dezynfeskować” — i to zupełnie poważnie. A asystenta Krokowskiego nazywa „fomulusem”. I trzeba tego wszystkiego słuchać poważnie, bez najłżejszego grymasu. Poza tym plotkuje straszliwie, jak zresztą prawie wszyscy tutaj w górze, a o pewnej innej damie, pani Iltis, opowiada, że nosi „sterylet”! — Wyobraź sobie, nazywa to „sterylet” — to przecież nieocenione! — I na pół leżąc, rozparci na krzesłach, śmiali się tak serdecznie, że trzęsły im się brzuchy i prawie jednocześnie obaj dostali czkawki.

Wkrótce jednak Joachim zasepił się i zaczął mówić o swoim smutnym losie.

— Tak, tak, siedzimy tu i śmiejemy się — rzekł z bolesnym wyrazem twarzy i przerywając raz po raz wskutek wstrząsów przepony — a zupełnie nie da się przewidzieć, kiedy się stąd wydostanę, bo jeśli Behrens mówi: jeszcze pół roku, to jest to liczone skąpo i trzeba być przygotowanym na dłużej. Ale to nie jest łatwe, pomyśl tylko, jakie to dla mnie smutne. Już miałem zdawać egzamin oficerski, a tu muszę sterczeć z termometrem w ustach, liczyć błędy tej niekulturalnej pani Stóhr i tylko czas tracę. Rok znaczy bardzo wiele w naszym wieku, tyle zmian przynosi w życiu tam na dole, jest krokiem naprzód. A ja gniję tutaj jak woda w brudnej kałuży, w butwiejącym bajorze — to nie jest bynajmniej przesadne porównanie...

Zupełnie nieoczekiwanie Hans Castorp odpowiedział na to tylko pytaniem, czy tu właściwie można dostać portera; a kiedy Joachim spojrział na niego ze zdziwieniem, zauważył, że już zasypia — właściwie już spał.

— Ale ty śpisz przecie! — powiedział Joachim. — Chodź, już czas, byśmy się obaj położyli.

— To w ogóle nie jest czas — rzekł Hans Castorp sennym

głosem. Ruszył się jednak z miejsca i poszedł za kuzynem trochę zgarbiony i na sztywnych nogach, jak człowiek, który ze zmęczenia po prostu upada; jednakże wyprostował się jeszcze, kiedy Joachim w ciemnym już prawie hallu szepnął mu:

— Tam siedzi Krokowski. Zdaje się, że wypada, żebym cię jeszcze szybko przedstawił.

Dr Krokowski siedział tuż obok szeroko otwartych rozsuwanych drzwi w jednym z jasno oświetlonych pokojów ogólnych i czytał gazetę. Kiedy młodzi ludzie podeszli do niego, wstał z miejsca, a Joachim, przybierając postawę wojskową, powiedział:

— Pozwolę sobie przedstawić panu doktorowi mojego kuzyna Castorpa z Hamburga. Właśnie przyjechał.

Dr Krokowski powitał nowego domownika z pewnego rodzaju jowialną, z lekka rubaszną serdecznością, jak gdyby chciał go zachęcić, by w bezpośrednim zetknięciu z nim kierował się jedynie beztróskim zaufaniem, bez śladu jakiegokolwiek skrępowania. Miał około trzydziestu pięciu lat, był tęgi, barczysty i o wiele niższy niż ci dwaj, którzy przed nim stali, toteż musiał głowę przechylać w tył, aby widzieć ich twarze; cerę miał niezwykle bladą, bladości niemal fosforyzującej, która jeszcze bardziej odbijała od ciemnego blasku jego oczu, czarnych brwi i dosyć długiej czarnej brody, kończącej się dwoma klinami i przetykanej już z rzadka białymi nitkami. Ubrany był w czarną, dwurzędową i trochę znoszoną marynarkę, czarne, ażurowe sandały i szare wełniane skarpetki; miękki wykładany kołnierz otaczał jego szyję; Hans Castorp widział podobny kołnierz tylko w pewnym atelier fotograficznym w Gdańsku i dlatego wrażenie, które dr Krokowski wywarł na nim, kojarzyło się z nastrojem zakładu fotograficznego. Z przyjaznym uśmiechem, pokazując swoje żółtawe zęby, ścisnął dłoń młodzieńca, mówiąc przy tym barytonowym głosem i przeciągając trochę jakby z cudzoziemską:

— Witam pana u nas! Życzę panu, żeby pan się tu szybko zaaklimatyzował i dobrze czuł w naszym gronie. Czy pan tu przyjechał w charakterze pacjenta, jeżeli wolno zapytać?

Wzruszający to był widok, jak Hans Castorp starał się być grzecznym i zapanować nad swoją sennością. Przykro mu było, że jest w tak złej formie, i z podejrzliwością, właściwą niezbyt pewnym sobie młodzieńcom, w uśmiechu i ośmielających manierach asystenta doszukiwał się oznak pobłażliwej drwiny. Odpowiedział, że chce pozostać w sanatorium tylko trzy tygodnie, wspomniał o swoim egzaminie i dodał, że jest, dzięki Bogu, zupełnie zdrowy.

— Doprawdy? — spytał dr Krokowski, przekrzywiając głowę jakby przekomarzając się i śmiejąc się jeszcze wyraźniej... — Ależ w takim razie jest pan zjawiskiem wysoce godnym uwagi! Bo mnie się nie zdarzyło jeszcze spotkać zupełnie zdrowego człowieka. Jaki egzamin pan zdawał, jeżeli wolno zapytać?

— Jestem inżynierem, panie doktorze — odparł Hans Castorp skromnie, ale z godnością.

— A, inżynierem! — Uśmiech dra Krokowskiego przygasł jednocześnie, tracąc swą świeżość i serdeczność. — To dzielnie z pana strony. Więc pan nie będzie tutaj korzystał z żadnej opieki lekarskiej ani pod względem fizycznym, arii psychicznym?

— O nie, dziękuję po stokroć — zawołał Hans Castorp i omal nie cofnął się o krok.

Uśmiech dra Krokowskiego ukazał się znowu w całej swej wspaniałości; jeszcze raz potrząsając dłoń młodzieńca, zawołał głośno:

— A więc dobranoc panu, niech pan śpi dobrze — w pełnym poczuciu swego nienagannego zdrowia! Dobranoc i do zobaczenia! — Tak dr Krokowski pożegnał się z młodymi ludźmi i zabrał się z powrotem do czytania gazety.

Windziarza już nie było, wchodzili więc pieszo na górę, milczący i trochę zmieszani spotkaniem z drem Krokowskim. Joachim odprowadził kuzyna do numeru trzydziestego czwartego, gdzie już leżały rzeczy, przywiezione przez utykającego służącego. Gawędzili jeszcze przez piętnaście minut, podczas gdy Hans Castorp wypakowywał swoje przybory do mycia i wszystko potrzebne do spania, paląc przy tym grubego i lekkiego pa-

pierosa. Cygara jakoś dzisiaj już nie zapalił, co jemu samemu wydawało się dziwne i niezwykle.

— Wiesz, on wygląda na wybitnego człowieka — odezwał się wypuszczając z płuc kłęby dymu. — Jest woskowo blady. Ale jego obuwie jest wstrętne. Szare wełniane skarpetki i do tego te sandały! Czy jednak pod koniec rozmowy nie był obrażony?

— On jest trochę wrażliwy — odrzekł Joachim. — Nie powinien być tak ostro odrzucić opieki lekarskiej, przynajmniej tej psychicznej. On nie lubi, kiedy jej ktoś unika. Do mnie także ma pewną niechęć, bo nie dość mu się zwierza. Ale od czasu do czasu opowiadam mu jednak jakiś sen, żeby miał coś do analizowania.

— No, to musiałem go urazić — rzekł Hans Castorp, trochę rozdrażniony, bo był zawsze niezadowolony z siebie, kiedy komuś sprawił przykrość; ogarnęło go jeszcze silniejsze znużenie.

— Dobranoc — powiedział. — Ja już upadam.

— O ósmej wstąpię po ciebie na śniadanie — powiedział Joachim i wyszedł.

Hans Castorp szybko zrobił pobieżną toaletę nocną. Ledwie zgasił lampę stojącą na nocnym stoliku, już zawładnął nim sen, ale ocknął się raz jeszcze, bo przypomniał sobie, że onegdaj umarł ktoś w tym łóżku.

— Pewnie nie pierwszy raz — powiedział sobie, jak gdyby mogło go to uspokoić. — To jest śmiertelne łóżko, zwykle śmiertelne łóżko. — I zasnął.

Ale natychmiast zaczął śnić, i śnił bez przerwy aż do rana. Przeważnie widział Joachima Ziemssena w jakiejś dziwnej pochyłej pozycji, zjeżdżającego na bobsleju po stromej drodze. Był tak fosforyzująco blady jak dr Krokowski, a na przodzie siedział ów sportsmen i kierował saneczkami; wyglądał przy tym tak niewyraźnie, jak ktoś, kogo się zna jedynie z jego kaszlu.

— Nam to wszystko jedno, nam tutaj w górze — odezwał się pokręcony Joachim, i teraz on, a nie ów sportsmen, wybuchnął straszliwym, papkowatym kaszlem. Hans Castorp z żalu

gorzko się rozplakał i przyszło mu na myśl, że musi pójść do apteki, ażeby kupić sobie cold creamu. Ale na drodze siedziała pani Iltis ze ściągniętymi wargami i trzymała w ręku coś, co było widocznie jej „steryletem”, a okazało się zwykłą maszynką do golenia. To pobudziło Hansa Castorpa do śmiechu, i tak przechodził z jednego nastroju w drugi, aż zbudził go szary ranek, zaglądając przez uchylone drzwi balkonowe.

O CHRZCIELNICY I O DZIADKU
W DWOJAKIEJ POSTACI '

Hans Castorp zachował zaledwie niejasne wspomnienie o swym właściwym domu rodzicielskim; ojca i matki nie znał prawie wcale. Odumarli go szybko jedno po drugim, pomiędzy piątym a siódmym rokiem jego życia. Najpierw, zupełnie nagle, umarła matka, która oczekiwała właśnie rozwiązania; przyczyną śmierci był skrzep, w następstwie zapalenia żył — embolia, jak to określił doktor Heidekind, która stała się powodem paraliżu serca; właśnie siedząc w łóżku zanosiła się od śmiechu, i wyglądało tak, jak gdyby to śmiech ją przewrócił, ale upadła tylko dlatego, że była martwa. Niełatwo mógł się z tym pogodzić Hans Hermann Castorp — ojciec, a ponieważ bardzo był przywiązany do swojej żony i sam nie należał przy tym do najodporniejszych, nie umiał się już z tego podźwignąć. Upośledzony na umyśle, popełniał w stanie depresji i zamroczenia błędy w interesach, i firma „Castorp i Syn” poniosła poważne straty. Wiosną następnego roku przeziębził się na inspekcji spichrzów w porcie, wystawionym na wiatry, i dostał zapalenia płuc. Jego osłabione serce nie wytrzymało wysokiej gorączki, więc umarł, pomimo całej troskliwości doktora Heidekinda, w piątym dniu choroby. Odprowadzony tłumnie przez ludność miasta, spoczął obok swej żony w rodzinnym grobowcu Castorpów, położonym bardzo pięknie na cmentarzu Sw. Katarzyny, naprzeciwko ogrodu botanicznego.

Ojciec jego, senator, przeżył go, choć nie o wiele. Zmarł również na zapalenie płuc, i to po wielkich zmaganiach i cierpieniach, bo Hans Lorenz Castorp był, w przeciwieństwie do swo-

jego syna, mocno przywiązany do życia i niełatwy do ostatecznego złamania. Krótki przeciąg czasu pomiędzy tymi dwoma zgonami — trwało to nie więcej niż półtora roku — przeżył osierocony Hans Castorp w domu swojego dziadka, zbudowanym w stylu północnego klasycyzmu z początkiem ubiegłego stulecia na wąskiej parceli, a położonym przy Esplanadzie i pomalowanym ponurą farbą. Drzwi wejściowe umieszczone były pośrodku parteru, wzniesionego nad powierzchnię ziemi o pięć schodków, i ozdobione po obu stronach pilastrami. Dom miał trzy piętra, a okna pierwszego sięgały aż do podłogi i zaopatrzone były w kraty z lanego żelaza.

Tutaj znajdowały się wyłącznie pokoje recepcyjne, wraz z jasną jadalnią zdobną w sztukaterię; trzy okna tego pokoju, osłonięte ciemnoczerwonymi firankami, wychodziły na ogródek położony za domem; w jadalni tej dziadek i wnuk, co dzień o godzinie czwartej w ciągu osiemnastu miesięcy, we dwóch spożywali obiad; usługiwał im stary Fiete, z kolczykami w uszach i srebrnymi guzikami u fraka; nosił do tego fraka zupełnie taki sam batystowy halsztuk, jak gospodarz domu, tak samo ukrywał w nim wygolony podbródek. Dziadek mówił mu „ty” i rozmawiał z nim narzeczem dolnoniemieckim, platt — nie żartem (bo nie był obdarzony zmysłem humoru), ale zupełnie poważnie i naturalnie, bo przywykł tak zwracać się do robotników w spichrzach, listonoszów, furmanów i służących. Hansowi Castorpowi podobało się to bardzo i lubił też słuchać, jak Fiete odpowiadał również w tym narzeczcu i, stojąc za swym panelem z lewej strony, nachylał się do jego prawego ucha, na które senator znacznie lepiej słyszał niż na lewe. Stary rozumiał, kiwał głową i jadł dalej, siedząc prosto, ledwie pochylony nad talerzem, pomiędzy stołem a mahoniowym oparciem krzesła. Z drugiej strony stołu wnuk patrzył milcząco w głębokim i nieświadomym skupieniu na krótkie, wytworne ruchy, którymi chude starcze ręce, z zaostrozonymi, wypukłymi paznokciami i zielonym sygnetem na wskazującym palcu prawej ręki, kształtowały na końcu widelca kęs, złożony z mięsa, jarzyny i kartofli, i wkładały go do ust, podczas gdy głowa z lekka pochylała

się na jego spotkanie. Hans Castorp patrzył na swoje własne, niezgrabne jeszcze ręce i przeczuwał drżące w nich zdolności, które mu pozwolą kiedyś władać widelcem i nożem tak samo, jak to czynił dziadek.

O wiele ważniejsze było pytanie, czy uda mu się kiedyś chować podbródek w halsztuku, który suto wypełniał otwór dziwaczego kołnierza z ostrymi końcami, przylegającymi do policzków dziadka. Bo do tego trzeba być tak starym jak on, a dzisiaj już nikt, w szerokim promieniu, nie nosił oprócz niego i starego Fietego takich halsztuków i takich kołnierzy. To wielka szkoda, bo Hans Castorp szczególnie lubił, gdy dziadek chował podbródek w szeroki, biały jak śnieg halsztuk. I później, kiedy już dorósł, lubił o tym myśleć: było w tym coś, co z głębi duszy uważał za odpowiednie.

Po obiedzie składali i zwijali swoje serwety i wsuwali je do srebrnych kółek; Hansowi Castorpowi trudno było się z tą czynnością uporać, bo serwety były wielkości małych obrusów. Senator wstawał z krzesła, które Fiete za nim odsuwał, i drobnymi krokami przechodził do „gabinetu”, by wziąć sobie cygaro. Wnuczek czasem przyłączył się do niego.

„Gabinet” ten powstał dzięki temu, że jadalnia w tym domu była trzyokienna i zajmowała całą jego szerokość, wskutek czego zostało miejsce tylko na dwa pokoje, a nie na trzy, jak zwykle w takich budynkach. Jeden z tych pokoi, prostopadły do jadalni i z jednym tylko oknem od ulicy, musiałby być zbyt długi w stosunku do swojej szerokości, oddzielono więc odeń mniej więcej czwartą część — pomieszczenie ciasne, mroczne, z górnym tylko światłem i wyposażone w niewielką ilość mebli; stała tam etażerka, a na niej szafeczka na cygara, stolik do kart z szufladą, w której leżały pociągające przedmioty: karty do wista, żetony, deszczułki do markowania z ruchomymi ząbkami, tabliczka łupkowa z kredą do zapisywania, papierowe ustniki do cygar i wiele innych rzeczy. Wreszcie stała w kącie oszklona szafa z drzewa palisandrowego, w stylu rokoko, z żółtymi jedwabnymi firaneczkami.

— Dziadziu — mówił czasem mały Hans Castorp, stając na

palcach, ażeby dosięgnąć ucha starca — proszę, pokaż mi chrzcielnicę!

I dziadek, który już przedtem uniósł poły długiego, miękkiego surduta i wyjął z kieszeni pęk kluczy, otwierał oszkloną szafę, z której wiało na chłopca jakąś osobliwą i dziwnie miłą wonią. Były tam najrozmaitsze rzeczy, dawno już nie używane i dlatego właśnie tak pociągające: dwa srebrne lichtarze, połamany barometr z figurkami rzeźbionymi w drzewie, album z dagerotypami, cedrowa skrzynka na butelki likieru, malutki Turek w pstrokatym jedwabnym ubranku, kryjący w swym twardym ciele zegarowy mechanizm, który umożliwiał mu niegdyś bieganie po stole, obecnie jednak od dawna już odmawiał posłuszeństwa; staroświecki model okrętu, a na samym dole nawet łapka na szczury. Ale starzec zdejmował ze środkowej półki okrągłe, silnie już pożółkłe srebrne naczynie, stojące na srebrnym również talerzu, i pokazywał chłopcu oba przedmioty, dodając dobrze już Hansowi znane wyjaśnienia.

Miseczka i podstawka nie zawsze tworzyły jedną całość, ale, jak prawił dziadek, od stu lat już były łącznie używane. Naczynie było piękne, miało kształt prosty i szlachetny, utrzymany w surowym smaku początków ubiegłego stulecia; gładkie i solidne, spoczywało na okrągłej nóżce i wewnątrz miało złocone, ale ze złota pozostał już tylko żółtawy nalot; jedyną ozdobę stanowił wypukły wieniec z róż i ząbkowanych liści, okalający jego górny brzeg. Co się tyczy talerza, to jego szanowny wiek można było zeń odczytać, bo na jego wewnętrznej stronie ozdobnymi cyframi było wypisane „tysiąc sześćset pięćdziesiąt”; liczba ta otoczona była zgodnie z ówczesną modą zmanierowanymi, przeładowanymi rysunkami, wśród których odróżnić można było herby i arabeski — na wpół gwiazdy, na wpół kwiaty. Na odwrotnej stronie talerza były wyryte nazwiska jego kolejnych właścicieli, a każde z nich innym charakterem pisma. Było ich już siedem, wszystkie opatrzone datą odziedziczenia srebrnego talerza. Dziadek pokazywał wnukowi wskazującym palcem każdy napis z osobna. Było tam imię i nazwisko ojca, dziadka samego, pradziadka, a potem przedrostek „pra” podwajał się, po-

trajał, i mnożył dalej w ustach senatora; malec wsłuchiwał się z głową na bok przechyloną, z zapatrzonymi, rozmarzonymi oczami i z jakby sennie, na pół otwartymi ustami, w to pra-pra-pra... w ten tajemniczy głos dalekiej przeszłości i zapomnienia, który zarazem wyrażał związek, z pietyzmem pielęgowany, pomiędzy terażniejszością, jego własnym życiem, a tym, co już dawno minęło. Dźwięk ten działał na niego jakoś dziwnie — tak właśnie, jak to się odbijało na jego twarzy. Zdawało mu się, że wdycha zatechłe i chłodne powietrze, jakie znał z kościoła Sw. Katarzyny albo z krypty Sw. Michała, że czuje tchnienie miejsc, w których trzyma się kapelusz w rękę i stąpa na palcach jakimś szczególnym, pełnym trwożnej czci, podanym napród i kołyszącym się krokiem; zdawało mu się także, że słyszy wielką, poważną ciszę tych miejsc, w których czai się echo. Owa tajemnicza zgłoska budziła w nim prócz uczuć religijnych również przecucie śmierci i uchylała zasłony dziejów; wszystko to oddziaływało na chłopca jakoś dziwnie kojąco. Może właśnie po to, aby słyszeć ten dźwięk i powtarzać go z cicha za dziadkiem, prosił, by mu znowu pokazano chrzcielnicę.

Potem dziadek odstawiał baptysterium z powrotem na talerz, a malec zaglądał do jego głębokiego, złocistego wnętrza błyszczącego w padającym z góry świetle.

— Już niezdługo minie osiem lat od chwili — prawil senator — kiedyśmy cię nad tym naczyniem trzymali, a woda, którą cię chrzczono, ściekała tutaj... Zakrystian Lassen od Św. Jakuba lał ją do ręki naszemu kochanemu pastorowi Bugenhagenowi, a stamtąd poprzez twoją głowę spływała do tej czary. Woda była ogrzana, żebyś się nie przestraszył i żebyś nie płakał. Byłeś też bardzo grzeczny — bo przedtem krzychałeś i pastorowi Bugenhagenowi niełatwo było wygłosić przemówienie, ale kiedy tylko poczułeś wodę, uspokoiłeś się natychmiast — spodziewam się, że z szacunku dla świętego Sakramentu. A w tych dniach przypada czterdziesta czwarta rocznica chrztu twojego nieboszczyka ojca, i z jego głowy woda spływała do tego naczynia. Działo się to w tym samym domu, domu jego rodziców, w sąsiedniej sali pod środkowym oknem; obrzędu dokonywał

jeszcze stary pastor Hesekiel, ten sam, którego w młodości Francuzi chcieli rozstrzelać za kazania, jakie wygłaszał przeciwko ich rabunkom i grabieżom; od dawna jest on już w niebie. A przed siedemdziesięciu pięciu laty mnie samego chrzczono w tej sali, i moją głowę trzymano nad tą chrzcielnicą, którą tu widzisz na srebrnym talerzu, a pastor mówił te same słowa, co przy chrzcie twoim i twojego ojca, i mnie także letnia, czysta woda spływała po włosach (nie miałem ich wtedy wiele więcej na głowie niż teraz).

Chłopiec spojrział w górę na wąską, starczą głowę dziadka, która teraz znowu pochylała się nad chrzcielnicą, jak w tej minionej godzinie, o której mu opowiadał, i ovladnęło nim znajome uczucie, którego doświadczał już dawniej w podobnych okolicznościach — na pół marzycielskie, na pół niepokojące uczucie czegoś płynącego i zarazem stojącego, jakiegoś zmiennego trwania, które miało w sobie rytm i powrotu, i zawrotnej jednostajności; Hans Castorp lubił to uczucie, i po części w jego oczekiwaniu kazał sobie pokazywać ten przedmiot, przechodzący stale z ojca na syna.

Kiedy młodzieniec analizował później swe doznania, stwierdzał, że obraz dziadka wrył mu się w pamięć o wiele głębiej, wyraźniej i trwalej niż obraz rodziców. Było to prawdopodobnie skutkiem sympatii i szczególnego pokrewieństwa fizycznego, bo wnuk był bardzo podobny do dziadka, o ile różowy młokos w ogóle może być podobny do wyblakłego i sztywnego siedemdziesięcioletniego starca. Ale pochodziło to przede wszystkim stąd, że dziadek był bez wątpienia najbardziej charakterystyczną postacią, najwybitniejszą indywidualnością w rodzinie.

Jeśli rozważać sprawy z punktu widzenia społecznego, czas wyprzedził przekonania i upodobania Hansa Lorenza Castorpa na długo przed jego śmiercią. Był to człowiek surowych zasad chrześcijańskich, obrządku reformowanego. Nie lubił nowinek i wyznawał pogląd wybitnie arystokratyczny, że tylko szczupła klasa społeczna godna jest dzierżyć ster rządów — o tym był przekonany tak mocno, jak gdyby żył w czternastym stuleciu, kiedy rzemieślnicy zaczynali dopiero mimo gwałtownego sprze-

ciwu patrycjuszów zdobywać sobie miejsca w radach miejskich. Działalność jego przypadła na lata bujnego rozwoju i wielostronnych reform, lata zwycięskiego pochodu postępu, wymagającego od społeczeństwa ciągłych ofiar i wielkiej odwagi. Ale nie jego, nie starego Castorpa było to zasługą, jeżeli geniusz nowoczesny święcił wiadome wszystkim wspaniałe triumfy. Stokroć bardziej zależało mu na zachowaniu ojcowskich obyczajów i dawnych urzędzeń niż na ryzykownej rozbudowie portu i bezbożnych wielkomiejskich błazeństwach, toteż hamował i przeciwdziałał gdzie mógł i, gdyby się działo po jego myśli, dzisiaj jeszcze w administracji publicznej panowałaby taka sama starofrankońska idylliczność, jak swego czasu w jego własnym kantorze.

Tak się przedstawiał z punktu widzenia społecznego stary senator — za życia i potem. Mały Hans Castorp, patrzący na dziadka zamyślonymi oczami dziecka, nie rozumiał się jeszcze na sprawach ogólnych, ale i na nim robił dziadek podobne wrażenie, wrażenie niezupełnie uświadomione, raczej ogólne, bo nie umiał jeszcze krytykować ani formułować sądów. I później, we wspomnieniu, kiedy myślał o dziadku, miał przed sobą obraz czegoś mocnego, czegoś z jednej bryły i nie dającego się zanalizować. Jak już było powiedziane, odgrywała tu rolę sympatia, pokrewieństwo duchowe i wewnętrzna ibliskość, które, jak to się często zdarza, przeskakują jeden stopień pokrewieństwa krwi. Dzieci i wnuki przypatrują się, ażeby podziwiać, a podziwiają, aby się uczyć i kształcić w sobie to, co drzemie w nich jako odziedziczone cechy.

Senator Castorp był chudy i wysoki. Wiek pochylił mu plecy i kark, ale starał się przeciwdziałać temu skrzywieniu przez napinanie mięśni, wargi jego, nie podtrzymywane już przez zęby i spoczywające bezpośrednio na pustych dziąsłach (sztuczne szczęki zakładał tylko do jedzenia), z wyrazem godności wyginały się przy tym ku dołowi, a cała postawa nabierała surowej powagi i sztywności. Aby zapanować nad poczynającą się chwiejnością głowy, wpierał podbródek w wysoki kołnierz, co tak bardzo podobało się małemu Hansowi.

Senator Castorp chętnie zaglądał do swojej szylkretowej, po-

dłużnej, wykładanej złotem tabakiery i używał dlatego czerwonej chustki do nosa, której rożek zwieszał się zawsze z tylnej kieszeni surduta. Stanowiło to bez wątpienia defekt w jego wyglądzie — defekt nadający mu odrobinę komizmu, ale było zarazem licencją, na którą może sobie pozwolić starość — niestarannością albo świadomą, i przez to mającą w sobie coś jowialnego, albo nieświadomą, a więc wynikającą z poważnego nastawienia senatora, w każdym bądź razie jedyną, jaką dziecięco spostrzegawcze oko Hansa Castorpa zauważyło kiedykolwiek w wyglądzie dziadka. Siedmioletni chłopiec widział jednak staruszką nie w jego właściwej, zwykłej postawie, a i potem, we wspomnieniu, zjawiał się mu nie ten dziadek z codziennego życia. Dla niego senator wyglądał inaczej, o wiele piękniej i prawdziwiej niż w rzeczywistości — mianowicie tak, jak go ukazywał portret naturalnej wielkości, który dawniej wisiał w bawialni w domu jego rodziców, a potem powędrował razem z małym Hansem Castorpem na Esplanadę, gdzie prztrzymał miejsce w salonie nad wielką kanapą, krytą czerwonym jedwabiem.

Na portrecie tym wymalowany był Hans Lorenz Castorp w urzędowym stroju radnego miasta — owym poważnym, a nawet świątobliwym stroju z ubiegłego stulecia, w którym odbijał się majestat i jednocześnie zdobywcza odwaga mieszczaństwa? stroju tego używano jeszcze przy szczególnie uroczystych okazjach, aby przeszłość czynił teraźniejszością, a teraźniejszość przeszłością, aby świadczył wymownie o ich nieprzerwanym związku i o niewzruszonej pewności ich wzajemnej gwarancji. Senator Castorp sportretowany był w całej swej okazałości. Stał na podłodze, wyłożonej czerwonymi kamykami, na tle perspektywy kolumn i ostrołuków. Głowę miał z lekka pochyłą, usta ściągnięte w dół, niebieskie myślące oczy, podkrążone workami, patrzyły w dal; miał na sobie czarny, poza kolana sięgający surdut, krojem przypominający szatę duchowną, otwarty szeroko z przodu, bramowany futrem po brzegach. Spod szerokich, bufiastych, lamowanych wierzchnich rękawów wyglądały węższe rękawki ze zwyczajnego sukna, a koronkowe mankiety Przykrywały dłonie aż po palce. Cienkie starcze nogi obciągnie-

te były czarnymi jedwabnymi pończochami, a stopy tkwiły w bucikach ze srebnymi sprzączkami. Szyja otoczona była szeroką, nakrochmaloną, suto marszczoną kryzą w kształcie talerza, opadającą z przodu, a z boków podniesioną do góry; spod tej kryzy zwieszał się jeszcze na kamizelkę, również marszczony, batystowy żabot. Pod pachą senator trzymał staroświecki kapelusz z szerokim rondem, zwężający się ku górze.

Portret był piękny, wykonany przez nie byle jakiego artystę, utrzymany w najlepszym smaku i w stylu dawnych mistrzów, tak bardzo odpowiednim dla tematu, i wywoływał najróżniejsze hiszpańsko-flamandzko-późnośredniowieczne skojarzenia w patrzącym. Mały Hans Castorp często oglądał ten obraz, ma się rozumieć bez zrozumienia artystycznego, ale jednak z pewnym ogólniejszym nawet i wnikliwym zrozumieniem. Chociaż dziadek takiego, jakim był na płótnie, widział w rzeczywistości raz jeden tylko, i to bardzo przelotnie, przy okazji jakiegoś uroczystego wjazdu na ratusz, jednakże, jak już wspomnieliśmy, ten właśnie jego wygląd uważał za właściwy i istotny, a dziadek z życia codziennego był dla niego pewnego rodzaju dziadkiem tymczasowym, jakby zastępczym, i to niezbyt dobrze dostosowanym do okoliczności. Bo to, co w jego codziennej prezencji było odrębne i dziwaczne, polegało właśnie na niedoskonałym i może trochę niezgrabnym przystosowaniu, - to były pozostałości i aluzje do jego czystej i prawdziwej postaci. Tak na przykład jego „vatermórdery” i wysoko związany biały halsztuk były stanowczo staromodne; ale nie można tego było bynajmniej powiedzieć o owym godnym podziwu szczególnie toalety, do którego tamte były jedynie tymczasową aluzją — mianowicie o kryzie hiszpańskiej. Tak samo miała się rzecz z niezwykle fasonem jego cylindra, który nosił na ulicy i którego odpowiednikiem na wyższym stopniu rzeczywistości był kapelusz z portretu, filcowy kapelusz o szerokim rondzie; tak samo — z długim i fałdzistym surdudem, którego pierwowzorem i właściwą istotą była dla Hansa Castorpa owa szeroko futrem bramowana szata.

Tak więc Hans Castorp głęboko uznawał istotny i rzeczywisty

splendor dziadka, gdy nagle nastąpiła chwila pożegnania. Pośrodku sali, tej samej, w której tak często siedzieli przy stole naprzeciwko siebie, leżał Hans Lorenz Castorp w srebrnym obijanej trumnie, na katafalku otoczonym wieńcami. Chorował na zapalenie płuc, walczył długo i zawzięcie, chociaż, jak się zdawało, tylko dzięki zdolności przystosowywania się przebywał w tym życiu. Leżał teraz na swoim uroczystym łożu, nie wiadomo, czy jako zwycięzca, czy jako zwyciężony, w każdym bądź razie z zupełnie spokojną twarzą, ale wskutek stoczonych walki z mocno zmienionymi rysami i zaostrzonym nosem; dolna połowa ciała okryta była kapą, na której położono gałązkę palmową, głowa spoczywała wysoko na jedwabnych poduszkach, tak że podbródek z gracją tkwił w wycięciu śnieżnej kryzy. Dłonie do połowy przysłonięte były koronkowymi mankietami, a palce, które, z rozmysłem splecione w sposób naturalny, zdradzały jednak sztywność i martwość, trzymały krzyżyk z kości słoniowej — i wydawało się, że oczy senatora są wciąż spod opuszczonych powiek na ten krzyżyk skierowane.

Na początku tej ostatniej choroby Hans Castorp często widywał dziadka, ale pod koniec już go do niego nie dopuszczano. "Oszczędzono mu widoku zmagania się ze śmiercią, które zresztą najgorsze formy przybierało nocami: z tym, co się działo w pokoju chorego, stykał się tylko pośrednio, przez zaczerwienione oczy starego Fiete, przez przyjazdy i odjazdy doktorów i całą przygnębioną atmosferę domu. Wynik tego wszystkiego, jaki chłopcu ukazał się teraz w sali jadalnej, można było określić w ten sposób, że dziadek porzucił wreszcie swój byt tymczasowy i zastępczy i uroczyście powrócił do właściwej i jedynie godnej go postaci. Wynik ten był bezsprzecznie pomyślny, chociaż stary Fiete płakał i wciąż kiwał głową i chociaż płakał sam Hans Castorp, jak czynił to niegdyś na widok swojej niespodziewanie zmarłej matki, a również na widok ojca, którego wkrótce potem ujrzał również leżącego bez ruchu i jakby obcego.

Bo już po raz trzeci w ciągu krótkiego czasu i w tak dziecięcym wieku mały Hans duszą i zmysłami — szczególnie także

zmysłami — zetknął się ze śmiercią. Widok jej i wrażenie, które przeżywał, nie były dlań nowe, przeciwnie, był już do nich przyzwyczajony; w dwóch pierwszych wypadkach, chociaż ogarnięty zupełnie naturalnym smutkiem, zachowywał się spokojnie i poważnie, tak samo było i teraz, a nawet w wyższym jeszcze stopniu. Sam był wstrząśnięty i udzielał mu się smutek innych, więc raz po raz stawały mu łzy w oczach, ale pomijając ten zupełnie zrozumiały objaw, zachowywał, patrząc na trumny, pewien dziecięcy chłód, odwagę i rzeczowość; płynęły one bądź z nieuświadomienia sobie praktycznego znaczenia tych faktów dla jego życia, bądź też z dziecinnej obojętności, mającej swe źródło w pełnym zaufaniu, że — tak czy inaczej — świat przecie go nie opuści. A kiedy po raz trzeci stał przed trumną, dołączył się do tego jeszcze pewien specjalny odcień znawstwa, jako skutek wielokrotnego doświadczenia. Po upływie trzech czy czterech miesięcy od zgonu ojca zapomniał już o śmierci; teraz nagle stanęła znów przed nim i te same wrażenia, które przeżywał wtedy, wszystkie naraz znowu się zjawily, przejmujące do samego szpiku, w swej z niczym nie dającej się porównać odrębności.

Wrażenia te, poddane analizie i ujęte w słowa, przedstawiałyby się mniej więcej w ten sposób: śmierć miała właściwie dwie strony, jedną — religijną, pełną znaczenia i melancholijnie piękną, to znaczy duchowną, a zarazem drugą, wręcz przeciwną — bardzo cielesną, bardzo materialną, której nie można było nazwać ani piękną, ani pełną znaczenia, ani religijną. Strona duchowna znajdowała wyraz w uroczystym ustawieniu zwłok, w mnóstwie kwiatów i w liściach palmowych, oznaczających, jak to było wiadomo, spokój niebiański; a wyraźniej jeszcze w krzyżyku, włożonym w martwe palce dawnego dziadka, w błogosławiącym Zbawicielu Thorwaldsena, stojącym u wezglowia trumny, i w ustawionych po obu stronach kandelabrach, które przy tej okazji nabrały również jakiegoś kościelnego charakteru. Wszystko to stawało się jasne i słuszne na myśl, że dziadek powrócił już na zawsze do swojej właściwej i rzeczywistej postaci. Poza tym — mały Hans Castorp zauważył to, chociaż nie

potrafił tego wyrazić słowami — miało wszystko jeszcze jeden dalszy sens i trzeźwy cel, szczególnie kwiaty, a przede wszystkim licznie między nimi reprezentowane tuberozy. Miały one służyć do udekorowania owej drugiej strony śmierci, ani pięknej, ani właściwie smutnej, ale raczej prawie nieprzyzwoitej, przyziemnej i cielesnej, miały sprawić, że się o niej zapominało albo myśli o niej nie dopuszczano do świadomości.

Z tej to drugiej strony wynikało, że zmarły dziadek wydawał się tak obcy; właściwie nie przypominał wcale dziadka, ale lalkę woskową naturalnej wielkości, którą śmierć podsunęła zamiast niego i która była przedmiotem tych wszystkich religijnych i uroczystych poczynań. Ten, co tam leżał, albo słuszniej: to, co tam leżało, nie było już samym dziadkiem, tylko osłonką, która, jak wiedział Hans Castorp, nie była z wosku, ale z właściwej sobie materii; wyłącznie z materii; i to właśnie było nieprzyzwoite i nieco tylko smutne — nie więcej smutne, niż są nimi rzeczy związane z ciałem i jedynie z nim. Mały Hans Castorp przyglądał się woskowożółtej, gładkiej, serowatej materii, z której zrobiona była naturalnej wielkości figura zmarłego — twarz i ręce byłego dziadka. W tej chwili właśnie na nieruchomym czole usiadła mucha i zaczęła żywo poruszać ssawką. Stary Fiete spędził ją ostrożnie, starając się przy tym nie dotknąć czoła i robiąc minę poważną i mroczną, jak gdyby nie chciał i nie powinien nic wiedzieć o tym, co czyni, minę skromną i obyczajną, która najwidoczniej była w związku z faktem, że dziadek był już tylko ciałem i niczym więcej. Polatawszy w powietrzu, mucha usiadła na krótką chwilę znów na dłoni dziadka, w pobliżu krzyżyka z kości słoniowej. Obserwując to, Hans miał wrażenie, że wyraźniej niż kiedykolwiek czuje znajomy z dawniejszych czasów, delikatny, ale jakoś dziwnie trwałe zapach, przypominający mu, pomimo zawstydzenia, które przy tym odczuwał, pewnego kolegę szkolnego, dotkniętego przykrą właściwością i dlatego przez wszystkich unikanego; zapach ten miał być zagłuszony wonią tuberoz, ale nie udawało się to pomimo całej jej ostrości i intensywności.

Raz po raz przystawał przy zwłokach: albo sam ze starym

Fiete, albo z bratem swej babki Tienapplem, handlarzem wina, i obydwoma wujami, Jamesem i Piotrem, albo wreszcie z grupą odświętnie ubranych robotników portowych, którzy przyszli na chwilę do trumny, ażeby pożegnać się z byłym szefem firmy „Castorp i Syn”. Potem był pogrzeb. Pokój nappełnił się ludźmi, pastor Bugenhagen z kościoła Sw. Michała, ten sam, który chrzcił Hansa Castorpa, odziany w kryzę hiszpańską, miał mowę pogrzebową, a później rozmawiał bardzo serdecznie z małym Castorpem, jadąc za karawanem w pierwszej dorożce, za którą ciągnął się długi, długi sznur innych. A później skończył się i ten rozdział życia, i Hans Castorp zmienił zaraz potem dom i otoczenie; czynił to już po raz drugi w ciągu swojego krótkiego życia.

O POBYCIE U TIENAPPLÓW I O OBLICZU DUCHOWYM HANSA CASTORPA

Nie stracił na tym, bo dostał się do domu konsula Tienappla, swego urzędowego opiekuna, i nie zbywało mu tam na niczym ani pod względem osobistym, ani pod względem spraw majątkowych, o których nie miał jeszcze pojęcia. Konsul Tienappel bowiem, wuj nieboszczki matki Hansa, zarządzał schedą Castorpa, posprzedawał nieruchomości, zajął się również likwidacją firmy „Castorp i Syn, Import i Eksport”, i suma, jaką z tych operacji osiągnął, wynosiła około czterystu tysięcy marek. Majątek ten, własność Hansa Castorpa, ulokował konsul Tienappel w papierach pupilarnych i na początku każdego kwartału z przypadającego dochodu odliczał dla siebie dwa procent w charakterze prowizji, czemu bynajmniej nie stały na przeszkodzie jego uczucia rodzinne.

Dom Tienapplów położony był w głębi ogrodu przy ulicy Harvestehuder Weg, okna wychodziły na trawnik, na którym nie tolerowano najmniejszego nawet chwastu, dalej na miejskie plantacje róż i na rzekę. Co rano konsul udawał się pieszo, chociaż miał piękny powóz, do swojego biura na Starym Mieś-

cie, chciał bowiem zażywać trochę ruchu, jako że miewał od czasu do czasu uderzenia krwi do głowy; o godzinie piątej wracał również pieszo do domu, po czym wszyscy zasiadali do elegancko zastawionego stołu. Konsul był człowiekiem wielce poważnym, ubranym zawsze w najlepsze angielskie materiały; jego wodnistoniebieskie, wylupiające oczy patrzyły spod złotych okularów, nos miał ciemnoczerwony, siwą żeglarską brodę, a na pulchnym małym palcu lewej ręki nosił wielki, pięknie błyszczący brylant. Żona jego nie żyła już dawno. Miał dwóch synów, Piotra i Jamesa, z których pierwszy służył w marynarce i rzadko bywał w domu, a drugi pracował w firmie ojca i upatrzony był na przyszłego jej szefa. Gospodarstwem od wielu lat zajmowała się panna Schalleen, córka jubilera z Altony, z nakrochmalonymi mankiecikami, obejmującymi jej grube w kostce ręce. Jej to było zasługą, że na śniadanie i na kolację podawano zawsze w wielkiej ilości zimne mięsa, kraby i łososie, węgorki, gęsinę i tomato catsup * do rostbefu; baczne swe oko zwracała na słujących podczas proszonych obiadów i ona też w miarę swych możliwości zastępowała matkę Hansowi Castorpowi.

Hans Castorp wzrastał przy paskudnej pogodzie, w wietrze i we mgle, wzrastał w żółtym płaszczu gumowym, jeżeli się wolno tak wyrazić, i na ogół czuł się z tym dobrze. Co prawda, od samego początku był trochę anemiczny; stwierdził to również doktor Heidekind i kazał mu co dzień na trzecie śniadanie po szkole dawać dużą szlankę portera, napoju, jak wiadomo, odżywczego, któremu doktor Heidekind przypisywał krwiotwórcze własności; w każdym bądź razie trunk ten mile oddziaływał na umysł chłopca i sprzyjał jego skłonności do „zagapiania się”, jak to nazywał wuj Tienappel; Hans Castorp zwykł był mianowicie, z ustami na wpół otwartymi i nie trzymając się żadnego określonego wątku, zamyślać się o niebieskich migdałach. Poza tym jednak był zdrowy i do rzeczy, nieźle grał w tenisa i wiosłował, chociaż wolał, zamiast naprężyć mięśnie, siadywać w letnie wieczory na tarasie przystani u Uhlenhorsta, przy muzyce i jakimś dobrym napoju, i spoglądać na oświetlone łodzie i na łabędzie, sunące pomiędzy nimi po lśniącej różnymi kolorami

wodzie. A kiedy mówił, z umiarem i rozsądnie, trochę bezdźwięcznie i monotonicznie, z lekkim odcieniem narzecza dolnoniemieckiego, nawet kiedy się nań tylko patrzyło, na poprawność jego jasnego typu, na dobrze zarysowany, troszeczkę jakby staroświecki kształt głowy i na wyraz suchej ospałości, która była u niego odpowiednikiem odziedziczonej i nieuświadomionej dumy — nikt nie mógł wątpić, że ten Hans Castorp jest rzetelnym i niefałszowanym wytworem tutejszej gleby i że jest tu idealnie na swoim miejscu: on sam nie wątpiłby o tym ani na chwilę, gdyby sobie zadał takie pytanie.

Atmosfera wielkiego miasta portowego, ta wilgotna atmosfera wszechświatowego handlu i dostatniego życia, która była właściwym żywiołem jego ojców, i dla niego była czymś zupełnie normalnym, co przyjmował bez zastrzeżeń i w czym czuł się dobrze. Wdychając zmieszane wyziewy wody, węgla i smoły, ostre zapachy nagromadzonych towarów kolonialnych, widział wzdłuż portowego wybrzeża olbrzymie parowe dźwigi obrotowe, które naśladowały spokój, rozum i potężną siłę tresowanych słońi, z brzuchów nieruchomych okrętów przenosząc do wagonów i składów całe tony worów, pak, skrzyń, beczek i balonów. Widział kupców, ubranych, jak i on sam, w żółte płaszcze gumowe, tłumnie śpieszących w południe na giełdę, gdzie, jak słyszał, gra bywała ostra i gdzie łatwo mogło się zdarzyć, że ktoś jął pośpiesznie rozsyłać zaproszenia na uroczysty obiad, aby w ten sposób przedłużyć swój kredyt. Widział (i w tę stronę zwróciło się później jego specjalne zainteresowanie) ruch i wir pracy w dokach, widział mamutowe cielska zadokowanych okrętów, przybyłych z Azji i Afryki; wypiętrzone wysoko, ukazujące spód i śruby, spoczywały na grubych jak pień drągach, potwornie bezradne na lądzie, pokryte karłowatą armią szorujących, bijących młotami i tynkujących robotników, widział, jak na pokrytej dachem stoczni zza dymu i mgły wynurzają się szkielety powstających okrętów i jak inżynierowie, zbrojni w plany i tablice do pomiarów zanurzenia, udzielają wskazówek rzemieślnikom. To były widoki, do których Hans Castorp przywykł od najwcześniejszej młodości i które budziły w nim miłe

uczucie własnej przynależności; uczucie to dochodziło do szczytu, kiedy na przykład w niedzielę przed południem siedział z Jamesem Tienapplem albo ze swym kuzynem Ziemssenem — Joachimem Ziemssenem — w restauracji nad rzeką Alster, jadł ciepłe grzanki z wędliną, pił stare porto i, rozparty wygodnie w krześle, z lubością puszczał dym z cygara. Bo w tym właśnie był najbardziej sobą, że lubił żyć wygodnie, a nawet, pomimo swego anemicznego i wydelikaczonego wyglądu, był mocno i z całej duszy przywiązany do prostych rozkoszy życiowych, jak łakome niemowlę do piersi matczynej.

Swobodnie i nie bez godności dźwigał na barkach ciężar wysokiej cywilizacji, którą panująca klasa uprawiającej handel demokracji miejskiej przekazywała swym dzieciom. Był zawsze czysto wymyty jak niemowlę i ubierał się u krawca, który zdobył sobie zaufanie młodzieży z jego sfery. Niezbyt bogatym, starannie poznaczonym zapasem jego bielizny, ukrytym w angielskiej szafie, opiekowała się troskliwie panna Schalleen; nawet wtedy, kiedy Hans Castorp wyjechał na studia, przysyłał regularnie bieliznę do domu do prania i reperacji (bo jego maksymą było, że poza Hamburgiem w całym państwie nie umieją prasować), a zmarszczka na mankiecie eleganckiej kolorowej koszuli wywołałaby w nim głębokie niezadowolenie. Ręce jego, chociaż nie specjalnie arystokratycznego kształtu, lecz wypięłgnowane i gładkie, były ozdobione łańcuszkowym pierścieniem z platyny i sygnetem odziedziczonym po dziadku, a zęby, trochę za miękkie i w wielu miejscach uszkodzone, uzupełnione złotem.

Stojąc i chodząc, wysuwał brzuch nieco naprzód, co nie nadawało jego postawie dzielności; ale przy stole trzymał się doskonale. Siedział wyprostowany, grzecznie zwrócony do sąsiada, z którym rozmawiał (rozsądnie i nie bez naleciałości dolnoniemieckich); łokcie miał z lekka oparte, podczas gdy tranżerował kawałek drobiu albo przeznaczonymi do tego celu narzędziami zręcznie wyciągał różowe mięso z kleszczów homara. Jego pierwszą potrzebą po jedzeniu była miseczka z perfumowaną wodą do opłukania palców, a drugą nie ocłony rosyjski papie-

TOS, który dochodził do jego rąk pokątnie, drogą niewinnej kontrabandy. Potem następowało nadzwyczajnie smaczne bremeńskie cygaro marki „Maria Mancini”, o którym będzie jeszcze mowa i którego esencjonalna trucizna tak dobrze dopełniała treści czarnej kawy. Hans Castorp chronił swoje zapasy tytoniu od szkodliwego wpływu centralnego ogrzewania, przechowując je w piwnicy, dokąd co rano schodził, żeby napełnić cygarnicę ilością wystarczającą na dzień. Niechętnie jadłby masło podane na stół w kawałku, a nie w postaci karbowanych kuleczek.

Jak widać, pragniemy opowiedzieć wszystko, co może mu zjednać przychylność, ale osądzamy go bez żadnej przesady i nie przedstawiamy go ani lepszym, ani gorszym, niż był w rzeczywistości. Hans Castorp nie był ani geniuszem, ani głupcem, a jeżeli dla jego określenia unikamy słowa „przeciętny”, to czynimy to z przyczyn, które nic nie mają wspólnego z jego inteligencją i niewiele chyba z jego skromną osobą w ogóle, ale z szacunku dla jego losu, któremu skłonni jesteśmy przypisać pewne ponadosobowe znaczenie. Zdolności jego mogły sprostać wymaganiom gimnazjum realnego — bez zbytecznego wysiłku, do którego zresztą nie dałby się nakłonić w żadnym razie i w imię niczego: nie tyle z obawy przed zaszkodzeniem sobie, ile dlatego, że absolutnie nie widział do tego żadnego powodu, albo, powiedziawszy wyraźniej: **ż a d n e g o a b s o l u t n e g o** powodu; i może właśnie dlatego nie chcemy go nazwać przeciętnym, że w pewien sposób odczuwał brak takich powodów.

Człowiek nie żyje wyłącznie swoim życiem osobistym, jako jednostka, ale świadomie lub nieświadomie, również życiem swojej epoki i swojego pokolenia. A gdyby nawet i nieosobiste ogólne podstawy swej egzystencji uważał za bezpośrednio dane i oczywiste i gdyby nawet był tak daleki od ich krytykowania, jak był nim poczciwy Hans Castorp, to jednak jest rzeczą zupełnie możliwą, by w sposób niejasny odczuwał szkodliwy wpływ ich braków na swoje zdrowie moralne. Poszczególni ludzie mogą mieć swoje subiektywne cele, dążenia, nadzieje i widoki, z których czerpią impuls do intensywnych wysiłków i działalności.

Jeżeli jednak otaczający ich świat obiektywny, jeżeli epoka, w której żyją, pomimo zewnętrznego rozpędu nie daje w gruncie rzeczy żadnych widoków ani nadziei; jeżeli pozwala im dostrzec, że jest bezradna, beznadziejna i pozbawiona widoków na przyszłość; jeżeli wreszcie tępym milczeniem odpowiada na świadome lub nieświadome pytanie, jaki ostateczny, ponadsobow, absolutny sens mają wszystkie wysiłki i wszelka działalność — to właśnie u ludzi prawych taki stan rzeczy wywołuje prawie zawsze skutek poniekąd paralizujący, który poprzez sferę intelektualną i etyczną może objąć też fizyczną, organiczną stronę jednostki. Ażeby mimo to, że epoka i otoczenie nie dają zadowalającej odpowiedzi na pytanie: po co? mieć chęć dokonania dzieła wielkiego, przerastającego miarę bezpośrednich nakazów — na to trzeba albo być wybitną i niezależną indywidualnością etyczną, co zdarza się rzadko i wymaga podłoża bohaterskiego, albo być obdarzonym potężną żywotnością. Ani jedno, ani drugie nie było udziałem Hansa Castorpa; tak więc był on chyba jednak przeciętny, choć w dodatnim i nie przynoszącym mu ujmy znaczeniu.

Mówiliśmy tu nie tylko o wewnętrznej postawie naszego młodzieńca w okresie jego pobytu w szkole, ale i o latach późniejszych, kiedy już wybrał sobie zawód. Co się tyczy szkoły, to musiał nawet czasem powtarzać tę czy ową klasę. Ale jakoś przepychał się naprzód, a pomagało mu w tym jego pochodzenie, jego wytworne obyczaje, a wreszcie wcale duże zdolności do matematyki, z którymi jednak nie łączyła się żadna namiętność. Kiedy już otrzymał świadectwo, uprawniające go do odbycia jednorocznej służby wojskowej, postanowił ukończyć jednak szkołę, prawdę powiedziawszy głównie dlatego, że w ten sposób przedłużał stan tymczasowości i braku decyzji i zyskiwał czas dla zastanowienia się nad pytaniem, czym by najbardziej chciał zostać. Hans Castorp nie miał o tym żadnego pojęcia, nie wiedział tego nawet w najwyższej klasie, a kiedy wreszcie decyzja zapadła (twierdzić, że to on sam się zdecydował, byłoby może już za wiele), czuł dobrze, że mogłaby była doskonale wypaść zupełnie inaczej.

Trzeba jednakże przyznać, że okręty zawsze bardzo go interesowały. Już jako mały chłopiec pokrywał kartki swoich notesów rysunkami kutrów rybackich, jedno- i wielomaszowców. Raz, gdy miał lat piętnaście, pozwolono mu przyglądać się z zarezerwowanego miejsca, jak w firmie „Blohm & Voss” spuszcza-
no na wodę nowy dwuśrubowy parowiec pocztowy „Hansa”;
namalował potem wodnymi farbami nowy wysmukły okręt
z najdrobniejszymi szczegółami, a podobieństwo było tak
uchwycone, że konsul Tienappel powiesił ten ładny obrazek
w swoim prywatnym gabinecie; szklista zieleń falującego prze-
żrocza morskiego oddana była tak zręcznie i z takim wdziękiem,
że ktoś dopatrzył się w tym nawet talentu i powiedział konsu-
lowi, iż chłopiec może wyrosnąć na doskonałego marynistę.
Konsul Tienappel mógł spokojnie o tej pochwie opowiedzieć
swojemu wychowankowi, bo Hans Castorp uśmiechnął się tylko
dobrodusznie i ani na chwilę nie zastanowił się nad możliwością
podobnego wybryku i związanego z nim przymierania głodem.

— Wiele nie posiadasz — mawiał mu nieraz wuj Tienappel. —
Majątek mój odziedziczą kiedyś James i Piotr, to znaczy pie-
niądze zostaną w przedsiębiorstwie, a Piotr będzie pobierał ren-
tę. Twoja scheda jest dobrze umieszczona i przynosi ci pewny
dochód. Ale żyć z procentów dzisiaj niełatwo, jeżeli nie ma
się przynajmniej pięć razy tyle co ty, a jeżeli chcesz coś zna-
czyć w tym mieście i żyć tak, jak jesteś przyzwyczajony, mu-
sisz porządnie dorabiać, pamiętaj o tym, syneczku.

Hans Castorp pamiętał o tym i rozglądał się za jakimś fachem,
którego ani przed sobą, ani przed ludźmi nie musiałby się wsty-
dzić. Wreszcie wybrał sobie przyszłe zajęcie, a stało się to za
namową starego Wilmsa z firmy „Tunder & Wilms”, który ode-
zwał się raz przy wście do konsula Tienappla, że Hans Castorp
powinien studiować budowę okrętów, że to jest myśl wyśmien-
nita, bo weźmie go potem do siebie i będzie już miał oko na
chłopca. Hans Castorp z dumą myślał o czekającym go zawo-
dzie i był zdania, że chociaż wściekle skomplikowany i wyczer-
pujący, jest to jednak doskonały, ważny i wspaniały zawód,
a dla jego spokojnego usposobienia w każdym razie o wiele

odpowiedniejszy niż zawód jego kuzyna Ziemssena, syna przyrodniej siostry jego zmarłej matki, który koniecznie chciał zostać oficerem. Joachim Ziemssen miał przy tym niezupełnie zdrowe płuca, ale właśnie dlatego najlepsze było dla niego — myślał nie bez lekceważenia Hans Castorp — zajęcie związane z przebywaniem na powietrzu, nie wymagające, w gruncie rzeczy, nużącej pracy umysłowej. Dla pracy bowiem miał Hans Castorp najwyższy szacunek, chociaż jego osobiście praca trochę męczyła.

Wracamy tutaj do naszej poprzedniej uwagi, do przypuszczenia, że ujemny wpływ, jaki duch czasu wywiera na osobiste życie człowieka, może rozciągnąć się na jego stronę fizyczną. Jakżeż mógłby Hans Castorp nie szanować pracy? Byłoby to czymś zupełnie nienaturalnym. Tak jak się rzeczy miały, praca musiała wydawać mu się czymś bezwzględnie najbardziej godnym szacunku; właściwie nic poza nią nie zasługiwało na szacunek, ona była kierującą zasadą i naczelnym probierzem, absolutną wartością epoki, wartością samą w sobie. Szacunek jego dla pracy miał więc odcień religijny i nie ulegał, jak mu się zdawało, żadnym wątpliwościom. Ale zupełnie innym pytaniem było, czy lubił pracę; bez względu na cały szacunek, nie był do tego zdolny, a to z tego prostego powodu, że mu szkodziła. Wytężona praca denerwowała go i prędko nużyła; przyznawał się też zupełnie otwarcie, że właściwie woli wolny czas, niczym nie zapełniony, nie obciążony pudowym ciężarem wysiłku, otwarty i rozległy, nie posiekany na części przeszkodami, które ze zgrzytaniem zębów trzeba pokonywać. Ta sprzeczność w jego stosunku do pracy wymaga właściwie rozwiązania. Płynęła ona stąd może, że zarówno jego umysł, jak i ciało (przede wszystkim umysł, a pośrednio ciało) byłyby bardziej skłonne do pracy i większą w niej znajdowały radość, gdyby na dnie swojej duszy, tam gdzie już się niezupełnie dobrze orientował, umiał wierzyć w pracę jako w wartość bezwzględną i samą w sobie i uzyskać w ten sposób spokój wewnętrzny. I tutaj znowu wyłania się pytanie co do jego przeciętności czy ponadprzeciętności, ale nie chcemy go rozstrzygać. Bo nie mamy zamiaru wychwalać

tu Hansa Castorpa i pozwalamy przypuszczać, że praca stanowiła w jego życiu po prostu pewną przeszkodę w beztróskim paleniu cygar marki „Maria Mancini”.

Powołania do służby wojskowej zdołał w swoim czasie uniknąć. Cała jego istota była jej przeciwna i potrafiła zapobiec powołaniu. A może też dr Eberding, lekarz sztabowy, który bywał przy Harvestehuder Weg, dowiedział się kiedyś w rozmowie od konsula Tienappla, że nałożenie zbroi stanowiłoby dla młodego Castorpa przykrą przerwę w studiach, które dopiero co rozpoczął poza rodzinnym miastem.

Jego mózg, pracujący powoli i z umiarem, jako że Hans Castorp i w nowym otoczeniu zachował uspokajający zwyczaj używania do śniadania porteru, wypełnił się geometrią analityczną, rachunkiem różniczkowym, mechaniką, geometrią wykreślną, grafostatyką, i chociaż czasami miał już tego po uszy, obliczał odchylenia z obciążeniem i bez-obciążenia, stałość równowagi, przesuwanie ładunku i metacentrum. Jego rysunki techniczne, te wszystkie szkice szpag, poziomu zanurzenia i przekroje podłużne, nie były równie udane jak ów obrazek przedstawiający „Hansę” na pełnym morzu, ale gdy chodziło o unaczynienie tworów abstrakcji, o cieniowanie tuszem i przedstawienie przekrojów poprzecznych za (pomocą żywych, naturalnych barw — Hans Castorp prześcigał większość swoich kolegów.

Kiedy podczas wakacji przyjeżdżał do domu, bardzo elegancki i świetnie ubrany, z krótkim rudoblond wąsikiem, ożywiającym jego senny, patrycjuszowski wyraz twarzy, i niewątpliwie w przededniu świetnej kariery życiowej, wtedy współobywatele, którzy zajmowali się sprawami komunalnymi i byli dobrze poinformowani o stosunkach rodzinnych i osobistych (a w wolnych miastach posiadających autonomię większość mieszkańców orientuje się w tych kwestiach), przyglądali mu się uważnie i zadawali sobie pytanie, jaką też rolę odegra kiedyś młody Castorp w życiu publicznym. Miał przecie za sobą tradycje, nazwisko jego było stare i dobre, wiadano, że niechybnie nadejdzie taki dzień, kiedy z jego osobą trzeba będzie się liczyć jako z czynnikiem politycznym. Będzie wtedy zasiadał w radzie

lub w jej zarządzie, będzie wydawał ustawy, będzie, obleczony w jakąś honorową godność, brał udział w troskach związanych z suwerennością miasta, będzie członkiem jakiegoś wydziału administracyjnego, może delegacji finansowej, a może komisji budowlanej, ludzie będą go słuchali i liczyli się z jego zdaniem. Można się było zastanawiać, do jakiej partii przyłączy się ten młody Castorp. Pozory mogły mylić, ale prawdę mówiąc, wyglądał całkiem tak, jak nie wygląda nikt, na kogo mogą liczyć demokraci, i podobieństwo do dziadka było niezaprzeczalne. Może będzie się na nim wzorował, może będzie elementem konserwatywnym, hamującym? Było to zupełnie możliwe, ale równie dobrze mogło stać się wręcz przeciwnie, bo przecie był inżynierem, przyszłym budowniczym okrętów, człowiekiem związanym z zagadnieniami techniki i światowej komunikacji. Więc może się zdarzyć, że Hans Castorp przyłączy się do radykałów, że będzie bezwzględnie zrównywał z ziemią stare budowle i niszczył romantyczne piękno krajobrazu, pozbawiony wszelkiego pietyzmu, jak Amerykanin; może będzie wolał raż na zawsze zerwać z szacownymi tradycjami niż dbać o powolny rozwój naturalnych warunków życiowych, może będzie skłonny do narażania państwa na ryzykowne eksperymenty — tak, to też było możliwe. Czy będzie miał we krwi poszanowanie dla przedstawicieli Jego Mości Rozsądku, przed którymi podwójna straż u wejścia do ratusza prezentuje broń, czy też raczej zbliży się do opozycyjnego odłamu obywatelstwa? Z jego niebieskich oczu pod rudawoblond brwiami nie można było wyczytać żadnej odpowiedzi na te pytania, budzące ciekawość współobywateli, a i on sam, Hans Castorp, ta niezapisana karta, nie umiałby ich rozstrzygnąć.

Kiedy puścił się w podróż, podczas której poznaliśmy go, miał rok dwudziesty trzeci. Miał już poza sobą cztery półrocza studiów na politechnice gdańskiej i cztery następne, które spędził w wyższych szkołach politechnicznych w Brunświku i Karlsruhe, a niedawno zdał pierwszy z egzaminów ostatecznych, nie nadzwyczajnie i bez tuszu orkiestry, ale z zupełnie przyzwoitym rezultatem. Teraz miał zamiar wstąpić na praktykę do

firmy „Tunder & Wilms”, jako inżynier-wolontariusz, aby w stoczni zdobyć wiedzę praktyczną. W tym miejscu w życiu Hansa Castorpa dokonał się zwrot następujący.

Do egzaminu uczył się intensywnie i wytrwale, więc kiedy wrócił do domu, wyglądał gorzej, niż przystało jego typowi. Doktor Heidekind robił mu wyrzuty, ilekroć go spotykał, i zalecał mu zmianę klimatu, ale gruntowną. Tym razem Norderney ani Wyk na wyspie Fóhr nie mogą wystarczyć, a jeżeli go się już radzą, to jego zdaniem Hans Castorp przed rozpoczęciem pracy w warsztatach powinien na kilka tygodni pojechać w góry.

Konsul Tienappel nie miał nic przeciwko temu, powiedział tylko siostrzeńcowi, że drogi ich tego lata muszą się rozejść, ponieważ on nawet czterema końmi nie da się wciągnąć tak wysoko; jego organizm nie znosi gór, wymaga przyzwoitego ciśnienia. Więc niech Hans Castorp będzie łaskaw sam jechać. I niech odwiedzi przy tym Joachima Ziemssena.

Propozycja ta była zupełnie na miejscu. Joachim Ziemssen był mianowicie chory, nie tak jak Hans Castorp, tylko naprawdę, i to bardzo poważnie; stan jego zdrowia budził nawet wielkie obawy. Zawsze miał skłonność do katarów i gorączki, a kiedy pewnego dnia pokazała się krew w płwocinie, musiał na łeb, na szyję jechać do Davos, ku swojemu wielkiemu zmartwieniu, bo właśnie był u celu swych dążeń. Przez kilka semestrów, zgodnie z wolą rodziny, studiował prawo, ale potem nie mógł już dłużej opierać się swoim najgorętszym pragnieniom; rzucił uniwersytet i wstąpił do szkoły podchorążych. A teraz od przeszło pięciu miesięcy siedział w Międzynarodowym Sanatorium „Berghof” (lekarz naczelny: radca dworu doktor Behrens) i nudził się śmiertelnie, jak donosił w kartkach pocztowych. Jeżeli więc Hans Castorp przed wstąpieniem do firmy „Tunder & Wilms” chciał już zrobić coś niecoś dla swego zdrowia, to było najrozsądniej, żeby również pojechał do Davos i pobyl trochę ze swym biednym kuzynem. Dla obu stron było to najlepiej.

Lato dobiegało już zenitu, kiedy Hans Castorp zdecydował się w ostatnich dniach lipca na tę podróż.

Pojechał na trzy tygodnie.

GODNE ZASEPIENIE SIĘ

Hans Castorp bał się, że się obudzi za późno, bo był przecież tak straszliwie zmęczony. Wstał jednak wcześniej, niż było potrzeba[^] i miał dosyć czasu, aby spokojnie i dokładnie wykonać swoje poranne zabiegi toaletowe, zabiegi niezmiernie kulturalne, w których odgrywały główną rolę gumowa wanienska, zielone mydło lawendowe w drewnianej miseczce i pędzel do golenia. Myjąc się i ubierając rozpakowywał jednocześnie i porządkował swoje rzeczy. Kiedy przesuwał srebrzoną brzytwę po policzkach, okrytych pachnącą pianą mydlaną, przypomniawsobie swoje pogmatwane sny i, uśmiechając się z politowaniem, z uczuciem wyższości człowieka, który goli się w dziennym świetle rozsądku, potrząsał głową nad tym stekiem nonsensów. Nie czuł się zanadto wypoczęty, ale ranek nappełniał go jednak świeżością.

Wycierając sobie ręce ręcznikiem, z upudrowanymi policzkami, w fildekosowych kalesonach i czerwonych safianowych pantoflach wyszedł na balkon, który przebiegał wzdłuż całej ściany domu; ścianki z matowego szkła, nie dochodzące do samej bariery, dzieliły go na szereg odcinków, z których każdy należał do innego pokoju. Ranek był chłodny i chmurny. Długie łąwice mgły leżały nieruchomo z obu stron przed górami, a dalej leżące szczyty pokrywała skłębiona masa białych i szarych chmur. Tu i ówdzie wyglądały plamy lub pasma błękitnego nieba, a w promieniach przedzierającego się słońca domy położone w dolinie połyskiwały bielą na tle ciemnych lasów świerkowych, porastających zbocza. Skądś dolatywały dźwięki porań-

nej muzyki, prawdopodobnie z tego samego hotelu, w którym i wczoraj wieczór odbywał się koncert. Po przytłumionych akordach chorału nastąpiła pauza, po czym zagrano marsza i Hans Castorp, który bardzo lubił muzykę, bo działała na niego podobnie jak porter do śniadania: uspokajała go, oszołamiała i skłaniała do zagapiania się — słuchał zadowolony, z głową pochyloną na bok, z otwartymi ustami i trochę zaczerwienionymi oczami.

W dole wiła się serpentyna drogi, którą wczoraj jechał do sanatorium. W wilgotnej trawie zbocza kwitły gwiazdziste genjany na krótkich łodygach. Część terenu, zamieniona w ogród, była otoczona parkanem; widać było ścieżki wysypane żwirem, klomby kwiatów i sztuczną grootę u stóp okazałej jodły. Wielka, blachą kryta weranda, na której stały leżaki, otwierała się na południe, a obok niej sterczał brązowo pomalowany słup, z którego zwisała niekiedy chorągiew — fantazyjna chorągiew zielona i biała, z łaską Eskulapa, emblematem medycyny, pośrodku.

Po ogrodzie spacerowała jakaś starsza pani o wyglądzie ponurym, a nawet tragicznym. Była ubrana całkiem czarno, czarne szpakowate włosy owinięte miała czarnym woalem i bezustannie przemierzała równym i szybkim krokiem ścieżki, zginając przy tym kolana i sztywnie zwieszając ku dołowi ręce. Spod czoła, poprzecinanego poprzecznymi bruzdami, nieruchomo patrzyły czarne jak węgiel oczy, pod którymi zwisały worki pomarszczonej skóry. Jej starzejąca się, blada twarz, o typie południowym, z dużymi, zgorzkniałymi ustami, których jeden kąt opuszczony był w dół, przypomniła Hansowi Castorpowi widzianą gdzieś podobiznę pewnej sławnej tragiczki; widok tej czarnej i bladej kobiety, która, zapewne bezwiednie, stawiała swe długie, stroskane kroki w takt dolatującego marsza, był zaiste niesamowity.

Hans Castorp spoglądał na nią z zadumą i współczuciem; miał wrażenie, że smutek tej postaci rzuca cień na poranne słońce. Równocześnie jednak doszło do jego świadomości coś innego, coś wyraźnie dosłyszalnego, jakieś odgłosy pochodzące z sąsiedniego pokoju po lewej stronie, zajmowanego, jak mu

\

1

/

'

*

i

1

1

m

jfi

Em

■

powiedział Joachim, przez rosyjskie małżeństwo. Odgłosy te stanowiły również kontrast z wesołym, świeżym porankiem i sprawiały wrażenie czegoś lepkiego i brudnego. Hans Castorp przypomniał sobie, że je słyszał już wczoraj wieczorem, ale wskutek zmęczenia nie zwrócił na nie uwagi. Było to jakby zmaganie się, chichotanie i sapanie, i nieprzyzwoite znaczenie tych dźwięków nie mogło długo pozostawać dla niego niejasne, chociaż z początku, z wrodzonej dobroduszości, starał się wytłumaczyć je sobie niewinnie. Można by dobroduszości dać jeszcze inne miano, można by ją na przykład nieco banalnie nazwać wewnętrzną czystością albo, poważnie i pięknie: wstydlivością, albo, niepocholebnie: niechęcią do prawdy i świętoszkowatością, albo nawet pewnego rodzaju mistycznym lękiem i religijnością. W reakcji Hansa Castorpa na te odgłosy było po trosze coś z tego wszystkiego, a fizjonomicznym jej wyrazem było godne zasepienie się jego oblicza, jak gdyby nie powinien był i nie chciał nic wiedzieć o tym, co słyszał — mina wielce obyczajna, która nie była zupełnie oryginalna, którą jednak przybierał zwykle w pewnych okolicznościach.

Z taką więc miną cofnął się do pokoju, żeby nie podsłuchiwać dłużej czynności, które, chociaż towarzyszyły im chichoty, wydawały mu się poważne, a nawet wstrząsające. Ale w pokoju było słycać jeszcze wyraźniej, co się działo za ścianą. Było to jakby uganianie się dokoła mebli, przewróciło się jakieś krzesło, potem ktoś kogoś schwycił, rozległo się klepanie i pocałunki, a do tego wszystkiego dołączyły się teraz dźwięki walca, ograne melodie znanego szlagiera, i stworzyły muzyczne tło dla niewidocznej sceny. Hans Castorp stał w miejscu, z ręcznikiem w rękę, i słuchał wbrew swej woli. Nagle zaczerwienił się pod warstwą pudru, bo nastąpiło to, czego oczekiwał, i zabawa z całą pewnością przeszła w akt zwierzęcy. Psiakrew, do diabła! — pomyślał* i odwrócił się, aby umyślnie hałaśliwie dokończyć swej toalety. No, to mąż i żona, na szczęście, pod tym względem wszystko jest w porządku. Ale w jasny dzień, to trochę za wiele- i zdaje mi się, że wczoraj wieczorem także nie zachowywali się spokojnie. Przecie skoro są tutaj, muszą być chorzy, w każ-

dym razie jedno z nich, więc powinni by się trochę szanować. Ale najgorsze z tego wszystkiego, myślał ze złością, jest to, że ściany są takie cienkie i że wszystko tak dokładnie słychać. Tego nie będzie przecież można wytrzymać! Oszczędny sposób budowania, haniebnie oszczędny! Czy też zetknę się z tymi ludźmi lub nawet będę im przedstawiony? To byłoby w najwyższym stopniu nieprzyjemne. W tej chwili Hans Castorp zdziwił się, zauważył bowiem, że zaczerwienienie jego policzków, które wystąpiło po goleniu, nie znika — zaczerwienienie czy też tylko towarzyszące mu uczucie palenia twarzy; były to takie same wypieki jak te, które mu dokuczały już wczoraj wieczorem; opuściły go tylko chwilowo na czas snu i przy tej sposobności znowu się pojawiły. To go bynajmniej nie nastroiło bardziej przyjaźnie względem rosyjskich sąsiadów; wydawszy wargi rzucił w ich stronę jakieś brzydkie wyzwisko, po czym popełnił poważny błąd, bo próbował zimną wodą chłodzić sobie twarz, co jeszcze pogorszyło jego przykry stan. Dlatego też odpowiedział głosem zdradzającym rozdrażnienie Joachimowi, który go zawołał pukając przy tym w ścianę, a kiedy kuzyn wszedł do jego pokoju, Hans Castorp niezupełnie wyglądał na człowieka tchnącego poranną świeżością.

ŚNIADANIE

— Dzień dobry — powiedział Joachim. — To więc była twoja pierwsza noc tutaj w górze. Czy jesteś zadowolony?

Joachim był gotów do zejścia, ubrany po sportowemu, w grubych, mocnych butach, a przez ramię przewieszona miał angielskie palto, w którego kieszeni zarysowywała się wyraźnie płaska flaszeczka. Również i dzisiaj był bez kapelusza.

— Dziękuję — odrzekł Hans Castorp — jako tako. Nie chcę przesądzać sprawy, ale miałem trochę przykre sny, a poza tym dom ma tę wadę, że jest zanadto akustyczny, to trochę przeszkadza. Kto to jest ta czarna dama tam w ogrodzie?

Joachim domyślił się natychmiast, o kogo chodzi.

— A, to jest Tous-les-deux * — odpowiedział. — Tak ją tu wszyscy nazywamy, bo tylko te słowa można od niej usłyszeć. Jest Meksykanką, nie umie ani słowa po niemiecku, a po francusku także prawie nic. Jest tu od pięciu tygodni u swego starszego syna, beznadziejnie chorego, który już wkrótce skończy; ma to już wszędzie; można powiedzieć, że jest na wskroś zatruty, a Behrens mówi, że to przy końcu wygląda prawie tak jak tyfus, w każdym razie dla otoczenia zupełnie niezdolnie. Przed dwoma tygodniami przyjechał tu drugi syn, bo chciał jeszcze zobaczyć się z bratem — prześliczny chłopak, jak i tamten zresztą — obaj są prześlichni, mają tak ogniste spojrzenie, że kobiety szalały za nimi. Otóż ten młodszy kaszlał trochę już na dole, ale poza tym był zupełnie zdrowy. I wyobraź sobie, zaledwie się tutaj znalazł, dostał gorączki, i to od razu 39,5, najwyższa gorączka, rozumiesz — położył się do łóżka i, jak mówi Behrens, jeżeli się jeszcze w ogóle podniesie, to będzie sobie mógł powinszować. W każdym razie, mówi Behrens, był już najwyższy czas, żeby tu przyjechał. Tak, a ich matka, o ile nie siedzi przy nich, chodzi ciągle tam i z powrotem i gdy do niej przemówić, odpowiada tylko: Tous les deux!_f bo nic więcej nie umie powiedzieć, a chwilowo nie ma tu nikogo, kto by mówił po hiszpańsku.

— Ach, więc to tak się rzeczy mają — powiedział Hans Castorp. — Czy też ona i mnie powie to samo, kiedy ją poznam? To byłoby dziwne — zabawne i niesamowite zarazem. — I znowu poczuł, jak wczoraj, że oczy mu ciążyą i palą go, jak po długim płaczu, i znowu nabrały owego blasku, który rozniecił w nich wczoraj niezwykle kaszel sportsmena. Teraz dopiero odnalazł kontakt z dniem wczorajszym, poczuł się na płaszczyźnie aktualnej rzeczywistości, bo od przebudzenia się aż do tej chwili jakoś nie bardzo tak było.

— Zresztą, jestem gotów — oznajmił, skropił chustkę wodą lawendową i zwilżył sobie czoło i policzki pod oczyma. — Jeżeli chcesz, możemy tous les deux zejść na śniadanie — żartował swawolnie. Joachim spojrzał na niego łagodnie i uśmiech-

nał się zagadkowo, melancholijnie i jakby trochę drwiąco — dlaczego, to była już jego rzecz.

Hans Castorp, sprawdzwszy, że ma pełną papierošnicę w kieszeni, wziął laskę, palto, a na przekór i kapelusz — był bowiem zanadto pewny swoich form i swego ułożenia, żeby tak łatwo i na przeciąg trzech krótkich tygodni poddać się nowym i obcym zwyczajom, i wyszedł razem z kuzynem. Schodząc na dół Joachim wskazywał na niektóre drzwi i wymieniał nazwiska mieszkańców, niemieckie i cudzoziemskie, o najróżniejszym brzmieniu, dodając przy tym uwagi o charakterach tych osób i stopniu choroby.

Spotykali gošci wracających już ze śniadania; Hans Castorp grzecznie zdejmował kapelusz, kiedy Joachim mówił komuś dzień dobry. Był lekko niespokojny i nerwowy, jak młody człowiek, który ma się właśnie przedstawić licznemu towarzystwu, a czuje przy tym wyraźnie, że ma mętne spojrzenie i wypieki na twarzy, co zresztą słuszne było tylko częściowo, bo był raczej blady.

— Ach tak, póki nie zapomnę! — powiedział nagle z pewną gwałtownością w głosie. — Możesz mnie przedstawić tej pani w ogrodzie, jeśli tak się złoży, nie mam nic przeciwko temu. Może nawet wciąż powtarzać swoje *tous les deux*, niech tam, jestem przecież na to przygotowany, rozumiem znaczenie tych słów i potrafię zrobić właściwą minę. Ale z tym rosyjskim małżeństwem nie chcę zawierać znajomości, słyszysz? Kategorycznie nie chcę. To są ludzie bardzo źle wychowani, a jeżeli już muszę przez te trzy tygodnie mieszkać w/ich sąsiedztwie i inaczej tego nie można urządzić, to przynajmniej nie chcę znać się z nimi. Wypraszam to sobie z całą stanowczością i uważam, że mam do tego zupełne prawo...

— Dobrze — odparł Joachim. — Czy aż tak bardzo ci przeszkadzali? Tak, to są poniekąd barbarzyńcy, jednym słowem ludzie niecywilizowani, uprzedzałem cię przecie. On schodzi do jadalni w jakiejś skórzanej kurtce, okropnie wytartej, mówię ci — zawsze mnie dziwi, że Behrens na to pozwala. A ona też nie jest z tych najschludniejszych, pomimo swego kapelusza

z piórem. Ale możesz być zupełnie spokojny, oni siedzą daleko od nas, przy gorszym rosyjskim stole — bo jest także lepszy stół rosyjski, przy którym siedzą bardziej nobliwi Rosjanie. Nie ma żadnej możliwości, żebyś się do nich zbliżył, nawet gdybyś tego chciał. Tutaj w ogóle niełatwo jest zawierać znajomości, chociażby dlatego, że między gośćmi jest tylu cudzoziemców; ja sam, chociaż już tu siedzę tak dawno, osobiście znam bardzo niewiele osób.

— Kto z nich dwojga jest chory? — zapytał Hans Castorp. — On czy ona?

— Zdaje mi się, że on. Tak, tylko on — odpowiedział Joachim z widocznym roztargnieniem, podczas gdy się rozbierali w garderobie przed jadalnią. A potem weszli do jasnej, łagodnie sklepionej sali, w której rozlegało się mnóstwo głosów, dźwięczały talerze, a kelnerki uwijały się z dymiącymi dzbankami.

W jadalni stało siedem stołów, pięć wzdłuż, a dwa w poprzek sali. Były to stoły duże, obliczone każdy na dziesięć osób, chociaż gdzieś tam brakowało nakryć. Hans Castorp przeszedł tylko kilka kroków, na ukos przez salę, i był już na swoim miejscu; wyznaczono mu je po wąskiej stronie stołu, który stał wzdłuż pokoju, z przodu, pomiędzy dwoma stołami poprzecznymi. Stanąwszy za swoim krzesłem, Hans Castorp uklonił się sztywno, ale grzecznie swoim współbiesiadnikom, zaledwie na nich patrząc, a Joachim wymienił ceremonialnie nazwiska, które nie doszły jednak do świadomości nowo przybyłego. Zauważył jedynie ipanią Stóhr, zarówno jej osobę, jak i nazwisko, i spostrzegł, że miała czerwone policzki i tłuste, szaroblond włosy. Twarz jej wyrażała tak tępą ignorancję, że z łatwością uwierzyć było można w braki jej wykształcenia.

Hans Castorp usiadł i z przyjemnością stwierdził, że pierwsze śniadanie traktowano tu jako ważny posiłek.

Roznoszono ryż na mleku i owsiankę, półmiski z jajecznicą i zimnym mięsem, na stole rozstawione były czarki z marmoladą i miodem oraz masło w ogromnych ilościach; ktoś uniósł szklany klosz, aby ukroić sobie kawałek wilgotnego sera szwajcarskiego, a środek stołu zajmował talerz ze świeżymi i suszo-

nymi owocami. Jedna z usługujących panienek, ubrana biało i czarno, spytała Hansa Castorpa, co będzie pił: kakao, kawę czy herbatę? Była niziutka, miała wzrost dziecka, ale twarz starą i wydłużoną — karlica, jak z przerażeniem stwierdził Hans Castorp. Spojrzał na kuzyna, ale ponieważ ten wzruszył tylko obojętnie ramionami i ściągnął brwi, jakby chciał powiedzieć: „No, więc cóż z tego?” — musiał pogodzić się z faktami i poprosił o herbatę, z wyszukaną grzecznością — ponieważ mówił z karlicą. Potem zabrał się do ryżu na mleku, z cynamonem i cukrem, podczas gdy jego spojrzenie błędziło po innych potrawach, na które miał ochotę, a również po gościach, kolegach i towarzyszach niedoli Joachima, z których każdy trawiony był chorobą, a wszyscy jedli śniadanie wśród spokojnej pogawędki.

Sala jadalna była utrzymana w tym nowoczesnym stylu, w którym prostota i rzeczowość łączą się z pewną domieszką fantazji. W stosunku do swej długości była niezbyt szeroka; otaczał ją rodzaj krużganku, w którym stały pomocnicze stoliki i który wielkimi łukami oddzielony był od wnętrza sali, zastawionego siedmiu długimi stołami. Słupy do połowy wysokości obłożone były drzewem, politurowanym na drzewo sandałowe, a wyżej, podobnie jak i górna część ścian i sufit, pobielane; na ich białym tle widniały różnokolorowe pasy, niewyszukane i wesołe szablony, które zachodziły aż na żebra płaskiego sklepienia. Kilka świeczników elektrycznych z błyszczącego mosiądzu zdobiło salę; każdy z nich składał się z trzech pierścieni, umieszczonych jeden pod drugim i połączonych misterną plecionką, a z ostatniego pierścienia zwisały, jak małe księżycy, klosze z mlecznego szkła. W pokoju było czworo drzwi. Dwoje w jednej ze ścian dłuższych prowadziło na wysuniętą poza dom werandę, jedno po lewej stronie — do hallu, czwarte wreszcie, * — którymi wszedł Hans Castorp — wprost do sieni — bo Joachim poprowadził go dzisiaj innymi schodami niż wczoraj wieczorem.

Po jego prawej ręce siedziała jakaś niepozorna osóbką, czarno ubrana, z puszką na pałającej gorączką twarzy; wydała mu się szwaczką lub domową krawcową, może także dlatego, że śniadanie jej składało się wyłącznie z kawy i bułek z masłem,

a od niepamiętnych czasów wyobrażenie domowej krawcowej łączyło się u niego z wyobrażeniem kawy i bułek z masłem. Z lewej strony siedzieli: jakaś niemłoda już panna, Angielka, bardzo brzydka, z suchymi, odmrożonymi palcami — czytała listy z domu, pisane okrągłymi literami, i popijała mocną herbatę koloru krwi, dalej Joachim, a obok niego pani Stóhr, ubrana w szkocką wełnianą bluzkę. Podczas jedzenia trzymała przy twarzy lewą dłoń zwiniętą w kułak i kiedy z kimś rozmawiała, wyraźnie starała się robić inteligentną minę, podnosząc górną wargę i obnażając przy tym wąskie i długie, zajęcze zęby. Obok niej zajął miejsce i jadł w milczeniu jakiś młodzieniec z małym wąsikiem i wyrazem twarzy człowieka, który ma w ustach coś niesmacznego. Wszedł do sali, kiedy Hans Castorp był już przy stole; w przejściu, nie patrząc na nikogo, uklonił się krótkim ruchem głowy i usiadł, dając swoim zachowaniem się wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, aby mu przedstawiono nowego gościa. Może był zbyt ciężko chory, by interesować się jeszcze otoczeniem i przywiązywać wagę do zewnętrznych form. Przez chwilę siedziała naprzeciwko niego wyjątkowo chuda młoda panienka z jasnymi włosami, która wylała sobie na talerz butelkę jogurtu, prędko go zjadła łyżką i natychmiast odeszła.

Towarzystwo przy stole nie było zbyt ożywione. Joachim prowadził konwencjonalną rozmowę z panią Stóhr, pytał ją, jak się czuje, i okazał uprzejmie współczucie, słysząc, że niedobrze. Skarżyła się na „oklapnięcie”. „Jestem taka klapnięta!” — powiedziała ciągnąc sylaby i krygując się bardzo niekulturalnie. Miała rano już 37,3, więc co dopiero będzie po obiedzie. Szwaczka oznajmiła, że ma zupełnie taką samą temperaturę, ale że, przeciwnie, czuje się podniecona, że jest w ciągłym naprężeniu i niepokoju, jak gdyby oczekiwała czegoś ważnego i rozstrzygającego, jest to jednak niepokój czysto fizyczny, bez żadnych przyczyn psychicznych. Mówiła zupełnie poprawnie, prawie uczenie, więc chyba nie była szwaczką. Jej podniecenie, a więcej jeszcze opowiadanie o nim, nie podobało się Hansowi Castorpowi, wydało mu się nie na miejscu, a nawet bardzo niewłaściwe u tak niepozornego i nic nie znaczącego stworzenia.

Zapytał po kolei szwaczkę i panią Stóhr, jak długo są już tutaj na górze (pierwsza mieszkała w sanatorium od pięciu, a druga od siedmiu miesięcy), pogrzebał w swej angielszczyźnie, żeby się poinformować u swojej sąsiadki na prawo, jaką to ona pije herbatę (był to odwar z głogu), i czy jest smaczna, co znów ona z zapalem potwierdziła, i rozglądał się wokół; jedni goście wchodzili do sali, inni z niej wychodzili: pora pierwszego śniadania nie była ściśle określona.

Przed zejściem na dół Hans Castorp obawiał się przykrych wrażeń, ale teraz był mile rozczarowany: nastrój w jadalni był zupełnie wesoły i nie miało się uczucia, że się jest w jakimś przybytku udreki. Brązowa od słońca młodzież obojga płci wchodziła tu podśpiewując, wdawała się w rozmowy z kelnerkami i z niesłychanym apetytem zabierała się do śniadania. Obok chłopców dopiero dorastających nie brakło też osób starszych, małżeństw; pewna rodzina, wraz z dziećmi, mówiła po rosyjsku. Prawie wszystkie panie miały na sobie obcisłe wełniane lub jedwabne kaftaniki, wchodzące wówczas w modę swetry, białe i kolorowe, z wykładanymi kołnierzami i z kieszeniami po bokach; wyglądały ładnie, kiedy stały i gawędziły z sobą, trzymając obie ręce w tych kieszeniach. Przy niektórych stołach pokazywano sobie fotografie, z pewnością nowe zdjęcia własnej roboty; przy jednym ze stołów wymieniano między sobą znaczki pocztowe. Rozmawiano o pogodzie, o tym, jak kto spał dzisiaj w nocy i jaką miał rano temperaturę w ustach. Goście byli przeważnie w dobrym humorze, prawdopodobnie bez specjalnego powodu i tylko dlatego, że nie mieli żadnych bezpośrednich kłopotów i że towarzystwo było tu licznie zebrane. Niektórzy siedzieli jednak odosobnieni, z głowami wspartymi na dłoniach, i nieruchomo patrzyli przed siebie. Nie przeszkadzano im w tym i nie zwracano na nich uwagi.

Nagle Hans Castorp wstrząsnął się, rozzłoszczony i zarazem obrażony. Jakieś drzwi trzasnęły — były to drzwi prowadzące wprost do hallu — ktoś trzasnął nimi mimo woli albo nawet zatrzasnął je za sobą; był to rodzaj hałasu, którego Hans Castorp nie znosił, którego przez całe życie nienawidził. Ta nienawiść

mogła być owocem dobrego wychowania albo też jakiejś wrodzonej idiosynkrazji — dość że miał wstręt do trzaskania drzwiami i gotów był bić każdego, kto się go dopuścił w jego obecności. Na domiar złego, drzwi, o których mowa, były oszklone wielką ilością małych szybek, co jeszcze bardziej przyczyniło się do wzmożenia hałasu: był to trzask i brzęk jednocześnie. Pfe, pomyślał Hans Castorp z wściekłością, cóż to za wstrętne niedbalstwo! Ale nie miał czasu na stwierdzenie, kto był tym winowajcą, bo w tej samej chwili szwaczka o coś go zagadnęła. Kiedy jej odpowiadał, pionowe zmarszczki między jasnymi brwiami przecinały jeszcze jego czoło, a twarz wykrzywiona była grymasem złości.

Joachim zapytał, czy lekarze odbyli już wizytę. Tak, pierwszy raz już tu byli, odpowiedział mu ktoś; opuścili salę nieomal w chwili, w której obaj kuzyni weszli. — W takim razie możemy już wstać i odejść — powiedział Joachim. Okazja do przedstawienia Hansa nadarzy się w ciągu dnia. Ale we drzwiach o mało nie zderzyli się z radcą dworu Behrensem, który szybko wchodził w towarzystwie dra Krokowskiego.

— Hopla, ostrożnie, panowie! — rzekł Behrens. — To mogłoby się smutno skończyć dla naszych odcisków. — Mówił akcentem jwyrażnie dolnosaskim, szeroko i jakby żując. — A, to pan! — zwrócił się do Hansa Castorpa, którego mu Joachim, stuknąwszy obcasami, właśnie prezentował — bardzo mi przyjemnie. — I podał młodemu człowiekowi rękę, wielką jak łopata. Był to człowiek kościsty, o dobre trzy głowy wyższy od doktora Krokowskiego, już zupełnie siwy, z grubym karkiem, wypukłymi, niebieskimi, zażawionymi i przekrwionymi oczami, zadartym nosem i krótko przystrzyżonym wąsikiem, tworzącym krzywą linię wskutek jednostronnego uniesienia górnej wargi. To, co Joachim powiedział o jego policzkach, było zupełną prawdą: byłysine; tak więc jego głowa odcinała się barwnie od białego chirurgicznego fartucha, sięgającego poza kolana; poniżej widać było szare spodnie w paski i nogi olbrzymiej wielkości, tkwiące w żółtych, podniszczonych sznurowanych butach. Dr Krokowski był również w stroju lekarskim, ale jego

chałat był czarny, z błyszczącego materiału, miał krój jakby koszuli i gumki u przegubów rąk i silnie uwydatniał bladość asystenta. Dr Krokowski zachowywał się tak właśnie, jak asystentowi przystało, nie brał bynajmniej udziału w powitaniu, ale krytyczne skrzywienie jego ust świadczyło, że swoje podrzędne stanowisko odczuwa jako coś dziwnego.

— Kuzyni? — spytał radca dworu, wskazując palcem to na jednego, to na drugiego i spoglądając od dołu swymi przekrwionymi niebieskimi oczami... — Czy i ten chce także? — zwrócił się do Joachima, dając znak głową w kierunku Hansa Castorpa... — Ale gdzie tam! Co, prawda? Od razu spostrzegłem — zaczął mówić już wprost do Hansa Castorpa — że pan ma w sobie coś z cywila, coś wytwornego, nie chciałby pan pobrzękiwać szabelką, jak ten oto syn Marsa. Lepszy byłby z pana pacjent niż z tamtego, na pewno, mogę się założyć. Mam już takie oko, że od razu poznaję, czy ktoś jest materiałem na przyzwoitego pacjenta, bo do tego trzeba mieć talent, jak do wszystkiego, a ten Myrmidon* nie ma go ani troszeczkę. Może do musztry, tego nie wiem, ale na pewno nie do chorowania. Czy pan da wiarę, że on ciągle chce stąd uciekać? Wiecznie mnie zanudza i zamęcza i już nie może doczekać się chwili, kiedy go tam na dole znowu wezmą w obroty. Co za nadmiar gorliwości! Nawet pół roku nie chce nam poświęcić. A przecie tu u nas wcale nie jest źle. No, Ziemssen, niech pan sam powie, czy u nas jest źle? Pański kuzyn na pewno zdoła nas lepiej ocenić i potrafi tutaj przyjemnie czas spędzić! Pań nie brak tu także, i to najmilszych, jakie w ogóle istnieją. Przynajmniej z zewnątrz przedstawiają się niektóre bardzo malowniczo. Ale pan musi koniecznie nabrać trochę kolorów, bo inaczej nie będzie pan miał powodzenia. Wprawdzie złote drzewo życia jest wiecznie zielone, jak powiedział Goethe, ale zielona cera nie jest bynajmniej na miejscu. Najwyraźniejsza anemia — rzekł, obcesowo podchodząc do Hansa Castorpa i ściągając mu środkowym i wskazującym palcem dolną powiekę. — Naturalnie, najwyraźniejsza anemia, jak mówiłem. Wie pan co? To wcale nie było takie głupie z pana strony, że pan na pewien czas rozstał

się ze swoim Hamburgiem. Ten Hamburg to wcale niezła instytucja: jego wilgotna meteorologia dostarcza nam stale dość licznego kontyngentu pacjentów. Ale jeżeli mi wolno przy tej sposobności udzielić panu skromnej porady — tak zupełnie sine pecunia *, rozumie pan — to niech pan tu przez czas swego pobytu robi to wszystko, co robi pana kuzyn. Na pana miejscu nie można uczynić nic rozsądniejszego niż żyć przez pewien czas tak jak przy lekkiej tuberculosis pulmonum* i trochę wzbogacić się w białko. To jest mianowicie rzecz zadziwiająca z tą przemianą białkową tutaj na górze... Chociaż ogólne spalanie jest wzmożone, organizm jednak odkłada białko... No, Ziemssen, spał pan dobrze, wyspał się pan, co? A więc marsz na spacer! Ale nie dłużej niż pół godziny! A potem wsadzić sobie w twarz rtęciowe cygaro! I zawsze skrupulatnie zapisywać. Ziemssen! Jak na służbie, sumienność przede wszystkim! W sobotę obejrzę pański wykres! A pana kuzyn niech sobie także pomierzy. Mierzenie nigdy nie zaszkodzi. Do widzenia panom! Wesołej zabawy! Do widzenia... do widzenia... — I doktor Krokowski powędrował za radcą dworu, który popłynął dalej, wymachując rękami, z dłońmi zwróconymi ku tyłowi, i pytając się na prawo i na lewo, czy się dobrze spało, na co wszyscy odpowiadali potakująco.

PRZEKOMARZANIE SIĘ. WIATYK.
ZMAĆONA WESOŁOŚĆ

— Bardzo miły człowiek — odezwał się Hans Castorp, kiedy główną bramą wyszli na powietrze, grzecznie pozdrowieni po drodze przez kulawego portiera, który w swojej łoży porządkował listy. Główna brama położona była w południowo-wschodnim skrzydle białego otynkowanego budynku, którego część środkowa przewyższała o jedno piętro oba skrzydła boczne i zakończona była niską wieżyczką z zegarem, krytą szarą blachą żelazną. Wychodząc tędy, obaj kuzyni znaleźli się nie w ogrodzie, ale od razu na drodze, z której otwierał się widok na pochylę łąki górskie przetykane niskimi świerkami i płożącą się

kosodrzewiną. Droga, którą poszli — właściwie jedyna oprócz tej, która obniżała się ku dolinie, wyprowadziła ich, lekko się wznosząc na lewo, na tyły sanatorium, obok kuchni i pomieszczeń gospodarskich, gdzie u krat zamykających piwnice stały blaszane beczki na odpadki; potem szła jeszcze spory kawałek w tym samym kierunku, tworzyła nagły zakręt i pięła się już stromiej w prawo na stok, porośły rzadkim lasem. Droga ta miała kolor czerwony, była twardo ubita i jeszcze wilgotna; na skraju jej leżały z rzadka rozrzucone wielkie głazy. Dwaj młodzi ludzie nie byli tu sami. Goście, którzy zaraz po nich wstali od śniadania, szli za nimi; spotykali też całe grupy powracających, którzy schodzili z góry drobnymi krokami, zginając nogi w kolanach.

— Bardzo miły człowiek — powtórzył Hans Castorp. — Nadzwyczajnie żywy i wymowny, aż przyjemnie go słuchać. Termometr nazywać „rtęciowym cygarem” to doskonały pomysł, natychmiast zrozumiałem... Ale teraz zapalę sobie prawdziwe cygaro — rzekł przystając — już dłużej nie wytrzymam! Od wczoraj w południe nie paliłem nic porządnego. Przepraszam cię na chwilę. — Otworzył cygarnicę, wykonaną ze skóry automobilowej i ozdobioną srebrnym monogramem, i wyjął z niej piękną sztukę „Maria Mancini”, z jednej strony — co lubił specjalnie — (przyplaszczoną; następnie sięgnął po skośnie krążącą maszynkę, którą nosił przy łańcuszku od zegarka, obciął koniec dość długiego cygara, nacisnął guzik kieszonkowej zapalniczki i kilkoma rozkosznymi pociągnięciami rozżarzył swą stępią „Marię Mancini”.

— Tak! — odezwał się. — Teraz możemy spokojnie kontynuować nasz spacer. Ty, naturalnie, nie palisz, z nadmiaru gorliwości?

— Ja przecież w ogóle nie palę — odparł Joachim. — Dla czego miałbym właśnie tutaj palić.

— Tego nie pojmuję! — rzekł Hans Castorp. — Nie pojmuję, jak można nie palić; kto nie pali, dobrowolnie pozbawia się, że tak powiem, najlepszej cząstki życia, a w każdym razie wielkiej przyjemności! Budząc się, już się cieszę, że w ciągu dnia

będę mógł palić, a przy jedzeniu znów się na to cieszę, a nawet mogę powiedzieć, oczywiście z pewną przesadą — że jem tylko po to, aby później zapalić. Ale dzień bez tytoniu byłby dla mnie szczytem szarzyzny, byłby dniem zupełnie pustym i bez żadnego powabu, a gdybym musiał sobie rano powiedzieć: dzisiaj nie ma nic do palenia — sądzę, że nie znalazłbym wcale odwagi, żeby wstać, słowo daję, że zostałbym w łóżku. Bo widzisz: jeżeli się ma dobrze palące się cygaro — naturalnie, nie powinno mieć dodatkowego dopływu powietrza ani źle ciągnąć, bo to jest nad wyraz przykre — jeżeli się więc ma przy sobie dobre cygaro, to jest się właściwie kompletnie bezpiecznym i literalnie nic się nie może przytrafić. Zupełnie tak samo, jak kiedy się leży nad morzem — leży się wtedy właśnie nad morzem i nie pragnie się niczego więcej, ani pracy, ani rozrywki... Chwała Bogu, że pali się na całym świecie; o ile wiem, wszędzie, dokąd los może człowieka zapędzić, palenie jest znane. Nawet odkrywcy bieguna zaopatrują się obficie w tytoń na czas swoich wypraw, i to mi zawsze sprawiało przyjemność, kiedy o tym czytałem. Bo przecie może się zdarzyć, że kogoś spotyka wielkie niepowodzenie, przypuśćmy na przykład, że mnie powodzi się fatalnie; otóż dopóki miałbym swoje cygaro, mógłbym to przetrzymać — cygaro pomogłoby mi znieść wszystko.

— Jednakowoż to niedobrze — odezwał się Joachim — że ty do tego przywiązujesz taką wagę. Behrens ma rację: ty jesteś cywil — on powiedział to raczej jako pochwałę, ale ty jesteś nieuleczalny cywil, w tym cała rzecz. Zresztą, jesteś przecież zdrowy i możesz robić, co ci się podoba — dodał, i oczy jego przybrały wyraz zmęczenia.

— Tak, zdrowy, pomijając anemię — powiedział Hans Castorp. — Ujęło mnie to, kiedy mi powiedział, że wyglądam zielono. Bo to prawda, że w porównaniu z wami tutaj na górze iestem zupełnie zielony, sam już to zauważyłem. W domu jakoś nie przychodziło mi to na myśl. Bardzo mi się też podobało, że mi z własnej inicjatywy udziela rad, zupełnie sine pecunia, jak się wyraził. Chętnie zastosuję się do jego wskazówek i będę żył tak jak ty — zresztą, nic lepszego nie mam tutaj na górze

do roboty, a zaszkodzić nie może, jeżeli odłożę trochę białka, chociaż musisz przyznać, że to brzmi paskudnie.

Joachim zakaszał parę razy — wspinanie się widocznie go męczyło. Za trzecim razem przystanął ze zmarszczonymi brwiami.

— Idź naprzód — rzekł. Hans Castorp pośpieszył naprzód i nie oglądał się za siebie. Potem zwolnił kroku, a w końcu zatrzymał się prawie, bo zdawało mu się, że już znacznie przegonił Joachima. Ale nie oglądał się za siebie.

Grupka kuracjuszków obojga płci szła na jego spotkanie — widział ich już przedtem na równej drodze w połowie wysokości zbocza, a teraz schodzili ku niemu i dolatywały go ich zmieszane głosy. Było ich sześcioro lub siedmioro w różnym wieku, od bardzo młodych do ludzi w sile wieku. Przyglądał się im, przechyliwszy w bok głowę i myśląc o Joachimie. Wszyscy byli opaleni i bez kapeluszy, panie ubrane były w swetry, panowie nie mieli palt ani nawet lasek — jak ludzie, którzy ot tak sobie, z rękami w kieszeniach, wychodzą tylko przed dom. Ponieważ schodzili w dół, co nie wymaga żadnego wysiłku, tylko trochę hamowania i wpierania nóg w ziemię, żeby się nie rozpędzić i przypadkiem nie potknąć — właściwie jest to nie więcej niż ostrożne spadanie — więc chód ich miał w sobie coś z beztroski lotu, która udzielała się ich minom i całemu wyglądowi, tak że miało się ochotę należeć do tego towarzystwa.

Właśnie mijali go i Hans Castorp mógł się przyjrzeć ich twarzom. Nie wszyscy jednak byli opaleni, dwie panie uderzały swą białością; jedna z nich była chuda jak tyka i miała cerę koloru kości słoniowej, druga — niższa i tęga, oszpecona wątrobianymi plamami. Całe towarzystwo patrzyło na niego, nie ukrywając trochę beczelnego uśmiechu. Młoda wysoka dziewczyna w zielonym swetrze, źle uczesana i z głupkowatymi, na wpół tylko otwartymi oczami, przeszła tuż obok Hansa Castorpa, dotykając go prawie ramieniem. Przy tym gwizdała... Nie, to było coś niesłychanego! Gwizdnęła wyraźnie na niego, ale nie ustami, bo wargi miała zaciśnięte, bynajmniej nie wysunięte. Coś z niej gwizdało, podczas gdy patrzyła na niego głupkowato z na wpół

opuszczonymi powiekami. Był to gwizd wybitnie niemiły — chropowaty i ostry, chociaż pusty i przeciągły, obniżający się przy końcu; robił wrażenie pisku owych jarmarcznych świnek gumowych, które, padając, wraz z wdmuchniętym powietrzem wydają z siebie żalсны jęk. Gwizd ten wydobywał się jakimś niezrozumiałym sposobem z jej płuc, gdy mijała Hansa Castorpa.

On stał osłupiały i spoglądał w dal. Potem odwrócił się szybko i tyle przynajmniej zrozumiał, że musiał to być z góry ukarowany żart, wstrętne kpiny, bo po ramionach oddalających się ludzi widział, że się śmiali; jeden z nich, krępy młodzieniec z wywinętymi wargami, trzymając ręce w kieszeniach spodni podnosił dość nieprzystojnie swoją kurtkę i obejrzał się nawet na niego zupełnie wyraźnie, śmiejąc się przy tym... Joachim uklonił się całemu towarzystwu, swoim rycerskim zwyczajem stając nieomal na baczność i pochylając się ze zsuniętymi obcasami, po czym łagodnie spoglądając zrównał się z kuzynem.

— Dlaczego masz taką minę? — zapytał.

— Ona gwizdała I — odrzekł Hans Castorp. — Ten gwizd wychodził z jej brzucha, kiedy przechodziła koło mnie. Czy możesz mi to wytłumaczyć?

— Ach — powiedział Joachim i roześmiał się pogardliwie. — Nie z brzucha, to nonsens. To była Hermina Kleefeld, gwizdźce sztuczną odną.

— Czym? — zapytał Hans Castorp. Odczuwał silne wzburzenie, sam dobrze nie wiedząc, na czym ono polega; wahając się między płaczem a śmiechem, dodał: — Nie możesz wymagać, żebym rozumiał wasz żargon!

— Chodźmy dalej! — powiedział Joachim. — Mogę ci to przecie wyjaśnić idąc. Stoisz jak wryty. To jest coś z dziedziny chirurgii, jak się pewnie domyślasz, operacja, którą tutaj w górze często się stosuje. Behrens ma w tym wielką wprawę. Jeżeli jedno płuco jest poważnie chore, drugie natomiast zdrowe albo przynajmniej stosunkowo zdrowe, wtedy pozwala się choremu płucom odpocząć przez jakiś czas, ażeby je oszczędzić... A więc tutaj rozcina się, gdzieś tutaj na boku — nie znam dokładnie miejsca, ale Behrens robi to na pewniaka. A potem wpuszcza

się do środka gaz, azot, i w ten sposób wyłącza się chore płuco z oddychania. Ma się rozumieć, gaz nie trzyma się długo, co dwa tygodnie mniej więcej musi być odnowiony — rozumiesz, napełnia się człowieka gazem. A po upływie roku albo dłuższego czasu, jeżeli wszystko dobrze się składa, chore płuco może dzięki spoczynkowi być wyleczone. Naturalnie nie zawsze, bo jest to sprawa nawet ryzykowna. Ale podobno za pomocą odmy sztucznej osiągnięto już bardzo piękne rezultaty. Wszyscy, których tu widziałeś, mają odmě. Pani Iltis też była z nimi — ta z tymi wątrobianymi plamami — i panna Levi, ta chuda, przypominasz sobie — musiała bardzo długo leżeć w łóżku. Oni trzymają się razem, bo taka rzecz jak sztuczna odma zbliża przecie ludzi do siebie, i przezwali się „Stowarzyszeniem Jednego Płuca”; pod tą nazwą są znani. Ale chlubą stowarzyszenia jest Hermina Kleefeld, bo ona umie gwizdać odumą — to jest jej swoisty talent, nie każdy to potrafi. Nie mogę ci wytłumaczyć, jak ona to robi, ona sama nie umie tego dokładnie opisać, ale po odbyciu jakiegoś szybkiego marszu może potem wydobywać z siebie gwizd; i naturalnie posługuje się tym, żeby straszyć ludzi, a szczególnie nowo przybyłych chorych. Przypuszczam, że marnuje przy tym azot, bo co tydzień muszą ją na nowo napełniać.

Teraz Hans Castorp śmiał się słuchając słów Joachima; wzburzenie jego przeszło ostatecznie w wesołość, więc gdy szedł, raz po raz nachylając się i zasłaniając sobie oczy ręką, ramionami jego wstrząsał szybki i cichy chichot.

— Czy może są zarejestrowani? — wykrztusił z trudem, a głos jego był płaczliwy od powstrzymanego śmiechu i trochę zawodzący. — Czy mają swoje statuty? Szkoda, że nie należysz do nich, bo może wybraliby mnie na członka honorowego albo dopuścili jako... kompana... Powinieneś poprosić Behrensa, żeby cię częściowo unieruchomił. Może gdyby ci na tym zależało, potrafiłbyś także gwizdać, ostatecznie można się tego pewnie nauczyć. Nic równie zabawnego w życiu swoim nie słyszałem! — rzekł westchnąwszy głęboko. — Nie gniewaj się, że tak o tym mówię, ale przecie pni samif ci twoi pneuma-

tyczni przyjaciele, są w najlepszych humorach! Jak oni pędzili z góry... I pomyśleć, że to było „Stowarzyszenie Jednego Płuca"!... Fiuu!... tak na mnie gwizdnęła — narwana kobieta! Ale to przecie jest wyraźne zuchwalstwo! Słuchaj, dlaczego właśnie oni są tacy rozwydrzeni?

Joachim namyślał się nad odpowiedzią.

— Mój Boże! — rzekł wreszcie. — Oni mają przecie tyle swobody... Są młodzi, czas nie odgrywa dla nich żadnej roli, a przy tym mogą nawet umrzeć. Dlaczegoż by mieli stroić poważne miny? Wydaje mi się nieraz, że choroba i śmierć nie są właściwie niczym poważnym, że są raczej rodzajem próżniactwa, a poważne naprawdę jest tylko życie na dole. Mam nadzieję, że z czasem zrozumiesz to, kiedy tu trochę dłużej pobędziesz.

— Z pewnością — odparł Hans Castorp. — Z pewnością tak będzie. Bardzo mnie interesujecie wy tutaj w górze, a kiedy się ktoś czym interesuje, to zrozumienie przychodzi już samo... nieprawdaż? Ale co to takiego — ono mi nie smakuje! — rzekł i zaczął oglądać swoje cygaro. — Zastanawiam się cały czas, co mi dolega, a teraz dopiero uświadomiłem sobie, że mi moja „Maria" nie smakuje. Ma smak papier mache *? zapewniam cię, doznaję takiego wrażenia, jak gdybym miał zupełnie zepsuty żołądek. To jest nie do pojęcia! Wprawdzie bardzo dużo jadłem na śniadanie, ale to nie może być powodem, bo po zbyt obfitym posiłku cygaro z początku smakuje jeszcze bardziej. Może to dlatego, że tak źle spałem w nocy — jak myślisz? Może to mnie wytrąciło z równowagi. Nie, muszę je po prostu odrzucić! — powiedział po jeszcze jednej próbie. — Każde pociągnięcie jest rozczarowaniem, nie ma sensu, żebym starał się to przewyciężyć. — I po chwili wahania cisnął cygaro w dół, pomiędzy wilgotne igliwie. — Czy wiesz, z czym to, moim zdaniem, pozostaje w związku?... — zapytał. ⁻¹⁻ Przekonany jestem, że to ma związek z wypiekami na twarzy, które znowu dręczą mnie od samego rana. Do diabła! Ciągłe mam wrażenie, jakbym się rumienił ze wstydu... Czy z tobą było po przyjeździe tak samo?

— Tak — odpowiedział Joachim. — Ja także z początku czułem się jakoś dziwnie. Nie rób sobie nic z tego! Mówiłem ci przecie, że nie jest tak łatwo zaaklimatyzować się tutaj. Ale to minie. Widzisz, z tej ławki jest śliczny widok. Usiądźmy na chwilkę, a potem pójdziemy do domu, muszę werandować.

Droga szła tutaj równo i zmierzała w kierunku uzdrowiska Davos mniej więcej na jednej trzeciej wysokości zbocza. Spośród wysokich, cienkich i pokrzywionych sosen widać było całą miejscowość, bielejącą w jasnym poranku. Z gruba ciosana ławka, na której usiedli, opierała się o stromą ścianę skalną. Tuż obok, otwartą drewnianą rynną, bulgocąc i pluszcząc, spływała woda w dolinę.

Joachim chciał kuzynowi wymienić nazwy zamglonych szczytów alpejskich, które zdawały się od południowej strony zamykać dolinę, i wskazywał je końcem swojej szwajcarskiej laski. Ale Hans Castorp zaledwie przelotnie spojrzął w tamtą stronę, siedział pochylony, rysując na piasku różne figury skuwką swojej miejskiej, srebrem okutej laski, i inne zajmowały go myśli.

— Chciałem się ciebie zapytać... — zaczął. — Ten wypadek w moim pokoju zdarzył się bezpośrednio przed moim przybyciem. Czy podczas twojego pobytu zaszło tutaj dużo wypadków śmierci?

— Na pewno sporo — odpowiedział Joachim. — Ale załatwiają się tutaj z tym bardzo dyskretnie, rozumiesz, nie słyszy się o tym wcale albo najwyżej przypadkiem, już po wszystkim. Jeżeli ktoś umiera, trzymają to w najściślejszej tajemnicy ze względu na pacjentów, a szczególnie na panie, które łatwo dostają różnych ataków. Nawet jeżeli umiera ktoś w twoim sąsiedztwie, nie zauważasz tego. Trumnę przynoszą z samego rana, kiedy jeszcze śpisz, a wynoszą zmarłego także tylko w takich godzinach, na przykład podczas jedzenia.

— Hm — rzekł Hans Castorp rysując dalej. — A więc to wszystko dzieje się za kulisami.

— Tak, można to tak nazwać. Ale niedawno... zaraz,, przed jakimiś dwoma miesiącami...

— W takim razie to nie było bardzo niedawno — zauważył Hans Castorp sucho i czujnie.

— Co mówisz? A więc nie niedawno. Ależ ty jesteś dokładny! Ja tylko tak powiedziałem, w przybliżeniu. Otóż przed niejakim czasem udało mi się zajrzeć za kulisy, przez czysty przypadek, pamiętam to doskonale. To było wtedy, kiedy przyniesiono tej małej Hu jus, katoliczce, Barbarze Hu jus, wiatyk, sakrament umierających, wiesz, ostatnie namaszczenie. Kiedy tu przyjechałem, jeszcze chodziła i nieraz tak była wesoła, tak dokazywała jak podłotek. Ale potem pogorszyło się jej gwałtownie, przestała już podnosić się z łóżka; leżała w trzecim pokoju, licząc od mojego. Przyjechali jej rodzice, zjawił się wreszcie i ksiądz. Przyszedł podczas podwieczorku, kiedy wszyscy byli zebrani w jadalni i nie było nikogo na korytarzach. Ale wyobraź sobie, że akurat wtedy zasnąłem podczas werandowania i nie słyszałem uderzeń gongu, zszedłem o jakieś piętnaście minut za późno. W decydującej więc chwili nie byłem razem ze wszystkimi, lecz znalazłem się za kulisami, jak to nazywasz, i właśnie kiedy szedłem korytarzem, spotkałem cały pochód; mieli na sobie koronkowe komże, a jeden z nich niósł na przodzie złoty krzyż, jakby janczarskie dzwoneczki przed orkiestrą.

— Cóż to za porównanie — przerwał Hans Castorp nie bez pewnej surowości w głosie.

— Tak mi się wydało. Mimo woli przyszło mi to na myśl. Ale posłuchaj dalej. Zbliżają się do mnie szybkim krokiem, raz — dwa, raz — dwa, !zdaje się, że we trzech: na przedzie ten z krzyżem, za nim ksiądz w okularach na nosie, a z tyłu młody chłopak z kadzielnicą. Ksiądz trzymał przykryty wiatyk przy piersi i kornie pochylał głowę, bo to przecie ich największa świętość.

— Właśnie dlatego — odezwał się Hans Castorp. — Właśnie dlatego dziwię się, żeś mógł mówić o „dzwoneczkach janczarskich”.

— Tak, tak, ale gdybyś ty był świadkiem tej sceny, to także nie wiedziałbyś, jak się do niej ustosunkować, chociażby we wspomnieniu. To było coś, co może się potem przyśnić!

— Dlaczego?

— Zaczekaj. Zastanawiałem się, jak mam się zachować w tej sytuacji. Kapelusza zdjąć nie mogłem, bo go nie miałem na głowie.

— A widzisz! — przerwał mu znowu Hans Castorp. — Widzisz, że należy używać kapelusza! Od razu uderzyło mnie to, że chodzicie z odkrytymi głowami. A kapelusz trzeba wkładać na głowę, żeby go można było zdjąć, kiedy zajdzie potrzeba. Ale co było dalej?

— Stałem pod ścianą w przyzwoitej pozycji i pochyliłem się trochę, kiedy przechodzili koło mnie — było to właśnie przed drzwiami pokoju tej małej Hujus, numer dwadzieścia osiem. Wydaje mi się, że ukłon mój sprawił przyjemność księdzu; podziękował bardzo grzecznie i odkrył głowę. W tej chwili właśnie zatrzymali się, ministrant, niosący kadzielnice, zastukał, nacisnął klamkę, wpuścił swego przełożonego do pokoju i wszedł za nim. A teraz wyobraź sobie moje przerażenie i moje uczucia! W chwili kiedy ksiądz przestępował próg, usłyszałem z pokoju taki krzyk, taki wrzask, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem; krzyk ten powtórzył się trzy, cztery razy, a potem przemienił się w jeden nieprzerwany ryk, dobywając się widocznie z szeroko otwartych ust. Słysząc w nim było rozpaczą i przerażeniem, i protest, a jednocześnie tak straszliwe błaganie, że nie można tego opisać; potem nagle głos ten stał się pusty i bezdźwięczny, jak gdyby zapadł się w ziemię i wydobywał się z piwnicy.

Hans Castorp gwałtownie zwrócił się do laizyna.

— Czy to była ta Hujus? — zapytał niespokojnie. — I jak to: z piwnicy?

— Schowała się pod kołdrę — powiedział Joachim. — Wyobraź sobie, co się ze mną działo! Ksiądz stał tuż za progiem i starał się załagodzić sytuację, widzę go jeszcze: głowę już to wyciągał naprzód, już to znowu ją cofał. Człowiek z krzyżem i ministrant ciągle jeszcze nie śmieli wejść do pokoju, a ja spoza ich pleców widziałem, co się dzieje wewnątrz. Pokój był taki jak mój i twój, z łóżkiem pod ścianą na lewo od drzwi; w głowie łóżka stali ludzie, naturalnie rodzina, ojciec i matka, kierowali

jakieś uspokajające słowa w dół, w stronę łóżka. Widać w nim było tylko jakąś bezkształtną masę, która o coś zebrała, namiętnie protestowała i wierzgała nogami.

— Mówisz, że wierzgała?

— Z całej siły! Ale to nic nie pomogło, ostatnie sakramenty musiała przyjąć. Ksiądz zbliżył się do niej, jego dwaj pomocnicy weszli do pokoju i zamknęto drzwi. Ale zdążyłem jeszcze na krótką chwilę dostrzec głowę umierającej z rozrzuconymi jasnymi włosami; wpatrzyła się w księdza szeroko otwartymi, bladymi, zupełnie bezbarwnymi oczami i nagle z ponownym krzykiem schowała się pod kołdrę.

— I teraz dopiero mi to mówisz? — rzekł Hans Castorp po chwili milczenia. — Nie pojmuję, dlaczegoś mi wczoraj o tym wszystkim nie opowiedział. Ale, mój Boże, musiała mieć jeszcze dużo siły, żeby się tak bronić. Do tego przecie trzeba mieć siłę. Nie powinno się sprowadzać księdza, dopóki chory jeszcze zupełnie nie osłabł.

— Ona już była słaba... — odpowiedział Joachim. — Ach, tyle byłoby do opowiedzenia, że nie wiadomo, od czego zacząć... Była już bardzo słaba, tylko strach dodał jej nowych sił. Bała się tak straszliwie, bo zrozumiała, że musi umrzeć. Była to przecie bardzo młoda dziewczyna, więc trzeba jej wybaczyć. Ale i mężczyźni nieraz zachowują się tak samo, a to już jest niewybaczalny brak hartu. Behrens umie zresztą z takimi postępować, umie trafić we właściwy ton w tych wypadkach.

— Jakież to ton? — spytał Hans Castorp ściągając brwi.

— „Niech pan się tak nie stawia!” mówi — odparł Joachim. — Przynajmniej do kogoś tak powiedział — wiemy to od starszej siostry, która była przy tym obecna i pomagała trzymać konającego. Ten człowiek w ostatniej chwili urządził okropną scenę i w żaden sposób nie chciał umrzeć. Wtedy Behrens wrzasnął na niego: „Niech się pan z łaski swojej tak nie stawia!” — i chory w tej chwili ucichł i umarł zupełnie spokojnie.

Hans Castorp uderzył się ręką po udzie, odrzucił głowę w tył i spojrzał w niebo.

— No, wiesz, to jest okropne! —■ rzekł. — Wrzeszczy po

prostu: „Niech się pan tak nie stawia!” Do konającego! To jest straszne. Umierającemu należy się pewnego rodzaju szacunek. Nie można go przecie tak ni stąd, ni zowąd... Umierający jest pewnego rodzaju świętością, tak przynajmniej sędzę!

— Nie przeczę temu — powiedział Joachim. — Ale jeżeli się tak tchórzliwie zachowuje...

— Nie! — zawołał Hans Castorp z gwałtownością, zgoła niewspółmierną ze stawianym mu oporem. — Tego nie dam sobie wyperswadować, że umierający nie jest dostojniejszy od byle jakiego nicponia, który lata po świecie, pęka ze śmiechu, zarabia pieniądze i napycha sobie brzuch! Nie wolno! — głos jego drżał jakoś dziwnie. — Nie wolno go tak ni stąd, ni zowąd — i jego słowa zdusił nagle śmiech, który go porwał i nad nim zapanował, ów śmiech wczorajszy, wyrywający się gdzieś z głębi, wstrząsający, niepoohamowany, który mu zamknął oczy i wycisnął łyzy spod powiek.

— Pst! — syknął nagle Joachim. — Bądź cicho! — szepnął i trącił kuzyna nieznacznie w bok. Hans Castorp spojrział przez łyzy.

Drogą z lewej strony zbliżał się do nich jakiś obcy pan, niewysoki, z czarnymi włosami, z pięknie podkreconymi czarnymi wąsami, w spodniach w jasną kratę. Zrównawszy się z młodymi ludźmi, przywitał się z Joachimem — głos jego był opanowany i dźwięczny; skrzyżowawszy nogi oparł się na lasce i stanął przed Joachimem w pełnej wdzięku pozycji.

SATANA*

Wiek jego trudno było określić, musiał mieć ponad trzydzieści, a mniej niż czterdzieści lat, bo chociaż cała postać była młodzieńcza, to jednak włosy na skroniach były już przetykane srebrnymi nićmi i wyraźnie przerzedzone, a czoło podwyższały dwie wyłysiałe zatoki, wcinające się w skąpe włosy. Ubranie jego dalekie było od elegancji: miał na sobie szerokie, jasnożółtawe spodnie w kratę i zbyt długą, włochatą marynarkę z dwo-

ma rzędami guzików i z bardzo szerokimi klapami; sztywny kołnierzyk, z przodu okrągło wygięty, miał brzegi wystrzępione od częstego prania, krawat był wyświecony, a mankietów w ogóle nie nosił — Hans Castorp zauważył to po rękawach, obejmujących miękko przeguby dłoni. Pomimo to zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą wytwornego pana; inteligentny wyraz twarzy, swobodna i piękna postawa nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Ale ta mieszanina wdzięku i zaniedbania, czarne oczy i podkreślone wąsy przypominały Hansowi Castorpowi cudzoziemskich muzykantów, którzy w czasie Bożego Narodzenia obchodzili podwórza jego rodzinnego miasta i, wznosząc w górę aksamitne oczy, wyciągali miękkie kapelusze, ażeby z okien wrzucano do nich dziesięciofenigówki. „Kataryniarz!” — pomyślał. Toteż nie zdziwił się wcale, kiedy usłyszał nazwisko, które wymówił Joachim, powstając z ławki i z lekkim zakłopotaniem przedstawiając:

— Mój kuzyn Castorp — pan Settembrini.

Hans Castorp podniósł się również, a w twarzy miał jeszcze ślady poprzedniej wesołości. Włoch w grzecznych słowach poprosił, aby sobie nie przeszkadzali, zmusił ich, aby usiedli z powrotem, a sam w miłej pozie stał nadal przed nimi. Uśmiechał się patrząc na kuzynów, a szczególnie na Hansa Castorpa; z lekka ironiczne opuszczenie jednego kącika ust, tam gdzie bujny wąs pięknym łukiem wyginał się ku górze, miało jakieś specjalne działanie, w pewnym stopniu zmuszało do trzymania uwagi w napięciu i do jasności myśli i natychmiast wytrzeźwiło roześmianego Hansa Castorpa, tak że zaczął wstydzić się swego nastroju.

— Panowie są w dobrych humorach — słusznie, całkiem słusznie. Śliczny poranek! Niebo jest niebieskie, słońce się śmieje — i lekkim, zręcznym ruchem wzniosł małą, żółtawą dłoń ku niebu, rzucając tam jednocześnie skośne, wesołe spojrzenie. — Można by rzeczywiście zapomnieć, gdzie się znajdujemy.

Mówił bez obcego akcentu i tylko po starannym kształtowaniu dźwięków można było poznać w nim cudzoziemca. Wargi jego wymawiały słowa z pewnym zadowoleniem. Przyjemnie było go słuchać.

— Czy miał pan dobrą podróż? — zwrócił się do Hansa Castorpa... — Czy już panu ogłoszono wyrok? To znaczy: czy odbyła się już ponura ceremonia pierwszego badania lekarskiego? — Tutaj powinien był przerwać i zaczekać, jeśli mu zależało na odpowiedzi, bo Hans Castorp właśnie chciał się odezwać. Ale obcy pan ciągnął dalej: — Czy przeszła łagodnie? Z pana wesołości — urwał na chwilę, a grymas jego ust stał się wyraźniejszy — można by wysnuć najrozmaitsze wnioski. Ile miesięcy naznaczyli panu nasi mrukliwi sędziowie, Minos i Radamantys? — Słowa te zabrzmiały jakoś szczególnie zabawnie w jego ustach. — Czy mam zgadywać? Sześć? Czy może od razu dziewięć? Skąpi tutaj nie są.

Hans Castorp śmiał się zdziwiony, starając się sobie szybko przypomnieć, kto to byli Minos i Radamantys.

— Ależ nie, pan jest w błędzie, panie Septem...

— Settembrini — poprawił Włoch, wymawiając nazwisko wyraźnie i z wdziękiem i przy tym z humorem kłaniając się.

— Panie Settembrini — przepraszam. Nie, pan się myli, bynajmniej nie jestem chory. Przyjechałem tylko z wizytą do mojego kuzyna Ziemssena na przeciąg kilku tygodni, a przy tej sposobności chciałbym trochę odpocząć.

— Masz tobie, to pan do nas nie należy? Pan jest zdrow, pan jest tutaj tylko hospitantem, jak Odyseusz w państwie cieni? Jakaż to śmiałość schodzić w te głębie, gdzie tylko umarli błądzą bez celu.

— W głębie, proszę pana? Tutaj muszę zaoponować! Wzniosłem się przecież do was na wysokość 5 000 stóp.

— Tak się panu tylko zdawało! Daję słowo, że to było złudzenie — rzekł Włoch wykonując stanowczy ruch ręką. — Jesteśmy istotami, które pograżyły się bardzo głęboko, czy nieprawda, poruczniku? — zwrócił się do Joachima, któremu ten tytuł niemałą sprawił przyjemność; ale Ziemssen starał się to ukryć i odpowiedział w zamyśleniu:

— Myśmy tu rzeczywiście trochę zgłupieli. Ale nadejdzie czas, że przyjdziemy znowu do siebie.

— Tak, pan na pewno; pan jest przyzwoitym człowiekiem —

powiedział Settembrini. — Tak, tak, tak — powtarzał, miękko wymawiając ten wyraz i mlaskając językiem o podniebienie. — No, no, no — mówił dalej zwracając się do Hansa Castorpa i przyglądając mu się tak uważnie, że oczy jego przybrały jakiś błędny i nieruchomy wyraz. Otrząsnąwszy się, prawił po chwili dalej:

— A więc zupełnie dobrowolnie wdrapuje się pan tutaj do nas biedaków i chce pan przez pewien czas łaskawie nam towarzyszyć. To bardzo pięknie z jego strony. A jaki termin wyznaczył pan sobie? Przepraszam za moją ciekawość, ale chciałbym bardzo usłyszeć, ileż to człowiek wyznacza sobie czasu, jeżeli los jego zależy od niego samego, a nie od Radamantysa.

— Trzy tygodnie — odpowiedział Hans Castorp, niedbale, z odcieniem pewnej próżności, bo widział, że mu zazdroszczą.

— O Dio *, trzy tygodnie! Słyszał pan, poruczniku? Czy to nie jest poniekąd impertynencją powiedzieć: przyjeżdżam na trzy tygodnie i potem wracam? My tutaj, mój panie, czasu nie mierzymy na tygodnie, jeżeli mi wolno pana pouczyć. Najmniejszą jednostką czasu jest dla nas miesiąc. Szafujemy tu hojnie czasem — to jest przywilej cieni; mamy jeszcze i inne przywileje, a wszystkie tego samego gatunku. Czy mogę zapytać, jaki zawód ma pan tam na dole, albo raczej: do jakiego pan się przygotowuje? Widzi pan, że dajemy folgę naszej ciekawości, bo ciekawość jest także jednym z naszych przywilejów.

— Proszę bardzo — odparł Hans Castorp i krótko opowiedział o sobie.

■— Konstruktor okrętów! Ależ to wspaniałe! — zawołał Settembrini. — Niech pan będzie przekonany, że uważam to za wspaniałe, chociaż moje własne upodobania idą w innym kierunku.

— Pan Settembrini jest literatem — objaśnił Joachim trochę zażenowany. — Napisał do pism niemieckich wspomnienie o Carduccim, wiesz, Carducci — i zmieszał się jeszcze bardziej, bo kuzyn patrzył na niego zdziwiony, jak gdyby chciał powiedzieć: Cóż ty wiesz o Carduccim? Przypuszczam, że nie więcej ode mnie,

— To prawda — rzekł Włoch skinąwszy głową. — Miałem zaszczyt poinformować ziomków pana o życiu tego wielkiego poety i wolnomyśliciela, z chwilą gdy się ono skończyło. Znałem go osobiście. Mogę się nazwać jego uczniem. W Bolonii siedziałem u jego stóp i jemu zawdzięczam swoje wykształcenie i swój zmysł humoru. Ale mówiliśmy przed chwilą o panu. Konstruktor okrętów! Czy pan wie, że pan wciąż rośnie w moich oczach? Stał się pan nagle przedstawicielem całego świata pracy i praktycznego geniuszu!

— Ależ, proszę pana, właściwie jestem studentem i rozpoczynam dopiero.

— Tak, każdy początek jest trudny. I w ogóle każda praca, która na to miano zasługuje, jest trudna — prawda?

— Ależ tak, do diabła — powiedział Hans Castorp i widać było, że mówi to z serca.

— Nawet diabła przyzywa pan na świadka — rzekł Settembrini wznosząc brwi do góry — wcielonego szatana. A wie pan, że mój mistrz napisał hymn do niego?

— Przepraszam — odezwał się Hans Castorp — hymn na cześć diabła?

— Tak, na jego cześć. W mojej ojczyźnie przy różnych uroczystościach śpiewają go czasami. O salute, o Satana, o Ribellione, o forza vindice delia Ragione...* Cudowna pieśń. Ale to nie jest diabeł, którego pan miał na myśli, przeciwnie, ten żyje z pracą w najlepszej przyjaźni. Tamten, którego pan przyzywał i który nienawidzi pracy, bo jej się boi, jest zapewne tym innym, o którym mówią, że nie należy mu podawać nawet małego palca...

To wszystko robiło na pocziwym Hansie Castorpie jakieś dziwne wrażenie. Po włosku nie rozumiał, a reszta także była trochę niesamowita. Cała przemowa przypominała kazanie niedzielne, chociaż była wypowiedziana lekkim, żartobliwym i gawędziarskim tonem. Spojrzał na kuzyna, który wbił oczy w ziemię, a potem rzekł:

— Pan mnie zrozumiał zanadto dosłownie, proszę pana. Ten diabeł miał być tylko figurą retoryczną, zapewniam pana!

— Ktoś przecież musi być inteligentnym — powiedział Settembrini patrząc melancholijnie gdzieś w przestrzeń. Po chwili ożywił się znowu i zręcznie wracając do poprzedniego tematu, ciągnął dalej:

— Bądź co bądź mogę z pana słów wnosić, że pan wybrał sobie zawód zarówno trudny, jak godny szacunku. Mój Boże, jestem przecież humanistą, homo humanus, i nie rozumiem się na tych pomysłowych wynalazkach, chociaż jestem dla pana z całym respektem. Ale rozumiem doskonale, że teoretyczna strona pana pracy wymaga jasnej i przenikliwej myśli, a praktyka — wiele dzielności, czyż nie tak?

— Owszem, ma pan najzupełniejszą rację — odpowiedział Hans Castorp, nieświadomie starając się być bardziej wymownym. — Wymagania dnia dzisiejszego są olbrzymie, lepiej sobie wcale nie uprzytamniać, jak są wielkie, bo można by stracić odwagę. Tak, to nie żarty. A jeżeli nie należy się do najsilniejszych... Przyjechałem tu tylko z wizytą, ale nie jestem wyjątkowo silnej konstytucji i skłamałbym utrzymując, że ciężka praca bardzo mi służy. Przeciwnie, muszę przyznać, że mnie wyczerpuje. Najlepiej czuję się wtedy, kiedy nic nie robię.

— Na przykład teraz? >

— Teraz? Ach, teraz czuję się tutaj w górze jeszcze obco — jestem trochę oszołomiony, pan to rozumie?

— Ach... oszołomiony.

— Tak, źle spałem tej nocy, a na dobitkę pierwsze śniadanie było zanadto obfite... Jestem przyzwyczajony do porządných śniadań, ale dzisiejsze było dla mnie, zdaje się, zbyt sute, too rich, jak mówią Anglicy. Jednym słowem, czuję się jakoś niewyraźnie i nawet, niech pan sobie wyobrazi, nie smakowało mi cygaro! To mi się prawie nigdy nie zdarza, chyba że jestem poważnie chory — a dzisiaj rano miało zupełnie smak skóry. Musiałem je odrzucić. Nie miało sensu, żebym się zmuszał. Czy pan pali, jeżeli wolno zapytać? Nie? W takim razie nie może pan sobie wyobrazić, co to za przykrość i rozczarowanie dla kogoś, kto od wczesnej młodości pali tak chętnie jak ja...

— Nie mam w tej dziedzinie żadnego doświadczenia — od-

parł Settembrini. — Jestem jednak pod tym względem w dobrym towarzystwie. Wiele szlachetnych i trzeźwych osobistości unikało tytoniu. Carducci także go nie używał. Ale nasz Radamantys zrozumie pana dobrze. On także hołduje pańskiemu nałogowi.

— Ależ — nałogowi, proszę pana...

— Dlaczego nie? Rzeczy należy bez obawy nazywać po imieniu, to dodaje życiu mocy i polotu. Ja także mam swoje nałogi.

— A więc radca Behrens jest znawcą cygar? Nadzwyczajnie miły człowiek.

— Tak pan sądzi? A więc już go pan poznał?

— Tak, zanim wyszliśmy z domu. To było coś w rodzaju konsultacji. Ale, wie pan, sine pecunia. Od razu zauważył, że jestem trochę anemiczny, i radził mi, żebym prowadził tutaj ten sam tryb życia co mój kuzyn, a i mierzył sobie temperaturę tak jak on i dużo leżał na balkonie.

— Czyżby? — zawołał Settembrini... — Wspaniale — wołał odrzucając głowę w tył i śmiejąc się głośno. — Jak to jest w operze waszego mistrza? „Jam ptasznik biedny, dopiero z łasa przychodzę wesoły, hopsa sasa!”* To bardzo zabawne — a czy pan zastosuje się do jego rad? Ma się rozumieć, jakżeby inaczej. To wcielony diabeł, ten Radamantys! I rzeczywiście, zawsze jest wesoły, chociaż czasami ta wesołość jest nieco wymuszona. On jest skłonny do melancholii. Jego nałóg nie wychodzi mu na dobre. Zresztą inaczej nie byłby nałogiem — tytoń przyprawia go o melancholię, toteż nasza zacna siostra przełożona trzyma jego zapasy w zamknięciu i wydaje mu codziennie niewielką porcję. Zdarza się podobno, że Behrens okrada ją czasem, i to przyprawia go o melancholię. Jednym słowem, to człowiek niezrównoważony... Zna pan już także naszą siostrę przełożoną? Nie? A to szkoda! Bardzo źle pan robi, jeśli się pan nie stara jej poznać. Pochodzi ze słynnego rodu von Mylendonk, i różni się tym od medycejskiej Wenery, że w miejscu, gdzie bogini ma piersi, ona nosi krzyż...

— Cha, cha, to doskonałe! — śmiał się Hans Castorp.

— A na imię ma Adriatica.

— Jeszcze i to? — zawołał Hans Castorp... — No wie pan — to jest szczególne! Von Mylendonk, a do tego Adriatica. To brzmi tak, jak gdyby już dawno nie żyła. To przypomina wprost średniowiecze.

— Tutaj, szanowny panie — odparł Settembrini — spotka pan wiele rzeczy, które robią wrażenie czegoś średniowiecznego, jak to pan raczył nazwać. Jestem przekonany, że jedynie i wyłącznie artystyczne poczucie stylu kazało Radamantysowi uczynić to wykopalisko zarządczynią tego przybytku grozy. O, on jest artystą, nie wie pan? Maluje techniką olejną — cóż, to przecie wolno każdemu... Pani Adriatica opowiada to każdemu, kto tylko chce jej słuchać, a i innym nadto, że w połowie XIII stulecia jedna z pań Mylendonk była ksienią klasztoru w Bonn nad Renem. Ona sama musiała niedługo potem ujrzeć światło dzienne...

— Cha, cha, cha! Ale z pana kpiarz^t*

— Kpiarz? Pan chce powiedzieć: złośliwiec. Tak, jestem trochę złośliwy, ale na nieszczęście muszę swoją złośliwość marnować na takie błahostki. Przypuszczam, że pan nie jest wrogiem złośliwości, inżynierze? Według mnie jest to najskuteczniejsza broń rozsądku przeciwko mocom mroków i brzydoty. Złośliwość to duch krytyki, a krytyka rodzi postęp i uświadomienie. — I bez przejścia zaczął mówić o Petrarce, którego nazwał „ojcem czasów nowożytnych”.

— No, ale musimy iść werandować — powiedział Joachim rozsądnie.

Przez cały czas swojej przemowy Settembrini nie przestawał gestykulować; teraz wskazał na Joachima i rzekł:

— Nasz oficer spieszy się na służbę. Chodźmy, idziemy tą samą drogą — „w prawo niech idzie, kto dąży do państwa cienia mrocznego”. O, Wergiliuszu, Wergiliuszu! Panowie, on jest nie-dościgniony. Wierzę w postęp, to prawda, ale Wergiliusz mie-wa określenia, na jakie nie stać żadnego z poetów współczesnych.

Ruszyli w kierunku domu; Settembrini deklamował po drodze łacińskie wiersze wymawiając je z włoska, ale kiedy mijali ja-

kąs młodą panienkę, widocznie autochtonkę i bynajmniej nie ładną, przerwał — i z uśmiechami godnymi lowelasa zaczął nucić: — Tss, tss, tss, aj, aj, aj — la, la, la! Ach, mój śliczny robaczku? czy chcesz być moją? „Patrzcie, jak namiętym blaszkiem płonie jej spojrzenie” — cytował Bóg wie kogo i co i posłał ręką całusa zakłopotanym plecocom dziewczyny.

Cóż to za lekkoduch, pomyślał Hans Castorp i pozostał przy swoim zdaniu, kiedy Settembrini, po swej frywolnej zaczepce, znowu zaczął obmawiać bliźnich. Przyczepił się szczególnie do radcy Behrensa, wyśmiewał jego olbrzymie nogi i ironizował na temat tytułu, który Behrens otrzymał podobno od jakiegoś księcia, chorego na gruźlicę mózgu. Jeszcze dzisiaj opowiadają sobie w okolicy o skandalicznym trybie życia tego księcia, ale Radamantys umiał przymrużyć jedno oko, nawet oboje oczu, jak przystało na prawdziwego radcę dworu. A czy panowie wiedzą, że to on właśnie wynalazł letni sezon? Tak, tak, on, a nie kto inny, tę zasługę trzeba mu przyznać. Dawniej tylko najwierniejsi z wiernych wytrzymywali tu latem, ale „nasz humorysta”, dzięki niezależności i bystrości swego umysłu, doszedł do wniosku, że ten fatalny stan rzeczy jest jedynie wynikiem przesądu. Wystąpił więc z teorią, że letnia kuracja, przynajmniej jeśli chodzi o j e g o zakład, nie tylko nie jest mniej wskazana, ale przeciwnie, bardzo skuteczna, a nawet niezbędna. Twierdzenie to potrafił rozpowszechnić, pisał na ten temat popularne artykuły i umieszczał je w prasie. Od tego czasu zakład prosperuje latem tak samo jak zimą. — Geniusz! — zawołał Settembrini. — In-tu-i-cja! — I zaczął nicować po kolei wszystkie inne miejscowe zakłady, wychwalając zjadliwie praktyczny zmysł ich właścicieli. Jest tu taki pan profesor Kafka. Co roku, kiedy nadchodzi krytyczny okres topnienia śniegu i wielu pacjentów pragnie wyjechać, pan profesor musi w pilnych sprawach szybko wyjechać na tydzień i zawsze obiecuje po powrocie zwolnić swoich kuracjuszków, ale przebywa w podróży sześć tygodni, a ci nieszczęśni czekają, przy czym, nawiasem mówiąc, rachunki ich rosną. Nawet do Fiume wzywają Kafkę, ale on nie jedzie, póki mu nie zapewnią pięciu tysięcy dobrych szwajcarskich

franków, na czym schodzą jakieś dwa tygodnie, a na drugi dzień po przyjeździe naszego celebrissimo * chory umiera. Co się tyczy doktora Salzmanna, to utrzymuje on, że profesor Kafka używa brudnych strzykawek i przyprawia chorych o infekcję mieszaną. Mówią również, że Kafka jeździ na gumach, żeby go jego zmarli nie słyszeli, a Kafka znowu twierdzi, że u Salzmana zmuszają pacjentów do „rozkosznych darów winogrodu” w takich ilościach — naturalnie również w celu zaokrąglenia rachunków — że ci giną jak muchy, i bynajmniej nie na suchoty, ale na wątrobę, z powodu opilstwa...

I tak szło dalej, a Hans Castorp śmiał się serdecznie i dobroduszenie z tego nawału gotowych insynuacji. Sposób mówienia Settembriniego, wolny od naleciałości jakiegokolwiek narzecza, robił szczególnie miłe wrażenie dzięki swej czystości i poprawności. Słowa brzmiały u niego lapidarnie, czysto i świeżo, lubował się w inteligentnych i zjadliwie dobranych zwrotach, a nawet w gramatycznych odstępstwach i językowych wariantach. To jego upodobanie udzielało się słuchaczom i wywoływało nastrój wesołości, Włoch zaś miał dar tak jasnego myślenia i tyle przytomności umysłu, że ani razu nie zawiodła go jego swada.

— Pan tak uciesznie opowiada, proszę pana — rzekł Hans Castorp — tak żywo, nie wiem doprawdy, jakby to określić.

— Plastycznie, co? — odpowiedział Włoch wachlując się chusteczką, aczkolwiek było dość chłodno. — O ten wyraz chodzi panu, prawda? Mam plastyczny sposób opowiadania, to pan chciał powiedzieć. Ale uwaga, panowie! — zawołał nagle. — Co widzę! Tam oto kroczą nasi sędziowie piekielni! Co za widok!

Minęli już zakręt. Nie wiadomo, czy to dzięki wymowie Settembriniego, czy wskutek spadzistości terenu, czy też może dlatego, że oddalili się od zakładu o wiele mniej, niż to się wydawało Hansowi Castorpowi — droga bowiem wydaje się znacznie dłuższa, gdy się ją raz pierwszy przebywa — dość że wrócili zdumiewająco prędko. Settembrini nie mylił się: na tyłach sanatorium, wzdłuż budynku, szybkim krokiem szli obaj lęka-

rze — na przodzie, wiosłując rękami, spieszył radca w białym chałacie i z grubym karkiem, a w ślad za nim, w czarnym fartuchu, dr Krokowski, tym bardziej nadęty, że zwyczaj kliniczny nakazywał mu przy takich służbowych okazjach chodzić za szefem.

— A, Krokowski! — zawołał Settembrini. — Chodzi tu sobie, a zna wszystkie tajemnice naszych pań. Proszę tylko zwrócić uwagę na symbolikę jego ubrania: odziewa się czarno, żeby zaznaczyć, że noc jest właściwą dziedziną jego studiów. Człowiek ten ma w głowie tylko jedną jedyną myśl, a ta jest sprośna. Inżynierze, to dziwne, żeśmy jeszcze o nim nie rozmawiali! Pan go już przecież zna?

Hans Castorp potwierdził.

— No i co? Zaczynam przypuszczać, że i on się panu spodobał.

— Sam dobrze nie wiem, proszę pana. Zetknąłem się z nim tylko przelotnie, a przy tym nie jestem zbyt pochopny do wydawania sądów o ludziach. Patrę na nich i myślę: „A więc taki jesteś? No, dobrze”.

— To nie ma sensu — odrzekł Settembrini — należy sądzić. Po to natura dała panu oczy i rozum. Powiedział pan przedtem, że mówię złośliwości, ale jeżeli tak, jest, to czynię to nie bez pewnych zamiarów pedagogicznych. My, humaniści, wszyscy mamy żyłkę pedagogiczną. Tak, moi panowie, historyczna łączność humanizmu z pedagogiką dowodzi ich związku psychologicznego. Nie należy odbierać humaniście prawa wychowywania — nie można mu tego odebrać, bo w nim tylko żyje tradycja o godności i piękności człowieka. On to zajął ongi miejsce duchownego, który w czasach ciemnoty i nienawiści ośmielał się być przywódcą młodzieży. Historia nie stworzyła dotąd innego typu wychowawcy: może pan mnie nazwać wstecznikiem, ale w zasadzie, in abstracto, proszę mnie dobrze rozumieć, jestem stanowczo zwolennikiem gimnazjum humanistycznego.

Jeszcze w windzie rozwijał swoje poglądy i zamilkł dopiero wtedy, kiedy kuzyni na drugim piętrze wyszli na korytarz. On

Sam jechał na trzecie, gdzie, jak poinformował Castorpa Joachim, zajmował mały pokój od podwórza.

— Widocznie nie ma pieniędzy? — zapytał Hans Castorp, idąc z Joachimem.

Pokój kuzyna urządzony był zupełnie jak jego własny.

— Tak — powiedział Joachim — pieniędzy nie ma albo najwyżej tyle, ile potrzeba tutaj na pokrycie najkonieczniejszych wydatków. Jego ojciec był już także literatem, a zdaje mi się, że i dziadek również.

— No, więc to zrozumiałe — rzekł Hans Castorp — a czy on jest poważnie chory?

— O ile wiem, nie jest to choroba niebezpieczna; ale uporczywa. On to ma już od lat, raz nawet wyjechał, ale szybko musiał powrócić.

— Biedak! Zwłaszcza że tak bardzo chce pracować. Jest przy tym nadzwyczajnie rozmowny i tak łatwo przechodzi z tematu na temat. Z tą panią był zresztą trochę bezczelny, czułem się nawet przez chwilę zażenowany. Ale to, co mówił potem o godności ludzkiej, brzmiało doskonale, zupełnie jak przemówienie na jakiejś uroczystości. Czy często z nim się spotykasz?

BYSTROŚĆ UMYŚLU

Ale Joachim z trudnością już tylko i niewyraźnie mógł odpowiedzieć. Z czerwonego, skórzanego futerału, wyłożonego wewnątrz aksamitem, wyjął był krótki termometr i włożył do ust jego dolny koniec, napełniony rtęcią. Wsunął go z lewej strony pod język, tak że szklany instrument sterczał mu z ust ukośnie w górę. Mierzac temperaturę zmienił obuwie i włożył kurtkę, skrojoną na wzór bluzy wojskowej dawnego typu, wziął ze stołu drukowaną tabelkę wraz z ołówkiem oraz książkę: rosyjską gramatykę, bo uczył się tu rosyjskiego, ażeby, jak utrzymywał, mieć z tego korzyść na służbie. Tak uzbrojony wszedł na balkon i położył się na leżaku, narzuciwszy sobie na nogi koc z wielbłądziej sierści.

Właściwie było to prawie zbyteczne. W ciągu ostatniego kwadransa chmury przerzedziły się i spoza nich wyjrzało słońce, tak gorące i jasne, że chroniąc się przed nim Joachim rozpiął nad głową biały płócienny parasol, przymocowany do poręczy leżaka i za pomocą pomysłowego mechanizmu nastawiany zależnie od położenia słońca. Hans Castorp pochwalił to urządzenie. Czekał na wynik mierzenia rozglądając się wokoło, obejrzał też worek na futrze, leżący w kącie loggii (Joachim używał go, kiedy było zimno) i, wsparty łokciami o barierę, spoglądał w dół, gdzie we wspólnej leżalni w ogrodzie spoczywało wielu pacjentów, rozmawiając, czytając i pisząc. Widziało się stąd zresztą tylko jej część, pięć czy sześć leżaków.

— Jak długo to trwa właściwie? — zapytał Hans Castorp i zwrócił się do kuzyna.

Joachim podniósł w górę siedem palców.

— Ależ siedem minut już chyba minęło!

Joachim potrząsnął głową. Po chwili wyjął z ust termometr, obejrzał go i rzekł:

— Tak, jeżeli się zwraca nań uwagę, czas płynie bardzo powoli. Mierzę sobie temperaturę cztery razy dziennie i bardzo lubię to zajęcie, bo spostrzega się przy tym, czym właściwie jest minuta, a tym bardziej całych siedem minut; cóż dziwnego, że siedem dni tygodnia wydają się tutaj wiecznością.

— Mówisz „właściwie”. „Właściwie” powiedzieć nie można — odparł Hans Castorp. Siedział bokiem na barierze, a białka jego oczu pokryte były siecią czerwonych żyłek. — Czasu w ogóle nie ma „właściwie”. Jeżeli się komuś dłuży, płynie wtedy powoli, jeżeli przeciwnie, to upływa prędko, ale przecież nikt nie wie, z jaką szybkością biegnie w rzeczywistości. — Hans Castorp nie zwykł był filozofować, a jednak pociągało go to.

Joachim zaprzeczył:

— Jak to! Czas przecież mierzymy. Mamy zegary i kalendarz, i miesiąc, który upłynął, upłynął tak samo dla ciebie, jak dla mnie i dla nas wszystkich.

— A więc uważaj — powiedział Hans Castorp i nawet podniósł do góry palec wskazujący. — Minuta trwa według ciebie

tak długo, jak ci się to wydaje, kiedy sobie mierzysz temperaturę?

— Minuta trwa tak długo... jest czasem, którego potrzebuje wskazówka sekundnika, żeby dokonać całego swego obrotu.

— Ależ ona potrzebuje właśnie raz krótszego, a kiedy indziej dłuższego czasu — z naszego punktu widzenia! I rzeczywiście... to znaczy, w rzeczywistości — powtórzył Hans Castorp i tak mocno przycisnął palec wskazujący do nosa, że go zupełnie przekrzywił — jest to ruch, ruch przestrzenny, prawda? Zaraz, czekaj! Czas mierzymy zatem przestrzenią, ale to jest tak samo, jak gdybyśmy przestrzeń chcieli mierzyć czasem, co robią przecież tylko ludzie zupełnie niewykształceni. Z Hamburga do Davos jest dwadzieścia godzin — no tak, kolejną; ale ile będzie na piechotę? A w myśli? mniej niż sekunda!

— Słuchaj no — rzekł Joachim — co ci jest właściwie? Zdaje mi się, że pobyt tu u nas ci nie służy.

— Cicho bądź! Czuję, że myślę dziś szczególnie bystro. Czym jest właściwie czas? — zapytał Hans Castorp i przegiął tak silnie swój nos, że jego koniec zbiegł i cała krew zeń uciekła. — Czy możesz mi na to odpowiedzieć? Przestrzeń spostrzegamy przecież za pomocą naszych organów zmysłowych, za pomocą wzroku i dotyku. No, dobrze. Ale co właściwie jest naszym organem czasu? Czy możesz mi go wymienić? Widzisz, tu zapędziłem cię w koziego róg. Ale jakżeż możemy chcieć mierzyć coś, o czym, ściśle mówiąc, nic nie wiemy, czego żadnej, absolutnie żadnej cechy nie znamy! Mówimy: czas upływa. Pięknie, niech sobie upływa, ale ażeby móc go mierzyć... Zaraz! Ażeby być wymierzalnym, musiałyby przecież płynąć jednostajnie, a gdzie jest napisane, że tak właśnie się dzieje? Dla naszej świadomości na pewno tak nie jest, a przyjmujemy to tylko gwoli ładu i nasze miary to przecież tylko konwencja... Pozwól mi...

:— Dobrze — rzekł Joachim — w takim razie jest też tylko konwencją, że mam tu na termometrze o cztery kreski za dużo! Ale przez te pięć kresek muszę się tutaj mordować i nie mogę pełnić służby. To jest obrzydliwe!

— Masz 37,5?

— Teraz już znowu spada. — I Joachim wpisał cyfrę do swojej tabelki. — Wczoraj, wskutek twojego przyjazdu, miałem prawie 38. Wszyscy, do których przyjeżdżają goście, mają podwyższoną temperaturę. A jednak to jest dobrodziejstwo.

— Pójdę sobie już — rzekł Hans Castorp. — Mnóstwo myśli o czasie chodzi mi jeszcze po głowie — cały kompleks, mogę powiedzieć. Nie chcę cię jednak teraz tym męczyć, i tak masz za wiele kresek. Zapamiętam wszystko i później będziemy mogli powrócić do tego, może po drugim śniadaniu. Zawołaj mnie, kiedy będzie czas na śniadanie, a teraz także pójdę się położyć, to przecież, chwała Bogu, nie boli. — Tak mówiąc, przeszedł między barierą a szklaną przegrodą do swojej loggii, gdzie również stał leżak i stolik; z pokoju, w którym zrobiono już wzorowy porządek, wziął sobie *Ocean steamships* oraz swój ładny miękki pled w ciemnoczerwonej i zielonej kostkę i wyciągnął się.

Wkrótce i on musiał rozpiąć parasol, bo w czasie leżenia słońce stawało się nieznośne. Hans Castorp z przyjemnością zauważył od razu, że leżało się nadzwyczaj wygodnie, nigdy w życiu nie widział jeszcze tak doskonałego leżaka. Szkielet jego o trochę staromodnym kształcie — co jednak było zamierzone, a nie przypadkowe, bo mebel wyglądał na nowy — wykonany był z politurowanego drzewa barwy czerwonawobrunatnej, a materac, pokryty miękkim kretonem, składał się z trzech wysokich poduszek i sięgał od nóg aż powyżej pleców. Poza tym pod głowę przymocowany był za pomocą sznura wałek w haftowanej płócienną poszewce, który nie był ani za twardy, ani za miękki i miał jakieś wyjątkowo kojące działanie. Hans Castorp oparł jedną rękę o szeroką, gładką poręcz i leżał z przymrużonymi oczami, nie zajmując się wcale swoimi *Ocean steamships*. Surowy i nagi, ale jasno oświetlony krajobraz widziany poprzez łuki loggii, wyglądał jak obraz w ramie. Hans Castorp przyglądał mu się w zamyśleniu. Nagle coś sobie przypomniał i odezwał się głośno:

— To była karlica, ta, co nam rano podawała.

— Psst! — syknął Joachim. — Ciszej. Tak, karlica, więc cóż z tego?

— Nic, tylko jeszcze nie mówiliśmy o tym.

I marzył dalej. Kiedy się położył, była dziesiąta. Od tego czasu przeszła godzina. Była to zwykła godzina, niedługa i niekrótka. Nagle w ogrodzie i w domu rozległy się dźwięki gongu, najpierw daleko, potem bliżej, potem znowu dalej.

— Śniadanie — rzekł Joachim i słychać było, że wstaje. Hans Castorp podniósł się także i wszedł do pokoju, żeby się trochę ogarnąć. Kuzyni spotkali się na korytarzu i razem zeszli na dół. Hans Castorp odezwał się:

— Wiesz, odpocząłem znakomicie. Co to są za leżaki? Jeżeli można je tutaj dostać, to zabiorę sobie jeden do Hamburga; czułem się na nim jak w niebie. A może Behrens kazał je zrobić według własnych swych wskazówek?

Joachim nie umiał na to odpowiedzieć. Zdjęli palta i weszli razem po raz drugi do jadalni, gdzie całe towarzystwo posilało się już na dobre.

W sali było białe od mleka: przy każdym nakryciu stała pełna, prawie półlitrowa szklanka.

— Nie — rzekł Hans Castorp siadając na swoim miejscu pomiędzy szwaczką a Angielką i rozkładając z rezygnacją na kolanach serwetę, chociaż czuł się jeszcze bardzo syty po pierwszym śniadaniu. — Nie, na Boga, mleka w ogóle pić nie mogę, a już wcale nie teraz. Czy nie ma przypadkiem portera? — zapytał grzecznie karlicy. Niestety, portera nie było. Ale obiecała podać mu piwo kulmbacheńskie i rzeczywiście natychmiast je przyniosła. Było gęste, czarne, z brązową pianą i doskonale zastępowało portera. Hans Castorp pił chciwie z wysokiej półlitrowej szklanki. Jadł do tego zimne mięso na grzankach. Znowu podawano kaszę owsianą, a na stole stało dużo masła i owoców. Hans Castorp spojrzał tylko na to wszystko, bo nie był w stanie jeść. Przyglądał się również kuracjuszom; nie byli już dla niego zwartym tłumem i odróżniał poszczególne osoby.

Stół jego był ściśle obsadzony, z wyjątkiem jednego miejsca naprzeciw niego, po wąskiej stronie stołu; powiedziano mu, że jest to miejsce doktora. Bo o ile im czas pozwalał, doktorzy brali udział w ogólnych posiłkach, siadając przy coraz to innym

stole: przy każdym było jedno takie miejsce dla nich zarezerwowane. Teraz nie było żadnego z nich obu; mówiono, że są zajęci przy operacji. Znowu ukazał się ów młody człowiek z wąsami, opuścił głowę na piersi i usiadł na swym miejscu, z zatroskaną i zamyśloną miną. Znowu była tu owa jasna, szczupła blondynka i jadła łyżką jogurt, jak gdyby nic innego jeść nie mogła. Obok niej siedziała tym razem jakaś mała i ruchliwa starsza pani; mówiła coś po rosyjsku do milczącego młodzieńca, który smutno na nią spoglądał i odpowiadał tylko skinnieniem głowy, przybierając wyraz twarzy człowieka, który ma w ustach coś niesmacznego. Naprzeciwko Hansa Castorpa po drugiej stronie starszej pani siedziała młoda ładna dziewczyna z kwitnącą cerą i wysokimi piersiami, z kasztanowatymi, ładnie sfalowanymi włosami, okrągłymi, piwnymi, dziecinnymi oczami i z niewielkim rubinem na palcu. Dużo się śmiała i mówiła również tylko po rosyjsku. Hans Castorp usłyszał, że na imię było jej Marusia. Zauważył też, że Joachim miał poważny wyraz twarzy i spuszczał oczy, kiedy się śmiała i mówiła.

Przez boczne drzwi wszedł Settembrini i podkrecając wąsa zmierzał ku swojemu miejscu przy stole stojącym pod kątem do stołu Hansa Castorpa. Gdy usiadł, sąsiedzi jego wybuchnęli głośnym śmiechem: prawdopodobnie powiedział coś złośliwego. Hans Castorp rozpoznał również członków „Stowarzyszenia Jednego Płuca”. Hermina Kleefeld ze swymi głupimi oczami zdążyła do stołu umieszczonego przed drzwiami na werandę i ukłoniła się młodzieńcowi z wywiniętymi wargami, który przedtem tak nieprzystojnie podniósł swoją kurtkę. Błada jak z kości słoniowej panna Levi siedziała obok tłustej pani Iltis z wątrobianymi plamami na twarzy, w gronie obcych osób przy stole, który stał w poprzek pokoju, na prawo od Hansa Castorpa.

— Widzisz, to są twoi sąsiedzi — szepnął Joachim nachylając się do swego kuzyna... Rosyjskie małżeństwo przechodziło właśnie tuż koło Hansa Castorpa w kierunku ostatniego stołu na prawo, „gorszego stołu rosyjskiego”, przy którym już jakaś rodzina z brzydkim chłopcem pochłaniała całe góry kaszy. Mąż

był szczupły, jego policzki były ziemiste i zapadłe. Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, a na nogach niezgrabne filcowe buciki zapinane na klamry. Małżonka jego, również niska i drobna, w kapeluszu z powiewającymi piórami, szła obok niego drobnymi kroczkami w juchtowych bucikach na wysokich obcasach. Brudne bca z ptasich piór owijało jej szyję. Hans Castorp przyglądał się im z obcą sobie bezwzględnością, która jemu samemu wydała się brutalna; ale właśnie ta brutalność sprawiała mu pewną nieoczekiwaną przyjemność. Patrzył na nich tępym i jednocześnie zaczepnym spojrzeniem. W tej samej chwili z trzaskiem i brzękiem zamknęły się za kimś drzwi; ale Hans Castorp nie wstrząsnął się, jak przy pierwszym śniadaniu, tylko lekko się skrzywił, a kiedy chciał zwrócić głowę w tę stronę, stwierdził, że przychodzi mu to z trudem i że nie warto się męczyć. Tak więc i tym razem nie dowiedział się, kto tak niedbale obchodzi się z drzwiami.

Pochodziło to stąd, że piwo, które zwykle z lekka go tylko otumaniało, dzisiaj zupełnie go oszołomiło i sparaliżowało — tak jak gdyby go kto silnie uderzył po głowie. Powieki ciążyły mu jak ołów, a język nie mógł sprostać myślom, kiedy młody Castorp chciał być grzecznym i rozmową zabawiać siedzącą obok niego Angielkę. Trudno mu nawet było odwrócić spojrzenie, a na domiar złego wypieki na twarzy paliły go równie mocno jak wczoraj; wydawało mu się, że ma spuchnięte policzki, oddychał z trudem, serce biło mu głucho, niby owinięty w jakąś tkaninę młotek, a jeżeli skutkiem tego wszystkiego nie bardzo cierpiał, to tylko dlatego, że czuł się jak gdyby po lekkiej dawce chloroformu. Zaledwie jak przez sen spostrzegł, że dr Krokowski przecież jeszcze zdążył przyjść na śniadanie i usiadł przy jego stole, chociaż doktor raz po raz uważnie mu się przyglądał, rozmawiając jednocześnie po rosyjsku z paniami po swojej prawej ręce — przy czym młode panienki, mianowicie kwitnąca Marusia, jak również wychudzona amatorka jogurtu, pokornie i wstydliwie spuszczały oczy. Zresztą Hans Castorp zachowywał się — rzecz jasna — zupełnie przyzwoicie, milczał, ponieważ język odmawiał mu posłuszeństwa, a nożem i widel-

cem manipulował z pewną nawet elegancją. Skoro zaś kuzyn skinął na niego i podniósł się z miejsca, wstał również, nie patrząc ukłonił się współbiesiadnikom i pewnym krokiem wyszedł za Joachimem.

— Kiedy znowu idziemy werandować? — zapytał, gdy wyszli z domu. — Widzę, że nie ma tutaj nic przyjemniejszego. Chciałbym się już znowu wyciągnąć na swoim świetnym leżaku. Czy idziemy na daleką przechadzkę?

O JEDNO SŁOWO ZA WIELE

— Nie — odrzekł Joachim — nie wolno mi chodzić daleko. O tej porze, o ile mam czas, schodzę trochę na dół przez Davos-Wieś do Uzdrowiska. Oglądam sklepy, ludzi, kupuję, czego mi potrzeba. Przed obiadem leżymy tu jeszcze godzinę, a potem znowu do czwartej — bądź o to spokojny.

Szli w blasku słońca w dół drogą wjazdową, przeszli ponad strumieniem, przecięli wąski tor kolejowy, mając przed oczami kolosy gór, z prawej strony zamykające dolinę: „Schiahorn”, „Zielone Wieże” i „Dorfberg”, jak objaśniał Joachim. Na pewnej wyniosłości widać stąd było cmentarz należący do Davos-Wsi, który Joachim wskazał mu końcem laski. Wkrótce znaleźli się na głównej drodze, biegnącej na wysokości jednego piętra ponad dnem doliny, wzdłuż zbocza opadającego tarasami.

Chociaż miejscowość nazywała się Davos-Wieś, o wsi właściwie nie mogło być mowy, pozostała z niej tylko nazwa. Uzdrowisko pochłonęło ją całkowicie, rozbudowując się stale w kierunku doliny — tak że ta część całego osiedla, która się nazywała Wsią, przechodziła niepostrzeżenie w Davos-Uzdrowisko. Po obu stronach drogi stały hotele i pensjonaty, wszystkie z licznymi krytymi werandami, balkonami i leżalniami, a również małe domki prywatne, w których można było wynajmować pokoje. Tu i ówdzie widać było nowe budowle, w niektórych miejscach droga była nie zabudowana i otwierał się widok na zielone łąki doliny...

Hans Castorp zatęsknił za tym, co stanowiło dlań jeden z uroków życia, i znowu zapalił cygaro; tym razem, prawdopodobnie dzięki działaniu wypitego przed chwilą piwa, ku swemu wielkiemu zadowoleniu zdołał pochwycić coś niecoś z upragnionego aromatu; co prawda, udawało mu się to w słabym stopniu i nie za każdym pociągnięciem — trzeba było pewnego wysiłku nerwów, aby zdobyć jakie takie zadowolenie, bo ohydny smak skóry nadal wybijał się na pierwszy plan. Nie chcąc złożyć broni walczył przez chwilę o przyjemność, która bądź mu się wymykała, bądź też z daleka ukazywała szydyczko i w sposób mglisty; wreszcie, zmęczony swą niemocą, z obrzydzeniem odrzucił cygaro. Pomimo fatalnego samopoczucia uważał za swój obowiązek bawić kuzyna rozmową i w tym celu starał się przypomnieć sobie doskonale uwagi, które miał zamiar poprzednio wygłosić o czasie. Ale okazało się, że cały „kompleks” bez reszty wypadł mu z pamięci i nie mógł znaleźć w głowie ani jednej myśli dotyczącej czasu. Zaczął za to mówić o rzeczach cielesnych, i to jakoś dziwnie.

— Kiedy sobie drugi raz mierzysz? — zapytał. — Po obiedzie? Tak, to jest słuszne, bo organizm pracuje wtedy najintensywniej, więc to musi wystąpić na jaw. Mówiąc, że i ja mam sobie mierzyć temperaturę, Behrens chyba żartował — przecież Settembrini śmiał się z tego do rozpuku, bo to zupełnie nie miałyby sensu. Zresztą nie mam nawet termometru z sobą.

— To jest najmniejsza przeszkoda — powiedział Joachim. — Mógłbyś tu sobie kupić. Tutaj prawie w każdym sklepie można dostać termometr.

— Ależ po co? Werandować to co innego, to mogę przy sposobności, ale mierzyć temperaturę byłoby dla hospitanta za wiele. To już pozostawiam wam tutaj w górze. Gdybym tylko mógł wiedzieć — ciągnął Hans Castorp, ruchem zakochanego przyciskając obie ręce do serca — dlaczego mam ciągle bicie serca; to mnie tak niepokoi, muszę wciąż o tym myśleć. Serce gwałtownie bije zawsze wtedy, kiedy czeka kogoś jakaś wielka radość albo kiedy człowiek się lęka, słowem, przy jakichś wzruszeniach. Ale jeżeli serce bije komuś samo z siebie, bez

żadnego powodu i sensu i, że tak powiem, na własną rękę, jest wtedy w tym coś niesamowitego; staraj się mnie zrozumieć — to tak jak gdyby ciało kroczyło swoimi własnymi drogami, zupełnie niezależnie od duszy, podobnie jak ciało umarłego; i ono przecież nie jest naprawdę martwe — nic podobnego nie istnieje — ale żyje nadal bardzo intensywnie, i to na własną rękę: rosną mu jeszcze włosy i paznokcie, a i poza tym pod względem fizykalnym i chemicznym panuje w nim, jak słyszałem, bardzo żywy ruch.

— Cóż to za wyrażenie — rzekł Joachim, strofując. Była to poniekąd może zemsta za napomnienie, które otrzymał dzisiaj rano z powodu „dzwoneczków janczarskich”.

— Ale tak przecie jest naprawdę! To jest bardzo żywy ruch! Dlaczego cię to razi? — spytał Hans Castorp. — Zresztą wspominałem o tym mimochodem. Chciałem tylko powiedzieć, że jest w tym coś niesamowitego i męczącego, kiedy ciało żyje na własną rękę, niezależnie od duszy, i robi się ważne, jak przy takim nieumotywowanym biciu serca. Po prostu szuka się jakiegoś powodu, jakiegoś wzruszenia, które mogłoby to wywołać, jakiegoś uczucia radości czy lęku, które mogłoby, że tak powiem, usprawiedliwić ten stan — tak przynajmniej ja to odczuwam, mówię tylko o sobie.

— Tak, tak — rzekł Joachim z westchnieniem — podobnie jest przy gorączce, wtedy w ciele również panuje bardzo żywy ruch, by użyć twojego wyrażenia, i może być, że mimo woli doszukujemy się wtedy jakiegoś wzruszenia, które by nadało choć odrobinę sensu temu żywemu ruchowi... Ale mówimy o takich przykrych rzeczach — rzekł drżącym głosem i nagle urwał. Hans Castorp wzruszył tylko ramionami, i to zupełnie tak samo, jak to czynił wczoraj wieczór Joachim.

Szli przez chwilę w milczeniu. Po chwili Joachim zapytał:

— Jak ci się podobają tutejsi goście, ci przy naszym stole?

— Mój Boże — odparł Hans Castorp, robiąc przy tym bawczwą i obojętną minę — nie są chyba bardzo zajmujący. Wydaje mi się, że przy innych stołach są bardziej interesujący. Ale może to tylko złudzenie. Pani Stóhr powinna sobie umyć

włosy, ma takie tłuste. A ta Mazurka, czy jak jej tam, wydaje mi się trochę głupia. Ciągłe chichoce i przy tym zatyka sobie usta chustką do nosa.

Joachima rozśmieszyło to przekręcenie imienia.

— Mazurka — to,, doskonale! — zawołał. — Nazywa się Marusia, jeśli nie masz nic przeciw temu — to jest tyle co Maria. Tak, ona jest naprawdę za mało opanowana, a ma wszelkie powody po temu, żeby zachowywać się z umiarem, bo jest poważnie chora.

— Nie widać tego po niej — powiedział Hans Castorp. — Wygląda świetnie, a szczególnie trudno uwierzyć, że jest pierśowo chora. — To mówiąc, spojrzął porozumiewawczo na kuchynia, ale spostrzegł, że opalona twarz Joachima miała jakiś wygląd plamisty, jak zwykle opalone twarze, kiedy krew z nich odpływa; usta jego wykrzywił przy tym żalospny grymas, który przeraził Hansa Castorpa i skłonił do natychmiastowej zmiany tematu; zaczął więc dopytywać się o inne osoby, starając się wymazać z pamięci Marusię i wyraz twarzy Joachima, co mu się zresztą w zupełności udało.

Angielka, która piła odwar z głogu, nazywała się miss Robinson. „Szwaczka" nie była wcale szwaczką, lecz nauczycielką państwowej szkoły średniej dla dziewcząt w Królewcu, i to było powodem jej poprawnego sposobu wysławiania się. Nazywała się panna Engelhart. Co do ruchliwej starszej pani, to Joachim, chociaż od dawna mieszkał tutaj na górze, nie znał jej nazwiska. W każdym razie była cioteczną babką amatorki jogurtu, której stale towarzyszyła w sanatorium. Ale najciężej chorym przy ich stole był dr Blumenkohl, Leon Blumenkohl z Odessy — ów młodzieniec z wąsami, zatroskany i zamknięty w sobie. Przebywał już tu od lat...

Szli teraz miejskim chodnikiem — była to główna ulica miejscowości, do której zjeżdżało się towarzystwo o charakterze niewątpliwie międzynarodowym. Spotykali przechadzających się kuracjuszków, przeważnie młodych ludzi, eleganckich panów w sportowych ubraniach i bez kapeluszy, panie w białych spódnickach i również z odkrytymi głowami. Słyszało się język

rosyjski i angielski. Po obu stronach ciągnęły się rzędem ładne wystawy sklepowe i Hans Castorp, którego ciekawość walczyła ze znużeniem, zmuszał się do patrzenia, zatrzymał się nawet dłuższą chwilę przed magazynem mód męskich i stwierdził, że wystawa jest na wysokim poziomie.

Potem doszli do rotundy z krytą galerią, w której grała orkiestra. Był to Kurhauz. Na kilku kortach grano w tenisa. Długonodzy, wygoleni młodzieńcy w doskonale zaprasowanych flanelowych spodniach, na gumowych podeszwach i z odwiniętymi rękawami, grali z opalonymi i biało ubranymi pannami, które przeżyły się w biegu, ażeby wysoko w powietrzu odbić białą jak kreda piłkę. Nad dobrze utrzymanymi placami unosił się tuman drobniotkiego kurzu. Kuzyni usiedli na jednej z wolnych ławek, ażeby przyglądać się grze i krytykować.

— Nie grywasz tu zupełnie? — spytał Hans Castorp.

— Nie wolno mi — odparł Joachim. — My musimy leżeć, wiecznie leżeć... Settembrini powiada, że żyjemy w pozycji poziomej, że uprawiamy poziome rzemiosło * — to jeden z jego kiepskich dowcipów. Ci, którzy tu grają, są zdrowi albo też czynią to wbrew zakazowi. Zresztą nie grają przecież poważnie, raczej dla włożenia kostiumu... A co się tyczy zakazów, to jest więcej rzeczy zabronionych, które się tutaj uprawia, np. poker, a w niektórych hotelach nawet petits chevaux * — u nas za to wyrzucają, bo to ma być najszkodliwsze, ale niektórzy wymykają się po wieczornej kontroli i grają. Ów książę, od którego Behrens otrzymał swój tytuł, podobno robił to zawsze.

Hans Castorp ledwie mógł słuchać. Usta miał otwarte, bo trudno mu było oddychać przez nos, chociaż nie miał kataru. Doznawał niejasnego uczucia przykrości, że rytm jego serca walczyło jak młotem, nie zgadzało się z rytmem muzyki. I wśród tego poczucia wewnętrznego nieładu i sprzeczności zmorzyła go senność, ale Joachim wstał i przypomniał, że trzeba wracać.

W milczeniu zmierzali ku domowi. Hans Castorp potknął się kilka razy na równej drodze i uśmiechał się żałośnie z tego powodu. Kulawy służący zawiózł ich windą na górę. Z krótkim „do widzenia” rozstali się przed numerem trzydziestym czwar-

tym. Hans Castorp przeszedł przez pokój na werandę i, tak jak stał, runął na leżak. Nie zmieniając nawet przypadkowo obranej pozycji pograżył się w półsen, czując wciąż przy tym przykre i niespokojne bicie serca.

NATURALNIE, KOBIETA!

Jak długo spał, nie wiedział. Kiedy nadszedł właściwy czas, zadźwięczał gong, ale nie wzywał jeszcze do jedzenia, napominał tylko, żeby się przygotować; a ponieważ Hans Castorp o tym wiedział, więc leżał dalej, póki dźwięk metaliczny nie zabrzmiał po raz wtóry i nie ucichł. Kiedy Joachim przyszedł po niego, Hans Castorp chciał się przebrać, ale Joachim już na to nie pozwolił. Nienawidził niepunktualności i gardził nią. Czy można dojść do czegoś w życiu i wyzdrowieć, ażeby móc służyć w wojsku — tak mówił — jeżeli nie ma się nawet dość siły woli, aby nie spóźnić się na obiad. Naturalnie, miał rację, i Hans Castorp mógł tylko zauważyć, że nie jest przecie chory, natomiast w najwyższym stopniu śpiący. Umył prędko tylko ręce i po raz trzeci tego dnia zeszli do sali jadalnej.

Goście wchodzili przez oba wejścia, a nawet z drugiej strony, przez drzwi od werandy, które teraz były otwarte; wkrótce zajęli wszystkie miejsca przy siedmiu stołach, tak jak gdyby wcale nie byli wstawali; takie przynajmniej wrażenie odniósł Hans Castorp — wrażenie, ma się rozumieć, całkiem bezpodstawne i niedorzeczne, któremu jednak w swym odurzeniu nie umiał się przez chwilę oprzeć, a które sprawiało mu nawet pewną przyjemność; w każdym razie kilkakrotnie w ciągu obiadu starał się je przywołać z powrotem i za każdym razem złudzenie było zupełne. Ruchliwa starsza pani wgadywała coś nadal, niewyraźnie jak zwykle, w siedzącego po drugiej stronie stołu doktora Blumenkohla, który słuchał z miną zatroskaną. Jej szczupła siostrzenica jadła wreszcie coś innego niż jogurt, mianowicie gęstą zupę *creme d'orge**, roznoszoną na talerzach przez kelnerki; ale po kilku łyżkach odsunęła talerz, nie tyka-

jąc reszty. Ładna Marusia tłumiała swój chichot, wtykając do ust chusteczkę, z której rozchodził się pomarańczowy zapach. Miss Robinson czytała te same, okrągłym pismem skreślone listy, które czytała już dzisiaj rano. Widocznie nie umiała ani słowa po niemiecku i nie chciała się nauczyć. Joachim, jako grzeczny kawaler, powiedział jej po angielsku, coś o pogodzie, ale ona, żując, coś tylko odburknęła i znowu pogrzyżyła się w milczeniu. Co się tyczy pani Stóhr w szkockiej bluzce wełnianej, to była dzisiaj przed południem badana i opowiadała o tym, niekulturalnie się krygując i wyszczerzając zajęcze zęby. Z prawej strony u góry, skarżyła się, ma jeszcze szmery, a poza tym pod lewą łopatką dźwięk jest jeszcze bardzo skrócony, więc „stary” powiedział, że jeszcze pięć miesięcy musi tu zostać.

Tak była nieogładzona, że radcę dworu Behrensa nazywała „starym”. Poza tym oburzała się, że „stary” nie siedzi dzisiaj przy jej stole. Z „tournee” wynikałoby (miała na myśli prawdopodobnie „turnus”), że dzisiaj jest kolej na jej stół, a tymczasem „stary” znowu usiadł przy sąsiednim stole z lewej strony (radca Behrens siedział tam rzeczywiście, splótnszy przed talerzem swoje wielkie dłonie). Ale to jest zupełnie zrozumiałe, mówiła, bo tam jest miejsce tej grubej pani Salomon z Brukseli, która nawet w powszedni dzień dekoltuje się do obiadu, a „staremu” widocznie to się podoba, chociaż ona, pani Stóhr, nie pojmuje tego, bo przecie przy każdym badaniu „stary” widzi tyle z pani Salomon, ile tylko chce. Potem, z wielkim podnieceniem, opowiadała szeptem, że wczoraj wieczorem na ogólnej leżalni, mianowicie tej, która się znajduje na dachu, nagle zgaszono światło, i naturalnie w celach, które nazywała „zupełnie przejrzystymi”. „Stary” miał to zauważyć i krzyczał tak, że słychać było w całym zakładzie. Sprawcy znowu, naturalnie, nie znaleziono, chociaż nie potrzeba przecie skończyć uniwersytetu, żeby odgadnąć, iż zrobił to kapitan Miklosich z Bukaresztu, któremu w ogóle w towarzystwie pań nigdy nie jest dosyć ciemno; jest to człowiek bez żadnego wykształcenia i nic mu nie pomaga, że chodzi w gorsiecie, bo jest to po prostu dzikie

zwierzę, tak, prawdziwe dzikie zwierzę — powtórzyła pani Stóhr stłumionym głosem, a na jej czole i górnej wardze wystąpiły kropelki potu. Całe Davos wie przecie, jaki stosunek łączy z nim panią konsulową Wurmbrand z Wiednia — tutaj nie można już mówić o jakimś sekretnym stosunku. Bo nie dość, że codziennie ten kapitan przychodzi do pokoju pani konsulowej, kiedy ta jeszcze leży w łóżku, i jest obecny przy całutkiej jej porannej toalecie, ale w zeszły wtorek opuścił pokój Wurmbrand dopiero o świcie, o godzinie czwartej rano — złapała go na tym pielęgniarka młodego Franza z numeru dziewiętnastego, któremu przed kilku dniami nie zdołano zrobić sztucznej odmy, i tak się zawstydzila, że omyliła się w numerze drzwi i znalazła się nagle w pokoju prokuratora Paravanta z Dortmundu... Wreszcie pani Stóhr wygłosiła dłuższą przemowę o „kosmicznym zakładzie”, w którym na dole, w Davos-Wsi, kupuje wodę do ust. Joachim nieruchomo wpatrywał się w swój talerz.

Obiad był równie obfity, jak świetnie przyrządzony. Wliczając weń pożywną zupę, składał się z nie mniej niż sześciu dań. Po rybie było garnirowane mięso, potem bukiet jarzyn, pieczony drób, legumina, smakiem swym nie ustępująca tej, którą Hans Castorp jadł wczoraj na kolację, wreszcie ser i owoce. Każdy półmisek obnoszono dwa razy i nie na próżno. Nakładano sobie na talerze i pochłaniano olbrzymie ilości — wilczy apetyt panował w tej sali, dziki głód, którego widok byłby może przyjemny, gdyby jednocześnie nie sprawiał jakiegoś niesamowitego, a nawet odpychającego wrażenia. Nie tylko ci weselsi, ci, co beztrząsco gawędzili i obrzucali się nawzajem kulkami z chleba, wykazywali zdolności w tym kierunku, ale i tamci, spokojni i smutni, którzy w przerwach między daniami opierali głowę na rękę i patrzyli ponuro przed siebie. Jakiś niedorostek, siedzący przy stole po lewej stronie, sądząc z wieku uczeń gimnazjalny, ze zbyt krótkimi rękawami i w grubych okrągłych okularach, wszystko, co nakładał sobie na talerz, przede wszystkim drobniutko krajał i mieszał w jedną papkę; potem pochylał się nad nią i pochłaniał ją, sięgając od czasu do czasu ser-

wetką pod okulary, ażeby otrzeć sobie oczy — nie wiadomo, co tam było do otarcia: pot czy łzy.

Podczas obiadu zdarzyły się dwa wypadki, które zwróciły na siebie uwagę Hansa Castorpa, o ile pozwalało mu na to jego samopoczucie. Przede wszystkim — było to przy rybie — znowu trzasnęły oszklone drzwi. Hans Castorp drgnął i w przystępie złości powiedział sobie, że tym razem musi koniecznie przyłapać sprawcę. Nie tylko pomyślał to, ale nawet powiedział to sobie nieznacznymi ruchami warg — tak ważna była dla niego ta sprawa. „Muszę się dowiedzieć!” — szepnął z przesadną pasją, tak że nawet miss Robinson i nauczycielka spojrzały na niego zdziwione. Odwrócił się przy tym całym ciałem na lewo i wytrzeszczył przekrwione oczy.

Przez jadalnię szła jakaś pani, raczej młoda dziewczyna, średniego wzrostu, w białym swetrze i kolorowej spódnicy, z rudawoblond warkoczami, okalającymi po prostu głowę. Hans Castorp dojrzał niewiele z jej profilu, prawie nic. Szła cicho, bez szmeru — co dziwnie się nie zgadzało z jej hałaśliwym wejściem — szła jakby skradając się, z lekka wyciągnawszy głowę, i zmierzała do ostatniego stołu, na lewo, ustawionego pod kątem prostym do drzwi, które prowadziły na werandę; był to tzw. „lepszy stół rosyjski”; trzymała przy tym jedną rękę w kieszeni obcisłego swetra, drugą podniosła do góry, ażeby poprawić sobie włosy. Hans Castorp spojrzął na tę rękę — specjalne znaczenie przywiązywał zawsze do rąk i ilekroć poznawał kogoś nowego, szczególną uwagę zwracał przede wszystkim na tę część ciała. Ręka, która poprawiała włosy, nie była tak wypielęgnowana i delikatna jak ręce pań należących do sfery towarzyskiej młodego Hansa Castorpa. Dość szeroka, o zbyt krótkich palcach, miała w sobie coś prymitywnego i dziecinnego, coś z ręki uczennicy; paznokcie jej na pewno nie znały manicure, były, również jak u uczennicy, byle jak obcięte nożyczkami, a skórka na bokach, jakby trochę postrzępiona, świadczyła prawie o małym nałogu obgryzania paznokci. Hans Castorp domyślił się raczej tego wszystkiego, niż dojrzał wyraźnie — odległość była przecież zbyt wielka. Skinieniem głowy przywi-

tała towarzystwo przy stole i usiadłszy po jego wewnętrznej stronie tyłem do sali, obok dra Krokowskiego, który tam rezydował, odwróciła głowę i przez ramię przelotnie obejrzała publiczność, wciąż jeszcze trzymając rękę przy włosach. Hans Castorp zdołał wtedy zauważyć, że miała szerokie kości policzkowe i wąskie oczy... Niejasne wspomnienie czegoś i kogoś odezwało się w nim na krótką chwilę...

„Naturalnie, kobieta!” — pomyślał Hans Castorp i znowu wyszeptał te słowa tak głośno, że nauczycielka, panna Engelhart, zrozumiała je. Chuda starsza panna uśmiechnęła się, wzruszona.

— To jest Madame Chauchat — rzekła. — Jest tak nonszalancka. Zachwycająca kobieta. — Wypieki na twarzy panny Engelhart wzmocniły się o jeden ton, co zresztą zdarzało się, ilekroć zaczynała coś mówić.

— Francuzka? — zapytał surowo Hans Castorp.

— Nie, Rosjanka — odpowiedziała panna Engelhart. — Może mąż jej jest Francuzem lub francuskiego pochodzenia. Nie wiem tego na pewno.

— Czy to ten tam? — spytał Hans Castorp, ciągle jeszcze rozdrażniony, i wskazał na pana z obwisłymi ramionami, siedzącego przy lepszym stole rosyjskim.

— O nie, jej męża tu nie ma — odpowiedziała nauczycielka. — Nie było go tu jeszcze i nikt go tu nie zna.

— Mogłaby przyzwoicie drzwi zamykać! — powiedział Hans Castorp. — Zawsze tak nimi trzaska. To przecie nie jest sposób.

A ponieważ nauczycielka przyjęła tę naganę z pokornym uśmiechem, jakby sama była tu winna, nie było więcej mowy o Madame Chauchat.

Drugie zdarzenie polegało na tym, że dr Blumenkohl na chwilę opuścił salę — nic więcej. Nagle twarz jego sposepniała jeszcze bardziej, spojrzenie przybrało wyraz bardziej zatroskany niż zwykle, po chwili skromnym ruchem odsunął krzesło i wyszedł. Przy tej sposobności w pełnym świetle ukazał się brak kultury pani Stóhr, bo prawdopodobnie jedynie ordynarne zadowolenie, że jest mniej chora niż Blumenkohl, podyktowało

jej na wpół współczujący, na wpół szyderczy komentarz: „Biedak, patrzy już na księżą oborę. Już znowu musi się naradzać z niebieskim Henrykiem *”. Bez najmniejszego wysiłku, z tępą ignorancją wypowiedziała to groteskowe określenie „niebieski Henryk”; Hans Castorp zdrętwiał z przerażenia, a zarazem miał ochotę śmiać się, kiedy to usłyszał. Dr Blumenkohl powrócił zresztą po kilku minutach i, równie skromnie jak wyszedł, zajął z powrotem swoje miejsce przy stole i zaczął jeść dalej. Podobnie jak inni, jadł bardzo wiele, nakładając sobie zawsze dwa razy na talerz, w milczeniu i z zatroskanym obliczem.

Obiad się skończył. Dzięki zręcznej usłudze — karlica uwiłajała się przy tym najszybciej — trwał tylko dobrą godzinę. Hans Castorp, ciężko dysząc i sam dobrze nie wiedząc, jak się znalazł na górze, leżał znowu na swoim doskonałym leżaku, bo werandowanie po obiedzie, aż do podwieczorku, było nawet najważniejsze i należało go ściśle przestrzegać. Drzemał z bijącym sercem, oddychając przez usta; leżał pomiędzy ściankami z matowego szkła, które go oddzielały z jednej strony od Joachima, a z drugiej — od rosyjskiego małżeństwa. Kiedy użył swej chusteczki, zaczerwieniła się od krwi, ale nie miał dosyć siły, żeby się nad tym zastanowić, chociaż z natury lękał się o siebie i był skłonny do lekkiej hipochondrii. Zapalił sobie znowu „Marię Mancini”, i tym razem wypalił ją do końca, nie zwracając uwagi na to, jaki ma smak. Czując zawrót głowy, nieswój i senny, rozmyślał, co za dziwne rzeczy dzieją się z nim tutaj w górze. Dwa lub trzy razy wstrząsnął nim wewnętrzny śmiech, kiedy sobie przypomniał okropne określenie, jakiego użyła przy stole niewykształcona pani Stóhr.

PAN ALBIN

Na dole w ogrodzie powiewała fantazyjna chorągiew z laską Eskulapa. Niebo zaciągnęło się znowu równomiernie chmurami, promienie słoneczne skryły się i nagle powiało niegościnnym chłodem. Ogólna leżalnia była pełna ludzi; dolatywały z niej rozmowy i chichoty.

— Błagam pana, panie Albinie, niech pan odłoży nóż albo niech go pan schowa do kieszeni, bo może się zdarzyć nie-szczęście — skarżył się jakiś wysoki, drżący głos kobiety. A potem:

— Ależ na miłość Boga, drogi panie Albinie, niech pan oszczędza nasze nerwy i usunie sprzed naszych oczu to mordercze narzędzie! — wtrąciła się inna pani. Na co młody blondyn, który z papierosem w ustach siedział na pierwszym leżaku z brzegu, odpowiedział zuchwałym tonem: — Ani mi się śni. Panie pozwól mi chyba pobawić się trochę moim nożem! Tak, ten nóż jest wyjątkowo ostry, kupiłem go w Kalkucie od pewnego ślepego czarownika... Czarownik połykał ten nóż, a jego pomocnik wykopywał go natychmiast z ziemi w odległości pięćdziesięciu kroków... Czy chce pani zobaczyć? Jest o wiele ostrzejszy niż brzytwa. Wystarczy lekko dotknąć ostrza, a wchodzi w ciało jak w masło. Zaraz pani pokażę... — i pan Albin wstał z krzesła. Podniósł się krzyk i pisk. — Nie, pokażę państwu lepiej mój rewolwer! ■— rzekł pan Albin. — To będzie bardziej interesujące. Przeklęte narzędzie. Wali z taką siłą. Zaraz go przyniosę z mego pokoju.

— Panie Albinie, drogi panie Albinie, niech pan tego nie robi! — podniósł się krzyk, ale pan Albin opuszczał już leżalnię, aby się udać do swojego pokoju. Był to człowiek bardzo jeszcze młody, niedbały, z różową twarzą dziecka i niedużymi baczkami przy uszach.

— Panie Albinie — wołała za nim jakaś pani — niech pan lepiej przyniesie swoje palto i włoży je, niech pan to zrobi dla mnie. Sześć tygodni leżał pan na zapalenie płuc, a siedzi pan tutaj bez palta i nawet bez pledu i pali pan papierosy. To jest kuszenie Pana Boga, słowo honoru daję!

Ale on zaśmiał się szyderczo i już po kilku minutach powrócił z rewolwerem. Pisk, jeszcze głębszy niż poprzednio, podniósł się na leżalni i słychać było, jak ludzie, chcąc zeskoczyć z leżaków, płaczą się w swoich derkach i upadają.

— Proszę tylko zobaczyć, jakie to małe i błyszczące — powiedział pan Albin — ale jeżeli tutaj nacisnę, to chwyci... —

Nowy pisk. — Jest naturalnie nabity ostrymi nabojami — ciągnął pan Albin. — W tym bębnie, który za każdym strzałem robi część obrotu, siedzi sześć nabołów. Zresztą przechowuję go nie dla żartów — rzekł, spostrzegłszy, że wrażenie powoli słabnie; schował rewolwer do wewnętrznej kieszeni marynarki, usiadł znowu na leżaku, założywszy nogę na nogę, i zapalił nowego papierosa. — Stanowczo nie dla żartów — powtórzył i zacisnął wargi.

— A po co, w jakim celu? — spytało kilka głosów, w których zabrzmiała obawa i niepokój. — To straszne! — zawołał ktoś nagle. Pan Albin skinął głową.

— Widzę, że państwo zaczynają rozumieć — rzekł. — Rzeczywiście mam go w tym celu — ciągnął dalej jakby nigdy nic, pomimo przebytego zapalenia płuc wdychając i wypuszczając wielkie kłęby dymu. — Trzymam go w pogotowiu, aż do dnia, w którym będę miał dosyć tego całego bałaganu i kiedy będę miał honor najuniżeniej się pożegnać. To wcale nietrudno... Przystudiowałem tę sprawę i wiem już doskonale, w co należy wypalić. (Przy słowie „wypalić” ktoś głośno krzyknął.) Serce nie wchodzi tu w grę... Niewygodnie jest w nie mierzyć... wolę też od razu stracić przytomność, a osiągnę to aplikując sobie tak piękną i malutką rzecz, to obce ciało, o tutaj, w ten interesujący organ... — I pan Albin wskazał palcem na swoją krótko ostrzyżoną blond głowę. — Należy przyłożyć w ten sposób — pan Albin wyjął znowu z kieszeni swój niklowany rewolwer i parę razy stuknął sobie lufą w skroń. — Tutaj powyżej tętnicy... Nawet bez lustra jest to prosta sprawa...

Teraz wybuchnął zbiorowy błagalny protest, w który wmieszało się czyjeś głośne łkanie.

— Panie Albinie, panie Albinie, niech pan odejmie rewolwer od skroni, na to nie można patrzeć! Pan jest jeszcze młody, pan wyzdrowieje, pan powróci do życia i będzie się pan cieszył powszechną życzliwością. Słowo honoru daję! Ale niech pan włoży palto, niech pan się położy i przykryje, niech pan nie zaniedbuje kuracji! Niech pan nie odpędza masażysty, kiedy przychodzi pana natrzeć spirytusem. Niech pan przestanie palić, pa-

nie Albinie — błagamy pana o pana życie, o pańskie młode, cenne życie!

Ale pan Albin był nieubłagany.

— Nie, nie, zostawcie mnie w spokoju, już dobrze, bardzo dziękuję. Jeszcze nigdy żadnej kobiecie niczego nie odmówiłem, ale przecież to nonsens przeciwstawiać się losowi. Jestem już tutaj trzeci rok... Mam dosyć i przestaję brać udział w tej zabawie — czy można brać mi to za złe? Jestem nieuleczalnie chory — tak jak panie mnie tu widzą, nieuleczalnie chory. Tylko ze względu na honor zakładu i ze wstydu radca dworu ukrywa to jeszcze trochę przede mną. Dajcież mi więc trochę swobody — bo cóż mi więcej pozostaje! To jest tak, jak w gimnazjum, kiedy uczeń dowiaduje się, że zostaje na drugi rok: nie jest już pytany i nie ma nic do roboty. Doszedłem wreszcie do błogiego stanu, nic już nie potrzebuję robić, machnięto na mnie ręką i śmieję się z tego wszystkiego. Czy mogę służyć czekoladą? Proszę, niech państwo biorą! O nie, nie zabraknie mi, mam mnóstwo czekolady w pokoju: osiem bombonierek, pięć tabliczek Gala-Peter i cztery funty Lindta — wszystko to dostałem od tutejszych pań, kiedy miałem zapalenie płuc...

Nagle odezwał się jakiś gruby głos, nakazujący ciszę. Pan Albin zaśmiał się krótko — śmiechem niespokojnym i urywanym. W leżami zrobiło się cicho, tak cicho, jak gdyby nagle wszystkich sen ogarnął albo duch jakiś przeleciał nad głowami; dziwnie pobrzmiwało jeszcze w milczeniu echo wypowiedzianych uprzednio słów. Hans Castorp nasłuchiwał jeszcze, aż ostatnie głosy umilkły, i chociaż zdawało mu się, że pan Albin zapewne jest zwyczajnym durniem, nie potrafił jednak obronić się przed lekkim uczuciem zazdrości. Szczególnie uderzyło go porównanie zaczerpnięte z życia szkolnego, bo sam musiał powtarzać piątą klasę i pamiętał dobrze ówczesny, trochę przykry, ale jednocześnie zabawny stan beztroskiego zaniedbania, w jakim znajdował się podczas ostatniego kwartału, kiedy wycofał się z wyścigu i mógł się do woli śmiać „z tego wszystkiego”. Trudno jest sprecyzować jego uczucia w tej chwili, bo były niejasne i poplątane. Wydawało mu się, że honor ma wprawdzie

swoje dobre strony, ale że ma je także hańba, a nawet że dobre strony hańby są nieograniczone. I kiedy próbował wczuć się w stan pana Albina i dokładnie wyobrazić sobie, jak to jest, gdy ostatecznie przestają człowieka krępować wszystkie wymagania honoru i można bez reszty korzystać z nie ograniczonych niczym dodatkich stron hańby, odczuł nagle tak nieokiełznaną rozkosz, że ogarnęło go przerażenie, a serce jego przez pewien czas było jeszcze gwałtowniej.

SZATAN ROBI NIEGODNE PROPOZYCJE

Później stracił przytomność. Kiedy obudziła go rozmowa tocząca się za lewą przegrodą, na jego zegarku było wpół do czwartej. Dr Krokowski, który o tej porze bez radcy Behrensa obchodził chorych, rozmawiał po rosyjsku ze źle wychowanym rosyjskim małżeństwem, pytał, jak się zdawało, o zdrowie męża i kazał sobie podać jego tabelkę temperatury. Potem jednak kontynuował swoje wizyty nie wzdłuż balkonu, lecz okrążył korytarzem pokój Hansa Castorpa i wszedł przez drzwi do pokoju, w którym mieszkał Joachim. Hansa Castorpa dotknął nieco fakt, że w ten sposób zatoczono łuk dokoła niego, pozostawiając go po swej lewej ręce; co prawda, nie miał bynajmniej ochoty do rozmowy w cztery oczy z drem Krokowskim. No tak, on był właśnie zdrowy i nie liczył się tu wcale, bo tutaj w górze, myślał sobie, ten, kto ma honor być zdrowym, nie wchodzi wcale w rachubę i nikt się o niego nie troszczy; ale ten zwyczaj gniewał trochę młodego Castorpa.

Dr Krokowski zabawił u Joachima dwie lub trzy minuty, po czym poszedł dalej, już wzdłuż balkonu. Joachim zawołał na Hansa Castorpa, że można już wstawać i przygotowywać się do podwieczorku. — Dobrze — odrzekł i podniósł się z leżaka. Ale na skutek długiego leżenia czuł zawrót głowy, a półsen nie pokrzepił go bynajmniej i wywołał znowu przykre wypieki na policzkach, chociaż jednocześnie czuł lekkie dreszcze — może leżąc był niedostatecznie przykryty.

Umył sobie oczy i ręce, przyczesał włosy, doprowadził do porządku ubranie i jednocześnie z Joachimem wyszedł na korytarz.

— Czyś słyszał, co mówił ten pan Albin? — zapytał, kiedy schodzili ze schodów...

— Ma się rozumieć — odpowiedział Joachim. — Należałoby go wziąć w karby. Przeszkadza tu w poobiednim odpoczynku i tak denerwuje panie, że o całe tygodnie cofa je w kuracji. To jest poważny brak subordynacji, ale nie znajdzie się nikt, kto by go zadenuncjował. A zresztą, dla większości takie gadanie stanowi przecież pożądaną rozrywkę.

— Czy uważasz za możliwe — zapytał Hans Castorp — aby on brał na serio tę swoją, jak ją nazywa, „prostą sprawę” i aby chciał zaaplikować sobie to „obce ciało”?

— Ach, owszem — odpowiedział Joachim. — Całkiem niemożliwe to nie jest. Tutaj w górze zdarzają się takie rzeczy. Na dwa miesiące przed moim przyjazdem pewien student powiesił się tu w lesie po generalnym badaniu. Podczas pierwszych dni mojego pobytu dużo jeszcze o tym mówiono.

Hans Castorp ziewnął, wzburzony, i oświadczył:

— Wiesz, dobrze się tutaj u was nie czuję; tego nie mogę powiedzieć. Zdaje mi się, że nie będę mógł pozostać, że będę musiał wyjechać, czy wzięłbyś mi to za złe?

— Wyjechać! Co ci na myśl przychodzi! — zawołał Joachim. — To nonsens — przecież dopiero przyjechałeś. Pierwszy dzień nie jest miarodajny!

— Ach, Boże, czy to ciągle jeszcze pierwszy dzień? Mam wrażenie, że jestem tu w górze od bardzo dawna.

— Tylko nie zaczynaj znowu mędrkować na temat czasu! — powiedział Joachim. — Dzisiaj rano zupełnie zawróciłeś mi w głowie.

— Bądź spokojny — odparł Hans Castorp — już nie pamiętam tego całego kompleksu, a poza tym nie mogę już tak jasno myśleć jak poprzednio... A więc teraz będzie herbata.

— Tak, a potem pójdziemy na spacer jak dziś rano, znowu do tej samej ławki.

— Dobrze, ale mam nadzieję, że nie spotkamy już Settembriego. Uprzedzam cię z góry, że nie mogę już dzisiaj brać udziału w żadnej uczonej rozmowie.

W jadalni podawano wszelkie napoje, jakie tylko mogły wchodzić w grę o tej porze. Miss Robinson piła znowu krwistoczerwony odwar z głogu, a amatorka jogurtu jadła go łyżką. Poza tym było mleko, herbata, kawa, czekolada, a nawet rosół, i wszyscy goście, choć po sutym obiedzie spędzili dwie godziny w pozycji leżącej, z zapałem smarowali sobie masłem wielkie kawałki ciasta z rodzynkami.

Hans Castorp kazał sobie podać herbatę i maczał w niej sucharki. Spróbował również marmolady. Dokładnie obejrzał ciasto z rodzynkami, ale dosłownie wzdrygnął się cały na myśl o zjedzeniu choćby małego kawałka. I znowu, już po raz czwarty, siedział na swoim miejscu w jadalni ze sklepionym sufitem, malowanym w naiwne desenie. Trochę później, o godzinie siódmej, znalazł się tam po raz piąty, podczas kolacji. W czasie pomiędzy tymi posiłkami był na krótkiej przechadzce i doszedł do ławki pod skałą przy rynnicy z wodą. O tej porze spacerowało po tej drodze wielu pacjentów, tak że kuzyni często musieli się kłaniać. Potem znowu werandowali przez półtorej godziny; czas ten minął szybko i pozbawiony był wszelkiej treści. Podczas leżenia Hans Castorp miał silne dreszcze.

Do kolacji przebrał się starannie; siedząc pomiędzy miss Robinson i nauczycielką, jadł zupę jarzynową, pieczone i smażone mięso z garniturem, dwa kawałki tortu, który zawierał wszystko: ciasto makaronikowe, krem maślany, czekoladę, marmoladę i marcypan, wreszcie zakończył doskonałym serem i pumpernikiem. Znowu kazał sobie podać butelkę kulmbachera, ale wypijwszy pół szklanki, poczuł, że powinien położyć się do łóżka. W głowie szumiało mu, powieki ciążyły jak ołów, serce biło jak młotem, a na domiar złego wmówił w siebie, że śliczna Marusia, która, pochylona do przodu, kryła twarz w ręce ozdobionej małym rubinem, śmieje się właśnie z niego, chociaż tak usilnie starał się nie dać do tego najmniejszego powodu. Jakby z wielkiej odległości słyszał, jak pani Stóhr opowiadała czy

twierdziła coś takiego, co mu się wydawało zupełną bzdurą i budziło w nim niepewność i wątpliwość, czy aby dobrze słyszy, czy też może wynurzenia pani Stóhr przekształcają się w jego głowie w nedorzecznosci. Twierdziła mianowicie, że umie przyrządzać dwadzieścia osiem rodzajów różnych sosów do ryb; ma odwagę zaręczyć, że tak jest, chociaż jej własny mąż ostrzegał ją, by o tym nie mówiła, „bje gadaj o tym! — miał jej powiedzieć — bo nikt ci nie uwierzy, a jeżeli nawet uwierzy, to cię na pewno wyśmieje.” A jednak pragnie dzisiaj raz wreszcie powiedzieć i otwarcie oznajmić, że w istocie umie robić dwadzieścia osiem różnych sosów do ryb. Biednemu Hansowi Castorpowi wydawało się to czymś tak strasliwym, że przeląkł się, potarł ręką czoło i zupełnie zapomniał dogryźć do końca i połknąć kawałek pumpernika z chesterem, który właśnie miał w ustach. Żuł go jeszcze, kiedy już wstawano od stołu.

Wyszli wprost do hallu przez oszklone drzwi po lewej stronie, te fatalne drzwi, które zawsze trzaskały. Prawie wszyscy goście obrali tę drogę, bo okazało się, że o tej godzinie, po kolacji odbywa się w hallu i przyległych salonach coś w rodzaju towarzyskiego zebrania. Goście podzielili się na małe grupy i, stojąc, rozmawiali. Niektórzy zasiedli do gry przy dwóch obitych zielonym sukniem rozkładanych stolikach; przy jednym grano w domino, przy drugim w bridża; byli tu wyłącznie młodzi ludzie, między innymi pan Albin i Hermina Kleefeld. W pierwszym salonie znajdowało się też kilka interesujących zabawek optycznych: stereoskop, przez którego soczewki widać było ustawione wewnątrz fotografie, na przykład weneckiego gondoliera, w sztywnej i martwej postawie; następnie kalejdoskop w kształcie małej lunety; kiedy się przykładano oko do jego soczewek i lekko obracało ręką pierścień umieszczony na końcu, ukazywały się coraz to inne cudowne arabeski i gwiazdy. Wreszcie stroboskop, do którego wstawiało się wstęgę kinematograficznego filmu, a potem, obracając go i patrząc przez szpary, oglądało się młynarza walczącego wręcz z kominiarzem, nauczyciela wymierzającego karę chłosty uczniowi, fikającego linoskoczka i parkę wieśniaków, wykonujących jakiś

wiejski taniec. Hans Castorp, z rękami zziębniętymi, wspartymi na kolanach, przez dłuższy czas zabawiał się każdym z tych przyrządów. Postać również przez chwilę przy bridżu, gdzie nieuleczalnie chory pan Albin z obwisłymi kącikami ust i z niedbałymi ruchami światowca manewrował kartami. W rogu pokoju siedział dr Krokowski, żywo i serdecznie rozmawiając z półkołem pań, wśród których była pani Stóhr, pani Iltis i panna Levi.

Goście należący do lepszego stołu rosyjskiego zebrali się w sąsiednim saloniku, odgrodzonym tylko portierami od pokoju, gdzie grano. Oprócz Madame Chauchat siedzieli tam: jakiś chuderlawy blondyn z brodą, z wklęsłą klatką piersiową i wytrzeszczonymi oczami; młoda, ciemna brunetka, o oryginalnym i humorystycznym typie, ze złotymi kolczykami i rozwichrzonymi włosami; następnie dr Blumenkohl, który dołączył się do tego towarzystwa, i jeszcze dwóch młodych ludzi o obwisłych ramionach. Madame Chauchat miała na sobie niebieską suknię z białym koronkowym kołnierzem. Siedziała w centralnym punkcie całej grupy, na kanapie, przy okrągłym stoliku pod tylną ścianą pokoju, z twarzą zwróconą ku pokojowi gry. Hans Castorp, patrząc krytycznie na tę źle wychowaną kobietę, myślał sobie w duchu: jest coś takiego, co ona mi przypomina, ale nie wiem, co by to być mogło... Jakiś wysoki, mniej więcej trzydziestoletni pan, z przeredzonymi włosami na głowie, trzy razy z rzędu przegrał na krótkim brązowym fortepianie marsz weselny ze „Snu nocy letniej”; a kiedy panie go o to poprosiły, zaczął grać ten melodyjny utwór po raz czwarty, każdej z nich po kolei zagładając głęboko w oczy.

— Czy wolno zapytać pana o zdrowie, inżynierze? — zapytał Settembrini, który z rękami w kieszeniach spodni kręcił się wśród gości, i podszedł do Hansa Castorpa... Wciąż jeszcze miał na sobie szarą, włochatą marynarkę oraz jasne spodnie w kratę. Uśmiechał się, i znowu widok delikatnie ironicznego wyrazu ust pod czarnymi łukami wąsów podziałał jakby otrzewiająco na Hansa Castorpa. Zresztą patrzył na Włocha z miną dosyć głupią, ze zwiotczalymi wargami i przekrwionymi oczyma.

— A, to pan — rzekł. — Od razu poznałem, to pana spotka-
liśmy dzisiaj rano na górze przy ławce... przy rynnicy z wodą.
Czy pan da mi wiarę — ciągnął, choć zdawał sobie sprawę, że
nie powinien tego mówić — że w pierwszej chwili zrobił pan
na mnie wrażenie katarzyniarza?... Naturalnie, to było zupełnie
od rzeczy — dodał, widząc, że spojrzenie Settembriniego przy-
brało wyraz chłodny i badawczy — straszliwy nonsens jednym
słowem! Nie mogę teraz pojąć nawet, w jaki sposób...

— Niech pan się uspokoi, to nic nie szkodzi — odparł po
chwili Settembrini, który czas jakiś milcząco obserwował Han-
sa Castorpa. — A jak pan spędził dzień, swój pierwszy dzień
w tym miejscu rozrywkowym?

— Dziękuję bardzo. Zupełnie przepisowo — odparł Hans
Castorp. — Przeważnie w pozycji poziomej, jak to pan podobno
lubi nazywać.

Settembrini uśmiechnął się.

— Być może, że kiedyś tak powiedziałem — rzekł. — Czy
czas się panu nie dłużył?

— I dłużył, i zarazem mknął szybko, jak się komu podo-
ba — odpowiedział Hans Castorp. — To czasem trudno odróż-
nić, wie pan. Nie nudziłem się bynajmniej — przecież tu u was
panuje bardzo żywy ruch. Widzi się i słyszy tu tyle nowych
i dziwnych rzeczy... Ale z drugiej strony wydaje mi się, że je-
stem tutaj nie jeden tylko dzień, ale już od dłuższego czasu —
tak jak gdybym stał się tutaj już mądrzejszy i starszy.

— Mądrzejszy także? — zapytał Settembrini i podniósł brwi
w górę. — Za pozwoleniem: ile lat ma pan właściwie?

Ale cóż to znowu? Hans Castorp nie wiedział? Nie wiedział
w owej chwili, ile ma lat, chociaż czynił gwałtowne, a nawet
rozpaczliwe wysiłki, żeby sobie przypomnieć. Dla zyskania na
czasie kazał sobie powtórzyć pytanie, a potem rzekł:

— ...Ja... ile mam lat? Naturalnie, mam dwadzieścia trzy, nie-
zadługo skończę dwadzieścia cztery. Przepraszam pana, jestem
zmęczony! Choć zmęczenie zupełnie jeszcze nie jest właściwym
określeniem tego, co czuję. Czy zna pan ten stan, kiedy ktoś
ma jakiś sen i wie, że to jest sen, i chce się obudzić, a nie mo-

że? Zupełnie tak samo czuję się teraz. Na pewno mam gorączkę, inaczej w ogóle nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Czy pan da wiarę, że aż po kolana marzną mi stopy! Jeżeli wolno tak się wyrazić, bo kolana nie należą już przecie do stóp — przepraszam pana, zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje, i nic dziwnego, bo jeśli z samego rana gwizdnięto na kogoś tą... tą sztuczną odumą, a potem musi słuchać, i to w pozycji poziomej, gadania pana Albina. Niech pan sobie wyobrazi: ciągle mi się wydaje, że nie mogę dowierzać swoim pięciu zmysłom, i muszę powiedzieć, że mi się to daje we znaki jeszcze bardziej niż wypieki na twarzy i zimne nogi. Niech pan mi powie otwarcie: czy pan to uważa za możliwe, że pani Stóhr umie przyrządzać dwadzieścia osiem sosów do ryb? Nie chodzi mi o to, czy naprawdę umie je robić — uważam to za wykluczone — chciałbym tylko wiedzieć, czy ona rzeczywiście twierdziła to przy stole, czy też mi się tylko tak wydawało.

Settembrini spojrział na niego. Wydawało się, że nie słucha. Jego oczy znowu zapatrzyły się, przybrały tępy i nieruchomy wyraz. — Tak, tak, tak, no, no, no — powiedział szyderczo i w zamyśleniu, miękko wymawiając wyrazy, jak dzisiaj rano.

— Powiedział pan: dwadzieścia cztery? — zapytał po chwili...

— Nie, dwadzieścia osiem! — odparł Hans Castorp. — Dwadzieścia osiem sosów do ryb! Nie sosów w ogóle, ale specjalnych sosów do ryb. To jest właśnie niesłychane.

■— Inżynierze! — rzekł Settembrini tonem gniewnym i mentorskim. — Niechże się pan opanuje i nie opowiada mi tych bezwstydných nonsensów! Nic o tym nie wiem i nic nie chcę wiedzieć. Dwudziesty czwarty rok? Hm... niech pan mi pozwoli na jeszcze jedno pytanie albo lepiej niech mi wolno będzie zrobić panu pewną niewiążącą propozycję, jeśli pan woli. Zdaje się, że pobyt tutaj panu nie służy; jeżeli się nie mylę, czuje się pan u nas źle zarówno na ciele, jak i na duszy — jakby to więc było, gdyby pan zrezygnował ze starzenia się tutaj, jednym słowem, gdyby pan jeszcze dzisiaj w nocy spakował swoje manatki i jutro rano wyjechał stąd pośpiesznym pociągiem?

■— Pan sądzi, że powinienem wyjechać? — zapytał Hans Ca-

storp. — Przecież dopiero co przyjechałem! No nie, przecież pierwsze dni nie są miarodajne!

Mówiąc to spojrzął przypadkiem do sąsiedniego pokoju i zobaczył panią Chauchat, jej wąskie oczy i szerokie kości policzkowe. Na miłość boską, pomyślał, co i kogo ona mi przypomina? Ale pomimo pewnego wysiłku nie znalazł w swej zmęczonej głowie odpowiedzi.

— Ma się rozumieć, nie jest mi tak całkiem łatwo zaaklimatyzować się tutaj u was w górze — ciągnął dalej — to było do przewidzenia; ale tak zaraz dać za wygraną tylko dlatego, że przez pierwszych kilka dni będę może miał wypieki i będzie mi nieswojo, nie, musiałbym się wstydzić i samemu sobie wydałbym się wprost tchórzem. Poza tym byłoby to wbrew wszelkiemu rozsądkowi — no, niech pan sam powie...

Mówił teraz bardzo dobitnie, wzruszając w podnieceniu ramionami; zdawało się, że chce nakłonić Włocha, by całkiem formalnie cofnął swą propozycję.

— Schylam głowę przed rozsądkiem — odparł Settembrini. — Schylam ją również przed odwagą. Pan ma poniekąd słuszność i trudno byłoby przeciwstawić jego zdaniu jakieś słuszne argumenty. Rzeczywiście, sam widziałem interesujące wypadki aklimatyzacji. Była tu w zeszłym roku panna Kneifer. Otylia Kneifer, z bardzo dobrej rodziny, córka wyższego urzędnika państwowego. Była tu chyba przez półtora roku i tak przywykła do tutejszego życia, że kiedy wyzdrowiała — bo i to się zdarza czasami, że ludzie wracają u nas do zdrowia — za żadną cenę nie chciała stąd wyjechać. Błagała radcę Behrensa, żeby pozwolił jej jeszcze pozostać; mówiła, że nie może i nie chce wracać do domu, że dom jej jest tutaj, że tutaj jest szczęśliwa. Ale był wówczas taki napływ gości, że pokój jej był niezbędnie potrzebny, więc błagania na nic się nie przydały i nastawano na to, ażeby, jako zdrowa, opuściła zakład. Otylia dostała wtedy wysokiej gorączki i wykres jej wciąż wzrastał; udało się ją jednak zdemaskować, każąc jej mierzyć temperaturę nie zwykłym termometrem, ale tak zwaną „niemową”. Jest to, proszę pana, termometr bez cyfr, a lekarz odczytuje zeń stan rtęci

przykładając skalę i sam potem rysuje krzywą temperatury. Okazało się, że Otylia ma 36,9. Wykąpała się wtedy w jeziorze; było to na początku maja, nocą bywały jeszcze przymrozki, ale woda w jeziorze nie była zamrznięta, miała kilka stopni powyżej zera. Siedziała w wodzie dosyć długo, bo koniecznie chciała nabawić się czegoś — a skutek? Jak była, tak też pozostała zdrowa. Wyjechała więc pełna rozpaczy, nie słuchając perswazyj rodziców. „Cóż ja tam na dole będę robiła?” — pytała raz po raz. „Tu jest moja ojczyzna!” — Nie wiem, co się z nią później stało... Ale zdaje mi się, że pan mnie nie słucha, inżynierze? Jeżeli się nie mylę, z trudem trzyma się pan na nogach. Poruczniku — zwrócił się do wchodzącego Joachima — niech pan zabierze kuzyna i zaprowadzi go do łóżka! Ma wprawdzie wiele rozsądku i odwagi, ale dzisiaj wieczorem jest bardzo osłabiony.

— Nie, doprawdy wszystko zrozumiałem! — zapewniał Hans Castorp. — „Niemowa” jest to więc tylko słupek rtęci, bez cyfr — widzi pan, że wszystko doskonale pojąłem! — Udał się jednak na górę, w towarzystwie Joachima i wielu innych pacjentów, bo zebranie towarzyskie na dzisiaj było skończone i rozchodzono się na balkony i do leżami, aby odbyć jeszcze wieczorne werandowanie. Hans Castorp udał się wraz z Joachimem do jego pokoju. Podłoga korytarza, pokryta kokosowym chodnikiem, falowała mu z lekka pod nogami, ale nie sprawiało mu to zbytniej przykrości. Rozparł się w wielkim fotelu Joachima, pokrytym materiałem w kwiatki — podobny fotel stał i w jego pokoju — i zapalił sobie cygaro „Maria Mancini”. Miało smak kleju, węgla i jeszcze różnych innych rzeczy, nie miało tylko swego właściwego smaku; nie przestał jednak palić, przyglądając się jednocześnie, jak Joachim wybierał się na werandowanie: włożył swoją domową kurtkę, skrojoną na wzór dawnego typu bluzy wojskowej, na nią jakieś stare palto, po czym z lampką ze stolika nocnego i czytanką rosyjską wyszedł na balkon; załączył lampę, z termometrem w ustach położył się na leżaku i ze zdumiewającą zręcznością zaczął owijać się dwoma wielkimi kocami wielbłądzimi, które były na nim roz-

postarte. Z prawdziwym podziwem przyglądał się Hans Castorp, jak zgrabnie kuzyn to robi. Zawinał się najpierw z lewej strony, aż po same pachy, potem przykrył sobie nogi, a wreszcie zarzucił na siebie z prawej strony oba koce; przemienił się w ten sposób w równy i gładki pakiet, z którego wystawały tylko głowa, ramiona i ręce.

— Robisz to naprawdę świetnie — powiedział Hans Castorp.

— To rzecz wprawy — odparł Joachim, przytrzymując zębami termometr. — I ty się tego nauczysz. Jutro musimy koniecznie kupić dla ciebie parę koców. Tam na dole przydadzą ci się na pewno, a tu u nas są nieodzowne, tym bardziej że nie masz worka na futrze.

— Ale przecie nocą nie będę leżał na balkonie — powiedział Hans Castorp. — Z góry ci mówię, że tego robić nie będę, wydawałoby mi się to już zbyt dziwne. Wszystko ma swoje granice. A w jakiś sposób muszę ostatecznie przecież także zaakcentować, że przyjechałem do was na górę tylko w odwiedziny. Posiedzę tu jeszcze trochę i wypalę swoje cygaro. Ma okropny smak, ale wiem, że jest dobre, i muszę się tym na dziś zadowolić. Jest teraz dziewiąta — a nawet nie ma jeszcze dziewiątej. Ale o wpół do dziesiątej będzie można mniej więcej normalnie położyć się do łóżka.

Wstrząsnął nim dreszcz — najpierw jeden, a potem dalsze w małych odstępach czasu. Hans Castorp zerwał się i podbiegł do wiszącego na ścianie termometru, jak gdyby chciał schwycić go in flagranti. W pokoju było dziewięć stopni Reaumura. Dotknął rur kaloryfera — były martwe i zimne. Zamruczał coś nieskładnie w tym sensie, że wprawdzie jest sierpień, ale że to jednak hańba, iż tutaj nie pała, bo rozstrzygnąć o tym powinna nie nazwa bieżącego miesiąca, lecz temperatura, a ta jest tak niska, że marznie się tu jak pies. Ale twarz mu pałała. Usiadł, wstał jeszcze raz i poprosił, by wolno mu było użyć kołdry Joachima; siedząc w fotelu, rozpostarł ją sobie na kolanach i w tej pozycji, rozgorączkowany i wstrząsany dreszczami, męczył się nad wstrętnym cygarem. Ogarnęło go poczucie wielkiej niedoli; wydawało mu się, że jeszcze nigdy w życiu nie było

mu tak źle. — To przecież nieszczęście! — wymamrotał. Ale nagle opanowało go na chwilę uczucie przeciwne: szczególnie intensywnej radości i nadziei, więc czekał, czy jeszcze powróci. Nie powróciło jednak, zostało tylko nieszczęście. Wstał więc, rzucił kołdrę Joachima na łóżko, przez zaciśnięte usta mruknął coś jakby „Dobranoc” i „Tylko nie zamarznij”, i „Zajdziesz chyba po mnie na śniadanie”, po czym chwiejnym krokiem udał się przez korytarz do swojego pokoju.

Podczas rozbierania się nucił jakąś piosenkę, ale nie było mu wesoło. Automatycznie wykonywał wszystkie drobne zabiegi i kulturalne obowiązki nocnej toalety, nalał trochę różowego eliksiru do zębów z podróżnej flaszki do szklanki i dyskretnie wypłukał gardło, umył ręce delikatnym mydłem o fiołkowym zapachu i włożył długą batystową koszulę nocną z wyhaftowanymi na kieszonce na piersiach literami H. C. Potem położył się, zgasił światło i złożył swą pałającą, pełną zamętu głowę na śmiertelnej poduszce zmarłej Amerykanki.

Oczekiwał na pewno, że zaśnie natychmiast, ale okazało się, że było to tylko złudzenie. Powieki, które poprzednio kleiły mu się do snu, teraz same podnosiły się, drgając niespokojnie, ilekroć zamykał oczy. Nie była to jego zwykła godzina spania — powiedział sobie — poza tym w ciągu dnia za dużo leżał. W dodatku trzepano gdzieś dywan — co było mało prawdopodobne i istotnie niezgodne z prawdą; zrozumiał, że jest to bicie jego serca, które słyszy poza sobą, gdzieś daleko na łące, całkiem tak, jak gdyby trzepano na dworze dywan trzciniową trzepaczką.

W pokoju nie było jeszcze zupełnie ciemno; przez otwarte drzwi balkonowe wpadał blask nocnych lampek, palących się w loggiach Joachima i małżeństwa, które należało do gorszego stołu rosyjskiego. Leżąc na wznak i walcząc z drgającymi powiekami, Hans Castorp przypomniał sobie pewne wrażenie z ubiegłego dnia, a raczej spostrzeżenie, o którym wówczas lęk i poczucie delikatności kazały mu natychmiast zapomnieć. Był to wyraz twarzy Joachima, kiedy mówił o Marusi i o cechach jej powierzchowności — ów dziwnie żalony grymas ust, bladeść i plamy, jakie wystąpiły na jego opalone policzki. Hans

Castorp zrozumiał i pojął, co to miało znaczyć, zrozumiał i pojął w sposób dla siebie nowy i wnikliwy, i tak intymny, że trzciniowa trzepaczka na dworze podwoiła nagle szybkość i siłę uderzeń, zagłuszając prawie dźwięki serenady z uzdrowiska Davos — bo znowu był tam koncert w hotelu; tony symetrycznie zbudowanej, trywialnej melodii operetkowej dochodziły przez mrok i Hans Castorp zaczął ją szeptem gwizdać (bo można szeptem gwizdać), rytmicznie poruszając pod pierzyną zziębniętymi stopami.

To był, naturalnie, najlepszy sposób na to, żeby nie zasnąć. Hans Castorp nie miał też zresztą żadnej ochoty do snu. Od chwili kiedy zmieszanie Joachima ukazało mu się tak wyraziście w tym nowym świetle, świat wydawał mu się inny niż dotychczas i odezwało się w nim znowu owo uczucie intensywnej radości i nadziei. Poza tym czekał jeszcze na coś, sam dobrze nie wiedząc, na co. Kiedy jednak usłyszał, że sąsiedzi z prawej i lewej strony skończyli werandowanie, aby poziomą pozycję z balkonu zamienić na taką samą w pokoju, pomyślał, że tym razem barbarzyńskie małżeństwo będzie się zachowywało przyzwoicie. „Mogę zasnąć spokojnie — powiedział sobie. — Tym razem będą się na pewno zachowywali przyzwoicie!” Ale stało się inaczej, a Hans Castorp był właściwie na to przygotowany i, prawdę powiedziawszy, zdziwiłby się nawet, gdyby zachowywali się przyzwoicie. To, co usłyszał, sprawiło jednak, że zdumiony, raz po raz wołał do siebie w myśli: „Niesłychane! Okropność! Kto by mógł coś podobnego uważać za możliwe?” — Jednocześnie nie przestawał gwizdać do taktu trywialnej melodii operetkowej, której dźwięki uporczywie docierały do niego.

Nareszcie zapadł w drzemkę. Ale jednocześnie nawiedziły go dziwaczne sny, jeszcze dziwniejsze niż nocy poprzedniej, więc często budził się z lękiem lub jakby ścigając jakiś niezwykły obraz. Śniło mu się, że radca Behrens, z krzywymi nogami i sztywno zwisającymi rękami, spaceruje po ścieżkach ogrodu, dostrajając swoje długie i monotonne kroki do dźwięków marsza dolatujących z daleka. W pewnej chwili radca dworu zatrzymał się przed Castorpem, który spostrzegł, że Beh-

rens ma na nosie okulary o grubych, okrągłych szklach, i usłyszał jakieś nedorzeczne słowa. „Naturalnie, cywil” — mówił Behrens i nie prosząc o pozwolenie, odchylił młodemu Castorpowi dolną powiekę środkowym i wskazującym palcem swojej wielkiej ręki. — „Szanowny cywil, zauważyłem to od razu, ale nie bez pewnego talentu do wzmożonego spalania ogólnego! Nie skąpiłbym mu latek, tych szybko mijających latek służby u nas na górze! No, hopla, panowie, jazda na przechadzkę!” — wołał, po czym włożył sobie do ust oba olbrzymie wskazujące palce i gwizdnął tak przejmująco, że z różnych stron przyfrunęły przez powietrze zmniejszone postacie nauczycielki i panny Robinson i usiadły mu na prawym i lewym ramieniu tak, jak siedziały przy stole po prawej i lewej ręce Hansa Castorpa. Potem radca dworu zaczął się oddalać skaczącymi kroczkami, sięgając serwetką pod okulary, aby sobie wytrzeć oczy — nie wiadomo, co tam było do otarcia: pot czy łzy.

Nagle sen przeniósł go na podwórze szkolne, gdzie przez tyle lat spędzał przerwy między lekcjami. Madame Chauchat była tam również i poprosił ją o pożyczenie ołówka. Podała mu do połowy wypisany już, czerwono polakierowany ołówek w srebrnej pochewce, a kiedy powiedziała miłym i trochę zachrypniętym głosem, aby po lekcji koniecznie go zwrócił, kiedy spojrzała nań swoimi wąskimi, szaro-niebiesko-zielonymi oczami znad szerokich kości policzkowych — gwałtownie ocknął się ze snu, bo nareszcie uświadomił sobie i koniecznie chciał utrwalić w pamięci, co i kogo mu Madame Chauchat właściwie przypomina. Pośpiesznie zabezpieczył sobie to odkrycie na jutro, bo poczuł, że sen i senne marzenia opanowują go znowu. Po chwili musiał szukać schronienia przed drem Krokowskim, który go ścigał, ażeby zająć się analizą jego duszy, a Hans Castorp czuł przed tym straszliwy, niczym nie uzasadniony lęk. Uciekał przed doktorem, z trudem przeciskając się pomiędzy barierą balkonu a szklanymi przegrodami, z narażeniem życia skoczył do ogrodu, w panicznym strachu starał się wdrapać nawet na czerwona-wobrunatne drzewce chorągwi — i nagle zbudził się obłany potem w chwili, kiedy prześladowca złapał go za nogawkę spodni.

Kiedy po pewnej chwili uspokoił się nieco i sen zmorzył go znowu, okoliczności, w których się znajdował, ukształtowały się w sposób następujący. Napierał ramieniem na Settembriniego i starał się zepchnąć go z miejsca — a Włoch stał i uśmiechał się subtelnie, sucho i szyderczo pod pięknym łukiem czarnych wąsów; ten właśnie uśmiech obrażał Hansa Castorpa. „Pan przeszkadza! — zawołał głośno. — Niech pan się stąd wynosi! Pan jest tylko kataryniarzem i przeszkadza pan tutaj!” — Ale Settembrini nie ustępował, a Hans Castorp namyślał się, co by tu należało zrobić, kiedy zupełnie niespodzianie wpadła mu na myśl odpowiedź na pytanie, czym jest właściwie czas: niczym innym jak tylko „niemową”, słupkiem rtęci bez skali — dla tych, którzy chcą oszukiwać. Zbudziwszy się postanowił podzielić się nazajutrz tym odkryciem z kuzynem.

Cała noc przeszła mu na podobnych przygodach i odkryciach, a występowali w nich również w sposób niejasny Hermina Kleefeld, pan Albin i kapitan Miklosich, który unosił w paszczy panią Stóhr i został przebity włócznią przez prokuratora Paravanta. A jeden sen przyśnił się Hansowi Castorpowi tej nocy dwa razy, i to za każdym razem zupełnie jednakowo — po raz drugi już nad ranem. Siedział w jadalni zastawionej siedmioma stołami, gdy nagle oszklone drzwi zatrzęsły się z wielkim hałasem i do pokoju weszła Madame Chauchat w białym swetrze, jedną rękę trzymając w kieszeni, a drugą poprawiając włosy. Zamiast jednak skierować się do lepszego stołu rosyjskiego, ta źle wychowana kobieta podeszła cicho do Hansa Castorpa i podała mu rękę do pocałowania — ale nie grzbiet dłoni, tylko jej wewnętrzną stronę; Hans Castorp ucałował tę rękę, tę niewypielęgowaną, zbyt szeroką rękę o krótkich palcach i postrzępionej skórcie dokoła paznokci. Przeszyło go znowu od stóp do głów uczucie nieokiełznanej rozkoszy, jak wtedy, kiedy próbował wczuć się w stan człowieka, którego przestały kępować wymagania honoru i który może bez reszty korzystać z niczym nie ograniczonych stron dodatnich hańby. Odczuł to teraz we śnie po raz wtóry, ale bez porównania silniej.

NIEZBĘDNE ZAKUPY

— Czy wasze lato już się skończyło? — zapytał ironicznie Hans Castorp Joachima trzeciego dnia swego pobytu.

Pogoda była okropna.

Drugi dzień spędzony tutaj na górze przez hospitanta był piękny i zupełnie letni. Ponad ostrymi wierzchołkami świerków widniała ciemnoniebieska kopuła nieba, cała miejscowość na dnie doliny kąpała się w gorącym blasku słońca, a dzwonki krów, szczypiących na zboczach gór ciepłą trawkę, napełniały powietrze wesołym dźwiękiem. Już do pierwszego śniadania panie zeszły w lekkich bluzkach, niektóre nawet z ażurowymi rękawami, w czym zresztą nie wszystkie korzystnie wyglądały — pani Stóhr na przykład było z tym bardzo nieładnie, bo miała zbyt zwiotczałe ramiona; powiewne szaty nie dla niej były stworzone. Także panowie z sanatorium na różne sposoby starali się przystosować do pięknej pogody. Pojawiły się kurtki alpakowe i płócienne ubrania, a Joachim Ziemssen włożył granatową marynarkę i białe flanelowe spodnie, co nadawało jego postaci zupełnie wojskowy wygląd. Settembrini zaś oświadczył kilkakrotnie, że ma zamiar zmienić ubranie. — Do diabła! — rzekł, gdy po obiedzie udał się z kuzynami na przechadzkę do Davos-Wsi — ależ słońce pali dzisiaj! Widzę, że będę musiał włożyć coś lżejszego. — Ale pomimo tych wynurzeń przez cały dzień widziano go we włochatej marynarce z szerokimi klapami i w spodniach w kratę — prawdopodobnie była to cała jego garderoba.

Na trzeci dzień jednak pogoda zmieniła się tak dalece, jak

gdyby cały porządek natury wywrócony został na nice. Hans Castorp nie wierzył własnym oczom. Po obiedzie, kiedy już wszyscy około dwudziestu minut leżeli na balkonach, słońce nagle się skryło, ohydne ciemnobraunatne chmury wypełzły spoza południowo-wschodniego grzbietu, i przez dolinę wionął wiatr zimny, ścinający krew w żyłach, jak gdyby przybywał z jakichś nieznanych, odległych i mroźnych okolic; temperatura spadła raptownie i cały wygląd przyrody zmienił się nie do poznania.

— Śnieg — odezwał się głos Joachima za szklanym przepierzeniem.

— Co to ma znaczyć „śnieg”? — spytał Hans Castorp. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że będzie sypał śnieg?

— O! Na pewno — odparł Joachim. — My dobrze znamy ten wiatr; kiedy się zrywa, zawsze sprowadza sannę.

— Nonsens! — zawołał Hans Castorp. — Jeżeli się nie mylę, mamy teraz początek sierpnia.

Ale Joachim miał rację, znał widać tutejsze stosunki. Nie upłynęło kilka minut, a rozległy się grzmoty i sypnął gęsty śnieg; powstała taka zadymka, że wszystko zdawało się ginąć w kłębach białej pary, a zabudowań w dolinie prawie zupełnie nie można było dostrzec.

Przez całe popołudnie padał śnieg. Uruchomiono centralne ogrzewanie. Joachim położył się na balkonie, w swoim worku na futrze, nie przerywając spełniania obowiązków kuracjusza, Hans Castorp natomiast schronił się do pokoju, przysunął krzesło do ciepłych rur radiatora i, kiwając głową, spoglądał na owo szaleństwo za szybami. Nazajutrz rano śnieg już nie padał, ale chociaż termometr zewnętrzny wskazywał kilka stopni ciepła, ziemię pokrywała gruba na stopę powłoka śniegu — tak że Hans Castorp ku wielkiemu swemu zdziwieniu znalazł się nagle pośród zimowego krajobrazu. Sanatorium już nie ogrzewano i w pokojach było sześć stopni powyżej zera.

— Czy wasze lato już się skończyło?... — z gorzką ironią zapytał Hans Castorp kuzyna.

— Tego nie można powiedzieć — odparł rzeczowo Joachim. —

Przy boskiej pomocy będziemy mieli jeszcze piękne letnie dni, nawet we wrześniu jest to jeszcze możliwe. Ale rzecz w tym, że pory roku nie różnią się tutaj tak bardzo między sobą, mieszają się i niezupełnie trzymają się kalendarza. Zimą słońce piecze czasami tak silnie, że człowiek się poci i trzeba podczas spaceru zdejmować marynarkę, a latem, no, sam widzisz najlepiej, jak tu nieraz bywa latem. Najgorzej jest ze śniegiem, śnieg nie trzyma się żadnego porządku. Sypie w styczniu, ale nie o wiele mniej w maju, a i w sierpniu, jak się sam przekonałeś, mamy także śnieżyce. Można powiedzieć ogólnie, że nie ma tu miesiąca bez śniegu; jest to twierdzenie, które można podtrzymywać. Słowem, bywają tutaj dni zimowe, letnie, wiosenne i jesienne, ale prawdziwych pór roku właściwie nie ma u nas na górze.

— Ładnie tu wszystko jest pomieszane — powiedział Hans Castorp.

W kaloszach i palcie zimowym udał się z kuzynem do Davos, aby kupić sobie koce do werandowania, bo jasne było, że przy tej pogodzie jego pled nie może mu wystarczyć. Namyślał się nawet przez chwilę, czy nie powinien nabyć worka na futrze, ale na to się nie zdecydował, a nawet przeraziła go ta myśl.

— Nie, nie — rzekł — wystarczą koce! Mogą mi się przydać później na dole. Zresztą, koce można mieć wszędzie, nie ma w tym nic dziwnego ani niepokojącego, ale taki worek na futrze jest czymś zupełnie specjalnym — postaraj się mnie zrozumieć: gdybym go kupił, mnie samemu wydawałoby się, że mam już tutaj osiąść na dobre, że jestem jednym z was... Słowem, chcę po prostu powiedzieć, że absolutnie nie opłaca się kupować worka futzanego na przeciąg kilku tygodni.

Joachim był tego samego zdania. Weszli więc do eleganckiego i bogato zaopatrzonego sklepu w angielskiej dzielnicy i kupili dwa koce z sierści wielbłądziej, takie same, jakie miał Joachim: bardzo szerokie i długie, barwy naturalnej, niezmiernie miłe w dotknięciu. Kazali natychmiast odesłać je do Międzynarodowego Sanatorium „Berghof”, pokój 34. Hans Castorp chciał zaraz po obiedzie zrobić z nich użytek.

Działo się to, rzecz jasna, po drugim śniadaniu, bo porządek dnia nie pozwalał o innej porze schodzić na dół. Mżył teraz deszcz, i śnieg na ulicach przemienił się w lodową papkę, pryskającą pod krokami. W powrotnej drodze dogonili Settembriniego, który pod parasolem, ale z gołą głową, zmierzał również do sanatorium. Włoch miał dzisiaj żółtą cerę i był w wyraznie elegijnym nastroju. W dźwięcznych i pięknie brzmiących słowach skarżył się na mróz i na wilgoć, które dawały mu się bardzo we znaki. Gdyby chociaż palili, ale ci nikczemni władcy tutejsi przestają palić, gdy tylko nie ma już śniegu — tępa reguła, urągająca wszelkiemu rozsądkowi!

Na uwagę Hansa Castorpa, że niska temperatura w pokojach należy zapewne do zasad kuracji — idzie o hartowanie pacjentów, Settembrini odpowiedział gwałtownym szyderstwem. Ach tak, zasady kuracji, wzniosłe i niewzruszalne zasady kuracji! Ton, którym Hans Castorp o nich mówi, jest rzeczywiście słuszny, jest nabożny i wiernopoddańczy. Ale rzecz dziwna — dziwna zresztą w sensie bardzo dodatnim — że największym poszanowaniem cieszą się tutaj te właśnie zasady, które idą w parze z ekonomicznymi interesami miejscowych władców, inne natomiast, nie posiadające tej cechy, traktuje się mniej rygorystycznie. Kuzyni roześmiali się głośno, a Settembriniego wspomnienie ciepła, do którego tęsknił, naprowadziło na opowiadanie o zmarłym ojcu.

— Ojciec mój — powiedział zatopiony we wspomnieniach — był człowiekiem bardzo subtelnym, o wielkiej wrażliwości cielesnej i duchowej. Ach, jak lubił zimą swój mały, ciepły pokój, w którym pracował: kochał go z całego serca; palił się w nim mały, do czerwoności rozgrzewający się piecyk, i temperatura musiała wynosić co najmniej dwadzieścia stopni Reaumur. Kiedy podczas dni dżdżystych lub ostrego wiatru północnego wchodziło się z sieni do tej pracowni, ciepło jak miękki płaszcz otulało członki i łzy napływały do oczu. Gabinet był zapchany książkami i rękopisami, wśród których znajdowały się rzeczy bardzo cenne. Wśród tych skarbów ducha ojciec mój, w szlafroku z granatowej flaneli, stał przed wąskim pulpitem

i pracował nad literaturą. Był mały i drobny, o głowę niższy jeszcze ode mnie — proszę sobie tylko wyobrazić! Ale na skronie spadały mu wielkie pukle siwych włosów, a nos miał długi i wąski... cóż za romanista był z niego, panowie! Jeden z najwybitniejszych swojego czasu, wspaniały znawca naszego języka, najlepszy stylista łaciński... uomo letterato * według wymagań Boccaccia. Ze wszystkich stron zjeżdżali się do niego uczeni, jeden z Haparandy, inny z Krakowa; przyjeżdżali do Padwy, naszego rodzinnego miasta, aby mu złożyć swe uszanowanie, a on przyjmował ich przyjaźnie, lecz z godnością. Był również wybitnym poetą, w wolnych chwilach piszącym opowiadania wytworną prozą toskańską, był mistrzem idioma gentile * — rzekł Settembrini, z największą rozkoszą wymawiając słowa ojczystego języka i podkreślając je ruchami głowy. — Ogródek swój urządził na wzór Wergiliusza — ciągnął dalej — a wszystko, co mówił, było zdrowe i piękne. Ale w pokoiku jego musiało być ciepło, bardzo ciepło, bo inaczej drżał z zimna, a nawet płakał ze złości, że każe mu się marznąć. Teraz wyobraźcie sobie, panowie — panie inżynierze i panie poruczniku — jak ja, nieodrodny syn swego ojca, muszę cierpieć w tej przeklętej i barbarzyńskiej miejscowości, gdzie ciało latem drży z zimna, a poniżające wrażenia torturują wciąż duszę. Ach, jakżeż to ciężko! Co za typy nas otaczają! Radca dworu, błazen i szatan w jednej osobie... A Krokowski — Settembrini udawał, że z trudem wymawia to obce nazwisko — Krokowski, ten bezwstydnny spowiednik, który mnie nienawidzi, bo moja ludzka godność zabrania mi poddawać się jego kleszom zapędom... A przy moim stole... W jakim to towarzystwie zmuszony jestem jadać I Z prawej strony siedzi jakiś piwowar z Halle — nazywa się Magnus, z wąsami jak dwie wiązki siana. „Niech mi pan nie zawraca głowy literaturą! — odezwał się do mnie. — Cóż ona nam daje? Piękne charaktery! Na co mi się zdadzą piękne charaktery? Pięknych charakterów prawie nigdy nie spotyka się w życiu, a ja jestem człowiekiem praktycznym." Oto pojęcie, jakie ten człowiek wytworzył sobie o literaturze. Piękne charaktery... O Matko Przenajświętsza! Naprzeciw niego siedzi

jego żona i traci białko, popadając w coraz większe otępienie. To żalosne brudy...

Nie porozumiewając się między sobą, Joachim i Hans Castorp byli jednego zdania o tym sposobie mówienia. Wydawał im się zgorzkniały i niemile podburzający, ale zarazem bardzo ciekawy, a nawet pouczający dzięki swej śmiałej i ostrej agresywności. Hans Castorp śmiał się dobrodusznie z owych „wiązek siana” i z „pięknych charakterów”, a raczej z zabawnej rozpacz, którą słyszał było w słowach Settembriniego. Po chwili powiedział:

— Ach, Boże, w takim zakładzie towarzystwo jest niewątpliwie trochę mieszane. Sąsiadów przy stole nie można sobie wybierać, do czego by to doszło. Przy naszym stole też siedzi taka dama... pani Stóhr — pan ją pewnie zna. Trzeba powiedzieć, że jest straszliwie niewykształcona, i czasem, kiedy gada, nie wiadomo zupełnie, gdzie podziąć oczy. Skarży się przy tym bardzo na swoją temperaturę i na „okłapnięcie” — a rzeczywiście nie jest to prawdopodobnie lekki przypadek. Jakież to dziwne — chora i głupia — nie wiem, czy się dobrze wyrażam, ale wydaje mi się to bardzo dziwnym, jeżeli ktoś jest głupi, a przy tym chory; gdy się te dwie cechy spotykają, to jest to chyba najsmutniejsza rzecz w świecie. Zupełnie nie wiadomo, jak się do tego ustosunkować, bo wobec chorego chciałoby się przecież zachować powagę i okazywać mu szacunek; czyż nie? Choroba jest przecież poniekąd czymś godnym szacunku, jeżeli można tak powiedzieć. Ale jeżeli dołącza się do niej głupota wraz z tym „fomulusem”, „kosmicznym zakładem” i tym podobnymi powiedzonkami, to już rzeczywiście nie wiadomo, czy należy się śmiać, czy płakać; jest to dylemat dla uczucia ludzkiego, i tak żalosny, że nie umiem tego wypowiedzieć. Wydaje mi się, że to się nie zgadza, że nie licuje jedno z drugim — nie jest się przyzwyczajonym wyobrażać sobie te dwie rzeczy naraz. Sądzi się na ogół, że człowiek głupi musi być zdrowy i normalny i że choroba musi czynić człowieka mądrym, subtelnym i niezwykłym. Tak nam się zwykle wydaje. Może nie? Może powiedziałem więcej, niż potrafiłbym uzasadnić — zakon-

czył. — Mówiłem o tym tylko dlatego, że tak się przypadkiem zgadło... — I zmieszał się zupełnie.

Joachim był także trochę zażenowany, a Settembrini milczał, podniósłszy brwi do góry, grzecznie na pozór wyczekując końca wynurzeń Hansa Castorpa; ale w rzeczywistości czyhał tylko na chwilę, kiedy ten do reszty stracił koncept, po czym zabrał głos:

— Sapristi, inżynierze, zdradza pan talenty filozoficzne, jakich się po nim bynajmniej nie spodziewałem! Zgodnie ze swą teorią musiałby pan być mniej zdrowy, niż pan udaje, bo na pewno jest pan bardzo inteligentny. Niech pan mi jednak pozwoli zaznaczyć, że nie zgadzam się z jego wywodami, że nawet zajmuję wobec nich wręcz wrogie stanowisko. W kwestiach teoretycznych jestem nieubłagany i wolę, żeby mnie nazwano pedantem, niż żebym miał nie zakwestionować poglądów, które, jak wygłoszone przed chwilą przez pana, koniecznie powinny spotkać się z opozycją...

— Ależ, proszę pana...

— Pan po-zwoli... Wiem, co pan chce powiedzieć, chce pan powiedzieć, że nie myślał tego tak serio, że poglądów, które pan wypowiedział, nie podziela pan bez zastrzeżeń, lecz je skądś podchwycił, jako jedne z możliwych, unoszących się niejako w powietrzu, aby spróbować ich bronić w sposób nieobowiązujący. To odpowiada pańskiemu wiekowi, jest pan jeszcze daleki od męskiej stanowczości, a tymczasem próbuje pan swych sił, obierając coraz to inne punkty widzenia. *Placet experiri* * — powiedział, literę „c” słowa „placet” wymawiając miękko, z włoską, jak „cz”. — To słuszna zasada. Dziwi mnie tylko to, że pana eksperyment poszedł w tym właśnie kierunku. Nie przypuszczam, żeby to był przypadek. Obawiam się, że ma pan pewne skłonności, które się mogą ustalić jako składowa część jego charakteru, jeżeli się ich w zarodku nie stłumi. Dlatego też poczuwam się do obowiązku skorygowania pańskich poglądów. Twierdzi pan, że choroba połączona z głupotą jest zjawiskiem najżałośniejszym na ziemi. Owszem, zgadzam się z tym, ją także wolę inteligentnego chorego niż głupca, który

ma suchoty. Muszę jednak zaprotestować, jeżeli pan uważa połączenie choroby z głupotą za pewien błąd w stylu, za jakąś aberację niezawodnego smaku natury i za dylemat dla uczucia ludzkiego, jak to pan określił. Nie mogę się zgodzić, że choroba jest czymś tak wytwornym i — jak pan powiedział — godnym szacunku, że nie powinna iść w parze z głupotą. To jest również pana wyrażenie. A ja twierdzę, że nie! Choroba nie jest bynajmniej wytworna ani godna szacunku — takie zapatrywanie jest już samo chorobą albo do niej prowadzi. Może najpewniej obrzydę je panu, jeśli powiem, że jest ono stare i bardzo brzydkie. Pochodzi z tych wieków przesądnej skruchy, kiedy idea człowieczeństwa odartego z godności wyrodziła się w karykaturę, z tych wieków lęku, kiedy harmonia i zdrowie uważane były za wytwór diabła, a ułomność starczyła za glejt prosto do nieba. Rozsądek i uświadomienie odeгнаły jednak cienie spowijające duszę ludzkości — ale jeszcze niezupełnie, i dzisiaj jeszcze trwa walka pomiędzy nimi; a walce tej na imię praca, praca na ziemi i dla ziemi, dla honoru i dobrobytu ludzkości. Codziennie na nowo hartowane w walce, te dwie potęgi wyzwolą wreszcie człowieka i poprowadzą go drogą postępu i cywilizacji ku coraz jaśniejszemu i czystszyemu światłu.

„Masz tobie — pomyślał Hans Castorp, zbity z tropu i zawstydzony — przecież to istna aria operowa! Czymże ją wywołałem? Zresztą wydaje mi się nieco zbyt sucha. I dlaczego on ciągle mówi o pracy... Ciągłe do niej powraca, chociaż praca jest tutaj nie na miejscu.”

— Bardzo pięknie — rzekł. — Słucha się pana z wielką przyjemnością. Zdaje mi się, że nie można... że nie można tego plastyczniej wyrazić.

— Chęć powrotu — zaczął znowu Settembrini, unosząc parasol nad głowę jakiegoś przechodnia — powrotu do poglądów owych mrocznych wieków cierpienia — jest chorobą — niech pan mi wierzy, inżynierze, jest dokładnie zbadaną chorobą, dla której wiedza stworzyła różne nazwy: jedna pochodzi z nauki o pięknie i o duszy, a druga z polityki — są to terminy szkolne, które nie zawierają nic nowego i bez których może się pan

z łatwością obejść. W sferze ducha wszystko łączy się z sobą i jedno z drugiego wypływa, nie wolno podać diabłu małego palca, by nie pochwycił całej ręki, a' nawet całego człowieka... Z drugiej zaś strony zdrowe zasady są zawsze źródłem zdrowia, i tylko zdrowia, niezależnie od tego, którą z nich postawimy na czele. Tak więc choroba, niech pan to sobie zapamięta, bynajmniej nie jest niczym wytwornym ani tak godnym szacunku, żeby nie mogła iść w parze z głupotą, jest raczej poniżeniem — bolesnym i wrogim wszelkiej idei poniżeniem człowieka; można ją tu i ówdzie otaczać opieką i troszczyć się o nią, ale żywicie dla niej cześć w duchu jest zboczeniem — niech pan to zapamięta! — jest zboczeniem i początkiem wszelkich dalszych zboczeń duchowych. Pan wspomniał o tamtej kobiecie — nie pamiętam jej nazwiska i rezygnuję z niego — ach tak, pani Stóhr, dziękuję — otóż nie ona, nie ta śmieszna kobieta stawia, jak mi się wydaje, uczucia ludzkie przed dylematem. Chora i głupia — mój Boże, to dno nędzy; sprawa jest prosta, można tylko litować się i wzruszyć ramionami. Dylemat, tragizm zaczyna się tam, gdzie natura jest dosyć okrutna, aby zmaćcić harmonię osobowości — albo zgoła od początku ją uniemożliwić — łącząc ducha szlachetnego i spragnionego życia z ciałem niezdolnym do życia. Czy pan zna Leopardiego? A pan, poruczniku? Był to nieszczęśliwy poeta włoski, garbaty, chorowity człowiek z duszą wielką i piękną, złamaną jednak przez nędzne ciało i ściągniętą na niziny ironii. Posłuchajcie, jak straszliwie ta dusza się skarży!

I Settembrini zaczął deklamować po włosku, pieszcząc każdą zgłoskę, poruszając głową, od czasu do czasu przymykając oczy i nie troszcząc się o to, że jego towarzysze nic a nic nie rozumieją. Widocznie sam doznawał przyjemności przypominając sobie i recytując piękne słowa i zaznajamiając z ich dźwiękiem słuchaczy. Skończył wreszcie i rzekł:

— Ale panowie nie rozumieją, słuchają mnie, nie pojmując bolesnego znaczenia tych wierszy. Kaleka Leopardi, moi panowie, proszę się w to w całej pełni wczuć, musiał przede wszystkim wyrzec się miłości kobiety i skutkiem tego niezdolny był

do walki z tym, że marnieje jego dusza. Zbladł mu blask sławy i cnoty, natura wydała mu się złą — zresztą ona jest zła, głupia i zła, przyznaję mu zupełną rację — i zwątpił — strach powiedzieć — zwątpił o postępie i o nauce! Tutaj ma pan tragizm, inżynierze, tutaj ma pan swój dylemat dla uczucia ludzkiego — a nie u tamtej kobiety — nie chcę obciążać swej pamięci jej nazwiskiem... Niech mi pan nie wspomina o „uduchowieniu” wywołanym przez chorobę — na miłość Boga, niech pan tego nie czyni! Dusza bez ciała jest czymś tak niehumanym i strasznym, jak ciało bez duszy. Pierwsza z tych rzeczy jest zresztą rzadkim wyjątkiem, a druga — regułą. Z reguły ciało jest tym pierwiastkiem, który przerasta drugi, zagarnia dla siebie wszystko, co ważne, całą żywotność, i emancypuje się w najohydniejszy sposób. Człowiek, który żyje życiem chorego, jest tylko ciałem, i to jest właśnie przeciwne naturze ludzkiej i poniżające — w większości przypadków jest nie lepszy od trupa...

— To zabawne — odezwał się nagle Joachim, pochylając się, aby spojrzeć na Hansa Castorpa, bo Settembrini szedł pomiędzy kuzynami. — Powiedziałeś przecież także niedawno coś zupełnie podobnego.

— Tak? — spytał Hans Castorp. — Być może, że coś podobnego także już przemknęło mi przez głowę.

Settembrini milczał przez dłuższą chwilę, potem odezwał się:

— Tym lepiej, moi panowie. Tym lepiej, jeżeli tak jest. Nie miałem zamiaru wykładania tu jakiejś oryginalnej filozofii — to nie jest mój fach. Jeżeli nasz inżynier zrobił już ze swej strony jakąś uwagę zgodną z moimi wywodami, jeszcze bardziej utwierdza mnie to w przypuszczeniu, że jest dyletantem, który, jak często zdolna młodzież, próbuje na razie różnych możliwych punktów widzenia. Zdolny młodzieniec nie jest bynajmniej niezapisaną kartą, jest raczej kartą, na której sympatycznym atramentem wypisane są już wszystkie dobre i złe rzeczy. Zadaniem wychowawcy jest właśnie stanowczo rozwinać rzeczy dobre, a dzięki umiejętnie wywieranemu wpływowi usunąć wszelkie błędy, które chcą się ujawnić. Panowie robili zakupy? — zapytał już innym, lżejszym tonem...

— Nic wielkiego — odparł Hans Castorp — tylko...

— Kupiliśmy koce dla kuzyna — oświadczył obojętnie Joachim.

— Do werandowania... Przy tym nielitościwym zimnie. Mam przecież kilka tygodni żyć tutaj jak inni — zaśmiał się Hans Castorp spoglądając w ziemię.

— Ach, koce, werandowanie — rzekł Settembrini. — Tak, tak, tak. No, no, no... Rzeczywiście. Placet experiri! — powtórzył wymawiając z włoska i pożegnał się, bo właśnie, witani przez kulawego szwajcara, weszli do sanatorium. Settembrini skręcił do sal ogólnych, ażeby, jak powiedział, przed jedzeniem przeczytać jeszcze gazety. Chciał widocznie darować sobie drugie werandowanie.

— Niech Pan Bóg broni! — powiedział Hans Castorp w windzie do Joachima. — On jest naprawdę pedagogiem — sam przecie powiedział niedawno, że ma taką żyłkę. Trzeba bardzo uważać, żeby nie powiedzieć przy nim ani o jedno słowo za wiele, bo zaraz zaczyna szczegółowo wyklądać swoje teorie; ale, co prawda, warto go posłuchać, gdy mówi; każde słowo wychodzi z jego ust tak okrągłe i apetyczne, że kiedy go słucham, przychodzą mi wciąż na myśl świeże bułeczki.

Joachim roześmiał się:

— Tego mu lepiej nie mów, bo byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział, że jego teorie przywodzą ci na myśl bułeczki.

— Tak myślisz? Wcale nie jestem tego pewny. Wydaje mi się, że nie zależy mu tylko na treści teoryj, które głosi, może stawia ją na drugim miejscu, a przede wszystkim chodzi mu o sam proces mówienia, tworzenia słów, które skaczą i toczą się tak elastycznie jak piłki gumowe. Nie miałyby zapewne nic przeciwko temu, że właśnie na to zwraca się uwagę. Oczywiście, ten piwowar Magnus gadał głupstwa o tych „pięknych charakterach”, ale Settembrini powinien był przecie wyjaśnić, o co właściwie chodzi w literaturze. Nie chciałem go o to pytać, ażeby się nie skompromitować, przecie nie znam się na tym i nigdy w życiu nie widziałem jeszcze żadnego pisarza. Skoro jednak nie chodzi o piękne charaktery, w takim razie najważniejsze są tu

widać, piękne słowa — takie przynajmniej odniosłem wrażenie z rozmowy z Settembrinim. Ale jakich on wyrażań używa... bez żadnej żenady mówi o cnocie — coś podobnego! Jeszcze nigdy w życiu nie wymówiłem tego słowa, a nawet w szkole virtus tłumaczyliśmy jako „dzielność”. Cały się wzdrygnąłem, gdy to usłyszałem. Poza tym denerwuje mnie trochę jego wymyślanie na mróz i na Behrensa, i na panią Magnus, że traci swoje białko, i krótko mówiąc — na wszystko. To urodzony opozycjonista, od razu zdałem sobie z tego sprawę. Drażni go wszystko, co istnieje, a muszę powiedzieć, że jest w tym coś niekulturalnego.

— Tak sądzisz — odparł po namyśle Joachim. — Ale jest w tym też pewna duma, która wcale nie sprawia wrażenia braku kultury, lecz wręcz przeciwnie; on jest przecież człowiekiem, który dba o siebie, a nawet o człowieka w ogóle. To właśnie podoba mi się u niego, to ma w sobie coś przyzwoitego.

— Masz rację — powiedział Hans Castorp. — Ma nawet w sobie coś surowego — nawet czasami aż przykro go słuchać, bo wydaje się, że się jest przez niego kontrolowanym — tak, to jest właściwe wyrażenie. Czy uwierzysz, miałem wrażenie, że nie podoba mu się to, iż kupiłem koce do werandowania, że ma coś przeciwko temu, że potępia to.

— Ależ nie — rzekł Joachim zdziwiony. — To by nie miało sensu. Nie mógłbym tego zrozumieć. — Mówiąc to, włożył termometr do ust i ze wszystkimi manatkami udał się na balkon, podczas gdy Hans Castorp zaczął natychmiast przebierać się do stołu — pozostawała jeszcze niecała godzina.

DYGRESJA O ZMYŚLE CZASU

Gdy po obiedzie powrócili do siebie, paczka z kocami leżała już na krześle w pokoju Hansa Castorpa, który dzisiaj po raz pierwszy zrobił z nich użytek; doświadczony Joachim uczył go sztuki zawijania się, którą posiadali wszyscy tutaj w górze, a której każdy nowo przybyły musiał się zaraz nauczyć. Ukła-

dało się koce na leżaku jeden na drugim w ten sposób, żeby spory ich kawał zwisał od strony nóg na podłogę. Potem kładło się samemu i zawijało, najpierw kocem wewnętrznym; naprzód z jednego boku wzdłuż aż po same pachy, potem od dołu na nogi, przy czym należało pochylić się w pozycji siedzącej i schwycić podwójnie złożony koniec koca; następnie zarzucało się koc z drugiego boku, przy czym trzeba było podwójny koniec koca, już przerzucony przez nogi, dokładnie dopasować, aby całość wypadła możliwie gładko i równo. Później wykonywało się zupełnie ten sam proceder z drugim kocem — manipulowanie nim było już trochę trudniejsze, i Hans Castorp, jako partacz i początkujący, to pochyłony, to znów wyprostowany, stękał niemało, próbując chwytów, których go uczono. Tylko nieliczni weterani — mówił Joachim — umieją za pomocą trzech pewnych ruchów zarzucić na siebie oba koce jednocześnie, ale jest to sztuką rzadką, która jest przedmiotem powszechnej zazdrości i wymaga nie tylko długoletnich ćwiczeń, ale także wrodzonego talentu. Hans Castorp śmiał się z tej uwagi, leżąc już wyciągnięty z obolałymi plecami, a Joachim nie rozumiał zrazu, co w tym śmiesznego, i spojrzał na niego niepewnym wzrokiem, ale później również się roześmiał.

— Tak — odezwał się, podczas gdy Hans Castorp, na kształt nierozczłonkowanego walca, mając pod głową elastyczny wałek i wyczerpany tą całą gimnastyką, leżał na leżaku — gdyby było nawet dwadzieścia stopni zimna, nic by ci się teraz nie stało. — Potem poszedł za oszklone przepierzenie, ażeby i samemu się owinąć.

Co do tych dwudziestu stopni zimna Hans Castorp miał pewne wątpliwości, bo marzył wyraźnie i dreszcze wstrząsały nim raz po raz, podczas gdy przez drewniane luki patrzył w kapiącą, mżącą wilgoć na dworze, która w każdej chwili mogła przejść na nowo w śnieżycę. Swoją drogą to dziwne, że pomimo całej tej wilgoci miał policzki ciągle jeszcze tak rozpalone, jak gdyby siedział w nazbyt ogrzanym pokoju. Czuł się przy tym śmiesznie wyczerpany gimnastyką z kocami — rzeczywiście, podręcznik *Ocean steamships* drżał mu w ręku, ilekroć zabierał

się do czytania. Tak nadzwyczajnie zdrów nie był przecież znowu — najwyraźniejsza anemia, powiedział radca Behrens — i zapewne dlatego marzył tak łatwo. Przykre uczucie było jednak zrównoważone niezmiernie wygodną pozycją, w jakiej się znajdował, przez usuwające się spod analizy i prawie tajemnicze właściwości leżaka, które Hans Castrop już przy pierwszej próbie odczuł z najwyższym zadowoleniem i które się raz po raz w najpomysłniejszy sposób potwierdzały. Czy to leżało w jakości poduszek materaców, czy we właściwym nachyleniu oparcia, czy w odpowiedniej wysokości i szerokości poręczy, czy może tylko w celowej konsystencji wałka pod głowę — dość że spoczywającym członkom nie można było w ogóle zaofiarować nic bardziej dobroczynnego niż ten właśnie znakomity leżak. Tak więc zadowolenie wstąpiło w serce Hansa Castorpa, że ma przed sobą dwie puste i bezpieczne, zaciszne godziny, te najważniejsze godziny werandowania, uświęcone przez regulamin sanatorium; chociaż był tu gościem tylko, urządzenie to dogadzało mu najzupełniej. Bo był z natury cierpliwy, umiał długo czuć się dobrze bez żadnego zajęcia i, jak sobie przypominamy, lubił wolny czas, czas, którego żadna oszałamiająca praca nie wypiera ze świadomości, nie pochłania i nie płoszy. O czwartej był podwieczorek z ciastem i konfiturami, później trochę ruchu na świeżym powietrzu, następnie znów odpoczynek na leżaku, o siódmej kolacja; łączyły się z nią, jak w ogóle z każdym posiłkiem, pewne oczekiwania i pewne rzeczy godne widzenia, na które już z góry można się było cieszyć; potem rzut oka do stereoskopu, kalejdoskop i stroboskop... Hans Castorp miał już zupełnie uregulowany rozkład dnia, chociaż nie można było twierdzić, że się już — jak się to mówi — „wżył”.

W gruncie rzeczy jest coś dziwnego w tym „wzywaniu się” w nowym miejscu pobytu, w tym — choćby nawet mozolnym — przystosowywaniu się i nabywaniu nowych przyzwyczajzeń, któremu człowiek poddaje się prawie wyłącznie dla samego procesu ich nabywania i z zupełnie określonym zamiarem zarzucenia ich i powrotu do poprzedniego stanu, skoro tylko zostaną osiągnięte lub przynajmniej niedługo potem. Wprowadza się to

we właściwy bieg życia jako pauzę i interludium, a czyni się to dla „wypoczynku”, to znaczy: aby poddać gruntownej i regenerującej odmianie organizm, który był już o krok od rozpieszczenia, zgnuszenia i ośpienia w jednostajności niczym się od siebie nie różniących przeżyć. Ale na czym polega to zgnuszenie i ośpienie, których źródłem jest zbyt długo trwająca monotonia powracających dni? To, co je wywołuje, nie jest właściwie fizycznym i umysłowym zużyciem i zmęczeniem na skutek wymagań życia, na to bowiem najlepszym lekarstwem byłby po prostu spokój; jest raczej czymś duchowym, jest przeżywaniem czasu — przeżywaniem, któremu przy stałej równomierności grozi zamarcie i które jest tak bliskie samemu poczuciu życia i tak z nim związane, że kiedy jedno z nich ulega osłabieniu, musi się to żałośnie odbić na drugim. O istocie nudy rozpowszechnione są różne błędne poglądy. Na ogół mniema się, że nowa i interesująca treść „zabija” czas, to znaczy skraca go, że monotonia natomiast i pustka opóźniają i powstrzymują jego bieg. Nie jest to bez zastrzeżeń słuszne. Pustka i monotonia mogą wprawdzie sprawić, że chwila i godzina rozciąga się i „dłuży”, ale sprawiają też, że długie i najdłuższe okresy czasu skracają się, a nawet ulatniają aż do zupełnej nicości. Na odwrót, treść interesująca i bogata jest wprawdzie w stanie godzinę, a nawet i dzień cały skrócić i uskrzydlić, ale jeśli idzie o większe okresy, nadaje biegowi czasu szerokość, wagę i solidność, tak że lata bogate w zdarzenia upływają znacznie wolniej niż owe ubogie, lekkie, które ulatują z wiatrem. To, co nazywa się nudą, „dłużeniem się” czasu, jest więc właściwie raczej chorobliwie prędkim „schodzeniem” czasu wskutek monotonii: przy nieprzerwanej jednostajności wielkie okresy czasu kurczą się w sposób, który napętnia serce śmiertelnym przerażeniem; jeżeli każdy dzień jest taki sam jak wszystkie, to wszystkie one są jak jeden dzień, i przy zupełnej jednostajności najdłuższe życie wydałoby się całkiem krótkie i uleciałoby niepostrzeżenie. Przyzwyczajenie jest jakby uśpieniem albo przynajmniej osłabieniem zmysłu czasu i jeżeli lata młodości upływają wolno, a życie późniejsze coraz szybciej przebiega i pędzi, to z pew-

nością polega to również na przyzwyczajeniu. Dobrze wiemy, że odzwyczajanie się i przyzwyczajanie do czegoś nowego jest jedynym środkiem, który utrzymuje nasze życie, odświeża nasz zmysł czasu — jedynym, dzięki któremu możemy odmłodzić, wzmocnić, zwolnić nasze przeżywanie czasu i tym samym odnowić nasze poczucie życia w ogóle. To właśnie jest celem zmian miejsca i klimatu, podróży do miejscowości kąpielowych: odprężenie, które daje odmiana i epizod. Pierwsze dni na nowym miejscu pobytu mają rozmach młodości, to znaczy bieg szeroki i mocny — trwa to jakieś sześć do ośmiu dni. Potem, w miarę „wzywania się”, daje się zauważyć stopniowe skracanie się biegu czasu: kto jest przywiązany do życia albo, dokładniej powiedziawszy, kto chciałby nim być, może ze zgrozą zauważyć, jak dni znowu stają się lekkie i zaczynają się przemykać, a ostatni tydzień, mniej więcej czwarty, jest niesamowicie chyży i lotny. Zapewne, to odświeżenie zmysłu czasu działa jeszcze, kiedy interludium się skończyło, i daje się na nowo odczuwać po powrocie do reguły: pierwsze dni po odmianie spędzone w domu wydają się znowu nowe, szerokie i młodzieńcze, ale nieliczne tylko; bo każdy wzywa się ponownie w regułę prędzej niż w jej zawieszenie, i jeżeli zmysł czasu jest już przez wiek osłabiony albo — co jest oznaką wrodzonego braku żywotności — nigdy nie był silnie rozwinięty, to bardzo szybko znowu omdlewa i już po dwudziestu czterech godzinach jest tak, jak gdyby się nigdy nie wyjeżdżało i jak gdyby podróż przyśniła się tylko człowiekowi.

Te uwagi wplecione są tu tylko dlatego, że młody Hans Castorp miał coś podobnego na myśli, kiedy po kilku dniach odezwał się do kuzyna (patrzac nań i przy tym przekrwionymi oczami): — Jakie to swoją drogą zabawne, że na nowym miejscu czas tak się dłuży z początku. To znaczy... Ma się rozumieć, nie ma mowy o tym, żebym się nudził, przeciwnie, mogę powiedzieć, że bawię się po królewsku. Ale kiedy spojrzę wstecz, a więc retrospektywnie, zrozum mnie dobrze, wydaje mi się, że jestem tu już Bóg wie jak długo; jak gdyby cała wieczność minęła od czasu, kiedy przyjechałem i nie od razu zrozumiałem,

że już jestem na miejscu, a tyś jeszcze powiedział: „No, wysiadaj już!” — pamiętasz? To nie ma absolutnie nic wspólnego z mierzeniem i w ogóle z rozumem, to jest sprawa czysto uczuciowa. Naturalnie, byłoby niemądrze, gdybym powiedział: Wydaje mi się, że jestem tu już od dwóch miesięcy — to byłby przecież nonsens. Ale mogę właśnie tylko powiedzieć: Od dawna!

— Tak — odpowiedział Joachim z termometrem w ustach — ja także z tego korzystam, mam, odkąd tu jesteś, pewne oparcie w tobie. — A Hans Castorp roześmiał się, że Joachim powiedział to tak po prostu, bez bliższego wyjaśnienia.

HANS CASTORP PRÓBUJE SWYCH SIŁ WE FRANCUSKIEJ KONWERSACJI

Nie, nie wżył się tu jeszcze bynajmniej. Nie znał całej osobliwości tutejszego życia, bo wiedzy tej nie mógł przecie zdobyć w ciągu tych kilku dni i, jak sobie mówił (i powiedział" to także Joachimowi), nawet trzy tygodnie będą pod tym względem niewystarczające. Organizm jego również nie dostosował się do specjalnych warunków atmosferycznych, które „tutaj u tych w górze" panują, bo to dostosowywanie się przychodziło mu z trudem, z bardzo wielkim trudem, a nawet wydawało mu się, że nie robi żadnych pod tym względem postępów.

Normalny dzień był wyraźnie podzielony na części i starannie zorganizowany; człowiek szybko włączał się w jego bieg i nabywał wprawy, skoro tylko poddał się jego trybowi; ale w ramach tygodnia i większych jednostek czasu bieg ten ulegał pewnym regularnym odchyleniom, które tylko stopniowo się objawiały, i czasem jedno z nich jeszcze nie nastąpiło, gdy inne zdążyło już powrócić. Hans Castorp spotykał też jeszcze na każdym kroku nowe dla siebie szczegóły dnia powszedniego i nowe twarze, uczył się dostrzegać szczegóły przelotnie przedtem poznanych rzeczy i z młodzieńczą chłonnością starał się przyswoić je sobie.

Na przykład te pękate naczynia o krótkich szyjkach, które

stały na korytarzu przed niektórymi drzwiami i które Hans Castorp zauważył zaraz pierwszego wieczora, zawierały tlen — tak mu objaśnił Joachim na jego zapytanie. Zawierały czysty tlen, po sześć franków balon, i ten ożywiający gaz podawano konającym jako ostatnią podnietę dla podtrzymania ich sił; wdychali go przez rurkę. Bo za drzwiami, przed którymi ustawione były takie balony, leżeli konający albo skazani na śmierć, moribundi, jak się wyraził radca Behrens, kiedy Hans Castorp spotkał go raz na pierwszym piętrze; radca, w białym kitlu i z sinymi policzkami, wiosłował przez korytarz i razem udali się schodami na górę.

— No, a pan, bezinteresowny obserwatorze — rzekł Behrens — co pan porabia? Czy zasłużyliśmy na łaskę w pańskich badawczych oczach? Zaszczyt to dla nas, zaszczyt. Tak, nasz letni sezon ma coś w sobie, nie jest do pogardzenia. Dużo trudu mnie kosztowało, żeby go nieco popchnąć. Szkoda jednak, że nie chce pan z nami spędzić zimy — słyszałem, że pan przyjechał tylko na osiem tygodni? Ach, tylko na trzy? Ależ to jak po ogień, nie warto się nawet rozpakowywać; ale jak pan uważa. Szkoda jednak, że nie chce i pan z nami spędzić zimy, bo hotwolej * — rzekł, w żartobliwy sposób niemożliwie wymawiając to słowo — międzynarodowa hotwolej zjeżdża się do uzdrowiska Davos właśnie dopiero na zimę; powinien pan ich zobaczyć, nauczyłyby się pan czegoś. Można się tarzać ze śmiechu, patrząc, jak te chłopcy skaczą na swoich deskach. No a damy, Boże co za damy! Barwne jak rajskie ptaki, mówię panu, i przeraźliwie sztywne... No, ale muszę do mego moribunda pod numer dwudziesty siódmy. Ostatnie stadium. Opuszcza scenę. Środkowymi drzwiami. Pięć tuzinów butli tlenu dostał ten łakomczuch wczoraj i dzisiaj, ale do południa pójdzie pewnie ad penates *. No, drogi panie Reuter — powiedział wchodząc do pokoju — jakby to było, gdybyśmy jeszcze jednej ukęcili szyję... — Słowa jego umilkły za drzwiami, które zamknął za sobą; ale przez chwilę Hans Castorp widział w głębi pokoju na poduszce woskowo bladej profil jakiegoś młodzieńca z rzadką bródką, który powoli zwrócił swoje wielkie źrenice w kierunku drzwi.

Był to pierwszy umierający, jakiego Hans Castorp widział w swoim życiu, bo nie był przy śmierci swych rodziców ani swego dziadka. Jak dostojnie leżała na poduszce ta młodzieńcza głowa, z brodą sterczącą do góry! Jak wymowne było spojrzenie jego rozszerzonych oczu, gdy je powoli zwrócił w kierunku drzwi! Hans Castorp, cały jeszcze przejęty tym przelotnym widokiem, szedł dalej w kierunku schodów i niechcący spróbował zrobić tak wielkie, wymowne i powolne oczy, jak konający młodzieniec. Tymi właśnie oczami spojrzał na panią, która wyszła za nim z jakichś drzwi i minęła go na podeście schodów. Nie od razu poznał, że to była Madame Chauchat. Uśmiechnęła się lekko na widok miny, którą zrobił, poprawiła ręką warkocze w tyle głowy i bez szmeru, płynąc elastycznie z głową lekko w przód pochyloną, szła przed nim schodami na dół.

Podczas tych pierwszych kilku dni, a i dość długo potem, nie zawierał prawie żadnych znajomości. Porządek dnia na ogół nie sprzyjał temu, a Hans Castorp lubił przecież trzymać się w rezerwie; uważał się zresztą za gościa tu w górze i za „bezinteresownego obserwatora”, jak się wyraził radca Behrens, i wystarczało mu zupełnie towarzystwo Joachima. Pielęgniarka jednak, spotkana na korytarzu, tak wyraźnie wyciągała za nimi szyję, że Joachim, który już wcześniej czasami z nią rozmawiał, zapoznał ją ze swym kuzynem. Miała wciąż sznureczek od binokli za uchem i mówiła tonem nie tylko afektowanym, ale wprost zgębionym; przy bliższym poznaniu czyniła wrażenie, jak gdyby tortura nudy zmaciła jej umysł. Niezwykle trudno było uwolnić się od niej, bo okazywała chorobliwy lęk przed zakończeniem rozmowy, i gdy tylko młodzieńcy zabierali się do odejścia, przytrzymywała ich spiesznymi słowami, spojrzeniem i tak rozpaczliwym uśmiechem, że z litości jeszcze przy niej zostawali. Długo i szeroko opowiadała o swym ojczulku, który był prawnikiem, i o kuzynie lekarzu — widocznie, ażeby się w korzystnym świetle przedstawić i zaakcentować, że pochodzi z inteligencji. Co się tyczy jej chorego, który leży tam za drzwiami, jest on synem fabrykanta lalek z Koburga i nazywa się Fritz Rotbein; od niedawna rzuciło mu się na kiszki. Panowie mogą

sobie wyobrazić, jak przykre to jest dla całego otoczenia; jest to przykre, zwłaszcza jeżeli się już pochodzi z rodziny z wykształceniem akademickim i posiada wrażliwość właściwą wyższym klasom społecznym. A najgorsze, że nie można go na chwilę zostawić samego... Niedawno, co panowie na to powiedzą, wyszła tylko, aby kupić sobie proszku do zębów, wraca i co widzi: chory siedzi w łóżku, zajada salami, kawał grubego razowego chleba i ogórek, a przed nim stoi kufel ciężkiego ciemnego piwa! Wszystkie te domowe smakołyki przysłała mu rodzina, żeby się pokrzepił. Nazajutrz był naturalnie bardziej podobny do trupa niż do żywego człowieka; sam przyśpiesza swój koniec. Będzie to jednak wyzwoleniem dla niego tylko, bo ona — nazywa się, nawiasem mówiąc, siostra Berta, a właściwie Alfreda Schildknecht — pójdzie wtedy do innego chorego, w mniej lub więcej posuniętym stadium, do tego lub innego sanatorium. To jest perspektywa, która się jej w życiu otwiera — innej nie widzi przed sobą.

Hans Castorp rzekł na to, że jej zawód jest rzeczywiście ciężki, ale powinien, jego zdaniem, dawać zadowolenie wewnętrzne.

— Zapewne — odpowiedziała — daje zadowolenie wewnętrzne, ale niemniej jest bardzo ciężki.

— No, więc życzymy panu Rotbeinowi wszystkiego najlepszego — i kuzyni chcieli się oddalić, ale wówczas uczepliła się ich niemal słowami i spojrzeniem i wysiłki jej, by młodych ludzi jeszcze trochę zatrzymać, były tak żałosne, że okrucieństwem byłoby nie zostać jeszcze przez chwilę.

— Spi teraz! — rzekła. — Nie jestem mu potrzebna, więc na kilka krótkich chwil wyszłam na korytarz... — I zaczęła skarżyć się na radcę Behrensa i na ton, w jakim się do niej zwraca i który jest zanadto bezceremonialny, zważywszy jej dobre pochodzenie. O wiele wołała dra Krokowskiego, o którym mówiła, że jest uduchowiony. Potem powróciła znowu do ojczulka i kuzyna. Nic więcej nie mogła wycisnąć ze swego mózgu i na próżno starała się czymś jeszcze zatrzymać kuzynów, podniósłszy nagle głos niemal do krzyku, gdy chcieli odejść; wreszcie udało im się wymknąć i poszli. Przez chwilę, pochylona naprzód, po-

chłaniała ich spojrzeniem, jak gdyby oczami chciała ich przyciągnąć z powrotem. Potem westchnienie wyrwało się jej z piersi i powróciła do swego chorego.

Poza tym w tych dniach Hans Castorp zawarł znajomość tylko jeszcze z ową czarno ubraną, bladą Meksykanką, którą i widział poprzednio w ogrodzie i którą nazywano *Tous-les-deux*. Zdarzyło się bowiem, że i on usłyszał z jej ust ponurą formułę, która stała się jej przezwiskiem, ale ponieważ był na to przygotowany, więc zachował się najzupełniej poprawnie i mógł być później z siebie zadowolony. Po pierwszym śniadaniu, wybierając się na przepisany spacer poranny, kuzyni spotkali ją przed głównym wejściem. Owinięta czarnym kaszmirowym szalem, chodziła tam i z powrotem długimi, niespokojnymi krokami, uginając się w kolanach; jej starzejąca się twarz o dużych, zgorzkniałych ustach odbijała szarą bladością od czarnego woalu, osłaniającego siwiejące włosy i związanego pod brodą. Joachim, jak zwykle bez kapelusza, skłonił się na powitanie, a ona odpowiedziała powolnym skinieniem głowy; kiedy podniosła oczy, bruzdy, przerywające jej niskie czoło, pogłębiły się jeszcze bardziej. Spostrzegłszy nieznanego, zatrzymała się i poruszając lekko głową czekała, aż młodzieńcy się zbliżą, bo widocznie chciała się dowiedzieć, czy nowo przybyły słyszał już o jej losie, i usłyszeć jego zdanie o tym. Joachim przedstawił jej kuzyna. Podała mu spod mantyli chudą, żółtawą, pokrytą siecią żyłek rękę, z pierścionkami na palcach. Nie spuszczała z niego oczu. Potem stało się, powiedziała:

— *Tous les de, monsieur — tous les de, vous savez...*

— *Je le sais, madame* — odrzekł Hans Castorp przytłumionym głosem. — *Et je le regrette beaucoup **.

Obwisłe worki pod jej czarnymi jak z dżetu oczami uderzały swą wielkością; Hans Castorp u nikogo jeszcze podobnych nie widział. Tchnęła jakąś delikatną, zwiędłą wonią. Spotkanie to wzbudziło w Hansie Castorpie nastrój łagodny i poważny.

— *Merci ** — powiedziała charczącą wymową, która dziwnie nie harmonizowała z jej depresją; jeden kąt jej wielkich ust był tragicznie opuszczony w dół. Schowała rękę pod mantylę,

skinęła głową i znowu rozpoczęła swą wędrówkę. Idąc dalej, Hans Castorp odezwał się:

— Widzisz, nie zrobiło mi to żadnej różnicy, świetnie dałem sobie z nią radę. W ogóle umiem sobie całkiem dobrze dawać radę z takimi ludźmi. Zdaje mi się, że mam przyrodzony dar obchodzenia się z nimi — czyż nie? Sądzę nawet, że na ogół łatwiej dochodzę do ładu z ludźmi smutnymi niż z wesołymi. Bóg wie, na czym to polega, może na tym, że przecież jestem sięTO-tą i że moi rodzice tak wcześnie mnie odumarli, ale jeżeli ktoś jest poważny i smutny i jeżeli śmierć wchodzi w grę, nie czuję się tym właściwie przytłoczony ani zakłopotany — przeciwnie, jestem wtedy w swoim żywiole, o wiele bardziej niż w atmosferze radości i ożywienia. Myślałem sobie niedawno, że głupotą jest ze strony tutejszych pań bać się śmierci i wszystkiego, co ma z nią związek, do tego stopnia, by musiano to ukrywać przed nimi i przynosić wiatyk w porze posiłków. Nie, pfe, to jest niedorzeczne! Powiedz, czy widok trumny jest ci przykry? Ja patrzę na nią chętnie. Według mnie nawet pusta trumna jest wprost ładnym sprzętem, ale jeżeli ktoś w niej leży, robi na mnie po prostu uroczyste wrażenie. Pogrzeby mają w sobie coś budującego i nieraz przychodziło mi na myśl, że jeżeli ktoś pragnie się podnieść na duchu, powinien iść na pogrzeb, a nie do kościoła. Ludzie są odświętnie i czarno ubrani, zdejmują kapelusze, patrzą na trumnę, są pełni powagi i nabożeństwa i nikt nie śmie robić głupich dowcipów, jak w życiu codziennym. Bardzo to lubię, kiedy raz wreszcie widzę ludzi tak nastroszonych. Zadawałem sobie czasem pytanie, czy nie powinienem być zostać pastorem — myślę, że odpowiadałoby to poniekąd mojemu usposobieniu... Mam nadzieję, że mówiąc z tą panią, nie zrobiłem żadnego błędu we francuskim?

— Nie — odpowiedział Joachim. — Je le regrette beaucoup było zupełnie poprawne.

POLITYCZNIE PODEJRZANA!

Nadeszły regularne odmiany dnia normalnego: najpierw niedziela — i to niedziela z orkiestrą uzdrowiskową na tarasie. Niedziela taka przypadała co czternaście dni, zaznaczając w ten sposób koniec okresu dwutygodniowego. Przyjazd Hansa Castorpa przypadł na drugą połowę takiego okresu. Przyjechał we wtorek, był więc teraz piąty dzień jego pobytu. Po owej straszliwej pogodzie i nawrocie zimy dzień był wiosenny, łagodny; białe chmurki błyszczały na jasnoblękitnym niebie, a światło słoneczne kładło się na dolinę i zbocza gór, które przybrały znowu zwykłą barwę letniej zieleni, bo świeży śnieg skazany był z góry na szybkie zniknięcie.

Jasne było, że wszyscy starali się uczcić niedzielę i wyróżnić ją spośród innych dni; zarząd i goście pomagali sobie w tym usiłowaniu. Już do^ porannej herbaty podano placek posypany cukrem i przed każdym nakryciem stał flakonik z kilkoma kwiatami — dzikimi gwoździkami górskimi, a nawet różami alpejskimi, które panowie wkładali sobie do butonierek. (Prokurator Paravant z Dortmundu włożył nawet żakiet i wzorzystą kamizelkę.) Toalety pań były świąteczne i powiewne. Madame Chauchat zjawiała się w koronkowym porannym stroju domowym z rozciętymi rękawami; trzasnąwszy za sobą oszklonymi drzwiami, zwróciła się do sali i z wdziękiem zaprezentowała całemu towarzystwu, zanim skradającym się krokiem podeszła do swojego stołu. Wyglądała tak ślicznie, że siedząca obok Hansa Castorpa nauczycielka z Królewca nie posiadała się z zachwytu. Nawet małżeństwo rosyjskie, siedzące przy gorszym stole rosyjskim, złożyło hołd świętu: on włożył dziś zamiast zwykłej kurtki rodzaj krótkiego surduta, a filcowe buciki zamienił na skórzane obuwie; ona miała wprawdzie na sobie swoje brudne boa z piór, ale pod nim jedwabną zieloną bluzkę z kryzą... Hans Castorp na ich widok zmarszczył brwi i zaczerwienił się, co mu się tu dziwnie często zdarzało.

Zaraz po drugim śniadaniu na tarasie zabrzmiały dźwięki orkiestry, składającej się z najrozmaitszych instrumentów dę-

tych, blaszanych i drewnianych, które, to żywo, to melancholijnie, grały prawie do samego obiadu. Werandowania podczas koncertu nie przestrzegano ściśle. Niektórzy z pacjentów rozkoszowali się wprawdzie muzyką leżąc na swych balkonach, a i w leżalni ogrodowej kilka leżaków było zajętych — większość jednak zajęła miejsca przy małych, białych stolikach na krytej platformie, a co weselsi z towarzystwa, uważając zapewne siedzenie na krzesłach za zbyt dostojne, ugrupowali się na kamiennych schodach, prowadzących do ogrodu; nastrój ich był bardzo ożywiony. Znajdowali się tam młodociani pacjenci obojga płci, znani już Hansowi Castorpowi z nazwiska albo z widzenia. Spozrzegł wśród nich Herminę Kleefeld, a również pana Albina, który częstował wszystkich czekoladą z wielkiego pudła w kwiaty, ale sam nie jadł, tylko z ojcowskim wyrazem twarzy palił papierosy ze złotym ustnikiem; był tam także ów młodzieniec z wywiniętymi wargami ze „Stowarzyszenia Jednego Płuca”, była szczupła i blada jak z kości słoniowej panna Levi; młodzieniec o szaroblond włosach, który nazywał się Rasmussen i ręce, luźno zwisające na kształt rybich płetw, trzymał na wysokości piersi; dalej pani Salomon z Amsterdamu; na jej opalonym karku bezustannie spoczywało zasepione spojrzenie jakiegoś wysokiego i łysawego pana — tego, co umiał grać wyjątki ze „Snu nocy letniej”, a teraz siedział za nią, obejmując rękami spiczaste kolana; była tam również pewna ruda Greczynka i jakaś inna panna, nie wiadomo skąd przybyła, z twarzą tapira; żarłoczny młodzian z okularami o grubych szklach i jeszcze jakiś piętnasto- lub szesnastoletni chłopiec z monoklem w oku, najwidoczniej skończony osioł, który kaszląc podnosił do ust swój długi, szufelkę przypominający paznokieć małego palca, i jeszcze wiele innych osób.

Joachim opowiadał szeptem, że ten chłopiec z długim paznokciem był prawie zupełnie zdrowy, kiedy przyjechał; nie miał temperatury i tylko z ostrożności został wysłany do sanatorium przez swego ojca, lekarza. Radca dworu utrzymywał, że wystarczy mu trzymiesięczny pobyt, a teraz po trzech miesiącach

ma 37,8 do 38 i jest dość poważnie chory. Ale też żyje tak nierozsądnie, że zasługuje na porządne lanie.

Kuzyni usiedli przy oddzielnym stoliku, w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa, bo Hans Castorp palił, popijając ciemne piwo, które sobie wyniósł z sali jadalnej. Od czasu do czasu cygaro sprawiało mu pewną przyjemność. Lekko oszołomiony piwem i muzyką, która jak zwykle tak i teraz sprawiała, że miał wpółotwarte usta i na bok pochyloną głowę, zaczerwienionymi oczami przyglądał się beztroskiemu życiu dokoła. Świadomość tego, że w organizmie każdego z tych ludzi odbywa się trudny do powstrzymania rozkład i że większość z nich ma stale lekką gorączkę, nie przeszkadzała mu bynajmniej, ale przeciwnie, nadawała wszystkiemu tym wyraźniejsze piętno czegoś niezwykłego i w pewnej mierze duchowo podniecającego... Przy stoliczkach pito musującą sztuczną lemoniadę, a na schodach prowadzących do ogrodu fotografowano. Niektórzy wymieniali między sobą znaczki pocztowe, a ruda Greczynka rysowała pana Rasmussena, ale nie chciała mu potem pokazać podobizny; odsłaniając wśród głośnego śmiechu duże, szeroko rozstawione zęby, wymykała mu się to w jedną, to w drugą stronę, tak że długo nie mógł wyrwać jej bloku. Hermina Kleeefeld siedziała na stopniu z na wpół otwartymi oczami i zwinęła w rolkę gazetą wybijała takt muzyki, a pan Albin przypinał jej do bluzki bukietek polnych kwiatów; młodzieniec z wywinętymi wargami siedział u stóp pani Salomon i rozmawiał z nią, wykręcając szyję, a łysawy pianista nie odrywał oczu od jej karku.

Zjawili się lekarze, radca Behrens w białym, a dr Krokowski w czarnym kitlu, i zmieszali się z towarzystwem. Szli wzdłuż szeregu stoliczków, a radca prawie przy każdym umiał powiedzieć coś dowcipnego, toteż, jak spieniony nurt wody za statkiem, ciągnął się za nim ślad wesołego śmiechu. Potem zeszedli do młodzieży; płeć piękna, krygując się i rzucając spojrzenia z ukosa, zebrała się natychmiast dokoła dra Krokowskiego, a radca, gwoli uczczenia niedzieli, stojąc na schodach, pokazywał panom pewną sztukę: oparł olbrzymią stopę na wyższym

stopniu, rozwiązał sznurowadło, specjalnym chwytem złapał je jedną ręką i bez pomocy drugiej, tak zręcznie potrafił skrzyżować je na haczykach, że wzbudził tym ogólny podziw i niejedną na próżno starał się go naśladować.

Później zjawił się na tarasie Settembrini; podpierając się laską, wyszedł ze stołowego pokoju, również dzisiaj w swej włochoatej marynarce i żółtawych spodniach, z subtelnym, ożywionym i krytycznym wyrazem twarzy. Rozejrzał się wokoło i ze słowami: „A, brawo!” zbliżył się do stolika kuzynów, pytając grzecznie, czy wolno mu będzie się przysiąść.

— Piwo, tytoń i muzyka! — rzekł. — Jesteśmy więc w pańskiej ojczyźnie! Widzę, że ma pan zmysł dla ojczyznanego nastroju, inżynierze. Cieszy mnie, że jest pan w swoim żywiole. Niech i mnie będzie wolno uczestniczyć w tej pańskiej harmonii ducha!

Gdy tylko ukazał się Settembrini, Hans Castorp przybrał poważny wyraz twarzy, a teraz odezwał się:

— Ale, proszę pana, pan się spóźnił na koncert, pewnie się zaraz skończy. Czy pan nie lubi słuchać muzyki?

— Nie lubię jej słuchać na zawołanie! — odparł Settembrini. — I nie według kalendarza. Nie lubię muzyki pachnącej apteką i przydzielanej mi łaskawie ze względów zdrowotnych. Cenię wolność, a raczej tę resztę wolności i godności ludzkiej, jaka nam tu pozostała. Przy takich imprezach jestem tylko hospitantem, podobnie jak pan u nas w ogóle jest tylko hospitantem — przychodzę na kwadrans i idę dalej własną drogą. Daje mi to złudzenie niezależności... Nie twierdzę bynajmniej, że jest to czymś więcej niż złudzeniem, ale ostatecznie, skoro znajduję w tym pewną satysfakcję...! Pański kuzyn odnosi się do tych rzeczy inaczej. Dla niego jest to służba. Prawda, poruczniku, że pan uważa te rzeczy za obowiązki służbowe? O tak, wiem, pan umie i w niewoli zachować dumę. To olśniewająca umiejętność, nie każdy w Europie posiada ją w tym stopniu. Muzyka? Pytał pan, czy uważam się za miłośnika muzyki? Otóż jeżeli pan mówi „miłośnik” (Hans Castorp nie przypominał sobie właściwie, żeby był użył tego słowa), to wyrażenie takie nie jest źle wybrane, ma w sobie odcień pieśczośliwej lekkomyślności. Więc

dobrze, zgadzam się z tym. Tak, jestem miłośnikiem muzyki, przez co jednak bynajmniej nie chcę powiedzieć, że żywię dla niej szczególny szacunek — szacunek i umiłowanie, jakie mam dla słowa, które jest wyrazem myśli, narzędziem i lśniącem le-mieszem postępu... Muzyka... jest czymś na pół artykułowanym, wątpliwym, nieodpowiedzialnym i obojętnym. Zarzuci mi pan pewnie, że i muzyka może być jasna. Ale i natura może nią przecież być; jasny może być strumyk — ale cóż nam z tego? To nie jest prawdziwa jasność, to jest jasność marzenia, nic nie mówiąca i do niczego nie zobowiązująca, jasność bez konsekwencji i niebezpieczna dlatego, że kusi nas, byśmy się nią zadowolili... Muzyka, jeżeli przybierze gest wielkoduszności, potrafi rozplłomić nasze uczucia. Ale przecież chodzi o to, żeby rozum rozplłomić. Wydaje się na pozór, że ruch jest istotą muzyka, jednakże ja podejrzewam ją o kwietyzm. Niechaj mi wolno będzie wyrazić się krańcowo: mam polityczną niechęć do muzyki.

Hans Castorp nie mógł już dłużej wytrzymać. Uderzył się po kolanie i zawołał, że nic podobnego nie słyszał jeszcze w życiu!

— Niech się pan jednak nad tym zastanowi! — powiedział Settembrini z uśmiechem. — Muzyka jest nieoceniona jako środek budzenia zachwytu, jako moc porywająca wzwyż i naprzód, jeżeli umysł jest na jej działanie odpowiednio przygotowany. Ale musi poprzedzać ją literatura. Sama muzyka nie pchnie świata naprzód. Sama muzyka jest niebezpieczna, a dla pana, inżynierze, jest na pewno niebezpieczna. Wyczytałem to natychmiast z jego oblicza, gdy tutaj przyszedłem.

Hans Castorp śmiał się.

— Ach, nie powinien pan przyglądać się mojej twarzy. Nie uwierzy pan, jak bardzo dokucza mi tutejszy klimat. Przystosowanie się doń przychodzi mi trudniej, niż przypuszczałem.

— Obawiam się, że pan się łudzi.

— Nie, gdzież tam! To niewiarygodne, jak straszliwie jestem zmęczony i jak bardzo mnie twarz pali.

— Zdaje mi się jednak, że należy być wdzięcznym dyrekcji za koncerty — rzekł Joachim w zamyśleniu. — Pan Settembrini

patrzy na nie z wyższego punktu widzenia, że tak powiem: jako literat, i nie chcę mu oponować. Jestem jednak zdania, że za trochę muzyki należy się tutaj wdzięczność. Nie jestem bynajmniej szczególnie muzykalny, a utwory, które tu grają, nie są wyjątkowo piękne — ani klasyczne, ani współczesne — mamy tu tylko zwykłą dętą orkiestrę. Ale jest to dla nas bardzo miła odmiana. Zapełnia nam całkowicie kilka godzin, to znaczy: najpierw je dzieli, a potem wypełnia każdą z osobna, tak że mają przecież jakąś treść, podczas gdy zwykle godziny, dni i tygodnie dłużą się tu w nieskończoność... Widzi pan, taki jeden skromny numer koncertu trwa może siedem minut, nieprawdaż, i te minuty stanowią całość dla siebie, mają początek i koniec, wyodrębniają się i do pewnego stopnia nie giną niepostrzeżone w ogólnej monotonii. Poza tym są podzielone na elementy jeszcze drobniejsze, na poszczególne części utworu, te zaś znowu na takty; tak więc ciągle coś się dzieje i każda chwila ma swój własny, uchwytny sens, podczas gdy zwykle... Nie wiem, czy się trafnie...

— Brawo! — zawołał Settembrini. — Brawo, poruczniku! Pan doskonale podkreślił niewątpliwy moment etyczny w istocie muzyki, to mianowicie, że czas nabiera życia, sensu i wartości dzięki szczególnym sposobom mierzenia go, które muzyka umożliwia. Muzyka budzi czas, budzi nas do najdoskonalszego odczuwania czasu, budzi... Na tym polega jej etyczne znaczenie. Sztuka jest etyczna, o ile umie budzić. Ale co wtedy, jeżeli czyni odwrotnie? Jeśli ogłusza, usypia, tłumi aktywność i postęp? Muzyka i to potrafi, miewa czasem działanie podobne jak opium i jego pochodne. Piekielne to działanie, moi panowie! Opium jest rodem z piekła, bo stwarza otępienie, bezwładność, zastój i niewolniczy bezruch. W muzyce jest coś, co nasuwa poważne obawy; obstawiam przy tym, że ma dwuznaczny charakter. Nie posuwam się za daleko, twierdząc, że jest politycznie podejrzana.

Mówił jeszcze długo w ten sam sposób, a Hans Castorp słuchał, ale niezupełnie udawało mu się śledzić bieg myśli Włocha, po pierwsze wskutek zmęczenia, a także dlatego, że uwagę jego odwracała beztroska młodzież bawiąca się na schodach, Czy

mu się tylko zdawało, czy było tak rzeczywiście? Panna z twarzą tapira przyszywała młodzieńcowi z monoklem guzik u dołu jego sportowych spodni, sięgających do kolan! Oddech jej był przy tym ciężki i astmatyczny, a młodzieniec pokaszliwał, przysłaniając usta palcem, którego paznokieć przypominał szufelkę. To prawda, że byli chorzy oboje, ale ich zachowanie świadczyło jednak o dziwnych obyczajach panujących między młodzieżą tu w górze. Orkiestra grała polkę...

HIPPE

W ten sposób niedziela różniła się od innych dni. A popołudnie odznaczało się jeszcze tym, że goście udawali się grupami na przejażdżki: po podwieczorku kilka dwukonnych powozów wspięło się z trudem po serpentynie drogi aż na samą górę i zatrzymało się przed główną bramą, aby zabrać tych, co je zamówili, przeważnie Rosjan, a mianowicie rosyjskie panie.

— Rosjanie zawsze jeżdżą na spacer — odezwał się Joachim do Hansa Castorpa; stali razem przed portalem i dla rozrywki przyglądali się odjeżdżającym. — Pojadą teraz do Clavadell albo nad jezioro, albo do Fliielatal, albo do klasztoru, to mniej więcej są cele ich wycieczek. Jeżeli masz ochotę, możemy także kiedyś pojechać. Ale sądzę, że na razie dosyć masz do roboty z tym, żeby się wżyć tutaj, i nie potrzeba ci żadnych eskapad.

Hans Castorp zgodził się z tym. Z papierosem w ustach i rękami w kieszeniach spodni, przyglądał się, jak niska, żywa staruszka, Rosjanka, sadowiła się w jednym z powozów ze swoją szczupłą siostrzenicą i jeszcze dwiema paniami; były to: Marusia i Madame Chauchat, która miała na sobie lekki prochownik z patką z tyłu, ale była bez kapelusza. Usiadła obok staruszki w głębi powozu, podczas gdy obie młode panny usiadły naprzeciwko. Wszystkie cztery były w dobrych humorach i nie przedstawiały mówić swą miękko, jak gdyby bezkrotną mową. Śmiały się i żartowały z powodu pledu, którym się z trudem okryły,

z powodu rosyjskich cukrów w drewnianej skrzynce wyłożonej watą i papierowymi koronkami; stara ciotka wzięła je z sobą na drogę i już teraz nimi częstowała... Hans Castorp specjalną uwagę zwracał na dochodzący go, trochę zachrypnięty głos pani Chauchat. Jak zwykle, kiedy spotykał tę niedbałą kobietę, narzuciło mu się znowu owo podobieństwo, którego musiał się przez pewien czas doszukiwać i które objawiło mu się we śnie... A śmiech Marusi, jej okrągłe, brązowe oczy, spoglądające dziecinnie sponad chusteczki, którą zakrywała sobie usta, i jej wysokie piersi, wewnątrz podobno poważnie chore, przypomniały mu coś innego, wstrząsającego, co zauważył niedawno — więc ostrożnie i nie poruszając głową spojrzął z boku na Joachima. Nie, chwała Bogu, Joachim nie miał — jak wówczas — takich plam na twarzy, również wargi jego nie były teraz tak żałośnie wykrzywione. Ale patrzył na Marusię — i to w pozycji i z wyrazem oczu, których żadną miarą nie można było nazwać wojskowymi; wyrażały raczej taki smutek i takie zapamiętanie, że musiało się je uważać za niewątpliwie cywilne. Wkrótce zresztą otrząsnął się i spojrzął szybko na Hansa Castorpa, tak że ten zaledwie zdążył odwrócić od niego oczy i skierować je gdzieś przed siebie. Czuł przy tym, jak serce mu bije bez powodu i na własną rękę, jak zwykle tutaj.

Reszta niedzieli nie przyniosła nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem może posiłków, które, nie mogąc być obfitsze niż zwykle, odznaczały się przynajmniej większym wyrafinowaniem potraw. (Na obiad było *chaud-froid* z drobiu *, przybrane rakami i połówkami wisien, do lodów podano *patisserie* * w koszyczkach plecionych z karmelu, a potem świeże ananasy.) Wieczorem, po wypiciu swego piwa, Hans Castorp czuł się bardziej znużony, zziębnięty i ociężały niż dni poprzednich; już koło dziewiątej powiedział kuzynowi dobranoc, spiesźnie naciągnął pierzynę aż po sam podbródek i zasnął jak zabity.

Ale już dzień następny, a więc pierwszy poniedziałek, jaki nasz hospitant tu spędził, dostarczył nowej, regularnie co pewien czas powracającej odmiany w rozkładzie dnia; mianowicie jednego z odczytów, wygłaszanych przez dra Krokowskiego raz

na dwa tygodnie w jadalni przed zgromadzonymi w komplecie mieszkańcami „Berghofu”, którzy byli pełnoletni, znali język niemiecki i nie patrzyli na księżą oborę. Była to, jak Hansowi mówił kuzyn, seria związanych z sobą prelekcji, kurs popularno-naukowy pod ogólnym tytułem: „Miłość jako potęga chorobotwórcza”. Pouczająca pogadanka odbywała się po drugim śniadaniu i, jak również powiedział Joachim, było niedopuszczalne, a w każdym razie bardzo niemile widziane, jeżeli nie brało się w tym udziału; dlatego też uchodziło za zdumiewającą zuchwałość, że Settembrini, chociaż lepiej niż ktokolwiek władał językiem niemieckim, nie tylko nie przychodził nigdy na odczyty, ale ponadto wypowiadał się o nich w najbardziej pogardliwej formie. Co do Hansa Castorpa, to natychmiast zdecydował się iść na odczyt, przede wszystkim przez uprzejmość, lecz także z nie ukrywanej ciekawości. Przedtem jednak przyszło mu na myśl coś zupełnie niewłaściwego i fałszywego: żeby na własną rękę zrobić dłuższy spacer, co mu wcale a wcale nie posłużyło.

— Posłuchaj no! — były jego pierwsze słowa, kiedy Joachim wszedł rano do jego pokoju. — Widzę, że tak dłużej ze mną być nie może. Mam już dosyć pozycji poziomej — przecie z tego krew ścina się w żyłach. Z tobą rzecz ma się, naturalnie, inaczej, ty jesteś pacjentem, ciebie nie chcę bynajmniej sprowadzać na manowce. Ale ja chcę zaraz po śniadaniu, jeżeli nie weźmiesz mi tego za złe, wybrać się na porządną przechadzkę, tak na parę godzin w świat, gdzie oczy poniosą. Wsunę do kieszeni coś do przekąszenia na drugie śniadanie, to mi zapewni niezależność. Zobaczmy, czy nie będę zupełnie innym człowiekiem po powrocie do domu.

— Dobrze — odparł Joachim, widząc, że tamten poważnie traktuje swoje pragnienie i swój zamiar. — Ale radzę ci, nie przeholuj. Tutaj jest inaczej niż w domu. A poza tym wróć punktualnie na odczyt.

W rzeczywistości były jeszcze inne powody, poza fizycznymi, które wpłynęły na postanowienie młodego Hansa Castorpa. Zdawało mu się, że przyczyną jego rozpalonej głowy, niesmaku, który prawie ciągle czuł w ustach, i nieobliczalnego bicia serca

były nie tyle trudności związane z zaaklimatyzowaniem się tutaj, ile takie rzeczy, jak zachowywanie się rosyjskiego małżeństwa w sąsiednim pokoju, gadanina chorej i głupiej pani Stóhr, miękki kaszel sportsmena, który co dzień słyszał na korytarzach, wynurzenia pana Albina, wrażenie, które wywarły na nim obyczaje chorej młodzieży, wyraz twarzy Joachima, kiedy przyglądał się Marusi, i wiele innych podobnych spostrzeżeń. Sądził, że dobrze będzie wyrwać się nareszcie z zaczarowanego koła sanatorium „Berghof”, głęboko odetchnąć świeżym powietrzem i zażyć do syta ruchu, ażeby później, kiedy będzie wieczorem zmęczony, wiedzieć przynajmniej, dlaczego. Tak więc, kiedy Joachim po śniadaniu wybrał się na swój przepisowy spacer do ławki nad rynną z wodą, odłączył się od niego, pełen przedsięwziętości, i wywijając laską, puścił się w dół po szosie, szukając własnych dróg.

Był chłodny, pochmurny ranek — około wpół do dziewiątej. Zgodnie z powziętym postanowieniem Hans Castorp wdychał głęboko czyste ranne powietrze, tę świeżą i lekką atmosferę, którą wchłaniało się bez trudu, która była bez zapachu, bez wilgoci, bez treści, bez wspomnień... Przeszedł nad strumieniem, przeciął wąski tor kolejki, dostał się na szeroką, bezplanowo zabudowaną drogę, zboczył z niej wkrótce i wybrał pełną ścieżkę, która tylko na krótkiej przestrzeni biegła równo, a potem skośnie i dosyć stromo wznosiła się w górę po prawym zboczu. Wspinanie się cieszyło Hansa Castorpa, pierś jego oddychała szeroko; rączką laski zsunął kapelusz z czoła, a kiedy, już z pewnej wysokości, obejrzał się i ujrzał w dali taflę jeziora, obok którego przejeżdżał w dniu swego przybycia, zaczął śpiewać.

Śpiewał melodie, które były mu znane, różne popularne i sentymentalne piosenki ze śpiewników korporantów i zrzesseń gimnastycznych, między innymi jedną, zawierającą następujące słowa:

Miłość i wino w pieśni chwał,
Lecz przede wszystkim cnotę.

Z początku nucił ją cicho, a potem śpiewał głośno i ze wszystkich sił. Jego głos barytonowy był nikły, ale dzisiaj podobał mu się, i młody Castorp znajdował w śpiewaniu coraz większą przyjemność. Jeżeli zaczął za wysoko, przechodził w falset, ale i to podobało mu się. Jeżeli go pamięć zawodziła, dopomagał sobie, podkładając pod melodię bezsensowne zgłoski i słowa, które — zwyczajem artystów-śpiewaków — emitował w powietrze, modulując usta i ze wspaniałym podniebiennym „r”, w końcu zaś zarówno słowa, jak i melodie były już tylko wytworami jego własnej fantazji, a produkcje swe podkreślał nawet operowymi gestami. Ponieważ jednoczesne wchodzenie pod górę i śpiewanie jest rzeczą bardzo wyczerpującą, przeto zabrakło mu wkrótce tchu i stan ten pogarszał się coraz bardziej. Ale z pobudek idealnych, dla samego wzruszenia estetycznego starał się zwalczyć tę trudność i wśród częstych westchnień dał z siebie wszystko co mógł, aż wreszcie, z najwyższym wysiłkiem łapiąc oddech, oślepy, mając w oczach tylko różnokolorowe migotliwe ogniki, z rozdygotanym pulsem padł na ziemię pod grubą sosną — po tak podniosłym nastroju nagle wydany na pastwę głębokiego niezadowolenia i przygnębienia, graniczącego z rozpaczą.

Gdy, jako tako przyszedłszy do siebie nerwowo, podniósł się znowu, żeby kontynuować wycieczkę, czuł tak gwałtowne drżenie karku, że — już w tak młodym wieku — potrzasał głową zupełnie w ten sam sposób, jak to czynił niegdyś sędziwy Hans Lorenz Castorp. Wspomnienie zmarłego dziadka, wywołane tym nowym zjawiskiem, serdecznie go wzruszyło i, nie odczuwając żadnej przykrości z tego powodu, z upodobaniem starał się naśladować dostojny sposób, w jaki starzec usiłował opanować drżenie głowy, wpierając podbródek w kołnierz — sposób, który tak bardzo podobał się niegdyś chłopcu.

Piął się serpentynami coraz wyżej. Wabiły go dźwięki krowich dzwonek i udało mu się natrafić na stado; pasło się w pobliżu szałas, którego dach obciążony był kamieniami. Dwóch brodatych mężczyzn z siekierami na ramionach szło naprzeciw niego, a kiedy byli już blisko, rozstali się. — A więc

żegnaj. I dzięki ci! — powiedział jeden z nich do drugiego głębokim, gardłowym głosem, przełożył siekierę na drugie ramię i na przełaj, po trzeszczących gałązkach, zaczął schodzić pomiędzy świerkami w dolinę. Dziwnie zabrzmiało tutaj w samotności to: „A więc żegnaj. I dzięki ci!” I rozmarzyło Hansa Castorpa, odurzonego już wspinaniem się i śpiewaniem. Po cichu powtórzył te słowa, starając się przy tym naśladować gardłową, uroczyste nieporadną mowę górala, i poszedł jeszcze trochę ponad szalas, bo pragnął osiągnąć granicę drzew; ale spojrzawszy na zegarek, porzucił ten zamiar.

Skręcił teraz w lewo, w kierunku domu, i szedł ścieżką, z początku równą, a potem biegnącą w dół. Ogarnął go wysokopienny las szpilkowy i, krocząc pomiędzy drzewami, zaczął nawet znowu trochę, co prawda ostrożnie, pośpiewywać, mimo że przy schodzeniu kolana drżały mu jeszcze bardziej niepokojąco niż przedtem. Ale kiedy wyszedł z lasu, przystanął, zaskoczony przepiękną sceną, która otworzyła się przed nim — zacisznie zamkniętym krajobrazem o kojących, a zarazem wspaniałych zarysach.

Po prawej stronie płytkim kamienistym łożyskiem spadał w dół górski potok, spieniony wylewał się na tarasowato układające się bloki skalne i płynął dalej, już spokojniej, w stronę doliny, malowniczo spięty kładką o prymitywnie skleconych poręczach. Ziemia była niebieska od dzwonków, którymi obsypane były rosnące tu w wielkiej obfitości krzewy. Poważne świerki, równe i olbrzymiego wzrostu, stały samotnie lub w grupach na dnie wąwozu i na jego zboczach, a jeden z nich, ukośnie rosnąc na pochyłym brzegu dzikiego strumienia, krzywo i dziwacznie wrzynał się w obraz. Zaciszny szum wody wypełniał to piękne pustkowie. Hans Castorp spostrzegł ławkę na drugim brzegu strumienia.

Przeszedł przez kładkę i usiadł, aby rozkoszować się widokiem wodospadu, bryzgającej piany i przysłuchiwać się sie-lankowo gwarzącemu, monotonnemu, a jednak w treści swej zmiennemu szumowi; bo Hans Castorp lubił szumiące wody tak bardzo jak muzykę, a może nawet więcej. Ale zaledwie rozsiadł

się wygodnie, nagle krew tak gwałtownie rzuciła mu się z nosa, że niezupełnie udało mu się uchronić ubranie od zaplamienia. Krwotok był raptowny, uporczywy, i Hans Castorp miał z nim chyba z pół godziny do czynienia, bo musiał ciągle biegać od ławki do potoku i z powrotem, aby przepłukiwać chusteczkę do nosa, wciągać wodę nozdrzami i znowu kłaść się na ławce na wznak, z wilgotną chustką na nosie. Tak leżał, aż wreszcie krew przestała uchodzić — leżał bez ruchu, ręce miał skrzyżowane pod głową, kolana podniesione, oczy zamknięte, uszy pełne szumu, i nie czuł się źle, raczej ukołyszany był obfitym wpływem krwi i w stanie dziwnie osłabionej żywotności; bo po każdym wydechu długo nie czuł potrzeby wciągania na nowo powietrza, ale zmartwiały, spokojnie pozwalał sercu uderzyć wiele razy, zanim — po upływie pewnego czasu i leniwie, znowu płytko odetchnął.

I nagle poczuł się przeniesiony w tę dawno minioną sytuację, która była kanwą pewnego snu, osnutego na najświeższych wrażeniach, snu, który miał kilka dni temu...

Ale tak silnie, tak bez reszty, tak aż do zupełnego zaniku czasu i przestrzeni został porwany w owo tam i wtedy, że można by powiedzieć, iż tu na górze, na ławce nad wartkim potokiem spoczywa martwe ciało, podczas gdy właściwy Hans Castorp znajduje się daleko, w odległym czasie i miejscu, i to w położeniu, przy całej swej prostocie, ryzykownym i oszałamiającym.

Miał lat trzynaście, był uczniem czwartej klasy, chłopcem w krótkich spodenkach, i stał na dziedzińcu szkolnym rozmawiając z kolegą z innej klasy, mniej więcej swoim rówieśnikiem — a rozmowa ta, którą Hans Castorp rozpoczął dosyć samowolnie i która, mając specjalny i ściśle określony przedmiot, nie mogła trwać długo, mimo to cieszyła go w najwyższym stopniu. Było to na dziedzińcu, podczas pauzy pomiędzy przedostatnią a ostatnią godziną, pomiędzy lekcją historii a lekcją rysunków w klasie Hansa Castorpa. Dziedziniec, wyłożony czerwonym klinkierem, odgradzony był od ulicy murem, pokrytym gontami i zaopatrzonym w dwie bramy; uczniowie przechadzali się

w szeregach tam i z powrotem, stali w grupkach, na wpół siedząc opierali się o szkliste występy murów budynku. W powietrzu unosił się gwar głosów. Nauczyciel, w miękkim kapeluszu, jadł bułkę z szynką, dozorując uczniów.

Chłopiec, z którym rozmawiał Hans Castorp, nazywał się Hippe, a na imię miał Przybysław. Było rzeczą godną uwagi, że imię to pisało się Pribisław, ale „r” w tym słowie należało wymawiać jak „rz”. Przybysław. To dziwaczne imię harmonizowało z jego powierzchownością, niezupełnie przeciętną, wyraźnie mającą w sobie coś obcego. Hippe, syn historyka i nauczyciela gimnazjalnego, a więc notoryczny prymus, rówieśnik niemal Hansa Castorpa, był już od niego o klasę wyżej; pochodził z Meklemburga i był najwidoczniej produktem dawnego skrzyżowania ras, domieszki krwi wendyjsko-słowiańskiej do krwi niemieckiej czy też odwrotnie. Był wprawdzie blondynem — włosy dokoła okrągłej czaszki miał krótko ostrzyżone, ale jego oczy, szaroniebieskie czy niebieskoszare — kolor ich był trochę nieokreślony i składał się z różnych odcieni, niby kolor dalekich gór — miały szczególny, wąski i właściwie trochę nawet skośny wykrój, a tuż pod nimi wystawały mocno rozwinięte kości policzkowe; ten kształt twarzy bynajmniej go nie szpecił, robił raczej miłe wrażenie, ale wystarczał, by koledzy nadali mu przydomek „Kirgiza”. Poza tym Hippe nosił już długie spodnie, a do nich niebieską bluzę, wysoko zapinaną i marszczoną na plecach; jej kołnierz nosił zwykle lekkie ślady łupieżu. Otóż sprawa miała się tak, że Hans Castorp dawno już zwrócił uwagę na tego Przybysława — jego właśnie wybrał z całego rojowiska znajomych i nieznajomych na dziedzińcu szkolnym, nim się interesował, za nim wodził oczami; czyżby podziwiał go? W każdym razie przypatrywał mu się z wyjątkowym zainteresowaniem i już w drodze do szkoły cieszył się, że będzie go obserwował w gronie jego kolegów, że będzie widział, jak mówi i śmieje się, i że z daleka będzie odróżniał jego głos, który był przyjemnie matowy, przytłumiony i trochę zachrypnięty. Można powiedzieć, że to zainteresowanie nie miało dostatecznej podstawy, o ile nie zechciałoby się uważać za nią pogańskiego imienia,

wzorowych postępów w nauce (które jednak na pewno nie mogły zaważyć) albo wreszcie kirgiskich oczu, umiejących niekiedy, przy pewnych spojrzeniach z ukosa, których celem nie było widzenie, topnieć jakoś i ciemnieć aż do mrocznych tonów nocy. W każdym razie Hans Castorp niewiele się troszczył o rozumowe uzasadnienie swych uczuć, a już wcale o to, jak należałoby je nazwać, gdyby się to okazało koniecznym. O przyjaźni wszak nie mogło być mowy, bo przecież „nie znał” zupełnie Hippego. Ale po pierwsze nie zachodziła żadna konieczność znalezienia nazwy, bo niemożliwością zgoła było, by rzecz ta stała się kiedykolwiek przedmiotem rozmowy — nie nadawała się do tego i nie potrzebowała tego. A po wtóre, nazwa jest o ile nie krytyką, to w każdym razie określeniem, to znaczy umieszczeniem w czymś znanym i zwyczajnym, a Hans Castorp żywił przecież nieświadome przekonanie, że dobro wewnętrzne, takie jak to, raz na zawsze powinno być zabezpieczone od podobnych określeń i sposobów umieszczenia.

Ale niezależnie od tego, jak były uzasadnione, dobrze czy źle, te uczucia, tak trudne do nazwania i do ujęcia w słowa, posiadały taką żywotność, że Hans Castorp nosił się z nimi w cichości już od roku prawie — mniej więcej od roku, bo trudno było dokładnie ustalić -ich początek; świadczyło to co najmniej o wierności i stałości jego charakteru, zważywszy, jak ogromnym przeciągiem czasu jest rok w jego wieku. Niestety, wszystkie nazwy cech charakteru kryją w sobie stale jakąś ocenę moralną, bądź w sensie dodatnim, bądź w ujemnym, chociaż każda z tych cech ma zawsze dwie strony. „Wierność” Hansa Castorpa, którą zresztą bynajmniej się nie chełpił, polegała, mówiąc bez wartościowania, na pewnej o ciężałości, powolności i bezwładności jego usposobienia, na pewnym wrodzonym konserwatyzmie, dzięki któremu uczucia przywiązania i stałości i oparte na nich” stosunki z ludźmi wydawały mu się tym godniejsze, im dłużej trwały. Był nawet skłonny do wiary w wieczne trwanie stanów i nastrojów, które przeżywał; cenił je dlatego właśnie i nie zależało mu na odmianie.

Toteż zżył się w głębi serca ze swoim cichym i dalekim sto-

sunkiem do Przybysława Hippego i uważał to za coś w swoim życiu niezmiennego. Lubił wzruszenia, które się z tym wiązały, pytania, czy go dzisiaj spotka, czy Hippe przejdzie koło niego, czy może spojrzy na niego; lubił cichy, delikatny sposób, w jaki spełniały się jego pragnienia, lubił nawet rozczarowania, które przynosiła mu jego tajemnica, a z których największe było, gdy Przybysław był „nieobecny” — wtedy dziedziniec szkolny był pusty, dzień odarty z wszelkiego wdzięku, ale pozostawała nieustępliwa nadzieja.

Tak było przez rok, do chwili kiedy nadszedł ów awanturniczy punkt kulminacyjny; potem, dzięki stałości i wierności Hansa Castorpa, trwało to jeszcze jeden rok, aż wreszcie się skończyło; a skończyło się tak, że jak przedtem nie spostrzegał wciąż zacieśniających się więzów, które go łączyły z Przybysławem Hippe, tak teraz nie zdawał sobie sprawy z ich rozluźniania się i wreszcie ostatecznego zerwania. Zresztą Przybysław opuścił szkołę i miasto, ponieważ ojciec jego został przeniesiony, ale na to Hans Castorp prawie nie zwrócił uwagi; zapomniał o nim już przedtem. Można powiedzieć, że postać „Kirgiza” niepostrzeżenie wypłynęła z mgły i weszła w jego życie, nabierała coraz większej wyrazistości i uchwytności, aż nadeszła owa chwila największej bliskości i ucieleśnienia, wtedy na szkolnym dziedzińcu; że przez czas pewien stała na pierwszym planie, a potem stopniowo znów zaczęła się oddalać i wreszcie rozplynęła się we mgle, bez bólu pożegnania.

A ów śmiały i awanturniczy incydent, owa sytuacja, w którą Hans Castorp teraz znowu został przeniesiony, owa rozmowa, rzeczywista rozmowa z Przybysławem Hippe, miała następujący przebieg. Była kolej na lekcję rysunków, gdy Hans Castorp spostrzegł nagle, że nie ma ołówka. Koledzy jego sami potrzebowali swoich ołówków, ale miał przecie w innych klasach znajomych, do których mógłby się zwrócić o ołówek. Najlepiej jednak znał Przybysława; Przybysław był mu — jak sądził — najbliższy, bo w cichości tak wiele miał już z nim do czynienia; i w radosnym porywie całej swojej istoty postanowił skorzystać z tej okazji — nazwał to okazją — i poprosić Przybysława

O ołówek. Zaślepiiony niezwykłą jakąś beztroską, nie zdawał sobie sprawy albo po prostu nie kłopotał się o to, że będzie to właściwie niecodzienny kawał, bo przecież w rzeczywistości nie znał Hippego. Chwilę później stał naprawdę przed Przybysławem Hippe, wśród tłoku, na dziedzińcu wyłożonym klinkierem i odezwał się do niego:

— Przepraszam, czy możesz pożyczyć mi ołówka?

A Przybysław spojrział na niego swoimi kirgiskimi oczami znad wystających kości policzkowych i powiedział swym miłym, lekko zachrypniętym głosem, nie dziwiąc się wcale, a w każdym razie nie okazując zdziwienia:

— Chętnie. Ale po lekcji musisz mi go koniecznie oddać. — I wyjął z kieszeni swój posrebrzany crayon * z obrączką, którą trzeba było pociągnąć w górę, ażeby z metalowej osłony wyrósł czerwono polakierowany ołówek. Objasniał koledze prosty mechanizm ołówka, a ich pochylone głowy zbliżyły się do siebie.

— Ale go nie złam! — dodał jeszcze.

Jakże on mógł tak myśleć? Jak gdyby Hans Castorp miał zamiar może n i e zwrócić ołówka albo nawet z nim się niedbale obchodzić.

Potem spojrzeli na siebie z uśmiechem, a ponieważ wszystko było już powiedziane, odwrócili się najpierw bokiem do siebie, potem plecami i rozeszli się.

To było wszystko. Ale nigdy w życiu Hans Castorp nie był szczęśliwszy niż podczas tej godziny rysunków, kiedy rysował ołówkiem Przybysława Hippego, ciesząc się w dodatku myślą, że później wręczy go znowu właścicielowi, co w sposób niewymuszony i naturalny wynikało ze wszystkiego poprzedzającego. Odważył się nawet zaostrzyć trochę ołówek, posypały się czerwone strużyny, a trzy czy cztery z nich przechowywał później przez cały rok w wewnętrznej szufladzie swego pulpitu. Nikt z tych, którzy by je znaleźli, nie domyśliłby się, jak doniosłe jest ich znaczenie! Zwrócenie ołówka odbyło się zupełnie po prostu, co- zresztą było po myśli Hansa Castorpa i z czego nawet był szczególnie dumny — bo przecież przez

swoje wewnętrzne obcowanie z Przybysławem był rozpieszczony i mniej wrażliwy.

— Masz — rzekł. — Bardzo dziękuję.

Przybysław nie odezwał się wcale, tylko sprawdził pobieżnie mechanizm i schował swój crayon do kieszeni. Potem już nigdy z sobą nie rozmawiali, ale ten jeden raz, dzięki przedsiębiorczości Hansa Castorpa, jednak się to stało...

Otworzył nagle oczy, oszołomiony głębią swego zapamiętania. „Zdaje mi się, że coś mi się śniło! — pomyślał. — Ach, tak, to był Przybysław. Już dawno o nim nie myślałem. Gdzie się podziały te strużyny? Pulpit jest w domu u wuja Tienappla, na strychu. Muszą być jeszcze w wewnętrznej szufladce z tyłu z lewej strony. Nigdy ich stamtąd nie wyjmowałem. Nawet tyle uwagi im nie poświęciłem, żeby je wyrzucić... To był zupełny Przybysław, jak żywy. Nigdy bym nie przypuszczał, że go jeszcze kiedyś tak wyraźnie zobaczę. Jaki on był dziwnie podobny do niej — do tej tu, z sanatorium! A więc dlatego tak się nią interesuję? A może też dlatego właśnie tak się nim interesowałem? Nonsens, zupełny nonsens! Zresztą, muszę już iść, a nawet jak najprędzej". Ale nie ruszał się, tylko leżał dalej, rozmyślając i wspominając. Potem wstał. „A więc żegnaj. I dzięki ci!" — powiedział, uśmiechnął się i łzy napłynęły mu do oczu. Teraz już chciał puścić się w drogę, ale znów szybko usiadł, mając laskę i kapelusz w ręku, bo widocznie zauważył, że kolana odmawiają mu posłuszeństwa. „Hola — pomyślał — wydaje mi się, że to nie pójdzie tak gładko! A mam być punktualnie o jedenastej w jadalni na odczynie. Tutejsze spacerują jak widzę, swoje piękne strony, ale i swoje niebezpieczeństwa; tak, tak, ale nie mogę przecież tutaj zostać. To tylko dlatego, że mnie leżenie trochę obezwładniło, ale się na pewno rozruszam." I znów spróbował wstać, a że się mocno natężył, więc jakoś mu się udało.

Bądź co bądź był to żaloszny powrót po tak dumnym wymarszu. Musiał często odpoczywać po drodze, bo czuł, jak mu nagle krew odpływa od głowy, jak zimny pot występuje na czoło i jak nierówne bicie serca zapiera mu oddech. Z trudem scho-

dził w ten sposób serpentynami ku dolinie; ale kiedy wreszcie znalazł się na dole, w pobliżu Kurhauzu, doszedł do przekonania, że w żaden sposób nie uda mu się już przebyć o własnych siłach drogi dzielącej go jeszcze od sanatorium; a ponieważ nie było tramwaju, a i żadna dorożka jakoś się nie ukazywała, poprosił woźnicę, który z pustymi skrzyniami zjeżdżał na dół w stronę Davos-Wsi, ażeby pozwolił mu się przysiąść na wóz. Jechał tak, oparty o furmana, zwiesiwszy nogi z wozu, kołysząc się i kiwając w półśnie za każdym wstrząśnieniem pojazdu, budząc zdziwienie i współczucie u przechodniów; koło przejazdu kolejowego zszedł na ziemię, zapłacił, nie patrząc — za wiele czy też za mało — i na złamanie karku popędził drogą w dół.

— Depechez-vous, monsieur! — powiedział francuski portier. — La conference de M. Krokowski vient de commencer.* — Hans Castorp rzucił w szatni laskę i kapelusz i pospiesznie, ale ostrożnie, z językiem między zębami, przycisnął się przez lekko otwarte oszklone drzwi do jadalni, gdzie kuracjusze siedzieli na krzesłach ustawionych rzędami; pod prawą ścianą stał dr Krokowski, w tużurku, przed nakrytym stolikiem z karafką wody, i przemawiał...

ANALIZA

Szczęściem w pobliżu drzwi znalazło się wolne miejsce narożne. Hans Castorp wśliznął się bokiem i zrobił minę, jak gdyby od początku tam siedział. Publiczność, z napiętą, świeżą jeszcze uwagą słuchająca dra Krokowskiego, prawie go nie zauważyła. I dobrze, że tak się stało, bo wyglądał okropnie. Był błady jak ściana, a ubranie miał zbroczone krwią. Mógł więc uchodzić za mordercę, który dopiero co dokonał zbrodni. Oczywiście pani, siedząca przed nim, odwróciła głowę, gdy zajmował miejsce, i obrzuciła go badawczym spojrzeniem wąskich oczu. Z pewnego rodzaju wzburzeniem poznał, że była to Madame Chauchat. Cóż u licha, czy nie zazna dzisiaj spokoju? Są-

dził, że odpocznie tu wreszcie i będzie mógł przyjść trochę do siebie, a tu nagle ta kobieta tuż pod nosem; może kiedy indziej ucieszyłby go ten przypadek, ale teraz tak był zmęczony i wyczerpany, cóż mogło mu z tego przyjść? Było to tylko nowe zadanie dla jego serca i, Bóg raczy wiedzieć, może w ciągu całego odczytu nie da mu spokoju. Spojrzała na niego zupełnie oczami Przybysława, widziała jego twarz i plamy krwi na ubraniu — przyglądała mu się nawet dość bezwzględnie i natarczywie, co zresztą zgodne było z manierami kobiety, która trzaska drzwiami. Jakże źle się trzymała! Zupełnie inaczej niż kobiety, z którymi Hans Castorp stykał się w swojej sferze, a które siedziały wyprostowane i, zwracając głowę do sąsiada przy stole, rozmawiały z nim, zaledwie poruszając wargami. Pani Chauchat siedziała niedbale skulona, plecy miała okrągłe, ramiona zwisające ku przodowi, a głowę przechylała w ten sposób, że w wycięciu jej białej bluzki wyraźnie odznaczały się kręgi karku. Przybysław także trzymał głowę w ten sposób, ale on był wzorowym uczniem, żył zgodnie z nakazami honoru (choć nie to było powodem, dla którego Hans Castorp prosił go o pożyczanie ołówka) — podczas gdy nie ulegało wątpliwości, że niedbala postawa pani Chauchat, trzaskanie drzwiami, nietaktowne przyglądanie mu się — wszystko to było ściśle związane z jej chorobą, a nawet było wyrazem tego braku dyscypliny wewnętrznej i wprost bezgranicznych, chociaż niezbyt godnych szacunku korzyści, jakie niedawno wychwalał pan Albin...

Gdy Hans Castorp patrzył tak na przygarbione plecy pani Chauchat, myśli jego zaczęły się mącić, a wreszcie przestały już być myślami i przedzierzgnęły się w jakieś marzenia, w które jakby z daleka wpadał monotonny baryton dra Krokowskiego z jego charakterystycznym miękkim „r”. Ale wkrótce zaczęła nań oddziaływać cisza panująca na sali i skupienie słuchaczy; ocknął się i rozejrzał wokoło... Obok niego siedział łysawy pianista; głowę odrzucił w tył i słuchał z otwartymi ustami i skrzyżowanymi na piersiach rękami. Nieco dalej siedziała nauczycielka, panna Engelhart, z pożądaniem w oczach i ciemnoczerwonymi wypiekami na obu policzkach. Inne panie, na które

spojrzał Hans Castorp, miały również rozpalone twarze: pani Salomon, sąsiadująca z panem Albinem, i pani Magnus, żona piwowara, która traciła białko. Wyraz twarzy pani Stóhr, siedzącej bardziej w tyle, pełen był tak niekulturalnego rozmarzenia, że rozpacz ogarniała, kiedy się na nią patrzyło, a błada jak z kości słoniowej panna Levi, z przymkniętymi oczami i złożonymi na kolanach rękami, oparta wygodnie o poręcz krzesła, wyglądałaby zupełnie jak martwa, gdyby jej piersi nie falowały tak mocno i równo, że Hansowi Castorpowi przypomniawszy się figura woskowa z ukrytym wewnątrz mechanizmem, którą widział kiedyś w panopticum. Niektórzy z gości wzniesli do uszu dłonie zwinięte w trąbkę albo przynajmniej markowali ten gest, trzymając ręce trochę poniżej, jak gdyby ich nie donieśli do uszu i w pół ruchu nagle zastygli w skupieniu. Prokurator Paravant, silnie opalony i pozornie atletycznej budowy, nastawił nawet ucha, ażeby lepiej słyszeć, po czym dał się zawładnąć wymowie dra Krokowskiego.

O czymże mówił dr Krokowski? Jakie zagadnienia poruszał? Hans Castorp skupił uwagę, aby się zorientować, co mu się nie od razu udało, bo nie słyszał początku, a potem, zajęty patrzeniem na zgarbione plecy pani Chauchat, stracił wątek. Chodziło o jakąś potęgę... o ową potęgę, słowem: o potęgę miłości. Ma się rozumieć! Ogólny tytuł cyklu odczytów wymieniał ten temat, a zresztą o czym by miał mówić dr Krokowski, skoro to właśnie było dziedziną jego badań. Dla kogoś, kto dotychczas słuchał tylko wykładów związanych z budową okrętów, na przykład o przekładniach i tym podobnych przedmiotach, dziwną było rzeczą słuchać nagle wykładu o miłości. Jakimi drogami dojść można było do tego, żeby w biały dzień omawiać z paniami i panami tak wstydlivy i dyskretny temat? Dr Krokowski łączył dwa różne sposoby wykładania, styl poetycki ze ściśle naukowym, mówił jednak tonem śpiewnym i wibrującym, co raziło trochę młodego Hansa Castorpa, chociaż to właśnie zapewne sprawiało, że panie miały tak rozpalone policzki, a panowie nastawiali uszu. Słowa „miłość” używał prelegent w sposób nieco chwiejny i nigdy nie było się pewnym jego właściwego sensu,

czy ma ono oznaczać coś wzniosłego, czy też namiętność cielesną — przyprawiało to o lekkie wrażenie choroby morskiej. Nigdy w życiu nie słyszał jeszcze Hans Castorp tego słowa tak raz po raz wymawianego jak tu i dzisiaj, a kiedy się zastanowił, zdawało mu się, że on sam dotychczas jeszcze go nie wymawiał ani nie słyszał od innych. Może się mylił, ale bądź co bądź był zdania, że tak częste powtarzanie nie wychodzi temu słowu na dobre. Na odwrót, sam jego dźwięk zaczął mu sprawiać przykrość i budzić skojarzenie jakby z rozwodnionym mlekiem, z czymś niebieskawobiałym i lepkiem; wrażenie to jeszcze wzrastało przez porównanie z mocnymi określeniami miłości, którymi posługiwał się dr Krokowski. Jasne było bowiem, że zaczawszy jak on, można było sobie na wiele pozwolić, nie wypłaszając słuchaczy z audytorium. Prelegent nie zadowalał się wypowiedzianiem w pewnego rodzaju oszalałym rytmem rzeczy powszechnie wiadomych, ale zwykle pokrywanych milczeniem; burzył iluzje, składając hołd nieubłaganej prawdzie, nie pozostawiał nic z sentymentalnej wiary w godność starości i w anielską czystość dzieciństwa. Nawet do tużurka nosił zresztą koszulę z miękkim wykładanym kołnierzem, sandały i szare wełniane skarpetki, co nadawało mu wygląd bezkompromisowego idealisty, chociaż przejmowało poniekąd lękiem Hansa Castorpa. Dr Krokowski wykładał o przerażających formach, jakie czasami przybiera miłość, o osobliwych bolesnych i niesamowitych sposobach jej przejawiania się, o jej wszechmocy; od czasu do czasu czerpał przykłady i anegdoty, a nawet czytał wiersze z książek i papierów, rozłożonych przed nim na stole. Miłość, tak mówił, jest najchwiejniejszym i najbardziej na odchylenia narażonym ze wszystkich naturalnych popędów człowieka i ma nieprzepartą skłonność do zbroceń i fatalnych perwersji. Nic w tym dziwnego, bo ten potężny bodziec nie jest niczym prostym, lecz czymś z natury swej bardzo skomplikowanym i choć jako całość jest zupełnie normalny, to jednak składa się z samych perwersji. Ponieważ jednak, ciągnął dalej dr Krokowski, ponieważ z perwersyjnego charakteru składników słusznie nie chcemy wnosić

o nieprawidłowym charakterze całości, jesteśmy więc nieuchronnie zmuszeni całą jej prawidłowość lub przynajmniej część tej prawidłowości przypisać również owym perwersyjnym składnikom. Jest to postulatem logiki i prelegent prosi słuchaczy, by o tym nie zapominali. Perwersyjne składniki łączą się często w prawidłową i pożyteczną całość pod wpływem wewnętrznych hamulców i drzemiących w człowieku korygujących czynników, zgodnie z instynktownymi nakazami przyzwoitości i ładu wewnętrznego, które — można by niemal powiedzieć — są poniekąd mieszczańskiej natury. Ale wyniki tego wyrównawczego i ograniczającego działania, tego niezrzedkiego i bądź co bądź bardzo szczęśliwego procesu, nie są przedmiotem (dr Krokowski dodał to z odcieniem pogardy) zainteresowania lekarza ani myśliciela. Zdarza się natomiast, że proces ten nie daje zadowalających wyników, nie może i nie powinien ich dać; a któż by śmiał twierdzić — pytał dr Krokowski — że nie jest to właśnie przypadek szlachetniejszy i bardziej wartościowy pod względem duchowym? W tym właśnie przypadku oba wspomniane rodzaje sił, zarówno pragnienie miłości, jak i owe przeciwne impulsy, a przede wszystkim wstyd i odraza, dochodzą do niezwykłego napięcia i roznamietnienia, przerastającego znacznie zwykłą miarę mieszczańską.

Ta walka, która się toczy w mrokach duszy, sprawia, że zblakane popędy nie mogą doznać uciszenia, zabezpieczenia i uobyczajnienia, które zapewniają życiu miłosnemu harmonię i zgodność z obowiązującymi przepisami. Jakież jest wynik zmagania się potęgi czystości z potęgą miłości — bo o takie właśnie zmaganie chodzi? Na pozór kończy się zwycięstwem czystości. Bojaźń, dobre wychowanie, cnotliwy wstręt, trwożna potrzeba czystości tłumią miłość i trzymają ją w mroku, dopuszczając do świadomości i otwartego działania najwyżej drobne ułamki jej niejasnych dążeń, z pominięciem głównego nurtu jej potęgi i różnorodności. To zwycięstwo czystości jest jednak pozornym tylko i pirrusowym zwycięstwem, bo nakazy miłości nie dają się spętać ni zgwałcić, a stłumiona miłość nie umiera, lecz żyje, w ciemności i w głębokim ukryciu dąży nadal do spełnienia się,

kruszy więzy czystości i zjawia się znowu, choć zmieniona nie do poznania... Jakaż więc jest ta nowa postać i maska, pod którą powraca odepchnięta i stłumiona miłość? Dr Krokowski rzucił to pytanie i rozejrzał się po szeregach słuchaczy, jak gdyby naprawdę oczekiwał od nich odpowiedzi. Ale choć tyle już powiedział, musiał jeszcze i to sam powiedzieć. Nikt prócz niego nie znał odpowiedzi, ale widać było, że on zna ją na pewno. Ze swymi błyszczącymi oczami, woskowo blady i z czarną brodą, w mniszych sandałach na szarych wełnianych skarpetkach, zdawał się sam być ucieleśnieniem zaciętej walki pomiędzy czystością a namiętnością. Tak przynajmniej zdawało się Hansowi Castorpowi, który, jak wszyscy inni, z największym napięciem oczekiwał wyjaśnienia, jaką postać przybiera odepchnięta miłość. Panie wstrzymywały oddech. Prokurator Paravant jeszcze raz nastawił ucha, przygotowując się w ten sposób do rozstrzygającego momentu, a dr Krokowski powiedział: postać choroby! Symptomy choroby są zamaskowanymi przejawami miłości, a każda choroba jest przekształconą miłością.

A więc słuchacze znali już odpowiedź, chociaż, co prawda, nie wszyscy umieli ją w całości ocenić. Westchnienie przeszło przez salę. Prokurator Paravant przytakiwał głową z uznaniem, a dr Krokowski rozwijał dalej swoją tezę. Hans Castorp przechylił głowę na bok, aby namyślić się nad tym, co usłyszał, i stwierdzić, czy dobrze zrozumiał. Brak mu było wprawy w śledzeniu tego rodzaju wywodów, a poza tym bystrość jego myśli przytępiona była wskutek przykrego wypadku na spacerze, trudno mu więc było się skupić. Toteż rychło uwagę jego ściągnęły na siebie plecy, które miał przed oczami, i ręka, która podniosła się w górę i sięgnęła w tył, aby podtrzymać warkocze.

Było to trochę zenujące, mieć tę rękę tak blisko swoich oczu — chcąc nie chcąc trzeba się było jej przypatrywać, badać jej braki i ludzkie przywary, jak gdyby oglądało się ją przez szkło powiększające. Nie, nic nie było arystokratycznego w tej szerokiej ręce uczennicy, z byle jak obciętymi paznokciami, nie miało się nawet pewności, czy końce palców są zupełnie czyste, a skórka koło paznokci miała na sobie niewątpliwe śla-

dy obgryzania. Hans Castorp skrzywił się, ale nie odwrócił wzroku od ręki Madame Chauchat; mętnie i niewyraźnie przeszło mu przez myśl to, co dr Krokowski mówił o mieszczańskim oporze, na jaki natrafia miłość... Ramię było ładniejsze, to miękko ku tyłowi głowy wygięte ramię, prawie nie osłonięte, bo rękawy były z cieńszego materiału niż bluzka — z najłżejszej gazy, która zdawała się tylko opromieniać ramię i czyniła je zapewne piękniejszym, niż byłoby bez żadnej osłony. Było jednocześnie delikatne i pełne — i chłodne, tak przynajmniej można było domyślać się. W stosunku do tego ramienia nie mogło być mowy o żadnym mieszczańskim oporze.

Hans Castorp marzył, wpatrzony w ramię pani Chauchat. Jakżeż się te kobiety ubierają! Pokazują to i owo ze swego karku, ze swych piersi, opromieniają ramiona przezroczystą gazą... Tak czynią na całym świecie, aby budzić naszą tęsknotę, nasze pragnienie. Mój Boże, jak piękne jest życie! Piękne właśnie dzięki takim codziennym i prostym drobiazgom jak ten, że kobiety ubierają się kusząco; bo przecież jest to zupełnie proste i tak ogólnie przyjęte i uznawane, że człowiek, nie zdając sobie z tego sprawy, akceptuje to nieświadomie i bez protestu. Ale, myślał Hans Castorp, należy zwracać na to uwagę, aby cieszyć się życiem, i uprzytomnić sobie, że ta w gruncie rzeczy niemal bajeczna instytucja darzy człowieka szczęściem. Rozumie się samo przez się, że tkwi w tym jakiś głębszy cel, dla którego wolno kobietom ubierać się bajecznie i w sposób uszczęśliwiający, nie wykraczając przeciwko przyzwoitości; chodzi tu o przyszłe pokolenie, o utrzymanie gatunku ludzkiego, naturalnie. Ale jeżeli kobietę toczy jakaś wewnętrzna choroba, tak że się wcale na matkę nie nadaje ■— co wtedy? Czy i wtedy ma sens, że nosi rękawy z przezroczystej gazy i chce zaciekawiać mężczyzn swym ciałem — swym chorym ciałem? To przecież nie ma żadnego sensu i powinno właściwie być uważane za nieprzystojne i zostać zabronione. Bo interesowanie się chorą kobietą jest ze strony mężczyzny na pewno nie mniej nierozsądne niż... no więc, niż dawne skryte uczucie Hansa Castorpa dla Przybysława Hippego. Głupie porównanie,

przykre wspomnienie, ale wypłynęło samo, nie przywoływane przez niego. W tym miejscu zresztą przestał snuć wątek swych rozmyślań i marzeń, głównie dlatego, że znowu zaczął przysłuchiwać się drowi Krokowskiemu, który wyraźnie podniósł głos. Stał za stolikiem, z rozpostartymi ramionami i przechyloną na ramię' głową, i naprawdę pomimo swego tużurka wyglądał prawie jak Pan Jezus na krzyżu!

Okazało się, że dr Krokowski kończył swój odczyt wielką propagandą metody analizy duszy i z otwartymi ramionami przywoływał wszystkich ku sobie. Pójdźcie do mnie wszyscy — mówił innymi słowami — którzyście utrudzeni i obciążeni. — I nie pozwalał wątpić nikomu, że uważa wszystkich za utrudzonych i obciążonych. Mówił o ukrytym cierpieniu, o wstydzie i smutku, o wyzwających skutkach analizy; unosił się nad prześwietlaniem sfery nieświadomości, tłumaczył, jak choroba może się znowu przekształcić w uczucie, które sobie uświadomiliśmy, zachęcał do ufności, obiecywał powrót do zdrowia. Potem opuścił ręce, wznosił głowę, zebrał druki, które mu służyły podczas wykładu, i przyciskając je lewą ręką, całkiem jak nauczyciel, do ramienia, dumnym krokiem opuścił salę.

Wszyscy powstali z miejsc, szurając krzesłami, i poczęli wychodzić przez te same drzwi, którymi wyszedł doktor. Wyglądało to tak, jak gdyby dążyli za nim koncentrycznie, ze wszystkich stron, z wahaniem, ale bezwolnie i w tępej jednomyślności, jak gromada szczurów za swym łowcą. Hans Castorp stał wśród odchodzących, z ręką opartą na poręczy krzesła. „Jestem tutaj tylko z wizytą — pomyślał — jestem zdrowy i, dzięki Bogu, mnie to wszystko wcale nie dotyczy, a do następnego odczytu już mnie tu nie będzie.” Widział, jak wychodziła pani Chaucha, skradającym się krokiem, z pochyloną ku przodowi głową. Czy i ona poddaje się analizie? — myślał i serce zabiło mu żywiej... Nie spostrzegł przy tym, że Joachim szedł doń pomiędzy krzesłami, i wzdrygnął się nerwowo, gdy usłyszał głos kuzyna:

— Przeszedłeś w ostatniej chwili — rzekł Joachim. — Czy byłeś daleko? Jak ci się spacer udał?

— O, było bardzo przyjemnie — odparł Hans Castorp. — Owszem, byłem dosyć daleko. Ale muszę przyznać, że ta przechadzka nie posłużyła mi tak, jak się spodziewałem. Może za wcześniej ją zaryzykowałem albo może w ogóle nie powinienem był tyle chodzić. Na razie tego nie powtórzę.

Joachim nie pytał, czy mu się podobał odczyt, i Hans Castorp również nie objawił swego zdania w tej sprawie. I później, jak gdyby się umówili, ani jednym słowem nie wspomnieli o tym odczycie.

WĄTPLIWOŚCI I ROZWAŻANIA

We wtorek minął tydzień, odkąd nasz bohater zamieszkał tutaj, u tych w górze. Kiedy wrócił z porannego spaceru, zastał w swoim pokoju rachunek, pierwszy tygodniowy rachunek, precyzyjnie sporządzony dokument kupiecki, zamknięty w zielonkawej kopercie. Koperta ozdobiona była rysunkiem (widniała na niej niezmiernie zachęcająca podobizna sanatorium), a po lewej stronie, w wąskiej kolumnie figurowały wyjątki z prospektu, m. in. rozstawnym drukiem wspomniane były tam również „zabiegi psychiczne według najnowszych metod”. Kaligraficznie wypisane pozycje wynosiły prawie dokładnie 180 franków: utrzymanie wraz z opieką lekarską kosztowało 12 franków dziennie; pokój — 8 franków; 20 franków wynosiło „wpi-sowe”, 10 franków dezynfekcja pokoju, a drobne dodatki, za pościel, piwo i wino podane do pierwszej kolacji, zaokrąślały sumę.

Hans Castorp, przeglądając w obecności Joachima rachunek, nie miał nic do zarzucenia. — Tak, z opieki lekarskiej właściwie nie korzystam, ale to jest moja prywatna sprawa; opieka jest wliczona do ceny pensjonatu i nie mogę wymagać, ażeby ją odliczano; zresztą nie dałoby się to zrobić. Na dezynfekcji zarabiają nieźle, bo nie mogli przecież zużyć H₂CO aż za dziesięć franków, aby wykurzyć stąd Amerykankę. Ale na ogół muszę przyznać, że wobec tego, co tu człowiekowi dają, wszyst-

ko razem wydaje mi się raczej tanie niż drogie. — Tak więc udali się przed drugim śniadaniem do Zarządu, aby uregulować należność.

Zarząd znajdował się na parterze. Idąc sienią obok hallu, toalet i pokojów kredensowych, nie można było nie znaleźć drzwi, tym bardziej że widniała na nich porcelanowa tabliczka z odpowiednim napisem. Hans Castorp z zaciekawieniem uzyskał tam pewien wgląd w agendy handlowego centrum zakładu. Było to prawdziwe małe biuro: typistka pisała na maszynie, trzech urzędników siedziało pochylonych nad pulpitami, a w przyległym pokoju za biurkiem, stojącym pośrodku, siedział poważny pan o wyglądzie szefa lub dyrektora i spoza okularów rzucał na klientów zimne i badawcze spojrzenia. Przy okienku przyjęto od nich pieniądze, wydano resztę i pokwitowano, a oni zachowywali się przy tym poważnie i skromnie, nieomal pokornie. Tak zwykle postępują młodzi Niemcy, wnosząc do każdego biura szacunek dla władzy i urzędu. Ale 'za drzwiami, w drodze na śniadanie, a i później w ciągu dnia rozmawiali trochę o administracyjnej stronie „Berghofu”, a Joachim, jako tupejszy i obznajmiony z panującymi stosunkami, odpowiadał na pytania kuzyna.

Radca Behrens nie był bynajmniej właścicielem zakładu, chociaż mogło się tak wydawać. Ponad nim i poza nim kryły się niewidoczne potęgi, manifestujące się właśnie do pewnego stopnia tylko za pośrednictwem biura: była tam rada nadzorcza i spółka akcyjna, do której pewno warto było należeć, bo jak zapewniał Joachim, pomimo wysokiego wynagrodzenia lekarzy i najliberalniejszych zasad gospodarczych, corocznie mogła rozdzielać soczystą dywidendę między swych członków. Radca nie był więc człowiekiem niezależnym, lecz tylko urzędnikiem, funkcjonariuszem, stojącym blisko kierujących potęg, oczywiście pierwszym i najwyższym; był duszą wszystkiego, wywierał decydujący wpływ na całą organizację, nie wyłączając intendentury, chociaż jako lekarz naczelny nie był obowiązany zajmować się handlową częścią instytucji. Pochodził z północno-zachodnich Niemiec i, jak było wiadomo, wbrew swoim pier-

wotnym zamiarom i planom życiowym objął przed laty to stanowisko. Przyjechał tutaj towarzysząc swojej żonie, której prochy od dawna spoczywały na cmentarzu w Davos-Wsi — tym malowniczym cmentarzu na zboczu gór po prawej stronie, blisko początku doliny. Była to pełna wdzięku kobieta, chociaż asteniczna i z nazbyt wielkimi oczami, jak można było wnosić z fotografii, rozrzuconych po całym służbowym mieszkaniu radcy Behrensa, a również z portretów olejnych, zdobiących tam ściany a malowanych jego ręką amatora. Po urodzeniu dwojga dzieci, córki i syna, jej wychudzone i wycieńczone gorączką ciało wciągnięto tutaj na górę, gdzie po upływie kilku miesięcy zmarła. Opowiadają, że Behrensa, który ubóstwiał swoją żonę, niezwykle boleśnie dotknął ten cios: popadł na pewien czas w melancholię, zdziwaczał i na ulicy zwracał na siebie uwagę gestykulacją, śmiechem i gadaniem do siebie. Nie wrócił już potem do swojego poprzedniego miejsca pobytu, ale pozostał tu w górze: z pewnością także dlatego, że nie chciał oddalić się od grobu żony; decydującym był jednak ten mniej sentymentalny powód, że i jemu samemu coś niecoś się udzieliło i że, według jego własnego naukowego poglądu, Davos było dla niego wskazane. Osiadł więc tutaj jako jeden z lekarzy, a zarazem towarzyszy niedoli swych pacjentów; lecząc chorobę, na którą sami cierpią, nie zwalczają jej lekarze ze swobodną obiektywnością człowieka nie dotkniętego tym samym złem. Jest to szczególny, ale bynajmniej nie odosobniony wypadek, który na pewno ma swoje dobre strony, choć nasuwa też pewne wątpliwości. Koleżeństwo lekarza z pacjentem jest pożądanym zjawiskiem i trzeba się z tym zgodzić, że tylko człowiek cierpiący może być przewodnikiem i wybawcą cierpiących. Czy jednak jest możliwe, żeby ktoś panował duchowo nad potęgą, do której niewolników sam należy? Czy może wyswobadzać spod jej władzy ktoś, kto sam jej ulega? Chory lekarz będzie zawsze paradoksem dla prostego sposobu odczuwania, będzie zjawiskiem problematycznym. Bo doświadczenie raczej chyba maści i przyćmiewa jego teoretyczną znajomość choroby, aniżeli ją wzbogaca i moralnie umacnia. Chory lekarz nie

spogląda cierpieniu w oczy jako śmiały i bezstronny przeciwnik, a jego stanowisko nie jest całkiem jednoznaczne; i należy zapytać, naturalnie z zachowaniem wszelkiej wskazanej ostrożności, czy człowiekowi, który sam jest chory, może na uzdrowieniu lub chociażby na uchronieniu innych od choroby zależeć w ten sposób, w jaki zależy na tym zdrowemu...

Takim i podobnym wątpliwościom i rozważaniom dawał wyraz Hans Castorp gawędząc z Joachimem o „Berghofie” i jego naczelnym lekarzu, ale Joachim zauważył, że bynajmniej nie wiadomo, czy radca Behrens jest jeszcze do dziś dnia pacjentem, że prawdopodobnie jest już od dawna wyleczony. Dużo już czasu minęło, od kiedy zaczął tu praktykować, przez pewien czas na własną rękę, i szybko dał się poznać jako doskonały auskultator i specjalista od pneumotomii. Później został zaangażowany do „Berghofu”, do zakładu, w którym pozostaje od blisko dziesięciu lat. Mieszkanie jego znajduje się tam, z tyłu, przy końcu północno-zachodniego skrzydła (w pobliżu mieszka dr Krokowski), a niewielkie gospodarstwo wdowca prowadzi mu owa starsza siostra, szlachcianka z pochodzenia, o której Settembrini wyrażał się tak szydęrczo, a z którą Hans Castorp jak dotąd tylko przelotnie się zetknął. Poza tym radca dworu jest zupełnie osamotniony, bo syn jego studiuje na uniwersytetach niemieckich, a córka jest już zamężna: jej mąż jest adwokatem, mieszkają we francuskiej Szwajcarii. Młody Behrens odwiedza czasami ojca w ciągu wakacji; tak się już raz zdarzyło podczas pobytu Joachima. I Joachim dodał, że panie w sanatorium żyją wtedy w stanie wielkiego podniecenia, temperatury skaczą w górę, drobne zazdrostki wywołują kłótnie i spory na leżalnicach, a w ambulatorium dra Krokowskiego panuje wielki natłok...

Asystent przyjmował w specjalnym pokoju, położonym w jasnych suterrenach zakładu, obok wielkiego pokoju przyjęć, laboratorium, sali operacyjnej i gabinetu do prześwietlań. Mówi się tu „sutereny”, bo kamienne schody, którymi schodziło się do nich z parteru, rzeczywiście budziły przekonanie, że prowadzą do piwnicy — *co* jednak polegało całkowicie niemal na złudzeń-

niu, bo, po pierwsze, parter położony był dość wysoko, a, po drugie, sanatorium jest w całości zbudowane na pochyłym terenie, na zboczu góry; tak więc okna „suterenu” wychodzą na ogród i dolinę: okoliczności te krzyżowały poniekąd działanie schodów i pozbawiały je właściwego im znaczenia; człowiek bowiem sądził, że po ich stopniach schodzi poniżej powierzchni ziemi, ale, będąc już na dole, ciągle jeszcze i znowu znajdował się na równi z jej powierzchnią lub tylko o kilka stóp poniżej. Hans Castorp doznał tego zabawnego wrażenia, schodząc pewnego popołudnia w te dolne regiony z Joachimem, który szedł się zważyć u kąpielowego. Panowała tam kliniczna czystość i jasność, wszystko było wylakierowane na biało, nie wyłączając drzwi, między innymi drzwi prowadzących do pokoju przyjęć dra Krokowskiego. Na drzwiach tych, do których schodziło się z korytarza po dwóch stopniach, widniał bilet wizytowy uczonego, przymocowany za pomocą pluskiewki. Wejście to położone było na prawo od schodów i Hans Castorp, gdy spacerując po korytarzu czekał na Joachima, miał je na oku. Zobaczył też, jak wyszła stamtąd pewna pani, drobna i wątła, z loczkami na czole i ze złotymi kolczykami w uszach; nie znał jeszcze nazwiska tej niedawno przybyłej kuracjuszki. Wchodząc na schody, pochylała się silnie ku przodowi, jedną ręką ujęła suknię, a drugą, zdobną w pierścionki, przyciskała do ust chusteczkę i błędnie spoglądała sponad niej wielkimi, wyblakłymi, przestraszonymi oczami. Spieszyła drobnymi kroczkami, szeleszcząc przy tym halką, ku schodom, potem nagle zatrzymała się w miejscu, jak gdyby namyślając się nad czymś, i znów pobiegła drobnymi kroczkami, by zniknąć w klatce schodowej, ciągle schylona i nie odejmując chusteczki od ust.

Kiedy wychodząc z pokoju dra Krokowskiego otworzyła drzwi, Hans Castorp zauważył, że poza nimi było znacznie ciemniej niż na białym korytarzu: widocznie tylko do tego progu sięgała kliniczna jasność tych dolnych pomieszczeń. W analitycznym gabinecie dra Krokowskiego panowało przyziemne półświatło, głęboki mrok.

ROZMOWY PRZY STOLE

Hans Castorp czuł się w barwnej sali jadalnej trochę zażenowany z powodu lekkiego trzęsienia się głowy, które pozostało mu od czasu owego samowolnego spaceru. Zwłaszcza przy stole podczas jedzenia głowa prawie zawsze zaczynała mu drżeć, jak niegdyś jego dziadkowi, i nie potrafił opanować ani ukryć tego. Walcząc z tym niedomaganiem, opierał podbródek o kołnierzyk, ale to nie na długo się udawało; starał się więc utrzymywać głowę w ciągłym ruchu, zwracając się do sąsiada to z prawej, to z lewej strony albo też, podnosząc łyżkę do ust, przyciskał mocno lewą rękę do stołu, albo wreszcie w przerwach między poszczególnymi potrawami opierał łokieć o stół, a głowę na dłoni, choć dobrze zdawał sobie sprawę, że takie zachowanie się jest prostackie i że można pozwolić sobie na nie od biedy jedynie w towarzystwie złożonym z ludzi chorych. To wszystko razem było niezmiernie przykre i obrzydliło mu niemal posiłki, które poza tym ceniał bardzo¹ wysoko, ponieważ łączyły się z pewnym napięciem i dostarczały widoku pewnych osobliwości.

Rzecz jednak miała się tak — i Hans Castorp wiedział o tym również dobrze — że przyczyny tego żenującego zjawiska, z którym musiał walczyć, nie były natury wyłącznie cielesnej — że nie można go było wytłumaczyć jedynie działaniem tutejszego powietrza i trudnością zaaklimatyzowania się; zjawisko to było wyrazem jego wewnętrznego niepokoju, związanym bezpośrednio z owym napięciem i z owymi osobliwościami.

Madame Chauchat spóźniała się prawie zawsze do stołu. Dopóki nie nadeszła, Hans Castorp siedząc nie mógł utrzymać nóg w spokoju, bo wciąż czekał na trzaśnięcie oszklonych drzwi, które nieodmiennie towarzyszyło jej wejściu, i wiedział, że przejdzie go przy tym dreszcz i że krew odpłynie mu z twarzy, co się też zawsze zdarzało. Z początku odwracał gniewnie głowę, odprowadzał oczami źle wychowaną maruderkę, aż do jej miejsca przy „lepszym stole rosyjskim” — i rzucał na nią półgłosem przez zęby jakieś wyzwisko, jako wyraz oburzenia i po-

tępienia. Obecnie zaniechał już tego, ale pochylał głowę nisko nad talerzem i zagryzał wargi albo z rozmysłem i afektacją odwracał ją w przeciwną stronę. Miał bowiem uczucie, że nie wypada mu się już teraz gniewać, że nie ma do tego prawa, że nawet jest współwinny temu uchybieniu i poniekąd odpowiedzialny za nie przed innymi — słowem, wstydził się, ale byłoby nieścisłością twierdzić, że wstydził się za panią Chauchat; wstydził się sam, osobiście przed towarzystwem, czego mógł sobie zresztą śmiało oszczędzić, bo nikt na sali nie troszczył się ani o brzydki zwyczaj pani Chauchat, ani o wstyd, jaki z tego powodu odczuwał Hans Castorp — nikt, z wyjątkiem może jednej panny Engelhart, nauczycielki, siedzącej po jego prawej ręce.

Ta niepozorna istota pojęła, że wrażliwość jej młodego sąsiada na trzaskanie drzwiami zrodziła pewien uczuciowy stosunek jego do Rosjanki, że — następnie — skoro taki stosunek w ogóle istniał, nie było rzeczą ważną, jakiego był właściwie rodzaju, i wreszcie, że jego udana — a w braku wszelkiej wprawy i wszelkiego talentu aktorskiego źle udana — obojętność nie jest osłabieniem, lecz przeciwnie, wzmocnieniem, wyższą fazą napięcia uczuciowego. Bez pretensji i nadziei w odniesieniu do swej własnej osoby, panna Engelhart, pełna abnegacji, nie przestawała zachwycać się panią Chauchat i wychwalać jej przed Hansem Castorpem, a najdziwniejsze było w tym wszystkim, że Hans Castorp, choć nie od razu, ale po pewnym czasie zrozumiał jednak i dostrzegł, że gadanina ta zmierza do rozpalenia jego namiętności; budziło to w nim obrzydzenie, ale pomimo to chętnie pozwalał wpływać na siebie i uwodzić się.

— Trach! — mówiła starsza panna. — Oto ona. Nie potrzeba podnosić głowy, żeby się domyślić, kto tu wszedł teraz. Naturalnie, już tam przechodzi, a z jaką gracją — zupełnie jak kotka skradająca się do miski z mlekiem. Chciałabym zamienić się z panem na miejsce, żeby pan mógł tak wygodnie jak ja przyglądać się tej pani. Pojmuję doskonale, że pan nie może ciągle odwracać się za nią — Bóg wie, co by w końcu mogła sobie wyobrazić, gdyby to zauważyła... Teraz wita się ze swoimi ro-

dakami... Niech pan jednak spojrz, to tak rozkosznie przyglądać się jej. Kiedy się uśmiecha i rozmawia, jak w tej chwili, ma dołeczek w jednym policzku, ale nie zawsze, tylko wtedy, kiedy chce. To cudo, nie kobieta; rozpieszczone stworzenie i stąd płynie jej nonszalancja. Takich ludzi musi się kochać, czy się chce, czy nie chce, bo jeśli nawet drażni kogoś ich nonszalancja, to jest to tylko jeden powód więcej, żeby ich lubić. To tak przyjemnie złościć się, a jednak musieć kochać...

Tak szeptała nauczycielka, zakrywając sobie usta ręką, żeby nie być słyszaną przez innych, a wypieki na jej staropanieńskich policzkach świadczyły, że ma podwyższoną temperaturę; jej lubieżna paplanina przejmowała do szpiku kości biednego Hansa Castorpa. Pewien brak samodzielności w sądach stworzył w nim potrzebę usłyszenia od kogoś trzeciego, że Madame Chauchat jest zachwycającą kobietą, a poza tym młodzieniec pragnął, żeby ktoś z zewnątrz ośmielił go do żywienia uczuć, przeciwko którym powstawał energicznie jego rozsądek i jego sumienie.

Rozmowy te nie dawały zresztą żadnego rzeczowego wyniku, bo pomimo najlepszych chęci panna Engelhart nie umiała o pani Chauchat powiedzieć nic bliższego, nic więcej niż ktokolwiek inny w sanatorium. Nie znała jej osobiście, nie mogła się nawet pochwalić wspólnymi znajomymi, a jedyną rzeczą, którą mogła zaimponować Hansowi Castorpowi, był fakt, że ona sama, panna Engelhart, pochodzi z Królewca, więc z miasta leżącego niedaleko granicy rosyjskiej, i że umie kilka słów po rosyjsku. Były to niezbyt wielkie wartości, ale Hans Castorp gotów był dostrzegać w nich coś w rodzaju dalekiej osobistej łączności z panią Chauchat.

— Nie nosi żadnych pierścionków — rzekł — nawet obrączki, jak widzę. Jakżeż to, przecie pani mi mówiła, że ma męża? — Nauczycielka zmieszała się, jak gdyby została na czymś przyłapana i musiała się tłumaczyć, bo tak bardzo odpowiedzialna za panią Chauchat czuła się przed Hansem Castorpem.

— Nie należy do tego przywiązywać takiej wagi — odparła. — Na pewno jest mężatką, to nie ulega żadnej wątpli-

wości. Nie dlatego nazywa się Madame, żeby nadać sobie powagi, jak to czynią zagraniczne panny, kiedy posuną się trochę w lata, bo my wszyscy tutaj wiemy, że rzeczywiście ma gdzieś w Rosji męża — to jest tu powszechnie wiadome. Jej panięskie nazwisko brzmi inaczej, jest to nazwisko rosyjskie, nie francuskie, kończy się na -anow czy -ukow, już kiedyś wiedziałam, ale znowu zapomniałam; jeżeli pan chce, mogę się dowiedzieć; na pewno znajdą się tutaj tacy, którzy znają to nazwisko. Pierścionek? Tak, nie nosi żadnego pierścionka, ja także to zauważyłam. Mój Boże, może jej ręka wyglądałaby przy tym niekorzystnie, może zbyt szeroko, a może uważa noszenie obrączki — takiego gładkiego pierścienia — za zwyczaj drobnomieszczkański... Brakowałoby jeszcze koszyczka na klucze... nie, na takie rzeczy ma chyba zbyt szeroką naturę. Znam te rosyjskie kobiety, one wszystkie mają w charakterze coś tak swobodnego i szerokiego. A poza tym taki pierścionek działa wprost odstrasza i otrzeźwiająco, bo jest przecie symbolem podległości, powiedziałabym, nadaje kobiecie jakichś cech mniszki, czyni z niej prawdziwy kwiatek *noli tangere* *. Nie dziwi mnie wcale, że to nie jest po myśli pani Chauchat... Taka uroczą kobieta, w rozkwicie młodości... Prawdopodobnie nie ma ochoty i nie widzi potrzeby, żeby każdemu panu, któremu podaje rękę, dać zaraz odczuć, że jest związana małżeństwem.

Wielki Boże, jak się ta nauczycielka zabierała do rzeczy! Hans Castorp patrzył na nią przerażony, ale odparowywała jego spojrzenie z jakimś dzikim zmieszaniem. Potem oboje milczeli przez chwilę, aby trochę odpocząć. Hans Castorp jadł i starał się ukryć drżenie głowy. Wreszcie odezwał się:

— A jej mąż? Czy wcale nie troszczy się o nią? Czy nigdy nie odwiedza jej tutaj w górze? Kim jest właściwie?

— Jest urzędnikiem, rosyjskim urzędnikiem administracyjnym w jakiejś bardzo odległej guberni, w Dagestanie; wie pan, to leży daleko na wschód od Kaukazu, tam jest odkomenderowany. Nie, powiedziałam panu przecież, że nikt go tu jeszcze nie oglądał; a ona siedzi tu znowu już trzeci miesiąc.

— Więc nie jest tutaj po raz pierwszy?

— O nie, już po raz trzeci. A w przerwach bawi znowu gdzie indziej, w podobnych zakładach. Rzecz ma się odwrotnie, bo to ona jego odwiedza czasami, ale nieczęsto, raz do roku na pewien przeciąg czasu. Można powiedzieć, że oni żyją każde z osobna, a ona odwiedza go czasami.

— No tak, skoro jest chora...

— Na pewno jest chora. Ale jednak nie tak. Jednak nie tak bardzo chora, żeby musiała wprost stale żyć w sanatorium i rozłączona z mężem. To musi mieć jeszcze inne, głębsze powody — tak tutaj wszyscy przypuszczają. Może nie podoba jej się w Dagestanie, za Kaukazem, w tej odległej i dzikiej krainie, nie można by się temu dziwić. Ale trochę musi przecież być w tym i winy męża, że jej się u niego tak bardzo nie podoba. Nosi on wprawdzie nazwisko francuskie, ale jednak jest rosyjskim urzędnikiem, a to są bardzo nieokrzesani ludzie, może mi pan wierzyć. Widziałam kiedyś jednego z nich, miał takie czarniawe baczki i taki czerwony był na twarzy... Wszyscy biorą łąpówki i bardzo lubią wódkę... Tylko dla przyzwoitości każą sobie podać coś do jedzenia, parę grzybków w marynacie albo kawałek jesiotra, i piją przy tym wprost niemiłosiernie. I to nazywają przekąską...

— Pani wszystko spycha na niego — powiedział Hans Castorp. — Nie wiemy jednak, czy to może nie jest jej wina, że źle żyją z sobą. Należy być sprawiedliwym. Kiedy się jej przyglądam i temu jej brzydkiemu zwyczajowi trzaskania drzwiami... nie uważam jej za anioła; poszę mi tego nie brać za złe, ale nie mam do niej najmniejszego zaufania. Ale pani nie jest bezstronna, pani jest w najwyższym stopniu zaślepiona...

Hans Castorp grał czasem taką komedię. Z przebiegłością, która właściwie nie leżała w jego charakterze, udawał, że zachwyty panny Engelhart nad panią Chauchat nie miały na względzie celu, który, jak dobrze wiedział, właśnie miały, ale że były zjawiskiem zupełnie samoistnym i zabawnym, dzięki czemu Hans Castorp mógł z wyżyny swego obiektywnego stanowiska traktować rzecz z humorem i przekomarzać się trochę ze starszą panną. Nic przy tym nie ryzykował, bo miał pewność,

że jego partnerka pozwoli na to zuchwałe odwrócenie i nie ośmieli się protestować.

— Dzień dobry! — mówił. — Jak pani spała? Mam nadzieję, że śniła pani o swej pięknej Mince? Ach, jak się pani zaraz czerwieni, kiedy tylko o niej wspomnieć! Pani jest w niej zakochana po uszy; niech już pani lepiej nie przeczy!

Nauczycielka, która się rzeczywiście zarumieniła i pochyliła nizej nad swoją filizanką, szepnęła lewym kącikiem ust:

— Ależ nie, gdzie tam! To brzydko z pana strony, że pan mnie wprowadza w takie zakłopotanie swoimi aluzjami. Już wszyscy zauważyli, że my się nią specjalnie interesujemy i że pan mówi rzeczy, od których muszę się rumienić...

Dziwną grę prowadzili ci dwoje. Oboje wiedzieli, że kłamią podwójnie, a nawet potrójnie, że Hans Castorp drażni nauczycielkę panią Chauchat tylko po to, żeby móc o niej mówić, ale jednocześnie znajdował jakieś niezdrowe i pośrednie zadowolenie w żartowaniu z tą podstarzałą panną, która ze swej strony zgadzała się na to: po pierwsze dlatego, że upodobała sobie rolę stręczycielki; po drugie dlatego, że chcąc się przypodobać młodemu człowiekowi, rzeczywiście zadurzyła się trochę w pani Chauchat; miała wreszcie swoją mizerną przyjemność w tym, że się z nią przekomarzał i wywoływał rumieńce na jej twarzy. Oboje wiedzieli to o sobie i o swoim partnerze i wiedzieli także, że każde z nich wiedziało to o sobie i o drugiej stronie, i wszystko to razem było bardzo powikłane i nieczyste. Ale chociaż Hans Castorp na ogół czuł wstręt do powikłanych i nieczystych sytuacji, a także w tym wypadku odczuwał ów wstręt, to jednak w dalszym ciągu nurzał się w tym mętym żywiole, mówiąc sobie dla uspokojenia, że przyjechał przecież tutaj na górę tylko z wizytą i że wkrótce już stąd odjedzie. Ze sztuczną rzeczowością rozwodził się, przybierając minę znawcy, nad powierzchownością tej „nonszalanckiej” kobiety, stwierdzał, że z przodu wygląda znacznie młodziej i ładniej niż z profilu, że ma za szeroko rozstawione oczy i źle się trzyma, ale że za to ma śliczne, jakby toczony ramiona. Mówiąc to starał się opanować drżenie głowy, ale dobrze widział, że nauczy-

cielka spostrzegła jego daremne wysiłki, a w dodatku zauważył z obrzydzeniem, że i jej również trzęsie się głowa. Panią Chauchat nazwał „piękną Minką” z czystego wyrachowania i przez niezwykłą u niego chytryść, bo dzięki temu mógł teraz dalej zadawać pytania.

— Mówię „Minka”, ale jak jej rzeczywiście na imię? Pani, będąc w niej zakochana, musi niewątpliwie znać jej imię.

Nauczycielka myślała przez chwilę.

— Zaraz, zaraz, wiem — odpowiedziała. — Na pewno je znam. Czy nie nazywa się Tatiana? Nie, nie tak, i również nie Natasza. Natasza Chauchat? Nie, to brzmiało inaczej. Aha, już wiem! Nazywa się Awdotia. W każdym razie coś w tym rodzaju. Bo nie nazywa się na pewno ani Katieńka, ani Ninoczka. Naprawdę, zupełnie wypadło mi z pamięci, ale z łatwością mogę się dowiedzieć, jeżeli panu na tym zależy.

I rzeczywiście nazajutrz знаła to imię. Powiedziała Hansowi Castorpowi podczas obiadu, kiedy znowu trzasnęły oszklone drzwi. Pani Chauchat nazywała się Kławdia.

Hans Castorp nie od razu zrozumiał. Kazał sobie powtórzyć to imię i przesylabizować, zanim je zapamiętał. Potem wymówił je kilka razy, spoglądając jednocześnie przekrwionymi oczami na panią Chauchat, jak gdyby je do niej przymierzał.

— Kławdia — rzekł — tak jest, tak może się nazywać, to się zupełnie zgadza. — Nie ukrywał swojej radości z powodu tej intymnej wiadomości i teraz panią Chauchat nazywał tylko Kławdia. — Pani Kławdia kręci kulki z chleba; w tej chwili widziałem. To nie jest bardzo elegancko.

— To zależy od tego, kto to robi — odpowiedziała nauczycielka. — Kławdia może sobie na to pozwolić.

Tak, posiłki w sali jadalnej o siedmiu stołach były dla Hansa Castorpa wysoce interesujące. Żałował, kiedy któryś z nich dobiegał końca, ale pocieszał się tym, że już niedługo, za dwie lub dwie i pół godziny znowu tu będzie siedział, a kiedy już siedział, wydawało mu się, że wcale nie wstawał. Co było w przerwach? Nic. Niedaleki spacer do strumienia albo do dzielnicy angielskiej, krótki wypoczynek na leżaku. Nie były to istotne

przerwy ani poważne przeszkody. Co innego, gdyby czekała go praca, jakieś kłopoty i troski, trudne do przewidzenia czy do zwalczania. W dobrze i mądrze uregulowanym życiu zakładu „Berghof” nic podobnego jednak nie groziło. Wstając od wspólnego stołu, Hans Castorp mógł się już cieszyć na następny posiłek — jeżeli w ogóle słowo „cieszyć się” odpowiadało temu stanowi psychicznemu, w jakim Hans Castorp oczekiwał następnego spotkania z chorą panią Kławdią Chauchat, jeżeli nie było ono zbyt lekkie, radosne, proste i powszednie. Być może, że czytelnik jest skłonny właśnie takie określenia, radosne i powszednie, uważać za stosowne i jedynie dopuszczalne w stosunku do Hansa Castorpa i jego życia wewnętrznego; zwracamy jednak uwagę na to, że jako młodzieniec, któremu nie brakło rozsądku ani sumienia, nie mógł po prostu „cieszyć się” na myśl, że zobaczy panią Chauchat i znajdzie się w jej bliskości, ponieważ wiemy to niewątpliwie i stwierdzamy, że gdyby mu to słowo podsunięto, odrzuciłby je ze wzruszeniem ramion.

Tak, do niektórych sposobów wyrażania się zaczął odnosić się pogardliwie — jest to szczegół zasługujący na podkreślenie. Chodził z rozpalonymi policzkami i nucił sobie, nucił w myśli, bo odczuwał teraz potrzebę muzyki i odznaczał się dużą wrażliwością. Nucił melodię, którą usłyszał Bóg wie gdzie i kiedy, na jakimś zebraniu towarzyskim albo na koncercie dobroczynnym, śpiewaną niedużym sopranem. Teraz przypomniał sobie tę błahą piosenkę, zaczynającą się od słów:

Jak mnie dziwnie czasem wzrusza
Jedno słowo twoje

i właśnie chciał dodać następne wiersze:

I jak prędko wtedy bije
Biedne serce moje!

ale nagle wzruszył ramionami i powiedział sobie: „śmieszne”; czuła piosenka wydała mu się niesmaczną i niedorzeczną i odepchnął ją od siebie — odepchnął z pewną dozą melancholii

i surowości. Taka sentymentalna piosenka może podobać się i wystarczać jakiemuś młodzieńcowi, który tam na dole, legalnie, spokojnie i z widokami na przyszłość, „oddał swoje serce”, jak to się mówi, jakiejś zdrowej gąsce i teraz pławi się w swoich legalnych, rozsądnych uczuciach, mających widoki na przyszłość. Ale jemu i jego stosunkowi do Madame Chauchat — wyrazu „stosunek” używamy tu w jego własnym imieniu, uchylając się od wszelkiej odpowiedzialności — zupełnie nie odpowiadał ten wierszyk. Leżąc na swoim leżaku, pozwolił sobie na jego estetyczną ocenę, która streszczała się w słowie „niedorzeczność”, i urwał w połowie, kręcąc nosem, chociaż nie potrafił niczym właściwym zastąpić tego wierszyka.

Ale jedna rzecz sprawiała mu tu przyjemność: leżeć na balkonie i przysłuchiwać się swojemu sercu, fizycznemu sercu, które szybko i głośno biło w otaczającej go ciszy — przepisowej ciszy, panującej w całym sanatorium w porze głównego werandowania i snu poobiedniego. To bicie serca wysuwało się teraz na pierwszy plan, jak prawie zawsze, odkąd znajdował się tutaj w górze; ale ostatnio Hans Castorp mniej się tym przejmował niż w pierwszych dniach pobytu. Nie można było już teraz powiedzieć, że biło na własną rękę, bez powodu i bez związku z jego duszą. Związek taki istniał i nietrudno było go stwierdzić; wzruszenie psychiczne łatwo tłumaczyło wzmożoną czynność fizyczną. Ilekroć Hans Castorp pomyślał o pani Chauchat — a myślał o niej — opanowywało go uczucie, jakie towarzyszy biciu serca.

ROSNĄCY LĘK.
O OBU DZIADKACH ORAZ O PRZEJAŹDŹCE
LÓDKĄ NA PRZEŁOMIE DNIA I NOCY

Pogoda była, jak na złość, obrzydliwa — pod tym względem Hansowi Castorpowi nie udał się jego przelotny pobyt w tych stronach. Śniegu wprawdzie nie było, ale całymi dniami padał deszcz, ciężki i szkaradny, gęste mgły zalegały dolinę i co

pewien czas przeciągały burze z ciężko przewalającymi się grzmotami, burze śmiesznie niepotrzebne, bo i bez nich było tak zimno, że nawet w jadalni napalono.

— Szkoda — powiedział Joachim. — Myślałem, że uda się nam pojechać kiedyś ze śniadaniem w kieszeni na Schatzalp albo zrobić jakąś inną wycieczkę. Ale zdaje się, że nic z tego nie będzie. Mam nadzieję, że twój ostatni tydzień będzie pogodniejszy.

Ale Hans Castorp odpowiedział:

— Daj spokój, nie palę się do żadnych tego rodzaju przedsięwzięć, już raz mi się nie poszczęściło. Najlepiej wypoczywam, kiedy właśnie żyję tak bez żadnych projektów i bez jakiegokolwiek odmiany. Odmiany potrzebują ci, którzy tu pozostają przez lata, ale ja śmiało bez niej mogę tu przeżyć swoje trzy tygodnie.

I rzeczywiście, nie ruszając się z miejsca, miał czas dostatecznie wypełniony. Jeżeli żywił jakieś nadzieje, to tutaj, a nie na jakimś Schatzalp czekało go zarówno ich spełnienie, jak i rozczarowanie. Nie nuda gnębiła go; przeciwnie, zaczynał obawiać się, że za szybko nadejdzie termin jego wyjazdu. Upływał już drugi tydzień, niedługo miały się skończyć dwie trzecie jego pobytu, a wiedział, że z początkiem trzeciego tygodnia pozostanie już tylko myśl o pakowaniu. Owo odświeżenie się zmysłu czasu, które Hans Castorp na początku odczuwał, już dawno minęło; dni pędziły teraz jeden za drugim, pomimo że każdy oddzielnie ciągnął się w bezustannym i wciąż nowym oczekiwaniu i po brzegi wypełniony był cichymi, tajnymi przeżyciami. Tak, czas jest rzeczą przedziwną, trudno go zrozumieć do głębi!

Czyż trzeba bliżej określać te przeżycia wewnętrzne, które zarazem obciążały i uskrzydlały dni Hansa Castorpa? Każdy zna je dobrze, były to przeżycia w swej uczuciowej błahości aż nazbyt powszednie i nie miałyby innego przebiegu, nawet gdyby były rozsądniejsze i miały więcej widoków na przyszłość i gdyby można do nich stosować banalną piosenkę: „Jak mnie dziwnie czasem wzrusza...”

Niemożliwością było, żeby Madame Chauchat spostrzegła coś z tych nici, które przedły się od jednego ze stołów ku jej stolowi; a niepohamowanym pragnieniem Hansa Castorpa było, żeby je właśnie, a nawet możliwie wyraźnie spostrzegła. Wyrażenia „niepohamowane” używamy dlatego, że Hans Castorp zdawał sobie doskonale sprawę z bezsensowności sytuacji. Ale z kim dzieje się to, co działo się albo się dziać zaczynało z nim, ten chce, żeby druga osoba wiedziała o jego stanie, nawet gdy nie ma w tym żadnego sensu i ładu. Taki jest człowiek.

Pani Chauchat odwróciła się podczas jedzenia dwa albo trzy razy, czy to przypadkowo, czy też pod wpływem magnetycznego oddziaływania, i za każdym razem spotykała skierowany na siebie wzrok Hansa Castorpa. Po raz czwarty obejrzała się już rozmyślnie i tym razem również ujrzała te oczy, gdy odwróciła się po raz piąty, nie przyłapała wprawdzie Hansa Castorpa na gorącym uczynku, bo w tej chwili nie był na posterunku, ale natychmiast odczuł na sobie jej spojrzenie i odpowiedział tak skwapliwie, że odwróciła się z uśmiechem. Uśmiech ten wzbudził w nim zachwyt i nieufność. Myli się, jeżeli uważa go za dziecko. Jego pragnienie subtelności było tak wielkie, że gdy za szóstym razem domyślił się, poczuł, miał wewnętrzną pewność, że pani Chauchat znów patrzy w jego stronę, udał, że z wielkim niesmakiem przygląda się pewnej damie o silnie krostowatym obliczu, która podeszła do jego stołu, aby porozmawiać ze starą ciotką; przez dwie lub trzy minuty z żelazną wolą wytrzymał jej spojrzenie i nie poddał się, póki nie miał zupełnej pewności, że kirgiskie oczy odwróciły się już od niego. Zagrał tę niezwykłą komedię, którą pani Chauchat nie tylko mogła, ale wyraźnie powinna była zrozumieć, aby jego wielka subtelność i opanowanie zastanowiły ją... A potem było tak. W przerwie między daniami pani Chauchat odwróciła się jakby od niechcenia i zaczęła rozglądać się po sali. Hans Castorp był właśnie na stanowisku i oczy ich się spotkały. Podczas gdy tak patrzą na siebie, chora — niepewnie, badawczo i ironicznie, Hans Castorp — ze wzrastającym napięciem (zaciśnął nawet zęby, żeby wytrzymać jej spojrzenie) — nagle zsuwa się jej z ko-

lan serwetka i już, już ma upaść na podłogę. Ona chwyta ją szybkim ruchem, ale i on podrywa się nagle i chce biec jej na oślep z pomocą, z odległości ośmiu metrów, poprzez dzielący ich stół, jak gdyby to była katastrofa, że serwetka spadnie na podłogę... Jednakże pani Chauchat udało się pochwycić ją jeszcze ponad kamienną podłogą. Ale pochylona, trzymając serwetkę za róg, z chmurną miną i widocznie zła z powodu tej głupiej małej paniki, której właśnie uległa i za którą, jak się zdaje, winiła Hansa Castorpa — jeszcze raz spogląda na niego, widzi, że gotuje się do skoku, widzi jego wysoko wzniesione brwi i odwraca się z uśmiechem.

Zdarzenie to napełniło Hansa Castorpa nieopisaną radością. Nie pozostało ono jednak bez następstw, bo przez następne dwa dni, a więc podczas dziesięciu posiłków, pani Chauchat w ogóle nie oglądała się poza siebie, a nawet wchodząc do sali jadalnej nie „prezentowała” się publiczności, jak to przecież było jej zwyczajem.

Był to ciężki cios. Ponieważ jednak pani Chauchat powstrzymywała się od tych ruchów niewątpliwie ze względu na Hansa Castorpa, więc bądź co bądź pewien stosunek, chociaż negatywny, został nawiązany, i to powinno było wystarczyć.

Przekonał się, że Joachim miał zupełną rację: bynajmniej niełatwo tu było zawrzeć znajomość, chyba tylko z sąsiadami przy stole. W ciągu tej jednej krótkiej godziny po kolacji, kiedy odbywało się coś w rodzaju zebrania towarzyskiego, która kurczyła się jednak często do dwudziestu minut, Madame Chauchat siedziała wyłącznie w swoim towarzystwie; należał do niego ów pan z zapadłą klatką piersiową, owa zabawna pani z włosami jak z wełny, milczący dr Blumenkohl i młodzi ludzie z obwisłymi ramionami. Zbierali się oni w głębi małego salonu i zdawało się, że to miejsce jest stale zarezerwowane dla lepszego stołu rosyjskiego. Joachim śpieszył się wtedy zwykle na górę, aby, jak mówił, nie uronić nic z wieczornego werandowania; miał może i inne powody ku temu, również dietetycznej natury, ale nie wspominał o nich, a Hans Castorp tylko się ich domyślał i umiał je uszanować. Zarzuciliśmy Hansowi Castorpo-

wi brak opanowania, ale dokądkolwiek zmierzały jego pragnienia, nie towarzyska znajomość z panią Chauchat była celem jego dążeń i w gruncie rzeczy akceptował przeszkody utrudniające zawarcie tej znajomości. To nieokreślone napięcie, które wytworzyło się pomiędzy nim a Rosjanką wskutek jego zachowania się i ciągłego patrzenia, było natury pozatowarzyskiej, do niczego nie zobowiązywało i nie powinno było do niczego zobowiązywać. Nie przeszkadzało ono bowiem Hansowi Castorpowi w zajmowaniu wyraźnie negatywnej postawy towarzyskiej: fakt, iż wzmożone bicie serca tłumaczył myślami o „Kławdii”, nie wystarczyło bynajmniej, aby wnuka Hansa Lorenza Castorpa zachwiać w przekonaniu, że w rzeczywistości, to znaczy poza owym tajemnym kontaktem, może cośkolwiek mieć do czynienia z tą cudzoziemką, która pędziła życie w najrozmaitszych sanatoriach z dala od męża i bez obrączki na palcu, nie umiała się prosto trzymać, trzaskała drzwiami, kręciła kulki z chleba i na pewno obgryzała paznokcie. Czuł, że głęboka przepaść rozdziela ich egzystencje i że stosunków z tą kobietą nie potrafiłby obronić przed żadną kompetentną, jego zdaniem, krytyką. Hans Castorp był wprawdzie dość rozumny, by nie grzeszyć pychą osobistą, ale pycha innego rodzaju, ogólniejszej natury i skądinąd się wywodząca, malowała się przecież na jego czole i dokoła sennie spoglądających oczu i ona to była źródłem poczucia wyższości, którego ani nie mógł, ani nie chciał się wyzbyć w odniesieniu do całego sposobu bycia pani Chauchat. I, rzecz szczególna, to poczucie bezspornej wyższości wystąpiło w nim specjalnie wyraźnie, a może w ogóle po raz pierwszy, kiedy pewnego dnia usłyszał panią Chauchat mówiącą po niemiecku. Wychodząc z jadalni ujrzał przelotnie, jak trzymając rękę w kieszeniach swetra stała w sali z jakąś inną pacjentką, zapewne towarzyszką z werandy, i z trudem, ale i z wielkim wdziękiem rozmawiała po niemiecku. Hans Castorp odczuł nagle nie znaną mu dotychczas dumę, że to jego mowa ojczysta, ale zarazem skłonność, ażeby dumę tę poświęcić uczuciu zachwytu, które go ogarnęło na dźwięk jej łamanej, cudzoziemskiej wymowy. Słowem, Hans Castorp uważał swój cichy stosunek do

niedbałej członkini zespołu „tych tu w górze” za przelotną przygodę wakacyjną, która nie mogła liczyć na pobłażanie przed trybunałem rozumu, i to jego własnego rozumnego sumienia: głównie dlatego, że pani Chauchat była przecież chora, wycieńczona, miała gorączkę i robak toczył jej wnętrze. Była to okoliczność, która miała ścisły związek z całokształtem jej podejrzanej egzystencji i niemało się przyczyniała do jego ostrożności i poczucia dystansu... Nie, nie przychodziło mu nawet na myśl zawarcie rzeczywistej znajomości z panią Chauchat, a ta cała reszta, tak lub inaczej, na pewno przecież pójdzie w zapomnienie w ciągu pierwszych dziesięciu dni praktyki w firmie „Tunder & Wilms”.

Na razie jednak rzeczy stały tak, że wzruszenia, oczekiwania, spełnienia i rozczarowania, wynikające z jego nikłych stosunków z chorą, zaczął uważać za istotną treść i prawdziwy sens swojego pobytu wypoczynkowego, żył tylko dla nich i od ich pomyślnego przebiegu zależał jego humor. Warunki, w których się tutaj żyło, nadzwyczajnie sprzyjały rozwojowi tych stanów psychicznych, bo porządek dnia kuracjuszy skupionych na tej ograniczonej przestrzeni był raz na zawsze ustalony i obowiązywał wszystkich. Chociaż pani Chauchat mieszkała na innym piętrze, mianowicie na pierwszym (a jak Hans Castorp słyszał od nauczycielki, werandowała w jednej ze wspólnych leżalni, a mianowicie w tej, która była na dachu i na której kapitan Miklosich zgasił niedawno światło), to jednak już dzięki pięciu wspólnym posiłkom dziennie, ale i poza tym na każdym kroku od rana do samego wieczora nadarzała, a nawet narzucała się sposobność spotkania. Wszystko to razem, a również i okoliczność, że żadne troski ani kłopoty nie zaciemniały horyzontu, budziło żywe zadowolenie w Hansie Castorpie, chociaż takie zamknięcie w ciasnej przestrzeni z owym pożądanym niedociągnięciem kryło w sobie zarazem coś przygniatającego.

Jednakże starał się nawet pomagać przypadkowi, obliczał i wysilał mózg, aby ułatwić drogę szczęściu. Ponieważ pani Chauchat z przyzwyczajenia spóźniała się zwykle do stołu, Hans Castorp również zaczął przychodzić za późno, licząc na to, że

spotka ją po drodze. Guzdrał się przy ubieraniu, a kiedy Joachim zachodził po niego, mówił, że jeszcze nie jest gotowy, żeby na niego nie czekał, że za chwilę sam zejdzie; wiedziony instynktem swego stanu psychicznego czekał w pokoju aż do pewnej chwili, która wydawała mu się właściwa, a potem zbiegał na pierwsze piętro; tam jednak opuszczał klatkę schodową, którą dotychczas schodził, i przechodził korytarzem na drugie schody, znajdujące się w pobliżu drzwi nr 7, które dobrze znał już od dawna. Na korytarzu każdy krok — rzecz można — oznaczał szansę spotkania, bo w każdej chwili, jak to już nieraz bywało, mogły otworzyć się wiadome drzwi i z hałasem zatrzaskać za panią Chauchat; ona sama bezszelestnie wymykała się z pokoju i bezszelestnie sunęła ku schodom... Potem szła przed nim, poprawiając sobie ręką fryzurę, albo Hans Castorp szedł przed nią i czuł jej wzrok na swoich plecach; doznawał wtedy rwania we wszystkich członkach i mrówki chodziły mu po plecach, ale zgrywając się udawał, że jej nie zauważył i że żyje swym własnym, zupełnie niezależnym życiem. Trzymał więc ręce niedbale wsunięte w kieszenie marynarki i zupełnie bez powodu wzruszał ramionami albo gwałtownie chrząkał uderzając się przy tym pięścią w klatkę piersiową — a wszystko to dla okazania, że zachowuje się zupełnie swobodnie.

Dwa razy posunął to wyrafinowanie jeszcze dalej. Usiadłszy już przy stole, zaczął się nagle obmacywać obiema rękami, po czym, pozornie zdziwiony, rzekł ze złością: — Masz tobie, zapomniałem chustki do nosa! Muszę znowu wracać na górę. — I poszedł, aby on i „Kławdia” spotkali się, co było wszak czymś innym, czymś bardziej niebezpiecznym i podniecającym niż iść tylko za nią lub przed nią. Kiedy po raz pierwszy wykonał ten manewr, zmierzyła go wprawdzie oczami z pewnej odległości od stóp do głów, i to dosyć bezwzględnie i bez żenady, ale zrównawszy się z nim, odwróciła się i przeszła z obojętną twarzą, tak że rezultatu tego spotkania nie należało przeceniać. Jednak za drugim razem patrzyła na niego, i to nie tylko z dąłką; przez cały czas patrzyła na niego; w ciągu całego spotkania mocno, a nawet trochę nachmurzona, spoglądała mu prosto

w oczy, a przechodząc odwróciła nawet za nim głowę, co wstrząsnęło biednego Hansa Castorpa do szpiku kości. Nie należy go zresztą żałować, bo sam chciał tego i sam to wszystko zaaranżował. Wywarło to jednak na nim bardzo silne wrażenie, zarówno w czasie samego spotkania, jak zwłaszcza później; bo później dopiero uprzytomnił sobie wyraźnie, jak to wszystko było. Nigdy jeszcze nie widział tak z bliska i ze wszystkimi szczegółami twarzy pani Chauchat; mógł dokładnie rozróżnić krótkie włoski, które wysunęły się ze splotów jasnego, wpadającego w metalicznoczerwony odcień warkocza, owiniętego po prostu dokoła głowy, i tylko niewielka przestrzeń oddzielała jego twarz od jej twarzy, o dziwnej, ale dobrze już mu znanej budowie, która podobała mu się jak nic w świecie; była to budowa niezwykła i pełna charakteru (bo tylko temu, co nam obce, przypisujemy charakter), napiętnowana północną egzotycznością, tajemnicza i zniewalająca do jej zgłębienia, jako że jej znaki szczególne i proporcje niełatwe były do uchwycenia. Zasadniczą cechą tej twarzy były chyba wysoko umiejscowione kości policzkowe: one to sprawiały, że oczy, niezwykle płytko osadzone i niezwykle szeroko rozstawione, były nieco skośne, a jednocześnie pociągały za sobą miękką wklęsłość policzków; w stosunku do nich pełne wargi wydawały się lekko wywinięte. Ale najważniejsze były oczy, te wąskie i (zdaniem Hansa Castorpa) wprost czarodziejsko wykrojone kirgiskie oczy o szaroniebieskiej czy niebieskoszarej barwie dalekich gór, oczy umiające niekiedy, przy pewnych spojrzeniach z ukosa, których celem nie było widzenie, topnieć jakoś i ciemnieć aż do mrocznych tonów nocy, oczy Kławdii Chauchat, które spojrzały na niego zupełnie z bliska, bezwzględnie i trochę ponuro, oczy, ustawieniem swym, kolorem i wyrazem tak dziwnie i przerażająco podobne do oczu Przybysława Hippego! „Podobne” nie było trafnym określeniem — to były te same oczy, a także szerokość górnej części twarzy, wklęsnięty nos, wszystko aż do różowawej białości cery, do zdrowej barwy policzków, która u pani Chauchat tylko pozornie świadczyła o zdrowiu i, jak u wszystkich tu w górze, była tylko powierzchownym skutkiem

werandowania na powietrzu — to wszystko razem było zupełnie takie samo jak u Przybysława; a i spojrzenie tamtego, kiedy mijali się na dziedzińcu szkolnym, było zupełnie takie samo jak jej spojrzenie.

To było wprost wstrząsające; Hans Castorp był zachwycony spotkaniem, ale jednocześnie doznawał jakby wzrastającej trwogi, uczucia tego samego rodzaju co przygnębienie, którym go napełniało zamknięcie w ciasnej przestrzeni z owym pożądanym niedociągnięciem sytuacji; także ta okoliczność, że od dawna zapomniany Przybysław zjawił się tutaj w górze w postaci pani Chauchat i że znowu spogląda na niego swymi kirgiskimi oczami, była jak zamknięcie w ciasnej przestrzeni z czymś koniecznym i nieuchronnym — nieuchronnym w sensie, który go uszczęśliwiał a zarazem przejmował lękiem. Był to stan budzący nadzieję", ale zarazem niesamowity, a nawet groźny, i młody Hans Castorp poczuł coś jakby konieczność pomocy z zewnątrz. W jego duszy zaczęły się odbywać jakieś nieokreślone i instynktowne odruchy, które można by uważać za oglądanie się poza siebie, za szukanie i przywoływanie pomocy, rady i oparcia; myślał po kolei o różnych osobach, które ewentualnie wchodziły w rachubę.

A więc przede wszystkim o Joachimie, poczciwym i nieskazitelnym Joachimie, którego oczy nabrały w ostatnich miesiącach tak smutnego wyrazu i który wzruszał teraz od czasu do czasu ramionami tak wzdorliwie i gwałtownie, jak nigdy dawniej — o Joachimie z „niebieskim Henrykiem" w kieszeni, jak pani Stóhr zwykła nazywać tę flaszeczkę (miała przy tym tak uparcie bezwstydną wyraz twarzy, że Hansa Castorpa za każdym razem ogarniało przerażenie)... Był więc zacny Joachim, który zanudzał i zamęczał radcę Behrensa, żeby mu wolno było stąd wyjechać, bo chciał pełnić swoją utęsknioną służbę wojskową tam „na równinie" albo na „nizinie", jak nazywano tutaj świat zdrowych, wymawiając te słowa z lekkim, ale wyraźnym odcieniem pogardy. Aby szybciej móc dojść do tego i nie tracić czasu, który tutaj tak rozrzutnie trwoniono, na razie odbywał z niezwykłą sumiennością „służbę kuracyjną"; czynił to

bez wątpienia w celu jak najszybszego powrotu do zdrowia, ale również, jak się nieraz wydawało Hansowi Castorpowi, dla samej służby kuracyjnej, która ostatecznie była przecież także służbą, jak każda inna, a spełnianie obowiązku było zawsze spełnianiem obowiązku. Tak więc, kiedy się wieczorami towarzystwo łączyło, już po upływie kwadransa Joachim przynaglał swego kuzyna i śpieszył na leżak. Ta wojskowa punktualność wychodziła poniekąd na dobre cywilnie usposobionemu Hansowi Castorpowi, który chciałby był nieraz dłużej zabawić na dole ze względu na zajęty przez Rosjan salonik, co nie miaoby przecież żadnego sensu i pozbawione było wszelkich widoków. Ale pośpiech, z jakim Joachim chciał opuścić towarzystwo, miał jeszcze jeden, ukryty powód, dobrze znany Hansowi Castorpowi, odkąd zrozumiał, dlaczego opalona twarz Joachima, nagle blednąc, pokrywa się czasem dziwnymi plamami i dlaczego w pewnych chwilach bolesny grymas wykrzywia mu usta. Bo j Marusia, ta zawsze skłonna do śmiechu Marusia z małym rubinem na pięknym palcu, z pomarańczowym zapachem i z wysokimi piersiami, które toczył robak choroby, bywała też zwykle wieczorami na dole i Hans Castorp pojął, że okoliczność ta wyganiała Joachima, bo go zanadto, w straszliwy sposób przyciągała. Czy i Joachim doznawał uczucia „zamknięcia w ciasnej przestrzeni”, może w ciaśniejszej jeszcze i bardziej przygniatającej niż Hans Castorp, bo przecież Marusia, ze swoją pachnącą pomarańczami chusteczką, na domiar złego jeszcze pięć razy dziennie zasiadała z nimi do tego samego stołu? Bądź co bądź Joachim za wiele miał do roboty z samym sobą, aby jego istnienie mogło przynieść Hansowi Castorpowi jakąkolwiek pomoc wewnętrzną. Jego codzienna ucieczka od towarzystwa robiła wprawdzie na Hansie Castorpie wrażenie czegoś podrykowanego honorem, ale zarazem mocno niepokojącego, a chwilami wydawało mu się, że dobry przykład sumiennego przeprowadzania kuracji, który dawał mu Joachim, i cenne wskazówki, których mu nie szczędził, kryją w sobie pewne niebezpieczeństwo.

Hans Castorp był tu dopiero niecałe dwa tygodnie, ale wyda-

wało mu się, że upłynęło już znacznie więcej czasu od chwili jego przyjazdu, a tutejszy porządek dnia, z taką skrupulatnością przestrzegany przez Joachima, zaczynał nabierać w jego oczach cech czegoś oczywiste i święcie niezłomnego, tak że sposób życia na nizinie, oglądany stąd z góry, wyglądał niemal dziwnie i opacznie. Potrafił już zręcznie manipulować dwoma kocami, za pomocą których w chłodne dni robił z siebie na leżaku równiuteńki pakiet, prawdziwą mumię; niewiele brakowało, żeby dorównywał Joachimowi w niezawodnej sprawności i sztuce przepisowego owijania się tymi kocami, i dziwił się prawie na myśl, że na dole, na równinie, nikt nic o takiej umiejętności i o tych sposobach nie słyszał. Tak, to było rzeczywiście dziwne — ale jednocześnie dziwił się Hans Castorp, że znajduje w tym coś dziwnego, i ogarniał go znowu ów niepokój, zmuszający do wewnętrznego oglądania się za radą i pomocą.

Nasuwał mu się na myśl Behrens i rada, udzielona mu przez niego sine pecunia, aby żył tutaj całkiem tak jak pacjenci i nawet mierzył sobie temperaturę — a także Settembrini, który odrzucając głowę w tył, tak głośno śmiał się z tej rady, a potem zacytował jakiś ustęp z „Zaczarowanego fletu”. Tak, również o tych dwu pomyślał na próbę, ażeby przekonać się, czy mu to sprawi jakąś ulgę. Radca Behrens był przecież już siwy, mógłby być ojcem Hansa Castorpa, a poza tym był dyrektorem sanatorium i najwyższym autorytetem, a Hans Castorp odczuwał właśnie gwałtowną potrzebę ojcowskiego autorytetu. Jednakże nie udawało mu się, pomimo starań, myśleć o radcy dworu z ufnością dziecka. Behrens pochował tutaj swoją żonę, rozpacz sprawiła, że na pewien czas zdziwaczał, a potem pozostał tutaj, bo trzymał go grób zmarłej, a także dlatego, że i jemu udzieliła się choroba żony. Czy już mu to przeszło? Czy był już zdrowy i czy bez zastrzeżeń pragnął leczyć ludzi, aby prędko mogli powrócić na nizinę i pełnić służbę? Policzki jego były zawsze sine i właściwie wyglądał tak, jak gdyby miał podwyższoną temperaturę. Ale mogło się tak tylko wydawać, a przyczyną tego koloru cery mogło być tutejsze powietrze: Hans Castorp przecież także odczuwał tu ciągle suchy żar, nie mając

przy tym gorączki, o ile mógł sądzić bez pomocy termometru. Chociaż kiedy się słuchało radcy Behrensa, można było czasami myśleć, że ma podwyższoną temperaturę; jego sposób mówienia nie był zupełnie normalny: był rubaszny, wesoły i miły, koleżeński, ale miał w sobie coś dziwnego, jakąś egzaltację, szczególnie jeżeli brało się pod uwagę jego sine policzki i łzawiące oczy, które wyglądały tak, jak gdyby ciągle jeszcze oplakiwał swoją żonę. Hans Castorp przypomniał sobie, co Settembrini mówił o „skłonności do melancholii” i o „nałogu” radcy i że nazwał go „człowiekiem niezrównoważonym”. Mogło to być złośliwością i błagą, ale Hans Castorp mimo to dochodził do wniosku, że myśl o radcy Behrensie bynajmniej go nie krzepi na duchu.

Więc pozostawał jeszcze sam Settembrini, wieczny opozycjonista, fanfaron i homo humanus, jak sam siebie nazywał, który namiętnymi słowy zabronił mu dopatrywać się w połączeniu choroby z głupotą — sprzeczności i dylematu dla uczucia ludzkiego. Jak to się z nim miała rzecz? I czy warto było myśleć o nim? Hans Castorp przypominał sobie, jak często subtelny i suchy uśmiezek Włocha, który ukazywał się pod pięknym łukiem wąsów, budził jego niechęć w niezwykle żywych snach, wypełniających mu noc, tu w górze, jak go przeżywał katarzyniarzem i próbował odpędzić, bo przeszkadza. Ale to było we śnie, a na jawie Hans Castorp był inny, mniej nieopanowany. Na jawie mogło być inaczej — może trzeba, by spróbował zbliżyć się wewnątrz do tego tak dziwnego Włocha, z jego agresywnością i wieczną krytyką, chociaż była smętna i gadatliwa. On sam nazwał się przecież pedagogiem; widocznie chciał wywierać wpływ, a młody Hans Castorp odczuwał silną potrzebę poddania się czyjemuś wpływowi — z czego jednak nie wynikało, żeby miał spakować swój kufer i wyjechać przed określonym terminem, jak mu niedawno tamten zupełnie poważnie proponował.

Placet experiri — myślał, uśmiechając się do siebie, bo tyle umiał jeszcze łaciny, chociaż nie mógł nazwać siebie homo humanus. Tak więc zwrócił baczniejszą uwagę na Settembriniego i z zainteresowaniem, aczkolwiek nie bez krytycyzmu, przy-

słuchiwał się występom Włocha, kiedy go spotykał przypadkiem podczas przepisowych spacerów do ławki pod skałą albo do Uzdrowiska, a także i przy innych okolicznościach, kiedy na przykład Settembrini po skończonym posiłku pierwszy wstawał od stołu i w swoich spodniach w kratę i z wykałaczką w ustach szedł wolnym krokiem przez salę z siedmioma stolami, ażeby, wbrew wszelkim przepisom i zwyczajom, побыć jeszcze chwilę przy stole obu kuzynów. Stał przy nich, skrzyżowawszy nogi, w pełnej wdzięku pozycji, i rozmawiał gestykulując wykałaczką. Czasami przysuwał sobie nawet krzesło, siadał na rogu pomiędzy Hansem Castorpem i nauczycielką albo pomiędzy nim i miss Robinson i przyglądał się, jak dziewięcioro współbiadników spożywa deser, z którego on sam, zdaje się, zrezygnował.

— Proszę o prawo wstępu do tego szlachetnego grona — mówił potrząsając ręce obu kuzynom i kłaniając się reszcie towarzystwa.

— Ten piwowar, który tam siedzi... że już nie wspomnę o zaiste straszliwym widoku pani piwowarowej, otóż ten pan Magnus wygłosił właśnie odczyt z dziedziny psychologii ludów. Czy chcecie państwo posłuchać? „Nasze ukochane Niemcy są wprawdzie tylko wielkimi koszarami, ale poza tym kryje się wiele dzielności i nie zamieniłbym naszej tężyzny na uprzejmość innych narodów. Na co zda mi się cała uprzejmość, jeżeli na każdym kroku spotykam się z oszustwem?” I tak dalej w tym stylu. Jestem u kresu sił. A naprzeciwko mnie siedzi jakieś nieszczęsne stworzenie z cmentarnymi różami na policzkach, jakaś starsza panna z Siedmiogrodu, i bez przerwy opowiada o swoim „szwagrze”, o którym nikt nic nie wie i wiedzieć nie chce. Słowem, nie mogłem już dłużej wytrzymać i uciekłem.

— Z proporcem w dłoni rzucił się pan do ucieczki — rzekła pani Stóhr — to do pana podobne.

— Świetnie! — zawołał Settembrini. — Z proporcem! Widzę, że tutaj inny wiatr wieje — bez wątpienia dobrze trafiłem. A więc rzuciłem się do ucieczki... Ach, żeby to umieć równie

pięknie się wyrażać! Czy mogę zapytać panią o postępy w stanie jej zdrowia?

Okropne było, jak ta pani Stóhr się mizdrzyła. — Wielki Boże! — odparła — zawsze jedno i to samo, pan sam wie to przecież. Dwa kroki naprzód, trzy kroki w tył, a po pięciu miesiącach przychodzi stary i dokładnie jeszcze pół roku. Ach, to są męki Tantalą. Pcha się, pcha się, już się człowiekowi zdaje, że jest na górze...

— O, to pięknie, że użycza pani trochę odmiany biednemu Tantalowi! Każę mu pani toczyć ów słynny głąz! To znaczy mieć naprawdę dobre serce! Ale podobno dziwne rzeczy dzieją się tu z panią, słyszymy o rozdwojeniach jaźni, o ciałach astralnych... Dotychczas nie wierzyłem w te zjawiska, ale to, co się z panią dzieje, dezorientuje mnie...

— Zdaje się, że pan chce bawić się moim kosztem?

— Bynajmniej! Nic podobnego! Niech pani uspokoi mnie przede wszystkim co do pewnych ciemnych stron swojej egzystencji, a później dopiero będziemy mogli mówić o bawieniu się. Wczoraj wieczorem pomiędzy wpół do dziesiątej a dziesiątą spaceruję trochę po ogrodzie, przebiegam przy tym wzrokiem balkony i spostrzegam, że na pani balkonie żarzy się w mroku lampka elektryczna. A więc pani werandowała jeszcze, zgodnie z obowiązkiem, przepisami i nakazami rozsądku. „Tam oto leży nasza piękna pacjentka — pomyślałem sobie — i skrupulatnie stosuje się do zaleceń, aby rychło mogła wrócić do domu w objęcia pana Stóhry.” — A przed niewielu minutami dowiedziałem się, że o tej samej godzinie widziano panią w kinematografie (pan Settembrini wymówił to słowo po włosku z akcentem na czwartej zgłosce), w kinematografie pod arkadami Kurhauzu, a potem jeszcze w cukierni, przy słodkim winie i jakichś baisers *, a mianowicie...

Pani Stóhr kręciła się na krześle, chichotała w serwetkę, trącała łokciami Joachima i cichego doktora Blumenkohla, mrugała zalotnie i porozumiewawczo i na wszelkie możliwe sposoby okazywała bezdennie głupie zadowolenie z siebie. Miała zwyczaj zostawiać, w celu zmylenia nadzoru, zapaloną lampkę na

swym balkonie i po kryjomu udawać się na zabawę do angielskiej dzielnicy. Mąż tymczasem oczekiwał jej w Cannstatt. Inni pacjenci, zresztą, uprawiali podobne praktyki.

— A mianowicie — ciągnął dalej Settembrini — w jakim to towarzystwie kosztowała pani tych baisers? W towarzystwie kapitana Miklosicha z Bukaresztu! Zapewniają mnie, że on nosi gorset, ale, mój Boże, nie ma to tutaj żadnego znaczenia! Zaklinam panią, niech mi pani powie, gdzie pani była. Czy uległa pani rozdwojeniu jaźni? Widocznie pani zasnęła i, podczas gdy ziemską część pani istoty samotnie werandowała, jej część duchowa raczyła się towarzystwem kapitana Miklosicha i jego baisers...

Pani Stóhr wiała się i krygowała, jak gdyby ją łechtano.

— Nie wiadomo, czy nie lepiej by było, gdyby było odwrotnie: mianowicie, gdyby pani sama rozkoszowała się tymi baisers, a leżakowała na balkonie z kapitanem Miklosichem...

— Hi hi hi...

— Czy słyszeli państwo o onegdajszej historii? — spytał nagle Włoch. — Ktoś został stąd zabrany, porwał go diabeł czy właściwie jego własna matka, dama nadzwyczajnie energiczna — bardzo mi się spodobała. To był ten młody Schneermann, Antoni Schneermann, który siedział tam u góry stołu obok Mademoiselle Kleefeld — widzą państwo, jego miejsce jest puste. Jego miejsce zostanie niebawem zajęte, nie mam żadnych obaw co do tego, ale Antoniego uniosła na skrzydłach swych burza, i to tak nagle, że ani się obejrzał. Półtora roku siedział już tutaj ten szesnastolatek, i właśnie dołożono mu jeszcze pół roku. I co się dzieje? Nie wiem, kto Madame Schneermann szepnął słówko do ucha, bądź co bądź doszły ją wieści o hołdach, jakie jej synalek składa Bachusowi et ceteris *. Bez meldowania zjawia się na widowni okazała matrona, o trzy głowy wyższa ode mnie, siwa i sroga, nic nie mówiąc wymierza panu Antoniemu kilka zamaszystych policzków, chwyta go za kołnierz i sadza do wagonu. „Jeśli ma się zniszczyć — powiada — to może to zrobić i na dole.” I jazda do domu.

Wszyscy, którzy to opowiadanie słyszeli, śmiali się głośno, bo pan Settembrini mówił bardzo zabawnie. Okazało się, że znane mu są wszystkie najnowsze plotki, chociaż tak krytycznie i pogardliwie odnosił się do towarzyskiego współżycia gości tu w górze. Wiedział o wszystkim. Znał nazwiska, a nawet dosyć dokładnie sprawy życiowe nowo przybyłych; oznajmił, że temu a temu lub tej a tej zrobiono wczoraj resekcję żebra, i słyszał z najlepszego źródła, że od jesieni nie będzie się tu już przyjmowało chorych z temperaturą powyżej 38,5. Ostatniej nocy, jak opowiadał, piesek pani Capatsoulis z Mityleny usiadł na stoliku nocnym swej pani akurat na guziku elektrycznego sygnału świetlnego, co wywołało bieganinę i wielkie zamieszanie, zwłaszcza że zastano panią Capatsoulis nie samą, lecz w towarzystwie asesora Diistmunda z Friedrichshagen. Nawet dr Blumenkohl musiał uśmiechnąć się słuchając tej historii, śliczna Marusia po prostu dusiła się, że swą pachnącą pomarańczami chusteczką przy ustach, a pani Stóhr krzyczała przeraźliwie, przyciskając sobie przy tym lewą pierś obiema rękami.

Ale Joachimowi i Hansowi Castorpowi opowiadał Lodovico Settembrini również o sobie, o swym pochodzeniu. Zdarzało się to na spacerach albo w czasie wieczornego zebrania towarzyskiego, albo po skończonym obiedzie, kiedy większość pacjentów już opuściła jadalnię, ale trzech panowie pozostawali jeszcze chwilkę na swoich miejscach, podczas gdy kelnerki sprzątały ze stołów, a Hans Castorp palił swoją „Marię Mancini”, której pikantny smak w trzecim tygodniu pobytu zaczął znowu sprawiać mu pewną przyjemność. Uważnie, ale z pewną dozą krytycyzmu, trochę zdziwiony, ale przejęty pragnieniem ulegania czyjemuś wpływowi, słuchał Hans Castorp opowiadań Włocha, które odkrywały przed nim niezwykły i dotychczas zupełnie nie znany mu świat.

Settembrini opowiadał o swoim dziadku; był on adwokatem w Mediolanie, a jednocześnie i przede wszystkim wielkim patriotą i czymś w rodzaju politycznego agitatora, mówcy i współpracownika pism; należał do opozycji, podobnie jak wnuk, ale uprawiał ją śmieiej i w większym stylu. Bo podczas gdy Lodo-

vico musiał, jak sam zaznaczał z goryczą, spędzać swój żywot w Międzynarodowym Sanatorium „Berghof”, szydzić z niego i zakładać protest w imieniu pięknej i pełnej energii ludzkości, dziadek jego przyczyniał wiele kłopotu rządów państw, spiskował przeciwko Austrii i Świętemu Przymierzu, które wówczas trzymały jego rozdrobnioną ojczyznę w ponurej niewoli, i był czynnym członkiem pewnych rozpowszechnionych we Włoszech tajnych stowarzyszeń — był karbonariuszem, oświadczył Settembrini przyciszonym głosem, jak gdyby jeszcze teraz niebezpiecznie było o tym wspominać. Dzięki tym opowiadaniom obaj słuchacze mieli o Giuseppe Settembrinim wyobrażenie jako o mrocznym, namiętnym i niepokój sięjącym osobniku, jako o przywódcy buntowników i spiskowcu, i pomimo całego szacunku, jaki przez uprzejmość okazywali, niezupełnie udawało im się zamaskować pewną nieufność, niechęć, a nawet obrzydzenie, które odzwierciedlały się w wyrazie ich twarzy. Pewnie, że był to wyjątkowy stan rzeczy: to, o czym słyszeli, działo się dawno, przed stu prawie laty, to była już historia, a z historii, specjalnie starożytnej, teoretycznie znane im były wypadki rozpaczliwego dążenia do wolności i nieubłaganej nienawiści do tyranów, chociaż nigdy nie przypuszczali, że mogliby z nią zetknąć się tak blisko i prawie bezpośrednio. Z buntowniczą i konspiracyjną naturą tego protoplasty szła również, jak słyszeli, w parze gorąca miłość ojczyzny, którą pragnął widzieć wolną i zjednoczoną — co więcej, jego burzycielska działalność była owocem i godnym najwyższego uznania wynikiem obu tych jego cech i chociaż ta mieszanina rewolucyjności i patriotyzmu wydawała się dziwna obu kuzynom — bo zarówno jeden jak i drugi zwykli łączyć pojęcie miłości ojczyzny z zachowawczym zmysłem porządku — to jednak przyznać musieli w duchu, że w ówczesnym stanie rzeczy bunt mógł być jednoznaczny z cnotą obywatelską, a lojalność — z zupełną obojętnością dla spraw publicznych.

Ale dziadek Settembrini był nie tylko włoskim patriotą, lecz nadto współobywatelem i współbojownikiem wszystkich ludów pragnących wolności. Bo po pewnym nieudanym zamachu stanu

w Turynie, zamachu, w którym uczestniczył słowem i czynem, kiedy z wielkim trudem udało mu się umknąć rąk siepaczy nastanych przez księcia Metternicha, lata swojego wygnania poświęcił krwawej walce w Hiszpanii o konstytucję i w Grecji o niepodległość helleńskiego narodu. W Grecji właśnie przyszedł na świat ojciec Settembriniego i dlatego zapewne stał się tak wielkim humanistą i zamiłowanym badaczem klasycznej starożytności. Giuseppe Settembrini był żonaty z Niemką, którą poznał w Szwajcarii i która dzieliła z nim później wszystkie perypetie jego niespokojnego żywota. Po dziesięciu latach tułaczki pozwolono mu wrócić do kraju. Osiadł więc jako adwokat w Mediolanie, ale nie zaniechał nigdy działalności patriotycznej: słowem żywym i pisany, wierszem i prozą wzywał swych ziomków do walki o wolność i do stworzenia powszechnej republiki, z zacięciem dyktatora redagował namiętnie antypaństwowe programy i jasnym, pięknym stylem proklamował zbratanie wyzwolonych ludów w celu ugruntowania ogólnej szczęśliwości.

Pewien szczegół, o którym wspominał wnuk Settembrini, wywarł silne wrażenie na młodym Hansie Castorpie: dziadek Giuseppe ukazywał się zawsze publiczności w czarnym ubraniu, bo, jak mawiał, nosił żałobę po swej włoskiej ojczyźnie, ginącej w cierpieniu i niewoli. Słyszając to Hans Castorp przypomniał sobie — jak mu się to już i przedtem parę razy nasunęło przez porównanie podczas opowiadań Settembriniego — swojego własnego dziadka, który również, odkąd go wnuk pamiętał, zawsze ubierał się czarno, ale z innych zasadniczo powodów; przypomniał mu się ów staromodny strój, za pomocą którego Hans Lorenz Castorp starał się swą właściwą naturę, przynależną do dawnych czasów, podkreślać zawsze jej odrębność, przystosować do teraźniejszości, aż wreszcie przez wrota śmierci uroczyście powrócił do swej prawdziwej i jedynie dlań odpowiedniej postaci (z kryzą w kształcie talerza). Jakże niepodobni byli do siebie ci dwaj dziadkowie! Hans Castorp zamyślił się nad tym, z oczyma nieruchomo przed siebie patrzącymi i ostrożnie kiwając głową, co mogło być równie

dobrze oznaką podziwu dla Giuseppe Settembriniego, jak zdziwienia i sprzeciwu. Powstrzymywał się od potępiania tego, co było dlań obce, i ograniczył się do porównywania i stwierdzania faktów. Znow widział wąską głowę starego Hansa Lorenza, pochylającą się w zamyśleniu nad okrągłą chrzcielnicą ze złotym wnętrzem, która, stojąc na jednym miejscu, przechodziła z rąk do rąk; znow słyszał wielokroć powtarzany przedrostek „pra”, ten dźwięk krótki i poważny, przypominający mu miejsca, w których stąpa się pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem. I widział Giuseppe Settembriniego, jak z trójbarwną chorągwią w ręku, z wyciągniętą szablą i z czarnymi, przysięgłymi oczami, utkwionymi w niebo, kroczy na czele garstki bojowników za wolność, przeciwko falangom broniącym despotyzmu. Tak, obie strony mają swoje piękno i są godne poważania, myślał w duchu, zmuszając się tym bardziej do zajęcia godziwego stanowiska, że zdawał sobie sprawę ze swojego stronnego lub na pół stronnego stanowiska. Bo dziadek Settembrini walczył przecież o prawa polityczne, podczas gdy jego dziadkowi lub w każdym razie tegoż dziadka przodkom przysługiwały wszystkie prawa i dopiero w ciągu czterech wieków motłoch wydzierał im je gwałtem lub potęgą wymowy... I oto obaj ubierali się czarno, ten dziadek z Północy i tamten z Południa, i obaj w tym celu, aby stworzyć wyraźny dystans pomiędzy sobą a złą teraźniejszością. Pierwszy czynił to jednak z pietyzmu dla przeszłości, składając w ten sposób hołd czasom minionym i śmierci, do których wewnętrznie należał; u drugiego, przeciwnie, było to wyrazem buntu i hołdem złożonym postępowi, który był wrogiem wszelkiego pietyzmu.

Tak, dumiał Hans Castorp, to były dwa różne światy albo strony świata; i kiedy słuchając opowieści Settembriniego, jak gdyby stał między nimi i spoglądał badawczo raz w jeden, raz w drugi, zdawało mu się, że już przeżywał kiedyś coś podobnego. Przypomniał sobie pewną samotną przejażdżkę łódką, którą przedsięwziął przed laty na jakimś holsztyńskim jeziorze, późnym latem, o zmroku. Była siódma godzina, słońce już zaszło, a księżyc, niemal w pełni, ukazał się na wschodzie, ponad

brzegiem zarośniętym krzakami. Podczas gdy **Hans** Castorp wiosłował po cichej powierzchni wody, wytworzyła się na przeciąg jakichś dziesięciu minut konstelacja, która go dziwnie niepokoiła i usposabiała do marzeń. Na zachodzie był jeszcze jasny dzień, szkliste, trzeźwe, zdecydowanie dzienne światło, ale kiedy odwrócił głowę, to patrzył w równie niewątpliwą, czarowną, wilgotnymi mgłami przetykaną noc księżycową. Niezwykle to zjawisko minęło po upływie mniej więcej kwadransa, ale dopóki natura ostatecznie nie iprzechyliła się na stronę księżyca i nocy, olśniony i oczarowany blaskiem wzrok Hansa Castorpa wędrował raz po raz z jednego oświetlenia i krajobrazu do drugiego, od dnia do nocy i z powrotem — od nocy do dnia. To właśnie przypomniało mu się teraz.

Adwokat Settembrini, tak rozmyślał Hans Castorp, wskutek swojego trybu życia i rozległej działalności nie mógł być bardzo uczonym prawnikiem. Ale, jak zapewniał wnuk jego, od lat dziecinnych aż do samego zgonu kierował się zawsze ogólną zasadą prawa i Hans Castorp, chociaż w tych czasach miał mózg niezbyt sprawny i czuł wielką ociążałość po sześciu daniach sanatoryjnego obiadu, starał się pojąć, co miał na myśli Settembrini, nazywając tę zasadę „źródłem wolności i postępu”. Przez postępowanie rozumiał Hans Castorp dotychczas coś w rodzaju rozwoju techniki dźwigarów w ciągu dziewiętnastego stulecia, przekonał się też, że Settembrini bynajmniej, podobnie jak i Hans Lorenz Castorp, nie lekceważy tych rzeczy. Włoch wyrażał się z głębokim szacunkiem o ojczyźnie swych obu słuchaczy, gdzie przecież wynaleziono proch, który zbroję feudalizmu przemienił w bezużyteczne rupiecie, a także prasę drukarską: ona to umożliwiła demokratyczne rozpowszechnienie idei — to znaczy: rozpowszechnienie idei demokratycznych. Pod tym względem chwalił więc Niemcy, o ile chodziło o przeszłość, chociaż palmę pierwszeństwa przyznawał własnemu krajowi, który, jak twierdził, pierwszy rozpostarł sztandar oświecenia, nauki, wolności, kiedy inne narody pogrążone były jeszcze w mroku przesądów i niewoli. Jeżeli jednak wysoko cenił — jak to zaznaczył już w czasie pierwszego spotkania z kuzynami koło ławki na

stoku góry — technikę i komunikację, właściwą dziedzinę pracy Hansa Castorpa, „to czynił to, jak się zdawało, nie z powodu wartości tych potęg samych przez się, ale ze względu na ich znaczenie dla moralnego rozwoju ludzkości, bo takie właśnie znaczenie skłonny był im przypisywać. Technika, mówił, coraz bardziej podporządkowuje sobie naturę, ujarzmia ją dzięki łączności, którą stwarza, budując sieć dróg i telegrafów, przewyższa różnice klimatów i jest najpewniejszym środkiem wzajemnego zbliżania ludów, pomaga im we wzajemnym poznawaniu się, wyrównuje dzielące je przepaści, burzy przesady i prowadzi do ogólnego zbratania. Ród ludzki wyszedł z mroku, lęku i nienawiści, ale kroczy promienną drogą naprzód i wzwyż do ostatecznego celu, jakim jest przyjaźń wewnętrzna, światłość, dobro i szczęście; a na tej drodze, powiedział Settembrini, technika jest najlepszym wehikułem. Ale tak perorując, jednym tchem łączył z sobą kategorie, o których Hans Castorp zwykł był dotychczas myśleć tylko jako o rzeczach bardzo od siebie odległych. Technika i moralność! — powiedział. Z kolei Włoch mówił o Zbawicielu chrześcijaństwa, który pierwszy objawił zasadę równości i zbratania, rozpowszechnioną później w znakomity sposób przez prasę drukarską i podniesioną w końcu do godności najwyższego prawa przez wielki przewrót państwowy we Francji. Nie wiadomo dlaczego, ale, bez wątpienia, wywody te wydawały się Hansowi Castorpowi mętne, chociaż ujęte były w tak jasne i dobitne słowa. Raz tylko, mówił Settembrini, raz jeden w życiu, w samym rozkwicie lat, czuł się jego dziadek zupełnie szczęśliwy: było to w czasie paryskiej rewolucji lipcowej. Głośno i publicznie wypowiedział wtedy zdanie, że ludzkość umieści kiedyś te trzy dni paryskie obok sześciu dni stworzenia świata. Słyszając to Hans Castorp uderzył ręką w stół, tak bardzo zdumiały go te słowa. Nie mogło pomieścić mu się w głowie, jak można te trzy letnie dni 1830 roku, które mieszkańcom Paryża dały nową konstytucję, porównywać z tamtymi sześcioma dniami, w których Pan Bóg oddzielił wodę od łądu i stworzył wieczne światła niebieskie, kwiaty, drzewa, ptaki, ryby i wszelkie życie, i jeszcze później, w rozmowie w cztery oczy z Joa-

chimmem, dał dobitny wyraz swemu zdumieniu, a nawet oburzeniu.

Ale Hans Castorp pragnął przecież ulec czyjemuś wpływowi, w tym sensie, że jest rzeczą przyjemną próbowanie tego i owego; tak więc starał się powściągnąć protest przeciwko poglądom Settembriniego, wywołany w nim przez pietyzm i poczucie dobrego smaku, sądził bowiem, że to, co mu się wydaje grzechem, może być nazwane śmiałością, a to, co robiło na nim wrażenie złego smaku, mogło być wielkodusznością i szlachetnym uniesieniem, przynajmniej tam i w owym czasie: na przykład fakt, że dziadek Settembrini barykady nazwał „tronem ludu” i oświadczył, że „pikę obywatela należy poświęcić na ołtarzu ludzkości”.

Hans Castorp wiedział, dlaczego przysłuchuje się panu Settembriniemu, niedokładnie wprawdzie, ale jednak zdawał sobie z tego sprawę. Poza tym, że był tu na wakacjach i czuł się beztroskim turystą i tylko hospitantem, który nie powinien bronić do siebie dostępu żadnym zewnętrznym wrażeniom, ale poddawać im się z pełną świadomością, że jutro albo pojutrze puści się znowu w drogę i powróci do dawnego ładu — poza tym zrodziło się w nim coś w rodzaju poczucia obowiązku, jakby jakiś nakaz sumienia, i to, aby już być zupełnie ścisłym, nakaz sumienia w pewnej mierze nieczystego; on to sprawiał, że Hans Castorp słuchał wywodów Włocha z nogą założoną na nogę i paląc swoje cygaro marki „Maria Mancini” albo też kiedy wracali w trójkę z angielskiej dzielnicy do sanatorium „Berg-hof”.

Według poglądów głoszonych przez Settembriniego dwie zasady walczą o świat: siła i prawo, tyrania i wolność, przesąd i wiedza, konserwatyzm i wieczny ferment postępu. Można by pierwszą z nich nazwać zasadą azjatycką, a drugą — europejską, bo Europa jest ojczyzną buntu, krytyki i burzycielstwa, wschodnia zaś część świata uosabia bezruch i bezczynny spoczynek. Nie ma żadnych wątpliwości, która z tych dwóch zasad odniesie wreszcie zwycięstwo: zasada oświecenia i doskonalenia się zgodnie z nakazami rozumu. Bo człowieczeństwo w swym triumfalnym pochodzie porywa za sobą coraz więcej narodów,

coraz więcej miejsca zdobywa w samej Europie i zaczyna przedzierać się do Azji. Ale daleko jeszcze do jego ostatecznego zwycięstwa i wiele szlachetnych wysiłków oczekuje tych, którzy są już oświeceni i przepojeni ideą, zanim wreszcie nadejdzie dzień, kiedy w gruzy rozpadną się monarchie i religie także w tych krajach europejskich, które w gruncie rzeczy nie przeżyły osiemnastego stulecia ani roku 1789.

Ale dzień ten nadejdzie, twierdził Settembrini i uśmiechał się nieznacznie pod wąsem, jeśli nie przyjdzie na gołębach nóżkach, to przyleci w poszumie orlich skrzydeł — i zajaśnieje jako jutrzienka ogólnego zbratania ludów, pod znakiem rozumu, nauki i prawa. Przyniesie z sobą święte przymierze mieszczańskiej demokracji, świetlane przeciwieństwo owego po trzykroć haniebnego przymierza książąt i gabinetów, którego osobistym i śmiertelnym wrogiem był dziadek Giuseppe — jednym słowem, cały świat objęty zostanie powszechną republiką. Dla osiągnięcia tego ostatecznego celu należy jednak tę azjatycką niewolniczą zasadę zachowawczości ugodzić w sam środek i rdzeń jej oporu, mianowicie w Wiedeń. Trzeba pobić na głowę i zniszczyć Austrię, przede wszystkim, aby pomścić przeszłość, a następnie, aby utorować drogę panowaniu prawa i ogólnemu szczęściu na ziemi.

Ten ostatni zwrot i konkluzja pięknie brzmiących wywodów Settembriniego zupełnie już nie interesowały Hansa Castorpa, wyraźnie nie podobały mu się, a nawet wywierały na nim nie mile wrażenie, jako osobiste i narodowe zacierzewienie — nie mówiąc już o Joachimie Ziemssenie; ten bowiem chmurzył się i odwracał głowę, przestając słuchać, ilekroć Włoch zaczynał z tej beczki, i przypominał, że czas na werandowanie, albo starał się zmienić temat rozmowy. Hans Castorp również wolał nie słuchać tych dygresji — widocznie leżały one poza granicą idei, którymi na próbę pragnął się przejąć, zgodnie z nakazem swojego sumienia; a nakaz ten był tak wyraźny, że on sam, Castorp, wzywał Settembriniego, by snuł przed nimi wątek swych myśli, kiedy Włoch przysiadł się do nich albo przyłączał na spacerach.

Poglądy te, ideały i dążenia były, jak twierdził Settembrini, tradycją rodzinną w jego domu. Bo dziad, ojciec i wnuk, wszyscy trzej, poświęcali im życie i wszystkie swoje siły, każdy z nich na swój sposób: ojciec nie mniej niż dziadek Giuseppe, chociaż nie był, jak tamten, agitorem politycznym i bojownikiem o wolność, ale cichym i subtelnym humanistą, spędzającym życie za swoim pulpitem. Ale czym właściwie jest humanizm? Humanizm to umiłowanie człowieka, nic więcej, ale tym samym jest to zarazem polityka i bunt przeciwko wszystkiemu, co kła i bezcześci ideę człowieczeństwa. Zarzucano humanizmowi, że zbyt wielką wagę przywiązuje do formy; ale pielęgnuje on piękną formę jedynie ze względu na ludzką godność, w wyraźnym przeciwieństwie do średniowiecza, które było pogrążone nie tylko w nienawiści do człowieka i w zabobonach, ale również w sromotnym braku formy. Humanizm od samego początku walczył o dobro ludzkości, o sprawy ziemskie, o wolność myślenia i radość życia i sądził słusznie, że niebo należy pozostawić wróblom. Prometeusz! On był pierwszym humanistą, był identyczny z owym szatanem, którego opiewa w swym hymnie Carducci... Ach, szkoda, że Joachim i Hans Castorp nie słyszeli, jak ten boloński wróg Kościoła grzmiał zjadliwie przeciwko chrześcijańskiej czułościowości romantyków! Przeciwko świętym pieśniom Manzoni! Przeciwko romanticismo i jego poezji cieniów i światła księżycowego, którą przyrównał do „Luny, bladej mniszki niebios!” Per Bacco, jakaż to była rozkosz! I szkoda, że nie słyszeli, jak on, Carducci, wykladał Danta, jak czcił w nim obywatela wielkiego miasta, powstawał przeciw ascezie i zaprzeczeniu życia i przeciwstawiał im twórczą siłę, wstrząsającą posadami świata i otwierającą nowe horyzonty. Bo mianem Donna gentile e pietosa * ochrzcił poeta nie chorowity i mistagogiczny * cień Beatryczy, ale nazwał tak swoją żonę, która uosabia w poemacie zasadę ziemskiego poznania i praktyczną działalność życiową...

Hans Castorp usłyszał więc także to i owo o Dantem, i to z najlepszego źródła; ze względu jednak na pewną skłonność do fanfaronady u interlokutora, był ostrożny w przyjmowaniu

wiadomości. W każdym bądź razie było rzeczą interesującą usłyszeć, że Dante był uświadomionym obywatelem wielkiego miasta. A dalej Settembrini opowiadał o sobie, że w nim złączyły się dążenia jego bezpośrednich przodków, zamiłowanie dziadka do polityki i humanistyczne tendencje ojca; został literatem, niezależnym pisarzem. Bo literatura jest tylko połączeniem polityki z humanizmem, połączeniem, które tym łatwiej dochodzi do skutku, że humanizm sam jest już polityką, a polityka humanizmem... W tym miejscu Hans Castorp skupił uwagę i starał się dobrze zrozumieć, bo miał nadzieję, że pojmie jasno całą ignorancję piwowara Magnusa i że dowie się, dlaczego literatura jest jednak czymś zupełnie innym niż „pięknymi charakterami”. Settembrini zapytał, czy słuchacze jego słyszeli już kiedyś o panu Brunetto Latini, notariuszu miejskim we Florencji około 1250 r., który napisał książkę o cnotach i występkach? Mistrzowi temu zawdzięczają Florentyńczycy swą ogładę, nauczył ich mówić i wskazał, jak powinni rządzić swą republiką zgodnie z wymaganiami polityki.

— O to właśnie chodzi, panowie! — zawołał Settembrini. — O to właśnie chodził — I mówił o „słowie”, o kulcie słowa, o krasomówstwie, które nazywał triumfem ludzkości. Bo słowem chlubi się rodzaj ludzki, i tylko ono czyni życie godnym człowieka. Nie tylko humanizm — ale humanitaryzm w ogóle, wszelka godność ludzka, poszanowanie człowieka i jego szacunek dla samego siebie są nierozdzielnie związane ze słowem, z literaturą — („Widzisz więc — rzekł później Hans Castorp do kuzyna — widzisz, że w literaturze chodzi o piękne słowa? Ja to od razu zauważyłem”) — a więc i polityka z nią jest związana albo raczej: polityka wypływa ze związku, z jedności humanitaryzmu i literatury, bo piękne słowo rodzi piękny czyn. — Przed dwustu laty mieliście w swoim kraju poetę, wspaniałego starego gawędziarza, który wielkie znaczenie przypisywał ładnemu charakterowi pisma, bo twierdził, że piękne pismo pociąga za sobą piękny styl. Powinien był posunąć się jeszcze trochę dalej i powiedzieć, że piękny styl prowadzi do pięknych czynów.

Pięknie pisać znaczy też prawie to samo co pięknie myśleć, a stąd już jeden tylko krok do pięknych czynów. Wszelka kultura duchowa i moralne doskonalenie się ma swój początek w duchu literatury, tym duchu godności ludzkiej, który jest zarazem duchem humanitaryzmu i polityki. Tak, wszystko to stanowi jedność, jest tą samą potęgą i tą samą ideą, i wszystko można objąć jedną nazwą. Jak brzmi ta nazwa? Składa się ona z dobrze znanych zgłosek, których znaczenia i majestatu obaj kuzyni zapewne nigdy jeszcze dotychczas dokładnie nie pojęli — jest nią mianowicie: cywilizacja! I wymawiając to słowo, Settembrini wyciągnął do góry swą drobną, żółtą rękę, jak gdyby wznosił toast. Hansowi Castorpowi wydawało się to wszystko godnym uwagi, choć nie obowiązującym i raczej dla próby, ale w każdym razie godnym uwagi, i oświadczył to Joachimowi Ziemssenowi, który jednak miał właśnie termometr w ustach, mógł więc tylko coś niewyraźnego bąknąć w odpowiedzi, a później tak był zajęty odczytywaniem cyfry i zapisywaniem jej na tabliczce, że nie mógł zająć stanowiska wobec poglądów Settembriniego. Hans Castorp chętnie, jak powiedzieliśmy, wchłaniał je w siebie i dla próby chętnie dawał im przystęp do swej duszy; wynika stąd przede wszystkim wyraźna wyższość człowieka czuwającego nad niedorzecznie śniącym — we śnie bowiem Hans Castorp już nieraz wymyślał Settembriniemu od kataryniarzy i starał się go odpędzić, bo mu się wydawało, że Włoch „tutaj przeszkadza”; na jawie jednak słuchał go uważnie i grzecznie i starał się lojalnie powściągać i zwalczać sprzeciwy, rodzące się w nim przeciwko poglądom i wykładom mentora. Bo nie można zaprzeczyć, że napotykały one w duszy Hansa Castorpa pewne opory: były między nimi takie, które tkwiły w nim z dawien dawna, zawsze i od urodzenia niejako, jak również nowe, powstałe specjalnie na gruncie jego obecnej sytuacji, pod wpływem częściowo pośrednich, częściowo ukrywanych przeżyć tu w górze.

Czymże właściwie jest człowiek i jak łatwo daje się oszukać jego sumienie! Jak dobrze potrafi nawet w głosie obowiązku dosłuchać się zezwolenia na namiętności! Hans Castorp słuchał

Settembriniego z poczucia obowiązku i słuszności i z chęci osiągnięcia równowagi i poddawał przychylniej analizie jego poglądy na rozum, na ustrój republikański i na piękno stylu, gotowy poddać się jego wpływom. Uważał to jednak później za dowód szczególnej stałości charakteru, kiedy pozwalał myślom swym i marzeniom poruszać się w odwrotnym kierunku, a nawet — żeby już otwarcie wypowiedzieć nasze podejrzenie lub nasze zdanie w tej sprawie — słuchał Settembriniego jedynie w tym celu, aby uzyskać od swojego sumienia dispensę, której początkowo nie chciało mu udzielić. Ale co takiego lub kto taki znajdował się po tej drugiej stronie, przeciwnej patriotyzmowi, godności ludzkiej i literaturze pięknej, po stronie, w którą Hans Castorp znów ośmielał się wysyłać swoje myśli i chęci? Znajdowała się tam... Kławdia Chauchat, z kirgiskimi oczami, w niedbałej postawie i toczona przez chorobę, i gdy Hans Castorp o niej myślał („myśleć" o kimś jest zresztą zbyt ściśle określonym wyrazem na oznaczenie sposobu jego wewnętrznego zwracania się ku niej), czuł się znowu jak wówczas, gdy płynął łódką po owym holsztyńskim jeziorze i od szklistej jasności dnia, panującej na zachodnim brzegu, zwracał oczarowany i olśniony blaskiem wzrok ku przetykanej mgłami księżycowej nocy we wschodniej stronie nieba.

TERMOMETR

Tydzień Hansa Castorpa trwał tutaj od wtorku do wtorku, bo przecież we wtorek przyjechał. Już przed kilku dniami uregulował swój drugi tygodniowy rachunek, skromny rachunek, wynoszący okrągło 160 franków, skromny, według jego opinii bynajmniej nie wygórowany, nie licząc nawet różnych nieocenionych stron tego pobytu, właśnie dlatego, że były nieocenione, i nie licząc również pewnych świadczeń, których wartość dałaby się obliczyć, jak na przykład orkiestry grającej w sanatorium raz na dwa tygodnie albo odczytów dra Krokowskiego; rachunek obejmował tylko utrzymanie, składające się z pięciu

niezwykle obfitych posiłków dziennie, hotelową usługę i wygodne pomieszczenie.

— Wiesz, to niewiele, nawet tanio; nie możesz narzekać, że cię obdzierają tu w górze — rzekł hospitant do stałego gościa. — Wydajesz wobec tego okrągłe 650 franków miesięcznie na mieszkanie i życie, a i opieka lekarska jest już w to wliczona. Dobrze. Przypuśćmy, że wydajesz jeszcze trzydzieści franków miesięcznie na napiwki, jeżeli jesteś przyzwoitym gościem i chcesz widzieć dokoła siebie zadowolone twarze. A więc razem 680 franków. Dobrze. Zapewne mi powiesz, że dochodzą jeszcze inne koszty i opłaty. Wydaje się pieniądze i na napoje, i na kosmetykę, i na cygara, od czasu do czasu robi się wycieczkę, jakąś przejażdżkę powozem, jeśli chcesz, a trzeba coś niecoś liczyć również na krawca i szewca. Dobrze, a więc licząc to wszystko, przy najlepszych chęciach nie wydasz tu nawet tysiąca franków na miesiąc! Nawet ośmuset marek, to znaczy niecałe 10 000 marek rocznie. Więcej pobyt tutaj na pewno nie kosztuje. I za to żyjesz.

— Znakomicie liczych w pamięci — rzekł Joachim. — Zupełnie nie wiedziałem, że jesteś tak biegły w rachunkach. A najbardziej podoba mi się to, że od razu robisz kalkulację roczną; to dowodzi wielkiego gestu, widzę, żeś się już czegoś nauczył tu w górze. Zresztą, liczysz za dużo. Nie palę cygar, a poza tym mam nadzieję, że nie będę zmuszony do zamawiania sobie tutaj ubrań. Dziękuję pięknie!

— A więc nawet za dużo — odpowiedział Hans Castorp, trochę zmieszany. Ale jak się to stało, że wstawił do rachunku kuzyna cygara i nowe ubrania — bo co się tyczy szybkiego liczenia w pamięci, to polegało tylko na złudzeniu i przecenianiu wrodzonych zdolności. Jak we wszystkim bowiem, tak i w tym Hans Castorp był raczej powolny i flegmatyczny, a jego szybka orientacja w danym wypadku nie była spontaniczna, ale pochodziła stąd, że Hans Castorp był już przygotowany i rachunek miał już nawet zrobiony na piśmie. Pewnego wieczora mianowicie, podczas werandowania (bo idąc za przykładem kuracjuszy Hans Castorp przecież kładł się po kolacji na balkonie),

pewna myśl poderwała go nagle z doskonałego leżaka, wszedł do pokoju, przyniósł sobie papier i ołówek i zajął się liczeniem. Doszedł do wniosku, że jego kuzyn albo raczej że się tutaj w ogóle wydaje na wszystko razem około 12 000 franków rocznie, i uprzytomnił sobie dla żartu, że jego sytuacja gospodarza pozwala mu aż nadto na życie tutaj, bo wolno mu liczyć na dochód 18-19 000 franków rocznie.

A więc jego drugi tygodniowy rachunek został przed trzema dniami za pokwitowaniem i z podziękowaniem uregulowany, innymi słowy, Hans Castorp rozpoczął trzeci i, zgodnie ze swym zamiarem, ostatni tydzień swego pobytu tu w górze. W nadchodzącą niedzielę miał jeszcze wysłuchać koncertu, który odbywał się tu raz na dwa tygodnie, a w poniedziałek jeszcze jednego odczytu dra Krokowskiego, który również przemawiał raz na czternaście dni. Tak myślał sobie i powiedział to Joachimowi. A we wtorek lub środę miał stąd wyjechać i znowu zostawić kuzyna samego, biednego Joachima, któremu Radamantys przepisał jeszcze Bóg wie ile miesięcy pobytu i którego czarne oczy o łagodnym spojrzeniu przesłaniała mgła melancholii, ilekroć była mowa o szybko zbliżającym się odjeździe Hansa Castorpa. Wielki Boże, gdzież się podział ten czas wakacji! Uplłynął, wymknął się, uleciał — naprawdę, trudno było powiedzieć, jak. Ostatecznie było to dwadzieścia jeden całych dni, które mieli spędzić z sobą, długi szereg, z początku trudny do objęcia myślą. I nagle pozostało z tego wszystkiego tylko trzy czy cztery mizerne dni, nieduża resztką, dwukrotnie wprawdzie urozmaicona w sposób powyżej wspomniany, ale wypełniona już myślą o pakowaniu i o rozłace. Trzy tygodnie były prawie niczym tu w górze — wszyscy mu to od razu powiedzieli. Settembri ni mówił, że najmniejszą jednostką czasu jest tutaj miesiąc, a ponieważ pobyt Hansa Castorpa miał być jeszcze krótszy, więc nie można było właściwie mówić o jego pobycie tutaj, raczej wpadł jak po ogień, wedle wyrażenia radcy Behrensa. Czy może wzmożone spalanie ogólne było przyczyną tego niezwykle szybkiego biegu czasu? Takie tempo mogło być korzystne dla Joachima ze względu na czekający go jeszcze pię-

ciomiesięczny pobyt w „Berghofie”, jeżeli naturalnie skończy się na pięciu miesiącach. W ciągu tych trzech tygodni należało jednak zwracać baczniejszą uwagę na prąd czasu, tak jak się to czyni podczas mierzenia temperatury, kiedy przepisowe siedem minut urasta do rozmiarów niezmiernie długiego okresu. Hans Castorp współczuł serdecznie swemu kuzynowi, w którego oczach malował się żal z powodu bliskiej utraty towarzysza, tym bardziej gdy pomyślał, że ten nieszczęśnik pozostanie tutaj sam na stałe, podczas gdy on, Hans Castorp, będzie znowu wiódł żywot tam na dole i podejmie swą pracę na polu łączącej ludy techniki komunikacyjnej. Współczuł z nim tak bardzo, że nieraz ścisnęło mu się serce, tak bardzo, że chwilami poważnie wątpił, czy zdobędzie się na to, by wyjechać i porzucić kuzyna. Tak silnie więc czasem z nim współczuł, i to sprawiło, że coraz rzadziej sam z własnej inicjatywy mówił o odjeździe: Joachim był tym, który zaczynał na ten temat rozmowę; Hans Castorp natomiast, z wrodzonego taktu i delikatności, do ostatniej chwili starał się nie chcieć o tym myśleć.

— Miejmy przynajmniej nadzieję — odezwał się Joachim — że wypocząłeś u nas i że będziesz się lepiej czuł po powrocie do domu.

— Tak, wszystkich pozdrowię od ciebie — odpowiedział Hans Castorp — i powiem, że przyjedziesz najpóźniej za pięć miesięcy. Czy wypocząłem? Pytasz, czy wypocząłem w ciągu tych kilku dni? Zdaje się, że tak; przypuszczam, że nawet w tak krótkim czasie można przyjść do siebie, chociaż muszę powiedzieć, że doznałem tutaj tylu nowych wrażeń, nowych pod każdym względem, bardzo pobudzających, ale jednocześnie wyczerpujących zarówno fizycznie, jak i duchowo, że nie wydaje mi się, jakobym się już z nimi uporał i tutaj zupełnie zaaklimatyzował, a to jest przecież koniecznym warunkiem wszelkiego wypoczynku. „Maria Mancini” smakuje mi od paru dni, chwała Bogu, jak dawniej. Od czasu do czasu znajduję jednak czerwone plamy na chusteczce do nosa, i do końca już nie pozbędę się chyba tych przeklętych wypieków na twarzy i głupiego bicia serca. Nie, o przystosowaniu się do klimatu nie może u mnie

być mowy; co prawda, nie starczyło na to czasu. Należałoby tu dłużej posiedzieć, żeby zaaklimatyzować się zupełnie i uporać z nowymi wrażeniami, i wtedy dopiero mogłoby się zacząć wypoczywanie i odkładanie w organizmie białka. Szkoda. Mówię „szkoda”, bo stanowczo źle się stało, że nie wyznaczyłem sobie więcej czasu na urlop — a ostatecznie mógłbym być to zrobić. Przewiduję, że na dole przede wszystkim będę musiał odpocząć po tym odpoczynku i spać przez trzy tygodnie — tak czuję się czasami sfatygowany. A do tego ten wstrętny katar.

Bo wyglądało tak, jak gdyby Hans Castorp miał zjechać na dół z katarzem pierwszej klasy. Przeziębził się prawdopodobnie podczas werandowania, a mianowicie, by raz jeszcze operować prawdopodobieństwem, podczas werandowania wieczornego; uprawiał je od tygodnia mniej więcej, nie zważając na zimno i wilgoć, a zdawało się, że pogoda nie poprawi się chyba do samego jego odjazdu. Dowiedział się jednak, że taka pogoda nie uchodziła tutaj za złą. Pojęcie niepogody było w ogóle w tym środowisku nieznanne, nie obawiano się złych warunków atmosferycznych i prawie nie liczono się z nimi; i Hans Castorp zaczął sobie tę obojętność przyswajać z młodzieńczą podatnością i gotowością przystosowywania się do poglądów i zwyczajów otoczenia. Jeżeli lało jak z cebra, to nie należało jeszcze wnosić, że skutkiem tego powietrze jest mniej suche. I chyba rzeczywiście tak było, bo twarz wciąż paliła, jak to bywa czasami w zanadto opalonym pokoju albo po wypiciu dużej ilości wina. Co zaś tyczyło się zimna, które silnie dawało się odczuwać, to znów nie miało zupełnie sensu chować się przed nim do pokoju, bo ponieważ nie było śniegu, kaloryfery były nieczynne i bynajmniej nie było przyjemniej siedzieć w pokoju niż leżeć na werandzie w zimowym palcie, owinięty według wszelkich prawideł sztuki dwoma kocami z sierści wielbłądziej. Przeciwnie, to ostatnie było bez porównania przyjemniejsze, była to najmilsza pozycja życiowa, jakiej kiedykolwiek doświadczył; przekonania tego nie mógł zachwiać fakt, że jakiś literat i carbonaro nazwał ją złośliwie, z pewnym ukrytym i ubocznym znaczeniem, „poziomą” pozycją życiową. Najwięcej zadowolenia dawała mu

ta pozycja właśnie wieczorami, kiedy obok na stoliku paliła się mała lampka elektryczna, a on leżał, ciepło otulony w koce, paląc swoje ulubione cygaro marki „Maria Mancini”, w którym znowu odnalazł smak. Marzył mu wprawdzie koniuszek nosa i sztywniały czerwone z zimna ręce, w których trzymał książkę, wciąż jeszcze *Ocean steamships* — ale rozkoszował się wszystkimi nieuchwytnymi zaletami sanatoryjnego leżaka i patrzył przez łuki loggii w dolinę, pełną już to rzadko rozrzuconych, już to gęściej skupionych światła, z której prawie co wieczór przynajmniej przez godzinę dolatywały dźwięki muzyki, mile przytłumione tony znanych melodii: fragmenty oper „Carmen”, „Trubadur” albo „Wolny strzelec”, harmonijne walce, marsze, w których takt Hans Castorp w podnieconym humorze poruszał głową, i wesołe mazurki. „Mazurka”? Przecież ona nazywała się właściwie Marusia, ta panna z małym rubinem na palcu. A w loggii obok, za przegrodą z grubego szkła mlecznego, leżał Joachim i Hans Castorp zamieniał z nim od czasu do czasu jakieś słówko, po cichu i baczając, aby nie przeszkadzać innym werandującym. Joachimowi było na jego balkonie tak samo wygodnie, chociaż był niemuzyczny i nie znajdował przyjemności w wieczornych koncertach. A szkoda, bo zamiast słuchać muzyki czytał gramatykę rosyjską. Hans Castorp natomiast kładł *Ocean steamships* na kocu i z rozkoszą przysłuchiwał się muzyce, rozumiał p-rzejrzystą głębię jej faktury, i jakaś specjalnie pomysłowa, charakterystyczna i nastrojowa melodia dawała mu tak silne zadowolenie wewnętrzne, że od czasu do czasu myślał o tym, jak Settembrini wyrażał się o muzyce, budziła w nim gwałtowną złość — tak na przykład powiedzenie, że muzyka jest politycznie podejrzana, które w gruncie rzeczy nie było lepsze od gadaniny dziadka Giuseppe o rewolucji lipcowej i o sześciu dniach stworzenia świata...

Rozkosze muzyczne były więc mniej dostępne dla Joachima, obca mu też była aromatyczna przyjemność palenia; poza tym jednak leżał tak samo zacisznie w swojej loggii, jak Hans Castorp — zacisznie i spokojnie. Dzień był już skończony, tym razem wszystko było skończone i można było być pewnym, że

dzisiaj nic się już nie stanie, że nie nastąpią żadne wstrząsy i że mięsień sercowy nie znajdzie się już wobec żadnych nowych zadań. Ale zarazem miało się pewność, że jutro znowu to wszystko powróci i powtórzy się od początku z prawdopodobieństwem, które wynikało z ciasnej przestrzeni i z regularnego rytmu sprzyjających okoliczności; ta podwójna pewność i poczucie bezpieczeństwa napawały Hansa Castorpa głębokim zadowoleniem i w połączeniu z muzyką, i z odzyskanym aromatem „Marii Mancini” sprawiały, że w czasie wieczornego werandowania czuł się prawdziwie szczęśliwy.

To wszystko razem jednak nie ochroniło naszego delikatnego nowicjusza i hospitanta od porządnego przeziębienia się podczas werandowania (lub może w jakichś innych okolicznościach). Silny katar nadciągał i uciskał już czoło, jęczyczek w gardle był czerwony i obolały, a powietrze wydawało się zimne i nie dostawało się do płuc przewidzianym w tym celu naturalnym kanałem, ale przeciskało się z trudem jakąś inną drogą, wywołując ostry kaszel za każdym oddechem. Któregoś dnia, obudziwszy się rano, Hans Castorp zaczął mówić głuchym basem, jak po długim nadużywaniu alkoholu, i opowiadał, że tej nocy nie zmrugnął oka, bo czuł tak dławiącą suchość w krtani, iż raz po raz musiał siadać na łóżku.

— Wiesz, że to przykrość — powiedział Joachim — a nawet zmartwienie. Trzeba ci wiedzieć, że przeziębienia nie są tu przyjęte, nie są recus, po prostu zaprzecza się im; wobec tak znacznej suchości powietrza oficjalnie nie występują one tutaj, i miałby się z pyszna, kto chciałby się zwrócić do Behrensa z powodu przeziębienia. Z tobą, co prawda, rzecz ma się inaczej, ty masz ostatecznie prawo do przeziębienia. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli jakoś przeciwdziałać twojemu katarowi — na nizinie są na to sposoby, ale wątpię, czy ktokolwiek w dostatecznej mierze zainteresuje się tutaj tym niedomaganiem. Lepiej tu nie chorować, bo nikogo to nic nie obchodzi. To jest stare tutejsze przykazanie, przekonasz się sam o tym w końcu. Kiedy tu przyjechałem, zastałem pewną panią, która przez cały tydzień trzymała się za ucho i jęczała z bólu; wresz-

cie Behrens obejrzał ucho i powiedział: „Może pani być zupełnie spokojna, to nie jest na tle gruźliczym!” I na tym się skończyło. Tak, trzeba się namyślić, co można zrobić! Wspomnę o tym jutro rano kąpielowemu, kiedy przyjdzie do mnie. Taka jest droga służbowa: on powie o tym dalej, i może coś ci poradzą.

Tak postanowił Joachim i droga służbowa spełniła swoje zadanie. Kiedy Hans Castorp wrócił w piątek z porannego spaceru, zastukano do jego pokoju i weszła panna von Mylendonk, czyli „siostra przełożona”, jak ją tutaj nazywano. Hans Castorp mógł więc z nią nareszcie zawrzeć osobistą znajomość, bo dotychczas widywał ją tylko z daleka, jak, widocznie bardzo zajęta pracą, opuszczała jeden pokój chorego, aby przeciąwszy korytarz, wejść do drugiego; czasami zjawiała się na chwilę w jadalni i rozlegał się wtedy jej skrzeczący głos. A teraz przyszła do niego samego, ściągnięta jego katarem; zastukała twardo i krótko do drzwi i weszła, zanim zdążył wypowiedzieć „proszę”, a od progu cofnęła się jeszcze, żeby sprawdzić numer pokoju.

— Trzydzieści cztery — zarzegotała głośno. — Zgadza się, moje dziecko, on me dit, que vous avez pris froid. I hear, you have caught a cold. Wy, każetsja, prostudilis', słyszę, że pan się przeziębił? Po jakiemu mam z panem rozmawiać? Po niemiecku, już wiem. Ach, to przecież gość młodego Ziemssena, wiem już. Spieszę się do sali operacyjnej. Mamy tam takiego, który ma być zachloroformowany, a tymczasem objadł się sałatki z fasoli. Jak się tylko samej we wszystko nie wglądnie... A pan, moje dziecko, mówi, że się tutaj przeziębił?

Hans Castorp zdumiał się, słysząc tę paplaninę podstarzałej szlachcianki. Mówiąc, jak gdyby przechodziła do porządku nad swoimi własnymi słowami, okrągłymi, węzowymi ruchami zwracała niespokojnie głowę to tu, to tam, zadzierając nos do góry, jak to czynią drapieżne zwierzęta w klatce; jednocześnie poruszała rytmicznie w przegubie prawą ręką, pokrytą piegami, z lekka stuloną i z podniesionym w górę kciukiem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Prędko, prędko! niech pan *nie* słucha tego,

co mówię, ale niech pan sam mówi, żebym mogła już odejść!" Była to osoba lat około czterdziestu, niziutkiego wzrostu, niekształtna, ubrana w biały, przewiązany paskiem kliniczny fartuch, a na piersi jej widniał krzyżyk z granatów. Spod białego czepca wymykały się kosmyki rzadkich rudawych włosów; jasnoniebieskie oczy z zaczerwienionymi powiekami, z których jedno zeszepecone było w dodatku dojrzewającym jęczmieniem, rzucały wkoło niespokojne spojrzenia; miała zadarty nos, żabie usta, a na domiar złego skrzywioną i wystającą dolną wargę, którą podczas mówienia poruszała jak szuflą. Pomimo to wszystko Hans Castorp przyglądał się jej z wrodzoną uprzejmością, skromnie, cierpliwie i ufnie.

— Cóż to za przeziębienie, he? — spytała znowu starsza siostra, starając się przeszyć go na wylot oczami, co jej się jednak nie udało, bo uciekały jej w bok. — Nie lubimy takich przeziębień. Czy pan się często przeziębia? A pański kuzyn, czyż także się często tak nie przeziębiał? Ile pan ma lat? Dwadzieścia cztery? Ten wiek bywa skłonny. Więc pan tu przyjeżdża na górę i jest pan przeziębiony? Nam tutaj nie wolno mówić o „przeziębieniach”, moje drogie dziecko, to wszystko są bzdury z dołu. — (Słowo „bzdury” zabrzmiało w jej ustach jakoś wstrętne i dziwacznie, wydostając się z jej dolnej wargi jakby za pomocą szufli.) — Pan ma wspaniały katar dróg oddechowych, przyznaję, widać to od razu po pańskich oczach. — (I znowu spróbowała przeszyć go spojrzeniem, co jej się jednak niezupełnie powiodło.) — Ale katary nie pochodzą z zimna, lecz z infekcji, przeciwko której brak organizmowi odporności, i powstaje tylko pytanie, czy mamy tu do czynienia z infekcją niewinną, czy może mniej niewinną, a wszystko inne to bzdury. — (Znowu te straszliwe „bzdury”.) — Być może, że to coś zupełnie niewinnego — rzekła i spojrzała na niego swoim dojrzewającym jęczmieniem, sam nie wiedział jak. — Ma pan tutaj nieszkodliwy środek antyseptyczny. Może sprawi panu ulgę. — I z czarnej torby skórzanej, wiszącej u jej paska, wyjęła pudełeczko i położyła na stole. Był to formamint. — Zresztą wygląda pan na podnieconego, pewnie ma pan gorączkę. — I nie przesta-

wała mu patrzeć prosto w oczy, chociaż wciąż nieco uciekającym w bok spojrzeniem.

— Czy mierzył pan sobie temperaturę?

Castorp zaprzeczył.

— Dlaczego? — zapytała wysunawszy pytająco swoją skrzywioną i wystającą dolną wargę... Milczał. Ten pocziwiec był jeszcze tak młody, zachowywał się jeszcze jak sztubak, który stoi w ławce, nic nie wie i milczy.

— Czy pan nigdy nie mierzy sobie temperatury?

— Owszem, proszę siostry. Kiedy mam gorączkę.

— Ależ, dziecko, trzeba wpierw zmierzyć, ażeby wiedzieć, czy się ma gorączkę. A teraz sądzi pan, że pan nie ma?

— Nie jestem pewien, proszę siostry; nie bardzo się w tym orientuję. Właściwie od samego przyjazdu tutaj jast mi gorąco i zimno jednocześnie.

— Aha! A gdzie jest pański termometr?

— Nie przywiozłem go, proszę siostry, bo przecież przyjechałem tu tylko z wizytą i jestem zdrowy.

— Bzdury! Czy pan mnie wezwał dlatego, że pan jest zdrowy?

— Nie — uśmiechnął się grzecznie Hans Castorp — ale dlatego, że się trochę...

— ...przeziębłem; takie przeziębienia widywaliśmy już tu w górze! — przerwała mu i zaczęła znowu grzebać w swojej torbie. Wyciągnęła z niej dwa podłużne futerały, czarny i czerwony, i położyła je również na stole. — Proszę! Ten kosztuje trzy franki pięćdziesiąt, a ten pięć franków. Ma się rozumieć, że lepszy jest ten za pięć. Jeżeli pan będzie się z nim należycie obchodził, starczy na całe życie.

Z uśmiechem wziął ze stołu czerwony futerałik i otworzył go. Ujrzał w nim termometr, lśniący jak klejnot; leżał w zagłębieniu z czerwonego aksamitu, doskonale dopasowanym do kształtu przyrządu. Całkowite stopnie były oznaczone czerwonymi, a dziesiątne czarnymi kreseczkami. Cyfry były czerwone, a w dolnej, zwężonej części błyszcząca jak lustro rtęć. Słupek rtęci kończył się znacznie poniżej normalnego stopnia temperatury zwierzęcej.

Hans Castorp wiedział, co winien jest sobie i swojej reputacji.

— Biorę ten — rzekł nie otwierając nawet drugiego. — Ten za pięć franków. Czy mogę natychmiast...

— Zrobione! — zaskrzeczała siostra. — Nie należy oszczędzać na ważnych zakupach! Nie ma żadnego pośpiechu, wstawię to panu do rachunku. Niech no pan da, spuścimy najpierw rtęć do samego końca, o tak. — Wyjęła mu termometr z ręki, wstrząsnęła nim kilkakrotnie w powietrzu i w ten sposób zepchnęła słupek rtęci poniżej 35 stopni.

— Już sam się podniesie, już pójdzie do góry merkuriusz! — rzekła. — Niech pan weźmie swój nowy nabytek. Pan wie, jak się u nas z tym postępuje? Cztery razy dziennie na siedem minut pod szacowny język, a szanowne wargi trzymać dobrze zamknięte. Adieu, moje dziecko! Życzę pomyślnych wyników! — I wyszła z pokoju.

Hans Castorp, stojąc przy stole, uklonił się, a potem przez dłuższą chwilę patrzył na drzwi, za którymi znikła, i na instrument przez nią pozostawiony. „A więc to była siostra von Mylendonk — pomyślał. Settembrini nie lubi jej i rzeczywiście ma ona swoje przykre strony. Ten jęczmień jest paskudny, zresztą zapewne ma go przecież nie zawsze. Ale dlaczego mówi do mnie »dziecko«? To dziwna poufałość. I ni stąd, ni zowąd sprzedała mi termometr. Zauważyłem, że miała ich kilka w torbie. Joachim powiedział mi, że tu wszędzie sprzedają termometry, we wszystkich sklepach, nawet tam, gdzie się tego można najmniej spodziewać. Ale nie musiałem się trudzić, sam wpadł mi w ręce". Wyjął drobny przyrząd z futerału, obejrzał i zaniepokojony przeszedł z nim parę razy przez pokój. Serce biło mu szybko i mocno. Obejrzał się na otwarte drzwi od balkonu, potem zrobił krok w kierunku drzwi na korytarz, bo przyszła mu nagła chęć odwiedzenia Joachima, zatrzymał się jednak i znowu stanął przy stole, odchrząknawszy, aby wypróbować, czy jest zachrypnięty, przez co wywołał kaszel. „Tak, muszę zobaczyć, czy mam gorączkę z kataru" — rzekł i włożył termometr do ust, tak aby rtęć znajdowała się pod językiem.

Termometr sterczał ukośnie w górę pomiędzy wargami, które szczelnie zacisnął, aby zahamować dopływ zewnętrznego powietrza. Potem spojrzął na zegarek, który nosił na ręce: było sześć minut po wpół do dziesiątej. I zaczął czekać, aż upłynie siedem minut.

„Ani jednej zbytecznej sekundy — myślał — i ani jednej za mało. Na mnie można polegać, nie trzeba mi dawać »niemowity«, jak tej Otylii Kneifer, o której opowiadał Settembrini". I chodził po pokoju, przyciskając językiem termometr.

Czas upływał i dłużył się w nieskończoność. Kiedy spojrzął na zegarek, już w obawie, że przekroczy termin, okazało się, iż mierzy dopiero dwie i pół minuty. Robił tysiące rzeczy, brał różne przedmioty do ręki i odkładał z powrotem, wyszedł na balkon, nie ukazując się jednak Joachimowi, i przyglądał się krajobrazowi, tej górskiej dolinie, tak dobrze mu już znanej ze wszystkimi szczegółami: przed nim wznosiły się wierchy, granie i ściany skalne, z lewej strony grzbiet Brembiuhl z porastającymi jego stoki reglami opadał skośnie, niby kulisą, ku miasteczku; po prawej stronie formacje górskie, których nazwy były mu już również znane, i ściana Alteinu, zamykająca z jego punktu widzenia dolinę od południa; spoglądał w dół, na ścieżki i grządki w ogrodzie, na grotę skalną i jodłę; nastawił ucha na jakieś szepty dolatujące z ogólnej leżalni, po czym wrócił do pokoju, starając się poprawić termometr w ustach, wyciągnął rękę, aby w ten sposób zsunąć rękaw z zegarka, i przybliżył ją do twarzy. Z wysiłkiem, z trudem, mimo popychania i jakby przynaglania czasu, upłynęło zaledwie sześć minut. Ale ponieważ, stojąc teraz nieruchomo pośrodku pokoju, popadł w marzenia i puścił wodze myślom, przeto ostatnia minuta przemknęła się jakby na palcach, i nowy ruch ręki przekonał go, że niepostrzeżenie minęła; było nieco za późno, jedna trzecia ósmej minuty należała już do przeszłości. Hans Castorp pomyślał, że to nic nie szkodzi, że nie ma wpływu na wynik, szybkim ruchem wyrwał z ust termometr i spojrzął nań błędnym wzrokiem.

Nie od razu udało mu się odczytać temperaturę, bo blask rtęci

łączył się z odbiciem światła od spłaszczonej rurki szklanej, i zdawało mu się już to, że słupek rtęci dochodzi do samej góry, już to znowu, że nie ma go wcale. Podnosił instrument do samych oczu, obracał na wszystkie strony i nic nie dostrzegał. Wreszcie natrafił na właściwą pozycję, obraz stał się wyraźny i Hans Castorp starał się nie stracić go z oczu i zgłębić znacznie tego, co widzi. Rzeczywiście merkuriusz wydłużył się znacznie; słupek rtęci wznosił się dość wysoko i kończył się o kilka kresek powyżej granicy normalnej ciepłoty krwi. Hans Castorp miał 37,6.

Przed południem, pomiędzy dziesiątą a wpół do jedenastej, 37,6 — to było za dużo, to była „temperatura”, gorączka, jako skutek infekcji, na którą był nieodporny, i pozostawało pytanie, co to była za infekcja? 37,6 — więcej nie miał nawet Joachim, więcej nie miał tu nikt, kto nie był ciężko chory i nie leżał w łóżku jako skazany na śmierć, ani panna Kleefeld ze sztuczną odumą, ani... ani też Madame Chauchat. Naturalnie, u niego było to coś innego — zwykła gorączka z kataru, — jak mówiono na równinie. Trudno było jednak teraz to odróżnić; Hans Castorp sądził, że mógł mieć już gorączkę, zanim się przeziębził, i musiał żałować, że nie zmierzył sobie temperatury zaraz po przyjeździe, jak to mu radził radca Behrens. Teraz okazało się, że rada ta była zupełnie rozsądna, a Settembrini niesłusznie śmiał się z niej tak ironicznie — ten Settembrini ze swoją republiką i pięknym stylem. Hans Castorp gardził republiką i pięknym stylem, wciąż badając termometr, aby dobrze wiedzieć, co wskazuje; miał znowu trudności z odczytaniem temperatury i dopiero obracając termometr na wszystkie strony, dostrzegł wyraźnie: 37,6, i to wcześniej przed południem!

Hans Castorp był wzburzony. Przeszedł się parę razy po pokoju, trzymając termometr poziomo w ręku, aby przez przypadkowe pionowe wstrząśnienia nie obniżyć rtęci, potem z wszelkimi ostrożnościami położył go na umywalni, wziął palto i koce i wyszedł na balkon. Usiadłszy na leżaku, wprawna ręką owinał się z dołu i z boków kocami, naprzód jednym, potem drugim i położył się nieruchomo, oczekując pory drugiego śniadania

i przyjścia Joachima. Czasami uśmiechał się, ale tak jakby do kogoś. Czasami pierś jego podnosiło drżące westchnienie i wtedy kaszel wyrywał się z jego zakatarzonej piersi.

Joachim, który o jedenastej, z uderzeniem gongu, zaszedł po niego, aby zejść razem z nim na śniadanie, zastał go jeszcze w pozycji leżącej.

— No więc? — zapytał zdziwiony, stając przy jego leżaku...

Hans Castorp milczał jeszcze przez chwilę i patrzył przed siebie; potem odezwał się:

— Chcesz usłyszeć nowinę? Mam trochę podwyższoną temperaturę.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Joachim. — Czy czujesz, że masz gorączkę?

Hans Castorp znowu nie od razu odpowiedział, po chwili rzekł z wolna:

— Mój drogi, gorączkę czuję już od dawna, właściwie przez cały czas. Ale teraz nie chodzi o subiektywne odczuwanie, ale o obiektywne stwierdzenie. Właśnie mierzyłem sobie temperaturę.

— Mierzyłeś?! Czym?! — zawołał Joachim z przestraszeniem.

— Rozumie się, że termometrem — odparł Hans Castorp, ironicznie i trochę surowo. — Kupiłem od starszej siostry. Nie rozumiem, dlaczego ona ciągle mówi „moje dziecko”, uważam, że to jest nie na miejscu. Ale sprzedała mi w pośpiechu doskonały termometr, a jeżeli chcesz się przekonać, ile wskazuje, to zobacz, leży tam na umywalni. Bardzo nieznaczące podwyższenie.

Joachim odwrócił się na pięcie i wszedł do pokoju. Kiedy wrócił, rzekł z pewnym wahaniem:

— Tak, tu jest 37 i $5/2$ dziesiątych.

— To znaczy, że trochę opadło — odpowiedział szybko Hans Castorp. — Było trzydzieści siedem sześć.

— W każdym razie nie można tego nazwać nieznacznym podwyższeniem, bo zważ, że mierzyłeś przed południem — mówił Joachim. — To ładna historia — powiedział i stanął obok leżaka kuzyna w pozycji odpowiadającej tej „ładnej historii”,

z rękami wspartymi na biodrach i z pochyloną głową. — Będziesz się musiał położyć.

Hans Castorp miał na to przygotowaną odpowiedź.

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym z temperaturą 37,6 leżeć w łóżku, podczas gdy ty i wielu innych chodzicie z nią.

— Z nami jest inna sprawa — odpowiedział Joachim. — Twoja choroba jest ostra i niewinna. Masz gorączkę z kataru.

— Po pierwsze — odparł Hans Castorp, podzieliwszy swoją przemowę na „po pierwsze” i „po drugie” — nie pojmuję, dlaczego z gorączką niewinną — załóżmy, że taka w ogóle istnieje — należy leżeć w łóżku, a z inną można chodzić. A po drugie, tłumaczę ci przecież, że już przed katarem czułem gorączkę. Stoję na stanowisku — zakończył — że 37,6 równa się 37,6. Jeżeli wy możecie chodzić z taką temperaturą, to i ja mogę.

— Ależ ja po przyjeździe musiałem cztery tygodnie przeleżeć — powiedział Joachim — i pozwolono mi wstać dopiero wtedy, kiedy się okazało, że pomimo leżenia w łóżku temperatura się utrzymuje.

Hans Castorp uśmiechnął się.

— No więc? — zapytał. — Myślałem, że u ciebie to było coś innego. Widzę, że wikłasz się w sprzeczności. Najpierw mówisz o różnicy, a potem znowu stawiasz na równi. To wszystko są bzdury...

Joachim odwrócił się gwałtownie, a kiedy znów spojrzął na kuzyna, jego opalona twarz była jeszcze o ton ciemniejsza.

— Nie — rzekł — niczego nie stawiam na równi, to ty bałamucisz. Uważam tylko, że jesteś silnie przeziębiony, słyhać to w twoim głosie, i powinieneś się koniecznie położyć, żebyś jak najszybciej wyzdrowiał, bo przecież na przyszły tydzień chcesz jechać! Jeżeli jednak nie chcesz — to znaczy, jeżeli nie chcesz się położyć, to rób co chcesz. Nie myślę cię krępować. Bądź co bądź teraz musimy iść na śniadanie. Spiesz się, bo już się spóźniliśmy.

— Dobrze, jazda! — zawołał Hans Castorp i odrzucił kocy. Wszedł do pokoju, aby przygładzić sobie włosy, a jednocześnie

obserwował z boku Joachima, który znowu wziął termometr do ręki. Potem zeszli w milczeniu na dół i zajęli swe miejsce w jadalni, gdzie, jak zwykle o tej porze, było białe od mleka.

Kiedy karlica przyniosła piwo, Hans Castorp rzekł jej z pełną powagą rezygnacją, że dzisiaj woli nie pić piwa, że w ogóle nic pić nie będzie, nie, dziękuję, co najwyżej jeden łyk wody. Wszyscy zwrócili na to uwagę. Jak to? Cóż to znaczy? Dlaczego nie piwo? — Hans Castorp oznajmił, że ma trochę podwyższoną temperaturę. 37,6. Nic strasznego.

Wtedy zaczęli wygrażać mu palcami — jakoś bardzo dziwnie. Uśmiechali się szelmowsko, przechylali głowy, mrużyli jedno oko i wznosili wskazujące palce do wysokości ucha, jak gdyby ktoś, kto dotychczas udawał niewiniątka, dał nagle powód do wielce pikantnych posądzeń.

— Ale też z pana! — rzekła nauczycielka, grożąc mu z uśmiechem, i puszek na jej policzkach zaróżowił się. — Ładne historie słyszymy tutaj, nie ma co mówić. No, no, no!

— Ho, ho — powiedziała pani Stóhr i pogroziła mu, przykładając do nosa swój krótki, czerwony paluch. — Nagle ternpusu pana gościa. Dobry z pana jegomość, zabawny pasażer. — Nawet stara ciotka z drugiego końca stołu, kiedy wieść do niej dotarła, pogroziła mu żartobliwie i chytrze; śliczna Marusia, która dotychczas prawie nie zwracała na niego uwagi, pochyliła się ku niemu, spojrzała swymi okrągłymi brązowymi oczami i także pogroziła mu palcem, przyciskając do ust chusteczkę z pomarańczowym zapachem; dr Blumenkohl, któremu pani Stóhr opowiedziała, o co chodzi, również nie mógł się powstrzymać od powszechnego gestu, nie patrząc jednak przy tym w stronę Hansa Castorpa, i tylko miss Robinson pozostała zimna i nieczuła, jak zwykle. Joachim siedział ze skromnie spuszczonej oczami.

Hansowi Castorpowi schlebiało to, że się tak z nim przekomarzano, sądził jednak, że powinien skromnie zaprzeczyć.

— Nie, nie — powiedział — państwo się mylą, mój przypadek jest najniewinniejszy w świecie, mam katar. Przecież państwo widzą: oczy mi łzawią, krtań mam zaflegmioną, pół nocy

kaszlę, bez przerwy, bardzo niemiła choroba... — Ale nie przyjęto jego usprawiedliwień, śmiano się nadal i wymachując rękami, wołano:

— Tak, tak, gadanie, wymówki, gorączka z kataru, znamy się na tym! — A potem wszyscy naraz zażądali, żeby Hans Castorp natychmiast dał się zbadać. Wszystkich poruszyła ta wiadomość; spomiędzy wszystkich siedmiu stołów, przy tym stole drugie śniadanie upływało w najbardziej ożywionym nastroju. Szczególnie pani Stóhr z kryzą na szyi i z twarzą czerwoną i głupią, pocętkowaną licznymi skazami, była wprost dziko rozmowna i rozwodziła się nad przyjemnością kaszłania — tak, mówiła, jest w tym coś wielce zabawnego i przyjemnego, kiedy w głębi piersi odczuwa się coraz silniejsze łechtanie i kiedy skurcz sięgnąć musi tak głęboko, aby sprostać sile bodźca. Podobnie ma się rzecz z kichaniem: chęć kichnięcia wzmagą się najpierw gwałtownie, staje się nie do pokonania, z oszołomioną miną wykonuje się kilka wdechów i wydechów, po czym następuje rozkoszna kapitulacja i błogosławiony wybuch każe na chwilę zapomnieć o bożym świecie. A czasami kicha się po dwa lub trzy razy z rzędu. To rozkosze życia, które się ma za darmo; miło jest też na przykład na wiosnę drapać się w odmrożone miejsca, które łechcą tak słodko — drapać się namiętnie i z pewnym okrucieństwem, aż do krwi, z wściekłością i z rozkoszą, a jeżeli się wówczas spojrzy przypadkiem w lustro, dostrzeże się w nim twarz diabelsko wykrzywioną.

Niekulturalna pani Stóhr wdawała się w tak wstrętny sposób w tego rodzaju szczegóły przez cały ciąg krótkiego, ale obfitego posiłku. Wstawszy od stołu, obaj kuzyni udali się na drugą przedobiednią przechadzkę w dół do Uzdrowiska. Joachim był zamyślony, a Hans Castorp, dręczony katarem, stękał, chrząkał i kaszłał z głębi chorej piersi. W powrotnej drodze odezwał się Joachim.

— Chcę ci coś zaproponować. Dzisiaj jest piątek — na jutro po obiedzie przypada moja miesięczna wizyta lekarska; ale nie będzie to generalne badanie, Behrens trochę mnie opuka i poddyktuje Krokowskiemu kilka uwag. Mógłbyś pójść ze mną i po-

prosić, żeby za jednym zamachem i ciebie szybko zbadano. Przecież to nie ma sensu — gdybyś był w domu, wezwałbyś Heidekinda, a tutaj, gdzie mieszkasz pod jednym dachem z dwoma specjalistami, chodzisz po świecie, nie wiedząc, co ci właściwie jest, jak głęboko to w tobie tkwi i czy nie należałoby się położyć do łóżka.

— Dobrze — odpowiedział Hans Castorp. — Zrobię, jak chcesz. Naturalnie, mogę dać się zbadać. A przy tym będzie dla mnie rzeczą interesującą asystować raz przy wizycie.

Tak więc umówili się; a kiedy doszli już do sanatorium, przypadek zrządził, że spotkali się z radcą Behrensem, mogli więc na miejscu przedstawić mu swoją prośbę.

Behrens wyszedł właśnie z bramy, długi, z grubym karkiem, w sztywnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy i z cygarem w ustach. Jak zwykle miał sine policzki i załzawione oczy. Opuścił właśnie salę operacyjną i śpieszył na wizyty prywatne.

— Uszanowanie panom! — zawołał. — Ciągłe w kieracie? Musiało być pięknie na dole w eleganckim świecie! Wracam właśnie z nierównego pojedynku na nóż i piłkę kostną. Poważna operacja — resekcja żeber. Dawniej pięćdziesiąt procent operowanych zostawało przy tym na tutejszym stole. Teraz udaje się nam lepiej; ale jeszcze często zdarza się, że trzeba *mortis causa* * przedwcześnie zwijać manatki. Ten dzisiaj nie psuł zabawy... trzymał się na razie bardzo dzielnie... Zabawna rzecz taka klatka piersiowa, która nią właściwie już nie jest. Miękkie to, brzydkie — lekkie przesunięcie pojęcia, że się tak wyrażę. No, a panowie? Jak szanowne zdróweczko? Przyjemnie tak we dwóch, co, Ziemssen, stary spryciarzu? Ale dlaczego właściwie pan płacze, panie turysto? — zwrócił się nagle do Hansa Castorpa. — Publicznie nie wolno u nas płakać. Taka reguła. Każdy mógłby przyjść i beczeć!

— To katar, panie radco — odparł Hans Castorp. — Nie wiem, jakim sposobem nabawiłem się potężnego kataru. Kaszlę także i czuję ciężar na piersiach.

— Tak? — rzekł Behrens. — Powinien pan się poradzić jakiegoś dobrego lekarza.

Obaj roześmiali się, a Joachim odpowiedział, stuknąwszy po żołniersku obcasami:

— Właśnie mamy ten zamiar. Jutro przypada moje badanie i chciałem zapytać, czy pan radca nie byłby łaskaw obejrzeć równocześnie mojego kuzyna. Chodzi o to, czy we wtorek będzie mógł wyjechać...

— Zet te! — odpowiedział Behrens. — Zet te zet pe! Zrobimy to z przyjemnością! Już dawno należało to uczynić. Jeżeli ktoś jest już tutaj, powinien i temu się poddać. Ale, naturalnie, nie mogłem się narzucać. A więc jutro o drugiej, prosto od żłobu...

— Mam także lekką gorączkę — dodał jeszcze Hans Castorp.

— Co pan mówi! — zawołał Behrens. — Pan myśli, że to dla mnie coś nowego? Nie mam oczu w głowie, czy co? — I wskazał swoim olbrzymim palcem na przekrwione, zażawione oczy z siecią niebieskich żyłek. — Ile pan ma?

Hans Castorp skromnie wymienił cyfrę.

— Przed południem? Hm, wcale nieźle. Jak na początek wykazuje pan niezgorsze zdolności. No, więc razem jutro o drugiej! Będę nad wyraz szczęśliwy. Przyjemnego trawienia! — Zginając nogi w kolanach i wiosłując rękami, puścił się drogą w dół; długa smuga dymu z cygara znaczyła ślad jego kroków.

— Widzisz, stało się według twego życzenia — rzekł Hans Castorp. — Lepiej nie mogło się zdarzyć, zapowiedziałem się już. Nie będzie on mógł wiele mi pomóc, przepisze mi może jakiś syrop lukrecjowy albo ziółka na kaszel, ale przecież jest przyjemnie mieć trochę pomocy lekarskiej w stanie, w jakim się znajduję obecnie. Ale dlaczego wszystko, co on mówi, jest zawsze tak rubaszne! Z początku bawiło mnie to, ale teraz już mi się sprzykrzyło. Na przykład, życzenie przyjemnego trawienia — cóż to za sposób wyrażania się! Nie podoba mi się także, że on pali, niepokoi mnie to, bo wiem, że palenie nie służy mu i przyprawia go o melancholię. Settembrini powiedział, że jego wesołość jest wymuszona, a Settembrini to krytyk, ma niezawodny sąd o rzeczy, to trzeba mu przyznać. Powinienem może także dbać o samodzielność sądu, a nie brać wszystkiego tak, jak jest — on ma pod tym względem rację. Czasami jednak za-

czyna się od osądzania, nagany i od słusznego gniewu, a potem nagle zjawia się coś zupełnie innego, nie mającego nic wspólnego z sądzeniem, i wtedy surowa ocena moralna pozostaje gdzieś w tyle, a republika i piękny styl budzą tylko niesmak...

Zaczął coś mrużyć niewyraźnie i zdawało się, że sam dobrze nie wie, o co mu chodzi. Joachim spojrzął nań tylko z boku i powiedział „do widzenia”, po czym każdy z nich udał się do swego pokoju i na swój balkon.

— Ile? — zapytał z cicha po chwili Joachim, chociaż nie widział, że Hans Castorp znowu mierzył sobie temperaturę. A ten odpowiedział obojętnym tonem:

— Nic nowego.

Rzeczywiście, zaraz po przyjsciu wziął z umywalni swój wytworny nowy nabytek, wstrząsając go pionowo strzepnął owe 37,6, których rola była już skończona, i udał się na balkon ze szklanym cygarem w ustach, jak stary bywalec. Ale na przekór zbyt daleko idącym przewidywaniom i chociaż trzymał termometr przez całe osiem minut, merkuriusz nie wzniósł się wyżej i wskazał znowu 37,6 — co było jednak gorączką, choć nie większą, niż miał przed południem. Po obiedzie błyszczący słupek podniósł się do 37,7, a wieczorem, kiedy pacjent czuł się już bardzo zmęczony wzruszeniami i niespodzianymi perypetiami dnia, pokazał 37,5. Następnego ranka tylko 37, a koło południa temperatura osiągnęła wczorajszą wysokość. Tak nadszedł główny posiłek i wybiła godzina naznaczonego rendez-vous.

Hans Castorp przypomniał sobie później, że podczas tego obiadu Madame Chauchat miała na sobie złotawożółty sweter z wielkimi guzikami i oblamowanymi kieszeniami, który, przynajmniej dla Hansa Castorpa, był nowy i w którym, po spóźnionym jak zwykle wejściu do sali, swoim dobrze Hansowi Castorpowi znanym zwyczajem zaprezentowała się współbiednikom. Potem prześliznęła się, jak to czyniła pięć razy dziennie, do swojego stołu, miękkim ruchem opuściła się na krzesło i gawędząc zabrała się do jedzenia. Hans Castorp uważniej niż dotychczas przyglądał się ruchom jej głowy, towarzyszącym rozmowie, i kierując wzrok na lepszy stół rosyjski, poprzez sylwet-

kę Settembriniego, który siedział przy końcu jednego z poprzecznie ustawionych stołów, na nowo zauważył okrągłość jej karku i pochylenie pleców.

Pani Chauchat ani razu podczas jedzenia nie obejrzała się poza siebie. Nastąpiło to jednak po deserze, kiedy wielki zegar wahadłowy, stojący pod wąską ścianą jadalni, tam gdzie znajdował się również gorszy stół rosyjski, wybił godzinę drugą. Podczas gdy zegar wydzwaniał tę godzinę — raz dwa — ku niepojętemu wzruszeniu Hansa Castorpa uroczą pacjentka powoli odwróciła głowę, a nawet trochę i górną część tułowia, i spojrzała przez ramię wyraźnie i jawnie w stronę jego stołu — i to nie w ogóle w stronę stołu, ale niedwuznacznie i zupełnie osobiście na niego. Dokoła zamkniętych ust i w jej wąsko wykrojonych oczach Przybysława igrał uśmiech, jak gdyby chciała zapytać: „A więc? Już czas. Czy idziesz?” (Bo gdy mówią tylko oczy, rozmowa toczy się przecież na „ty”, nawet wtedy, kiedy usta nie powiedziały jeszcze nawet „pan”.) Hans Castorp, zdumiony i zmieszany tym zdarzeniem, ledwie wierzył swym zmysłom, i na wpół przytomnie spojrział prosto na panią Chauchat, a potem, wznosząc oczy, poprzez jej czoło i włosy w przestrzeń. Czyżby wiedziała, że na godzinę drugą miał zamówioną wizytę? Zupełnie tak wyglądało. A jednak było to prawie tak samo nieprawdopodobne, jak to, by wiedziała, że przed chwilą właśnie namyślał się, czyby nie dać znać Behrensowi przez Joachima, że jego przeziębienie już mija i że wizytę swoją uważa za zbyteczną. Pod wpływem pytającego uśmiechu pani Chauchat zalety tego pomysłu znikły nagle. W następnej sekundzie Joachim położył już na stole zwiniętą serwetkę, dał mu znak oczami, skłonił się sąsiadom i skierował się ku wyjściu — a za nim poszedł Hans Castorp, krokiem pozornie pewnym, ale pełen wewnętrznego wahania; miał przy tym uczucie, że tamto spojrzenie i tamten uśmiech odprowadzają go aż do drzwi.

Od wczorajszego przedpołudnia rano nie rozmawiali już o tym, co ich dzisiaj czeka, i teraz też szli jakby w milczącym porozumieniu. Joachim śpieszył się. Było już po oznaczonej godzinie, a radca Behrens wymagał punktualności, Wyszedłszy z jadalni

minęli parterowy korytarz z lokalem „Zarządu” i po lśniących schodach, wyłożonych woskowanym linoleum, zeszli do niższej kondygnacji. Joachim zastukał do drzwi, znajdujących się na wprost schodów, na których widniała tabliczka z napisem „Pokój ordynacyjny”.

— Pro-szę! — zawołał radca Behrens, silnie akcentując pierwszą zgłoskę. Stał w fartuchu pośrodku pokoju; w prawej ręce trzymał czarną słuchawkę i uderzał się nią po udzie.

— Tempo, tempo — rzekł i łzawiącymi oczami spojrzął na zegar ścienny. — Un poco piu presto, Signori! * Nie jesteśmy tutaj wyłącznie dla jaśnie wielmożnych panów.

Przy podwójnym biurku pod oknem siedział dr Krokowski, blady w swym czarnym fartuchu, z łokciami opartymi o blat; w prawej ręce trzymał pióro, lewą zanurzył w brodzie, a przed nim leżały papiery, prawdopodobnie historia choroby. Na wchodzących spojrzął tępym wzrokiem i miał przy tym wyraz twarzy człowieka, który jest obecny jedynie w charakterze asystenta.

— No, jakaż tam konduita? — zawołał radca Behrens w odpowiedzi na usprawiedliwianie się Joachima i wyjął mu z ręki wykres gorączki; podczas gdy przypatrywał się krzywej, pacjent pośpiesznie rozbierał się do połowy i wieszał ubranie na wieszaku, stojącym obok drzwi. O Hansa Castorpa nikt się nie troszczył. Przez chwilę stał przypatrując się, a później usiadł w staromodnym foteliku z frędzelkami zwieszającymi się z poręczy, obok małego stolika z karafką wody. Dokoła ścian stały szafy z grubymi tomami dzieł medycznych i fascykulami aktów. Z mebli był tu tylko obciążony białą ceratą szeszlony, który można było podśrubować w górę lub opuścić w dół; poduszka tego szeszlony okryta była papierową serwetką.

— 7 dziesiątych, 9 dziesiątych, 8 dziesiątych — mówił Behrens, przerzucając karty tygodniowe, na których Joachim skrupulatnie zapisywał rezultaty pięciu codziennych pomiarów temperatury... — Wciąż jeszcze to oszołomienie, mój drogi. Nie widzę poprawy w stosunku do tego, co było tu kiedyś („Tu kiedyś” — było przed czterema tygodniami). Jeszcze tkwią w panu

te jady, jeszcze ciągle. No, to przecież nie da się zrobić z dnia na dzień; czarować i my nie umiemy.

Joachim przytakiwał i potrząsał gołymi ramionami, chociaż byłby mógł zauważyć, że przecież znajduje się tutaj nie od wczoraj.

— Co słyhać z kluciem w okolicy prawej wnęki, gdzie ton był zastrzony? Lepiej? No, niech się pan zbliży, trzeba będzie grzecznie do pana zapukać. — I rozpoczęła się auskultacja.

Radca Behrens rozstawił szeroko nogi, przechylił się w tył i trzymając słuchawkę pod pachą, pukał z początku u góry koło prawego barku Joachima, pukał olbrzymim środkowym palcem prawej ręki, poruszając ją w przegubie, podkładając lewą rękę pod ten naturalny młoteczek. Następnie zszedł w dół, poniżej łopatki, i opukiwał środkową i dolną partię pleców z boku, po czym Joachim, dobrze już wyszkolony, podniósł rękę, aby dać się opukać także pod pachą. Z kolei powtórzyło się to wszystko po lewej stronie. Skończywszy, Behrens zawołał: „Obrócić się!” i zabrał się do opukiwania piersi. Zaczął pod samą szyją obok obojczyków, opukał górną i dolną część piersi, najpierw z prawej, później z lewej strony. Kiedy napukał się do syta, przeszedł do wysłuchiwania, przykładając ucho do jednego końca słuchawki, a drugi jej koniec przyciskając kolejno do wszystkich miejsc, które przedtem opukiwał. Joachim musiał przy tym na przemian głęboko oddychać i sztucznie kaszlać, co go widocznie bardzo zmęczyło, bo się zadyszał i oczy zaszyły mu łzami. Radca Behrens wszystko, co tam wewnątrz wysłuchał, dyktował siedzącemu za biurkiem asystentowi w krótkich i umownie ustalonych słowach, tak że Hans Castorp mimo woli przypomniał sobie ów dobrze znany proceder u krawca, kiedy to elegancko ubrany pan bierze klientowi miarę na ubranie, przykładając mu w tradycyjnej kolejności do tułowia i kończyn taśmę metrową, i pochylonemu nad stołem pomocnikowi dyktuje odczytane cyfry. „Krótki”, „skrócony” — dyktował radca Behrens. „Pęczerzykowy” — powiedział i powtórzył (to było widocznie pomyślnie). „Szorstki” — powiedział i skrzywił się. „Bardzo szorstki”.

„Szmer”. A dr Krokowski wszystko zapisywał, jak pomocnik krawca zapisuje liczby.

Hans Castorp, zamyślony i z przechyloną w bok głową, przyglądał się torsowi Joachima, którego żebra (miał je jeszcze na szczęście) podczas głębokiego oddychania wznosiły się pod naprężoną skórą wysoko ponad jamę wciągniętego brzucha — temu smukłemu, brązowemu, smągłemu młodzieńczemu torsowi, porośniętemu ciemnymi włosami na mostku i mocnych zresztą rękach, z których jedna ozdobiona była złotą łańcuszkową bransoletką. To są ręce gimnastyka, myślał Hans Castorp. On zawsze chętnie się gimnastykował, podczas gdy ja nie miałem do tego ochoty; u niego szło to w parze z zamiłowaniem do służby wojskowej. On zawsze przywiązywał znaczenie do zdrowia fizycznego, o wiele większe niż ja, a w każdym razie innego rodzaju; bo ja byłem zawsze cywilem i mnie chodziło głównie o ciepłą kąpiel, smaczne jedzenie i picie, a jemu o to, by sprostać wymaganiom i zadaniom męskości. A teraz w taki zupełnie inny sposób ciało stało się u niego czymś najważniejszym, usamodzielniało się i wystąpiło poniekąd na pierwszy plan, a mianowicie przez chorobę. Ma stany gorączkowe i nie może wyzdrowieć, chociaż tak bardzo chciałby być już znowu żołnierzem tam na nizinie. Zbudowany jest według wszelkich prawideł, istny Apollo Belwederski — z wyjątkiem włosów. Ale wewnątrz jest chory, a zewnątrz zbyt ciepły; bo choroba czyni człowieka czymś bardziej cielesnym, czyni go samym tylko ciałem... Pomyślawszy to, Hans Castorp przeraził się; oderwał wzrok od nagiego torsu Joachima i spojrzał na jego oczy, wielkie, czarne i łagodne oczy, które łzawiły od sztucznego oddychania i kaszlu i smutno patrzyły teraz poprzez obecnych gdzieś w przestrzeń.

Tymczasem radca Behrens skończył badanie.

— No, jest dobrze, Ziemssen — powiedział. — Wszystko, o ile to możliwe, w porządku. Następnym razem (to znaczy za miesiąc) znowu pewno będzie wszędzie trochę lepiej.

— Jak długo, myśli pan radca, że...

— Pan mnie już znowu chce przynaglać? Przecież nie może

pan w stanie takiego podniecenia ćwiczyć swoich żołnierzy! Pół roku — powiedziałem ostatnio, więc ostatecznie niech pan się tego trzyma, ale proszę to uważać za minimum. Zresztą, nie jest panu tutaj źle, przecież pan nie będzie nieuprzejmy. Przecież to nie bagno * ani syberyjska kopalnia. A może pan myśli, że właśnie coś w tym rodzaju? No dobrze, Ziemssen! Odejść! Kto tam ma jeszcze ochotę? — zawołał i spojrzał w górę. Wyciągnąwszy rękę, podał przy tym słuchawkę drowi Krokowskiemu, który wstał i odebrał ją, aby przeprowadzić u Joachima małe asystenckie badanie dodatkowe.

Hans Castorp również zerwał się z miejsca i utkwivszy wzrok w twarzy radcy Behrensa, który stał jakby zamyślony, z szeroko rozstawionymi nogami i otwartymi ustami, zaczął się pośpiesznie rozbierać. Gorączkował się i nie od razu udało mu się ściągnąć przez głowę kolorową koszulę z mankietami. A potem stanął przed Behrensem — biały, jasnowłosy i wąski w ramionach; był zbudowany o wiele bardziej po cywilnemu niż Joachim Ziemssen.

Ale radca dworu nie zważał na niego, wciąż jeszcze pogrążony w myślach. Dr Krokowski usiadł z powrotem i Joachim już się ubierał, kiedy Behrens zdecydował się wreszcie zauważyć osobnika, który „miał jeszcze ochotę...”

— Ach tak, więc teraz kolej na pana! — rzekł, olbrzymią ręką schwycił Hansa Castorpa za ramię, ustawił go przed sobą i bacznie mu się przyglądał. Nie w twarz mu patrzył, jak zwykle patrzy się na człowieka, ale na ciało; odwrócił go, tak jak się odwraca martwy przedmiot, i przypatrzył się jego plecom. — Hm! — powiedział. — Zobaczymy, jak pan się przedstawia. — I zaczął opukiwanie jak poprzednio.

Opukiwał te same miejsca co przedtem u Joachima i często powracał do raz już zbadanych punktów. Przez czas dłuższy pukał na przemian, w celu porównania, u góry z lewej strony koło obojczyka i nieco niżej.

— Słyszysz pan? — zapytał dra Krokowskiego... I dr Krokowski, siedząc przy biurku w odległości pięciu kroków, skinął

głową na znak, że słyszy: poważnie opuścił podbródek na piersi, aż końce przyciśniętej brody wygięły się ku górze.

— Oddychać głęboko! Kaszlać! — komenderował radca dworu, słuchając teraz za pomocą słuchawki; i Hans Castorp pracował ciężko przez osiem, a może dziesięć minut. Behrens badał go w milczeniu, to tu, to tam przykładając słuchawkę, specjalnie uważnie badając opukane poprzednio miejsca. Potem wsunął instrument pod pachę, skrzyżował ręce na plecach i utkwiał wzrok w podłogę, między siebie a Hansa Castorpa.

— Tak, Castorp — odezwał się, pierwszy raz nazywając młodzieńca po prostu nazwiskiem — praeter propter * rzecz ma się tak, jak to zawsze przewidywałem. Podejrzywałem pana, teraz mogę to panu powiedzieć, od samego początku, kiedy spotkał mnie niezасłużony zaszczyt poznania się z panem. Już wtedy wiedziałem prawie na pewno, że pan, Castorp, w cichości jest jednym z naszych i że pan jeszcze dojdzie do wniosku, jak już niejeden z tych, którzy przyjeżdżali tu dla przyjemności i zadzierali nosa, iż zrobiłby pan dobrze — i nie tylko „dobrze by pan zrobił”, proszę mnie należycie rozumieć — gdyby się pan zatrzymał u nas dłużej nie dla samego zaspokojenia bezinteresownej ciekawości.

Hans Castorp zbladł, a Joachim, który właśnie zapinał szelki, znieruchomiał i słuchał uważnie.

— Pan ma tu tak miłego, sympatycznego kuzyna — ciągnął radca dworu, wskazawszy ruchem głowy na Joachima i kołyszając się na końcach palców i obcasach — który prawdopodobnie już niezadługo będzie mógł powiedzieć, że był kiedyś chory; ale nawet kiedy to już nastąpi, zawsze będzie człowiekiem, który był jednak chory, ten pana kuzynek; a to a priori, jak powiada mędrzec — rzuca także na pana, mój drogi, pewne światło...

— On jest tylko moim przyrodnim kuzynem, panie radco.

— No, no, pan chyba nie ma zamiaru wypierać się swego kuzyna. Rodzony czy przyrodni, zawsze jednak macie wspólną krew. Z jakiej strony kuzyn?

— Ze strony matki. On jest synem przyrodniej...

— A mamusia pańska ma się dobrze?

- Nie żyje. Umarła, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.
- O, a dlaczego?
- Na skrzep, panie radco.
- Skrzep? Ale to dawne dzieje. A ojciec pański?
- Ojciec umarł na zapalenie płuc — odpowiedział Hans Castorp — a dziadek także — dodał.
- Tak, i dziadek także? No, tyle o pańskich przodkach. A co się pana tyczy, to zapewne zawsze był pan niedokrwisty? Ale jest pan dość wytrzymały na fizyczne i umysłowe zmęczenie? Nie bardzo? I miewa pan bicia serca? Dopiero od niedawna? Dobrze. A poza tym ma pan oczywiście silną skłonność do katarów dróg oddechowych. Czy wie pan, że pan już przedtem był chory?
- Ja?
- Tak, mam na myśli pana we własnej jego osobie. Czy słyszy pan różnicę? — I radca Behrens zaczął pukać na przemian u góry z lewej strony koło obojczyka i nieco niżej.
- Tam dźwięk jest trochę bardziej przytłumiony niż tutaj — rzekł Hans Castorp.
- Doskonale. Pan powinien by zostać specjalistą. Mamy więc tutaj przytłumienie, a przytłumienia pochodzą z miejsc, gdzie już nastąpiło zwapnienie, zabliznienie, jeżeli pan woli. Pan jest już od dawna pacjentem, Castorp, ale nie chcemy nikomu brać za złe, że pan o tym nie wiedział. Wczesna diagnoza jest rzeczą trudną — szczególnie dla panów kolegów na równinie. Nie chcę przez to powiedzieć, że mamy bardziej wyrobiony słuch, chociaż i to dzięki specjalnej wprawie jest możliwe. Ale powietrze tutejsze, uważa pan, rozrzedzone i suche, pomaga nam w wysłuchiowaniu.
- Zapewne, naturalnie — rzekł Hans Castorp.
- Pięknie, Castorp. A teraz, mój chłopcze, niech pan słucha uważnie, bo wypowiem kilka złotych myśli. Gdyby chodziło jedynie o te stłumienia i blizny pańskiego organu Eola, a także o te zwapnienia, odesłałbym pana do jego larów i penatów i nie zaprzętałbym sobie panem głowy — rozumie pan? Ale w tym stanie rzeczy i w połączeniu z ogólnym wynikiem badania, i po-

nieważ pan już tu jest — to nie warto panu wracać do domu, bo niedługo i tak by pan musiał do nas przyjechać.

Hans Castorp znowu poczuł, że krew mu napływa do serca, tak iż zaczęło walić jak młotem, a Joachim stał wciąż nieruchomo, z rękami przy tylnych guzikach i z oczami w dół spuszczo-
nymi.

— Bo oprócz przytłumionych dźwięków — rzekł radca Behrens — ma pan też szorstki ton tam z lewej strony u góry, który jest już prawie szmerem i pochodzi na pewno z nowego miejsca — nie chcę jeszcze mówić o ognisku rozmiękczenia, ale bądź co bądź jest to wilgotne miejsce, a jeżeli powróci pan, mój drogi, tam na dole do dawnego trybu życia, to straci pan jak nic cały płat płuca.

Hans Castorp nie ruszał się. Kąty ust drgały mu dziwnie i wyraźnie było widać bicie jego serca o żebra. Spojrzał na Joachima, ale nie spotkał jego wzroku, a potem na twarz radcy Behrensa, z sinymi policzkami, z sinawoniebieskimi łzawiącymi oczami i z wąsikiem, niesymetrycznie z jednej strony w górę uniesionym.

— Jako dowód obiektywny — ciągnął Behrens dalej — mamy tu jeszcze pańską temperaturę: 37,6 o dziesiątej rano, to zgadza się mniej więcej z akustycznymi spostrzeżeniami.

— Myślałem — rzekł Hans Castorp — że ta gorączka pochodzi z kataru.

— A katar? — zapytał radca.: — Skąd pochodzi katar? Pozwoli pan, że panu coś opowiem, Castorp, i niech pan dobrze uważa; o ile wiem, rozporządza pan dostateczną ilością zwojów mózgowych. A więc myśli pan, że tutejsze powietrze jest skuteczne przeciwko chorobie? Tak jest w rzeczywistości. Jest ono jednak dobre i n a chorobę, niech mnie pan zrozumie, ono zrazu jej sprzyja, bo, rewolucjonizując cały organizm, doprowadza do wybuchu ukrytą chorobę; a takim właśnie wybuchem, proszę mi tego nie brać za złe, jest pański katar. Nie wiem, czy tam na równinie miał pan już gorączkę, ale tutaj na górze dostał pan jej z pewnością pierwszego dnia po przybyciu, a nie dopiero na skutek kataru — takie jest moje przekonanie.

— Tak — rzekł Hans Castorp — tak, i ja tak myślę.

— Pan zapewne od razu czuł się oszołomiony — ciągnął dalej radca Behrens. — To są jady rozpuszczalne, wytwarzane przez bakterie, i one to działają oszalamiająco na centralny układ nerwowy, rozumie pan, od tego właśnie dostaje się wypieków na twarzy. Przede wszystkim schowa się pan pod kołderkę, Castorp; musimy spróbować otrzeźwić pana przez kilkotygodniowe leżenie. Potem zobaczymy, co dalej. Sporządzimy piękne zdjęcie pańskiego wnętrza — na pewno pana ubawi spojrzenie w głąb własnej osoby. Muszę jednak od razu panu powiedzieć, że takie wypadki jak pański nie mogą być wyleczone z dnia na dzień; nie ma tu cudownych uzdrowień ani reklamowych wyników. Już dawno pomyślałem sobie, że z pana będzie lepszy pacjent i że wykaże pan w chorowaniu więcej talentu niż ten nasz brygadier, który wciąż chce uciekać, kiedy tylko ma o parę kresiek mniej. Jak gdyby słowo „leżeć” nie było tak samo dobrą komendą jak „stać”. Spoczywanie jest pierwszym obowiązkiem obywatela, a niecierpliwość przynosi jedynie szkodę. Niech mnie pan więc nie rozczaruje i nie zada kłamu mojej znajomości ludzi — wypraszam to sobie! A teraz marsz do remizy!

Tymi słowami radca Behrens zakończył rozmowę i usiadł przy biurku, ażeby jako człowiek niezmiernie zajęty, przerwę pomiędzy dwiema wizytami wypełnić pracą pisemną. A doktor Krokowski podniósł się z miejsca, podszedł z przekrzywioną w bok głową do Hansa Castorpa i pokazując wśród brody w jędrnym uśmiechu swoje żółtawe zęby, położył jedną rękę na ramieniu młodzieńca, a drugą ręką ucisnął mu serdecznie prawicę.

ZUPA WIECZNOŚCI I NAGŁA JASNOŚĆ

W tym miejscu nastąpi pewne osobliwe zjawisko i autor dobrze zrobi wyrażając z jego powodu zdziwienie, aby czytelnik nie dziwił mu się zbyt na własną rękę. Mianowicie, podczas gdy nasze sprawozdanie z pierwszych trzech tygodni pobytu Hansa Castorpa u tych tu w górze (z dwudziestu jeden dni w zenicie lata, do których, według wszelkich ludzkich przewidywań, miał się w ogóle ten pobyt ograniczyć) pochłonęło zgodnie z naszymi własnymi na wpół uświadomionymi oczekiwaniami tak wiele czasu i miejsca — to uporanie się z następnymi trzema tygodniami jego pobytu wymagać będzie zaledwie tylu wierszy, a nawet słów i chwil, ile te pierwsze zajęły stronic, arkuszy, godzin i dni pracy: przeczuwamy, że owe trzy tygodnie załatwimy i pogrzebiemy jak z biczem trząś.

To więc mogłoby wydać się dziwnym; a jednak jest to w porządku i zgadza się całkowicie z prawami opowiadania i słuchania. Bo jest w porządku i zgadza się z tymi prawami fakt, że czas tak samo urasta lub kurczy się w naszej świadomości, schodzi szybko lub dłuży się nam w tej samej mierze co młodemu Hansowi Castorpowi, bohaterowi niniejszego opowiadania, w tak nieoczekiwany sposób przygwożdżonemu przez los; i należy może w związku z tajemnicą czasu przygotować czytelnika na całkiem inne jeszcze cuda i zjawiska, które czekają nas w towarzystwie naszego bohatera. Na razie wystarczy jednak, jeśli każdy przypomni sobie, jak szybko mija szereg, a nawet „długi” szereg dni, spędzonych podczas choroby w łóżku: wciąż jest ten sam dzień, który się powtarza; ale ponieważ jest to

ciągle ten sam dzień, więc właściwie wyraz „powtarzania się” nie jest tu poprawnie użyty-, należałoby raczej mówić o jedności, o wstrzymanym „teraz” lub o wieczności. Przynoszą ci zupę na obiad, tak jak ci ją przyniesiono wczoraj i przyniesie się jutro. I w tej chwili coś ci się przypomina — nie wiesz sam co i jak, dostajesz zawrotu głowy, gdy widzisz, jak przynoszą ci tę zupę; formy czasu zacierają ci się, zlewają się z sobą, i to, co ci się objawia jako prawdziwa forma bytu, jest bezwymiarową terażniejszością, w której wiecznie podają ci zupę. Ale z punktu widzenia wieczności byłoby rzeczą wysoce paradoksalną mówić o nudzie, a paradoksów chcemy się wystrzegać, szczególnie we współżyciu z naszym bohaterem.

A więc od sobotniego popołudnia Hans Castorp leżał w łóżku, ponieważ zarządził tak radca Behrens, najwyższy autorytet w świecie, w którym przebywamy. Leżał w swoim czyściutkim, białym łóżku, śmiertelnym łożu Amerykanki i zapewne innych jeszcze osób; miał na sobie nocną koszulę z monogramem wyhaftowanym na kieszonce, ręce skrzyżował pod głową i patrzył pocziwymi, zamglonymi przez katar, niebieskimi oczami na sufit, myśląc o dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie należy przy tym przypuszczać, że oczy jego, gdyby nawet nie miał kataru, patrzyłyby prosto, jasno i niedwuznacznie przed siebie, bo bynajmniej nie takie były jego przeżycia wewnętrzne, pomimo całej jego prostolinijności: były one mętne, zawile, niewyraźne i połowicznie szczere, chwiejne. Gdy tak leżał, od czasu do czasu szalony, wydobywający się z głębi, triumfalny śmiech wewnętrzny wstrząsał jego piersią, a serce ustawało, rozpięrane nie znaną mu dotychczas, potężną radością i nadzieją; to znów bladł nagle z lęku i niepokoju i jakby sumienie samo uderzało o jego żebra w szybkim, rozdygotanym rytmie serca.

Pierwszego dnia Joachim pozostawił go w spokoju i unikał wszelkich wyjaśnień. Po cichu wszedł parę razy do pokoju chorego, skinął głową i z grzeczności zapytał, czy czego nie potrzebuje. Zresztą tym łatwiej było mu zrozumieć i uszanować lęk Hansa Castorpa przed zasadniczymi rozmowami, że i sam go

doznawał, a nawet, według swego mniemania, znajdował się w gorszej sytuacji niż kuzyn.

Ale w niedzielę przed południem, po powrocie z porannej przechadzki, którą teraz znowu, jak dawniej, musiał odbywać samotnie, postanowił nie zwlekać dłużej i omówić z kuzynem najkonieczniejsze nasuwające się obecnie sprawy. Stał przy jego łóżku i powiedział z westchnieniem:

— Tak, nie ma rady, trzeba coś przedsięwziąć. W domu oczekują cię przecież.

— Jeszcze nie — odrzekł Hans Castorp.

— No, ale już w najbliższych dniach, w środę albo czwartek.

— Ach — rzekł Hans Castorp — oni w ogóle nie oczekują mnie w jakimś określonym dniu. Mają co innego do roboty niż czekać na mnie i liczyć dni do mego powrotu. Kiedy przyjadę, to będę, a wuj Tienappel powie: „A więc już wróciłeś!”, a wuj James zapyta: „No, było przyjemnie?” A jeżeli nie przyjadę, dużo czasu upłynie, zanim to spostrzegą; możesz być pewny. Ma się rozumieć, że z biegiem czasu trzeba będzie ich zawiadomić...

— Możesz sobie wyobrazić — powiedział Joachim i westchnął znowu — jak przykra jest dla mnie ta sprawa! Co teraz będzie? Oczywiście, czuję się przecież poniekąd odpowiedzialny. Przyjeżdżasz tu na górę, by mnie odwiedzić, ja cię wprowadzam w nasze życie, i nagle ugrzązłeś tutaj, i nikt nie wie, kiedy będziesz mógł się stąd wydostać i objąć swą posadę. Musisz zrozumieć, jak przykra jest dla mnie ta sprawa.

— Pozwól no! — odezwał się Hans Castorp, nie wysuwając rąk spod głowy. — Niepotrzebnie łamiesz sobie głowę! To wszystko nie ma sensu. Czy przyjechałem tu po to, aby ci złożyć wizytę? Także w tym celu; ale przecież ostatecznie przede wszystkim dla wypoczynku, zgodnie z zaleceniem Heidekinda. No, a teraz okazuje się właśnie, że bardziej potrzebuję kuracji, niż on i, mi^^p^cy mogliśmy przypuszczać. Nie jestem przecież pierwszy, który przybył tutaj jak po ogień, a potem musiał zmienić plan. Pomyśl na przykład o młodszym synu pani Tousel-deux, którego tu przecież jeszcze o wiele gorszy los spo-

tkał — nie wiem, czy jeszcze żyje, może go już wywieziono podczas któregoś z posiłków. Choroba moja jest dla mnie pewną niespodzianką, muszę się dopiero przyzwyczaić do tego, że jestem tutaj pacjentem i naprawdę jednym z was, a nie tylko gościem, jak dotychczas. Chociaż właściwie mogłem się być tego spodziewać, bo tak szczególnie dobrze nigdy się przecież nie czułem, a kiedy pomyślę, jak młodo odumarli mnie rodzice, to skąd miałem właściwie wziąć to żelazne zdrowie! Dla nikogo z nas nie jest tajemnicą, że ty masz tam jakiś drobny feler, prawda, zresztą już prawie wyleczony, więc może też być, że jest to u nas rodzinne, przynajmniej Behrens wspomniał o tym. Bądź co bądź leżę tu już od wczoraj i zastanawiam się, co o tym właściwie zawsze myślałem i jaki był mój stosunek do tego wszystkiego, do życia, wiesz, i do wymagań, które ono stawia. Pewna powaga i pewna niechęć do mocnych i głośnych jego przejawów leżała zawsze w mojej naturze — mówiliśmy o tym niedawno — i czasami nawet miałem niemal ochotę zostać duchownym, bo czułem pociąg do rzeczy smutnych i budujących; taki- czarny całun, wiesz, ze srebrnym krzyżem albo literami R. I. P... Requiescat in pace... te słowa są dla mnie o wiele piękniejsze i miłsze od hałaśliwego: „Niech żyje nam!”. To wszystko, sądzę, pochodzi stąd, że sam mam mały feler i że zawsze rozumiałem się na chorowaniu — teraz się to okazało. A jeżeli tak się mają rzeczy, powinienem być szczęśliwy, że przyjechałem tutaj na górę i kazałem się zbadać; nie powinieneś sobie robić z tego powodu najmniejszych wyrzutów. Bo przecież słyszałeś: gdybym dłużej prowadził tam na dole swój dawny tryb życia, to mógłbym jak nic stracić cały płat płuca.

— Tego nie można wiedzieć — powiedział Joachim. — W tym właśnie sęk, że tego zupełnie wiedzieć nie można! Podobno już dawniej miałeś miejsca, o które nikt się nie troszczył i które za-goiły się same z siebie, tak że masz teraz po tym tylko parę nic nie znaczących przytłumień. Może więc i z tą wilgotną plamką, którą podobno masz, stałoby się tak samo, gdybyś nie był przypadkiem do mnie przyjechał — tego nie można wiedzieć!

— Nie, wiedzieć nie można nic — odpowiedział Hans Cas-

torp. — I dlatego nie ma się prawa przypuszczać zaraz najgorszego, na przykład co się tyczy pytania, jak długo potrwa moja tutejsza kuracja. Twierdzisz, że nie można przewidzieć, kiedy się stąd wydostanę i będę mógł zacząć pracę w dokach, ale ty oceniasz to pesymistycznie, a taka ocena jest przedwczesna, bo właśnie tego nie można wiedzieć. Behrens nie wymienił żadnego terminu, bo jest człowiekiem rozważnym i nie bawi się w proctwa. Przecież jeszcze nie prześwietlono mnie i nie sfotografowano, a to dopiero da nam jakieś obiektywne dane o istotnym stanie rzeczy i kto wie, czy się w ogóle okaże coś godnego uwagi; może już przedtem przestanę gorączkować i pożegnaj was. Jestem za tym, byśmy nie odkrywali kart przedwcześnie i tym w domu nie opowiadali od razu niestworzonych historii. Na razie wystarczy, jeżeli wkrótce napiszemy — mogę sam napisać wiecznym piórem, jeżeli się trochę uniosę na poduszkach — że jestem silnie przeziębiony, że mam gorączkę i leżę w łóżku i że na razie nie mogę jeszcze wyjechać. Zobaczmy później, co dalej.

— Dobrze — rzekł Joachim — możemy tymczasem tak zrobić, a z resztą jeszcze trochę poczekać.

— Z jaką resztą?

— Ale pomyślże troszkę! Przyjechałeś przecież tylko na trzy tygodnie z okrętową walizką. Potrzeba ci bielizny, zimowych ubrań, więcej obuwia. No i wreszcie musisz sobie też sprowadzić pieniądze.

— Jeżeli — powiedział Hans Castorp — jeżeli mi tego i /

— Dobrze, zaczekajmy. Ale nie powinniśmy... nie — rzekł Joachim i wzburzony przeszedł się po pokoju — nie powinniśmy oddawać się złudzeniom! Jestem tutaj zbyt długo, żeby się w tym nie zorientować. Jeżeli Behrens mówi, że masz szorstki ton, prawie szmer... Ale naturalnie, możemy przecież czekać!

Na tym więc stanęło, a tymczasem nastąpiły powtarzające się regularnie co tydzień lub co dwa tygodnie odmiany normalnego dnia — nawet w obecnym swoim położeniu Hans Castorp mógł w nich brać udział, jeżeli nie bezpośredni, to dzięki rela-

cjom Joachima, który go odwiedzał i na kwadransik siadał na brzegu jego łóżka.

Na tacy, na której w niedzielę podano mu śniadanie, stał flakonik z kwiatami i nie omieszkało przynieść mu świątecznego ciasta, które tego dnia podawano w jadalni. Potem ogród i taras ożywił się, zagrały trąbki i odezwały się nosowe dźwięki klarinetów; Joachim przyszedł do swego kuzyna słuchać koncertu, odbywającego się tutaj co drugą niedzielę; położył się na jego werandzie nie zamykając drzwi do pokoju. Hans Castorp, na pół siedząc w łóżku z przechyloną w bok głową i z przymglonymi oczami, w skupieniu rozkoszował się dolatującymi go harmoniami; wzruszając w duchu ramionami przypominał sobie gadaninę Settembriniego o muzyce, jakoby „politycznie podejrzanej”.

Poza tym, jak powiedzieliśmy, kazał Joachimowi opowiadać sobie o wydarzeniach i imprezach ostatnich dni i wypytywał go, „czy przy niedzieli widać było świąteczne toalety, koronkowe stroje poranne itp. (na koronkowe stroje było jednak za zimno); czy po obiedzie pojechał ktoś z kuracjuszy na spacer (istotnie przedsięwzięto parę wycieczek; „Stowarzyszenie Jednego Płuca” pojechało in corpore * do Clavadell); a w poniedziałek, kiedy Joachim wysłuchawszy odczytu dra Krokowskiego przed południowym werandowaniem zaszedł do pokoju Hansa Castorpa, chory ciekaw był, o czym tego dnia mówił asystent. Joachim był małowówny, nie miał ochoty opowiadać o wykładzie — o poprzednim przecież kuzyni także nie rozmawiali. Ale Hans Castorp chciał koniecznie dowiedzieć się szczegółów. — Leżę tutaj i płacę pełną cenę — powiedział — więc chcę również mieć coś z tego, co tutaj dla nas urządzają. — Przypomniał mu się poniedziałek sprzed dwóch tygodni, jego spacer przedsięwzięty na własną rękę, który tak źle dla niego się skończył, i wyraził niedorzeczne przypuszczenie, że to właśnie ten spacer zrewolucjonizował jego organizm i doprowadził do wybuchu ukrytą chorobę. — Ale jakże tutaj lud mówi — zawołał — z taką godnością i tak uroczyście; brzmi to czasami jak poezja: „A więc żegnaj. I dzięki ci!” — powtórzył, naśladowując wymowę drwala. — To usłyszałem w lesie i póki życia tego nie

zapomnę. Takie słowa kojarzą się później z innymi wrażeniami lub wspomnieniami, wiesz, i do końca życia dźwięczą potem w uchu. Więc dr Krokowski znowu mówił o „miłości”? — spytał i skrzywił się wymawiając to słowo.

— Naturalnie — odparł Joachim. — O czymże miałby mówić? To już jest jego zwykły temat.

— A co takiego mówił dzisiaj o tym?

— Ach, nic nadzwyczajnego. Ostatnim razem przekonałeś się przecież, jak on się wyraża.

— Ale chyba powiedział coś nowego?

— Nic specjalnie nowego... To, czym nas dziś uraczył, to czysta chemia — odpowiedział Joachim pokonując opór wewnętrzny. — Krokowski mówił, że odgrywa „przy tym” rolę rodzaj zatrucia, samozatrucia organizmu: pewna nie znana jeszcze, krążąca w ciele substancja ulega rozkładowi, a produkty tego rozkładu działają odurzająco na niektóre ośrodki rdzenia pacierzowego zupełnie tak samo, jak przy nałogowym wprowadzaniu w organizm obcych substancji trujących, morfiny lub kokainy.

— I od tego dostaje się wypieków na twarzy! — powiedział Hans Castorp. — No, no, to ciekawe. Czego też on nie wie, ten mądrała! Czekał, czekał, któregoś dnia odkryje jeszcze tę nieznaną substancję, krążącą w całym ciele, i będzie sam sporządzał rozpuszczalne jady, które działają oszalamiająco na ośrodki; tak więc będzie mógł odurzać ludzi w szczególny sposób. Może już kiedyś znano ten sposób. Kiedy się słucha Krokowskiego, można by myśleć, że w opowiadaniach o napojach miłosnych i tym podobnych legendarnych sprawach jest jakieś ziarno prawdy... Już odchodzisz?

— Tak — odparł Joachim — muszę jeszcze koniecznie trochę poleżeć. Od wczoraj moja krzywa temperatury podnosi się. Twoja sprawa zaszkodziła mi jednak trochę.

Tak przeszła niedziela i poniedziałek i przyszedł trzeci dzień pobytu Hansa Castorpa „w remizie”, wtorek, dzień, który się niczym nie odznaczał. Ale właśnie we wtorek Hans Castorp przyjechał był tu na górę, skończyły się więc trzy tygodnie jego pobytu i Hans Castorp postanowił jednak napisać list do domu

i zawiadomić swoich wujów, na razie ogólnikowo, co się z nim dzieje. Podłożywszy sobie pierzynkę pod plecy, pisał na zakładowym papierze listowym, że wbrew pierwotnemu planowi pobyt jego w sanatorium musi się przeciągnąć. Wyjaśnił, że wskutek przeziębienia i gorączki leży w łóżku i że radca Behrens, prawdopodobnie z przesadnej sumienności, nie uważa choroby za zupełnie niewinną i łączy ją z jego, Hansa Castorpa, ogólną konstytucją. Skoro tylko się poznali, lekarz naczelny wyraził opinię, że Hans Castorp jest silnie anemiczny, i wszystko razem wzięwszy zdaje się, iż trzy tygodnie, które Hans Castorp przeznaczył na swój odpoczynek, nie mogą wystarczyć. Dalsze wiadomości nadeśle możliwie rychło. „Tak będzie dobrze — pomyślał Hans Castorp — nic nie ma zbytecznego, a w każdym razie zyskało się nieco na czasie”. List został oddany służącemu, który, pomijając okreśną drogę poprzez skrzynkę pocztową, zaniósł go wprost do najbliższego pociągu.

Nasz bohater był teraz przekonany, że wiele załatwił, i uspokojony, chociaż dręczony przez kaszel i odurzony katarem, żył z dnia na dzień w nastroju oczekiwania. Dni jego rozpadały się na krótkie odcinki, ale w swej zastygłej monotonii nie różniły się wcale między sobą, i właściwie był to ciągle jeden i ten sam dzień, ani zajmujący, ani nudny. Co rano, mocno zapukawszy do drzwi, wchodził kąpielowy, silny człowiek, nazwiskiem Turnherr, z odwiniętymi rękawami, żyłastymi rękami i gardłową, bardzo niewyraźną wymową. Nazywał Hansa Castorpa, jak zresztą i innych pacjentów, numerem jego pokoju i nacierał go spirytusem. Wkrótce po jego odejściu zjawiał się Joachim, już zupełnie ubrany, mówił dzień dobry, zapytywał kuzyna, jaką miał temperaturę o siódmej rano, i oznajmiał, jaką miał sam. Podczas gdy Joachim jadł śniadanie na dole, Hans Castorp, z pierzynką pod plecami, czynił to samo z wielkim apetytem, jaki wytwarza nowa sytuacja życiowa. W czynności tej bynajmniej nie przeszkadzało mu obojętne pośpieszne wtargnięcie obu lekarzy, którzy o tej porze, po przejściu przez jadalnię, szybko obchodzili pokoje obłożone chorych i skazanych na śmierć. Z ustami pełnymi konfitur Hans Castorp odpowiadał, że dobrze spał tej nocy, spoza filizan-

ki widział, jak radca Behrens, oparłszy dłonie o stół, pobieżnie przeglądał leżący tam wykres gorączki, i obojętnym tonem żegnał odchodzących. Później zapalał cygaro i znowu Joachim wchodził do jego pokoju, odbywszy poranną przechadzkę służbową, chociaż Hansowi Castorpowi wydawało się, że dopiero co odszedł. Rozmawiali o tym i o owym i czas do drugiego śniadania — Joachim wypełniał ten czas werandowaniem — był tak krótki, że nawet zupełnie pusta głowa lub człowiek ubogi duchem nie zdołałby się nudzić, a Hans Castorp mógł przecież żyć wrażeniami pierwszych trzech tygodni swego pobytu i zastanawiać się nad swoją obecną sytuacją i nad tym wszystkim, co mogło z niej wyniknąć. Rzadko więc sięgał do dwóch grubych roczników jednego z pism ilustrowanych, które przyniesiono mu z biblioteki sanatoryjnej i położono na nocnym stoliku.

Zupełnie to samo można powiedzieć o krótkiej godzinie, którą Joachim spędzał na drugiej codziennej przechadzce do Davos-Uzdrowiska. Po powrocie zachodził znów do Hansa Castorpa i opowiadał o różnych rzeczach, które zauważył na spacerze, stał albo siadał na chwilę przy łóżku, a potem szedł na werandę, gdzie leżał do obiadu. A jak długo to trwało? Znowu tylko godzinę! Zaledwie Hans Castorp, podłożywszy ręce pod głowę i patrząc w sufit, puścił wodze swym myślom, już dzwieczył gong, wzywający tych, co nie leżeli w łózkach ani nie byli skazani na śmierć, aby zeszli na główny posiłek.

Joachim oddalał się, a Hansowi Castorpowi przynoszono „zupę” — tak nazywano tu symbolicznie obiad, roznoszony chorym. Hans Castorp bowiem nie był na diecie dla chorych, bo i dla-czegóż miano by mu ją przepisać? Dieta — skromny wikt — bynajmniej nie były dla niego wskazane. Leżał tutaj i płacił pełną cenę, i to, co mu przynoszono, zawsze o tej samej, jakby wiecznie trwającej godzinie, nie było „zupą”, ale kompletnym obiadem z sześciu dań, bez pominięcia któregokolwiek z nich i ze wszystkimi dodatkami — obiadem obfitym w dni powszednie, a galowym, wykwinnym i wystawnym w niedzielę, przyrządzonym przez europejskiej miary kucharza w luksusowej kuchni „Berghofu”. Potrawy w apetycznych rondelkach z nikło-

wanymi przykrywkami przynosiła mu jedna z usługujących, której zadaniem było roznoszenie posiłków do pokoi. Przysuwała do jego łóżka specjalnie skonstruowany stolik, jednonogi cud równowagi, i Hans Castorp zmiatał z niego jedzenie, jak synek krawca ze znanej bajki „Stoliczku, nakryj się”.

Zaledwie uporał się z jedzeniem, wracał także Joachim, a gdy odchodził na balkon i nad całym sanatorium zapadała cisza wielkiego werandowania, było już wpół do trzeciej. Może niezupełnie dokładnie, może dopiero kwadrans po drugiej. Ale wszędzie tam, gdzie obficie szafuje się czasem, jak na przykład w podróży podczas długiej jazdy koleją albo w ogóle w stanie beztreściwego wyczekiwania, gdy całe dążenie i życie sprowadza się tylko do spędzania i spychania czasu — takie nadliczbowe kwadransy, dołączające się do godzin, nie liczą się wcale, połyka się je jako coś dodatkowego. Piętnaście minut po drugiej, to już wpół do trzeciej, a nawet można powiedzieć, że — z pomocą bożą już trzecia, bo przecież mówi się już o trzeciej. Trzydzieści następnym minut uważa się z kolei za wstęp do pełnej godziny, trwającej od trzeciej do czwartej, a więc pomija się je w myśli: tak właśnie postępuje się w takich warunkach. W ten sposób cały przeciąg poobiedniego werandowania sprowadzał się właściwie znowu do jednej godziny, która w dodatku była jak gdyby skrócona, przycięta i zakończona apostrofem. A tym apostrofem był dr Krokowski.

Tak, dr Krokowski nie obchodził już łukiem pokoju Hansa Castorpa podczas swych poobiednich wizyt, które składał bez radcy Behrensa. Hans Castorp także liczył się teraz, nie był już interwałem i rozziewem, ale pacjentem; zadawano mu pytania i nie omijano go, jak to się tak długo działo, ku jego skrytej, niezbyt wielkiej, ale co dzień na nowo powtarzającej się irytacji. Dr Krokowski po raz pierwszy ukazał się w jego pokoju w poniedziałek — mówimy „ukazał się”, bo jest to najodpowiedniejsze słowo na określenie dziwnego, a poniekąd nawet strasznego wrażenia, przed którym Hans Castorp nie mógł się wówczas obronić. Leżał właśnie pogrążony w półśnie czy ćwierćśnie, kiedy, ocknąwszy się, z przerażeniem spostrzegł, że asystent jest w pokoju,

choć nie wszedł przez drzwi, i zmierza ku niemu od strony balkonu. Bo droga jego nie wiodła przez korytarz, ale przez zewnętrzne lodzie, i wszedł do pokoju przez otwarte drzwi balkonowe, jakby prosto z przestworza. Bądź co bądź, stał teraz u łóżka Hansa Castorpa, czarny i blady, barczysty i krępy, jako apostrof godziny. Pomiędzy włosami rozdwojonej brody ukazywały się w szerokim uśmiechu jego żółtawe zęby.

— Zdaje się, że pana ogromnie zaskoczyło moje zjawienie się — odezwał się łagodnym barytonem, z pewną afektacją przeciągając słowa; jego podniebienne „r” brzmiało z cudzoziemska, było to jednak „r” wibrujące nie długo, lecz krótko, dzięki jednorazowemu uderzeniu języka o górną część przednich zębów. — Spełniam jedynie miły obowiązek, zachodząc teraz także do pana. Pański stosunek do nas wstąpił w nową fazę, przez noc z gościa stał się pan kolegą... — (słowo „kolega” przstraszyło trochę Hansa Castorpa). — Któż by to był pomyślał! — żartował po koleżeńsku dr Krokowski... — Któż by to był pomyślał tego wieczora, kiedy po raz pierwszy miałem honor pana powitać i kiedy na mój błędny pogląd — wtedy był błędny — odpowiedział pan zapewnieniem, że jest pan zupełnie zdrowy. Zdaje mi się, że wyraziłem wówczas coś jakby powątpiewanie, ale zapewniam pana, że miałem coś innego na myśli! Nie chcę uchodzić za bardziej przenikliwego, niż jestem, nie myślałem wtedy o żadnym wilgotnym miejscu, mówiłem to w znaczeniu ogólniejszym, filozoficznym, dawałem wyraz wątpliwościom, czy ktokolwiek z ludzi może sobie przypisywać „zupełne zdrowie”. A nawet dziś jeszcze, nawet po wyniku badania, nie mogę, taki już jestem, zgodzić się z moim szefem i tej wilgotnej plamki — tu końcem palca dotknął lekko ramienia Hansa Castorpa — uważać za rzecz najważniejszą. Uważam ją raczej za objaw wtórny... Wszystko, co organiczne, jest zawsze wtórne...

Hans Castorp wzdrygnął się.

— ...Tak więc pański katar jest dla mnie zjawiskiem trzeciorzędnym — ciągnął dalej dr Krokowski lekkim tonem. — Jakież jest jego przebieg? Leżenie w łóżku z pewnością panu szybko pomoże. Jaką miał pan dzisiaj temperaturę? — I od tego czasu

codzienne odwiedziny asystenta miały charakter niewinnych wizyt kontrolnych, który zachowały też w najbliższych dniach i tygodniach. Przychodził kwadrans przed czwartą, albo i trochę wcześniej, przez drzwi balkonowe, wesoło, po męsku witał chorego, zadawał najprostsze lekarskie pytania, czasami nawiązywał lekką, bardziej osobistą rozmowę, żartował po koleżeńsku — i jeżeli wszystko to było nawet trochę zastanawiające, to przecież człowiek przyzwyczajając się w końcu do rzeczy zastanawiających, o ile tylko nie przekraczają pewnych granic. Toteż Hans Castorp wkrótce nic nie miał przeciwko regularnemu zjawianiu się dra Krokowskiego, które stanowiło już część składową normalnego dnia i kończyło apostrofem główne werandowanie.

Była tedy czwartą, kiedy asystent wyszedł znowu na balkon — a więc późne popołudnie! Nagle, i zanim Hans Castorp zdążył się obejrzeć, było już późne popołudnie, które zresztą przechodziło bezzwłocznie w porę przedwieczorną: bo zanim na dole i w pokoju nr 34 wypito herbatę, dochodziła piąta, a kiedy Joachim powracał ze swej trzeciej służbowej przechadzki i zachodził do kuchni — prawie szósta godzina, tak że czas werandowania przed kolacją, licząc okrągło, kurczył się znowu do jednej tylko godziny, a godzina to przeciwnik, którego bez trudności można było pokonać: pozostawały wszak myśli w głowie i cały orbis pictus * na nocnym stoliku.

Joachim pożegnał się idąc na kolację. Przyniesiono jedzenie. Dolinę dawno okrył zmierzch, i podczas gdy Hans Castorp jadł, coraz bardziej ściemniało się w białym pokoju. Skończywszy siedział w łóżku, oparty o pierzynkę, przy „stoliczku, nakryj się”, z którego wszystko zmiótł, i patrzył na wciąż pogłębiający się zmrok, dzisiejszy zmrok, który trudno było odróżnić od wczorajszego, onegdajszego lub zmroku sprzed tygodnia. Był wieczór — a dopiero co było jeszcze rano. Rozkawałkowany i sztucznie skrócony dzień dosłownie prześliznął mu się pomiędzy palcami i rozpląnął w nicość. Hans Castorp był tym mile zdziwiony lub w każdym razie zastanawiało go to, bo lęku przed tym zjawiskiem wiek jego jeszcze nie znał. Miał wrażenie, jak gdyby nie na nowo, ale wciąż jeszcze patrzył w ten zmrok,

Upłynęło dziesięć albo dwanaście dni, odkąd Hans Castorp położył się do łóżka, kiedy pewnego dnia ktoś zastukał do jego drzwi o tej porze, to znaczy, zanim Joachim wrócił z kolacji i z zebrania towarzyskiego. Na pytające „proszę” Hansa Castorpa wszedł Lodovico Settembrini i jednocześnie oślepiająca jasność zalała pokój. Bo gość, stojąc jeszcze w otwartych drzwiach, przekręcił wyłącznik, górnego światła, które, odbite od białego sufitu i białych mebli, nappełniło cały pokój drzącą poświatą.

Włoch był jedynym człowiekiem spomiędzy wszystkich kuracjuszy, o którego Hans Castorp wyraźnie i z wymienieniem nazwiska pytał Joachima. Joachim, ilekroć na przeciąg dziesięciu minut siadał na skraju łóżka swego kuzyna lub zatrzymywał się przy nim — a działo się to dziesięć razy dziennie — z własnej woli opowiadał kuzynowi o drobnych zdarzeniach i odchyleniach od zwykłego trybu życia w sanatorium, a pytania Hansa Castorpa, o ile je w ogóle stawiał, były zwykle ogólnikowe i nieosobowe. Ciekawość żyjącego w odosobnieniu chorego dotyczyła kwestii, czy może przyjechali jacyś nowi goście albo czy nie wyjechał ktoś, znany mu już z widzenia; zdawało się go cieszyć, że nikt dotychczas nie opuścił zakładu. Przyjechał jeden „nowy” młody człowiek, z zielonkawą cerą i zapadniętymi policzkami, i wyznaczono mu miejsce przy bladej jak z kości słoniowej pannie Levi i pani Iltis, zaraz na prawo od obu kuzynów. No, Hansowi Castorpowi nie śpieszyło się z ujrzaniem go na własne oczy. A więc nikt nie wyjechał? Joachim odrzekł krótko, że nie, i spuścił przy tym oczy. Na pytanie to Joachim musiał często dawać odpowiedź, właściwie co drugi dzień, chociaż już kiedyś wreszcie, z pewnym zniecierpliwieniem w głosie, starał się raz na zawsze poinformować kuzyna, że, o ile wie, nikt nie zamierza wyjechać; tak łatwo nie można się stąd wydostać.

Owóz o Settembriniego Hans Castorp pytał wyraźniej i chciał wiedzieć, co on „o tym sądzi”. — O czym? — No, o tym, że leżę w łóżku i podobno jestem chory. — Settembrini rzeczywiście mówił o tym, ale bardzo krótko. Tego samego dnia, kiedy Hans Castorp zniknął, podszedł do Joachima z zapytaniem, gdzie się podział jego gość, przy czym najwidoczniej spodziewał się odpo-

wiedzi, że Hans Castorp wyjechał. Na wyjaśnienia Joachima odparł dwoma tylko włoskimi słowami: najpierw rzekł „ecco”, a potem „poveretto”, co znaczy „otóż to” i „biedaczek”. Nie trzeba było umieć po włosku więcej niż obaj młodzieńcy, ażeby zrozumieć sens tych dwóch słów. — Dlaczego poveretto? — spytał Hans Castorp. — On przecież także siedzi tutaj razem ze swoją literaturą, składającą się z humanizmu i polityki, i mało może wpływać na bieg spraw ziemskich. Nie powinien mi tak protekcjonalnie współczuć, bo znajduję się na dole jeszcze zawsze wcześniej niż on.

Tak więc w jasno oświetlonym pokoju stał pan Settembrini; Hans Castorp, który wsparł się na łokciu i zwrócił głowę ku drzwiom, mrugając oczami poznał go, a poznawszy, oblał się rumieńcem. Settembrini miał na sobie, jak zwykle, grubą marynarkę z szerokimi wyłogami, trochę wystrzępiony wykładany kołnierzyk i spodnie w kratę. Ponieważ wracał od stołu, trzymał swoim zwyczajem w ustach drewnianą wykałaczkę. W kąciku ust, pod pięknym łukiem wąsów, igrał dobrze Hansowi Castorpowi znany, subtelny, trzeźwy i krytyczny uśmiech.

— Dobry wieczór inżynierowi! Czy wolno zajrzeć do pana? Jeżeli tak, to potrzebne jest światło, przepraszam, że się rządzę — rzekł podnosząc energicznie swoją drobną rękę ku lampie na suficie. — Pan jest pogrążony w kontemplacji, naprawdę nie chciałbym przeszkadzać. Skłonność do rozmyślania jest w jego sytuacji zupełnie zrozumiała, a do pogawędki ma pan ostatecznie kuzyna. Pan widzi, że rozumiem doskonale, iż mogę być zbyt zbytecznym. Ale mieszka się tak blisko siebie, współczuje się drugiemu, jak człowiek człowiekowi, współczuje się rozumowo, współczuje uczuciowo... Już chyba od tygodnia nie widać pana. Kiedy zobaczyłem, że jego miejsce w refektarzu jest puste, sądziłem, doprawdy, że pan nas opuścił. Porucznik wyjaśnił mi, że jest inaczej, hm, może mniej dobrze... A więc co słychać? Co pan porabia? Jak się pan czuje? Mam nadzieję, że nie jest pan bardzo przygnębiony!

— Ach, to pan Settembrini! Jakże uprzejmie z pańskiej strony! Cha, cha, „refektarz”! Od razu powiedział pan coś dowcipnie-

go. Proszę, niech pan przysunie sobie krzesło. Bynajmniej mi pan nie przeszkadza. Leżałem i dumałem sobie — dumałem, to nawet trochę za wiele powiedziane. Po prostu nie chciało mi się włączyć światła, byłem za leniwy. Bardzo dziękuję; subiektywnie czuję się tak dobrze jak zazwyczaj; katar mi już prawie przeszedł dzięki leżeniu w łóżku, ale wciąż słyszę, że ten katar jest zjawiskiem wtórnym. Temperatura jest jeszcze ciągle za wysoka, czasem 37,5, czasem 37,7, to się na razie jeszcze nie zmieniło.

— Czy mierzy pan regularnie?

— Tak, sześć razy na dzień, zupełnie tak samo jak państwo wszyscy tu w górze. Cha, cha, przepraszam, jeszcze się śmieję z tego, że pan nazwał naszą jadalnię „refektarzem"! Tak się przecież mówi w klasztorze, prawda? Rzeczywiście, jest tu coś z tego; wprawdzie nigdy jeszcze nie byłem w klasztorze, ale jakoś tak podobnie go sobie wyobrażam. A „regułę" umiem już na pamięć i ściśle stosuję się do niej.

— Jak pobożny braciszek. Można powiedzieć, że pan skończył, nowicjat i złożył śluby zakonne. Winszuję serdecznie. Pan mówi już także „nasza jadalnia"! Zresztą, nie obrażając jego męskiej godności, przypomina mi pan raczej młodą mniszkę niż mnicha — taką dopiero co ostrzyżoną, niewinną oblubienicę Chrystusa, z wielkimi uduchowionymi oczami. Dawniej widywałem niekiedy takie owieczki i nigdy bez... bez pewnego sentymentu. Ach tak, tak, pański kuzyn opowiedział mi wszystko. W ostatniej chwili zatem kazał się pan jeszcze zbadać?

— Ponieważ miałem gorączkę. Proszę pana, przecież gdybym miał taki katar na równinie, wezwałbym naszego lekarza. A tutaj, gdzie się jest, że tak powiem, u źródła, gdzie się mieszka pod jednym dachem z dwoma specjalistami — byłoby przecież śmiesznie...

— Ależ naturalnie, naturalnie. A więc mierzył pan temperaturę, zanim mu kazano. Zresztą na samym wstępie radzono to panu. A czy na termometr naciągnęła pana panna Mylendonk?

— Naciągnęła? Kupiłem go od niej, ponieważ był mi potrzebny.

— Rozumiem. Nienaganna transakcja handlowa. A ile mie-

sięcy przepisał panu szef?... Wielki Boże, przecież już raz pytałem pana o to! Przypomina pan sobie? Zaraz po jego przyjeździe. Pan odpowiedział wtedy tak śmiało...

— Ma się rozumieć, że jeszcze pamiętam. Wiele od tego czasu przeżyłem, ale to pamiętam jeszcze jak dzisiaj. Zaraz później mówił pan takie zabawne rzeczy i nazwał pan radcę Behrensa sędzią piekielnym... Radames... Nie, zaraz, jakoś inaczej...

— Radamantys? Być może, jakoś tak go nazwałem. Nie mogę pamiętać wszystkiego, co mi się nasuwa na język.

— Radamantys, tak, tak. Minos i Radamantys. Także o Carduccim opowiadał nam pan wówczas zaraz...

— Za pozwoleniem, drogi przyjacielu, Carducciemu dajmy lepiej spokój. To nazwisko brzmi teraz zbyt nieodpowiednio w pańskich ustach!

— No, dobrze — śmiał się Hans Castorp — ale dzięki panu wiele dowiedziałem się o nim. Tak, wtedy nie miałem jeszcze pojęcia i odpowiedziałem panu, że przyjechałem na trzy tygodnie. Tak wtedy myślałem. Właśnie na chwilę przedtem panna Kleefeld gwizdnęła do mnie na przywitanie swoją sztuczną odmą i to wytrąciło mnie trochę z równowagi. Ale już wtedy czułem się tak, jak gdybym miał gorączkę, bo tutejsze powietrze jest dobre nie tylko przeciw chorobie, ale i na chorobę, czasami doprowadza ją dopiero do wybuchu, a to jest przecież potrzebne do późniejszego wyleczenia.

— Ponętna hipoteza. Czy radca Behrens opowiedział panu o tej Niemce z Rosji, która mieszkała tutaj pięć miesięcy w zeszłym — nie, w zaprzyszłym roku? Nie opowiadał? Powinien był to uczynić! Niezmiernie miła pani. Niemka, urodzona w Rosji, zamężna i młoda matka. Przyjechała do nas ze Wschodu, była limfatyczna, anemiczna, zdaje się, że i poważniej chora. Była tu już miesiąc i wciąż się skarżyła, że czuje się źle. Cierpliwości! Upływa następny miesiąc, a ona woiąż utrzymuje, że ma się nie lepiej, ale coraz gorzej. Mówią jej, że tylko lekarz może wiedzieć, jak ona się ma, a jej samej wolno najwyżej mówić o tym, jak się czuje, a to nie jest ważne. Z jej płuc lekarze byli zadowoleni. A więc milczy, odbywa kurację i co tydzień traci na

wadze. Na czwarty miesiąc zemdląła przy badaniu. Behrens powiedział, że to nic nie szkodzi i że z jej płuc jest zupełnie zadowolony. Kiedy jednak w piątym miesiącu nie mogła już chodzić, napisała o tym do swego męża na Wschód, i Behrens otrzymał od niego list. Na kopercie było wyraźnie napisane: „Osobiste” i „Pilne”, widziałem na własne oczy. Tak — rzekł Behrens przeczytawszy list i wzruszył ramionami — okazuje się, że ta pani najwidoczniej nie znosi tutejszego klimatu! — Niewiasta nie miała dość słów oburzenia. Powinien jej był to wcześniej powiedzieć! krzyczała, ona od początku to czuła, doprowadził ją do ruiny! — Miejmy nadzieję, że u boku męża na Wschodzie powróciła do zdrowia.

— Cudowne! Pan tak pięknie opowiada, panie Settembrini, każde z pańskich słów jest po prostu plastyczne. Kiedy przypominam sobie pańskie opowiadanie o tej młodej dziewczynie, która kąpała się w jeziorze i której dano później termometr bez podziałki, „niemowę”, śmieję się sam do siebie. Co też się nie zdarza! Człowiek nie przestaje się uczyć. Mój własny przypadek jest zresztą jeszcze zupełnie nie wyjaśniony. Pan radca utrzymuje, że znajduje u mnie coś niecoś: przede wszystkim są stare blizny po dawniejszym schorzeniu, o którym nic nie wiedziałem — sam je słyszałem przy opukiwaniu, a następnie można wysłuchać również świeże miejsce — cha, cha, „świeże”! — to zabawne określenie dla takiej rzeczy. Ale dotychczas mamy jedynie wrażenia słuchowe, a prawdziwie pewną diagnozę będziemy mieli, dopiero gdy wstanę, po prześwietleniu i sfotografowaniu. Wtedy będziemy wszystko pozytywnie wiedzieli.

— Tak pan sądzi? A czy pan wie, że klisza fotograficzna ma często plamy, które wyglądają jak jamy gruźlicze, podczas gdy są to tylko cienie, a tam, gdzie coś jest naprawdę, nie wykazuje niekiedy nic a nic. Madonna! Klisza fotograficzna! Był tu kiedyś pewien młody numizmatyk, który gorączkował; a ponieważ gorączkował, widziano wyraźnie kawerny na płycie fotograficznej. Utrzymywano nawet, że dają się wysłuchać! Leczone go na suchoty i skutek tego umarł. Obdukcja wykazała, że płuca miał zupełnie zdrowe, a umarł na jakieś koki.

— No wie pan, pan zaraz mówi o obdukcji! Tak źle jeszcze chyba ze mną nie jest.

— Ależ z pana filut, inżynierze!

— A pan jest urodzonym krytykiem i sceptykiem, to trzeba panu przyznać. Pan nie wierzy nawet w naukę ścisłą! Czy p a ń s k a klisza wykazuje plamy?

— Tak, tu i ówdzie.

— Więc pan naprawdę nie jest zupełnie zdrowy?

— Niestety, jestem dość poważnie chory — odparł pan Settembrini i pochylił głowę. Zakaszła i nastąpiła pauza. Hans Castorp przyglądał się milczącemu gościowi. Wydawało mu się, że te jego dwa bardzo proste pytania wszystko obaliły i zmusiły do milczenia nawet republikę i piękny styl. Ze swojej strony nie starał się o nawiązanie przerwanej rozmowy.

Po chwili Settembrini wyprostował się i uśmiech zjawił się na jego twarzy.

— Niech pan mi teraz opowie, inżynierze — powiedział — jak jego rodzina przyjęła tę wiadomość?

— Jaką wiadomość? O opóźnieniu mego powrotu? Ach, moja rodzina, wie pan, moja rodzina składa się z trzech wujów; właściwie z jednego dziadka wujecznego i dwóch jego synów, których uważam raczej za kuzynów. Poza nimi nie mam rodziny, bardzo wcześnie straciłem oboje rodziców. Jak to przyjęli? Nie wiele dotychczas wiedzą, nie więcej niż ja sam. Z początku, kiedy kazano mi się położyć do łóżka, napisałem im, że jestem silnie przeziębiony i że nie mogę jechać. Ponieważ jednak ten stan się przeciąga skutkiem kataru, napisałem znowu wczoraj, że radca Behrens zwrócił uwagę na moje płuca i nalega, abym pozostał tutaj, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Z pewnością nie bardzo się tym przejęli.

— A pańska posada? Pan wspominał kiedyś o pracy, którą właśnie zamierzał podjąć.

— Tak, jako wolontariusz. Prosiłem, żeby mnie na razie wytłumaczono w stoczni. Niech pan nie myśli, że będzie tam rozpacz z tego powodu. Mogą dowolnie długo obchodzić się bez wolontariusza.

— Doskonale! Z tego punktu widzenia wszystko jest więc w najlepszym porządku. Flegma na całej linii. Pańscy ziomkowie są w ogóle flegmatyczni, prawda? Ale i energiczni!

— O tak, energiczni także, bardzo energiczni — rzekł Hans Castorp. Zastanowił się nad charakterem swego otoczenia w domu i doszedł do wniosku, że jego rozmówca ma rację. — Tak, flegmatyczni i energiczni, tacy są rzeczywiście.

— Jeżeli pan tu dłużej zostanie — ciągnął dalej Settembrini — to uda się nam pewnie poznać jego wuja, tj. tego dziadka wujecznego. Bez wątpienia przyjedzie, aby zobaczyć, co się z panem dzieje.

— O nie! — zawołał Hans Castorp. — W żadnym razie! Nawet dziesięcioma końmi nie da się wciągnąć tutaj na górę! Mój wuj ma silną skłonność do apopleksji, wie pan, prawie zupełnie nie ma szyi. Nie, on potrzebuje przyzwoitego ciśnienia atmosferycznego, a gdyby tu przyjechał, mogłoby się gorzej z nim skończyć niż z tą damą ze Wschodu, o której pan opowiadał, mógłby tu dostać Bóg wie jakich przypadłości.

— A to szkoda. Skłonność do apopleksji? Na cóż zda się tu flegma i energia? Pański dziadek jest zapewne bogaty? I pan jest bogaty? Tam u was wszyscy są bogaci.

Hans Castorp uśmiechnął się, słysząc to literackie uogólnienie, a potem ze swej leżącej pozycji wylatywał znowu myślą w dal, ku ojczyźnie, z której został wyrwany. Przypominał sobie i próbował być bezstronny; oddalenie zachęcało go i czyniło zdolnym do tego. Po chwili odpowiedział: — Są tam ludzie bogaci, ale są i biedni, a wtedy jest źle. Nie jestem milionerem, ale mam byt zapewniony, jestem niezależny, mam z czego żyć. Ale nie mówmy o mnie. Gdyby pan powiedział: tam trzeba być bogatym — zgodziłbym się z panem. Bo przypuśćmy, że ktoś nie jest bogaty albo przestaje nim być. O, wtedy biada! Wtedy wszyscy pytają: „Ten? czyż ten ma jeszcze pieniądze?”... Dosłownie tak i z takim właśnie wyrazem twarzy; często to słyszałem i dobrze sobie to zapamiętałem. Widocznie zawsze wydawało mi się to dziwne, chociaż miałem czas do tego przywyknąć, bo inaczej nie pamiętałbym tego tak dobrze. A jak pan sądzi? Nie, nie wydaje mi się,

żeby na przykład panu, takiemu homo humanus, mogło się u nas podobać; nawet mnie, który przecież stamtąd pochodzę, rażą tam różne rzeczy, jak teraz widzę, chociaż mnie osobiście one nie dotyczą. Kto nie podaje do stołu najlepszych, najdroższych gatunków wina, do tego nikt w ogóle nie chodzi, a jego córki zostają starymi pannami. Tacy już są ludzie. Kiedy tak tu leżę i z oddali na to patrzę, rażą mnie te rzeczy. Jak pan się wyraził, flegmatyczni i...? I energiczni! Dobrze, ale cóż to znaczy? Innymi słowy: twardzi, zimni. A co znaczy: twardzi i zimni? To znaczy okrutni. Tak, tam na dole panuje okrutna, nieprzejednana atmosfera. Kiedy się tak leży i patrzy z oddali na to wszystko, prawdziwy lęk może ogarnąć człowieka.

Settembrini słuchał i potakiwał głową. Czynił to jeszcze, kiedy Hans Castorp na razie wyczerpał swoje uwagi krytyczne i przestał mówić. Potem westchnął i odezwał się:

— Nie chcę bynajmniej upiększać tych specjalnych form, które naturalne okrucieństwo życia przybiera w, pańskim społeczeństwie. Zarzut okrucieństwa jest jednak zarzutem dość sentymentalnym. Tam na dole nie podniósłby go pan wcale, z obawy, aby sobie samemu nie wydać się śmiesznym. Słusznie pozostawiał go pan dawniej tym, co uciekają przed życiem. A to, że go pan teraz sam podnosi, świadczy o tym, iż się pan nieco odzwyczaił od swych normalnych warunków; nie chciałbym, by to odzwyczajanie się postępowało. Bo kto przywyknie do stawiania tego zarzutu, łatwo może zostać stracony dla tych form życiowych, w których się urodził. Czy pan wie, inżynierze, co to znaczy zostać straconym dla życia? Ja wiem to dobrze, widzę to tutaj codziennie. Najpóźniej po upływie pół roku młodzieniec, który tutaj przyjeżdża (a przyjeżdżają tutaj^ przeważnie młodzieńcy), nie myśli o niczym innym, jak tylko o flircie i swojej temperaturze. A najdalej po roku jest tak, że już nigdy nie będzie w stanie myśleć o niczym innym, bo każdą inną myśl uważa za „okrutną” lub, w każdym razie, za błędną. Pan lubi opowiadania, więc mogę mu służyć. Mogę panu opowiedzieć o pewnym synu i małżonku, który był tu jedenaście miesięcy i którego znałem. Zdaje mi się, że był trochę starszy niż pan,

może nawet dobrze starszy. Na próbę wypuszczono go stąd i powrócił do domu, w objęcia swoich ukochanych; nie byli to wujowie, ale matka i żona. Całymi dniami leżał z termometrem w ustach i nic więcej go nie obchodziło. — Wy tego nie rozumiecie — mówił — do tego trzeba mieć za sobą pobyt w sanatorium, ażeby wiedzieć, jak postępować należy. Tutaj na dole brak podstawowych pojęć! — Skończyło się na tym, że matka mu powiedziała: — Wracaj na górę. Nic się już z ciebie nie da zrobić. — I wrócił do sanatorium, do „ojczyzny” — bo wie pan przecież, że kto tutaj był, nazywa ten zakład swoją „ojczyzną”. Od swej młodej żony odsunął się całkowicie, bo brakowało jej „podstawowych pojęć”, i zrezygnowała. Cóż miała począć? Zrozumiała, że mąż jej znajdzie sobie w „ojczyźnie” towarzyszkę, która będzie miała wspólne z nim „podstawowe pojęcia”, i że z nią pozostanie.

Hans Castorp słuchał z roztargnieniem. Wciąż jeszcze patrzył w blask, rozlany po pokoju, jak w dal. Roześmiał się z pewnym opóźnieniem i powiedział:

— Mówił „ojczyzna”? To brzmi naprawdę trochę sentymentalnie, jak się pan wyraził. Tak, pan zna takich historii bez liku. Właśnie myślałem jeszcze o tym, cośmy mówili o surowości i okrucieństwie; w ciągu ostatnich dni już nieraz nawiedzały mnie podobne myśli. Widzi pan, trzeba być porządnie gruboskórnym, żeby bez reszty pogodzić się ze sposobem myślenia tych ludzi z nizin, z pytaniami w rodzaju: „Czyż ten ma jeszcze pieniądze?” i z minami, jakie przy tym robią. Chociaż nie jestem homo humanus, nigdy nie wydawało mi się to czymś zupełnie naturalnym — teraz widzę, że to mnie zawsze przykro uderzało.. Może dlatego, że miałem już dawniej nieświadomą skłonność do chorowania — może dlatego brzmiało to dla mnie jakoś nienaturalnie. Przecież sam słyszałem te zabliznione miejsca, a teraz Behrens rzekomo odkrył u mnie jakąś nową drobnostkę. Zaskoczyło to mnie, to prawda, ale jednak w gruncie rzeczy nie bardzo się zdziwiłem. Nigdy właściwie nie byłem szczególnie mocny; a prócz tego moi rodzice umarli tak młodo — od dziecka, wie pan, jestem sierotą, bez ojca i matki...

Pan Settembrini wykonał głową, ramionami i rękami jednocześnie gest, który miał wesoły i grzeczny sposób wyrażać pytanie: „No więc? Co dalej?”

— Pan jest pisarzem — mówił Hans Castorp — literatem; pan powinien przecież znać się na tym i zrozumieć, że nie można w tych okolicznościach być tak brutalnym i uważać za całkiem naturalne okrucieństwa ludzi, zwykłych ludzi, wie pan, którzy chodzą, śmieją się, zarabiają pieniądze i napychają sobie brzuchy... Nie wiem, czy się jasno...

Settembrini skłonił się. — Pan chce powiedzieć — rzekł — że wczesne i niejednokrotne zetknięcie się ze śmiercią wyrabia postawę uczuciową, która czyni człowieka wrażliwym i czułym na bezwzględność i surowość życia światowego, powiedzmy: na jego cynizm.

— Właśnie! — zawołał Hans Castorp szczerze zachwycony. — Pan to doskonale wyraził i postawił kropkę nad i. Ze śmiercią! Wiedziałem, że pan, jako literat...

Settembrini wyciągnął ku niemu rękę, przechyliwszy na bok głowę i zamknąwszy oczy — piękny i delikatny gest, który wyrażał prośbę, by mu Hans Castorp nie przerywał i słuchał dalej. Przez kilka sekund trwał w tej pozycji, nawet kiedy Hans Castorp już dawno zamilkł i nie bez pewnego zakłopotania oczekiwał tego, co miało teraz nastąpić. Wreszcie otworzył swoje czarne oczy — oczy kataryniarza — i odezwał się:

— Ale niech pan pozwoli, inżynierze, powiedzieć sobie i zechce to zapamiętać, że jedyny, zdrowy, szlachetny i, chcę to wyraźnie zaznaczyć, jedyny religijny sposób patrzenia na śmierć każe uważać ją za niezbędną składową część i święty warunek życia i nie oddzielać jej myślowo od życia, nie widzieć w niej jego przeciwieństwa i nie wygrywać jej ohydnie przeciwko niemu — bo to byłoby zaprzeczeniem zdrowego, szlachetnego, rozsądnego i religijnego poglądu. Starożytni zdobili sarkofagi symbolami życia i płodzenia, często nawet sprośnymi — świętość w religijności antycznej kojarzyła się często ze sprośnością. Ci ludzie umieli czcić śmierć. Śmierć jest godna czci jako kolebka życia, jako macierzyńskie łono odradzania

się. Rozważana w oderwaniu od życia, staje się upiornym potworem — a nawet czymś jeszcze gorszym. Bo śmierć jako samoistna potęga duchowa jest bezecną potęgą; siła jej nieczystej atrakcji jest wprawdzie bardzo wielka, ale sympatyzowanie z tą potęgą jest bez wątpienia najokropniejszym zboczeniem ducha ludzkiego.

Pan Settembrini zamilkł. Zatrzymał się na tych ogólnikach, stanowiących niewątpliwe zakończenie jego wywodów. Mówił poważnie, nie po to, aby bawić rozmowę, nie chciał dać słuchaczowi sposobności do dyskusji, ale dobiegając do końca, zniżył głos i postawił kropkę. Siedział z zamkniętymi ustami, dłonie splótł na kolanach, jedną nogę w spodniach w kratę założył na drugą i z lekka poruszał w powietrzu stopą, nie odrywając od niej oczu. Hans Castorp milczał więc również; siedząc w swej pierzynie zwrócił głowę ku ścianie i końcami palców bębnił lekko po pikowanej kołdrze. Czuł, że udzielono mu pouczenia, upomnienia, a nawet nagany, i w jego milczeniu było dużo dziecięcego uporu. Przerwa w rozmowie trwała dość długo.

Wreszcie pan Settembrini podniósł znowu głowę i rzekł z uśmiechem:

— Przypomina pan sobie zapewne, inżynierze, że już kiedyś prowadziliśmy podobną, a nawet tę samą rozmowę. Mówiliśmy wtedy — zdaje mi się, że było to na przechadzce — o chorobie i o głupocie, których połączenie uważał pan za paradoks, a to przez szacunek dla choroby. Szacunek ten nazwałem wtedy ponurą chimera, która ubliża myśli ludzkiej, a pan zdawał się, ku memu zadowoleniu, poświęcać nieco uwagi moim argumentom. Mówiliśmy także o neutralnym nastawieniu i niezdecydowaniu młodzieńczego wieku, o jego swobodzie wyboru i skłonności do czynienia różnych prób myślowych, i o tym, że nie należy i nie potrzeba uważać takich prób za poważne i ostateczne akty wyboru. Czy zechce mi pan — i pan Settembrini pochylił się z uśmiechem, trzymając obie nogi przy sobie na podłodze, ścisnął złożone dłonie pomiędzy kolanami i z lekka na bok przekrzywił głowę — czy zechce mi pan i nadal — rzekł z pewnym wzruszeniem w głosie — pozwolić, żebym go wspomagał w jego,

ćwiczeniach i eksperymentach i żebym mógł skorygować czasami jakieś grożące błędne skryształizowanie się pańskich poglądów?

— Ależ ma się rozumieć! — Hans Castorp starał się szybko wyzbyć swego zakłopotania i przełamać upór, który mu kazał odwrócić głowę; przestał bębnić palcami po kołdrze i rzekł uprzejmie, choć nie bez zakłopotania, do gościa: — Bardzo pan łaskaw... Sam sobie zadaję pytanie... To znaczy, czy ja...

— Całkiem sine pecunia — zacytował pan Settembrini powstając. — Kto by się chciał okazać chciwym? — Obaj zaczęli się śmiać. Usłyszeli, jak otworzyły się zewnętrzne drzwi, i w tej samej chwili ktoś nacisnął klamkę wewnętrznych. To Joachim wracał z zebrania wieczornego w salonie. Ujrzawszy Włocha zaczerwienił się i on, podobnie jak przedtem Hans Castorp; ciemna opalenizna jego twarzy pogłębiła się o jeden ton.

— O, masz gościa — powiedział. — Jak to miło! Zatrzymano mnie na dole. Zmuszono mnie do partii bridża — oficjalnie nazywają to bridżem — rzekł kiwając głową — a* tymczasem to było zupełnie coś innego. Wygrałem pięć marek...

— Żeby tylko nie pociągnęła cię ta nieczysta siła — odezwał się Hans Castorp. — Hm, hm, dzięki panu Settembriniemu spędziłem tu tak mile czas... co zresztą jest złym określeniem. Można by je zastosować do waszego fałszywego bridża, ale pan Settembrini wypełnił mój czas tak bogatą treścią... Przyzwoity człowiek powinien dołożyć wszelkich starań, ażeby się stąd wydostać, skoro już fałszywy bridż odchodzi wśród was. Ażeby jednak częściej mógł słyszeć pana Settembriniego i korzystać z jego pomocy i rozmowy, chciałbym prawie mieć długo jeszcze gorączkę i siedzieć tu z wami... W końcu trzeba mi będzie jeszcze dać „niemowę”, abym nie oszukiwał.

— Powtarzam, inżynierze, że filut z pana — odezwał się Włoch, po czym pożegnał się w najuprzejmiejszy sposób. Pozostawszy sam z kuzynem, Hans Castorp westchnął.

— Ależ to jest pedagog! — powiedział... — Humanistyczny pedagog, to trzeba mu przyznać. Wciąż człowieka poprawia i koryguje, to w formie opowiadań, to w formie abstrakcyjnej.

A przy tym mówi się z nim na tematy — nigdy bym nie pomyślał, że potrafię o tym wszystkim rozmawiać, a chociażby nawet to rozumieć. Gdybym go zresztą był spotkał na równinie, tobym go też rzeczywiście nie rozumiał — dodał.

O tej porze Joachim bawił u niego niedługo. Poświęcał mu pół godziny lub trzy kwadransy ze swego wieczornego werandowania. Czasem grywali w szachy na jednonogim stoliku — Joachim przynosił je z dołu. Później brał wszystkie manatki i szedł z termometrem w ustach na balkon, a i Hans Castorp mierzył sobie po raz ostatni temperaturę, podczas gdy dźwięki lekkiej muzyki, z mniejszej lub większej odległości, wpadały ze spowitej ciemnością doliny do pokoju. O godzinie dziesiątej kończyło się werandowanie; słychać było, jak ruszał się Joachim; słychać było małżeństwo, które należało do gorszego stołu rosyjskiego... I Hans Castorp obracał się na bok w oczekiwaniu snu.

Noc była trudniejszą częścią doby, bo Hans Castorp budził się często i nieraz leżał tak całymi godzinami, ponieważ niewłaściwa temperatura krwi spędzała mu sen z powiek albo też dlatego, że jego obecny, całkowicie poziomy tryb życia wpływał ujemnie na chęć i zdolność do spania. Godziny drzemania były za to wypełnione najrozmaitszymi, często zmieniającymi się" i nader żywymi marzeniami, które mógł snuć dalej, nawet na jawie. I jeżeli podział i rozbiecie dnia na krótkie okresy skracaly ten dzień, to jednostajna monotonia nocy miała to samo działanie. A gdy wstawał poranek, przyjemnie było śledzić stopniowe rozjaśnianie się i wyłanianie pokoju, wydobywanie się z mroku różnych przedmiotów i patrzeć, jak za oknem zapala się dzień nieznacznie tłącą lub wesołą światłością, i nagle nadchodziła znowu chwila, kiedy mocne stukanie kąpielowego oznajmiało, że dzień wkroczył już w swe prawa.

Hans Castorp nie zabrał z sobą na wycieczkę kalendarza, toteż niekiedy nie orientował się teraz w dacie. Od czasu do czasu informował się u kuzyna, ale i on nie zawsze umiał mu dać dokładną odpowiedź. Bądź co bądź, za drogowskazy mogły służyć niedziele, szczególnie te z koncertami, przypadające raz na

dwa tygodnie; Hans Castorp przeżył tutaj już dwie takie niedziele, i to było przynajmniej pewne, że wrzesień był już dość znacznie, mniej więcej do połowy posunięty. Na dworze zimno i niepogoda, panująca w pierwszych dniach choroby Hansa Castorpa, ustąpiły miejsca gorącym letnim dniom, niezliczonym takim dniom, długiemu ich szeregowi. Joachim, ubrany w białe spodnie, zjawiał się co rano w pokoju kuzyna, który nie mógł pohamować szczerego żalu swej duszy i swych młodych mięśni z powodu niemożności korzystania z tak pięknej pogody. Raz nawet powiedział z cicha, że to „hańba”, ale zaraz potem dodał dla własnego uspokojenia, że nawet gdyby był wolny, nie mógłby o wiele więcej korzystać z owej pogody, bo jak już stwierdził, zbyt ruch nie wychodzi mu tu na dobre. A otwarte na oścież drzwi balkonowe pozwalały mu bądź co bądź rozkoszować się promieniami słońca.

Lecz kiedy jego uwięzienie w łóżku miało się już ku końcowi, pogoda znowu się zmieniła. W ciągu jednej nocy dolina zasnuła się mokrą zadymką i suche tchnienie radiatora rozeszło się po pokoju. Tak było też podczas ранней wizyty lekarzy tego dnia, kiedy Hans Castorp przypomniał radcy Behrensowi, że leży już trzy tygodnie, i prosił o pozwolenie wstania.

— Cóż u licha, już pan jest gotów? — powiedział Behrens. — Niech no pan pokaże, rzeczywiście, zgadza się. Boże, jak człowiek się starzeje. Niewiele się zmieniło u pana w ciągu tego czasu. Co, wczoraj było normalnie? Aha, z wyjątkiem temperatury o szóstej po obiedzie. No, Castorp, więc nie będę już dłużej taki nieubłagany i wrócę pana społeczności ludzkiej. Niech pan sobie wstanie i buja, człowieku! Naturalnie w miarę i w dozwolonych granicach. W najbliższej przyszłości zrobimy portret pańskiego wnętrza. Zapisać! — rzekł wychodząc do dra Krokowskiego i przez ramię wskazał swym wielkim kciukiem Hansa Castorpa, patrząc na bladego asystenta przekrwionymi, łzawiącymi, niebieskimi oczami...

Hans Castorp opuścił „remizę”.

Z postawionym kołnierzem płaszcz i w kaloszach towarzyszył po raz pierwszy znowu kuzynowi podczas spaceru, znowu do

ławki nad strumieniem i z powrotem. Zapytał po drodze, jak też długo kazałby mu leżeć radca dworu, gdyby mu sam nie był zwrócił uwagi, żeznaczony czas już się skończył. A Joachim, patrząc niepewnym wzrokiem i otworzywszy usta jakby do beznadziejnego „ach”, ręką wykonał w powietrzu ruch oznaczający coś, co się nie daje przewidzieć.

„MÓJ BOŻE, JA WIDZĘ!”

Po tygodniu siostra von Mylendonk wezwała Hansa Castorpa do laboratorium rentgenowskiego. Nie upominał się o to. W „Berghofie” dużo było roboty i zapewne lekarze i personel bardzo byli zajęci. W ostatnich dniach przybyli nowi goście: dwóch rosyjskich studentów z bujnymi włosami i w zapiętych po szyję czarnych bluzach, spoza których nie było widać ani rąbka koszuli; holenderskie małżeństwo, któremu wyznaczono miejsce przy stole Settembriniego; jakiś garbaty Meksykanin, przerażający towarzystwo przy stole nagłymi, straszliwymi atakami duszności — żelaznymi chwytami palców czepiał się przy tym swoich sąsiadów, wszystko jedno kobiet czy mężczyzn, obejmował ich żelaznym uściskiem swych długich rąk jak kleszczami; napastowani stawiali mu opór i wzywali pomocy, wciągani w ten sposób w sferę jego lęku. Jednym słowem, jadalnia była wypełniona prawie do ostatniego miejsca, chociaż sezon zimowy rozpoczynał się dopiero w październiku. A stan zdrowia Hansa Castorpa, nasilenie jego choroby nie pozwalało mu rościć sobie pretensji do szczególnej uwagi sąsiadów. Pani Stóhr, pomimo całej głupoty i braku wykształcenia, była z pewnością o wiele bardziej chora niż on, nie mówiąc już o doktorze Blumenkohlu. Jedyne człowiek zupełnie pozbawiony poczucia dystansu i hierarchii — a w sanatorium poczucie to było silnie rozwinięte — nie zachowywałby na miejscu Hansa Castorpa skromnej postawy. Lekko chorzy nie mieli w „Berghofie” wielkiego znaczenia; przekonał się o tym nieraz, przysłuchując się rozmowom. W myśl obowiązujących tu kryteriów mówiono

o nich z lekceważeniem, spoglądano na nich z góry, a czynili to nie tylko ci, co byli poważnie i bardzo poważnie chorzy, ale również sami „lekko” chorzy: w ten sposób, choć sami siebie traktowali lekceważąco, ratowali jednak lepsze mniemanie o sobie dzięki temu, że i do siebie przykładali sanatoryjną miarę. Tacy są ludzie. „Ach, ten! — mógł być ktoś z nich powiedzieć o innym chorym — temu właściwie nic nie jest, nie wiadomo, czy w ogóle ma prawo siedzieć tutaj. Nie ma ani jednej kawerny...” Taki duch panował w zakładzie, był to swoistego rodzaju duch arystokratyczny i Hans Castorp schylał przed nim głowę z wrodzonego poszanowania prawa i ładu wszelkiego rodzaju. Mówi się: co kraj, to obyczaj... Ludzie dowodzą wielkiego braku kultury wyśmiewając zwyczaje i wierzenia ludów, których kraje zwiedzają, a nie dostrzegając wielu cennych zalet. Nawet Joachim cieszył się szacunkiem i względami Hansa Castorpa; nie dlatego, że Joachim bawił tu dłużej i był jego doradcą i przewodnikiem po tej krainie, ale właśnie dlatego, że należał do cięższych przypadków. W tym stanie rzeczy łatwo zrozumieć, że każdy starał się przedstawiać swoją chorobę jako poważną, nawet ją wyolbrzymiać, aby móc należeć do arystokracji lub przynajmniej zbliżyć się do niej. Także Hans Castorp, zapytany przy stole o temperaturę, podawał o kilka kresek więcej, niż miał w rzeczywistości, i schlebiało mu, gdy grożono mu palcem, jak komuś, kogo się uważa za cichą wodę. Ale mimo to, że sobie dodawał, pozostawał właściwie zawsze na niskim szczeblu hierarchii sanatoryjnej; toteż cierpliwość i skromność były dla niego najbardziej wskazaną postawą.

Rozpoczął znowu swój dawny żywot z trzech pierwszych tygodni pobytu, ten dobrze mu znany, jednostajny i dokładnie uregulowany żywot u boku Joachima, i od razu, od pierwszego dnia, poszło mu jak po maśle, jak gdyby tego trybu życia wcale nie był przerywał. I rzeczywiście przerwa ta była bez znaczenia; uświadomił sobie to, skoro tylko po raz pierwszy zasiadł znowu przy ogólnym stole. Wprawdzie Joachim, który przykładał szczególną wagę do podkreślania tego rodzaju momentów, postarał się o to, żeby kilka kwiatków ozdobiło miejsce ozdoro-

wieńca, ale powitanie go przez współbiesiadników było nie bardzo uroczyste i niewiele różniło się od sposobu, w jaki go witano dawniej po trzygodzinnej, a nie trzytygodniowej rozłące. Powodem tego była nie tyle obojętność dla jego prostolinijnej i miłej osoby i nie tyle okoliczność, że ci wszyscy ludzie zanadto przejęci byli sobą, to znaczy swymi wielce interesującymi organizmami, ile raczej fakt, że zupełnie nie uświadamiali sobie tej przerwy. Hans Castorp z łatwością przejął się tym nastrojem, bo i on sam siedział na swoim miejscu w końcu stołu pomiędzy nauczycielką a miss Robinson zupełnie tak, jak gdyby dopiero wczoraj siedział tu po raz ostatni.

Jeżeli nawet najbliżsi sąsiedzi przy stole nie przejmowali się zbyt tym, że Hans Castorp znajduje się znowu w ich gronie, to czyż mogło to zrobić wrażenie w dalszych częściach sali? Tam literalnie nikt nie zauważył tego, z wyjątkiem jednego tylko Settembriniego, który po jedzeniu podszedł do Hansa Castorpa z żartobliwym i przyjaznym powitaniem. Hans Castorp zauważył jeszcze jeden wyjątek — mniejsza o to, czy słusznie. Był pewien, że Kławdia Chauchat spostrzegła jego ponowne zjawienie się — skoro tylko weszła, jak zwykle za późno, do sali jadalnej i trzasnęła drzwiami, skierowała na niego swe wąskie oczy, które napotkały jego spojrzenie, i usiadłszy, z uśmiechem obejrzała się raz jeszcze na niego: z uśmiechem — jak przed trzema tygodniami, kiedy miał udać się na badanie. Zrobiła to tak jawnie i nie licząc się z niczym, ani z nim samym, ani z resztą gości, że Hans Castorp nie wiedział, czy go to ma uradować, czy też raczej gniewać, jako oznaka lekceważenia. Bądź co bądź, serce jego ścisnęło się pod wpływem tych spojrzeń, które w tak potworny dla niego i oszłamiający sposób przechodziły do porządku dziennego nad okolicznością, że Kławdia Chauchat i on właściwie wcale się nie znają — ścisnęło się prawie boleśnie już wtedy, kiedy trzasnęły oszklone drzwi wejściowe, bo chwili tej wyczekiwał z zapartym tchem.

Należy dodać, że wewnętrzny stosunek Hansa Castorpa do pacjentki należącej do lepszego stołu rosyjskiego, zainteresowanie się jego zmysłów i skromnego ducha tą niewielką, miękko

skradającą się postacią z kirgiskimi oczami, jednym słowem jego zakochanie (niech będzie użyte to słowo, chociaż jest właściwie słowem „z dołu”, z równiny, i mogłoby wzbudzić przekonanie, że może tu znaleźć jakieś zastosowanie piosenka „Jak mnie dziwnie czasem wzrusza...”) — zrobiło znaczne postępy podczas jego odosobnienia w pokoju. Jej obraz zjawiał mu się, kiedy obudziwszy się wcześniej, patrzył w stopniowo wylaniający się pokój albo wieczorami w gęstniejący mrok (widział ją niezwykle wyraźnie w owej również chwili, kiedy Settembrini wchodząc do niego nagle zapalił lampę, i dlatego właśnie zaczerwienił się, ujrawszy humanistę); myślał o jej ustach, kościach policzkowych, oczach, których kolor, kształt i osadzenie wryły mu się w duszę, o jej pochylonych plecach, sposobie trzymania głowy, o kręgu szyjnym, widocznym w wycięciu jej bluzki, o ramionach, opromienionych pajęczocienką gazą — myślał o tym wszystkim w ciągu kolejnych godzin, na które rozpadał się dzień. A jeżeli przemilczeliśmy dotychczas, że myśli te sprawiły, iż godziny owe tak niepostrzeżenie i bezboleśnie mijały, to stało się to dlatego, iż bierzemy żywy udział w niepokoju sumienia, który mieszał się z przerażającą błogością tych obrazów i zjaw. Łączyła się ona z obawą i wzburzeniem, z nadzieją, wybiegającą w nieokreśloność, bezkres i awanturniczość, z radością i bezimiennym lękiem, który niekiedy tak niespodziewanie ścisnął serce młodzieńca — serce we właściwym i cielesnym znaczeniu — że jedną ręką przyciskał ten organ, a drugą podnosił do czoła, osłaniając nią sobie oczy, i szeptał:

— Mój Boże!

Bo za tym czołem roily się myśli i półmyśli, które właściwie dopiero użyczały tym obrazom i zjawom ich nazbyt wielkiej słodyczy i tyczyły się niedbałości pani Chauchat i jej nieliczenia się z niczym, jej choroby, która kładła nacisk na jej ciało i podkreślała je, ucieleśniała jej istotę, a która, według orzeczenia lekarza, miała być odtąd jego, Hansa Castorpa, udziałem. Pojmował w głębi swego mózgu tę awanturniczą swobodę, z jaką Madame Chauchat, uśmiechając się i oglądając za siebie,

przechodziła do porządku nad okolicznością, że się towarzysko nie znają, jak gdyby nie byli w ogóle istotami towarzyskimi i jak gdyby nawet nie było potrzebne, żeby z sobą rozmawiali... i to właśnie napełniało go strachem: takim samym, jaki odczuwał wtedy, gdy w pokoju przyjęć podniósł szukający wzrok z obnażonego torsu Joachima do jego oczu — z tą różnicą, że wówczas współczucie i troska były przyczyną jego lęku, a tutaj wchodziły w grę zupełnie inne sprawy.

Tak więc życie „Berghofu”, to miłe i dokładnie unormowane życie na wąskiej przestrzeni, szło znowu swym utartym torem — Hans Castorp, czekając na podobiznę swego wnętrza, nadal dzielił je z pocziwym Joachimem, godzina za godziną czyniąc to samo co tamten; i to sąsiedztwo było dla młodzieńca korzystne. Bo chociaż było to tylko koleżeństwo w chorobie, to jednak było w nim wiele z żołnierskiej godności: godności, która, nie zdając sobie z tego sprawy, już prawie zadowalała się służbą kuracyjną; i służba ta stawała się surogatem spełniania obowiązków na nizinie i jakby podrzuconym zawodem. Hans Castorp nie był tak głupi, żeby tego wyraźnie nie widzieć, zdawał sobie jednak dobrze sprawę, że owo sąsiedztwo działa hamująco i powstrzymująco na jego usposobienie cywila — możliwe nawet, że to sąsiedztwo, przykład Joachima i jego opieka nad Hansem Castorpem były tym, co wstrzymywało młodzieńca od pewnych poczynań i nieopatrznych przedsięwzięć. Bo widział dobrze, ile cierpiał biedny Joachim z powodu pewnej co dzień ogarniającej go atmosfery pomarańczowego zapachu, za którą kryły się okrągłe, brązowe oczy, drobny rubin, niezupełnie usprawiedliwiona ochota do śmiechu i piersi na zewnątrz tak ładnie zarysowane. Rozsądek i uczciwość, które kazały Joachimowi unikać tej atmosfery i uciekać od niej, silnie wzruszały Hansa Castorpa, dodawały mu siły i pewnej dyscypliny wewnętrznej i nie pozwalały mu, jeżeli tak się można wyrazić, „pożyczyć ołówka” od wąskookiej Rosjanki — do czego, jak pouczało doświadczenie, bez trzymającego w karchach sąsiedztwa z pewnością byłby gotów.

Joachim nigdy nie wspominał o tej śmieszce Marusi, a więc

i Hans Castorp nie mógł z nim mówić o Kławdii Chauchat. Starał się powetować to sobie, prowadząc ukradkiem rozmowy z nauczycielką, siedzącą przy stole po prawej stronie; przekomarzał się ze starą panną na temat jej słabości dla gibkiej chorej, tak że panna Engelhart oblewała się rumieńcem, a on tymczasem walczył z drzeniem szyi, naśladowując pełen godności sposób, w jaki stary Castorp trzymał głowę. Wyciągał też z nauczycielki ważne dla siebie wiadomości, dotyczące się osoby pani Chauchat, jej pochodzenia, męża, wieku, rodzaju jej choroby. Chciał wiedzieć, czy ma dzieci... Ależ nie, nie ma. Cóż by taka kobieta jak ona miała rdbić z dziećmi? Prawdopodobnie jest jej surowo zabronione mieć dzieci — a ponadto: cóż by to były za dzieci? Hans Castorp musiał się zgodzić z tym poglądem. Poza tym, jak przypuszczał z wielką rzeczowością, było już na to za późno. Czasami, z profilu, rysy pani Chauchat wydawały mu się już trochę zaostrome. Czy przekroczyła już trzydziestkę? Panna Engelhart żywo zaprzeczyła. Kławdia, trzydzieści lat? W najgorszym razie ma dwadzieścia osiem. A co się tyczy profilu, to zabrania Hansowi Castorpowi mówić coś podobnego. Kławdia ma profil młodzieńczy, miękki i słodki, chociaż naturalnie interesujący, nie jak profil pierwszej lepszej gęsi. A za karę panna Engelhart dodała natychmiast, że wie, iż panią Chauchat często odwiedza pewien pan, jej rodak, który przychodzi z Uzdrowiska: przyjmuje go po obiedzie w swoim pokoju.

To było dobrze wycelowane. Hans Castorp zmienił się na twarzy, chociaż usiłował zapanować nad sobą, a zwroty, którymi starał się reagować na to odkrycie, zbudowane na modłę „Co też pani...” albo „Patrzcie no”, brzmiały nienaturalnie. Nie umiając, jak to zrazu pragnął, udawać, że lekko traktuje istnienie tego rodaka, drżącymi wargami powracał ciągle do tego tematu. Czy to człowiek młody? Nauczycielka odpowiedziała, że, o ile słyszała, jest młody i przystojny, bo sama go nie widziała. Czy chory? — Co najwyżej lekko chory! — Hans Castorp powiedział szyderczo, że ma nadzieję, iż ma na sobie więcej bielizny niż jego ziomkowie należący do gorszego stołu rosyjskiego — za co panna Engelhart, wciąż jeszcze, by ukarać

młodzieńca, gotowa była ręczyć. Wtedy przyznał, że należy bliżej się sprawą tą zająć, i poważnie zlecił panie Engelhart, aby zbadała, co tu właściwie robi ten rodak składający wizyty. Zamiast jednak zdobyć co do tego jakieś wiadomości, po kilku dniach wiedziała coś zupełnie nowego.

Wiedziała, że ktoś Kławdię Chauchat maluje, portretuje, i spytała Hansa Castorpa, czy także wie o tym. Jeżeli nie wie, to może jednak być tego zupełnie pewien, bo ona ma tę wiadomość z najpewniejszego źródła. Od dłuższego czasu pozuje tutaj w zakładzie komuś do portretu — a komu? Radcy Behrensowi! Panu radcy dworu, którego prawie codziennie odwiedza w tym celu w jego prywatnym mieszkaniu.

Nowina ta wywarła na Hansie Castorpie wrażenie jeszcze większe niż poprzednia. Nie przestawał z przekąsem dowcipkować na ten temat. No cóż, przecież wiadomo, że pan radca maluje olejne obrazy — to przecież nie jest zabronione i wolno każdemu. A więc w samotnym ustroniu pana radcy? Miejmy nadzieję, że przynajmniej panna von Mylendonk jest obecna na tych seansach. — O, ta na pewno nie ma czasu. — Behrens nie powinien mieć więcej czasu niż starsza siostra — powiedział surowo Hans Castorp. Ale chociaż w ten sposób powiedział coś jakby definitywnego w tej kwestii, był daleki od porzucenia jej i wciąż wypytywał o bliższe i dalsze szczegóły: o obraz i jego format, czy to ma być tylko głowa, czy postać do kolan; i w jakiej porze odbywają się seanse, — ale panna Engelhart i tutaj nie mogła służyć wyczerpującymi odpowiedziami i musiała go pocieszać, że zasięgnie dalszych informacji.

Po otrzymaniu tej wiadomości Hans Castorp miał 37,7. Bardziej niż wizyty, które pani Chauchat przyjmowała, bolały i niepokoiły go te, które składała.

Życie prywatne pani Chauchat, jako takie, samo w sobie i niezależnie od swojej treści, zaczęło już od pewnego czasu budzić w nim niepokój i ból, jak bardzo więc musiały się oba te uczucia pogłębić, kiedy do uszu jego doszły tak dwuznaczne słowa! Wprawdzie na ogół było możliwe, że stosunki owego Rosjanina z panią Chauchat były zupełnie poprawne i niewinne, ale Hans

Castorp był od pewnego czasu skłonny uważać poprawność i niewinność za bzdury. Nie mógł też przewyciężyć się i wyzbyć się podejrzania, że poza portretowaniem wąskookiej młodej kobiety, o skradającym się kroku, przez rubasznie się wyrażającego wdowca, kryje się coś innego. Dobry gust, który okazał radca dworu w wyborze modelu, zanadto był zgodny z jego własnym gustem, by Hans Castorp mógł tu wierzyć w poprawność, a wyobrażenie Behrensa, jego sinych policzków i łzawiących oczu z czerwonymi żyłkami, nie przyczyniało się do umocnienia takiej wiary.

Pewne spostrzeżenie, które uczynił w tych dniach przypadkowo i na własną rękę, podziało na niego inaczej, choć i ono było potwierdzeniem jego dobrego gustu. Przy poprzecznym stole pani Salomon i żarłocznego ucznia w okularach, na lewo od stołu obu kuzynów, obok bocznych drzwi, siedział pewien chory z Mannheimu, jak słyszał Hans Castorp, człowiek może trzydziestoletni, z przeredzonymi włosami i popsutymi zębami, mówiący powoli i jakby z wahaniem — ten sam, który czasem wieczorami grywał na pianinie, a mianowicie najczęściej marsz weselny ze „Snu nocy letniej”. Mówiono, że jest bardzo pobożny, co nie było, jak to łatwo zrozumieć, rzadkim wypadkiem u tych w górze. Podobno co niedziela chodził na mszę do kościoła w Uzdrowisku, a na werandzie czytywał nabożne książki, zdobne w rysunek kielicha albo gałązek palmowych na okładce. Człowiek ten, jak zauważył pewnego razu Hans Castorp, kierował swój wzrok w to samo miejsce, które ściągało na siebie oczy Hansa Castorpa, kierował go i zatrzymywał na giętkiej postaci pani Chauchat, i to w sposób lękliwy i uporczywie jak pies. Hans Castorp spostrzegłszy to pewnego razu musiał się wciąż na nowo o tym przekonywać. Widział, jak stawał wieczorami w bawialni pośród gości i patrzył z posepnym zapamiętaniem na tę uroczą, choć przez chorobę toczoną kobietę, rozmawiającą tam w małym salonie, na kanapce, z Tamarą — tak nazywała się ta humorystyczna panna o wełnistych włosach — z drem Blumenkohlem i z owym siedzącym przy jej stole panem o zapadniętych piersiach i obwisłych ramionach; widział,

jak się niekiedy odwracał, wałęsał się wśród gości i znowu patrzył tam przez ramię, przesuając w bok gałki oczu i żałośnie unosząc górną wargę. Widział, jak bladł i nie podnosił głowy, w końcu jednak przecież ją podnosił i patrzył chciwie, kiedy trzaskały drzwi i pani Chauchat sunęła ku swemu miejscu. I nieraz widział, jak, biedak, stawał po jedzeniu pomiędzy drzwiami wyjściowymi a lepszym stołem rosyjskim, ażeby pani Chauchat, która nie zwracała na niego uwagi, musiała przejść tuż obok niego, i jak z bezpośredniej bliskości pozerzał ją wtedy oczami bezdennie smutnymi.

I to więc odkrycie bardzo obeszło młodego Hansa Castorpa, chociaż pożałowania godne gapienie się mannheimczyka nie mogło zaniepokoić go w równej mierze, jak prywatne obcowanie Kławdii Chauchat z radcą Behrensem, człowiekiem tak znacznie przewyższającym go jako osobowość i pod względem wieku, i pozycji życiowej. Kławdia zupełnie nie troszczyła się o mannheimczyka. Hans Castorp, uczulony wewnątrz na tę sprawę, z pewnością byłby to zauważył, gdyby tak było, a więc nie cierń zazdrości ranił w tym wypadku tak okrutnie jego duszę. Ale doświadczał Wszystkich uczuć, których doświadcza upojenie i. namiętność, kiedy spotyka w świecie zewnętrznym swe własne odbicie; jest to dziwna mieszanina wstrętu i poczucia solidarności. Niemożliwością jest wszystko zgłębić i zanalfzować, jeżeli chcemy ruszyć z miejsca. Cokolwiek jednak obserwowanie mannheimczyka rodziło w duszy biednego Hansa Castorpa, w każdym razie było to ponad jego siły.

Tak minął tydzień, po którego upływie Hans Castorp miał być prześwietlony. Nie wiedział sam, że już minął, a kiedy pewnego razu podczas pierwszego śniadania starsza siostra (znowu miała jęczmień na oku; w żaden sposób nie mógł to być ten sam, widocznie więc to niewinne, ale szpecące ją cierpienie było organiczne) poleciła mu udać się po obiedzie do laboratorium, zrozumiał, że tydzień się skończył. Hans Castorp miał stawić się razem z kuzynem na pół godziny przed podwieczorkiem; bo i Joachimowi miano przy tej sposobności zrobić zdjęcie — poprzednie musiało już być przestarzałe,

Tak więc skrócili dzisiaj główne werandowanie o trzydzieści minut; punktualnie o wpół do czwartej zeszli po kamiennych schodach do rzekomych piwnic i usiedli w małej poczekalni, oddzielającej pokój przyjęć od laboratorium rentgenologicznego. Joachim, którego nic nowego nie czekało, był zupełnie spokojny, a Hans Castorp w nastroju gorączkowego oczekiwania, ponieważ nikt dotychczas nie przypatrywał się wewnętrznemu życiu jego organizmu. Nie byli sami: kiedy weszli, siedziało tam już kilku pacjentów, z podartymi zeszytami ilustrowanych pism na kolanach, i czekało swej kolei: olbrzymi młody Szwed, który jadał przy stole Settembriniego i o którym mówiono, że kiedy przyjechał w kwietniu, był tak chory, iż prawie nie chciano go przyjąć; ale teraz przybyło mu osiemdziesiąt funtów, i miał już jako zupełny ozdrowieniec opuścić sanatorium; następnie pewna pani z gorszego stołu rosyjskiego, matka, niezmiernie wątła, z jeszcze węższym, długonosym i brzydkim chłopcem, któremu na imię było Sasza. Te osoby czekały więc dłużej niż obaj kuzyni; widocznie miały wezwania na wcześniejszą godzinę; ale musiało coś opóźnić się obok w sąsiednim pokoju, gdzie prześwietlano; wróżyło to zimną herbatę.

W laboratorium pracowano. Słysząc było głos radcy dworu, wydającego polecenia. O wpół do czwartej, a może jeszcze trochę później, drzwi otworzyły się — otworzył je asystent techniczny, zatrudniony tutaj na dole, i wpuszczono najpierw olbrzymiego Szweada-szczęściarza; poprzednik jego wyszedł, widać, innymi drzwiami. Teraz wszystko potoczyło się rażniej. Już po dziesięciu minutach słysząc było na korytarzu kroki oddalającego się skandynawskiego ozdowieńca, tej chodzącej reklamy sanatorium i uzdrowiska, a jednocześnie wpuszczono Rosjankę z jej synkiem Saszą. Znowu, jak już wtedy, kiedy Szwed wchodził do laboratorium, Hans Castorp zauważył, że panuje tam półmrok, a właściwie sztuczne półświatło — zupełnie tak samo, jak po drugiej stronie w analitycznym gabinecie dra Krokowskiego. Okna były zasłonięte, światło dzienne nie dochodziło zupełnie, paliło się tylko kilka lamp elektrycznych. Ale w chwili kiedy Sasza z matką, odprowadzeni spojrzeniem Hansa Castor-

pa, weszli do laboratorium, otworzyły się drzwi od korytarza i do poczekalni weszła następna pacjentka — za wcześnie wobec istniejącego opóźnienia — a była nią Madame Chauchat.

— Tak, w małym pokoiku ukazała się nagle Kławdia Chauchat. Kiedy Hans Castorp poznał ją, otworzył szeroko oczy i poczuł, że krew ucieka mu z twarzy, a dolna szczęka drętwieje, tak że zaledwie powstrzymał odruch rozchylania się ust. Wejście Kławdii było tak nieoczekiwane, takie jakieś ni stąd, ni zowąd — po prostu znalazła się nagle w małym pokoju wraz z obydwoma kuzynami, chociaż przed chwilą zupełnie jej tam nie było. Joachim szybko spojrział na Hansa Castorpa i nie tylko spuścił w dół oczy, ale wziął nawet znowu ze stołu pismo ilustrowane, które już przedtem tam odłożył, i ukrył za nim twarz. Hans Castorp nie miał tyle siły, żeby pójść za jego przykładem. Zbladł na chwilę, po czym znowu silnie się zaczerwienił, a serce biło mu jak młotem.

Pani Chauchat usiadła przy drzwiach do laboratorium w małym okrągłym foteliku z krótkimi, jakby szczątkowymi poręczkami, oparła się głęboko, lekko założyła nogę na nogę i spoglądała w przestrzeń; świadomość tego, że jest obserwowana, sprawiła, iż jej oczy Przybysława, nerwowo odchylone w bok od kierunku patrzenia, cokolwiek zezowały. Miała na sobie biały sweter i granatową spódniczkę; na kolanach trzymała książkę, prawdopodobnie wypożyczoną z biblioteki, i lekko postukiwała stopą opartą o podłogę.

Już po upływie półtorej minuty zmieniła pozycję, obejrzała się dokoła, wstała z taką miną, jak gdyby nie wiedziała, co począć i dokąd się zwrócić — i zaczęła mówić. Zapytała o coś, a pytanie swoje skierowała do Joachima, chociaż był na pozór zatopiony w czytaniu gazety, a Hans Castorp siedział nic nie robiąc; usta jej formowały słowa, a z białej szyi wydobywał się głos: był to ów głos niezbyt głęboki, nieco ostry i przyjemnie zachrypnięty, który Hans Castorp już znał od dawna, a raz już nawet słyszał z bezpośredniej bliskości: wówczas kiedy głos ten odezwał się wprost do niego: „Chętnie. Ale po lekcji musisz mi go koniecznie oddać”. Wtedy jednak słowa były płynniej

wypowiedziane i jakieś pewniejsze; teraz wlokły się i urywały, jak gdyby osoba wymawiająca je nie miała do nich prawa i tylko je sobie wypożyczała; Hans Castorp nieraz już słyszał ją tak mówiącą i zawsze doznawał przy tym uczucia wyższości, ale jednocześnie i pokornego zachwytu. Pani Chauchat spytała, jedną rękę trzymając w kieszeni wełnianego swetra, a drugą poprawiając sobie włosy na tyle głowy:

— Przepraszam, na którą godzinę jest pan zamówiony?

A Joachim, rzuciwszy szybko okiem na swego kuzyna, odparł stuknąwszy obcasami w pozycji siedzącej:

— Na wpół do czwartej.

Mówiła dalej:

— A ja na trzy kwadranse na czwartą. Co to się stało? Już dochodzi czwarta. Przed chwilą wszedł tam ktoś jeszcze, prawda?

— Tak, dwie osoby — odrzekł Joachim. — Czekają przed nami. Widocznie jakieś spóźnienie. Zdaje się, że wszystko zostało przesunięte o pół godziny.

— To przykre! — powiedziała, nerwowo dotykając swych włosów.

— Raczej tak — odpowiedział Joachim. — My także czekamy już prawie pół godziny.

Tak rozmawiali z sobą, a Hans Castorp słyszał wszystko jak przez sen. To, że Joachim rozmawiał z panią Chauchat, było prawie tak, jak gdyby on sam z nią rozmawiał — chociaż, co prawdą, było to coś zupełnie innego. Słowa „raczej tak” obraziły Hansa Castorpa, wydawały mu się zuchwałe i co najmniej dziwnie obojętne, zważywszy, w jakich okolicznościach zostały wypowiedziane. Ale Joachimowi wolno było ostatecznie tak mówić — w ogóle wolno mu było z nią mówić, a może nawet chełpił się przed Hansem Castorpem tym zuchwałym „raczej tak”, podobnie jak on sam zgrywał się wówczas przed Joachimem i przed Settembrlnim, kiedy na pytanie, jak długo ma zamiar tu zostać, odpowiedział „trzy tygodnie”. Chociaż zasłaniał się gazetą, zwróciła się jednak do Joachima — zapewne dlatego, że był tu już od dawna i że lepiej znała go z widze-

nia — ale również i z tego powodu, że łączyły ich zwykłe ludzkie stosunki, że możliwy był między nimi artykułowany sposób wyrażania się, a nie było nic z dzikości, głębi, lęku i tajemnicy. Gdyby czekał tutaj wraz z nimi ktoś z brązowymi oczami, z rubinowym pierścionkiem i zapachem pomarańcz, wtedy jego, Hansa Castorpa, rzeczą byłoby prowadzić rozmowę i powiedzieć „raczej tak”, bo w stosunku do tego kogoś był czysty i niezależny. „Zapewne, raczej przykre, proszę pani!” — tak powiedziała jej, a może nawet energicznym ruchem wyciągnąłby z kieszeni chustkę, ażeby wytrzeć sobie nos. „Proszę mieć trochę cierpliwości. My jesteśmy w nie lepszym położeniu.”

A Joachima dziwiłaby wtedy jego pewność siebie — chociaż zapewne nie życzyłaby sobie być na jego miejscu. Nie, w tym stanie rzeczy Hans Castorp także nie zazdrościł Joachimowi, chociaż to on rozmawiał z panią Chauchat. Godził się na to, że się zwróciła do niego; w ten sposób dała do zrozumienia, że liczy się z okolicznościami i że jest ich zupełnie świadoma... Serce waliło mu jak młotem.

Pani Chauchat, potraktowana w ten pełen umiaru sposób przez Joachima — w sposobie tym Hans Castorp dopatrywał się śladów wrogiego nastawienia kuzyna względem towarzyszki niedoli i nastawienie to, pomimo całego wzburzenia, wydało mu się zabawne — spróbowała przejść się po pokoju, ale ponieważ poczekalnia była na to za mała, wzięła także ze stołu numer jakiegoś ilustrowanego pisma i powróciła z nim na fotelik ze szczątkowymi poręczami. Hans Castorp siedział na miejscu i wpatrywał się w nią, naprężając wzorem dziadka mięśnie szyi, co go istotnie w śmieszny sposób upodabniało do staruszka. Ponieważ pani Chauchat znowu założyła nogę na nogę, kolano jej, a nawet cała linia wysmukłej nogi wyraźnie rysowała się pod granatowym materiałem spódnicy. Była średniego tylko wzrostu, w oczach Hans Castorpa bardzo miłego i odpowiedniego, ale nogi miała stosunkowo długie i nie była szeroka w biodrach. Nie opierała się głęboko, ale siedziała pochylona naprzód, skrzyżowane ręce oparła o udo przerzuconej nogi; siedziała z pochylonymi plecami i opadającymi ramionami, tak

że kręgi karku wyraźnie się odznaczały i pod przylegającym swetrem nawet kręgosłup był niemal widoczny; piersi, nie tak wysokie i bujne jak u Marusi, lecz drobne i dziewczęce, z obu stron ściśnięte były ramionami. Hans Castorp przypomniał sobie nagle, że i ona czeka tutaj na prześwietlenie. Pan radca malował ją; za pomocą oleju i farb odtwarzał na płótnie jej zewnętrzny wygląd. Ale teraz, w półmroku, skieruje na nią promienie, które odsłonią przed nim wnętrze jej ciała. Myśląc o tym Hans Castorp odwrócił w bok głowę z wyrazem godnego zasępienia, dyskrecji i obyczajności: wydawało mu się, że sam przed sobą powinien przybrać ten wyraz twarzy wobec obrazu, jaki nasuwała mu w tej chwili fantazja.

Niedługo pozostali w pokoju we troje. Widocznie prędko załatwiono się tam w środku z Saszą i jego matką i śpieszono się, by wyrównać stratę czasu. Technik w białym fartuchu otworzył znów drzwi, Joachim rzucił na stół ilustrowane czasopismo i powstał z miejsca, a Hans Castorp, co prawda nie bez wewnętrznego wahania, ruszył za nim ku drzwiom. Budziły się w nim rycerskie wątpliwości, zastanawiał się, czy nie należałoby jednak w sposób ogólnie przyjęty przemówić do pani Chauchat i zaofiarować jej pierwszeństwa, w miarę możliwości uczynić to może nawet po francusku, i gorączkowo zaczął szukać odpowiednich słów i układać zdania. Ale nie wiedział, czy takie rycerskie grzeczności są tutaj uświęcone zwyczajem, czy też raczej rzeczywista kolejność nie jest dużo ważniejsza od rycerskości. Joachim wiedział to zapewne, ale ponieważ nie miał zamiaru ustąpić czekającej damie, chociaż Hans Castorp spojrział na niego niespokojnie i znacząco, więc i on podążył za nim, przechodząc koło pani Chauchat, która na chwilę tylko podniosła schyloną głowę, i wszedł przez drzwi do laboratorium.

Zanadto był oszołomiony tym, co pozostawił za sobą, tymi przeżyciami ostatnich dziesięciu minut, żeby wszedłszy do laboratorium mógł od razu wewnątrznie się przestawić. Nie widział nic, a właściwie tylko ogólne zarysy, wyłaniające się z półmroku. Słyszał jeszcze przyjemnie matowy głos pani Chauchat, którym powiedziała: „Co to się stało... Przed chwilą

wszedł tam ktoś jeszcze... To przykre...", i dźwięk tego głosu wywoływał rozkoszny dreszcz wzdłuż jego pleców. Widział, jak pod wełnianą spódniczką rysowało się jej kolano, widział kręgi szyjne, występujące na pochylonym karku spod krótkich rudawoblonde włosów, które w tym miejscu wymykały się swobodnie ze splotów warkocza — i znów przebiegł go ów dreszcz. Widział radcę Behrensa, stojącego tyłem do wchodzących, przed szafą czy jakimiś wmurowanymi półkami, i oglądającego ciemną kliszę, którą w wyciągniętej ręce trzymał pod mdłe światło padające z sufitu. Minęli go i przeszli w głąb pokoju, a po drodze wyprzedził ich technik, który już czynił przygotowania do badania. W powietrzu unosił się dziwny zapach, atmosferę wypełniał jakby zastarzały ozon. Ścianka, wysuwająca się pomiędzy dwóch okien, zawieszonych czarnymi zasłonami, dzieliła pokój na dwie nierówne części. Można było odróżnić przyrządy fizykalne, szkła dęte, tablice rozdzielcze, sterczące w górę instrumenty miernicze; dalej skrzynię podobną do kamery fotograficznej i umieszczoną na stojaku na kółkach, szereg szklanych przezroczyc, wpuszczonych w ścianę — trudno było rozstrzygnąć, czy jest się w pracowni fotografa, w ciemni, czy w warsztacie wynalazcy albo technicznym laboratorium czarno-księżnika.

Joachim natychmiast zaczął rozbierać się do połowy. Pomocnik, młody, krępy i rumiany tubylec, kazał Hansowi Castorpowi zrobić to samo. To idzie prędko, zaraz będzie kolej na niego... Podczas gdy Hans Castorp zdejmował kamizelkę, Behrens wyszedł z mniejszej części pokoju, w której stał dotychczas, i ukazał się w obszerniejszej.

— Halo! — zawołał. — Oto nasi Dioskurowie! Castorp i Poluks. Zwracam uwagę: jęczeć nie wolno! Czekajcie, zaraz przejrzymy tu was obu. Zdaje mi się, Castorp, że pan lęka się otworzyć przed nami swoje wnętrze? Niech pan będzie spokojny; wygląda zupełnie estetycznie. Czy widział pan już moją prywatną galerię? — I pociągnął Hansa Castorpa za ramię przed rząd czarnych szkieł, poza którymi zapalił światło elektryczne. Wówczas rozjaśniły się — wystąpiły na nich obrazy. Hans

Castorp ujrzał członki ludzkie: ręce, nogi, rzepki kolanowe, podudzia i uda, ramiona i części miednicy. Ale okrągłe kształty tych ułamków żywego ciała ludzkiego były tylko schematyczne i miały niewyraźne kontury; jak mgła, jak błada poświata niepewnie otaczały swoje jasno, precyzyjnie i ostro występujące jądro — szkielet.

— Bardzo ciekawe — rzekł Hans Castorp.

— Ma się rozumieć, że ciekawe! — odpowiedział radca dworu. — Pożyteczna lekcja pogładowa dla młodych ludzi. Anatomia świetlna, rozumie pan, triumf ostatniej doby. To jest ramię kobiece, poznaje pan to po jego wdzięku. Tym właśnie one obejmują nas w czasie miłosnej igraszki, rozumie pan. — I zaczął śmiać się, wykrzywając przy tym wargę z przystrzyżonym wąsikiem, która uniosła się niesymetrycznie w górę. Obrazy zagasły. Hans Castorp odwrócił się w tę stronę, gdzie przygotowywano prześwietlanie Joachima.

Działo się to przed ową ścianką, poza którą stał zrazu radca Behrens. Joachim usiadł na czymś w rodzaju szewskiego zydlu, przed deską, do której przycisnął pierś i którą nadto objął obie rękami; pomocnik poprawiał jego pozycję ugniatającymi ruchami, wysunął mu barki trochę bardziej naprzód i masował plecy. Potem udał się poza kamerę, ażeby, nachyliwszy się i rozkraczywszy nogi, jak pierwszy lepszy fotograf, dokładnie przyjrzeć się obiektowi; uznał, że wszystko w porządku, i odstąpiwszy w bok kazał Joachimowi głęboko wciągnąć powietrze i zatrzymać je w płucach do ukończenia zabiegu. Zaokrąglone plecy Joachima wydęły się i tak pozostały. W tym momencie pomocnik wykonał na tablicy rozdzielczej odpowiedni ruch. Na przeciąg dwóch sekund rozpętały się straszliwe siły, potrzebne do tego, aby promienie mogły przeniknąć materię: prądy o napięciu tysięcy wolt — stu tysięcy, jak sobie przypominał Hans Castorp. Zaledwie opanowane dla spełnienia celu, usiłowały bocznymi drogami wyładować się wśród huku przypominającego wystrzały. Przyrząd mierniczy otoczony był trzeszczącym błękitem. Długie błyskawice z trzaskiem przelatywały wzdłuż ściany. Ukazało się gdzieś czerwone światelko, jak oko groźnie

i nieruchomo spoglądające w ciemność, a za plecami Joachima zielono zabłysła jakaś ampułka. Potem wszystko ucichło; zjawiska świetlne znikły i Joachim z głębokim westchnieniem wypuścił z płuc powietrze. Było po wszystkim.

— Następny delikwent! — zawołał Behrens i trącił łokciem Hansa Castorpa. — Tylko proszę nie zasłaniać się zmęczeniem! Dostanie pan odbitkę. Będzie pan mógł jeszcze swoim dzieciom i wnukom pokazywać na ekranie tajemnice swego wnętrza!

Joachim odszedł na bok; technik zmienił kliszę. Radca Behrens osobiście pouczał nowicjusza, jak ma usiąść i zachowywać się. — Objąć! — rzekł. — Objąć deskę! Może pan sobie zresztą wyobrazić co innego na jej miejscu! A dobrze przyciskać piersi, jakby z tym były połączone rozkoszne wrażenia. Tak, dobrze. Wciągnąć powietrze! Teraz spokojnie! — komenderował. — Proszę o miły wyraz twarzy! — Hans Castorp czekał, mrugając oczami, z płucami pełnymi powietrza. Z tyłu, za nim rozpętała się burza, trzeszczała, trzaskała, huczała i wreszcie się uciszyła. Obiektyw zajął mu do środka.

Hans Castorp podniósł się; był zmieszany i oszołomiony tym, co się z nim stało, chociaż przecież przeszycia promieniami nie odczuł zupełnie. — Bardzo grzecznie — powiedział radca dworu. — A teraz sami zajrzemy. — Joachim, wyszkolony już, przeszedł do przedniej części pokoju, bliżej drzwi, i zatrzymał się przy stojaku, mając za plecami imponujący rozmiarami przyrząd, opatrzony w połowie wysokości szklaną kulą, do połowy napełnioną wodą, i łączący się z rurą; przed nim, na wysokości piersi, wisiał na blokach ekran, wprawiony w ramę. Po lewej ręce Joachima, na środku tablicy rozdzielczej, widniała czerwona lampka. Radca dworu zapalił ją, siedząc okrakiem na stołku przed ekranem. Górna lampa zgasła i scenę rozświetlały jedynie rubinowe promienie. Wtedy mistrz szybkim ruchem ręki wyłączył i to ostatnie światło; głęboki mrok zapanował w laboratorium.

— Przede wszystkim oczy muszą przywyknąć — odezwał się w ciemności radca dworu. — Najpierw muszą się nam rozszerzyć źrenice, jak kotom, żebyśmy mogli zobaczyć to, co

chcemy. Pan chyba rozumie, że bez przygotowania, naszymi zwykłymi dziennymi oczami nie możemy tego dobrze zobaczyć. Trzeba do tego zapomnieć o jasnym dniu i jego wesołych obrazach.

— Naturalnie — odparł Hans Castorp, stojąc za plecami radcy Behrensa. Zamknął oczy, bo dokoła panowała tak głęboka noc, że było wszystko jedno, czy oczy miało się otwarte, czy zamknięte. — Najpierw' trzeba sobie oczy przemyć ciemnością, żeby potem móc widzieć to wszystko — to jasne. Uważam to nawet za zupełnie słuszne, żebyśmy przedtem nieco się skupili, jakby w cichej modlitwie. Stoję sobie z zamkniętymi oczami i jest mi przyjemnie, senność mnie ogarnia. Ale co tu tak pachnie?

— Tlen — odparł radca dworu. — To, co pan czuje w powietrzu, jest oxygenium... Rozumie pan, atmosferyczny produkt burzy w pokoju... Oczy do góry! — rzekł. — Teraz rozpoczynamy zaklęcia.

Hans Castorp spiesznie usłuchał rozkazu.

Słychać było, jak przełożono jakąś dźwignię. Jakiś motor ruszył i rozpędzał się z coraz wyższym gwizdem, aż został za pomocą nowego chwytu zmuszony do jednostajnego tempa. Podłoga drżała miarowo. Pionowe, podłużne, czerwone światelko z cichą groźbą patrzyło w mrok. Gdzieś zatrzeszczała jakaś błyskawica. I z wolna, jak rozjaśniające się mleczną poświatą okno, wystąpił z ciemności blady czworokąt fluoryzującego ekranu, przed którym na szewskim zydlu siedział okrakiem radca Behrens; rozstawił szeroko kolana, wsparł na nich pięści i przytknął swój zadarty nos prawie do samej szyby, ukazującej wewnątrz organizm ludzkiego.

— Czy widzisz, młodzieńcze? — zapytał.

Hans Castorp przechylił się przez jego ramię, ale jeszcze raz podniósł głowę i zwrócił się w stronę, gdzie należało domyślać się oczu Joachima, spoglądających zapewne łagodnie i smutno, jak wtedy, podczas badania.

— Pozwolisz chyba? — zapytał.

— Ależ proszę — odpowiedział uprzejmie Joachim z ciem-

ności. I podczas gdy podłoga drżała, a rozpięte moce trzaskały i huczały, Hans Castorp pochylony patrzył przez bladą szybę w pusty szkielet Joachima. Mostek wraz z kręgosłupem dawał na ekranie ciemną, chrząstkową kolumnę. Rusztowanie przednich odcinków żeber poprzecinane było bledszymi cieniami odcinków tylnych. Po obu stronach widniały wygięte łuki obojczyków, a w otoczeniu miękkiego półcienia ciała ostro i wyraźnie rysowały się kości barkowe i początek przedramienia. Obszar płucny był jasny, ale można było rozróżnić jakieś żyłkowanie, ciemne plamy i czarniawe zygzaki.

— Jasny obraz — odezwał się radca dworu. — Oto elegancka szczupłość, wojskowa młodzieńczość. Miewałem tutaj tłuszciochów zgoła nieprzeniknionych; nic prawie nie można było rozpoznać. Trzeba by dopiero odkryć promienie przechodzące przez taką warstwę tłuszczu... Ale tu mamy czystą robotę. Czy widzi pan przeponę? — spytał i wskazał palcem na ciemny łuk, to wznoszący się, to opadający u dołu ekranu. — Czy widzi pan te garby, te wzniesienia po lewej stronie? To jest zapalenie opłucnej, które pański kuzyn miał w piętnastym roku życia. Głęboko oddychać! — komenderował. — Głębiej! Przecież mówię, głęboko! — I przepona Joachima podniosła się drżąc, jak można najwyżej do góry, w górnej części płuc rozjaśniło się, ale radca Behrens jeszcze nie był zadowolony. — Niedostatecznie! — powiedział. — Czy widzi pan gruczoły wnekowe? Czy widzi pan zrosty? Czy widzi pan tu te kawerny? Stąd właśnie pochodzą jady, które go odurzają. — Ale uwaga Hansa Castorpa pochłonięta była czymś w kształcie worka, czymś nieforemnym i zwierzęcym, widocznym jako ciemne miejsce poza środkową kolumną, znajdującym się z punktu widzenia obserwatora przeważnie po prawej stronie — czymś, co się regularnie rozszerzało i znowu kurczyło, mniej więcej na podobieństwo płynącej meduzy.

— Czy widzi pan jego serce? — spytał radca Behrens, podnosząc znowu olbrzymią rękę i wskazując palcem na pulsujący twór... Wielki Boże, to, co widział Hans Castorp, było sercem, zacnym sercem Joachima!

— Widzę twoje serce! — powiedział stłumionym głosem.

— Ależ proszę — odrzekł znowu Joachim, i pewnie tam wyżej, w ciemności, uśmiechnął się uprzejmie. Ale pan radca kazał im milczeć i nie rozczulać się. Studiował plamy i linie, czarne zygzaki we wnętrzu klatki piersiowej, a jego współobserwator również patrzył z napięciem na upiorną postać i kościotrup Joachima, na ten nagi szkielet i przerażające swą chudością memento. W nabożnym skupieniu, opanowany uczuciem lęku, powtarzał kilkakrotnie: — Tak, tak, widzę. Mój Boże, ja widzę! — Słyszał kiedyś o pewnej dawno zmarłej krewnej ze strony Tienapplów — była ona podobno obdarzona czy obarczona straszliwym darem, który znosiła z pokorą, a który polegał na tym, że ludzi mających niebawem umrzeć widziała jako szkielety. Tak teraz Hans Castorp widział poczciwego Joachima, co prawda z pomocą i dzięki całej aparaturze fizykalno-optycznej; nie miało to więc żadnego znaczenia i wszystko było w zupełnym porządku, tym bardziej że wyraźnie poprosił Joachima o pozwolenie. Jednakże pojął nagle całą melancholię losu owej ciotki-wizjonerki. Mocno poruszony tym, co widział — a właściwie tym, że to widział — czuł, jak sumienie jego poczęły niepokoić tajemne wątpliwości, czy to wszystko nie jest jakąś nieczystą sprawą — wątpliwości, czy wolno mu się temu tak przypatrywać w trzeszczącym i huczącym mroku, i przeszła go przyjemność, towarzysząca zwykle niedyskrecji, mieszając się w jego piersi z rozczuleniem i uczuciem pietyzmu.

Ale po upływie kilku minut sam stał pod pręgierzem, a burza szalała dokoła niego! Joachim, którego ciało już znowu było zamknięte, ubierał się tymczasem. Radca dworu znowu patrzył przez mleczną szybę, tym razem do wnętrza Hansa Castorpa, a z jego półgłosnych wynurzeń, urywanych przekleństw i niedomówień można było wnosić, że rezultat badania odpowiadał jego oczekiwaniom. Potem był tak uprzejmy, że pozwolił pacjentowi, który bardzo o to prosił, przeświecić sobie rękę. I Hans Castorp ujrzał widok, którego powinien był oczekiwać, który jednak nie jest właściwie człowiekowi sądzony; toteż nigdy dotychczas nie myślał, że kiedyś ujrzy to, na co patrzył:

patrzył w swój własny grób. Działanie światła wyprzedziło późniejszy proces gnicia, ciało, które miał na sobie, zostało jakby rozpuszczone, zniszczone, rozwiane w leciutką mgiełkę, a ostał się tylko misternie utoczony szkielet jego prawej ręki; dokoła pierwszego członu serdecznego palca widniał otaczający go luźno czarny sygnet, odziedziczony po dziadku: jeden z twardech przedmiotów tej ziemi, którym się zdobi ciało, przeznaczone do rozpląnięcia się pod nim, tak że, oswobodzony, dostaje się na inne ciało, które z kolei może go znowu przez chwilę ponosić. Oglądał teraz dobrze sobie znaną część swego ciała oczami owej damy z rodziny Tienapplów, przeszywającymi na wskroś, jasnowidzącymi oczami, i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że umrze. Zrobił przy tym minę jak przy słuchaniu muzyki — dość głupią, senną i nabożną, przechylił głowę na ramię i na wpół otworzył usta.

— Upierne, co? Tak, nie da się zaprzeczyć, że jest w tym odcień upiorności — powiedział radca Behrens.

Teraz zatrzymał szalejące moce. Podłoga przestała drżeć, znikły świetlne zjawiska, magiczne okno spowilo się znowu ciemnością. Zapłonęło górne światło. Podczas gdy Hans Castorp ubierał się pośpiesznie, Behrens zdawał młodym ludziom sprawę z tego, co spostrzegł, licząc się naturalnie z tym, że, jako laicy, nie wszystko mogą zrozumieć. W szczególności co się tyczy Hansa Castorpa, metoda optyczna potwierdziła wnioski badania akustycznego w stopniu, jakiego tylko mógł wymagać honor nauki. Widać było zarówno stare miejsca, jak i nowe, a „pasma” ciągnęły się od oskrzeli dosyć głęboko do płuc — „pasma z gruźlkami”. Hans Castorp sam będzie mógł to zobaczyć na diapozytywie, który, jak już o tym była mowa, wkrótce dostanie. A teraz spokój, cierpliwość, męska postawa, mierzyć temperaturę, odżywiać się, werandować, czekać i popijać herbatę. Behrens odwrócił się od nich. Wyszli. Hans Castorp, idąc za Joachimem, spojrzął przez ramię. Technik otworzył drzwi i pani Chauchat weszła do laboratorium.

WOLNOŚĆ

Jakże to właściwie przedstawiało się młodemu Hansowi Castorpowi? Czyż tak, jak gdyby siedem tygodni, które istotnie i niewątpliwie spędził tu w górze, były zaledwie siedmioma dniami? Czy też, przeciwnie, zdawało mu się, iż przebywa tu znacznie dłużej, niżli było to w samej rzeczy? Sam siebie zapytywał o to, zarówno w duchu, jak i zwracając się do Joachima, nie mógł jednak dojść do żadnego wniosku. Zachodziło chyba jedno i drugie: kiedy spoglądał wstecz, spędzony tutaj czas wydawał mu się zarówno nienaturalnie krótki, jak i nienaturalnie długi; nie mógł tylko wyrobić sobie zdania, jak rzecz miała się naprawdę (zakłada się tu, iż czas jest w ogóle czymś istniejącym i że wolno łączyć z nim pojęcie rzeczywistości).

Tak czy owak, wrzesień dobiegał końca, każdego dnia mógł się zacząć październik. Hansowi Castorpowi nietrudno było to wyliczyć, a poza tym naprowadzały go na to zasłyszane tu i ówdzie rozmowy współpacjentów. — Wiecie panowie, że za pięć dni już znowu będzie pierwszy? — słyszał, jak mówiła Hermina Kleefeld do dwóch młodych panów ze swego towarzystwa, studenta Rasmussena i owego pacjenta o wywiniętych wargach, który nazywał się Ganser. Mieszkańcy „Berghofu” stali wtedy po głównym posiłku wśród zapachu potraw pomiędzy stołami i gawędząc odwlekali chwilę udania się na leżaki. — Pierwszy październik, widziałam to w Zarządzie na kalendarzu. Już drugi raz spędzam ten dzień w naszym miejscu rozrywek. Ślicznie, już po lecie, o ile ono w ogóle było; zawiedliśmy się na nim, jak na całym życiu, całkowicie i zupełnie. — Westchnienie wydobyło się z jej jednego płuca i potrząsając głową wzniosła do sufitu zamglone głupotą oczy. — No, Rasmussen! — powiedziała potem i uderzyła kolegę w obwisłe ramię. — Niech pan zrobi jakiś kawał! — Umiem tylko kilka — odparł Rasmussen i zwiesił ręce, jak płetwy, na wysokości piersi — ale nie udają mi się, jestem zawsze taki zmęczony! — Żaden pies nie chciałby — powiedział Ganser zaci-

snąwszy zęby — już dłużej żyć w ten lub w podobny sposób. — I śmiali się, wzruszając ramionami.

Ale także Settembrini, z wykałaczką w ustach, stał w pobliżu i wychodząc powiedział do Hansa Castorpa:

— Niech pan im nie wierzy, inżynierze, niech pan im nie wierzy nigdy, kiedy narzekają! To czynią tu wszyscy bez wyjątku, aczkolwiek czują się aż nadto u siebie w domu. Prowadzą próżniacze życie i roszczą sobie jeszcze pretensje do współczucia, sądzą, że mają prawo do goryczy, do ironii, do cynizmu! „W naszym miejscu rozrywek"! Czy może nie jest to miejsce rozrywek? Pozwalam sobie twierdzić, że jest, i to w najbardziej podejrzanym znaczeniu tego słowa! Zawiodła się — powiada ta kobieta — w tym miejscu rozrywek na życiu. Ale niech no jej pan pozwoli odjechać na równinę, a jej tryb życia tam na dole nie pozostawi żadnej wątpliwości, że usiłuje jak najszybciej znów dostać się na górę. Ach tak, ironia! Niech pan się wystrzeżę tutejszej ironii, inżynierze! Niech pan się w ogóle strzeże tej duchowej postawy! Gdzie nie jest ona zwyczajnym i klasycznym środkiem retorycznym, każdej chwili zrozumiałym dla zdrowego rozsądku, tam staje się rozwiązłością, przeszkodą dla cywilizacji, zdrożnym kokietowaniem zastoju, bezdusności, występku. A że atmosfera, w której żyjemy, widocznie bardzo sprzyja plenieniu się tej bagiennej rośliny, więc wolno mi żywić nadzieję lub raczej muszę obawiać się, że pan mnie rozumie.

Rzeczywiście słowa Włocha należały do rzędu tych, które jeszcze przed siedmioma tygodniami, na nizinie, byłyby dla Hansa Castorpa jedynie pustym dźwiękiem; ale pobyt tu w górze uczynił jego umysł wrażliwym na ich znaczenie: wrażliwym w znaczeniu intelektualnego rozumienia, a także, nie bez zastrzeżeń, w znaczeniu sympatii, co, być może, jest jeszcze ważniejsze. Gdyż chociaż w głębi swej duszy był rad, że Settembrini także i teraz, pomimo wszystko, co się wydarzyło, dalej przemawia do niego w ten sposób, nadal go poucza, ostrzega i usiłuje nań wpłynąć, jego zdolność rozumienia osiągnęła już taki stopień, że do słów Włocha odnosił się krytycznie i odma-

wiał im, poniekąd przynajmniej, swej aprobaty. „Patrzcie no — myślał — on mówi o ironii zupełnie tak jak o muzyce; tego tylko brakuje, by ją nazwał »politycznie podejrzaną« — mia-nowicie z chwilą kiedy przestaje być »zwyčajnym i klasycz-nym środkiem pedagogicznymi. Ale ironia taka, która »każdej chwili jest zrozumiała«, cóż by to była za ironia, pytam się na miły Bóg, jeśli już i ja mam coś do powiedzenia? Byłaby oschło-ścią i bakalarstwem!" — Oto niewdzięczność kształcącej się młodości! Pozwala się obdarowywać, a potem przygania po-darunkowi.

Wszelako ujmowanie sprzeciwu w słowa byłoby dlań czymś zbyt awanturnicznym. Ograniczył swoje zarzuty do tego, co pan Settembrini powiedział o Herminie Kleefeld; wydawało mu się to niesprawiedliwym albo z pewnych określonych powodów pragnął, aby mu się takim wydawało.

— Ależ ta panna jest chora! — powiedział. — Jest rzeczy-wiście i naprawdę ciężko chora i ma wszelki powód do roz-paczy! Czegóż pan właściwie chce od niej?

— Choroba i rozpacz — powiedział Settembrini — są często także tylko formami rozwiązłości.

„A Leopardi — pomyślał Hans Castorp — który wyraźnie zwątpił nawet o wiedzy i postępie? A on sam, ów pan baka-larz? On przecież jest także chory i wciąż na nowo przyjeż-dża na górę, i Carducci niewielką miałby z niego pociechę". — Głośno zaś powiedział:

— Pan jest dobry sobie! Ta dziewczyna może każdego dnia zacząć gryźć ziemię, i to nazywa pan rozwiązłością! Tu już musi się pan jaśniej wypowiedzieć. Gdyby mi pan powiedział: choroba bywa niekiedy skutkiem rozwiązłości, mogłoby to uchodzić za słuszne...

— Niewątpliwie mogłoby — wtrącił Settembrini. — Na Boga, czy byłbyś pan zadowolony, gdybym ograniczył się do tego?

— Albo gdyby pan powiedział: choroba musi niekiedy słu-żyć rozwiązłości za pretekst, z tym także mógłbym się zgo-dzić.

— Grazie tanto! *

— Ale choroba jako forma rozwiąłości? Znaczy to: taka, która nie wynika z rozwiąłości, ale sama nią jest? To przecież jest paradoksalne!

— Och, proszę bardzo, inżynierze, proszę mi tylko czegoś podobnego nie imputować! Ja gardzę paradoksami, nienawidzę ich! To wszystko, co zauważyłem o ironii, odnosi się także do paradoksu, to wszystko i niejedno jeszcze ponadto! Paradoks jest trującym kwiatem kwietyzmu, błyskotliwością gnijącego ducha, najgorszą ze wszystkich rozwiąłością! Poza tym stwierdzam, że znowu pan bierze w obronę chorobę...

— Nie, to, co pan mówi, zajmuje mnie. To przypomina mi niejedno, co dr Krokowski wywodzi w swoje poniedziałki. On także głosi, że choroba organiczna jest objawem wtórnym.

— To niezupełnie czysty idealizm.

— Co pan ma przeciwko niemu?

— Właśnie to.

— Czy pan nie lubi analizy?

— Nie zawsze. Bardzo nie lubię i bardzo lubię, na przemian raz jedno, raz drugie, inżynierze.

— Jak mam to rozumieć?

— Analiza jest dobra jako narzędzie uświadomienia i cywilizacji, dobra, o ile podważa głupie poglądy, rozprasza przyrodzone przesady i podkopuje autorytet, dobra, innymi słowy, kiedy uwalnia, wysubtelnia, uczłowiecza i pozwala niewolnt: kom dojrzewać do wolności. Jest zła, bardzo zła, ponieważ paraliżuje działanie, niezdolna do kształtowania życia tłumi je już w zarodku. Analiza może być wielce nieapetyczną rzeczą, nieapetyczną jak śmierć, z którą jednakże — jak się zdaje — jest chyba właściwie związana — spokrewnioną z grobem i osławioną jego anatomią...

„Dobrze ryknąłeś, lwie" * -«- Hans Castorp nie mógł powstrzymać tej myśli, jak zazwyczaj, kiedy pan Settembrini wypowiadał poglądy pedagogiczne. Ale powiedział tylko: — Uprawialiśmy niedawno anatomie świetlną w naszej parterowej piwnicy. Behrens tak to nazwał, kiedy nas prześwietlał.

— Ach, także i ten etap ma pan już za sobą. No i co?

— Widziałem szkielet swojej ręki — powiedział Hans Cas-torp, usiłując odtworzyć wrażenia, jakich doznał w owej chwili. — Czy pan także kazał sobie kiedy pokazać swój szkielet?

— Nie, nie interesuję się nim zupełnie. A rezultat lekarski?

— Widział pasma, pasma z gruźlkami.

— A to wcielony diabeł!

— Tak nazwał pan już raz radcę Behrensa. Co pan przez to rozumie?

— Mogę pana zapewnić, że nazywam go tak po dojrzałym namyśle.

— Nie, pan jest stanowczo niesprawiedliwy! Przyznaję, że ten człowiek ma swoje słabostki. Jego sposób mówienia i mnie na dalszą metę razi; jest czasem trochę nieopanowany, ale przecież spotkał go tak ciężki cios, że stracił tutaj żonę. Jaki to jednak zasłużony i, zważywszy wszystko, godny szacunku człowiek, dobroczyńca cierpiącej ludzkości! Niedawno spotkałem go wracającego z operacji, resekcji żebra, w której chodziło o śmierć i życie. Wywarło to na mnie wielkie wrażenie, gdym widział, jak wraca tak od swej ciężkiej, pożytecznej pracy, na której tak dobrze się zna. Był jeszcze cały zgrzany i w nagrodę zapalił sobie cygaro. Zazdrościłem mu.

— To było pięknie z pańskiej strony. Ale wymiar pańskiej kary?

— Nie oznaczył dokładnie terminu.

— Także nieźle. Położmy się zatem, inżynierze, zajmijmy nasze pozycje.

Pożegnali się przed numerem 34.

— A teraz wchodzi pan na swój dach, prawda? Jest chyba weselej leżeć w towarzystwie niżli samemu. Czy się pan dobrze bawi? Czy to interesujący ludzie, z którymi odbywa pan kurację?

— Ach, to są sami Partowie i Scytowie.

■— Pan ma na myśli Rosjan?

— I Rosjanki — powiedział Settembrini i kąty ust ściągnęły mu się w uśmiechu. — Do widzenia, inżynierze!

Te słowa miały ukryte znaczenie, z całą pewnością. Hans Castorp wszedł zmieszany do swego pokoju. Czyżby Settembrini wiedział, co się z nim dzieje? Prawdopodobnie tropił go ze względów pedagogicznych i śledził drogi, którymi szły jego oczy. Hans Castorp był zły na Włocha, a także na siebie samego, gdyż przez własne nieopanowanie sprowokował ten docinek. Przygotowując przybory do pisania, aby wziąć je z sobą na werandę — bo nie dało się już dłużej zwlekać i trzeba było napisać list do domu, trzeci list — nie przestawał się irytować, mruzczał to i owo pod adresem tego fanfarona i rezonera, który miesza się do rzeczy nic go nie obchodzących, a sam, nucąc, zaczepia dziewczęta na ulicy — i nie czuł się już wcale usposobiony do pisania, aluzje tego katarzyniarza odebrały mu » po prostu całą ochotę. Ale tak czy inaczej, musiał mieć odzież zimową, pieniądze, bieliznę, obuwie, krótko mówiąc, wszystko, co byłby zabrał z sobą, gdyby był wiedział, że przyjeżdża nie na trzy tygodnie w pełni lata, tylko... tylko na czas jeszcze nie oznaczony, który jednak w każdym razie zagarnie szmat zimy, a nawet, tak już tu w górze odnosimy się do kwestii czasu — zapewne całą zimę. O tym właśnie należało, przynajmniej jako o możliwości, donieść do Hamburga. Chodziło o to, aby tym razem powiedzieć całą prawdę, przed tamtymi na dole jasno sprawę postawić i ani przed sobą, ani przed nimi niczego dłużej nie ukrywać...

W tym sensie pisał zatem, stosując technikę, którą kilkakrotnie zaobserwował u Joachima: na leżaku, piórem wiecznym, z teczką podrózną na wysoko wzniesionych kolanach. Pisał na zakładowym papierze listowym, którego zapas znajdował się w szufladzie stołu, do Jamesa Tienappla, najbliższego mu spomiędzy trzech wujów, i prosił go o powiadomienie konsula. Pisał o przykrym wydarzeniu, o obawach, które się sprawdziły, o stwierdzonej przez lekarzy konieczności spędzenia tutaj w górze części, a może całej zimy — przypadki bowiem takie jak jego bywają często bardziej uporczywe od tych, które zapowiadają się groźniej, a należy przecież energicznie wziąć się do leczenia i raz na zawsze zapobiec złemu. Z tego punktu

widzenia sądzi, uważa to za szczęście i za pomyślny zbieg okoliczności, iż przypadkiem przyjechał na górę i że nakłoniono go do zasięgnięcia porady lekarskiej; gdyż inaczej zły stan jego zdrowia przez dłuższy jeszcze zapewne czas nie wyszedłby na jaw, a później, być może, dowiedziałby się o tym w sposób o wiele dotkliwszy. Co się tyczy przypuszczalnego trwania kuracji, nie powinni się dziwić, że prawdopodobnie będzie musiał zmarnować zimę i chyba nie wcześniej uda mu się powrócić na równinę niż Joachimowi. Pojęcia czasu są tutaj inne niż te, które obowiązują zwykle w kąpieliskach i miejscach kuracyjnych; miesiąc jest, jeśli tak rzec wolno, najmniejszą jednostką czasu i sam przez się nie odgrywa żadnej roli...

Chłodno było, pisał w palcie, owinięty kocem, z zaczerwienionymi rękami. Niekiedy odrywał wzrok od papieru, który pokrywał rozsądnymi i przekonującymi zdaniem, i spoglądał w głąb znanego, ledwie już dostrzegalnego krajobrazu, w tę podłużną dolinę ze szklitobladym dzisiaj spiętrzeniem szczytów u ujścia, z jasnymi domkami na dnie; tu i ówdzie rozjaśniał ją promień słońca i oświetlał częściowo zjeżone lasem, częściowo pokryte łąkami zbocza, z których dolatywały dzwonki trzód. Pisał ze wzrastającą swobodą i nie pojmował już, jak mógł się lękać tego listu. Pisząc pojął sam, iż nie może być nic oczywistszego od jego argumentów i że w domu spotkają się one, rzecz prosta, z najzupełniejszym zrozumieniem. Młodzieniec z jego sfery i w jego położeniu materialnym czynił coś dla siebie, skoro to okazało się wskazane, korzystał z możliwości istniejących specjalnie dla takich jak on. To było w porządku. Gdyby wrócił do domu i zdał sprawę ze wszystkiego — odesłano by go z powrotem. Prosił o przysłanie różnych potrzebnych mu rzeczy; także o regularne przekazywanie niezbędnej gotówki prosił pod koniec listu; 800 markami miesięcznie uda się wszystko pokryć.

Podpisał. To więc było załatwione. Ten trzeci list do domu był obszerny, przygotowywał już z góry domowników — nie wedle tamtejszych pojęć o czasie, lecz wedle tych, które panują tu na górze; umacniał wolność Hansa Castorpa. To

był wyraz, którego użył, nie wyraźnie, nie w ten sposób, by ukształtował chociażby w myśli jego zgłoski, ale wyczuwał jego najobszerniejszy sens, jak się był nauczył podczas pobytu tutaj, sens, który niewiele miał wspólnego ze znaczeniem nadawanym owemu wyrazowi przez Settembriniego — i znana mu już fala trwogi i podniecenia przeszła przez niego, wprawiając mu pierś w drżenie.

Przy pisaniu krew uderzała mu do głowy, a twarz pałała. Wziął termometr ze stolika i zmierzył temperaturę, jak gdyby chodziło o to, aby skorzystać z jakiejś okazji. Rtęć podniosła się do 37,8.

„Otóż to!” — pomyślał Hans Castorp. I dodał post scriptum: „List jednakże mnie zmęczył. Mam temperaturę 37,8. Widzę, że będę musiał na razie zachowywać się bardzo spokojnie. Musicie wybaczyć, jeśli będę rzadko pisywał.” Potem leżał i wznosił rękę ku niebu, wnętrzem dłoni na zewnątrz, tak jak ją trzymał za ekranem w gabinecie rentgenologicznym. Ale światło nieba nie zmieniało żywego jej kształtu, nawet ciemniejszą jeszcze i mniej przejrzystą czyniła ją ta jasność i tylko najbardziej zewnętrzne zarysy prześwietlone były na czerwono. Była to żywa ręka, którą zwykł był oglądać, dbać o jej czystość i używać jej — nie owo obce rusztowanie, które dojrzał był na ekranie — analityczna przestrzeń, którą oglądał wtedy otwartą, zamknęła się na nowo.

KAPRYSY MERKURIUSZA

Październik *się* rozpoczął, jak zwykły rozpoczynać się nowe miesiące — jest to sam przez się zupełnie skromny i bezszelstny początek, bez żadnych znaków ognistych; a więc właściwie zakrada się cicho, co z łatwością uchodzi uwagi, nie przestrzegającej należycie ładu. Czas nie ma w rzeczywistości żadnej cezury, łoskotu burz ani dźwięcznych fanfar na początku nowego miesiąca lub roku, a nawet na początku nowego stulecia; to my tylko, ludzie, strzelamy i dzwonimy.

W przypadku Hansa Castorpa pierwszy dzień października ani na jotę nie różnił się od ostatniego dnia września; był równie zimny i przykry jak tamten, podobnie zresztą jak dni następne. Podczas werandowania nie można się było obejść bez palta zimowego i obu koców z wielbłądziej sierści, nie tylko wieczorem, ale i za dnia; ręce, w których trzymał książkę, były wilgotne i sztywne, chociaż policzki pałały suchym żarem, a Joachim miał już ochotę korzystać z worka na futrze; zrezygnował z tego dlatego tylko, aby się przedwcześnie nie wydolikować.

Ale po kilku dniach, już między początkiem a połową miesiąca, wszystko uległo zmianie i spóźnione lato wtargnęło w zdumiewającej wspaniałości. Nie bez powodu wychwalano tutejszy październik; z jakie dwa i pół tygodnia trwał przepych nieba nad górami i doliną, każdy dzień przewyższał poprzedni czystością błękitu, a słońce grzało z tak bezpośrednią siłą, iż skłaniało każdego kto żył do ponownego wydobycia najlżejszej odzieży letniej, poniechanych już sukien batystowych i płóciennych spodni; nawet wielki parasol z płótna żaglowego, bez rączki, przytwierdzany do poręczy leżaka za pomocą specjalnego pomysłowego urządzenia, kołeczka z dziurkami, dawał w godzinach południowych niedostateczną ochronę przed skwarem słonecznym.

— To świetnie, że jestem jeszcze tutaj — powiedział Hans Castorp do kuzyna. — Taką straszną mieliśmy już pogodę — jest całkiem tak, jak gdyby zima była już za nami, a teraz nadchodził piękny czas. — Miał rację. Niewiele oznak wskazywało na właściwy stan rzeczy, a i te nie rzucały się w oczy. Jeśli pominąć kilka klonów, które, zasadzone na dole w Uzdrowisku, ledwo wegetowały i od dawna, zniechęcone, pozbyły się liści, nie było tu drzew liściastych, których stan wycisnąłby na krajobrazie piętno pory roku-, jesienny wygląd miała tylko obojnacza olcha alpejska o miękkich igłach, które zmienia jak liście. Poza tym szata drzewna okolicy była wiecznie zielonym lasem iglastym, czy to w górę wystrzelającym, czy karłowatym, odpornym na zimę, która nie jest tu jak gdzie in-

dziej ograniczona do pewnych miesięcy i rozkłada swe śnieżyce na cały rok; tylko rdzawoczerwony ton ponad lasem, o różnym stopniu nasycenia, wskazywał, mimo letni żar nieba, na zbliżający się koniec roku. Co prawda, były jeszcze polne kwiaty, które miały swoją wymowę. Znikły już storczyki polne i orliki, które zdobiły jeszcze zbocza, gdy tu przybył, a dzikich gwoździków już się nie widziało. Zostały tylko gencjany, zimowity o krótkich łodyżkach, i one to świadczyły o niejkiej wewnętrznej świeżości powierzchownie tylko nagrzanej atmosfery, o chłodzie, który człowieka werandującego, zewnętrznie niemal osmalonego, przeniknąć mógł nagle aż do szpiku kości, jak dreszcz podczas gorączki.

Hans Castorp zatem nie przestrzegał wewnętrznie owego porządku, który jest podstawą rachuby czasu i pozwala nadzorować jego upływ i jednostki jego oddzielać, liczyć i mianować. Nie zauważył cichego początku dziesiątego miesiąca, docierało doń tylko to, co spostrzegał zmysłowo — ów żar słońca i mroźna, ukryta w nim świeżość, wrażenie, które w tym nateżeniu było dlań nowe i pobudziło go do kulinarnego porównania: przypominało mu, zgodnie z wyrażeniem, którym posłużył się wobec Joachima, omelette en surprise*, z lodami pod gorącą pianą z białka. Wypowiadał nieraz coś podobnego, wypowiadał szybko, płynnie i w podnieceniu, jak mówi człowiek, który, choć rozpalony, odczuwa jednak dreszcze. Często jednak bywał także milczący, aby nie rzec: zamknięty w sobie; gdyż uwaga jego zwrócona była wprawdzie na zewnątrz, ale na jeden tylko punkt; wszystko inne, ludzie jak i rzeczy, gubiło się we mgłę powstałej w mózgu Hansa Castorpa, którą radca dworu Behrens i dr Krokowski określiliby bez wątpienia jako wytwór rozpuszczalnych jądów; tak też określał to Hans Castorp sam wobec siebie, jakkolwiek zrozumienie tego faktu nie dało mu możliwości ani nawet w najślabszym choćby stopniu nie wzbudziło w nim chęci wyzbycia się tego upojenia.

Jest to bowiem upojenie, któremu zależy na samym sobie i któremu nic nie wydaje się bardziej niepożądanym i odrażającym niżli otrzeźwienie; upojenie, które zwycięsko stawia czo-

ło naporowi tłumiących je wrażeń i broni im dostępu pragnąc ostać się nienaruszonym. Hans Castorp wiedział i sam wypowiedział się przedtem na ten temat, że pani Chauchat nie wygląda korzystnie z profilu, nieco ostro, niezupełnie już młodo. Rezultat? Unikał oglądania jej z profilu, dosłownie zamykał oczy, gdy przypadkiem z daleka lub z bliska ukazywała mu się w ten sposób, bolało go to. Czemu? Jego rozsądek winien był radośnie powitać tę sposobność i okazać swe znaczenie. Ale czegoż można się domagać... Zbladł z zachwytu, gdy Kławdia w te jasne dni znów kiedyś przyszła na drugie śniadanie w białym koronkowym stroju porannym, który wkładała przy pięknej pogodzie i który czynił ją tak niezwykle ponętną — gdy zjawiła się w nim z opóźnieniem i trzaskając drzwiami i gdy uśmiechnięta, lekko wzniosłszy ramiona, odwróciła się ku sali, by się zaprezentować. Ale był zachwycony nie tylko tym, że wyglądała tak ładnie, lecz i tym, że tak było w ogóle, gdyż wzmacniało to w jego głowie słodką mgłę, upojenie, co samo siebie pragnęło i chciało być usprawiedliwionym i podsyconym.

Człowiek o sposobie myślenia Lodovica Settembriniego, mając wydać opinię o takim braku dobrej woli, mógłby mówić po prostu o rozwiązłości, o „jednej z form rozwiązłości”. Hans Castorp wspominał niekiedy te literackie poglądy, które Włoch wygłosił był na temat „choroby i rozpaczy”, a które uważał za niezrozumiałe lub udawał, że je za takie uważa. Patrzył na Kławdię Chauchat, na pochylenie jej pleców, na jej naprzód wysuniętą głowę, dostrzegał, jak stale przychodzi do stołu z wielkim opóźnieniem, bez powodu i wytłumaczenia, jedynie przez brak porządku i dyscypliny wewnętrznej, widział, jak skutkiem tego samego właśnie zasadniczego braku wchodząc lub wychodząc zawsze trzaska drzwiami, jak kręci kulki z chleba, a niekiedy obgryza z boku paznokcie, i świeciło w nim bezsłowne przeczucie, że jeśli jest chora, a była zapewne bez nadziei niemal chora, skoro tak długo już i często musiała przebywać tu w górze — to choroba jej całkowicie lub przynajmniej w znacznej mierze jest natury moralnej i jest rzeczy-

wiście, jak orzekł Settembrini, najzupełniej i całkowicie identyczna z jej nonszalancją, nie zaś przyczyną lub wynikiem tej nonszalancji. Przypominał sobie także wzdorczy gest humanisty, kiedy mówił o „Partach i Scytach”, z którymi musi weteranować, gest naturalnego, nie wymagającego motywów i bezpośredniego lekceważenia i pogardy, który Hans Castorp doskonale rozumiał; to zrozumienie datowało się od czasów, kiedy, trzymając się sam bardzo prosto przy stole, z głębi serca nie nawidził trzaskania drzwiami i kiedy nie odczuwał żadnej chęci obgryzania paznokci (już choćby dlatego, że zamiast tego miał swoją „Marię Mancini”), gorszył się wielce brakiem wychowania pani Chauchat i nie potrafił wyzbyć się poczucia wyższości, kiedy słyszał, jak wąskooka cudzoziemka próbuje swych sił w jego mowie ojczystej.

Takim to nastrojom oddał się niemal zupełnie Hans Castorp z racji swego wewnętrznego położenia i raczej Włoch go irytował, gdyż on to w swej pyszałkowatości mówił o „Partach i Scytach” — chociaż przecież nie przyjrzał się nawet osobom jadającym przy gorszym stole rosyjskim, gdzie zasiadali studenci o zbyt gęstym uwłosieniu i niewidocznej bieliźnie, bezustannie rozprawiający w swym zupełnie obcym języku, poza którym pewno żadnego innego nie znali, a którego bezkostny charakter przypominał klatkę piersiową pozbawioną żeber, o jakiej niedawno mówił radca Behrens. Było rzeczą naturalną, iż obyczaje tych ludzi mogły wywołać w humaniście żywe poczucie dystansu. Jedli nożem i w sposób nieopisany zanieczyszczali toaletę. Settembrini utrzymywał, iż jeden z członków tego towarzystwa, pewien medyk z wyższych lat, wykazał całkowitą nieznajomość łaciny, nie wiedział na przykład, co to jest vacuum*, a zgodnie z tym, czego Hans Castorp codziennie sam doświadczał, pani Stóhr najprawdopodobniej nie kłamała twierdząc przy stole, że małżeństwo spod numeru 32, leżąc razem w łóżku, przyjmuje z rana kąpielowego, który przychodzi wykonać nacieranie.

Jeżeli to wszystko było prawdą, to właśnie rzucająca się w oczy różnica między „lepszym” a „gorszym” stołem rosyj-

skim była czymś istotnym i Hans Castorp zapewniał sam siebie, iż może co najwyżej wzruszyć ramionami na to, co mówi jakiś tam zadzierający nosa i trzeźwy — szczególnie trzeźwy, chociaż także odurzony gorączką — propagator republiki i pięknego stylu, który oba towarzystwa przy tych stołach obejmuje wspólną nazwą Partów i Scytów. Co przez to należało rozumieć, młody Hans Castorp pojmował doskonale, przecież począł się także orientować w związkach zachodzących między chorobą pani Chauchat a jej „nonszalancją”. Ale rzecz miała się tak, jak on sam któregoś dnia wyraził się wobec Joachima: rozpoczyna się od irytacji i poczucia dystansu, ale nagle „coś innego wchodzi w paradę”, co „nic nie ma wspólnego z krytyką”, i surowość moralna idzie w odstawkę, a pedagogicznym wpływom o charakterze republikańskim i krasomówczym staje się człowiek raczej niedostępny. Ale cóż to jest, zapytujemy, pewnie także po myśli Lodovica Settembriniego, cóż to tak zagadkowego wchodzi tymczasem w paradę, paraliżuje i zawiesza sąd człowieka, ograbia go z prawa krytyki albo raczej skłania go do zrzeczenia się tego prawa z bezsensownym zachwytem? Nie zapytujemy o nazwę tej okoliczności (gdyż nazwę tę zna każdy), pytamy o jej istotę moralną — i nie oczekujemy, wyznając szczerze, zbyt dobrze uzasadnionej odpowiedzi. W przypadku Hansa Castorpa istota owa do tego stopnia dowiodła swej siły, iż nie tylko odebrała mu zdolność sądenia, ale rozpoczął nawet ze swej strony eksperymenty nad tą formą życia, która go pozbawiła owej zdolności. Próbował, jak to jest, kiedy przy stole siedzi się zgarbionym, z pochylonymi plecami, i przekonał się, że stanowi to znaczną ulgę dla mięśni miednicy. Próbował następnie nie zadawać sobie trudu zamykania drzwi, przez które przechodził, ale zatrząskiwał je; i to także okazało się zarówno wygodnym, jak właściwym: było wyrazem tego samego nastawienia co owo wzruszenie ramion, którym Joachim powitał go w swoim czasie zaraz na stacji kolejowej, a z którym odtąd tak często spotykał się u tych tu w górze.

Mówiąc po prostu, nasz podróżnik był tedy zakochany po

uszy w Kławdii Chauchat; raz jeszcze używamy tego słowa w nadziei, iż w dostatecznej mierze zapobiegliśmy nieporozumieniu, jakie by ono mogło wywołać. Uczucie, stanowiące istotę jego zakochania, nie było podobne do serdecznej i rzewnej tęsknoty, wyrażającej się w owej piosence. Raczej była to dość ryzykowna i nieprzytulna odmiana tego omamienia, przemieszana z dreszczem i żarem, jak samopoczucie człowieka gorączkującego albo jak dzień październikowy w górach; a tym, czego brakowało, była właśnie owa miła część środkowa, która by spajała krańcowe składniki tego uczucia. Z bezpośredniością, która kazała blednąć młodzieńcowi i wykrzywiła rysy jego twarzy, odnosiło się ono z jednej strony do kolana pani Chauchat i do linii jej nogi, do jej pleców, do kręgow jej karku i górnej części ramion, które ścisnęły drobną pierś — słowem do jej ciała, do tego niedbałego ciała, które choroba akcentowała, niesłuchanie podkreślała i raz jeszcze ciałem czyniła. A z drugiej strony omamienie Hansa Castorpa było czymś nadzwyczaj lotnym i rozciąglwym, myślą, nie, snem, pełnym lęku i bezgranicznie wabiącym snem młodzieńca, któremu na pewne określone, chociaż bezwiednie postawione pytania odpowiadało tylko głuche milczenie. Podobnie jak każdy, rościmy sobie pretensje do żywienia pewnych prywatnych myśli w czasie rozwijającego się tu opowiadania i wyrażamy przypuszczenie, że Hans Castorp nie byłby przekroczył terminu, zakreślonego pierwotnie jego pobytowi u tych w górze, nawet nie do momentu osiągniętego obecnie, gdyby prosta jego dusza otrzymała choć w pewnej mierze zadowalające wyjaśnienie sensu i celu życiowego mozołu.

Zresztą zakochanie przyprawiało go o wszystkie cierpienia i dawało mu wszystkie radości, jakie stan ten wszędzie i we wszelkich okolicznościach pociąga za sobą. Cierpienia — przesywające na wskroś, zawierające pierwiastek poniżenia, jak wszelki ból, i stanowiące taki wstrząs systemu nerwowego, iż tamują oddech i dorosłemu mężczyźnie wycisnąć potrafią z oczu gorzkie łzy. Aby oddać sprawiedliwość także radościom — było ich niemało i choć powstawały z niepozornych przyczyn,

nie mniej były przenikliwe od cierpień. Niemal każda chwila dnia mogła je wywołać. Na przykład: u wejścia do sali jadalnej Hans Castorp spostrzega za sobą przedmiot swych snów. Wynik jest z góry wiadomy i zupełnie pospolity, ale wewnętrznie zachwycający, znów aż do łez. Oczy ich spotykają się z bliska, jego oczy z jej szarzielonymi, których z lekka azjatycki wykrój i oprawa oczarowują go do głębi. Traci przytomność, ale i bez przytomności usuwa się na bok, aby przepuścić ją pierwszą przez drzwi. Z połowicznym uśmiechem i półgłosnym (*merci* pani Chauchat korzysta z jego uprzejmości, nie wykraczającej poza zwykłe dobre wychowanie, mija go i przechodzi przez drzwi; Hans Castorp stoi przez chwilę w powiewie jej przesuwającej się postaci, pijany szczęściem z powodu tego spotkania i dlatego, że jedno słowo z jej ust, mianowicie owo *merci*, skierowane było bezpośrednio i wyłącznie do niego. Idzie za nią, zatacza się na prawo do swego stołu i kiedy opada na krzesło, spostrzega, że po tamtej stronie „Kławdia”, także zajmując miejsce, ogląda się za nim, z wyrazem zamyślenia nad spotkaniem u drzwi, jak mu się wydaje. O niewiarogodna przygodo! O radości, triumfie, o bezgraniczne wesele! Nie, tego fantastycznego upojenia nie dałoby Hansowi Castorpowi spojrzenie pierwszej lepszej zdrowej gąski, której tam na dole, na równinie, w sposób dozwolony, spokojny i pełen widoków na przyszłość, „ofiarowałby serce swoje” w duchu owej piosenki. Z gorączkowym ożywieniem wita nauczycielkę, która widziała wszystko i oblała się rumieńcem — następnie przypuszcza szturm do miss Robinson za pomocą tak niedorzecznej konwersacji angielskiej, iż panna ta, nie obeznana z ekstazą, cofa się nawet i mierzy go pełnym obawy spojrzeniem.

Innym razem promienie jasno zachodzącego słońca padają podczas kolacji na lepszy stół rosyjski. Zaciągnięto zasłony u drzwi werandy i okien, ale w jakimś tam miejscu tworzy się szczelina, przedostaje się przez nią czerwony promień, chłodny, ale oślepiający, i pada akurat na głowę pani Chauchat, która, rozmawiając ze swym rodakiem o zapadłej piersi, siedzącym na prawo od niej, musi się zasłaniać ręką. Jest to przykrość,

ale niezbyt wielka; nikt nie zwraca na to uwagi, sama dotknięta nią osoba nie zdaje sobie zapewne sprawy z tej niedogodności. Ale Hans Castorp spostrzega to poprzez salę — i przygląda się temu przez chwilę. Sprawdza stan rzeczy, śledzi drogę promienia, stwierdza punkt jego wtargnięcia. Jest to łukowe okno tam z tyłu po prawej stronie, w kącie pomiędzy drzwiami na werandę a gorszym stołem rosyjskim, daleko od miejsca pani Chauchat i niemal równie daleko od miejsca Hansa Castorpa. I oto powziął decyzję. Wstaje bez słowa, przechodzi z serwetą w rękę na ukos między stołami przez salę, zaciąga starannie kremowe zasłony, przekonuje się spojrzeniem przez ramię, że blask wieczoru nie dociera już do pani Chauchat — i udaje się, przybierając wielce obojętną minę, w drogę powrotną. Uprzejmy młodzieniec, który spełnia to, co trzeba, skoro nikomu innemu nie wpadło na myśl tego uczynić. Nikt prawie nie zauważył jego interwencji, ale pani Chauchat natychmiast uczuła ulgę i obejrzała się; pozostała w tej postawie, póki Hans Castorp nie dotarł z powrotem do swego miejsca i siadając nie spojrzął w jej stronę, po czym z przyjaźnie zdziwionym uśmiechem podziękowała, to znaczy: głowę raczej wysunęła nieco, niżeli nią skinęła. Odpowiedział ukłonem. Serce jego znieruchomiło, zdawało się w ogóle nie bić. Dopiero później, kiedy wszystko minęło, poczęło tłuc jak młotem, i wtedy dopiero spostrzegł, że Joachim nie odrywa oczu od swego talerza; potem zaś uświadomił sobie, że pani Stóhr szturchnęła w bok Blumenkohla i wszędzie, u własnego stołu jak i u innych, z tłumionym uśmiechem szukała porozumiewawczych spojrzeń...

Opisujemy rzeczy codzienne, ale codzienność staje się osobliwa, kiedy wyrasta na osobliwym podłożu. Wydarzały się napięcia i dobroczynne odprężenia między nimi — albo, jeśli nie między nimi (gdyż w jakim stopniu dotyczyło to pani Chauchat, wolimy pozostawić nie rozstrzygniętym), to w każdym razie dla wyobraźni i uczuć Hansa Castorpa. Po obiedzie w piękne te dni udawała się zwykle większość kuracjuszków na werandę, położoną przed salą jadalną, aby podzieliwszy się na grupy spędzić kwadransik na słońcu. Odbywało się to i wyglądało tak,

jak podczas odbywających się co dwa tygodnie niedzielnych koncertów dętej orkiestry. Młodzież, najzupełniej beczynna i nadmiernie nasycona potrawami mięsnymi oraz słodyczami — wszyscy lekko gorączkujący — gawędzili, przekomarzali się, strzelali oczami. Pani Salomon z Amsterdamu siadywała przy balustradzie — z jednej strony atakowana ostro kolanami Gansera o wywiniętych wargach, a z drugiej przez szwedzkiego olbrzyma, który, aczkolwiek zupełnie już zdrowy, przedłużał swój pobyt, aby nieco wypocząć po kuracji. Pani Iltis zdawała się być wdową, gdyż od niedawna cieszyła się towarzystwem „narzeczonego”, o wyglądzie zresztą zarówno melancholijnym, jak i niepozornym, którego obecność nie przeszkadzała jej przyjmować jednocześnie hołdów kapitana Miklosicha, mężczyzny o haczykowatym nosie, uczernionym wąsie, wyniosłej piersi i oczach miotających groźby. Były tam damy rozmaitej narodowości, wśród nich kilka nowo przybyłych, które pojawiły się dopiero w październiku, a których nazwisk Hans Castorp jeszcze nie znał, przemieszane z kawalerami w rodzaju pana Albina. Byli też siedemnastoletni chłopcy z monoklami; pewien młody Holender w okularach, o różowej twarzy, który z maniakalną namiętnością zajmował się wymianą znaczków pocztowych; wypomadowani Grecy o oczach migdałowego kształtu, skłonni do naruszania dobrych manier przy stole; dwaj nierozłączni strojnisi, zwani Maks i Moryc, którzy mieli opinię wielkich lampartów... Garbaty Meksykanin, któremu nieznamość reprezentowanych tutaj języków nadawała pozory głuchego, nie przestawał dokonywać zdjęć fotograficznych, wlokąc swój statyw z pocieszną żwawością z jednego punktu tarasu na drugi. Także radca dworu pojawiał się niekiedy, aby popisać się sztuką ze sznurowadłami. A gdzieś tam przemykał się samotnie nabożny mannheimczyk; jego bezdennie smutne oczy skrycie błędziły pewnymi drogami, budząc odrazę Hansa Castorpa.

Aby tedy za pomocą tego lub innego przykładu nawiązać do owych „napięć i odprężeń”, Hans Castorp w jednej z podobnych sytuacji siedział np. na lakierowanym fotelu ogrodowym pod

ścianą domu, pochłonięty ożywioną rozmową z Joachimem, którego, mimo jego oporu, zmusił do wyjścia; przy balustradzie stała pani Chauchat, paląc papierosa z towarzyszami swymi z sali jadalnej. Mówił umyślnie dla niej, aby go słyszała. Była plecami odwrócona do niego... Jak widać, mamy teraz na oku określony wypadek. Rozmowa z kuzynem nie wystarczyła jego afektowanemu gadulstwu; rozmyślnie tedy zawarł pewną znajomość — jaką to? Znajomość z Herminą Kleefeld: jakby od niechcenia zwrócił się do niej, przedstawił się jej i, przedstawivszy także Joachima, przysunął jej lakierowane krzeselko, aby w większym towarzystwie lepiej móc zabłysnąć. Czy wie, pytał, jak piekielnego napędziła mu strachu, kiedy się pierwszy raz spotkali, wówczas na rannej przechadzce? Tak, to jego wówczas tak uprzejmie przywitała gwizdaniem! A cel swój osiągnęła, to wyznaje dobrowolnie, dostał jakby pałką w łeb; niech zapyta kuzyna. Cha, cha, pogwizdywać sztuczną odma i trwożyć tym Bogu ducha winnych przechodniów! Uważa to za niecną grę, nie waha się określić tego otwarcie i w słusznym gniewie, jako grzeszne nadużycie... I kiedy Joachim, świadomy swej roli statysty, siedział wlepiwszy wzrok w ziemię, a także samą pannę Kleefeld na skutek nie widzących i umykających spojrzeń Hansa Castorpa stopniowo ogarniało upokarzające uczucie, iż służy tylko jako środek do celu, Hans Castorp puszył się i mizdrzył, cyzelował zwroty i głosowi swemu starał się nadać piękne brzmienie, aż istotnie uzyskał to, że pani Chauchat odwróciła się, by popatrzeć na osobnika, który w sposób tak jaskrawy rozprawia, i spojrzała mu w oczy. Trwało to jedną chwilę, gdyż wydarzyło się tak, że oczy jej, oczy Przybysława, szybko ześliznęły się z postaci Hansa Castorpa, siedzącego z założonymi nogami, i zatrzymały się na chwilę na jego żółtym trzewiku, z wyrazem tak rozmyślnej obojętności, iż robiło to wrażenie pogardy, wyraźnej pogardy — po czym cofnęły się znów, flegmatycznie i może z uśmiechem na dnie.

Bardzo, bardzo nieszczęśliwy wypadek! Hans Castorp przez chwilę jeszcze gadał dalej gorączkowo; po czym, gdy uświadomił sobie z całą wyrazistością to spojrzenie skierowane na jego

trzewik, zamilkł niemal w połowie zdania i pogрузył się w rozpacz. Panna Kleefeld, znudzona i dotknięta, odeszła. Joachim rzekł głosem, nie pozbawionym rozdrażnienia, iż teraz mogą już chyba iść werandować. I ktoś złamany odpowiedział mu pobladłymi ustami, iż owszem, mogą.

Hans Castorp dwa dni cierpiał okrutnie z powodu tego wypadku, albowiem przez ten czas nie wydarzyło się nic, co by było balsamem na jego palącą ranę. Dlaczego takie spojrzenie? Dlaczego na miłość Boską tak nim gardzi, dlaczego? Czyżby uważała go za zdrowego dudka z dołu, którego umysł zdolny jest pojmować tylko rzeczy poprawne i obojętne? Za niewiniątko z równiny, pospolitego — by tak rzec — młodzieńca, który chodzi sobie po bożym świecie i śmieje się, i brzuch sobie napycha, i robi pieniądze — za prymusa życiowego, który rozumie się jeno na nudnych korzyściach honoru? Czyż był przelotnym hospitantem, przybyłym na trzy tygodnie, niegodnym jej sfery, czyż nie wyzwolił się z terminu dzięki „wilgotnej plamce” — czyż nie był włączony w szeregi i przynależny do nich, nie był jednym z „nas tu na górze”, z przydziałem co najmniej na dwa miesiące, i czyż merkuriusz jego już wczoraj wieczór nie podniósł się do 37,8?... Ale to właśnie, to dopełniało miary jego cierpień! Merkuriusz przestał się podnosić! Straszliwe przygnębienie owych dni spowodowało ochłodzenie, otrzeźwienie i odprężenie w organizmie Hansa Castorpa, które ku gorzkiemu jego wstydowni ujawniało się w bardzo niskich, ledwie ponadnormalnych wzniesieniach temperatury, i z rozpaczą stwierdzał, że jego zgryzota i udręka nie miały innego skutku prócz tego, iż coraz bardziej oddalały go od właściwej istoty Kławdii.

Trzeci dzień przyniósł czułe wyzwolenie, przyniósł je z samego rana. Był wspaniały jesienny poranek, słoneczny i świeży, powlekający łąki szarosrebrnym nalotem. Słońce i malejący księżyc stały jednocześnie prawie równie wysoko na czystym niebie. Obaj kuzyni wstali wcześniej niż zazwyczaj, aby celem uczczenia pięknego dnia przedłużyć ranną przechadzkę nieco poza przepisane granice, trochę dalej zagłębić się ścieżką leśną,

przy której stała ławka obok rynny z wodą. Joachim, którego wykres temperatury wykazywał właśnie także pomyślny spadek, oświadczył się za tym odstępstwem od reguły, po którym spodziewał się odświeżenia, a Hans Castorp nie sprzeciwił mu się. — Jesteśmy przecież ozdrowieńcami — powiedział — wolnymi od gorączki i jadów, jakby już dojrzałymi do powrotu na równinę. Czemuż nie mielibyśmy pobrykać jak żrebaki. — Wędrowali zatem z gołymi głowami — Hans Castorp bowiem, od czasu kiedy wyzwolił się z terminu, zastosował się bez szemrania do panującego tu zwyczaju chodzenia bez kapelusza, chociaż z początku zwalczał ten zwyczaj, kierując się swą znajomością dobrych form i obowiązujących przepisów — i podpierali się laskami. Lecz nie przebyli jeszcze wznoszącego się w górę odcinka czerwonej drogi i dotarli dopiero do tego mniej więcej punktu, w którym pneumatyczna czereda spotkała się wówczas z nowo przybyłym — kiedy w pewnej odległości ujrzeni wolno wspinającą się panią Chauchat, panią Chauchat w bieli, w białym swetrze, w białej flanelowej spódnicy, a nawet w białych bucikach, z rudawymi włosami, rozświetlonymi porannym słońcem. Mówiąc ściślej: rozpoznał ją Hans Castorp; Joachim zwrócił na nią uwagę dopiero na skutek niemiłego uczucia szarpania w boku — uczucia, wywołanego przez przyspieszony krok, którym nagle zaczął go popędzać jego towarzysz, zwolniwszy uprzednio nagle tempa, a nawet prawie zatrzymawszy się w miejscu. Takie gwałtowne poganianie wydało się Joachimowi wyjątkowo przykre, drażniło go; jego oddech stał się szybki i urywany; zaczął pokaszliwać. Ale świadomy celu Hans Castorp, którego narządy zdawały się pracować wspaniale, nie bardzo się o to troszczył; a gdy kuzyn jego zrozumiał, co się stało, zmarszczył tylko milcząco brwi i dotrzymał kroku Hansowi Castorpowi, który przecież nie mógł samotnie go wyprzedzać.

Piękny ranek ożywił młodego Hansa Castorpa. Podczas okresu depresji wypoczęły niepostrzeżenie jego siły duchowe i żywił teraz niezbita pewność, iż nadeszła chwila, kiedy zdjęta zostanie zeń ciężąca na nim kłątwa. Przyśpieszał więc kroku,

wlokąc za sobą dyszącego i także z innych powodów opierającego się Joachima, a przed zakrętem drogi, w miejscu gdzie przestała się wznosić i prowadziła dalej na prawo wzdłuż zalesionego wzgórza, prawie zrównali się z panią Chauchat. Tu Hans Castorp znów zwolnił kroku, aby w chwili urzeczywistnienia swego zamiaru nie wyglądać niekorzystnie, na skutek dopiero co dokonanego wysiłku. I oto za zakrętem drogi, pomiędzy przepaścią a ścianą góry, wśród rdzawo zabarwionych sosen, przez których gałęzie przezierało światło słoneczne, stała się i wydarzyła rzecz cudowna. Hans Castorp, idący na lewo od Joachima, męskim krokiem wyminął uroczą pacjentkę i, w chwili kiedy znajdował się po jej prawej ręce, powitał ją z u s z a n o w a n i e m (dlaczego właściwie: z uszanowaniem) skłaniając głowę bez kapelusza i powiedział półgłosem „dzień dobry”. Na powitanie to uzyskał od niej odpowiedź: wcale nie zdziwiona, podziękowała przyjaznym skinieniem i powiedziała w jego języku i z uśmiechem w oczach „dzień dobry”. Wszystko to było czymś innym, czymś uszczęśliwiającym i zasadniczo innym niż spojrzenie na jego trzewik, był to traf szczęśliwy i obrót sprawy ku dobremu i najlepszemu, coś zupełnie bezprzykładnego i niemal przekraczającego zdolność pojmowania; było to wyzwolenie.

Oślepiony nierozsądną radością, w posiadaniu ukłonu, słowa, uśmiechu, jak gdyby mu skrzydła u ramion wyrosły, śpieszył Hans Castorp naprzód u boku zlekceważonego Joachima, który milcząc odwrócił spojrzenie i spoglądał na urwisty stok. Tak, w oczach Joachima był to pomysł dość swawolny, a może nawet coś w rodzaju zdrady i podstępu. Hans Castorp wiedział o tym doskonale. Nie było to tak, jak gdyby kogoś najzupełniej obcego poprosić o ołówek — byłoby raczej prawie nieokrzesaniem przejść sztywno i bez ukłonu koło damy, z którą od miesięcy żyło się pod jednym dachem; i czyż nawet niedawno w poczekalni Kławdia nie nawiązała z nimi rozmowy? Oto dlaczego Joachim musiał milczeć. Lecz Hans Castorp pojmował oczywiście, dlaczego jeszcze poza tym zacny Joachim milczał i szedł z odwróconą głową, podczas gdy on sam tak bez miary

i łobuzersko był uszczęśliwiony tym, co zrobił. Nie mógłby być szczęśliwszym ktoś, kto na równinie w sposób dozwolony, z widokami na przyszłość i w gruncie rzeczy ku swemu zadowoleniu „ofiarował swe serce” jakiejś zdrowej gąsce, i to z wielkim powodzeniem — nie, nawet równie szczęśliwy nie mógłby być, jak był Hans Castorp z powodu tej drobnostki, którą w dobrej godzinie udało mu się zdobyć i sobie zapewnić... Dlatego po chwili z całej siły irzepnął kuzyna w ramię i rzekł:

— Halo, słuchaj no, co się z tobą dzieje? Taka cudna pogoda! Zejdziemy potem do Kurhauzu, tam będzie pewnie muzyka, pomyśl sobie! Może zagrają „Dar twój, ta wiązka kwiatów mała, w więzieniu mnie nie opuszczała” z „Carmen”. Cóż to za mucha cię ukąsiła?

— Nic podobnego — odparł Joachim. — Ale jesteś tak rozpalony — obawiam się, że już po spadku twojej temperatury.

Istotnie było po nim. Pod wpływem ukłonu, który Hans Castorp wymienił z Kławdią Chauchat, ustąpiło zawstydzające obniżenie napięcia w jego organizmie i, ściśle rzecz biorąc, świadomość tego właśnie sprawiała mu satysfakcję. Tak jest, Joachim miał słuszość: merkuriusz podnosił się znów! Gdy po przechadzce Hans Castorp zasięgnął jego zdania, słupek rtęci podniósł się do trzydziestu ośmiu stopni.

ENCYKLOPEDIA

Chociaż pewne aluzje pana Settembriniego złościły Hansa Castorpa, to jednak nie dziwił im się i nie miał prawa oskarżać humanisty o zbyt ni zapał do tropienia. Nawet ślepy musiałby dostrzec, jak się z nim rzecz ma: on sam nie starał się wcale tego ukrywać, pewna wielkoduszność i piękna prostota nie pozwalały mu taić uczucia, czym bądź co bądź — i to na swoją korzyść, jeśli ktoś chce — różnił się od łysawego, zakochanego i jakby skradającego się mannheimczyka. Przypominamy i powtarzamy, że psychicznemu stanowi, w jakim się znajdował, z reguły właściwy jest pęd do uzewnętrzniania

się, dążenie do zwierzeń i wynurzeń, ślepe wpatwienie się w siebie samego i chęć wypełnienia sobą świata; nas, trzeźwych, uderza to tym bardziej, im mniej w takiej postawie jest sensu, zdrowego rozsądku i szans powodzenia. Trudno powiedzieć, w jaki właściwie sposób tacy ludzie zaczynają się zdradzać; cokolwiek robią, czegokolwiek zaniechają — wszystko ich zdradza, szczególnie w towarzystwie ludzi, o których ktoś obiektywnie myślący wyraził się, że dwie tylko rzeczy mają na uwadze, a mianowicie po pierwsze temperaturę, a po drugie — znowu temperaturę, to znaczy na przykład pytanie, z kim pociesza się pani konsulowa Wurmbrand z Wiednia, opuszczona przez płochego kapitana Miklosicha: czy z wyleczonym już zupełnie szwedzkim drągałem, czy z prokuratorem Paravantem z Dortmundu, czy wreszcie z obydwojma równocześnie. Bo było rzeczą zupełnie pewną i ogólnie wiadomą, że więzy, łączące przedtem przez kilka miesięcy prokuratora z panią Salomon z Amsterdamu, uległy rozluźnieniu za obopólną zgodą, i pani Salomon, idąc za nakazem swojego wieku, zwróciła się w stronę młodszych roczników i wzięła pod swoje skrzydła opiekuńcze młodzieńca o wywiniętych wargach od stołu panny Klee-feld; o tym wypadku orzekła pani Stóhr pewnego rodzaju kancelaryjnym stylem, ale i z pewną dozą obrazowości, że pani Salomon „załączyła się” do młodego człowieka. Tak więc prokurator mógł teraz postąpić, jak chciał: albo bić się ze Szwedem o panią konsulowa, albo żyć z nim w zgodzie.

Te więc wypadki, które między gośćmi „Berghofu”, a szczególnie między gorączkującą młodzieżą, były na porządku dziennym i w których wielką rolę odgrywały przebiegające wzdłuż murów balkony (pomiędzy szklanymi przepierzeniami a balustradą), te właśnie wypadki zaprzętały tutaj umysły. Stanowiły one zasadniczą część składową tutejszej atmosfery, chociaż, prawdę mówiąc, właściwy stan rzeczy należałoby wyrazić jeszcze inaczej. Hans Castorp miał bowiem dziwne wrażenie, że na tych tak ważnych rzeczach, którym na całym świecie żartobliwie lub na serio przypisuje się wielkie znaczenie, spoczywał tutaj akcent tak mocny, a przez to tak nowy,

że samo zjawisko ukazywało się skutkiem tego w świetle jeżeli nie wprost strasznym, to w każdym razie uderzającym swoją niezwykłością. Wypowiadając te słowa, zmieniamy wyraz twarzy i zwracamy uwagę, że jeżeli dotychczas mówiliśmy kiedyś o stosunkach tego rodzaju tonem żartobliwym i lekkim, działo się to z tych samych tajnych powodów, dla których czyni się tak zwykle; nie dowodzi to bynajmniej jeszcze, że rzeczy te w istocie swojej są lekkie lub zabawne, a w sferze, w której się znajdujemy, byłoby to słuszne w mniejszym jeszcze stopniu niż gdzie indziej. Hans Castorp sądził dawniej, że nie gorzej od innych rozumie się na tych zjawiskach, tak chętnie obieranych za cel dowcipów, i mógł nawet mieć rację. Teraz przekonał się jednak, że tam na nizinie w zupełnie niedostatecznej mierze znał się na tych sprawach, a nawet że żył w niefwnej nieświadomości; tutaj natomiast jego osobiste doświadczenia, których charakter próbowaliśmy już nieraz zaznaczyć przed czytelnikiem i które w pewnych chwilach wywoływały u niego okrzyk „O Boże!”, pomogły mu do spostrzeżenia oraz zrozumienia akcentu wzmacniającego ową siłę niesłychaną, awanturniczą i bezimienną — akcentu, który tu w górze kładli na tych sprawach wszyscy i każdy z osobna. Nie twierdzimy, że nie dowcipkowano tu również na te tematy. Ale maniera ta miała wyraźniejszy niż na dole charakter czegoś nieodpowiedniego, czegoś, co każe zgrzytać zębami i zapiera oddech, co czyni z niej tylko przejrzysty płaszczyk dla ukrywającego się poza nią albo raczej nie dającego się ukryć tragizmu. Hans Castorp przypominał sobie, jak opalone policzki Joachima zbladły i pokryły się plamami, kiedy po raz pierwszy i jedyny wspomniał o fizycznej stronie osobowości Marusi, w niewinnie żartobliwy sposób znany mu z nizin. Przypominał sobie także zimną bladość, która pokryła jego własną twarz, kiedy uwolnił panią Chauchat od padającego na nią wieczornego światła, i że często przedtem i potem spostrzegał podobne zjawisko na wielu innych obliczach: zwykle na dwóch jednocześnie, na przykład na twarzy pani Salomon i młodego Gansera, kiedy zaczynało się między nimi to, co pani Stóhr

określiła w tak swoisty sposób. Przypomniał sobie, powiedzmy, to wszystko i rozumiał, że w tych warunkach nie tylko byłoby bardzo trudno się nie „zdradzić”, ale że nawet nie warto się o to starać. Innymi słowy: jeśli Hans Castorp mało zadawał sobie trudu, żeby trzymać swoje uczucia na wodzy i ukrywać ich stan, nie płynęło to wyłącznie ze szczerości i otwartości jego charakteru, ale pochodziło również stąd, że zachęcała go do tego panująca w „Berghofie” atmosfera.

Niełatwo tu było zawierać znajomości. Joachim uprzedził o tym Hansa Castorpa zaraz na początku; trudność ta wynikała przede wszystkim stąd, że obaj kuzyni stanowili w towarzystwie kuracjuszków odrębną, że tak powiem, partię i miniaturową grupę, a poza tym stąd, że żołnierskim duchem przepojony Joachim myślał tylko o szybkim wyzdrowieniu i zasadniczo nie był skłonny do bliższego kontaktu i współżycia z towarzyszami niedoli; gdyby jednak nie ta trudność, Hans Castorp miałby i zdobyłby sobie znacznie więcej okazji do otwartego i niepohamowanego manifestowania swoich uczuć. Bądź co bądź Joachim złapał go raz wieczorem na tym, jak stojąc w towarzystwie czterech osób: Herminy Kleefeld, jej obu sąsiadów od stołu, Gansera i Rasmussena, oraz owego młodzieńca z monoklem i paznokciem w kształcie szufelki i z nienaturalnie błyszczącymi oczami, improwizował z ożywieniem na temat oryginalnej i dziwnej budowy twarzy pani Chauchat, podczas gdy jego słuchacze spoglądali na siebie porozumiewawczo, trącali się i chichotali.

Dla Joachima było to bardzo przykre; ale sprawca tej wesołości nie wstydził się bynajmniej, że obnaża tak stan swojej duszy, a nawet zdawało mu się, iż odsłaniając w ten sposób swe uczucia i zwracając na nie uwagę, zapewnia im należyte znaczenie. Pewny powszechnego zrozumienia dla swego stanu, godził się przy tym na złośliwość towarzyszącą temu zrozumieniu. Nie tylko od jego stołu, ale powoli i od innych, sąsiednich stołów obserwowano z lubością, jak blednie i czerwieni się, kiedy po rozpoczęciu posiłku oszklone drzwi zapa-

dają z trzaskiem, i sprawiało mu to nawet przyjemność, bo sądził, że jego otumanienie, zwracając na siebie uwagę, znajduje pewne uznanie i potwierdzenie z zewnątrz, które mogą jego sprawę pchnąć naprzód i które wzmagają jego nieokreślone i nierozsądne nadzieje; czuł się w takich chwilach nawet szczęśliwy.

Doszło do tego, że ludzie jak gdyby wprost zbierali się, ażeby przypatrywać się zaślepionemu. Zdarzało się to na przykład po jedzeniu na tarasie albo w niedzielę po południu przed lożą portiera, kiedy kuracjusze odbierali tam swoją pocztę, której tego dnia nie roznoszono po pokojach. Wiele osób wiedziało, że znajdują się tam srodze odurzony i oszołomiony młodzieniec, który daje wszystko po sobie poznać, więc stawała tam na przykład pani Stóhr, panna Engelhart, panna Kleefeld ze swoją przyjaciółką o twarzy tapira, nieuleczalny pan Albin, młody człowiek z paznokciem i jeszcze ten i ów spośród pacjentów — stali tam z sarkastycznie opuszczonymi kątami ust, prychający przez nos, i przyglądali się, jak z nieprzytomnym i namiętym uśmiechem, z wypiekami na twarzy, które poczuł zaraz pierwszego wieczora po przybyciu tutaj, i z owym blaskiem w oczach, który wzniecił w nich jeszcze kaszel sportmena, uporczywie patrzył w wiadomym kierunku...

Właściwie było *to* bardzo ładnie ze strony pana Settembriego, że wśród takich okoliczności podchodził do Hansa Castorpa, aby wciągnąć go w rozmowę i zapytać o zdrowie; ale należy wątpić, czy Hans Castorp umiał należycie ocenić to postępowanie, dowodzące życzliwości i braku przesądów. Było to, na przykład, w niedzielne popołudnie w przedsionku. Goście tłoczyli się przy łoży portiera i wyciągali ręce po listy. Także Joachim stał tam w pierwszym szeregu. Jego kuzyn pozostał w tyle i, będąc w nastroju powyżej opisanym, starał się złowić spojrzenie Kławdii Chauchat, która w towarzystwie swych sąsiadów od stołu stała w pobliżu, czekając, aż zmniejszy się natłok przy łoży. Była to godzina, w której mieszkańcy sanatorium mieszały się z sobą, godzina okazji, ukochana i utęskniona z tego powodu przez młodego Hansa Castorpa.

Przed tygodniem zetknął się bardzo blisko z panią Chauchat przy okienku portiera, tak że nawet potrąciła go lekko i odwróciwszy przelotnie głowę, powiedziała pardon, na co on, dzięki jakiejś gorączkowej przytomności umysłu, zdołał ku swej wielkiej radości odpowiedzieć:

— Pas de quoi, madame!*

Co za uśmiech losu, myślał, że w każde niedzielne popołudnie niechybnie odbywa się w przedsionku rozdzielanie poczty! Można powiedzieć, że cały tydzień schodził mu na wyczekiwaniu tej godziny, a czekać znaczy: wybiegać naprzód, znaczy: czas i terażniejszość odczuwać nie jako dar, lecz tylko jako przeszkodę, zaprzeczać ich wartości, niweczyć je i w duchu przeskakiwać. Mówi się, że czekającemu czas się dłuży. Ale zarazem, a nawet właściwie, rzecz ma się odwrotnie, bo czekanie pochłania całe okresy czasu, których się jako takich nie przeżywa i nie wyzyskuje. Można powiedzieć, że ten, kto tylko czeka, podobny jest do żarłoka, którego narządy trawienia w olbrzymich ilościach przepuszczają potrawy, nie spożytkowując wcale ich wartości odżywczych. Można by pójść jeszcze dalej i powiedzieć: jak nie strawiony pokarm nie wzmacnia człowieka, tak i czas zużyty na czekanie nie czyni go starszym. Co prawda, czyste czekanie, bez żadnej domieszki, w praktyce się nie zdarza.

A więc tydzień znowu został pochłonięty i nadeszło popołudnie niedzielne z rozdziałem poczty — tak jak gdyby to było jeszcze to samo, sprzed siedmiu dni. Stwarzało w sposób niezwykle podniecający jedną okazję po drugiej, co chwila kryło w sobie i dawało możliwość nawiązania z panią Chauchat stosunków towarzyskich — możliwość, która ścisła i popędzała serce Hansa Castorpa, nie przyoblekając jednak szat rzeczywistości. Stały temu na przeszkodzie hamulce natury częściowo żołnierskiej, a częściowo cywilnej; były one mianowicie w związku bądź z obecnością zacnego Joachima, bądź z własnym honorem i obowiązkowością Hansa Castorpa, a wynikały również z poczucia, że stosunki towarzyskie z Kławdią Chauchat, które wymagają zachowywania przyjętych form, mówię-

nia „pani”, ukłonów, a być może rozmawiania po francusku — były w ogóle niepotrzebne, niepożądane, i nie o to tutaj chodziło... Stał i patrzył na nią, jak śmiała się i rozmawiała, zupełnie tak samo jak niegdyś Przybysław Hippe śmiał się rozmawiając na dziedzińcu szkolnym: usta jej otwierały się przy tym dosyć szeroko, a jej skośne, szarzielone oczy zwężyły się w szparki ponad wystającymi kośćmi policzkowymi. Nie było to bynajmniej „piękne”, ale było takie, jakie było, a zakochani są niezdolni w równej mierze do rozumnej oceny estetycznej, jak i do wydawania sądów etycznych.

— Pan także czeka na jakieś papiery, inżynierze?

Tak mógł zagadnąć jeden tylko człowiek — ktoś, kto przeszkadza. Hans Castorp wzdrygnął się i odwrócił do pana Settembriniego, który stał przed nim z uśmiechem. Był *to* ten sam subtelny i humanistyczny uśmiech, którym kiedyś przy ławce nad strumieniem po raz pierwszy przywitał nowego przybysza, i jak wtedy tak i teraz Hans Castorp doznał na jego widok uczucia wstydu. Ale chociaż we śnie nieraz starał się odpedzić „kataryniarza”, bo „tutaj przeszkadza”, to jednak na jawie człowiek jest lepszy niż we śnie, i Hans Castorp poczuł nie tylko wstyd i otrzeźwienie, ale jednocześnie i pewną wdzięczność, bo zrozumiał, że trzeba mu tego uśmiechu. Od-rzekł:

— Mój Boże, gdzieżby na papiery! Nie jestem przecież żadnym ambasadorem! Może przyszła jakaś pocztówka do któregoś z nas. Mój kuzyn dowiaduje się właśnie.

— Mnie wręczył już ten kulawy diabeł, tam z przodu, moją skromną pocztę — powiedział Settembrini i wskazał na kieszeń swej nieodłącznej włochatej marynarki. — Ciekawe rzeczy, nie przeczę, rzeczy o literackim i społecznym znaczeniu. Chodzi o dzieło encyklopedyczne, wydawane przez pewną instytucję, która zaszczyliła mnie humanitarną propozycją współpracy... Jednym słowem, o piękną pracę. — Pan Settembrini zrobił pauzę. — A jak pańskie sprawy? — zapytał. — Co słyhać u pana? Jak dalece na przykład, przystosował się pan już do tutejszego klimatu? Bo ostatecznie nie jest pan u nas

jeszcze tak dawnym gościem, żeby to pytanie przestało być aktualne.

— Dziękuję panu, ciągle jeszcze mam z tym trudności. I możliwe, że będzie już tak aż do ostatniego dnia. Kuzyn mój powiedział mi zaraz po moim przyjeździe, że niektórzy w ogóle nie mogą się tutaj zaaklimatyzować. Ale można się przyzwyczaić do tego, że się nie można przyzwyczaić.

— Skomplikowany proces — zartował Włoch — oryginalny sposób wżycia się. Naturalnie, młodzież jest zdolna do wszystkiego. Nie przyzwyczajają się, ale zapuszcza korzenie.

— Ostatecznie nie jesteśmy tutaj w syberyjskiej kopalni.

— Nie. O, pan preferuje wschodnie porównania. To zupełnie zrozumiałe. Azja pochłania nas. Gdziekolwiek spojrzeć: tatarskie fizjonomie. — I pan Settembrini dyskretnie obejrzał się za siebie. — Dżingis-chan — rzekł. — Świecące ślepia wilka stepowego, śnieg i wódka, nahajka, Szlisselburg i chrześcijaństwo. Należałoby tutaj w przedsionku ustawić ołtarz Pallas Ateny, jako symbol obrony. Niech pan spojrzy, tam na przodzie stoi sobie taki Iwan Iwanowicz, bez bielizny, i kłóci się z prokuratorem Paravantem. Każdy z nich chce wyprzedzić drugiego, aby odebrać swoje listy. Nie wiem, który z nich ma rację, ale na mój rozum bogini chroni raczej prokuratora. Wprawdzie jest osłem, ale zna przynajmniej łacinę.

Hans Castorp śmiał się — czego nigdy nie czynił Settembrini. Nie można było wcale wyobrazić go sobie serdecznie się śmiejącego; nie posuwał się nigdy poza delikatne i suche ściągnięcie kącików ust. Patrzył na śmiejącego się młodzieńca, a potem zapytał:

— Czy pan ma już swój diapozytyw?

— Owszem, mam już! — odparł Hans Castorp z ważną miną. — Od niedawna. Oto on.

I sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— O, pan nosi go w portfelu jak jakąś legitymację, paszport albo kartę członkowską. Doskonale. Niech no pan pokaże! — I pan Settembrini spojrział pod światło na małą szklaną płytkę w ramce z czarnego papieru, trzymając ją między wiel-

kim i wskazującym palcem lewej ręki — ruchem często tutaj na górze używanym. Twarz jego, z czarnymi migdałowymi oczami, skrzywiła się trochę w czasie oglądania ponurego zdjęcia — nie wiadomo, czy tylko aby umożliwić mu dokładniejsze widzenie, czy też z jakiegoś innego powodu.

— Tak, tak — odezwał się po chwili. — Ma pan tu swoją legitymację, dziękuję bardzo. — I zwrócił płytkę jej właścicielowi, podając mu ją bokiem, przez ramię poniekąd, i nie patrząc na niego.

— Czy widział pan te pasma? — zapytał Hans Castorp. — A gruzelki?

— Pan wie — odpowiedział powoli Settembrini — co ja sądzę o wartości tych produktów. Pan wie również, że te plamy i cienie tam wewnątrz są po największej części normalne. Widziałem już setki fotografii, wyglądających mniej więcej tak jak pańska, a które pozostawiały patrzącemu pewną swobodę osądzania, czy rzeczywiście stanowią „legitymację"! Mówię jako laik, ale bądź co bądź laik długoletni.

— Czy pana własna legitymacja wygląda gorzej?

— Tak, trochę gorzej. Zresztą wiem na pewno, że nasi panowie i władcy także nie opierają swojej diagnozy wyłącznie na tej zabawce. A więc ma pan zamiar u nas przezimować?

— Ach, mój Boże... Zaczynam przyzwyczajać się do myśli, że zjadę na dół dopiero z kuzynem.

— To znaczy, że pan przyzwyczaja się do tego, że pan nie*.. Pan sformułował to bardzo dowcipnie. Przypuszczam, że pan już otrzymał swoje rzeczy, ciepłe ubranie, solidne obuwie?

— Wszystko. Wszystko w najlepszym porządku, proszę pana. Zawiadomiłem krewnych i nasza gospodyni przysłała mi wszystko pośpiesznym frachtem. Jestem dobrze zaopatrzony.

— To mnie uspokaja. Ale, prawda, musi pan mieć worek, futrzany worek — jak mogliśmy o tym zapomnieć?! To późne lato jest zdradliwe; lada godzina może przyjść ostra zima. Pan spędzi tutaj najzimniejsze miesiące...

— Tak, tak, worek do werandowania — powiedział Hans Castorp — należy do tutejszego ekwipunku. Przychodziło mi już

przez myśl, że w najbliższych dniach będziemy musieli, mój kuzyn i ja, zejść do Uzdrowiska i kupić taki worek. Później nie będzie już nigdy w życiu potrzebny, ale ostatecznie na cztery do sześciu miesięcy warto go nabyć.

— Warto, warto, inżynierze! — powiedział cicho Settembrini podchodząc bliżej do młodego człowieka. — A wie pan, że aż strach bierze, jak pan szafuje tymi miesiącami. Strach, bo to jest nienaturalne i obce jego naturze, a pochodzi jedynie z pojętności, właściwej pańskiemu wiekowi. Ach, ta nadmierna pojętność młodości! Ona jest rozpaczą wychowawców, bo przede wszystkim każe im chłonąć to, co złe. Młody człowieku, niech pan nie mówi rzeczy, które tu niejako unoszą się w powietrzu, ale niech pan wygłasza zdania zgodne ze swymi europejskimi formami życia! Tutaj jest przede wszystkim dużo Azji w powietrzu — nie darmo aż się roi od typów z moskiewskiej Mongolii! Ci ludzie — i pan Settembrini wskazał ruchem brody przez ramię za siebie — niech się pan nie nastawia wewnątrznie według nich, niech pan się nie zaraża ich sposobem myślenia, ale niech im pan raczej przeciwstawi swoją własną, swoją wyższą istotę, i niech pan uważa za święte to, co dla pana, syna Zachodu, boskiego Zachodu — dla syna cywilizacji, z natury i z pochodzenia jest święte, na przykład czas! Ta rozrzutność, ten barbarzyński szeroki gest w zużywaniu czasu jest w stylu azjatyckim — i to jest zapewne (powodem, dlaczego tutaj tak się podoba dzieciom Wschodu. Czy pan nigdy nie zauważył, że jeżeli Rosjanin mówi: „cztery godziny” — jest to nie więcej, niż jeżeli ktoś z nas powie: „jedna”? Nasuwa się myśl, że nonszalancja tych ludzi w stosunku do czasu pozostaje w związku z dzikim bezmiarem ich kraju. Gdzie jest dużo przestrzeni, jest też wiele czasu — mówi się przecież, że oni są narodem, który ma czas i może czekać. My Europejczycy nie możemy. Mamy tak samo mało czasu, jak mało miejsca jest na naszym szlachetnym i misternie rozczłonkowanym kontynencie; musimy ekonomicznie gospodarować jednym i drugim i umieć wysnuwać z nich korzyści, korzyści, inżynierze! Niech pan pomyśli, na przykład, o naszych wielkich miastach, tych ośrodkach i ogni-

skach cywilizacji, tych kotłach, w których powstają i mieszają się idee! W tym samym stosunku, w jakim drożeje tam ziemia i staje się niemożliwością trwonienie przestrzeni, w tym samym stosunku, niech pan zwróci na to uwagę, także czas staje się tam coraz droższy. Carpe diem! To słowa poety, który był mieszkańcem wielkiego miasta. Czas jest darem bogów, danym człowiekowi, aby z niego korzystał — korzystał, inżynierze, służąc postępowi ludzkości.

Słowa te, jakkolwiek na pewno sprawiały trudności jego śródziemnomorskiemu językowi, wypowiedział pan Settembrini wyraźnie, dźwięcznie i, rzecz można, plastycznie. Hans Castorp odpowiedział krótkim, sztywnym i nieśmiałym ukłonem ucznia otrzymującego należną mu reprimendę. Bo cóż miał odpowiedzieć? To *privatissimum* *, ogłoszone dla niego poufnie i prawie szeptem przez pana Settembriniego, odwróconego tyłem do pozostałych gości, miało charakter tak ściśle rzeczowy i mało towarzyski, tak bardzo odbiegało od swobodnej rozmowy, że byłoby nietaktem reagować na nie, chociażby wyrażając uznanie. Nauczycielowi nie odpowiada się: „Pięknie pan to powiedział”. Hans Castorp czynił to wprawdzie przedtem kilkakrotnie, chcąc poniekąd utrzymać się na równym poziomie towarzyskim, ale też humanista nigdy dotychczas nie przemawiał doń tak zdecydowanie mentorskim tonem. Nie pozostawało nic innego, jak tylko przełknąć kazanie — i Hans Castorp milczał, przytłoczony jak student tym nawałem morałów.

Zresztą widać było po panu Settembrinim, że chociaż już zamilkł, myśli swe snuje dalej. Wciąż jeszcze stał tuż przed Hansem Castorpem, tak że ten musiał nawet przechylić się nieco w tył, a jego czarne, głęboko zamyślane oczy uparcie wpatrywały się w twarz młodzieńca.

— Pan cierpi, inżynierze! — mówił dalej. — Pan cierpi jak człowiek zbłąkany — któż nie poznałby tego po panu? Ale pana ustosunkowanie się do cierpienia powinno również mieć charakter europejski — a nie zabarwienie Wschodu, nieodpornego i skłonnego do chorób Wschodu, który tak wydatnie przyczynia się do wielkiej frekwencji w tej miejscowości... Współczucie

i bezgraniczna cierpliwość — oto postawa Wschodu wobec cierpienia. Ale nam, ale panu tak nie wolno!... Mówiliśmy o mojej korespondencji... Niechże pan spojrzy... Albo jeszcze lepiej, niech pan pójdzie ze mną! Tutaj nie można... Chodźmy stąd i wejdźmy do środka. Poczynię przed panem pewne zwierzenia, które... Chodźmy! — I odwróciwszy się, pociągnął za sobą Hansa Castorpa z przedsiönka do najbliższego z salonów ogólnych, w tej chwili zupełnie pustego; była to czytelnia i pokój do pisania, o jasnym, sklepionym suficie i dębowej boazerii; pod ścianami szafy z książkami, pośrodku otoczony krzesłami stół, pokryty gazetami na kijach, a pod łukami nisz okiennych biurczka z przyborami do pisania. Pan Settembrini podszedł do jednego z okien, a Hans Castorp za nim, nie zamykając drzwi.

— Papiery te — odezwał się Włoch, wyciągając pośpiesznie z workowatej kieszeni swojej włoskiej marynarki dużą, już otwartą kopertę i wydobywając przed oczami Hansa Castorpa zawarte w niej różne druki i pisma odręczne — papiery te mają francuski nagłówek: „Międzynarodowa Liga Organizacji Postępu”. Przesłano mi je z Lugano, gdzie znajduje się ekspozytura Ligi. Pyta mnie pan, jakie są jej punkty wyjścia i cele? Odpowiem panu w paru słowach. „Liga Organizacji Postępu” wyprowadza z teorii ewolucji Darwina pogląd filozoficzny, że najistotniejszym i naturalnym powołaniem człowieka jest jego doskonalenie się. Wysnuwa stąd dalej wniosek, że jest obowiązkiem każdego, kto chce iść za swym naturalnym powołaniem, przyczyniać się swą współpracą do postępu ludzkości. Wielu jest takich, co poszło za tym hasłem; Liga ma licznych członków we Francji, Włoszech, w Hiszpanii, Turcji, a nawet w Niemczech. Ja także mam zaszczyt figurować w wykazie członków. Opracowano program reformy w wielkim stylu, oparty na zasadach naukowych i obejmujący wszystkie możliwe dzisiaj sposoby doskonalenia organizmu ludzkiego. Studiuje się zagadnienia zdrowia naszej rasy, bada się wszelkie metody zwalczania degeneracji, która jest bez wątpienia pożałowania godnym zjawiskiem towarzyszącym wzrostowi uprzemysłowienia. Liga zakłada dalej uniwersytety ludowe, pracuje nad przewyciężę-

niem walki klas za pomocą wszystkich zmierzających do tego celu ulepszeń społecznych, a wreszcie pragnie położyć kres walce narodów, wojnie, dzięki rozwojowi prawa międzynarodowego. Pan widzi, że cele Ligi są szlachetne i rozległe. O jej żywotności świadczy spora liczba czasopism międzynarodowych — miesięczników, wychodzących w trzech lub czterech językach światowych i przynoszących ciekawe informacje o pochodzie postępu wśród ludów cywilizowanych. W różnych państwach powstały oddziały miejscowe, które przez urządzenie wieczorów dyskusyjnych i niedzielnych zebrań mają budzić zrozumienie dla ideału postępu ludzkości. A przede wszystkim stara się Liga wspomagać postępowe partie polityczne wszystkich krajów przez dostarczanie im odpowiedniego materiału... Pan słucha, inżynierze?

— Ależ tak! — odrzekł Hans Castorp pośpiesznie i skwapliwie. Wymawiając te słowa miał uczucie człowieka, który się pośliznął, ale któremu udało się jeszcze szczęśliwie utrzymać na nogach.

Pan Settembrini wydawał się zadowolony:

— Przypuszczam, że to są dla pana rewelacje?

— Tak, muszę przyznać, że po raz pierwszy słyszę o tych... o tych usiłowaniach.

— Gdybyż pan był wcześniej — zawołał cicho Settembrini — gdybyż pan był wcześniej już o nich posłyszał! Ale może jeszcze nie za późno dowiaduje się pan o tym. A więc, te druki... Pan chce wiedzieć, o czym w nich mowa... Niech pan słucha dalej! Na wiosnę odbyło się w Barcelonie walne zgromadzenie Ligi — pan wie, że to miasto może szczycić się wyjątkowym stosunkiem do postępowych idei politycznych. Kongres trwał przez tydzień, pełno było bankietów i uroczystości. Mój Boże, chciałem pojechać, gorąco pragnąłem wziąć udział w obradach. Ale ten łotr, radca dworu, zabronił mi i groził śmiercią — i, co pan powie, bałem się śmierci i nie pojechałem. Może pan sobie wyobrazić, że byłem w rozpacz z powodu figla, który mi wyplątało moje zdrowie. Nie ma nic bardziej bolesnego, niż kiedy fizyczna, zwierzęca część naszego organizmu nie pozwala nam

służyć rozumowi. Tym bardziej cieszę się tym pismem przysłanym mi przez biuro Ligi w Lugano... Jest pan ciekawy treści? Wierzę, wierzę! Ale najpierw kilka króciutkich informacji... „Liga Organizacji Postępu” — zważywszy, że zadanie jej polega na zapewnieniu szczęścia całej ludzkości, innymi słowy: na stopniowym zwalczaniu i wreszcie na zupełnym wytepieniu ludzkiego cierpienia za pomocą celowej pracy społecznej — zważywszy dalej, że to najszczytniejsze zadanie może być rozwiązane tylko za pomocą naukowej socjologii, której ostatecznym celem jest doskonałe państwo — zważywszy to wszystko, Liga uchwaliła w Barcelonie wydanie wielotomowego dzieła, pod tytułem „Socjologia cierpienia”; będzie to wyczerpujące i systematyczne opracowanie cierpień ludzkich według wszystkich ich klas i rodzajów. Pan mi zarzuci: na cóż się zdadzą klasy, rodzaje, systemy! A ja panu odpowiem: uporządkowanie i rozejrzenie się w materiale jest początkiem jego opanowania, a prawdziwie strasznym wrogiem jest wróg nieznan. Trzeba wywieść rodzaj ludzki z prymitywnego stadium lęku i biernej tępoty i wprowadzić go w fazę świadomego celu działania. Trzeba go uświadomić, że można zapobiec skutkom, jeśli się dość wcześnie pozna i opanowuje przyczyny, i że prawie wszystkie cierpienia jednostki są chorobami organizmu społecznego. Dobrze! To więc jest zamierzeniem „Patologii socjologicznej”. Dzieło to, składające się mniej więcej z dwudziestu tomów formatu encyklopedii, opisie i podda analizie wszystkie przypadki cierpień ludzkich, jakie tylko dadzą się pomyśleć, od najbardziej osobistych i intymnych aż do wielkich konfliktów zbiorowych, do cierpień wyrastających z walki klas i międzynarodowych zatargów? krótko mówiąc, dotrze do pierwiastków chemicznych, których związki i mieszaniny składają się na wszystkie cierpienia ludzkie; a ponieważ wytyczną całego dzieła ma być godność i szczęście ludzkości, przeto wskaże ono w każdym wypadku środki i sposoby usunięcia przyczyn cierpienia. Powołani fachowcy ze świata nauki europejskiej, lekarze, socjologowie i psychologowie, podzielą między siebie opracowanie tej encyklopedii cierpienia, a główne biuro redakcyjne w Lugano będzie zbiornikiem, do

którego spływać będą artykuły. Pan pyta mnie wzrokiem, jaka rola ma mnie przy tym wszystkim przypaść w udziale? Niech mi pan pozwoli dokończyć! I literatura piękna będzie w tym dziele uwzględniona, o ile przedmiotem jej jest cierpienie ludzkie. Dlatego też przewidziany jest osobny tom, który ku pokrzepieniu i pouczeniu cierpiących ma zawierać wykaz i krótką analizę wszystkich wybitnych utworów literatury powszechnej zajmującej się poszczególnymi konfliktami. Oto zadanie, które niniejszy list powierza pańskiemu najniższemu słudze.

— Co pan mówi, naprawdę?! Niech mi wolno będzie serdecznie panu powinszować! To przecież jest wspaniałe zadanie i moim zdaniem, jak stworzone dla pana. Nie dziwię się bynajmniej, że Liga pomyślała o panu. A jak musi pana cieszyć świadomość, że może pan być pomocny w tępieniu cierpienia ludzkiego!

— To duża praca — rzekł pan Settembrini zamyślając się — wymagająca szerokich horyzontów i wielkiego odczytania. Tym bardziej — ciągnął dalej, podczas gdy wzrok jego jak gdyby gubił się w gąszczach tej pracy — tym bardziej że literatura prawie z reguły obiera sobie za temat cierpienie, i nawet drugo- i trzeciorzędne jej arcydzieła zajmują się poniekąd tym przedmiotem. Mniejsza o to — albo może tym lepiej! Jakkolwiek zadanie to jest olbrzymie, to jednak jest ono tego rodzaju, że od biedy nawet w tym przeklętym miejscu mogę nad nim pracować, chociaż mam nadzieję, że nie będę zmuszony doprowadzić go tutaj do końca. Ale o obowiązkach — ciągnął Settembrini, znowu podchodząc bliżej do Hansa Castorpa i zniżając głos prawie do szeptu — o obowiązkach, które na pana, inżynierze, nałożyła natura, nie można tego samego powiedzieć. Oto, dokąd zmierzałem, co chciałem panu uprzytomnić. Pan wie, jak bardzo podziwiam jego zawód, ale ponieważ jest to zawód praktyczny, nie teoretyczny, to może pan go, w przeciwieństwie do mnie, wykonywać tylko pomiędzy ludźmi, tam na dole. Tylko na nizinie może pan być Europejczykiem, na swój sposób zwalczając czynnie cierpienie, pracować dla postępu, nie tracić czasu. Opowiedziałem panu o powierzonej mi pracy tylko po to, ażeby mu przypomnieć, ażeby go przywołać do porządku, ażeby spro-

stować jego pojęcia, które prawdopodobnie pod wpływem warunków atmosferycznych zaczynają się mącić. Żądam od pana: niech pan polega na sobie! Niech pan będzie dumny i niech pan się nie zatracą w obcym sobie świecie! Niech pan unika tego bagna, tej wyspy Kirke, na której nie może pan bezkarnie zamieszkać, bo jest pan na to za mało Odyseuszem. Pan będzie chodził na czworakach, pan już opuszcza się na przednie kończyny, a niezadługo zacznie pan chrząkać — niech pan się ma na baczości!

Te półgłosem wygłaszane napomnienia humanista podkreślał dobitnymi ruchami głowy. Potem umilkł spuściwszy oczy i ściągnąwszy brwi. Niepodobieństwem było odpowiedzieć mu żartobliwie i wymijająco, jak to przedtem zwykle czynił Hans Castorp i co też teraz przez chwilę rozważał jako możliwość. I on także stał ze spuszczoneymi powiekami. Potem podniósł ramiona i zapytał równie cicho:

— Więc co ja mam zrobić? •,

— To, co panu powiedziałem!

— To znaczy: odjechać?

Pan Settembrini milczał.

— Czy pan chce powiedzieć, że powinienem pojechać do domu?

— Radziłem to panu zaraz pierwszego wieczora, inżynierze.

— Tak, i wtedy mogłem to uczynić, choć uważałem, że nie ma sensu tak zaraz dawać za wygraną dlatego tylko, że tutajsze powietrze daje mi się trochę we znaki. Ale przecież od tego czasu sytuacja uległa zmianie. Poddałem się badaniu lekarskiemu, po którym radca Behrens powiedział mi bez ogródek, że nie warto odjeżdżać, bo niezadługo musiałbym i tak tu powrócić, a gdybym tam na dole podjął dawny tryb życia, to mógłbym jak nie stracić całego płata płuca.

— Wiem, teraz ma pan w kieszeni swoją legitymację.

— Pan mówi o tym z taką ironią... naturalnie z właściwą ironią, która nie może być źle zrozumiana i jest tylko zwyczajnym i klasycznym środkiem krasomówczym — widzi pan, pamiętam jego słowa. Ale czy może pan wziąć to na swoją odpo-

wiedzialność, by mimo tej fotografii, mimo rezultatu prześwietlenia i diagnozy radcy Behrensa doradzać mi powrót do domu?

Pan Settembrini wahał się przez chwilę. Potem wyprostował się, podniósł spuszczone powieki, mocne spojrzenie swoich czarnych oczu skierował na Hansa Castorpa i odparł z pewną teatralną i na efekt obliczoną intonacją:

— Tak, inżynierze, gotów jestem wziąć to na swoją odpowiedzialność.

Ale i Hans Castorp wyprostował się teraz. Zsunąwszy obcasy, patrzył prosto w twarz Settembriniemu. Tym razem była to walka. Hans Castorp był pewny siebie. Wpływy, dosięgające go z pobliza, umacniały go. Tu miał przed sobą pedagoga, a tam na dworze była owa wąskooka kobieta. Nawet nie przeprosił za to, co powiedział; nie dodał: „Niech mi pan tego nie weźmie za złe”.

Odrzekł:

— W takim razie jest pan ostrożniejszy w stosunku do siebie samego niż do innych ludzi! Pan nie zlekceważył zakazu lekarza, nie pojechał pan na zjazd postępowców do Barcelony, pan bał się śmierci i pozostał tutaj.

Słowa te zachwiały do pewnego stopnia pozą pana Settembrinię. Uśmiechnął się nie bez trudu i odezwał się:

— Umiem cenić ciętą odpowiedź, chociaż pańska logika trąci sofisteryą. Mierzi mnie ten wstrętny, a tak częsty tutaj wyścig i nie chcę w nim brać udziału, inaczej odpowiedziałbym panu, że jestem o wiele bardziej chory niż pan — niestety, rzeczywiście tak bardzo chory, że niezupełnie szczerze i z pewną dozą oszukiwania siebie samego oddaję się nadziei, iż kiedykolwiek będę mógł opuścić tę miejscowość i powrócić do życia na dole. Z chwilą kiedy żywienie tej nadziei okaże się czymś zgoła niewłaściwym, opuszczę ten zakład i na koniec moich dni poszukam sobie jakiegoś prywatnego mieszkania gdzieś w dolinie. Smutne to będzie, ale ponieważ praca moja obraca się w najbardziej oderwanej i umysłowej sferze, nic mi nie przeszkodzi aż do ostatniego tchnienia służyć sprawie ludzkości i stawiać czoło duchowi choroby. Zwróciłem już panu uwagę na różnicę

zachodzącą pod tym względem między nami. Pan nie jest człowiekiem, który potrafiłby zachować tutaj najlepszą część swej istoty, spostrzegłem to podczas naszego pierwszego spotkania. Pan mi zarzuca, że nie pojechałem do Barcelony. Usłuchałem zakazu, ażeby nie ulec przedwczesnej zagładzie. Ale uczyniłem to ze stanowczym zastrzeżeniem, z najdumniejszym i najboleśniejszym protestem mego ducha przeciwko dyktatowi mego nędznego ciała. Czy i w panu budzi się ten protest, kiedy pan poddaje się przepisom tutejszej władzy — czy nie jest pan raczej posłuszny, chętnie posłuszny swojemu ciału i jego złym skłonnościom...

— Cóż pan ma przeciwko ciału? — przerwał porywczo Hans Castorp i spojrzał na Włocha szeroko otwartymi niebieskimi oczami, których białka poprzerzynane były czerwonymi żyłkami. Jego szalona odwaga przyprawiała go o zawrót głowy, i można było to poznać po nim. „O czymże ja mówię? — pomyślał. — To się staje potworne. Ale skoro podjąłem walkę z nim, nie zostawię mu, póki się da, ostatniego słowa. Oczywiście,„ będzie je miał, ale to nic nie szkodzi, zawsze odniosę z tego jakąś korzyść. Będę go drażnił.” — I uzupełnił swój zarzut:

— Pan przecież jest humanistą? Więc jak pan może mówić źle o ciele?

Tym razem uśmiech Settembriniego był niewymuszony i pewny siebie.

— „Co pan ma przeciwko analizie?” — zacytował, przechylając głowę. — „Czy pan nie lubi analize?” — Zawsze pan znajdzie mnie gotowym do uzasadniania mych twierdzeń — rzekł z ukłonem i opuścił przy tym rękę ruchem jakby salutującym — szczególnie jeżeli pańskie zarzuty będą inteligentne. Pan paruje nie bez elegancji. Humanista — ma się rozumieć, że nim jestem. Nigdy nie przyłapie mnie pan na skłonnościach do ascezy. Uznaję, cenię i kocham cielesność tak samo, jak uznaję, cenię i kocham formę, piękno, wolność, radość i używanie — jak jestem obrońcą światowości, interesów życia przeciw sentymentalnej przed nim ucieczce — obrońcą klasycyzmu przeciw romantyzmowi. Sądzę, że moje stanowisko jest jednoznaczne. Ist-

nieje jednak **pewna siła**, pewna zasada, dla której żywiej największe uznanie, najwyższy szacunek i najgłębszą miłość, a tą siłą, tą zasadą jest duch. Jakkolwiek nie znoszę wygrywania przeciwko ciału owego podejrzanego, mdłego wytworu wyobraźni i księżycowego upiora, któremu nadaje się miano duszy, to jednak kiedy chodzi o antytezę ciała i ducha, ciało stanowi pierwiastek szatański, bo ciało jest naturą, a natura — powtarzam: w ramach swego przeciwieństwa do ducha, do rozumu, jest zła, mistyczna i zła. „Pan jest humanistą!” Owszem, jestem nim bezsprzecznie, bo jestem przyjacielem człowieka, jak nim był Prometeusz, miłośnik ludzkości i tego, co w niej szlachetne. Ale ta szlachetność jest cechą ducha, rozumu, i dlatego całkiem daremnie będzie pan wysuwał zarzut chrześcijańskiego obskurantyzmu...

Hans Castorp zaprzeczył.

— ...Całkiem daremnie — obstawał przy swoim Settembrini — będzie pan podnosił ten zarzut, jeżeli kiedyś szlachetna duma humanizmu nauczy ludzi, że poniżeniem i urąganiem jest uzależnianie ducha od strony cielesnej, od natury. Czy wie pan, że wielki Plotyn miał się kiedyś wyrazić, iż wstydzi się, że posiada ciało? — zapytał Settembrini i tak poważnie domagał się odpowiedzi, że Hans Castorp musiał wyznać, iż słyszy o tym po raz pierwszy.

— Porfiriusz przekazał nam te słowa. Absurdalne, jeżeli pan chce. Ale absurdalność jest wyrazem szlachetności ducha i nie ma właściwie nic żałośniejszego niż zarzut absurdalności tam, gdzie duch wbrew naturze dąży do utrzymania swej godności i nie chce się jej wyrzec... Czy słyszał pan o trzęsieniu ziemi w Lizbonie?

— Nie — trzęsienie ziemi? Nie czytuję tu gazet...

— Pan mnie źle rozumie. Nawiasem mówiąc, szkoda, że pan nie czytuje tu dzienników, ale to jest charakterystyczne dla tej miejscowości. Otóż pan mnie źle rozumie; katastrofa, o której mówię, nie jest aktualna, zdarzyła się mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu...

— Ach tak! Niech pan zaczeka — prawda! Czytałem, że

Goethe w Weimarze powiedział wtedy w nocy, w swojej sypialni, do służącego...

— Ach, nie o tym chciałem mówić — przerwał mu Settembrini, przymknąwszy oczy i machając w powietrzu swoją drobną, opaloną dłonią. — Poza tym pomieszał pan kataklizmy. Pan myśli o trzęsieniu ziemi w Mesynie, a ja mówię o trzęsieniu, które nawiedziło Lizbonę w 1755 roku.

— Przepraszam pana.

— Tak więc, Wolter oburzał się na to.

— To znaczy... jak? Oburzał się?

— Tak jest, powstawał przeciwko temu. Nie godził się na ten brutalny fakt i na fatum, nie chciał przed nimi kapitulować. W imię ducha i rozumu zaprotestował przeciwko temu skandalicznemu wybrykowi natury, który zburzył trzy ćwierci kwitnącego miasta i pociągnął za sobą tysiące ofiar w ludziach... Pan jest zdumiony? Pan się uśmiecha? Niechże pan się dziwi, ale co się tyczy uśmiechu, to pozwalam sobie zabronić go panu! Stanowisko Woltera było stanowiskiem prawdziwego potomka owych Galów, którzy wypuszczali strzały przeciw niebu... Widzi pan, inżynierze, tu ma pan przykład wrogości ducha wobec natury, jego dumnej nieufności wobec niej, tu widzi pan, jak się broni swego prawa do krytykowania natury i jej złej, przeciwnej rozumowi potęgi... Bo ona jest potęgą, a trzeba być niewolnikiem, aby się poddawać potędze, godzić się na nią... chcę powiedzieć: wewnętrznie na nią się godzić. Ale ma pan tu też to stanowisko humanistyczne, które nie wikła się w żadne sprzeczności i nie popada z powrotem w hipokryzję chrześcijaństwa, kiedy ma odwagę widzieć w ciele element zły i antagonistyczny. Sprzeczność, jaką pan pozornie dostrzega, jest w gruncie rzeczy zawsze jedna i ta sama. „Co pan ma przeciwko analizie?” Nic... jeżeli ma służyć pouczaniu, wyzwalaniu i postępowi. Wszystko... jeżeli trąci wstrętnym, grobowym posmakiem rozkładu. Z ciałem ma się rzecz nie inaczej. Należy je szanować i bronić go, kiedy chodzi o jego emancypację i piękno, o wolność zmysłów, o szczęście, o rozkosz. Ale trzeba nim gardzić, jeżeli przeciwstawia się dążeniu do światła jako pierwiastek

ciężkości i bezwładności, odwracać się od niego ze wstrętem, jeżeli reprezentuje zasadę choroby i śmierci, jeżeli jest przepojone duchem przewrotności, duchem zgnilizny, rozpusty i hańby...

Stojąc tuż obok Hansa Castorpa, Settembrini wypowiedział ostatnie słowa głosem prawie bezdźwięcznym i bardzo szybko, śpieszył się, aby dokończyć. Odsiecz dla Hansa Castorpa zbliżała się: do czytelnicy wszedł Joachim z dwiema kartkami pocztowymi w rękę; literat zamilkł, a zrećność, z jaką rysy jego twarzy przyjęły nagle wyraz towarzyskiej lekkości, nie pozostała bez wrażenia na jego uczniu — jeżeli można tak nazwać Hansa Castorpa.

— A, jest pan, poruczniku! Pan pewnie szuka kuzyna — niech mi pan wybaczy! Wdaliśmy się tu w rozmowę, a zdaje mi się, że nawet trochę poróżniliśmy się. Pański kuzyn nieźle rozumuje, umie być nawet niebezpiecznym przeciwnikiem w dyskusji, o ile mu na tym zależy.

HUMANIORA*

Hans Castorp i Joachim Ziemssen, w białych spodniach i granatowych marynarkach, siedzieli po obiedzie w ogrodzie. Był to jeszcze jeden z tych wychwalanych dni październikowych, gorący i lekki, uroczysty i cierpki zarazem, z ciemnym jak na południu szafirem nieba nad doliną, w której głębi jaśniały jeszcze świeżą zielenią pastwiska, poprzerzynane drogami i usiane domkami. Na zjedzonych lasem zboczach dźwięczały dzwonki pasących się krów. Metaliczne, czyste, muzycznie naiwne tony unosiły się w cichym, rzadkim, przejrzystym powietrzu i pogłębiały uroczysty nastrój panujący na wyżynach.

Obaj kuzyni siedzieli na skraju ogrodu na ławce przed półkołem młodych jodeł. Miejsce to leżało na północno-zachodnim krańcu ogrodzonego, o pięćdziesiąt metrów nad doliną wznoszącego się płaskowzgórza, na którym stało sanatorium „Berghof”.

Milczeli. Hans Castorp palił. W duchu złościł się na Joachima

za to, że nie chciał po obiedzie zostać w towarzystwie na tarasie i pociągnął go wbrew jego woli i chęci w ciszę ogrodu, przed rozpoczęciem poobiedniego werandowania. Joachim postąpił jak tyran. Nie byli wszak braćmi syjamskimi, mogli rozłączyć się, jeżeli skłonności ciągnęły ich w różne strony: przecież Hans Castorp nie siedział tutaj po to, by dotrzymywać towarzystwa Joachimowi, lecz sam był pacjentem. Tak, dąsał się, ale mógł to wytrzymać dzięki swojej „Marii Mancini”. Z rękami w kieszeniach marynarki, wyciągnawszy daleko przed siebie nogi w brązowych bucikach, palił długie, szare, matowe cygaro; trzymał je nie w kąciku ust, lecz w pośrodku warg, tak że nieco zwisało w dół; znajdowało się dopiero w pierwszym stadium palenia, to znaczy, że ani razu nie strząsnął jeszcze popiołu z jego tępego końca. Po sutym posiłku rozkoszował się aromatem, który znów w całej pełni odczuwał.

Jeżeli skądinąd zaaklimatyzowanie się jego polegało na przyzwyczajeniu się do tego, że nie może się przyzwyczać — to jednak co się tyczy chemizmu jego żołądka oraz unerwienia jego zbyt suchych i skłonnych do krwawienia błon śluzowych — nastąpiło wreszcie zupełne przystosowanie: niepostrzeżenie, tak że nie mógł śledzić tego procesu, wróciło po upływie sześćdziesięciu pięciu czy siedemdziesięciu dni całkowite zadowolenie fizyczne, które znajdował w owym wysokiej jakości środku podniecającym i roślinnym narkotyku. Cieszył się tą odzyskaną zdolnością, a moralna satysfakcja potęgowała rozkosz fizyczną. Przez czas leżenia w łóżku obchodził się oszczędnie z zapasem dwustu sztuk, które przywiózł z sobą; pozostała mu więc jeszcze pewna ilość. Mimo to napisał do panny Schalleen, prosząc o przysłanie mu wraz z bielizną i zimowymi rzeczami pięciuset sztuk ulubionego bremeńskiego towaru, aby się zaopatrzyć na dłuższy czas. Były to pięknie lakierowane skrzyneczki, na których wśród bogatych złocen widniał globus, rozmaite medale i budynek wystawowy z powiewającymi na dachu chorągwiami.

Gdy tak siedzieli milcząc, nadszedł nagle z głębi ogrodu radca Behrens. Brał tego dnia udział w ogólnym obiedzie, i przy stole pani Salomon można było zobaczyć, jak splatał przed ta-

lerzem swe olbrzymie dłonie. Potem zapewne był na tarasie, nawiązywał rozmowy na tematy osobiste i prawdopodobnie pokazywał sztukę ze sznurowadłami od bucików komuś, kto jej jeszcze nie znał. Teraz wolnym krokiem zbliżał się wysypaną żwirem aleją, bez lekarskiego chałata, w żakiecie w drobną kratkę, w sztywnym kapeluszu zsuniętym na tył głowy; i on również trzymał w ustach cygaro, bardzo ciemne, i ciągnął z niego wielkie kłęby białawego dymu. Głowa Behrensa, jego twarz o sinych, pałających policzkach, perkatym nosie, wilgotnych niebieskich oczach i uniesionym w górę wąsiku, wydawała się drobna w stosunku do wysokiej, lekko pochylonej, jakby uginającej się postaci i do olbrzymich rozmiarów jego rąk i nóg. Był zdenerwowany i wyraźnie drgnął na widok obu młodych ludzi. Zdawało się nawet, że zmieszał się, gdy wypadło mu przystanąć. Jednakże przywitał się z nimi jak zwykle swobodnie i nie **bez** zwyczajnych swoich zwrotów, w rodzaju: „Patrz tam, patrz — Tymoteuszu"... * Życzył im pomyślnej przemiany materii i nie pozwolił im wstać, gdy uprzejmie chcieli się zerwać z ławki.

— Dajcie spokój, dajcie spokój, panowie! Tylko bez ceremonii względem mnie, prostego człowieka! Mnie się nic nie należy, zwłaszcza że obaj jesteście moimi pacjentami. Nie trzeba, nie trzeba! Dobrze jest tak, jak jest! — I stanął przed nimi z cygarem między wskazującym i środkowym palcem swej olbrzymiej prawicy.

— Jak panu smakuje ten zwitek ziela, Castorp? Proszę mi go pokazać, jestem znawcą i miłośnikiem cygar. Popiół jest piękny; cóż to za brunatna piękność?

— „Maria Mancini", Postre de Banquett z Bremy, panie radco. Kosztuje bardzo niewiele, nic prawie, dziewiętnaście fenigów, ale ma aromat, jak się rzadko zdarza u cygar w tej cenie. Sumatra-Havana, najdelikatniejsze listki, jak pan widzi. Przyzwyczaiłem się do niej bardzo. Jest to półpełna pikantna mieszanina, ale nie szczypie w język. Można długo zostawiać popiół, toteż strząsam go najwyżej dwa razy. Ma ona, rozumie się, swoje humorki, ale kontrola przy fabrykacji musi być bardzo starań-

na, bo można w zupełności polegać na właściwościach „Marii”; spala się bardzo równomiernie. Czy wolno pana poczęstować?

— Dziękuję, możemy się raz zamienić? — I wyjęli swoje cygarnice.

— Rasowe — powiedział radca dworu, podając cygaro swojej marki. — Posiada temperament, soczystość i moc — to „St. Felix-Brasil”; wie pan? Zawsze tylko takie mi smakowały. Umie niezawodnie odpędzać troski, piecze jak wódka, zwłaszcza ku końcowi ma w sobie coś ognistego! Zalecam jednak pewną wstrzeźliwość w obcowaniu, nie można zapalać jednego od drugiego, bo to przechodzi siły mężczyzny. Ale wolę raz dziennie taki porządny kąsek niż przez cały dzień tylko parę wodną...

Kręcili w palcach i oglądali ze znanstwem zamienione podarki, których wysmukłe ciała ze skośnymi, równo przebiegającymi żebrami zwiniętych, tu i ówdzie lekko odstających liści, z żyłkami, które zdawały się pulsować, z drobnymi nierównościami skóry, z grą światła na płaszczyznach i krawędziach, miały w sobie coś z żywej, organicznej istoty. Hans Castorp dał wyraz tej myśli: — Takie cygaro żyje! Po prostu oddycha! Pewnego razu w domu wpadło mi na myśl schować „Marię Mancini” do szczelnie zamkniętego blaszanego pudełka, aby ją uchronić od wilgoci. Czy pan uwierzy, że umarła! Zginęła, umarła w przeciągu tygodnia. Znalazłem w pudełku wyschnięte zwłoki.

I zaczęli obaj rozwódzić się nad tym, jak najlepiej przechowywać cygara, zwłaszcza importowane. Doktor lubił importowane i byłby najchętniej palił tylko mocne hawańskie. Niestety, nie znosi ich, i kiedy raz w towarzystwie wypalił dwa małe „Henry Clays”, o mało go do grobu nie wpędziły! — Palę je sobie beztrąsko przy czarnej kawie — opowiadał radca Behrens — jedno po drugim. Ale gdy je skończyłem, czuję nagle, że mi jest jakoś dziwnie! Tak dziwnie, jak jeszcze nigdy w życiu! Okazuje się, że dostać się do domu to niełatwa sprawa, a kiedy się tam znalazłem, to dopiero zdaję sobie sprawę, że coś niesamowitego się ze mną dzieje: nogi jak lód, wie pan, zimny pot na całym ciele, twarz — biała jak chusta, serce — w stanie okropnym, puls to nitkowaty, ledwie wyczuwalny, to znów pę-

dzi na łeb, na szyję, na złamanie karku, rozumie pan, a w mózgu zamęt... Byłem pewny, że galopuję na tamten świat... Mówię „galopuję”, bo wyraz ten nasunął mi się wówczas i dobrze maluje mój ówczesny stan. Właściwie było mi wtedy i miło, i uroczyście zarazem, chociaż szalenie się bałem — właściwie zamieniłem się cały w strach... Ale strach i uroczystry nastrój nie wyłączają się, o tym wie każdy. Smarkacz, który po raz pierwszy ma pojąć dziewczynę, także odczuwa strach, i ona również, a przy tym oboje rozplývają się z rozkoszy. No! i ja wówczas czułem, że się rozplýwam, że z falującą piersią galopuję na tamten świat. Ale panna Mylendonk swymi zabiegami wyciągnęła mnie z tych opalów; kompresy z lodu, nacierania szczotką, zastrzyk kamfory uratowały mnie dla ludzkości.

Hans Castorp, siedząc w charakterze pacjenta, z miną świadcząca o odbywającej się w nim pracy umysłowej, patrzył na Behrensa, którego niebieskie i wypukłe oczy podczas opowiadania napęłniły się łzami. Nagle zapytał:

— Wszak pan maluje czasem, panie radco?

Doktor udał zdumienie, cofając się w tył.

— No, no! Młodzieńcze! Co też pan wygaduje?

— Przepraszam, ale coś takiego słyszałem kiedyś mimochodem i teraz sobie to przypomniałem.

— No, to nie będę się zapierał. Tak, tak, wszyscy mamy swoje słabości. Coś takiego przytrafiało mi się... Anch'io sono pittore*, jak mówił ów Hiszpan.

— Pejzaże? — spytał Hans Castorp krótko i jakby protekcyjnie. Okoliczności wywołały ten jego ton.

— Wszystko, co pan chce — odpowiedział radca z miną na poły zmieszaną, na poły dumną. — Pejzaże, zwierzęta, martwe natury... Prawdziwy mężczyzna niczego w ogóle się nie ulęknie.

— Ale nie portrety?

— Owszem i portret mi się nieraz przytrafił. Czy pan chce u mnie swoją podobiznę zamówić?

— Cha! Cha! nie! Ale byłby pan radca bardzo uprzejmy, gdyby zechciał nam przy sposobności pokazać swoje obrazy.

Joachim, popatrzawszy ze zdumieniem na kuzyna, zapewnił

spiesznie radcę Behrensa, że byłoby to nader uprzejmie z jego strony.

Behrens był zachwycony, prośba Castorpa schlebiała mu w najwyższym stopniu; zarumienił się nawet z radości i zdawało się, że łzy popłyną mu tym razem z oczu.

— Ależ z miłą chęcią! — zawołał — ależ z największą przyjemnością! Może zaraz, jeżeli panowie sobie życzą? Proszę, proszę ze mną, zrobię panom kawę po turecku w mojej budzie! — I wziął obu młodych ludzi pod ramiona, podniósł ich z ławki, i uwieszony między nimi poprowadził ich ścieżką wysypaną żwirem ku swemu mieszkaniu, które znajdowało się, jak o tym wiedzieli, w pobliskim, północno-zachodnim skrzydle sanatorium.

— Ja sam dawniej od czasu do czasu próbowałem malarstwa — odezwał się Hans Castorp.

— Rzeczywiście? i to poważnie? olejnymi farbami?

— Ach, nie! udało mi się co najwyżej namalować czasem akwarelkę... jakiś okręcik, kawałek morza, ot takie sobie dzieciństwa. Ale lubię bardzo oglądać obrazy i dlatego pozwoliłem sobie...

To wyjaśnienie uspokoiło poniekąd Joachima i było dlań wyjaśnieniem zastanawiającej ciekawości kuzyna i bardziej też dla niego niżli dla radcy Behrensa wspominał Hans Castorp o swoich artystycznych zapędach. Stanęli u celu. Nie było tu wspaniałego portalu z latarniami po obu stronach jak na froncie; kilka zaokrąglonych schodków wiodło do dębowych drzwi wejściowych, które radca Behrens otworzył kluczem, wybranym z pokaźnego pęku; ręka jego lekko drżała — był widocznie zdeenerwowany. Weszli do przedsionka urządzonego jak szatnia, gdzie pan radca powiesił na kołku swój sztywny kapelusz. Wewnątrz, po obu stronach małego korytarza, odgrozonego od głównej części budynku za pomocą szklanych drzwi, znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiego prywatnego mieszkania. Pan radca Behrens zawołał służącą, wydał jej polecenia, a potem wprowadził swych gości przez drzwi na prawo, zapraszając ich jowialnymi i uprzejmymi słowami.

Kilka pokojów w amfiladzie, umeblowanych po mieszczańsku,

banalnie, oddzielonych od siebie nie drzwiami, lecz portierami, znajdowało się od frontu; okna ich wychodziły na dolinę: „staroniemiecki” pokój stołowy, gabinet a zarazem bawialny, z miękkimi dywanami, biblioteką, kanapą i biurkiem, nad którym wisiała studencka czapka i para skrzyżowanych szpad, i wreszcie pokój do palenia, urządzone po „turecku”. Wszędzie wisiały obrazy malowane przez radcę Behrensa, na które wnet skierowały się oczy wchodzących gości, gotowych do uprzejmego wyrażenia podziwu. Widziało się tu przede wszystkim kilka olejnych portretów zmarłej małżonki doktora — i fotografię jej na biurku. Była to powiewnie ubrana, nieco zagadkowa blondynka, z rękami lekko splecionymi na lewym ramieniu — i to nie mocno splecionymi, lecz tylko tak, że palce lekko zachodziły na siebie; oczy jej spoglądały bądź w niebo, bądź kryły się pod długimi i wywiniętymi rzesami, nie patrzyły jednak nigdy wprost na widza. Poza tym uwzględnione były przeważnie motywy górskie, góry w śniegu, i w zieleni świerków, góry w oparach wyżynnych, i znowu góry, których twarde i ostre kontury pod wpływem Segantiniowego wrzynały się ostro w ciemnoniebieskie niebo. Były tam dalej szałas, krowy ze zwisającym podgardlem, stojące lub leżące na słonecznych łąkach, oskubane kurczę, którego wykrecona szyja zwieszała się pośród jarzyn ze stołu, kwiaty, typy góralskie i inne jeszcze obrazy — wszystko malowane ze swobodnym dyletantyzmem, śmiałymi plamami farb, które często wyglądały jakby wyciśnięte bezpośrednio z tuby na płótno i które chyba długo musiały schnąć; mimo dużych błędów robiło to czasem wrażenie.

Oglądając obrazy, jak w jakiejś galerii, młodzieńcy szli wzdłuż ścian, a gospodarz postępował za nimi, objaśniając od czasu do czasu motyw obrazu, przeważnie jednak w milczeniu, z dumnym zakłopotaniem artysty wodził wraz z obcymi wzrokiem po swych dziełach. Portret Kławdii Chauchat wisiał w bawialnym pokoju, na ścianie pomiędzy oknami. Już wchodząc, odkrył go Hans Castorp szybkim spojrzeniem, aczkolwiek podobieństwo było bardzo nikłe. Umyślnie omijał to miejsce: zatrzymywał swych towarzyszy w jadalni, gdzie udawał, że podziwia zielony

pejzaż doliny Sertig z niebieskawymi lodowcami w głębi, skreślił potem z własnej inicjatywy do tureckiego gabinetu, który, rozwodząc się w pochwałach, również szczegółowo zwiedził, obejrzał następnie w pokoju bawialnym ścianę przy drzwiach wejściowych, wzywając od czasu do czasu Joachima, by dał wyraz swemu uznaniu; wreszcie obrócił się i rzekł ze zdziwieniem — z umiarkowanym zdziwieniem:

— To przecież jakaś znajoma twarz?

— Poznaje ją pan? — zainteresował się Behrens.

— Zdaje mi się, chyba się nie mylę. To ta pani siedząca przy lepszym stole rosyjskim, o francuskim nazwisku...

— W samej rzeczy, pani Chauchat. Cieszę się, że pan dostrzeżga podobieństwo.

— Do złudzenia — kłamał Hans Castorp, a słowa te podyktowała mu nie tyle obłuda, ile raczej świadomość, że gdyby wszystko szło normalnym torem, nie powinien był właściwie wcale poznać, kto do obrazu pozował; tak właśnie rzecz się miała z Joachimem, który nigdy sam nie domyśliłby się tego, z tym poczciwym oszukanym Joachimem, któremu nagle zabłysło światło prawdy, prawdziwe jej światło, po owym fałszywym, którego snop rzucił przedtem na sprawę jego kuzyn. — Ach, tak — powiedział po cichu i zaczął również przypatrywać się obrazowi. Hans Castorp umiał znaleźć sobie odszkodowanie za ich nieobecność pośród towarzystwa na werandzie!

Był to portret trochę mniej niż naturalnej wielkości, ograniczony do popiersia. Dama, widziana nieco z profilu, była wydekoltowana, a piersi jej i ramiona spowijał gazowy woal. Obraz ujęty był w szeroką czarną ramę, skośnie opadającą ku wnętrzu i ozdobioną od strony płótna złotą listwą.

Pani Chauchat wyglądała na portrecie o dziesięć lat starszej niż w rzeczywistości, jak to bywa na dyletanckich portretach, kiedy usiłują być charakterystyczne. Twarz była zanadto czerwona, nos silnie zniekształcony, włosy zupełnie niepodobne, koloru słomy, usta skrzywione; szczególny urok tej twarzy nie był podpatrzony albo może nie był wydobyty ani uchwycony skutkiem zbytniego podkreślenia tych momentów, z których

płynął — całość po prostu sfuszerowana i w znikomym tylko stopniu podobna do modelu. Ale Hans Castorp nie zaprzął sobie zbytnio głowy podobieństwem; stosunek tego płótna do osoby pani Chauchat był dla niego wystarczająco bliski; portret miał wyobrażać panią Chauchat, ona sama pozowała w tym mieszkaniu i to mu wystarczało. Powtarzał wzruszony:

— Jak żywa!

— Niech pan tego nie mówi — bronił się radca Behrens — to był niemały kawał roboty; nie wmawiam sobie wcale, że mi się udało, chociaż mieliśmy ze dwadzieścia seansów! Jak to można dojść do ładu z tak cholerną twarzą? Zdawałoby się, że jest łatwa do uchwycenia z tymi swoimi hiperborejskimi kośćmi policzkowymi i oczami jak szpary w pękającym cieście drożdżowym! Tak, tak, jest coś w tym! Jeżeli się zwraca uwagę na szczegóły, ztraca się całość. Prawdziwy rebus! Czy zna ją pan? Może nie należałoby jej malować z natury, ale z pamięci. Ale czy pan ją zna?

— Tak, nie, przelotnie, jak się tutaj zna ludzi...

— No, co do mnie, to znam ją raczej od strony wnętrza, podskórnice, rozumie pan? Znam jej ciśnienie krwi, napięcie tkanek i obieg limfy — to jest mi niezłe znane, z pewnych powodów. Jej zewnętrzna strona natomiast nastęcza większe trudności. Czy pan widział już kiedy, jak ona chodzi? Wyraz twarzy odpowiada jej skradającemu się krokowi. Niech pan weźmie na przykład jej oczy — nie mówię o barwie, która też właściwie jest zdradliwa, ale mam na myśli oprawę, wykrój. Pan powie, że powieki jej są skośne, ale to się tylko panu wydaje. Pan się myli, bo chodzi tu o fałd nakątny, *epicanthus*, to znaczy pewną odmianę, jaką się u niektórych ras spotyka, a która polega na tym, że fałd skóry, przechodzący u tych ludzi z płaskiego siodełka nosowego na powiekę, opada na wewnętrzny kącik oka. Pociągnij pan ten fałd w górę, ponad nasadę nosa, a będzie pan miał oko jak u każdego z nas. Jest to pewnego rodzaju pikantna mistyfikacja, zresztą niezbyt zaszczytna, bo, prawdę powiedziawszy, wskazuje na pewne atawistyczne zahamowanie rozwojowe.

— Więc to tak się rzecz ma — powiedział Hans Castorp — nie wiedziałem o tym, a od dawna już zaciekawiało mnie, na czym polega charakterystyczny wyraz takich oczu.

— Złudzenie! Iluzja! — podkreślił raz jeszcze radca Behrens. — Jeżeli narysujesz je pan po prostu jako skośne szpary, to jesteś zgubiony. Musi pan tę skośność uzyskać w ten sam sposób, w jaki ją natura tworzyła, musi pan uprawiać, że tak powiem, złudzenie w złudzeniu, a do tego trzeba, aby pan wiedział, co to jest fałd nakątny, czyli epicanthus. Zresztą wiedzieć nigdy nie zawadzi. Niech pan przypatrzy się tej skórze, tej cielesnej powłoce. Czy to jest dostatecznie naoczne, czy też nie bardzo? Jak pan sądzi?

— Nadzwyczajnie — odparł Hans Castorp — jest z nadzwyczajną naocznością oddane. Zdaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem tak świetnie namalowanej skóry. Widzi się wprost pory. — I brzegiem ręki przesunął lekko po dekolcie, który intensywną białością odcinał się od przesadnie różowej twarzy, jak to bywa z częścią ciała nie wystawioną na działanie światła. Podkreślało to, celowo czy przypadkiem, wrażenie nagości, co było w każdym razie dość płaskim efektem.

Mimo to pochwała Hansa Castorpa była uzasadniona. Matowo połyskująca białość tego delikatnego, ale nie chudego biustu, który ginął w draperii bladoniebieskiej gazy, była bardzo prawdziwa; widocznie malowano ją z zapalem i, abstrahując od pewnego przesłodzenia, artysta potrafił jej nadać piętno jakby naukowej realności i drobiazgowej dokładności. Posłużył się chropowatością płótna, ażeby spoza pokładu białej farby czyniła wrażenie rzeczywistej nierówności skóry, zwłaszcza w okolicach lekko wystających obojczyków. Nie uszła jego uwagi plamka wątrobiana na lewo od miejsca, gdzie pierś się dzieli, a pomiędzy wypukłościami zdawała się przeświecać delikatna, bladoniebieska siatka naczyń krwionośnych. Miało się wrażenie, że pod spojrzeniem widza ledwie dostrzegalny zmysłowy dreszcz przebiega tę nagość, i — co jest może powiedzeniem nieco śmiałym — można sobie było wyobrażać, że czuje się perspirację, niewidoczny opar tego żyjącego organizmu, i że

gdyby czyjeś usta do niego przywarły, nie poczułyby zapachu farby i pokostu, lecz zapach żywego ludzkiego ciała. Mówiąc to wszystko, zdajemy tylko sprawę z wrażeń Hansa Castorpa. Ale chociaż jego gotowość do odbierania tego rodzaju wrażeń była szczególnie silna, to jednak należy rzeczowo stwierdzić, że dekolat pani Chauchat był bezwzględnie najlepszym malarskim osiągnięciem pośród obrazów zebranych w tym pokoju.

Radca Behrens, z rękami w kieszeniach, wznosił się na palcach i opadał na pięty i kołysząc się w ten sposób przyglądał się wraz z gośćmi swojej robocie.

— Cieszy rrinie, panie kolego — rzekł — cieszy mnie, że pan to uchwycił. Dobrze to jest i wcale nie szkodzi, kiedy się wie coś więcej, niż widać na naskórku, i można namalować także i to, co niewidoczne dla oka. Innymi słowy, dobrze jest, jeżeli się nie pozostaje do natury w stosunku li tylko lirycznym, powiedzmy, ale jest się ubocznie np. lekarzem, fizjologiem, anatomem, i wie się coś niecoś o tym, co się znajduje pod spodem. To może się przydać, niech pan mówi, co pan chce, to jest pewnym plusem. Ta oto powłoka ciała dowodzi prawdziwej wiedzy, może to pan sprawdzić za pomocą mikroskopu. Tu widzi pan nie tylko żywe i zrogowaciałe części naskórka, ale może się też pan domyślać skóry właściwej, z jej gruczołami łojowymi i potowymi, naczyniami krwionośnymi, brodawkami, a głębiej jeszcze warstwy tłuszczowej, podściółki... rozumie pan, która za pomocą wielkiej ilości komórek tłuszczowych wytwarza owe rozkoszne formy kobiecego ciała. To, co się wie i o czym się myśli, to wyraża się także, to spływa w palce, i to właśnie daje odpowiednią naoczność.

Hans Castorp zapalił się niesłychanie do tej rozmowy; czoło jego zaróżowiło się, oczy błyszczały — nie wiedział, co ma odpowiedzieć, bo zbyt wiele miał do powiedzenia. Przede wszystkim chciał zdjąć obraz z niedostatecznie oświetlonej ściany między oknami i przenieść go na lepsze miejsce, po wtóre pragnął koniecznie nawiązać do wywodów radcy Behrensa o naturze skóry, które go niesłychanie interesowały, wreszcie sam miał ochotę wypowiedzieć pewien swój własny, ogólny i filo-

zoficzny pogląd, który mu również w najwyższym stopniu leżał na sercu. Zbliżając już ręce do portretu, by go zdjąć, zaczął spieszenie mówić:

— Tak! tak! słusznie! to bardzo ważne. Chciałbym powiedzieć... To znaczy, pan radca wyraził się: „nie w stosunku li tylko lirycznym”; byłoby dobrze, żeby oprócz lirycznego — tak pan, zdaje się, mówił — oprócz artystycznego stosunku do natury, zachodził jeszcze jakiś inny stosunek, by sprawę, krótko mówiąc, ujmowano z innego jeszcze punktu widzenia, na przykład z lekarskiego? To jest nadzwyczaj trafne! Ale przepraszam, panie radco, ja sądzę, że jest to dlatego tak niezwykle słuszne, iż tu właściwie nie chodzi wcale o różne stosunki ani o rozmaite punkty widzenia, ale w gruncie rzeczy zawsze o jedno i to samo, tylko o różne odmiany, różne, że tak powiem, odcienie, więc różne, że tak powiem, warianty tego samego zainteresowania; artystyczne podejście jest tylko jego częścią albo jednym ze sposobów wyrażenia go, jeśli tak wolno powiedzieć. Tak, przepraszam pana, postawię portret gdzie indziej, tu nie ma absolutnie żadnego światła, pan zobaczy, postawię go przy kanapie, czy też tu nie będzie zupełnie inaczej... Cóż to chciałem powiedzieć? Czymże to zajmuje się wiedza lekarska? Oczywiście, nie rozumiem się na tym, ale wszak zajmuje się człowiekiem. A prawo, prawodawstwo i sądownictwo? Także człowiekiem. A lingwistyka, z którą przecież przeważnie złączony jest zawód pedagogiczny? A teologia i duszpasterstwo? Wszystko to zajmuje się człowiekiem, wszystko to są tylko odmiany jednego i tego samego ważnego... i głównego zainteresowania: człowiekiem. To są, jednym słowem, humanistyczne zawody, a jeżeli chce się je studiować, trzeba jako podstawy uczyć się przede wszystkim starożytnych języków, nieprawdaż, ze względu na formalne wykształcenie, jak się to utrzymuje. Pan się zapewne dziwi, że tak mówię, ja jestem przecież tylko realistą, technikiem. Ale w ostatnich czasach, leżąc w łóżku, myślałem znowu o tym wszystkim; to doskonałe, to doskonałe urządzenie świata, że każdej odmianie humanistycznego zawodu dajemy jako podstawę element formalny — ideę formy, pięk-

nej formy, rozumie pan... to wprowadza do tych przedmiotów coś szlachetnego i zbytecznego, coś, co ma związek z uczuciem... z dwornością. Zainteresowanie staje się czymś w rodzaju miłosnych zalotów... To znaczy... najprawdopodobniej wyrażam się niestosownie, ale widać tu, jak łączą się z sobą pierwiastek duchowy i piękno, które właściwie zawsze już stanowiły jedność — innymi słowy: nauka i sztuka, i dlatego zajęcie artysty należy bezsprzecznie do tej samej grupy — stanowi poniekąd piąty fakultet — jest niczym innym jak tylko zawodem humanistycznym, odmianą humanistycznego zainteresowania. Bo jego najważniejszym tematem jest przecież znowu także człowiek, wszak pan temu nie przeczy? Malowałem tylko okręty i wodę, gdy w młodości mej chwyciłem za pędzel i farby, ale najbardziej pociągającym rodzajem malarstwa jest stanowczo, moim zdaniem, portret, bo jego bezpośrednim przedmiotem jest człowiek, dlatego zaraz pytałem pana, panie radco, czy pan i w tym kierunku nie próbował swych sił? Czy nie byłoby dużo lepiej powiesić go tutaj?...

Obaj, zarówno Behrens, jak i Joachim, patrzyli na niego, czy nie wstydy się tego wszystkiego, co tu właśnie zaimprovizował. Ale Hans Castorp za bardzo był przejęty, aby czuć się zmieszanym. Trzymał obraz przy ścianie nad kanapą i czekał na odpowiedź, czy w tym miejscu światło nie jest daleko lepsze. W tej samej chwili służąca przyniosła na tacy gorącą wodę, maszynkę spirytusową i filiżanki do czarnej kawy. Radca Behrens skierował ją do gabinetu i powiedział:

— W takim razie powinien pan właściwie interesować się nie tyle malarstwem, ile przede wszystkim rzeźbą... Słusznie, tutaj ma, rozumie się, więcej światła. Jeżeli pan sądzi, że znie-sie go tyle... Plastyką, myślę, bo ona w sposób najczystszy i najbardziej wyłączny zajmuje się na ogół człowiekiem. Ale, panowie, woda nam wykipi...

— Plastyka jest najprawdziwszą sztuką — rzekł Hans Castorp; przechodząc do sąsiedniego pokoju zapomniał powiesić obraz albo go postawić, wziął go z sobą i niósł przy sobie do drugiego pokoju. — Zapewne, taka grecka Wenus lub taki atle-

ta, tam pierwiastek humanistyczny występuje najwyraźniej, to jest w gruncie rzeczy najprawdziwsza, najbardziej humanistyczna odmiana sztuki, jeśli się nad tym zastanowić.

— Hm, co się tyczy małej Chauchat — zauważył radca Behrens — to jest ona raczej tematem dla malarza; Fidiasz czy ten drugi, z żydowską końcówką nazwiska *, kręciliby nosem nad rodzajem jej fizjonomii... Co pan robi, gdzie pan ciągnie ten kawał mięsa?

— Przepraszam, oprę to tymczasem tutaj o nogę mego krzesła, chwilowo stoi tu zupełnie dobrze. Greccy plastycy nie przywiązywali jednak wielkiej wagi do głowy, szło im głównie o ciało, może to było dla nich najbardziej humanistycznym przedmiotem... Więc kobieca plastyka to tłuszcz?

— Tak, to tłuszcz — powiedział kategorycznie radca Behrens, który otworzył tymczasem ścienną szafę i wyjął z niej przyrządy do naparzania kawy: turecki młynek w kształcie walca, rondelk do gotowania o długiej ręczce, podwójne naczynie na cukier i zmieloną kawę — wszystko z mosiądzu. — Palmityna, stearyna, oleina — powiedział i wsypał trochę kawy z blaszanej puszki do młynka, którego korbkę zaczął kręcić. — Jak widzicie, moi panowie, robię wszystko sam, to smakuje o wiele lepiej. A czy pan myślał, że to ambrozja?

— Nie, sam o tym wiedziałem. Tylko dziwnie, gdy się to tak słyszy — powiedział Hans Castorp.

Siedzieli w kącie pokoju pomiędzy drzwiami a oknem, przy bambusowym stoliku z mosiężnym blatem o wschodnich ornamentach; na stoliku stały przyrządy do kawy i utensylia do palenia. Joachim usiadł obok Behrensa na otomanie, suto wyłożonej jedwabnymi poduszkami, a Hans Castorp w klubowym fotelu na kółkach, o który oparł portret pani Chauchat. Pod stopami mieli barwny dywan. Radca Behrens wsypał łyżeczką kawę i cukier do naczynia o długiej ręczce, nalał w nie wody i zagotował na spirytusowym płomieniu. Zapieniły się brunatno pękate filizaneczki i kawa po skosztowaniu okazała się zarówno mocna, jak słodka.

— Pańska, zresztą, również — rzekł radca Behrens — pań-

ska plastyka, jeżeli można się tak wyrazić, jest naturalnie również tłuszcem, aczkolwiek w mniejszym stopniu niż u kobiet. Tłuszcz stanowi u nas przeciętnie tylko dwudziestą część wagi ciała, u kobiet szesnastą. Bez tej podskórnej tkanki byłibyśmy tylko pomarszczonymi grzybami. Zanika ona z wiekiem, a wtedy powstają nieestetyczne zmarszczki. Najgrubszy i najtłuszciejczy jest ten podkład na kobiecych piersiach i na brzuchu, na udach, słowem wszędzie tam, gdzie znajduje się coś niecoś dla serca i dla ręki. Także na stopach jest tłusty i łaskotliwy.

Hans Castorp obracał w ręku młynek o kształcie walca. Był on, zarówno jak i reszta zastawy, raczej indyjskiego albo perskiego niż tureckiego pochodzenia: wskazywał na to styl wyrytych w mosiądzu motywów, których powierzchnie błyszcząły na matowym tle. Hans Castorp przypatrywał się ornamentyce, ale nie natychmiast pojął jej treść. Gdy zrozumiał, niespodzianie się zarumienił.

— Tak, to przyrząd odpowiedni dla samotnych panów — powiedział Behrens. — Dlatego trzymam go w zamknięciu, wie pan, aby moja kuchta oczu sobie nie wypatrzyła. Panu to szkody nie przyniesie. Otrzymałem go kiedyś od pacjentki, od pewnej egipskiej księżniczki, która tu roczek okrągły bawiła. Widzi pan, ten wzór stale stę powtarza. Zabawne, co?

— Tak, to ciekawe! — odpowiedział Hans Castorp. — Nie, na mnie to, naturalnie, nie robi wrażenia. Można tę rzecz wziąć nawet ze strony poważnej i uroczystej, jeśli się chce, chociaż w takim razie niezupełnie jest ona na miejscu na przyrządzie do gotowania kawy! Podobno przecież starożytni umieszczali czasem tego rodzaju rysunki na trumnach. Sprośność i świętość były dla nich poniekąd jednym i tym samym.

— No, co się tyczy egipskiej księżniczki, to, zdaje mi się — rzekł Behrens — że skłaniała się raczej ku pierwszej z nich. Mam zresztą jeszcze, też od niej, doskonałe papierosy, coś specjalnie dobrego, z którymi wyjeżdżam tylko przy nadzwyczajnych okazjach. — I wyjął ze ściennej szafy jaskrawo pomalowane pudełko, aby poczęstować gości. Joachim podziękował stuknięciem obcasów. Hans Castorp wziął i zapalił nie-

zwykle dużego i grubego papierosa z wyciśniętym na wierzchu złotym sfinksem. Był rzeczywiście wyśmienity.

— Proszę, niech pan nam jeszcze opowie coś o skórze — poprosił — jeżeli chce pan być tak uprzejmy, panie radco! — Znowu uniósł portret pani Chauchat, postawił go sobie na kolanie i rozparty na fotelu przypatrywał mu się, z papierosem w ustach. — Niekoniecznie o tkance tłuszczowej, to już wiemy, ale o ludzkiej skórze w ogólności, o tej skórze, którą pan tak świetnie umie malować.

— O skórze? Czyż pana zajmuje fizjologia?

— Bardzo! Zawsze mnie to w najwyższym stopniu zajmowało. Interesowałem się zawsze żywo ludzkim ciałem i nieraz zapytywałem siebie, czy nie powinienem był zostać lekarzem. Zdaje mi się, że w pewnym sensie nie byłbym zrobił źle! Bo kogo zajmuje ciało, tego zajmuje również i choroba, nawet specjalnie go ona zajmuje; czyż nie tak? Zresztą, co tam o tym mówić; mogłem i czym innym przecież zostać, na przykład duchownym! *

— Czyżby?

— Ależ tak; miałem już takie chwile, w których zdawało mi się, że jako duchowny byłbym naprawdę w swoim żywiole.

— Dlaczego więc został pan inżynierem?

— Przypadkiem. Wpłynęły na to różne zewnętrzne okoliczności.

— A więc o skórze? Cóż mam panu opowiedzieć o tym narządzie zmysłowym. To jest pański zewnętrzny mózg, rozumie pan? Ontogenetycznie jest zupełnie tego samego pochodzenia, co ten aparat tu w pańskiej czaszce, przeznaczony dla tak zwanych organów zmysłowych wyższego rzędu. Trzeba panu wiedzieć, że centralny układ nerwowy jest tylko lekkim przeobrażeniem zewnętrznej warstwy skóry, i u niższych zwierząt w ogóle jeszcze nie istnieje różnica pomiędzy centralnym a obwodowym układem nerwowym; zwierzęta te czują zapachy i smaki za pomocą skóry, niech pan sobie wyobrazi, jedynym ich narządem zmysłowym jest skóra. To musi być całkiem przyjemne, jeśli się w to wczuć. Natomiast u tak zróżnicowanych istot, jak pan i ja,

ambicja skóry ogranicza się do łaskotliwości, jest ona już tylko narządem ochronnym i ostrzegawczym, ale piekielnie czujnym, jeżeli coś zagraża ciału. Wysuwa w dodatku poza siebie jakby macki, mianowicie włosy, które porastają ciało; składają się one jedynie ze zrogowaciałych komórek skóry i ostrzegają o zbliżającym się niebezpieczeństwie, zanim jeszcze sama skóra zostanie dotknięta. Między nami mówiąc, jest nawet możliwe, że ochronna i ostrzegawcza czynność skóry ogranicza się wyłącznie do zjawisk cielesnych... Czy pan wie, w jaki sposób pan rumieni się i bleǳnie?

— Niedokładnie.

— No, zupełnie dokładnie, prawdę powiedziawszy, i my nie wiemy, przynajmniej co się tyczy rumieńca wstydu. Rzecz nie jest zupełnie wyjaśniona, bo dotąd nie zdołaliśmy przy naczyniach odkryć mięśni rozszerzających, wprawianych w ruch przez nerwy naczyniowo-ruchowe. W jaki sposób kogutowi nabrzmiewa grzebień albo skąd się biorą podobne przereklamowane zjawiska, które można by jeszcze przytoczyć, to jest do tychczas, że tak powiem, tajemnicą, zwłaszcza że chodzi tu o wpływy psychiczne. Przypuszczamy, że w mózgu znajdują się jakieś połączenia kory mózgowej z ośrodkiem naczyniowym. Przy pewnych bodźcach, na przykład gdy pan jest mocno zawstydzony, dzięki tym właśnie połączeniom nerwy naczyniowe na twarzy zaczynają swoją grę, naczynia krwionośne rozszerzają się i wypełniają, czerwieni się pan jak indyk, krew uderza panu do głowy i nie widzi pan na oczy. W innych znowu przypadkach (kto wie, co panu grozi, może coś niebezpiecznie pięknego) naczynia krwionośne kurczą się, skóra staje się biała, zimna i zapada się, wzruszenie sprawia, że wygląda pan jak trup, ołowiane obwódki podkrażają pańskie oczy, nos pana bieleje i zaostrza się. Serce za to pod wpływem nerwu współczulnego bije jak młotem.

— Ach! więc to tak — rzekł Hans Castorp.

— Mniej więcej. To są reakcje, rozumie pan. Ponieważ wszystkie reakcje i odruchy mają już z góry, od samego początku, jakiś cel, więc my, fizjologowie, skłonni jesteśmy przy-

puszczać, że i te objawy towarzyszące afektom są właściwie celowymi środkami ochronnymi, obronnymi odruchami ciała, jak na przykład gęsia skórka. Czy pan wie, w jaki sposób dostaje pan gęziej skórki?

— Także niezbyt dokładnie.

— To znowu polega na działaniu gruczołów łojowych skóry, które wydzielają smar skórny, pewną zawierającą białko, tłuszczawą wydzielinę, wie pan, niezbyt, co prawda, apetyczną, ale czyni ona skórę elastyczną, zapobiega jej pękaniu i sprawia, że jest miła w dotknięciu. Trudno sobie wyobrazić, jaka w dotknięciu byłaby skóra ludzka bez tego cholesterynowego smaru. Te skórne gruczoły łojowe posiadają maleńkie organiczne mięśnie, dzięki którym się wyprostowują, a gdy to się dzieje, odczuwa pan to, co ów chłopiec, na którego księżniczka wylała wiadro z kielbami, i skóra pańska robi się jak tarka, a przy silnym podrażnieniu nawet torebki włosowe napinają się — włosy jeżą się panu na głowie i włoski na ciele, jżak u jeżatki, kiedy się broni, i może pan śmiało powiedzieć, że poznał pan, co to jest dreszcz strachu.

— O! nieraz tego doświadczyłem — powiedział Hans Castorp. — Nawet dość łatwo ulegam dreszczom przy najrozmaitszych okolicznościach. Dziwi mnie tylko, że owe gruczoły wyprostowują się z powodu tak różnorodnych przyczyn. Dostaje się gęziej skórki od zgrzytu żelaza po szkło, dostaje się jej nagle także, gdy się słucha szczególnie pięknej muzyki, a nawet zdarzyło mi się dostawać raz po raz gęziej skórki podczas konfirmacji, gdy przyjmowałem komunię świętą, te sensacje nie chciały wtedy wcale ustać. Przecież to bardzo dziwne, że tak rozmaite przyczyny wprawiają w ruch te drobniutkie mięśnie!

— Tak — powiedział Behrens — podnieta jest podnieta, a rodzaj podniety absolutnie ciała nie obchodzi; gruczoły łojowe prostują się bez względu na to, czy bodźcem są kielbie, czy też komunia święta.

— Panie radco — rzekł Hans Castorp, przypatrując się obrazowi na swych kolanach — chciałbym jeszcze powrócić do pewnej kwestii. Mówił pan poprzednio o wewnętrznych pro-

cesach, o ruchu limfy i tym podobnych rzeczach... Jak ta sprawa wygląda? Chętnie bym posłuchał czegoś jeszcze o ruchu limfy na przykład, jeśli by pan radca chciał być tak uprzejmy. Bardzo mnie to zaciekawia.

— Wierzę, wierzę — odparł Behrens — bo limfa jest w całej kuchni organizmu substancją najsubtelniejszą, najbardziej intymną, najdelikatniejszą. Pan się tego widocznie domyśla i dlatego pan pyta o to. Mówi się zawsze o krwi i jej tajemnicach, nazywa się ją szczególnym sokiem. Ale dopiero limfa to sok nad soki, to esencja, wie pan, to mleko krwi, najrozkoszniejsza ciecz, która zresztą po spożyciu tłustego pokarmu wygląda rzeczywiście jak mleko. — Wymownie i obrazowo zaczął opisywać, jak krew, ten sok odżywczy, purpurowy, powstający dzięki oddychaniu i trawieniu, nasycony gazami, obciążony produktami spalania, jak ta ciekła mieszanina tłuszczu, białka, żelaza, cukru i soli, o temperaturze trzydziestu ośmiu stopni, którą pompa sercowa pędzi przez naczynia krwionośne, podtrzymuje w całym ciele przemianę materii, ciepło zwierzęce, jednym słowem — to nasze kochane życie. Krew jednak nie dociera bezpośrednio do komórek, lecz pod wpływem ciśnienia, pod jakim się znajduje, przesącza przez ścianki naczyń pewien ekstrakt, pewien sok mleczny, i wtłacza go w tkanki, tak że dociera wszędzie, jako ciecz tkankowa wypełnia każdą szczelinę i rozciąga, i napręża elastyczną tkankę komórkową. Na tym polega napięcie tkanek, turgor, który sprawia, że limfa, obmywająca miłośnie komórkę, gdy już nastąpiła wzajemna wymiana materii, znowu zostaje wtłoczona do naczyń limfatycznych, vasa lymphatica, i sływa znowu do krwi. Ilość limfy w ten sposób przepływającej wynosi półtora litra dziennie.

Opisał następnie cały skomplikowany układ naczyń chłonnych, opowiedział o przewodach mlecznych w piersi, które zbierają limfę z nóg, brzucha, piersi, z jednej ręki i jednej połowy głowy, wyłożył układ subtelnych filtrów organizmu, tzw. gruczołów limfatycznych, znajdujących się w wielu miejscach naczyń limfatycznych, a przeważnie w okolicach szyi, pod pachami, pod kolanami, w stawach łokciowych i innych podobnych

intymnych a delikatnych miejscach ciała ludzkiego. — Zdarza się, że owe gruczoły chłonne nabrzmiewają, to był właśnie nasz punkt wyjścia — wyjaśniał dalej Behrens — i tworzą się wówczas tu i ówdzie zgrubienia, np. pod kolanami i w stawach łokciowych, tu i ówdzie guzy jak przy puchlinie wodnej, a to ma zawsze swą przyczynę, choć nie zawsze piękną. W niektórych wypadkach musi się tu myśleć o tuberkulicznym zaczepowaniu naczyń limfatycznych.

Hans Castorp milczał. — Tak — powiedział z cicha po chwili — tak, mogłem być z pewnością zostać lekarzem... Przewody mleczne... limfa nóg... To mnie bardzo zajmuje. Czymże jest ciało? — wybuchnął nagle gwałtownie — czym jest organizm ludzki? Z czego się składa? Proszę, proszę nam to dziś po południu powiedzieć, panie radco! Proszę nam to raz na zawsze i dokładnie powiedzieć, abyśmy wiedzieli!

— Z wody — odpowiedział Behrens. — Więc i chemia organiczna pana zajmuje? Ciało ludzkie składa się po największej części z wody, z niczego gorszego ani niczego lepszego; nie ma powodu się przejmować. Substancja sucha stanowi zaledwie dwadzieścia pięć procent, a dwadzieścia procent z tego — to zwykłe białko kurze, proteiny, jeżeli pragnie się pan wytworniej wyrazić, z małą właściwie tylko jeszcze domieszką tłuszczu i soli. Oto wszystko!

— Ale białko kurze? Cóż to jest takiego?

— Rozmaitego rodzaju pierwiastki: węgiel, wodór, azot, tlen, siarka; zdarza się i fosfor. Ależ pańska żądza wiedzy jest nienasycona! Niektóre białka są również połączone z węglowodanami, to jest z cukrem gronowym i krochmalem. Na starość mięso staje się łykowate, gdyż ilość kolagenu wzrasta w tkance łącznej, kleju, wie pan, który jest najważniejszą częścią składową kości i chrząstek. Cóż panu mam jeszcze powiedzieć? W plazmie mięśni znajduje się pewne białko, miozynogen, które ścina się we włókniak i wywołuje stężenie pośmiertne.

— Ach tak! Stężenie pośmiertne — powiedział Hans Castorp z ożywieniem. — Bardzo dobrze, bardzo dobrze. A potem przychodzi ogólny rozkład, anatomia grobu.

— No, tak! Rozumie się. Pięknie się pan zresztą wyraził. W dalszym ciągu proces ten staje się przewlekły. Człowiek rozpływa się, jeśli można tak powiedzieć. Niech pan sobie wyobrazi! Taka ilość wody! A te inne składniki są po śmierci mało trwałe i wskutek gnicia rozkładają się na związki prostsze, nieorganiczne.

— Gnicie, rozkład — powiedział Hans Castorp. — Wszak to jest spalanie, łączenie się z tlenem, o ile wiem.

— Najzupełniej słusznie. Utlenianie.

— A życie?

— Także, także, młodzieńcze! Także łączenie się z tlenem. Życie to także po prostu spalanie się białka komórek — stąd pochodzi to miłe ciepło zwierzęce, którego ma się nieraz zbyt wiele. Taak, taak... życie to śmierć — nie ma co wiele upiększać — une destruction organique *, jak to kiedyś pewien Francuz określił z wrodzoną sobie niefrasobliwością. Życie także tym pachnie! A jeżeli wydaje się nam inaczej, to sąd nasz nie jest bezstronny.

— A jeżeli życie nas interesuje — powiedział Hans Castorp — to właściwie interesuje nas śmierć. Czy nie tak?

— No! Pewna różnica zachodzi tu jednakże. Życie polega na tym, że mimo ciągłej zmiany zostaje zachowana ta sama forma.

— A po co zachowywać formę? — zapytał Hans Castorp.

— Po co? Ależ panie, to, co pan tu mówi, nie jest ani trochę humanistyczne.

— Forma to bujda.

— Pan jest dzisiaj w niezwykle przedsiębiorczym usposobieniu, powiedziałbym: w awanturniczym. Ale muszę teraz przerwać, staję się melancholijny — dodał radca i zakrył oczy swą olbrzymią ręką. — Widzicie, panowie, tak to mnie napada! Dopiero co piłem z panami kawę i smakowała mi, i nagle nachodzi mnie coś takiego, że staję się melancholijny. Panowie muszą mi to już wybaczyć. Wizyta panów była dla mnie czymś wyjątkowym i sprawiła mi dużą przyjemność...

Obaj kuzyni zerwali się. Mówili, że robią sobie wyrzuty, iż

pana radcę tak długo... Ale on zapewniał ich, że nic nie szkodzi. Hans Castorp odniósł pośpiesznie portret pani Chauchat do sąsiedniego pokoju i powiesił go na dawnym miejscu. Do swych pokoiw dostali się tym razem nie przez ogród. Behrens pokazał im drogę przez gmach, zaprowadziwszy ich do szklanych drzwi łączących obie części korytarza. W tej chwili przygnębienia kark jego wydawał się jeszcze grubszy, i doktor mrugał wilgotnymi oczami, a jego wąsik, krzywy wskutek jednostronnego uniesienia wargi, nabrał żalosego wyglądu.

Gdy szli przez korytarze i schody, Hans Castorp odezwał się:

— Przyznaj, że miałem szczęśliwą myśl.

— W każdym razie było to pewne urozmaicenie — odpowiedział Joachim. — A przy tej okazji nagadaliście się obaj o różnych sprawach — to trzeba powiedzieć. Dla mnie było tego nawet trochę za dużo! Najwyższy czas, abyśmy przed herbatą odbyli jeszcze obowiązkowe werandowanie, chociażby tylko przez dwadzieścia minut. Jesteś dzisiaj w takim jakimś awanturnicznym nastroju, że moja gorliwość w werandowaniu może ci się wydawać bujda! Dla ciebie, ostatecznie, nie jest to takie ważne jak dla mnie...

DOCIEKANIA

I tak nadeszło to, co musiało nadejść, a czego niedawno jeszcze Hans Castorp nie spodziewał się tu zobaczyć: wtargnęła zima, o której Hans Castorp do niedawna nawet nie przypuszczał, że może jej tu dożyć. Joachim znał ją już — poprzednia trwała jeszcze w całej pełni, kiedy przybył tutaj — ale Hans Castorp trochę się jej obawiał, chociaż czuł się na jej przyjście jak najstaranniej zaopatrzony. Kuzyn usiłował go Uspokoić.

— Nie powinienes sobie wyobrażać, że będzie zbyt sroga — powiedział — wprost podbiegunowa. Z powodu suchości powietrza i braku wiatrów nie bardzo odczuwa się tu zimno... Jeżeli należycie się owinąć, można pozostawać na balkonie aż do

późnej nocy, nie marznąc zupełnie. Sprawia to owa zmiana temperatury na granicy mgieł: powyżej tej granicy jest znowu cieplej; ta rzecz nie była dawniej tak dokładnie znana. Zimno jest raczej, kiedy pada deszcz. Ale ty masz przecież worek do leżenia, a troszkę palą tu także, kiedy mróz przyciśnie. — Nie mogło być mowy, zresztą, o jakimś gwałtownym zaskoczeniu, zima zbliżała się łagodnie, na razie mało się różniła od niejednego z dni, które zdarzały się już w pełni lata. Przez parę dni dał południowy wiatr, słońce dopiekało, dolina wydawała się skrócona i zwężona, blisko i wyraziście występowały zamykające ją kulisy Alp. Potem nadciągnęły chmury, przedarły się od Piz Michel i Tinzenhornu ku północnemu wschodowi, a dolina pociemniała. Następnie spadł ulewny deszcz. Później deszcz zmętniał, stał się białawoszary, domieszał się doń śnieg, wreszcie był to już tylko śnieg; dolina wypełniała się zawieją, a ponieważ trwało to dostatecznie długo, a tymczasem także temperatura znacznie się obniżyła, przeto śnieg nie mógł całkowicie stopnieć; był mokry, ale utrzymywał się. Od cienkiej, wilgotnej, przeświecającej miejscami białej szaty doliny ostro odcinała się czarna szorstkość igliwia na stokach; w sali jadalnej rury rozgrzały się leciutko. Było to na początku listopada, koło Zaduszek, i nie było nowością. Także w sierpniu bywało już podobnie, i z dawna odwykli mieszkańcy „Berghofu” od uważania śniegu za przywilej zimy. Stale i w każdą pogodę, chociażby tylko z daleka, miano go przed oczami, gdyż zawsze resztki jego i ślady przebłyskiwały w szczelinach i żłebach skalistego łańcucha Raticonu, który wyrastał jakby u wrót doliny, a najdalsze majestatyczne szczyty przesyłały zawsze śnieżne pozdrowienia z południa. Ale teraz utrwaliło się jedno i drugie: opady śnieżne i obniżenie się temperatury. Niebo, blade i niskie, wisiało nad doliną, rozsypywało się w płatki śniegu, które opadały bezszelestnie i nieustannie, w nadmiernej i lekko niepokojącej obfitości, i z godziny na godzinę stawało się zimniej. Pewnego ranka Hans Castorp miał w swoim pokoju siedem stopni ciepła, a nazajutrz już tylko pięć. Chwycił mróz, umiarkowany, ale stały. Przedtem bywały przymrozki tylko nocą, teraz

mróz nie ustępował i za dnia, srożył się od rana do wieczora, a jednocześnie z krótkimi przerwami trwała śnieżycą już czwarty, piąty, siódmy dzień. Śnieg gromadził się teraz w ogromnych ilościach, stawał się po prostu kłopotliwy. Na przepisowej drodze do ławki koło strumienia, a także na szosie prowadzącej w dół, ku dolinie, przekopano ścieżki dla pieszych; lecz były tak wąskie, że niepodobna było wyminąć się na nich; spotkawszy się, trzeba było ustępować w bok na wał śnieżny, w który zapadało się aż po kolana. Walec kamienny do ugniatania śniegu, ciągniony przez konia, którego człowiek prowadził za uzdę, toczył się przez cały dzień w dole po ulicach Uzdrowiska, a specjalny wehikuł na płozach, żółty i kształtem przypominający starofrankoński dylizans, z pługiem śnieżnym, rozgarniał białe zwały na obie strony, kursując między dzielnicą Kurhauzu a Davos-Wsią, północną częścią osady. Mieszkańcy tego świata, zacieśnionego, wysokiego i odosobnionego świata tych tu w górze, pojawiali się teraz w grubych futrach i opatuleni. Nie było tu ani jednego pala czy żerdzi bez białego czepca, zniknęły stopnie schodów wiodących ku portalowi „Berghofu” i przemieniły się w równię pochyłą; ciężkie poduszki o humorystycznych kształtach zwisały zewsząd z gałęzi sosen, tu i ówdzie cała ich masa ześlizgiwała się, rozpylała i przepływała między pniami, niby obłok czy biała mgła. Dookoła spoczywały ośnieżone góry, szorstkie u podnóża, z miękką przykrytymi różnokształtnymi wierzchołkami, wystrzelającymi ponad strefę drzew. Było ciemno, słońce wyzierało już tylko jako blady odbłask spoza zasnutych mgłami przestworzy. Ale śnieg lśnił odbitym i łagodnym światłem, mleczną jasnością, która pięknie uwydatniała świat i ludzi, chociaż spod białych lub kolorowych czapek włóczkowych wyzierały czerwone nosy.

W sali jadalnej, przy siedmiu stołach, głównym przedmiotem rozmowy był początek zimy, najważniejszej w tych okolicach pory roku. Przybyło jakoby wielu turystów i sportowców i zaludniło hotele Davos-Wsi i Uzdrowiska. Grubość śniegu oceniano na sześćdziesiąt centymetrów, a jego rodzaj był pono idealny dla narciarzy. Robota wre na torze saneczkowym, któ-

ry na północno-zachodnim zboczu, po tamtej stronie, opada od Schatzalp ku dolinie; w najbliższych już dniach będzie go można oddać do użytku, o ile ciepły wiatr z południa nie pokrzyżuje planów. Cieszono się na ruch i życie, które wniosą tu ludzie zdrowi, ci z dołu, na zabawy sportowe i wyścigi, którym zamierzano się przyglądać nawet wbrew zakazowi, zaniedbując się w kuracji i wymykając z werandowania. Pojawiło się coś nowego, jak słyszał Hans Castorp, wynalazek z północy, skikjórning, wyścigi, w których uczestników stojących na nartach ciągnąć mają konie. Będzie się wymykało z leżalni, aby to oglądać. — Była już także mowa o Bożym Narodzeniu.

O Bożym Narodzeniu! Nie, o tym Hans Castorp jeszcze nie myślał. Mógł sobie mówić i pisać od niechcienia, iż na mocy lekarskiego orzeczenia będzie musiał tutaj spędzić zimę wraz z Joachimem. Ale to pociągało za sobą, jak się teraz okazywało, konieczność spędzenia tutaj świąt Bożego Narodzenia, a było w tym bez wątpienia coś zatrważającego, już choćby dlatego, jakkolwiek nie wyłącznie dlatego, że świąt tych nigdy nie spędzał poza domem, lecz zawsze na łonie rodziny. A więc, w imię Boże, trzeba się było teraz z tym pogodzić. Przecież nie był już dzieckiem, także Joachim nie zdawał się tą okolicznością zbyt nie przejmować, raczej pogodził się z nią bez czułościowości — bo gdzież już i w jakich warunkach nie obchodzono na świecie Bożego Narodzenia!

Mimo wszystko mówienie o Bożym Narodzeniu przed pierwszą niedzielą adwentową wydawało mu się nieco przedwczesne; dobre sześć tygodni trzeba było jeszcze czekać na te święta. Przeskakiwano jednak przez ten czas i pochłaniano go w sali jadalnej — praktykowany tu sposób postępowania, który Hans Castorp na własną rękę nauczył się już przecież rozumieć, choć nie przywykł jeszcze do stosowania go w tak śmiałym stylu jak dawniejsi, bardziej od niego zasiedziali tu kuracjusze. Takie etapy jak święta Bożego Narodzenia zdawały się im stosownymi punktami oparcia i jakby przyrządami gimnastycznymi, które pozwalały im przeskakiwać, niby zwinną wołtyżerką, przez puste okresy czasu. Wszyscy mieli gorączkę, ich prze-

miana materii była spotęgowana, ich życie cielesne wzmożone i przyśpieszone — z tym może ostatecznie pozostawało w związku, iż tak prędko i masowo konsumowali czas. Nie zdziwiłby się, gdyby uważali, iż Boże Narodzenie mają już za sobą, i gdyby od razu mówili o Nowym Roku i zapustach. Ale tak lekkomyślnie i niestatecznie nie postępowano bynajmniej w sali jadalnej „Berghofu”. Zatrzymywano się przy Bożym Narodzeniu, które dawało powód do niejednej troski i do łamania sobie głowy. Naradzano się nad wspólnym prezentem, który zgodnie z istniejącą tradycją zakładu wręczyć miano w Wilię naczelnemu lekarzowi, radcy dworu Behrensowi, i w tym celu zainicjowano ogólną składkę. Poprzedniego roku podarowano mu kufer podróżny, jak informowali ci, którzy byli tu już dłużej niż rok. Tym razem była mowa o nowym stole operacyjnym, o sztalugach malarskich, o płaszczu futrzanym, o bujającym fotelu, o stetoskopie z kości słoniowej jakoś specjalnie inkrustowanej, a Settembrini, gdy go zapytano, zalecił podarowanie dzieła o charakterze encyklopedycznym, przygotowanego rzekomo do druku, a noszącego tytuł „Socjologia cierpienia”; wszelako propozycję jego poparł tylko pewien księgarz, który od niedawna siedział przy stole panny Kleefeld. Zgody nie udało się dotąd osiągnąć. Porozumienie z rosyjskimi gośćmi nastęczało trudności. Wśród gości podpisujących listę składkową nastąpił rozłam. Rosjanie oświadczyli, iż na własną rękę pragną obdarzyć Behrensa. Pani Stóhr zdradzała całymi dniami najwyższy niepokój z powodu pewnej kwoty, dziesięciu franków mianowicie, które w czasie zbiórki wyłożyła lekkomyślnie za panią Iltis, a które ta „zapominała” jej zwrócić. „Zapominała” o tym — intonacje, jakie pani Stóhr nadawała temu słowu, były wielokrotnie stopniowane i wszystkie miały świadczyć o -najgłębszej niewierze w brak pamięci, urągający, jak się zdawało, wszelkim aluzjom i subtelnym sposobom przypominania, których pani Stóhr — jak zapewniała — nie szczędziła. Pani Stóhr rezygnowała kilkakrotnie i oświadczała, iż dług ten daruje pani Iltis. — Płacę więc za siebie i za nią — mówiła — dobrze, ale nie ja powinnam się wstydzić! — Lecz wreszcie znalazła wyjście, o któ-

rym ku ogólnej wesołości poinformowała towarzystwo przy stole: tych dziesięć franków kazała wypłacić sobie przez Zarząd i wstawić do rachunku pani Iltis, dzięki czemu opieszala dłużniczka przecież została wywiedziona w pole i tę przynajmniej sprawę załatwiono.

Śnieg przestał padać. Niebo rozjaśniło się częściowo; spoza sinawych, rozstępujących się chmur wyzierało słońce nadając krajobrazowi niebieskawy odcień. Potem rozpogodziło się całkowicie. Panował przezroczysty mróz, czysty, niewzruszony przepych zimy w połowie listopada, a panorama spod łuków balkonu — przyprószone lasy, miękko wypełnione wąwozy, biała, skąpana w słońcu dolina pod niebiesko połyskującą kopułą nieba — była wspaniała. A pod wieczór, kiedy ukazywała się okrągła niemal tarcza księżyca, przedziwny czar spływał na świat. Jak okiem sięgnąć drżały wokół krystalicznie skrzące się diamentowe błyski. W ostrej bieli i czerni stały lasy. Dalej od księżyca, na ciemniejszym firmamencie migotały gwiazdy. Ostre, wyraźne i intensywne cienie, które zdawały się bardziej rzeczywiste niż rzeczy same, padały od domostw, drzew i słupów telegraficznych na połyskliwą płaszczyznę. W kilka godzin po zachodzie słońca brał mróz siedmio- lub ośmiostopniowy. W lodową czystość zaklęty był świat, codzienny jego brud znikł i zakrzepł, pogrążony niby we śnie w okowach fantastycznego czaru śmierci.

Hans Castorp aż do późnej nocy pozostawał na swym balkonie ponad zimową, urzeczoną doliną (znacznie dłużej od Joachima, który o dziesiątej lub w każdym razie niewiele później udawał się na spoczynek). Doskonały jego leżak, przykryty trzema materacowymi poduszkami i zaopatrzony w wałek pod głowę, przysunięty był do drewnianej poręczy, na której leżała gruba warstwa śniegu; obok, na białym stoliczku, płonęła elektryczna lampa, a koło stosu książek stała szlanka tłustego mleka wieczornego; koło dziewiątej jeszcze przynoszono je do pokoju wszystkim mieszkańcom „Berghofu”, a Hans Castorp dodawał do niego łyk koniaku, by je uczynić smaczniejszym. Zastosował już wszelkie, jakimi tylko rozprządzał, środki ochron-

ne przeciwko zimnu, cały skomplikowany aparat. Aż powyżej piersi tkwił w zapinanym na guziki worku futrzanym, który nabył zawczasu w odpowiednim magazynie Uzdrowiska, a wokół worka owinał przepisowo oba koce z sierści wielbłądziej. Ponadto wdział na zimowe ubranie swą kurtkę futrzaną, na głowę wełnianą czapkę, na nogach miał filcowe obuwie, a na rękach grubo watowane rękawiczki, które wszakże nie potrafiły zapobiec kostnieniu palców.

Do północy i dłużej (kiedy to para gorszych Rosjan od dawna już opuściła sąsiedni balkon), zatrzymywał go też poza pokojem niezawodnie czar nocy zimowej, zwłaszcza iż do godziny jedenastej wplatała się weń muzyka dolatująca aż tu z doliny, z bliska i z daleka — głównie jednak bezwład i podniecenie, jedno i drugie równocześnie: mianowicie bezwład i wzdrygające się przed ruchem znużenie ciała oraz niezmordowana ruchliwość ducha, pochłoniętego pewnymi nowymi i wielce interesującymi studiami, jakie zaprzętały w tym okresie młodzieńca. Zmiany pogody dawały mu się we znaki, mróz-wyczerpywał i podkopywał jego organizm. Jadał wiele, korzystał z obfitych posiłków „Berghofu”, gdzie po garniowanym rostbefie następowały pieczone gęsi; spożywał to wszystko z tym nienormalnym apetytem, który był tutaj w ogóle, a w zimie, jak się okazywało, bardziej jeszcze niż w lecie, na porządku dziennym. Jednocześnie odczuwał teraz silną potrzebę snu, tak iż za dnia i w księżycowe wieczory zasypiał często nad książkami, które wertował (a które wyszczególnimy poniżej), aby po krótkim wyłączeniu świadomości kontynuować swe dociekania. Ożywione rozmowy — a skłaniał się tutaj bardziej niż niegdyś w dolinie do szybkiego, niepohamowanego, a nawet ryzykownego gadania — ożywione rozmowy z Joachimem podczas ich służbowych przechadzek po śniegu wyczerpywały go wielce; nawiedzały go zawroty głowy i dreszcze, uczucie odurzenia i upojenia, a głowa jego płonęła. Wykres jego temperatury wzniósł się od czasu nastania zimy, a radca dworu Behrens przebąkiwał coś o zastrzykach, które zwykł był stosować przy uporczywie trwającej podniesionej temperaturze, a którym dwie trzecie gości, nie

wyłączając Joachima, regularnie musiało się poddawać. W pewnym związku zaś ze wzmożonym wytwarzaniem się ciepła — myślał Hans Castorp — pozostawało z pewnością owo podniecenie i ruchliwość umysłowa, które ze swej strony przykuwały go do leżaka w roziskrzoną od mrozu noc. Takie wyjaśnienie podsuwała mu pochłaniająca go lektura.

Niem mało czytano w leżalniach i na oddzielnych balkonach Międzynarodowego Sanatorium „Berghof” — uprawiali to zwłaszcza początkujący i krótkoterminowi; ci bowiem, co przebywali tu od wielu miesięcy lub tym bardziej lat, nauczyli się od dawna spędzać czas także bez pomocy rozrywek i zajęć umysłowych i umieli zabijać go mocą wewnętrznego wirtuozyzmu, a uciekanie się w tym celu do książek nazywali nawet nieudolnością i partactwem. Ostatecznie, niechby już jedna jakaś książka leżała na kolanach lub na stoliczku, pod ręką — wystarcza to całkowicie, aby czuć się zaopatrzonym. Biblioteka zakładowa, wielojęzyczna i obfitująca w dzieła ilustrowane, rozszerzony zbiór lekkiej lektury, pochodzący z pewnej poczekalni dentystycznej, oddana była pacjentom do dyspozycji. Wypożyczano sobie nawzajem powieści z czytelni Uzdrowiska. Od czasu do czasu pojawiała się książka lub broszura, którą sobie wrywano, po którą także ci, którzy już nie czytali, wyciągali ręce z udanym tylko spokojem. W chwili, do której doszliśmy, z ręki do ręki przechodziła nędznie wydana broszurka, którą dostarczył pan Albin, a która nosiła tytuł *Sztuka uwodzenia*. Była ona dosłownym tłumaczeniem z francuskiego, zachowała nawet składnię tego języka, dzięki czemu wykład zyskał wiele na dobrym tonie i pikantnej elegancji — a rozwijała filozofię miłości i rozkoszy cielesnej w duchu światowej i pogańskiej radości życia. Pani Stóhr przeczytała tę broszurę jedną z pierwszych i uznała jej lekturę za „upajającą”. Pani Magnus, ta sama, która traciła białko, podzielała jej zdanie bez zastrzeżeń. Jej małżonek, piwowar, niejedną, jak twierdził, wyniósł korzyść z tej książeczki, żałował jednak, iż pani Magnus zapoznała się z nią, gdyż tego rodzaju rzeczy „rozpieszczają” kobiety i wpajają im nieskromne pojęcia. Orzeczenie to nie-

mało wzmogło popyt na książkę. Pomiędzy dwiema damami z ogrodowej leżalni, przybyłymi w październiku, panią Redisch, małżonką polskiego przemysłowca, a niejaką panią Hessenfeld, wdową z Berlina, z których każda utrzymywała, iż ona pierwsza zastrzegła sobie lekturę *Sztuki uwodzenia*, doszło po obiedzie do bardziej niż niestosownej, a nawet wręcz gwałtownej sceny, której Hans Castorp wysłuchać musiał ze swego balkonu; skończyło się na histerycznych spazmach jednej z dwu dam — mogła nią być pani Redisch, ale równie dobrze pani Hessenfeld — i odstawieniu rozjuszonych kuracjuszek do jej pokoju. Młodzież wcześniej zawładnęła traktatem niż dojrzałe roczniki. Niekiedy zagłębiała się weń wspólnie po kolacji, w różnych pokojach. Hans Castorp zauważył, jak chłopak z paznokciem o kształcie szufelki wręczył go świeżo przybyłej, niezbyt poważnie chorej jasnej blondynce, Franeczce Oberdank, młodziutkiej panience z dobrego domu, którą matka dopiero co przywiozła była na górę.

Istniały, być może, wyjątki, może byli tacy, którzy godziny obowiązkowego leżenia wypełniali jakimś poważnym umysłowym zajęciem, jakimiś choć w pewnej mierze celowymi studiami, już choćby dlatego, aby w ten sposób zachować łączność z życiem na równinie lub aby przydać czasowi nieco wagi i głębi, iżby nie był on tylko czystym czasem i niczym poza tym. Być może, poza panem Settembrinim, z jego usiłowaniami wplenienia cierpień oraz poza zacnym Joachimem, z jego rosyjskimi podręcznikami, ten i ów starał się o to — jeśli nie spośród gości z sali jadalnej, co w samej rzeczy było nieprawdopodobne, to może właśnie spośród obłożnie chorych i skazanych na śmierć — Hans Castorp gotów był w to wierzyć. Co się tyczy jego samego, ponieważ *Ocean steamships* przestały go interesować, polecił przesłać sobie z domu tu na górę wraz z ekwipunkiem na zimę także kilka odnoszących się do jego zawodu książek naukowych z zakresu inżynierii oraz techniki budowania okrętów. Dzieła te jednakże leżały zaniedbane, ustępując miejsca innym książkom, zupełnie odmiennego rodzaju i charakteru, których tematem zainteresował się młody Hans

Castorp. Były to podręczniki anatomii, fizjologii i biologii, pisane w różnych językach, po niemiecku, francusku i angielsku; przesłał mu je pewnego dnia miejscowy księgarz, najwidoczniej dlatego, że je u niego zamówił, i to na własną rękę, w sekrecie, przy sposobności pewnej przechadzki, którą odbył na dół, do Uzdrowiska, bez kuzyna (Joachimowi wyznaczono właśnie zastrzyk czy też ważenie). Nie bez zdziwienia książki te ujrzał Joachim w ręku Hansa Castorpa. Były one drogie, jak bywają dzieła naukowe; ceny uwidocznione były jeszcze na wewnętrznej stronie okładek oraz na obwolutach. Zapytał, czemu kuzyn, skoro już zależało mu na przeczytaniu czegoś podobnego, nie pożyczył ich sobie od radcy Behrensa, który literaturę tę posiada z pewnością w należywym wyborze. Lecz Hans Castorp odrzekł, iż pragnie je mieć na własność: całkiem inaczej bowiem się czyta, kiedy się książkę samemu posiada; lubi zresztą czytać z ołówkiem w ręku i zakreślać. Całymi godzinami dochodził Joachima z sąsiedniego balkonu szelest rozcinanych kartek.

Tomy były ciężkie, nieporęczne; Hans Castorp leżąc opierał je dolnym brzegiem o pierś, o żołądek. Gniotły go, ale nie zwracał na to uwagi; z na wciół otwartymi ustami, z góry do dołu wodził wzrokiem po uczonych stronicach, prawie niepotrzebnie oświetlonych czerwonym blaskiem lampki osłoniętej abażurem, gdyż i tak byłyby od biedy czytelne w silnym świetle księżyca — wodził oczyma, aż podbródek opadał mu na piersi: pozycja, w której czytający, zanim wzniosł twarz ku następnej stronicy, pozostawał przez chwilę zamyślony, drzemał lub pogrążał się w półśnie. Wnikał głęboko, czytał, podczas gdy księżyc posuwał się swym odmierzonym szlakiem ponad krystalicznie iskrzącą się wysokogórską doliną — czytał o zorganizowanej materii, o właściwościach protoplazmy, o wrażliwej substancji trwającej w dziwnym zawieszeniu między stawaniem się a rozkładem oraz o kształtowaniu się jej z zaczątkowych, ale wciąż istniejących form zasadniczych, czytał z olbrzymim zainteresowaniem o życiu i jego świętej a nieczystej tajemnicy.

Czymże jest życie? Tego nie wiedziano. Jest świadome siebie,

niewątpliwie, skoro tylko staje się życiem, ale nie wie, czym jest. Świadomość, jako wrażliwość na podniety, budzi się, z pewnością, w pewnej mierze już na najniższych, najbardziej zaczątkowych szczeblach pojawienia się życia; niepodobna jednak umiejscowić pierwszego wystąpienia świadomych procesów w jakimkolwiek punkcie jego ogólnych lub osobniczych dziejów, niepodobna uwarunkować świadomość obecnością systemu nerwowego. Najniższe formy zwierzęce nie mają nie tylko mózgu, ale nawet systemu nerwowego, a jednak nikt nie ośmieliłby się odmówić im zdolności odczuwania bodźców. Ponadto można znieczulić życie, samo życie, a nie tylko specjalne narządy pobudliwości, które ono wytwarza, nie tylko nerwy. Można zawiesić na pewien czas pobudliwość każdej życiem obdarzonej substancji, zarówno w państwie roślinnym, jak w zwierzęcym, można usypiać jajniki i plemniki za pomocą chloroformu, wodnika chloralu lub morfiny. Świadomość własnego istnienia jest więc po prostu funkcją materii zorganizowanej do życia, a spotęgowana nieco funkcja ta zwraca się przeciw własnemu swemu podmiotowi, staje się usiłowaniem zgłębienia i wyjaśnienia zjawiska, które sama wytwarza, pełnym nadziei a zarazem beznadziejnym dążeniem życia do poznania samego siebie, zatopieniem się natury w siebie samą — usiłowaniem i dążeniem ostatecznie przecież daremnym, gdyż natura nie zdoła rozpuścić się w poznaniu ani życie całkowicie samo siebie podpatrzeć.

Czymże więc jest życie? Nikt tego nie wiedział. Nikt nie znalazł tego punktu, w którym powstaje i rozpala się. Nie ma nic nie zbadanego lub choćby źle zbadanego w dziedzinie życia, od tego punktu począwszy; ale życie samo wydaje się czymś nie do zbadania. Jeżeli można o tym cokolwiek powiedzieć, to chyba to, że struktura jego jest widocznie tak skomplikowana, iż w świecie nieożywionym nie napotyka się nic, co by ją w przybliżeniu choćby przypominało. Różnica pomiędzy amebą a zwierzęciem kręgowym jest nieznaczna, nieistotna w porównaniu z różnicą, jaka istnieje między najprostszym zjawiskiem życia a ową naturą, która nie zasługuje nawet na miano martwej, gdyż jest

nieorganiczna. Śmierć bowiem jest tylko logicznym zaprzeczeniem życia, między życiem natomiast a nieożywioną naturą zieje przepaść, ponad którą na próżno usiłuje się przerzucić pomost. Mozolono się, aby zapelnąć ją za pomocą teoryj, które pochłania, nie tracąc nic na głębi ani na rozwartości. Aby znaleźć ogniwo pośrednie, musiano sięgnąć do niedorzecznej supozycji, iż istnieje substancja życiowa pozbawiona struktury, iż istnieją nieorganizowane organizmy, które w roztworze białka same z siebie zawiązują się, jak kryształy w roztworze macierzystym — kiedy przecież w rzeczywistości zróżnicowanie organiczne jest zarówno wstępnym warunkiem, jak i objawem wszelkiego życia i kiedy niepodobna wymienić żadnego stworzenia, które by istnienia swego nie zawdzięczało splodzeniu przez rodziców. Wyłowienie prału z największych głębin morza, powitane z fanfarą triumfu, zakończyło się fiaskiem. Okazało się, że osady kredowe wzięto za protoplazmę. Aby nie być jednak zmuszonym do zatrzymania się przed cudem — gdyż życie powstające spontanicznie z tych samych pierwiastków, w które się potem, analogicznie do procesów zachodzących w materii nieorganicznej, rozpada, byłoby cudem — było się niemniej zniewolonym do uwierzenia w prarództwo, to znaczy w powstanie świata organicznego z nieorganicznego, co zresztą także byłoby cudem. I tak nie przestawano wynajdować stopni pośrednich i przejść, przyjmowano istnienie organizmów niżej stojących niżli wszystkie znane, których poprzednikami były z kolei jeszcze pierwotniejsze próby przyrody w dziedzinie życia, praorganizmy, których nikt nigdy nie ujrzy, gdyż znajdują się one poniżej progu mikroskopowej dostrzegalności, i przed których hipotetycznym powstaniem musiała się dokonać synteza związków białkowych...

Czymże tedy jest życie? Jest ciepłem, wytworem ciepłym czegoś, co utrzymuje formę, choć samo jej nie ma, jest gorączką materii towarzyszącą procesowi bezustannego rozkładu i odradzania się drobin białka, tak skomplikowanych i tak kunsztownie skonstruowanych, że aż nietrwałych i nie dających się utrzymać. Jest istnieniem tego, co właściwie nie może istnieć, co

w słodkiej męce chwieje się tylko między bytem a niebytem podczas zawikłanego i gorączkowego procesu rozpadu i wiecznego stawania się. Nie jest materialne, i nie jest z ducha. Jest czymś pośrednim, jest zjawiskiem uwarunkowanym przez materię, niby tęcza na wodospadzie, niby płomień. Ale choć niematerialne, jest zmysłowe, aż do rozkoszy i obrzydzenia, jest bezwstydem materii, która uzyskała wrażliwość na samą siebie i na bodźce z zewnątrz, jest wyuzdaną formą istnienia. Jest sekretnie wyczuwalną ruchliwością w dziewiczym chłodzie wszechbytu, lubieżnie skrytym niechlujstwem przyswajania i wydalania, tchnieniem wydzielającym na zewnątrz dwutlenek węgla i cuchnące substancje utajonego pochodzenia i nieznannej jakości. Jest w przyrodzone prawa powstawania ujętym bujaniem, rozwojem i przyjmowaniem kształtów przez coś napęczniałego, co składa się z wody, białka, soli i tłuszczów; zwie się je mięsem, a staje się ono formą, pięknem — a przy tym samą istotą zmysłowości i żądy. Gdyż forma i piękno nie są formą i pięknem ducha, jak w dziełach poezji i muzyki, ani formą i pięknem neutralnej materii, która przejęła się duchem i uzmysławia go w sposób niewinny w dziełach sztuk plastycznych. Są formą i pięknem zrodzonym i ukształtowanym przez substancję, w niewiadomy sposób do rozkoszy obudzoną, organiczną substancję, gnijącą i trwającą materię, przez cuchnące mięso...

Młodemu Hansowi Castorpowi, który ponad skrzącą się doliną spoczywał w swym własnym ciepłe cielesnym, chronionym przez futro i wełnę, ukazywał się w mroźnej nocy, rozświetlonej blaskiem martwego ciała niebieskiego, obraz życia. Zwidziało mu się, kędyś w przestrzeni, dalekie, a jednak zmysłem uchwytnie, mięsiste ciało, matowobiaławe, parujące, kleiste, pokryte skórą w całej nieczystości i ułomności jej istoty, z plamami, brodawkami, zażółceniami, pęknięciami i miejscami ziarnistymi i łuszczącymi się, z delikatnymi smugami i skrętami szczątkowego meszku. Odcinając się od zimnego nieożywionego świata, we mgle swych oparów, gnuśne, z głową uwieńczoną czymś chłodnym, zrogowaciałym, ubarwionym, co było wytworem jego skóry, splatało dłonie na karku i spod przymkniętych

powiek spoglądało na niego oczami, którym pewna anomalia w ukształtowaniu skóry powiek nadawała pozór skośnych, z wpółrozwartymi, nieco wywiniętymi wargami — spoczywając na jednej nodze, tak iż kość biodrowa silnie się uwydatniała, podczas gdy stopa luźno ustawionej nogi opierała się na kościuszkach palców, a jej kolano, lekko w bok wygięte, przywarło do wewnętrznej strony tamtej, dźwigającej cały ciężar, nogi, Stało tak, obrócone powabnie w uśmiechu, z lśniącymi łokciami wysuniętymi ku przodowi, w parzystej symetrii swych członków, swych znamion cielesnych. Ostro woniejącej ciemności pach odpowiadał w mistycznym trójkącie mrok łona, podobnie jak oczom odpowiadał czerwony nabłonek otwartych ust, czerwonemu kwiatowi piersi — prostopadle wzdłuż rozciągnięty pępek. Pod wpływem impulsów ze strony narządu centralnego i wychodzących z rdzenia nerwów ruchowych poruszał się brzuch i klatka piersiowa, jama opłucnej i otrzewnej wydymała się i kurczyła, tchnienie ogrzane i zwilżone przez błony śluzowe dróg oddechowych, nasycone wydaliniami, wypływało spomiędzy warg, związawszy uprzednio w płucach swój tlen z hemoglobina krwi, aby umożliwić oddychanie wewnętrzne. Hans Castorp pojmował bowiem, iż to żywe ciało z tajemniczą harmonią swych członków, odżywianych przez krew, oplecionych rozgałęzieniami nerwów, żył, tętnic — członków przepojonych limfą, z wewnętrznym rusztowaniem wydrążonych, tłustym szpikiem wypełnionych kości, kości płaskich kręgowych, w które substancja podporowa, tkanka galaretowata, zakrzepła dzięki solom wapniowym i substancjom kleistym, aby dźwignąć owo ciało wzwyż; ciało z torebkami i oślizłymi od smarów jamami, więzadłami i chrząstkami stawów, z więcej niż dwustu mięśniami, z centralnie umieszczonymi narządami odżywiania się, oddychania, przejmowania i wysyłania bodźców, z powłokami ochronnymi, jamami surowiczymi, z obficie wydzielającymi gruczołami, z aparatem rur i szczelin swego zawilego, otworami na zewnątrz uchodzącego wnętrza — pojmował, iż to „ja” jest jednostką życiową wysokiego rzędu, bynajmniej już nie z rodzaju owych najprostszych tworów, które całą powierzchnią swego

ciała oddychają, odżywiają się, a nawet myślą; iż składa się z niezliczonego mnóstwa takich maleńkich układów, które powstały z jednego jedyne go, powieliły się dzięki wciąż powtarzającemu się podziałowi, zorganizowały się w przeróżne związki, objęły różne funkcje, wykształciły się celowo i wydały z siebie formy, które były warunkiem oraz następstwem ich wzrastania.

Ciało, które mu się majaczyło, ta istota indywidualna i żywe „ja”, jest zatem olbrzymią wielością oddychających i odżywiających się osobników, które, na skutek organicznego zaszeregowania i celowej specjalizacji, w tak znacznym stopniu utraciły byt indywidualny, swobodę i życiową bezpośredniość, tak bardzo przeobraziły się w elementy anatomiczne, iż działanie niektórych z nich ogranicza się wyłącznie do wrażliwości na światło, dźwięk, dotyk, ciepło, a inne mogą jeszcze tylko zmieniać swój kształt przez skurcz lub wytwarzać soki trawienne; inne znów wydoskonalone są jednostronnie i zdolne wyłącznie do obrony i ochrony, do przesyłania soków lub rozmnażania się.

Istnieją rozluźnienia tej wielości organicznej zjednoczonej w skomplikowanym osobniku, wypadki, w których wielka liczba indywidualów niższego rzędu zespolona jest w jedność życiową wyższego rzędu w sposób luźny tylko i wątpliwy. Studiujący zastanawiał się nad zjawiskiem kolonii komórek, dowiadywał się o istnieniu półorganizmów, glonów, których poszczególne komórki, otulone tylko powłoką galaretowatą, często znajdują się z dala od siebie, stanowiąc bądź co bądź twory wielokomórkowe, które jednak, zapytane o zdanie, nie potrafiłyby orzec, czy mają być uznane za kolonię jednokomórkowych osobników, czy też za jedną istotę złożoną, i w odpowiedzi swej wahałyby się dziwnie między słowami: „ja” i „my”. Przyroda ukazuje tutaj stan pośredni między społecznie wysoko rozwiniętym zespoleniem niezliczonej ilości pierwotnych osobników w tkanki i narządy nadrzędnej indywidualności — a swobodną indywidualną egzystencją tych najprostszych tworów: wielokomórkowy organizm jest tylko pewną formą zewnętrzną cyklicznie zamykającego się procesu, w którym rozgrywa się ży-

cie, a który przebiega od jednego aktu płodzenia do drugiego. Akt zapłodnienia, zespolenie się płciowe dwóch komórek, jest początkiem każdego złożonego z wielości osobnika, podobnie jak jest początkiem każdego łańcucha pokoleń indywidualnie żyjących istot elementarnych i prowadzi znowu do siebie samego. Działanie bowiem tego aktu trwa przez wiele generacji, którym, dzięki wciąż powtarzającemu się podziałowi, nie jest on potrzebny do rozmnażania się, aż znowu nadchodzi chwila, kiedy bezpłciowo spłodzeni potomkowie odczuwają potrzebę ponownej kopulacji, i krąg się zamyka. Tu więc życie, wynikłe z zespolenia się jąder dwóch komórek rodzicielskich, jest współżyciem wielu bezpłciowo powstałych pokoleń komórek; ich wzrastanie jest ich mnożeniem się, a krąg płodzenia jest zamknięty, kiedy komórki płciowe, przeznaczone do specjalnego celu rozmnażania się, powstają w nim na nowo i znajdują drogę do wzniecającego życie połączenia się.

Z wielkim tomem embriologii, wspartym na piersi, śledził nasz młody poszukiwacz przygód rozwój organizmu, poczynając od tej chwili, w której plemnik, jeden z wielu, i to ten najpierwszy, poganiający się biczykowatymi ruchami swego odwłoku, koniuszkiem głowy uderza i wwierca się w galaretowatą powłokę jaja, którą protoplazma otoczki jaja ku niemu wypukła. Niepodobna wymyślić takiego dziwolągu i cudactwa, którym natura wzgardziłaby w swej dążności do urozmaicenia tego stałego procesu. Istnieją zwierzęta, u których samczyk pasożytuje w trzewiach samiczki. Istnieją inne, u których ramię zapładniającego sięga przez przełyk do wnętrza zapładnianej, by tam złożyć nasienie, po czym, odgryzione i wyplute, samodzielnie umyka na palcach, ku dezorientacji wiedzy, która sądziła przez czas dłuższy, iż winna je pod uczoną grecko-łacińską nazwą uważać za samodzielną istotę. Hans Castorp przysłuchiwał się kłótniom szkół uczonych: owistów i animalkulistów; pierwsi z nich utrzymywali, że jajo jest skończoną w sobie małą żabą, psem albo człowiekiem, a nasienie tylko pobudza jego wzrastanie, podczas gdy drudzy upatrywali w plemniku, posiadającym głowę, ramiona i nogi, uformowanego już przed właściwym istnie-

niem osobnika, któremu jajo służy tylko jako podłoże jego rozwoju; aż wreszcie zgodzono się na przyznanie jednakowo ważnej roli zarówno komórce jajowej, jak i nasiennej, które obie powstały z nie dających się pierwotnie rozróżnić komórek rozrodczych. Widział, jak jednokomórkowy organizm zapłodnionego jaja przeobraża się stopniowo w wielokomórkowy, brudkując i dzieląc się; widział, jak ciała komórek spajają się w blaszkę przyszłej błony śluzowej, jak pęcherz zarodkowy wpukla się do wnętrza i tworzy jakby kubek oraz pustą przestrzeń, które rozpoczynają funkcję przyjmowania pokarmu i trawienia. To był zawiązek jelita, prazwierzę, gastrula, podstawowa forma wszelkiego zwierzęcego życia, praforma piękna tkwiącego w ciele. Jej oba listki nabłonkowe, wewnętrzny i zewnętrzny, skórno-zmysłowy i jelitowo-gruczołowy, okazały się narządami pierwotnymi, z których przez wpuklanie i wypuklanie się powstają gruczoły, tkanki, narządy zmysłowe, kończyny. Pasma zewnętrznego listka zarodkowego grubieje, fałduje się w rowek, zamyka się w cewę nerwową i staje się kręgosłupem, mózgiem. I, podobnie jak galareta płodowa, przeobraża się w tkankę łączną, włóknistą, w chrząstki, dzięki temu, że galaretowate komórki zamiast mucyny wydzielać zaczynają kleistą substancję. Widział też, jak gdzieś tam komórki tkanki łącznej poczynają z opływających je soków wsysać sole wapniowe oraz tłuszcze i przemieniać się w kość. Embryon ludzki kulił się, zwinięty w sobie, ogoniasty, nie różniący się niczym od zarodka świni, z olbrzymią szypułą brzuszną i niekształtnymi kikutami kończyn, z maską twarzy pochyloną na wzdęty kałdun, a jego rozwój wydawał się nauce, operującej niepochlebny i posępny pojęciem prawdy, pośpiesznym powtórzeniem zoologicznych dziejów gatunku. Przez czas jakiś posiadał ów embryon kieszonki skrzelowe, jak drapieżna raja. Sądono, że wolno lub trzeba wnosić z okresów rozwoju, przez które przechodzi, o mało ludzkim wyglądzie, jaki przedstawiał dojrzały człowiek w czasach przedhistorycznych. Skóra jego wyposażona być miała w drgające mięśnie, w celu obrony przed owadami, i gęsto owłosiona, rozmiary błony śluzowej nosa były po-

tężne, a odstające uszy — ruchome; brały one żywy udział w mimice i posiadały większą zdolność chwytania głosu niżli obecnie. W owym czasie oczy jego, chronione przez trzecią powiekę, znajdowały się po bokach głowy, z wyjątkiem trzeciego oka, którego szczątkiem jest gruczoł zwany szyszynką, a które mogło ogarniać górne przestwory. Człowiek ten posiadał poza tym bardzo długi przewód pokarmowy, wielką ilość zębów trzonowych i szczególną konstrukcję krtani, umożliwiającą mu wycie; jego męskie gruczoły płciowe ukryte były we wnętrzu jamy brzusznej.

Anatomia odzierała ze skóry i preparowała dla naszego badacza członki ciała ludzkiego, ukazywała mu jego powierzchowne oraz głęboko ukryte mięśnie, ścięgna i więzadła ud, stóp, a zwłaszcza ramion i przedramion, uczyła go ich łacińskich nazw, którymi medycyna, owa przepojona duchem humanistycznym nauka, w sposób wytworny i elegancki ponazywała je i rozróżniła. W ten sposób przeniknął aż do szkieletu, a jego struktura odsłoniła nowe punkty widzenia, które ukazywały jedność wszystkiego, *co* ludzkie, i zespolenie wszystkich dyscyplin w tej jedności. Gdyż tutaj w najdziwniejszy sposób przypominał się Castorpowi jego właściwy — czy też rzecz trzeba: uprzedni zawód, ów stopień naukowy, który wymieniał, gdy przybywszy tu na górę, przedstawiał się nowym znajomym (panu drowi Krokowskiemu, panu Settembriniemu). Aby wyuczyć się czegokolwiek — było właściwie dość obojętne, czego — nauczył się po rozmaitych wszechnicach tego i owego o statyce, o elastycznych podporach, o obciążeniu i o konstrukcji jako pożytecznym wyzyskaniu mechanicznego materiału. Dziecinne byłoby zapewne mniemanie, iż nauki technologiczne, reguły mechaniki znajdując zastosowanie w przyrodzie organicznej, ale w równej mierze niepodobna było stwierdzić, iż zostały z niej wyprowadzone. Przyroda powtarzała je po prostu i potwierdzała. Zasada wydrążonego walca do tego stopnia panowała w budowie kości długich, iż minimum stałej substancji zaspokajało prawa statyki. Ciało — jak wyuczył się Hans Castorp — które spojone jest wyłącznie z drążków i wiązań nadającego się do tego celu

materiału, aby stawić opór ciągnięciu i ciśnieniu, może znieść to samo obciążenie co ciało masywne z tej samej substancji. To samo zjawisko występuje przy powstawaniu pustych kości; w miarę zawiązywania się substancji litej na ich powierzchni, wewnętrzne części, stając się z punktu widzenia mechaniki bezużyteczne, przeobrażają się w tkankę tłuszczową, w żółty szpik. Kość udowa jest dźwignią, a w jej konstrukcji przyroda organiczna wykonała — przez kierunek, jaki nadała beleczkom kostnym — z największą precyzją te same krzywe ciągnięć i ciśnień, które Hans Castorp musiałby wykreślić, gdyby miał w sposób poprawny przedstawić graficznie przyrząd spełniający tak trudne zadanie. Stwierdzał to z zadowoleniem, bo czuł, iż do uda, czy też do organicznej przyrody w ogóle, pozostaje teraz już w trojakim stosunku: lirycznym, medycznym oraz technicznym — tak bardzo przejmował się tym Hans Castorp; a te trzy stosunki, jak sądził, są w człowieku zespolone w jedno, są odmianami jednej i tej samej dojmującej potrzeby, są fakultetami nauki o człowieku...

Mimo to wszystko, działanie protoplazmy pozostaje zupełnie niewytłumaczone, zrozumienie siebie samego jest czymś niedostępnym dla życia. Większość biochemicznych procesów nie tylko jest nieznaną, lecz z samej ich istoty wynika, iż muszą pozostać nie zbadane. O budowie, o składnikach jednostki życiowej, zwanej „komórką”, nauka nie wie nic prawie. Na cóż się zda wyliczać składniki martwego mięśnia? Mięśnia żyjącego niepodobna badać chemicznie; już te zmiany, które wywołuje stężenie pośmiertne, starczą, by wszelkie eksperymentowanie uczynić bezprzedmiotowym. Nikt nie rozumie, na czym polega przemiana materii ani co jest istotą czynności nerwowych. Jakim to właściwościami zawdzięczają ciała spożywane swój smak? Na czym polega różnorodność sposobów, w jakie substancje wonne pobudzają pewne narządy zmysłowe? Na czym w ogóle polega samo wydawanie woni? Specyficzny odór zwierząt i ludzi powstaje dzięki parowaniu substancyj, których nikt nie potrafiłby nazwać. Skład chemiczny wydaliny zwanej potem nie jest wyjaśniony w sposób wystarczający. Gruczoły wydzielające go

wytwarzają aromaty, które wśród ssaków odgrywają bez wątpienia poważną rolę, ale których znaczenie u człowieka jest nieznane. Fizjologiczna funkcja niezawodnie ważnych części ciała jest okryta ciemnością. Można pominąć ślepą kiszkę, która jest tajemnicą; u królika jest ona stale wypełniona papkowatą treścią, o której nie można orzec, w jaki sposób mogłaby wy dostać się na zewnątrz lub odnowić się. Ale jakże przedstawia się sprawa z białą i szarą substancją mózgu, jak ze wzgórkami wzrokowym, który łączy się z nerwem ocznym, i z szarymi jądrami „mostu”? Substancja mózgu i rdzenia kręgowego ulega tak szybko rozkładowi, iż trzeba wyrzec się nadziei, by zdołano kiedykolwiek zgłębić jej budowę. Co zawiesza czynności kory mózgowej podczas zasypiania? Co staje na przeszkodzie samotrawieniu się żołądka, które w samej rzeczy następuje niekiedy po śmierci? Odpowiadano: życie, specjalna odporność żyjącej protoplazmy — i udawano, jakoby się nie dostrzegało mistyczności tego wyjaśnienia. Teoria tak codziennego zjawiska jak gorączka jest pełna sprzeczności. Wzmózona przemiana materii ma za sobą pociągać zwiększoną produkcję ciepła. Ale czemu nie wzmaga się wobec tego kompensacyjnie, jak w innych wypadkach, wydalanie ciepła? Czy sparaliżowanie sekcji potu polega na stanach skurczowych skóry? Ale dają się one stwierdzić tylko podczas dreszczy w gorączce, gdyż poza tym skóra jest raczej gorąca. „Nakłucie cieplne” każe szukać przyczyn zarówno wzmózzonej przemiany, jak i właściwości skóry w centralnym układzie nerwowym, ale nie umiając określić, na czym one polegają, nauka zadowala się nadaniem im miana nienormalnych.

Cóż jednak znaczy cała ta niewiedza w porównaniu z bezradnością, z jaką staje się przed zjawiskami takimi jak pamięć lub owa głębiej sięgająca i bardziej zdumiewająca pamięć, która się nazywa dziedziczeniem cech nabytych. Niepodobna sobie nawet wyobrazić mechanistycznego wyjaśnienia tego rodzaju czynności substancji komórkowej. Komórka nasienna, która przenosi na jajo nieprzeliczone i skomplikowane właściwości gatunku i osobnicze cechy ojca, widoczna jest tylko pod

mikroskopem, i nawet najsilniejsze powiększenie nie wystarcza, by ukazać ją inaczej niż jako ciało jednorodne i pozwolić stwierdzić jej pochodzenie; u wszystkich bowiem zwierząt wygląda tak samo. Fakty te zmuszają do przypuszczenia, że nie inaczej ma się sprawa z komórką niż z ciałem wyższego rzędu przez nią kształtowanym; że więc i ona jest już wysoce złożonym organizmem, który z kolei sam znowu składa się z żywych ciał, z indywidualnych jednostek życiowych. Postępuje się tedy od rzekomo najmniejszego ku jeszcze mniejszemu, z konieczności rozkłada się to, co pierwotne, na jeszcze drobniejsze elementy. Rzecz niewątpliwa, iż podobnie jak państwo zwierzęce składa się z różnych odmian zwierząt, a organizm zwierzęcy i ludzki z całego zwierzęcego państwa odmian komórkowych, tak też społeczeństwo komórki składa się z nowego i różnorodnego państwa zwierzęcego pierwotnych jednostek życiowych, których wielkość leży głęboko poniżej progu widzialności mikroskopowej; wzrastają one samorzutnie — samorzutnie z punktu widzenia prawa, iż każda może zrodzić tylko podobną sobie — rozmnażają się i, w myśl zasady podziału pracy, wspólnie służą wyższemu z kolei porządkowi życia.

- Są to geny, bioblasty, biofory — Hans Castorp rad był w mroźną noc poznać je po imieniu. Podniecenie kazało mu tylko pytać, jak by też miała się sprawa z ich elementarnością pod jeszcze doskonalszym mikroskopem. Skoro wytwarzają życie, muszą być zorganizowane, gdyż życie polega na organizacji; ale jeśli są zorganizowane, nie mogą być pierwotne, gdyż organizm nie jest pierwotny: jest złożony. Są jednostkami życiowymi niższego rzędu aniżeli życiowa jednostka komórki, którą organicznie tworzą. Ale jeśli istotnie tak się rzecz ma, muszą być same „zbudowane”, chociaż są małe ponad wszelkie pojęcie, i to „zbudowane” organicznie, jako składniki pewnego układu życiowego; gdyż pojęcie jednostki życiowej jest identyczne z pojęciem składania się z jednostek życiowych mniejszych, niższego rzędu, to znaczy uporządkowanych dla celów wyższego życia. Dopóki podział daje w wyniku organiczne jednostki, które posiadają właściwości życiowe, a mianowicie zdolność asymilo-

wania, wzrastania i rozmnażania się, niepodobna ustanowić dlań granic. Dopóki mowa o jednostkach życiowych, można tylko bezprawnie mówić o jednostkach pierwotnych, gdyż pojęciu jednostki towarzyszy ad infinitum* pojęcie kształtującej jednostki niższego rzędu, a życie pierwotne, zatem coś, co jest już życiem, ale jest jeszcze pierwotne — nie istnieje.

Ale mimo logicznej niemożliwości istnienia coś podobnego musi ostatecznie w jakiś sposób być rzeczywiste, gdyż koncepcja pranarodzin, to znaczy: powstania życia z czegoś nieżyjącego, nie daje się przecież odeprzeć, a owa przepaść, którą nadaremnie usiłowano zapłacić w zewnętrznej przyrodzie, mianowicie przepaść między przyrodą ożywioną a martwą, musi jednak pozwolić się w jakiś sposób zapłacić lub wyrównać w obrębie przyrody organicznej. Kiedyś przecież podział doprowadzić musi do „jednostek”, które złożone, ale jeszcze nie zorganizowane, pośredniczyłyby między życiem a nieżyciem, do ugrupowania drobin tworzącego przejście między żywym organizmem a czystą chemią. Atoli dotarłszy do chemicznej drobinie znaleziono się oto w pobliżu otchłani, która rozwiera się o wiele bardziej tajemniczo niż otchłań między przyrodą organiczną a nieorganiczną: w pobliżu przepaści między tym, co materialne, a tym, co niematerialne. Drobiną bowiem złożoną jest przecież z atomów, a rozmiary atomu w przybliżeniu nawet nie są dość duże, by można go było nazwać choćby tylko niezmiernie małym. Jest on do tego stopnia mały, jest tak drobnym, wczesnym i przejściowym skupieniem niematerialności, tego, co jeszcze nie jest materią, ale jest już podobne do materii, słowem, do energii, iż winien być pomyślany jako ledwo już albo zaledwie jeszcze materialny, raczej jako środek i punkt graniczny między tym, *co* materialne, a tym, *co* niematerialne. Narzuca się tu zagadnienie innych pranarodzin, znacznie bardziej zagadkowych i fantastyczniejszych jeszcze od organicznych: pranarodzin materii z tego, co niematerialne. W samej rzeczy przepaść między materią a niematerią domaga się równie gwałtownie, nawet gwałtowniej jeszcze, wypełnienia aniżeli tamta między organiczną a nieorganiczną przyrodą.

Musi istnieć jakowaś chemia niematerialności, jakieś związki niematerialne, z których materia bierze swój początek, podobnie jak organizmy powstają ze związków nieorganicznych; praorganizmami i monerami * materii są zapewne atomy — materialne z istoty swej, ale zarazem jeszcze niematerialne. Ale kiedy dociera się do tego, co „nawet nie jest już małe”, wówczas miara wymyka się z rąk; „nawet już nie małe” znaczy już tyleż, co „beźmiernie wielkie”; a droga wiodąca ku atomowi okazała się bez przesady w najwyższym stopniu niebezpieczną. Gdyż w chwili, w której dokonuje się ostatecznego podziału i rozdrobnienia materii, odkrywa się nagle przed oczyma wszechświat astronomiczny!

Atom jest układem kosmicznym naładowanym energią, w którym ciała planetarne wirują zaciekle wokół jakiegoś ciała centralnego podobnego słońcu i przez którego przestrzeń, wypełnioną eterem, pędzą z szybkością lat świetlnych komety, włączane siłą ciała centralnego w swe ekscentryczne orbity. Nie jest to tylko porównaniem, podobnie jak nie jest nim nazwanie ciała tworów wielokomórkowych „państwem komórek”. Miasto, państwo, wedle zasady podziału pracy uporządkowania społeczności jest nie tylko czymś, co daje się przyrównać do życia organicznego, lecz czymś, co je powtarza. Tak to powtarza się w najgłębszym wnętrzu natury, w najdalszym odzwierciedle- niu, makrokosmiczny świat gwiazd, których roje, gromady, grupy, figury, blade od poświaty księżycowej, unosiły się nad roziskrzoną mrozem doliną, nad głową owiniętego w koce adepta wiedzy. Czyż nie wolno było myśleć, iż pewne planety słonecznego układu atomu — tych rojów i całych dróg mlecznych systemów słonecznych, tworzących materię — iż to lub owo ciało planetarne tego wewnętrznego wszechświata znajduje się w stanie podobnym do tego, który uczynił ziemię siedliskiem życia? Dla młodego adepta wiedzy o nieco odurzonych ośrodkach nerwowych i o „nienormalnych” właściwościach skóry, któremu przecież nie brakło już pewnego doświadczenia na gruncie tego, co niedozwolone, było to nie tylko sensownym, ale nawet aż do natarczywości narzucającym się, w najwyższej mierze prze-

konującym pomysłem, nie pozbawionym logicznego charakteru prawdziwości. „Małość” gwiazdzistych ciał wewnętrznego świata byłaby zarzutem wielce nierzeczowym, skoro przecież miara tego, co wielkie i małe, wymknęła się z rąk — jeśli nie wcześniej, to wtedy, kiedy objawił się kosmiczny charakter „najmniejszych” części materii, a pojęcia tego, co zewnętrzne i co wewnętrzne, utraciły z czasem również swe niewzruszone podstawy. Świat atomu jest czymś zewnętrznym, podobnie jak najprawdopodobniej glob ziemski, który zamieszkujemy, rozpatrywany z punktu widzenia organicznego, jest czymś głęboko wewnętrznym. Czyż marzycielska śmiałość pewnego badacza nie mówiła o „zwierzętach Drogi Mlecznej” — o kosmicznych potworach, których ciało, kończyny i mózg składają się z systemów słonecznych? Ale jeśli w istocie było tak, jak myślał Hans Castorp, wówczas w chwili kiedy przypuszczano, iż dotarło się do końca, wszystko rozpoczynało się od początku! Wtedy, być może, we wnętrzu i na najgłębszym dnie swej istoty znajdował się jeszcze raz, jeszcze sto razy, on sam, młody Hans Castorp, ciepło otulony, leżący na balkonie z widokiem na rozjaśnioną księżycem, mroźną noc wysokogórską i, ze skostniałymi palcami i płonącymi policzkami, trawiony chęcią zgłębienia zagadnień medycyny i humanistyki, dociekał tajników życia cielesnego.

Anatomia patologiczna, której jeden z tomów trzymał nieco z boku w czerwonym blasku lampki stołowej, pouczała go za pomocą bogato ilustrowanego tekstu o istocie pasożytniczych zespoleń komórkowych i guzów zakaźnych. Są to rodzaje tkanek — i to niepoohamowane w rozwoju rodzaje tkanek — powstające przez wtargnięcie obcych komórek do organizmu, który okazał się podatny do ich przyjęcia i rozwojowi ich zapewniał w jakiś sposób — raczej powiedzieć należy: w jakiś rozwiązły sposób — korzystne warunki. Można pominąć to, iż pasożyt pozbawia pożywienia otaczającą go tkankę, ale skutek przemiany materii, właściwej każdej komórce, wytwarza związki organiczne, które dla goszczących go komórek okazują się zadziwiająco jadowite, nieuchronnie niszczące. Kiedy udało się

z niektórych mikroorganizmów wydzielić toksyny i otrzymać je w stanie stężenia, okazało się, w jak zdumiewająco niewielkich dawkach substancje te, które należą po prostu do rzędu związków białkowych, wprowadzone w obieg krwi zwierzęcia wywołują najgroźniejsze objawy zatrucia i prowadzą do nieuniknionej zagłady. Zewnętrznym objawem tego procesu jest bujanie tkanek, patologiczne obrzmienie, jako reakcja komórek na podrażnienie wywołane przez zagnieżdżone wśród nich mikroby. Tworzą się guzki wielkości ziarna prosa, złożone z komórek podobnych do kcmorek błony śluzowej, między którymi albo w których gnieźdzą się mikroby; niektóre z nich są wyjątkowo obficie zaopatrzone w protoplazmę, a przy tym olbrzymie i wypełnione licznymi jądrami. Ale ta zabawa bardzo szybko prowadzi do ruiny, gdyż oto jądra tych spotworniałych komórek poczynają kurczyć się i rozpadać, a protoplazma ich zanikać wskutek krzepnięcia. Podrażnienie ciałem obcym obejmuje stopniowo dalsze części okolicznych tkanek; procesy zapalne rozszerzają się na sąsiednie naczynia; zjawiają się białe ciała krwi, zwabione przez miejsce niedoli; zanikanie na skutek tężenia nie ustaje; a tymczasem rozpuszczalne jady bakteryjne od dawna już odurzyły ośrodki nerwowe, wysoka gorączka trawi organizm, który niejako z falującą piersią zdąża ku swemu rozkładowi.

Tyle mówiła patologia, nauka o chorobie, o akcencie bólu postawionym nad ciałem, który wszakże, jako podkreślanie tego, co cielesne, jest zarazem akcentem rozkoszy; choroba jest wyuzdaną formą życia. A życie ze swej strony? Czyż może jest tylko zakaźną chorobą materii — podobnie jak to, co wolno było nazwać pranarodzinami materii, było może tylko chorobą pierwiastka niematerialnego, jego wybujaniem pod wpływem jakiejś podniety? Pierwszego kroku w stronę zła, ku rozkoszy i ku śmierci należy niezawodnie dopatrywać się tam, gdzie, wywołane bodźcem nieznaną infiltracji, odbyło się owo pierwsze skupienie pierwiastka duchowego, owo patologicznie intensywne bujanie jego tkanki, które na wpół radośnie, na wpół się broniąc, stworzyło najwcześniejszy, przedwstępny szczebel sub-

stancjalności, przejście tego, co niematerialne, w coś materialnego. To był grzech pierworodny. Drugie pranarodziny, zrodzenie się organiczności z tego, co nieorganiczne, były już tylko fatalnym spotęgowaniem pierwiastka cielesnego do świadomości, podobnie jak odurzająca choroba organizmu jest spotęgowaniem i nieobyčajnym, nadmiernym zaakcentowaniem jego cielesności: życie jest tylko dalszym konsekwentnym krokiem na awanturczym szlaku ducha, który się zbezczescił, jest odruchowym rumieńcem wstydu, jakiego doznaje materia, obudzona z niewrażliwości i gotowa na przyjęcie budzącego ją bodźca...

Stos książek piętrzył się na stoliku z lampką, jedna leżała na podłodze obok leżaka, na macie balkonu; a ta, którą Hans Castorp ostatnio studiował, spoczywała na jego brzuchu i przyniałała go utrudniając oddech; ale jego kora mózgowa nie wydała nakazu odpowiednim mięśniom, by ją usunęły. Przeczytał stronicę aż do samego dołu, podbródek jego wsparł się o pierś, powieki opadły mu na prostoduszne niebieskie oczy. Widział przed sobą obraz życia, kwitnącą budowę jego członków, jego piękność zaklętą w ciało. Rozplotła ręce założone na karku, a jej rozwarte ramiona, na których wewnętrznej powierzchni, zwłaszcza pod delikatną skórą stawu łokciowego, niebieskawo rysowały się naczynia, oba rozgałęzienia wielkich żył — ramiona te pełne były niewysłowionej słodyczy. Pochyliła się, pochyliła ku niemu, nad nim; czuł woń jej ciała, czuł krótkie uderzenia jej serca. Gorąca tkliwość oplotła mu gardło, i gdy omdlewając z rozkoszy i lęku kładł dłonie na jej ramiona, w miejsce gdzie jędrna skóra opinająca mięsień trójgłowy była upajająco chłodna — uczuł na wargach wilgoć jej ssącego pocałunku.

TANIEC SZKIELETÓW

Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia, umarł sportsmen, Ale przedtem były jeszcze właśnie te oba albo, wliczając Wigilię, te trzy uroczyste dni świąteczne, których Hans Castorp

oczekiwał z pewnym lękiem i sceptycyzmem, jak też one tutaj będą wyglądały. A nadeszły i minęły jako zwykłe dni powszednie, z rankiem, południem i wieczorem, i z pierwszą lepszą, przeciętną pogodą (była lekka odwilż); były to dni, jakich wiele, zewnątrz tylko nieco urozmaicone i wyróżniające się spośród innych; w ciągu odmierzonego im czasu poruszyły umysły i serca ludzkie i, pozostawiwszy za sobą osad niecodziennych wrażeń, stały się niedawną, a potem dalszą przeszłością...

Syn radcy dworu, imieniem Knut, przyjechał do ojca na wakacje i zamieszkał u niego w bocznym skrzydle budynku. Był to przystojny młodzieniec, jednakże o grubawym już karku. Wyczuwało się w atmosferze obecność młodego Behrensa: panie objawiały ochotę do śmiechu i strojenia się i pewną drażliwość, w rozmowach wspominały o spotkaniach z nim w ogrodzie, w lesie albo w okolicy Kurhauzu. Zresztą Knut sam miał gości: kilku jego kolegów uniwersyteckich, sześciu lub siedmiu studentów, przyjechało do Davos i zamieszkało w Uzdrowisku, ale jadali u radcy dworu i razem ze swym towarzyszem włączyli się gromadą po okolicy. Hans Castorp unikał tych młodych ludzi i wraz z Joachimem schodził im z drogi, gdy groziło spotkanie. Był jednym z tych, co mieszkają tu w górze, więc przepaść dzieliła go od tych rozśpiewanych włóczęgów wymachujących laskami — nie chciał o nich nic słyszeć ani wiedzieć. Poza tym wydawało mu się, że większość z nich pochodzi z północnych Niemiec; mogli pomiędzy nimi znajdować się jego ziomkowie, a Hans Castorp czuł trwogę przed swymi ziomkami i często z niechęcią myślał o tym, że jacyś hamburczycy mogą zamieszkać w „Berghofie”, tym bardziej że Behrens mówił, iż to miasto dostarcza sanatorium liczego kontyngentu pacjentów. Może byli tu jacyś wśród ciężko chorych i skazanych na śmierć, których się jednak nie widywało. Pojawił się tylko pewien kupiec z zapadniętymi policzkami, który siedział od kilku tygodni przy stole pani Iltis i podobno przybył z Cuxhaven. Widząc go Hans Castorp cieszył się, że poza współbiedziadnikami trudno tu było wejść z kimś w bliższy kontakt, a za-

razem miła była mu świadomość, że jego ojczyste strony są tak rozległe i tak silnie towarzysko zróżnicowane. Nieszkodliwa obecność tego kupca w znacznym stopniu łagodziła jego obawy związane z ewentualnym spotkaniem jakichś mieszkańców Hamburga tu w górze.

Zbliżała się więc Wigilia Bożego Narodzenia; pewnego dnia była już tuż za drzwiami, a następnego stała się terażniejszością... Kiedy Hans Castorp dziwił się, że już mówi się o świętach, brakowało do nich jeszcze więcej niż sześciu tygodni: więc, biorąc rzecz rachunkowo, jeszcze tyle czasu, ile Hans Castorp miał początkowo zamiar tutaj spędzić i ile spędził w łóżku będąc chorym. Wtedy był to olbrzymi przeciąg czasu, szczególnie, jak się Hansowi Castorpowi później wydawało, pierwsza jego połowa, podczas gdy rachunkowo równy mu okres miał teraz znaczenie niewielkie, prawie żadne; przyznawał więc rację swoim współbiednikom, którzy sobie ten okres tak lekceważyli. Sześć tygodni — a więc nawet nie tyle, ile jest dni w jednym tygodniu: ale czymże to było wobec dalszego pytania, czym właściwie jest tydzień, taki mały cykl od poniedziałku do niedzieli i znowu poniedziałek? Należało tylko zastanowić się nad wartością i znaczeniem kolejnych mniejszych jednostek czasu, aby zrozumieć, że z sumowania ich niewiele wypadnie, że skutkiem tego właśnie działania będzie przecież poza tym także bardzo znaczne skrócenie, zatarcie, ściągnięcie się i zaniknięcie. Czym jest jeden dzień, począwszy na przykład od chwili, kiedy zasiada się do obiadu, aż do powtórzenia się tego momentu po dwudziestu czterech godzinach? Niczym — chociaż to jednak były całe dwadzieścia cztery godziny. Ale czym z kolei jest jedna godzina, spędzona na przykład na weterandowaniu, na spacerze albo przy jedzeniu — co już prawie w zupełności wyczerpuje możliwości spędzenia tej jednostki czasu? Znowu niczym. A sumowanie nicości z natury rzeczy nie jest czynnością poważną. Najpoważniej przedstawia się sprawa, kiedy się schodzi do najniższych jednostek, i te siedem razy sześćdziesiąt sekund, w ciągu których trzeba trzymać termometr w ustach, aby potem wyrysować dalszy ciąg wykresu,

są dziwnie nieustępliwe i pełne znaczenia; rozciągają się w małą nieskończoność, a w szybkim mknieniu wielkiego czasu stanowią okazałe skrzepy...

Święta nieznacznie tylko zdołały zamącić porządek dnia mieszkańców „Berghofu”. Wysmukłą choinkę ustawiono już na kilka dni przedtem pod prawą wąską ścianą jadalni, obok gorszego stołu rosyjskiego. Jej woń, docierająca czasem poprzez ciepłe wyziewy obfitych dań do nozdrzy biesiadujących, wywoływała coś jakby zadumę w oczach niektórych osób siedzących przy siedmiu stołach. Dwudziestego czwartego grudnia podczas kolacji drzewko ukazało się w ozdobnej szacie ze złotych i srebrnych włosów, szklanych kul, złożonych szyszek, jabłuszek zawieszonych w siatkach i z mnóstwa łakoci, a kolorowe świecek woskowe paliły się w czasie jedzenia i później. Mówiono, że i w pokojach obłożnie chorych jaśniejają drzewka; każdy ma swoje własne. A już od kilku dni napływało bardzo wiele paczek pocztowych. Joachim Ziemssen i Hans Castorp także otrzymali przesyłki z dalekiej i nizinnej ojczyzny, starannie owinięte podarunki, które rozłożyli sobie w pokojach: wymyślne części garderoby, krawaty, eleganckie przedmioty ze skóry i niklu, a również dużo świątecznego ciasta, orzechów, jabłek i macypanu. Wszystkie te zapasy obaj kuzyni oglądali pytającym wzrokiem, zastanawiając się nad tym, czy też znajdą tu kiedykolwiek odpowiednią porę na korzystanie z nich. Hans Castorp wiedział, że panna Schalleen układała jego paczkę i że to ona, po uprzednim porozumieniu się z wujami, kupowała prezenty. Do przesyłki dołączony był list od Jamesa Tienappla, pisany na grubym prywatnym papierze listowym, ale na maszynie. Wuj przesłał życzenia wesołych świąt i szybkiego powrotu do zdrowia, od siebie oraz w imieniu swego ojca, i przeźornie załączał jednocześnie aktualne już wkrótce powinszowania noworoczne, co zresztą uczynił i Hans Castorp, kiedy leżąc pisał zawczasu przed świętami do konsula Tienappla, składając mu zarazem swój raport kliniczny.

Choinka w jadalni paliła się, trzeszczała, pachniała i podtrzymywała w umysłach i sercach poczucie uroczystości chwili.

Ubrano się odświętnie, panowie byli w strojach wizytowych, panie miały na sobie klejnoty, przysłane zapewne przez kochających mężów z krajów leżących na równinie. Także Kławdia Chauchat zamieniła swój codzienny wełniany sweterek na suknię wieczorową, która jednak miała w sobie coś samowolnego albo raczej narodowego: był to jasny haftowany kostium z paskiem, o ludowym charakterze rosyjskim czy też raczej bałkańskim, może bułgarskim, upstrzony złotymi cekinami; bogato opadające fałdy przydawały jej postaci niezwykle pełni i miękkości, harmonizującej z tym, co Settembrini nazwał jej „tatarską fizjonomią”, a zwłaszcza „ślepiami wilka stepowego”. Przy lepszym stole rosyjskim było bardzo wesoło; tam wystrzeliła pierwsza butelka szampana, który pito później przy wszystkich niemal stołach. Przy stole obu kuzynów pierwszą butelkę zamówiła stara ciotka dla swej siostrzenicy i dla Marusi i częstowała wszystkich. Menu było wyszukane; na zakończenie podano ciastka z serem i cukierki, potem zaś kawę i likiery; od czasu do czasu jakaś płonąca gałązka choinki wywoływała, zanim ugaszono ogień, przesadną i przeraźliwą panikę. Settembrini, ubrany jak zawsze, przysiadł się przy końcu świątecznej kolacji do stołu kuzynów, trzymając w zębach jak zwykle wykałaczkę; przekomarzał się z panią Stóhr, a potem powiedział coś niecoś o synu cieśli i rabbim całej ludzkości, którego dzień narodzin właśnie symbolicznie obchodzono. Czy żył naprawdę — nie jest pewne. Ale narodziła się wówczas i rozpoczęła swój zwycięski bieg, trwający do dnia dzisiejszego, idea wartości każdej jednostkowej duszy a zarazem idea równości, jednym słowem indywidualistyczna demokracja. Na cześć tych idei wznosi kielich, który mu podsunęto. Pani Stóhr nazwała jego sposób wyrażania się „dwuznacznym i bez serca”. Na znak protestu wstała od stołu, a i reszta gości poszła za jej przykładem, bo właśnie zaczęto udawać się do salonów.

Zebranie towarzyskie tego wieczora było bardzo ożywione i miało szczególną treść, ponieważ rozpoczęło się od wręczenia podarunków panu radcy, który wraz z Knutem i panną Mylen-

donk przyszedł na pół godzinki. Rzec rozegrała się w saloniku z optycznymi zabawkami. Rosjanie ofiarowali, jako odrębny podarunek, wielki, srebrny, okrągły talerz z monogramem Behrensa pośrodku: kompletna bezużyteczność tego prezentu rzucała się w oczy. Na szezlongu, ufundowanym przez pozostałych gości, można było przynajmniej leżeć, chociaż brakowało jeszcze narzuty i poduszki i przykryty był zwyczajną chustką. Ale oparcie pod głowę można było przesuwac, i Behrens wyciągnął się na szezlongu, aby wypróbować, czy jest wygodny; trzymał przy tym pod pachą swój bezużyteczny talerz, zamknął oczy i zaczął chrapać i sapać jak lokomotywa, utrzymując, że jest Fafnirem *, który dzierży swój skarb. Radość była ogólna. Również pani Chauchat śmiała się serdecznie z tego przedstawienia mrużąc oczy i otwierając usta; Hans Castorp stwierdził, że i Przybysław Hippe, kiedy się śmiał, robił jedno i drugie zupełnie tak samo.

Natychmiast po odejściu naczelnego lekarza zajęto miejsca przy stołach do gry. Rosjanie, jak zwykle, zajęli mały salonik. Niektórzy stanęli przy choince, patrzyli, jak ogarki świeczek dogasają w metalowych oprawkach, i lasowali zawieszono smakołyki. Przy stołach, już nakrytych do pierwszego śniadania, siedziały poszczególne osoby, z dala od siebie, w różnych pozach, oddzielone od siebie milczeniem.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia był wilgotny i mglisty. Behrens utrzymywał, że znajdują się w chmurach, bo mgły nie zdarzają się tu w górze. Ale czy to chmury, czy mgły były jej przyczyną — w każdym razie wilgoć dawała się we znaki. Śnieg pokrywający ziemię tajał na powierzchni, stawał się porowaty i lepki. Twarz i ręce marzły podczas werandowania o wiele bardziej niż w czasie słonecznej mroźnej pogody.

Dzień ten wyróżnił się spośród innych wieczorną muzyką, prawdziwym koncertem, z rzędami krzesel i drukowanymi programami. Był to wieczór pieśni, urządzony specjalnie dla mieszkańców „Berghofu”. Śpiewała pewna zawodowa śpiewaczka, osiadła i udzielająca lekcji w tej miejscowości. Poniżej wycięcia jej sukni balowej widniały z boku dwa medale, ręce miała

jak kije, a głos tak szczególnie bezdźwięczny, że przy słuchaniu nasuwały się smutne refleksje na temat przyczyn, dla których zamieszkała tu w górze. Śpiewała:

Miłość swą noszę
wszędzie ze sobą.

Pianista, który jej akompaniował, był także tubylcem... Pani Chauchat siedziała w pierwszym rzędzie, skorzystała jednak z pauzy, żeby się wymknąć, tak że Hans Castorp mógł od tej chwili spokojnie przysłuchiwać się muzyce (bądź co bądź to muzyka) odczytując sobie podczas słuchania śpiewu teksty wydrukowane w programie. Przez chwilę siedział koło niego Settembrini, ale zniknął również, powiedziawszy coś bardzo dobitnego i plastycznego o przytłumionym bel canto * miejscowej śpiewaczki oraz wyraziwszy z ironią zadowolenie, że i dzisiaj wieczorem można spędzić czas tak po domowemu i w swoim kółeczku. Prawdę mówiąc, Hans Castorp odczuł ulgę, kiedy odeszło tych dwoje, wąskooka Rosjanka i pedagog, i mógł swobodnie słuchać śpiewu. W ogóle uważał, że dobrze jest, iż na całym świecie, i nawet w najbardziej wyjątkowych warunkach, prawdopodobnie i w czasie wypraw polarnych, ludzie uprawiają muzykę.

Drugi dzień Bożego Narodzenia nie różnił się od zwykłej niedzieli, a nawet od dnia powszedniego niczym więcej poza leciutką świadomością jego obecności. A kiedy minął, było już po świętach albo, można rzec z równą słuszością, przed nowymi świętami, które miały nadejść po upływie roku: dwunastu miesięcy brakowało do chwili, kiedy cykl znowu zostanie zamknięty — raptem o siedem miesięcy więcej, niż Hans Castorp już tutaj przesiedział.

Ale zaraz po tegorocznych świętach, jeszcze przed Nowym Rokiem, zmarł właśnie sportsmen. Kuzyni dowiedzieli się o tym od Alfredy Schildknecht, zwanej siostrą Bertą, pielęgniarki biednego Fritza Rotbeina, która na korytarzu podzieliła się z nimi tą sekretną wiadomością. Hans Castorp wypadkiem tym bardzo

się przejął, po części dlatego, że pewne przejawy życia sportsmena należały do najwcześniejszych jego wrażeń tu w górze — do tych wrażeń, które pierwsze, jak mu się zdawało, wywołały u niego wypieki na twarzy, utrzymujące się odtąd bez przerwy aż do chwili obecnej — a po części z przyczyn natury moralnej albo lepiej: duchownej. Długo zatrzymywał Joachima, kiedy rozmawiali z pielęgniarką, niezmiernie i aż krępująco wdzięczną, że raz wreszcie może się wygadać i z kimś podzielić myślami. To cud prawdziwy, mówiła, że sportsmen doczekał jeszcze świąt. Od dawna jego wytrzymałość była zadziwiająca, ale jest zupełnie nie do pojęcia, czym właściwie pod koniec oddychał. Prawda, że od wielu dni podtrzymywały go jedynie wielkie ilości tlenu: przez jeden tylko dzień wczorajszy skonsumował czterdzieści balonów, po sześć franków sztuka. Panowie mogą sobie wyliczyć, ile to wszystko kosztowało, a trzeba wiedzieć, że jego żona, na której rękach wyzionął potem ducha, pozostała zupełnie bez środków do życia. Joachimowi nie podobała się ta kosztowna metoda. Po co w wypadku beznadziejnym męczyć jeszcze pacjenta i tak znacznym nakładem sztucznie utrzymywać go przy życiu? Zmarłemu nie można brać za złe, że bez namysłu zużywał tyle drogiego życiodajnego gazu, bo działał pod przymusem. Lekarze powinni byli jednak być rozsądniejsi i w imię Boże pozwolić mu iść jego nieuniknioną drogą, zupełnie niezależnie od jego warunków finansowych, a tym bardziej z ich uwzględnieniem. Żyjącym także coś się należy — i tak dalej. Hans Castorp gorąco zaprotestował. Zarzucał kuzynowi, że mówi już prawie tak jak Settembrini, bez szacunku i pietyzmu dla cierpienia. Przecież sportsmen, ostatecznie, umarł, więc nie ma tu miejsca na żarty, to jedyny sposób dowiedzenia, że sprawę traktuje się poważnie, a zmarłemu należy się szacunek i wszelkie objawy czci, od tego Hans Castorp nie odstąpi. Ma przy tym nadzieję, że Behrens w ostatniej chwili nie krzyczał na sportsmena i nie urągał mu bezceremonialnie. Panna Schildknecht odrzekła, że nie było do tego powodu. Wprawdzie sportsmen uczynił jeszcze małą i bezsensowną próbę wymknięcia się i chciał wyskoczyć z łóżka, ale wystarczyło zwrócić mu delikat-

nie uwagę na bezcelowość takiego postępowania, aby raz na zawsze dał spokój.

Hans Castorp obejrzał zmarłego. Zrobił to umyślnie i na przekór panującemu tutaj systemowi zatajania, bo gardził egoistyczną, strusią polityką innych, i pragnął czynnie przeciwko niej zaprotestować. Przy stole chciał ogólną rozmowę sprowadzić na ten zgon, ale spotkał się z jednomyślnym i zapamiętałym oporem, który go zawstydził i wzburzył. Pani Stóhr stała się po prostu grubiańska. Jak śmie poruszać taki temat, spytała, i w ogóle gdzie on się wychował? Tutejsze przepisy chronią starannie pacjentów od stykania się z podobnymi wypadkami, a tu nagle jakiś żółtodziób na cały głos o tym rozprawia, i to przy pieczeniu, a w dodatku w obecności dra Blumenkohla, który też każdego dnia może spodziewać się śmierci. (To ostatnie — zasłaniając usta ręką). Jeżeli coś podobnego jeszcze raz się powtórzy, będzie musiała poskarżyć się. Wtedy właśnie złąjany Hans Castorp powziął decyzję i oznajmił, że co się jego dotyczy, to właśnie chce zmarłemu sąsiadowi oddać ostatnią posługę przez odwiedzenie zwłok i chwilę skupienia u łoża śmierci. Udało mu się nawet skłonić Joachima, aby uczynił to samo.

Za pośrednictwem siostry Alfredy uzyskali wstęp do pokoju, w którym nastąpiła śmierć, położonego na pierwszym piętrze, pod ich pokojami. Przyjęła ich wdowa, niska, rozczochrana blondynka, na której znać było nieprzespane noce; przyciskała do ust chusteczkę, nos miała zaczerwieniony, a ponieważ w pokoju było zimno, podniosła kołnierz angielskiego palta, które miała na sobie. Radiator był zakręcony, a drzwi od balkonu otwarte. Młodzieńcy powiedzieli przytłumionym głosem co należało i, zaproszeni bolesnym skinieniem ręki, skierowali się ku łóżku. Szli pełnym trwożnej czci, podanym naprzód i kołyszącym się krokiem, nie stąpając na obcasach, a potem stanęli przy łóżku, patrząc na zmarłego, każdy po swojemu: Joachim sztywno, z wojskowym półukłonem, a Hans Castorp swobodnie, ze skrzyżowanymi w zamyśleniu rękami na piersiach i w bok przechyloną głową, z miną podobną do tej, z jaką zwykle słuchał muzyki. Głowa sportmena leżała wysoko na podusz-

kach, a przez to całe ciało, poza lekkim wzniesieniem stóp w końcu łóżka pod kołdrą, ciało, ta wydłużona konstrukcja i wielokrotne źródło życia, sprawiało wrażenie tym bardziej płaskiego, płaskiego niemal jak deska. Wiązanka kwiatów leżała w okolicy kolan, a wystająca z niej gałązka palmowa dotykała wielkich, żółtych, kościstych dłoni, splecionych na zapadniętej piersi. Żółta i koścista była również twarz wraz z łysą czaszką, garbatym nosem, ostrymi kośćmi policzkowymi i krzaczastymi rudoblonď węsami, których grubość zdawała się jeszcze pogłębiać szare i zarośnięte jamy policzków. Oczy były w sposób nienaturalnie szczelny zakryte powiekami — nie zamknęły się, lecz powieki ich ktoś zacisnął, pomyślał Hans Castorp: nazywa się to ostatnią posługą, chociaż czyni się to bardziej ze względu na pozostałych niż na umarłych. Powinno się to też robić zaraz, natychmiast po śmierci, bo kiedy proces powstawania miozyny postąpi już w mięśniach, będzie za późno, i nieboszczyk będzie leżał z szeroko otwartymi oczami; o złudzeniu snu nie będzie już wtedy mogło być mowy.

Hans Castorp, pod wieloma względami w swoim żywiole, stał w skupieniu u wezłowania zmarłego, wykazując jednak znajomość rzeczy i otrzaskanie. „Wygląda, jakby spał” — rzekł z litości, chociaż dostrzegało się poważne różnice. Potem taktownie przyciszonym głosem rozpoczął rozmowę z wdową po sportsmenie, dowiadywał się o przebieg choroby jej męża, o jego ostatnie dni i chwile oraz o mające nastąpić przewiezienie zwłok do Karyntii, okazując w ten sposób zarówno współczucie, jak znanstwo w dziedzinie lekarskiej i obyczajowo-rytualnej. Wdowa, łkając od czasu do czasu, odpowiadała mu swym z austriacka przeciągającym zgłoski i nosowym akcentem i wyrażała zdziwienie, że młodzi ludzie skłonni są do takiego zainteresowania cudzym nieszczęściem. Hans Castorp tłumaczył, że przecież oni obaj także są chorzy i że on sam poza tym już we wczesnych latach dzieciństwa nieraz stał u łoża śmierci swoich najbliższych; powiedział, że jest sierotą bez ojca i matki i że od dawna jest już, jeśli można tak się wyrazić, za pan brat ze śmiercią. Wdowa spytała, jaki zawód obrał sobie Hans Castorp.

Odparł, że „był” technikiem. — Był? — Był — w tym znaczeniu, że przecież teraz choroba i Bóg wie jak długi pobyt tutaj przeszkodziły mu w studiach; oznacza to poważną przerwę, a może nawet — któż to wie — punkt zwrotny w jego życiu. (Joachim spojrział na niego badwaczo i z przerażeniem.) — A pański kuzyn? — Ten chce na dole zostać żołnierzem, jest kandydatem na oficera. — O — rzekła wdowa — rzemiosło wojenne jest również zawodem wymagającym powagi; żołnierz musi być przygotowany na możliwość bliskiego kontaktu ze śmiercią i powinien zawnocześnie przyzwyczajać się do jej widoku. — Żegnając młodzieńców wyrażała swą wdzięczność, pełna uprzejmego opanowania, które wobec jej ciężkiego położenia a zwłaszcza pozostawionego przez małżonka wysokiego rachunku za tlen, nie mogło nie wzbudzić szacunku. Obaj kuzyni powrócili na drugie piętro. Hans Castorp był bardzo zadowolony z wizyty, przeżyte wrażenia wzbudziły w nim zainteresowanie problemami duchowymi.

— *Requiescat in pace* — powiedział. — *Sit tibi terra levis. Requiem aeternam dona ei, Domine* *. Widzisz, kiedy chodzi o śmierć i kiedy mówi się do umarłych lub o nich, wtedy znowu łacina wstępuje w swoje prawa; to jest w takich wypadkach oficjalny język i zaraz widać, że śmierć jest czymś szczególnym i wyjątkowym. Ale nie z humanistycznej kurtuazji mówi się na cześć śmierci po łacinie, to nie jest szkolna łacina, rozumiesz, ale język o zupełnie innym, można nawet powiedzieć, przeciwnym charakterze. Jest to łacina rytualna, dialekt mnichów, średniowiecze, coś jakby głuchy, monotony, podziemny śpiew — Settembrini nie byłby nim zachwycony; to nie jest dla humanistów, republikanów i takich jak on pedagogów, to dobre dla innego kierunku duchowego, dla tego drugiego, który także istnieje. Sądzę, że trzeba zdać sobie sprawę z różnych kierunków albo, jak słuszniej należałoby powiedzieć, nastrojów umysłu — istnieje kierunek pietyzmu fkierunek niezależny. Oba mają swoje dobre strony, ale niezależnemu, który reprezentuje Settembrini, muszą zarzucić to, że jego przedstawiciele myślą, iż wzięli całkowicie godność ludzką w arendę, a to jest przesada. W tym

drugim kierunku jest również, choć w pewien specjalny sposób, wiele miejsca dla ludzkiej godności; a także dla wysokiej przyzwoitości, właściwej postawy i istotnie dobrych form; czyni on nawet pod tym względem więcej niż kierunek niezależny, chociaż ma głównie na oku słabość i ułomność człowieka, a myśl o śmierci i zagładzie odgrywa w nim nader ważną rolę. Czyś był kiedy w teatrze na „Don Karlosie” i czy widziałeś, jak wygląda dwór hiszpański, kiedy wchodzi król Filip, cały czarno ubrany, z orderem Podwiązki i ze Złotym Runem, zdejmując kapelusz, wyglądający już prawie tak samo jak nasze meloniki — właściwie podnosi go w górę i mówi: „Przykryjcie głowy, grandowie”, czy coś w tym rodzaju? Jest w tym duża ceremonialność, nie ma mowy o jakimkolwiek zaniedbaniu lub rozluźnieniu obyczajów, przeciwnie, bo nawet królowa odzywa się: „W mojej Francji jednak było inaczej”; ma się rozumieć, dla niej jest to zanadto wyrachowane i kłopotliwe, wolałaby więcej serdeczności, więcej ludzkiej prostoty. Ale co właściwie znaczy: „ludzkie”? Ludzkie jest wszystko: hiszpańska bogobojność i uroczysta pokora, i surowe przestrzeganie dystansu są według mnie bardzo dostojną formą ludzkości, a z drugiej strony można słowem „ludzkie” określić każde opuszczenie się i zaniedbanie — chyba przyznajesz mi rację?

— Co do tego zgadzam się z tobą — odrzekł Joachim. — Zaniedbywania i opuszczania się i ja naturalnie również nie znoszę. Musi być dyscyplina.

— Tak, ty to mówisz jako wojskowy, i przyznaję, że w wojsku znają się na takich rzeczach. Ta wdowa miała rację mówiąc o waszym zawodzie, że ma w sobie dużo powagi, bo zawsze musicie być przygotowani na to, iż w razie czego zetkniecie się ze śmiercią. Macie obcisłe i schludne mundury ze sztywnymi kołnierzami, i to wam nadaje przyzwoity wygląd. A poza tym uznajecie hierarchię i subordynację i w ceremonialny sposób oddajecie sobie honory; to jest w duchu hiszpańskim, jest z ducha pietyzmu, i w gruncie rzeczy podoba mi się to. Wśród nas, cywilów, powinno być więcej z tego ducha; powinien być się on objawiać w naszych obyczajach i w naszym sposobie za-

chowywania się; to bym wołał, uważałbym to za słuszne. Według mnie życie i świat są tego rodzaju, że wszyscy powinni by ubierać się czarno, mieć krochmalone kryzy zamiast waszych kołnierzy i, pamiętając o śmierci, nadawać wzajemnym swym stosunkom charakter poważny, dyskretny i formalny — to by mi odpowiadało, to uważałbym za słuszne. Widzisz, to także jest błędem ze strony Settembriniego i jeszcze jednym zarozumiałstwem — bardzo dobrze, że w toku rozmowy poruszyłem ten temat. On sądzi, że nie tylko godność ludzką ma w arendzie, ale i moralność — dzięki swojej „praktycznej pracy życiowej” i swemu niedzielnemu święceniu postępu (jak gdyby właśnie w niedzielę nie miało się o czym myśleć, tylko o postępie), a również dzięki owemu systematycznemu tępieniu cierpienia, o czym ty zresztą nic nie wiesz, ale mnie o tym opowiadał, by mnie pouczyć: pragnie systematycznie tępić cierpienie za pomocą pewnej encyklopedii. A jeśli to właśnie wydaje mi się niemoralnym — to co? Jemu, naturalnie, nie mówię tego, bo mnie przecież na śmierć zagada swoim plastycznym sposobem wyrażania się i powie: „Ostrzegam pana, inżynierze!” Ale wolno mieć o tym wszystkim swoje własne zdanie: Sire, daj nam wolność myślenia *. Chcę ci coś powiedzieć — zakończył. (Weszli właśnie do pokoju Joachima, i Joachim przygotowywał się do werandowania.) — Powiem ci, co sobie postanowiłem. Mieszkamy tutaj tuż obok konających i największego cierpienia i męki, nie tylko jednak udajemy, że to nic nikogo nie obchodzi, ale jeszcze w dodatku oszczędzają nas i chronią, abyśmy broń Boże z tym wszystkim się nie zetknęli i nic z tego nie zobaczyli; sportsmena wyniosą teraz także znowu po kryjomu, podczas gdy będziemy siedzieli przy podwieczorku albo przy śniadaniu. Uważam to za niemoralne. Ta pani Stóhr była przecież wściekła, kiedy tylko wspomniałem o tym zgonie; to już jest zbyt głupie, ale jeżeli nawet jest tak niewykształcona i mówi, że „Cichuteńko, ma piosenka, mknij ku niebu przez okienko” * jest z „Tannhausera”, jak się jej to niedawno wydarzyło przy stole, to jednak mogłaby mimo to być trochę moralniejszą w swoich uczuciach, a inni także. Owóż postanowiłem so-

bie, że będę w przyszłości trochę bardziej zajmował się tutejszymi ciężko chorymi i skazanymi na śmierć, to mi dobrze zrobi — już ta nasza wizyta zrobiła mi poniekąd dobrze. Ten biedny Reuter wówczas z numeru dwudziestego piątego, którego widziałem raz przez drzwi w pierwszych dniach mojego pobytu, pewno już dawno odszedł ad penates i został po kryjomu wyniesiony — już wtedy miał tak nienaturalnie wielkie oczy. Ale są za to inni, zakład jest przepelniony, wciąż przybywają nowi, a siostra Alfreda albo panna von Mylendonk, albo i sam Behrens z pewnością pomogą nam w nawiązaniu tej lub owej znajomości; to się da łatwo przeprowadzić. Przypuśćmy, że jakiś kandydat na tamten świat ma urodziny, i że my się o tym dowiadujemy — można przecież uzyskać taką informację. A więc posyłamy mu albo jej — jemu albo jej, zależnie od wypadku — doniczkę kwiatów do pokoju: uprzejmość ze strony dwóch kolegów, bez wymienienia nazwisk — i serdeczne życzenia powrotu do zdrowia — wyrażenie „powrót do zdrowia” jest zawsze aktem grzeczności i na miejscu. Naturalnie powiedzą temu pacjentowi, kto im to przysłał, i on albo ona każe nam, ze względu na swe osłabienie, grzecznie przez drzwi podziękować, a może zaprosi nas na chwileczkę do pokoju, a my zamienimy z nim jeszcze kilka serdecznych słów, zanim wyzionie ducha. Tak sobie to wyobrażam. Zgadzasz się? Ja w każdym razie postanowiłem to sobie.

Joachim miał też niewiele do zarzucenia tym zamiarom. — To jest sprzeczne z tutejszymi przepisami — rzekł — przekraczasz je poniekąd w ten sposób. Ale myślę, że wyjątkowo, kiedy sobie tego tak życzysz, Behrens da ci chyba pozwolenie. Możesz przecież powołać się przy tym na swoje medyczne zainteresowania.

— Tak, między innymi także na to — powiedział Hans Castorp, bo rzeczywiście motywy, z których zrodziło się jego pragnienie, były powikłane. Protest przeciwko panoszącemu się tutaj egoizmowi był tylko jednym z nich, a w parze z nim szła głęboka potrzeba poważnego traktowania i uszanowania choroby i śmierci; Hans Castorp miał nadzieję, że przez zbliżenie

się do ciężko chorych i umierających potrzeba ta dozna zaspokojenia i pogłębienia, co będzie przeciwwagą licznych urazów, na które co krok, każdego dnia i każdej chwili była wystawiona i które ku niemałemu jego zmartwieniu stanowiły potwierdzenie niektórych poglądów Settembriniego. Przykładów było aż nadto wiele; gdyby zapytano o to Hansa Castorpa, wspomniałby zapewne przede wszystkim o tych osobach, które, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie były chore, ale przebywały w „Berghofie” zupełnie dobrowolnie, oficjalnie pod pretekstem lekkiego schorzenia, ale faktycznie dla przyjemności tylko i dlatego, że odpowiadał im sanatoryjny tryb życia; do tych osób należała wspomniana już przelotnie pani Hessenfeld, wdowa, kobieta o wielkim temperamentem, która namiętnie lubiła zakłady: zakładała się z panami, zakładała się przy każdej sposobności i o wszystko; zakładała się, jaka będzie pogoda, jakie potrawy podadzą, jak wypadnie generalne badanie lekarskie i ile komu przydadzą miesięcy, kto zwycięży w zawodach sportowych na bobslejach, saneczkach, nartach albo na ślizgawce, jaki przebieg będą miały nawiązujące się flirty wśród gości — i przy stu innych, często niezmiernie błahych okazjach; zakładała się o czekoladki, szampana i kawior, którymi później raczono się w restauracji, o pieniądze, bilety do kina, nawet o to, że ktoś kogoś pocałuje lub będzie przez kogoś pocałowany; ta jej namiętność wniosła wiele napięcia i życia do sali jadalnej, tylko że Hans Castorp nie mógł brać tych spraw zbyt serio, a sama jej obecność uwłaczała, jak sądził, powadze tego przybytku cierpienia.

Bo wewnętrzne jego dążenia szły właśnie w kierunku zachowania i obrony tej powagi, jakkolwiek po półrocznym już prawie pobycie pośród tych tu w górze niełatwo mu to przychodziło. Jego spostrzeżenia dotyczące ich sposobu życia, obyczajów i poglądów nie bardzo sprzyjały owym dążeniom. Bo byli tam owi dwaj szczupli modnisie, jeden siedemnastoletni, a drugi o rok starszy, zwani „Maks i Moryc”, których wymykanie się wieczorami na pokera albo na libacje w damskim towarzystwie dawało wiele tematu do plotek. Niedawno, mniej więcej

w tydzień po Nowym Roku (bo stwierdzić należy, że podczas naszego opowiadania czas niepowstrzymanie płynie dalej swym cichym biegiem), rozeszła się podczas śniadania wiadomość, że kąpielowy znalazł ich rano leżących w łózkach, w pogniecionych wieczorowych ubraniach. Nawet Hans Castorp śmiał się; ale jeżeli fakt ten kazał mu się wstydzić jego dobrej woli, to jednak był niczym wobec sprawy adwokata Einhufa z Juterbogu, człowieka już czterdziestoletniego, ze spiczastą bródką i obrośniętymi czarnym włosom rękami, który od pewnego czasu zajmował miejsce ulezonego Szweda przy stole Settembriniego. Pan ten nie tylko co noc wracał pijany do domu, ale niedawno w ogóle nie wrócił, natomiast znaleziono go na łące. Miał reputację niebezpiecznego uwodziciela, a pani Stóhr mogłaby nawet palcem wskazać pewną młodą damę — na nizinie zresztą zaręczoną — którą widziano, jak o pewnej godzinie wychodziła z pokoju Einhufa, okryta tylko futrem, pod którym miała mieć tylko reformy. Było to skandaliczne — nie tylko z punktu widzenia moralności w ogóle, ale skandaliczne dla Hansa Castorpa i osobiście go obrażające, wobec jego obecnych duchowych dążeń. Ponadto nie mógł myśleć o osobie adwokata nie wspominając przy tym Franeczki Oberdank, tej gładko uczesanej panny, którą kilka tygodni temu przywiozła na górę jej matka, poważna prowincjonalna matrona. Po swoim przyjeździe i po pierwszym zbadaniu dziewczyna uchodziła za lekko chorą. Ale czy zachowywała się nie tak jak należało, czy właśnie w jej przypadku tutejsze powietrze na początku sprzyjało raczej rozwojowi choroby zamiast jej przeciwdziałać, czy może mała została wplątana w jakieś intrygi i narażono ją na zdenerwowanie, które jej zaszkodziło — dość że w cztery tygodnie po przyjeździe, wracając z ponownej wizyty lekarskiej, weszła rozpromieniona do jadalni i podrzucając w górę swą torebkę wykrzyknęła uradowanym głosem: „Hura, muszę tu zostać rok!!” — co wywołało w całej sali wybuch homerycznego śmiechu. Ale w dwa tygodnie później rozeszła się pogłoska, że adwokat Einhuf zachował się wobec Franeczki Oberdank jak łajdak. Musimy zaznaczyć, że za wyrażenie to my ponosimy odpowiedzial-

ność lub co najwyżej Hans Castorp, bo tym, którzy rozposzechniali tą wiadomość, incydent ów nie wydawał się bynajmniej czymś tak niezwykłym, żeby mógł wywołać tak mocne słowa. Wzruszając ramionami dawali też do zrozumienia, że przecież do tych rzeczy trzeba zawsze dwóch osób i że prawdopodobnie nic się nie stało wbrew woli i życzeniu jednej ze stron. Przynajmniej takie stanowisko i taką postawę moralną zajęła pani Stóhr wobec całej tej sprawy.

Karolina Stóhr była okropna. Jeżeli coś przeszkadzało Hansowi Castorpowi w jego uczciwych zamierzeniach, to właśnie osoba pani Stóhr i jej charakter. Wystarczyłyby już same dowody ignorancji, jakie nieustannie składała. Mówiła „agonija”, nasłonecznienie nazywała „insolwencją” i wygadywała wierutne bzdury o zjawiskach astronomicznych wywołujących zaciemnienie słońca. Utrzymywała, że olbrzymie masy śniegu, utrudniające tu zimą egzystencję, to prawdziwa „katalepsja”; a pewnego dnia wprawiła pana Settembriniego w długotrwałe osłupienie, mówiąc, że właśnie pożyczyła sobie z biblioteki zakładowej i czyta obecnie książkę, która by go pewno interesowała, mianowicie: „Benedetto Cenelli w tłumaczeniu Schillera”! * Lubiła wyrażenia wytarte, niesmaczne i w złym guście modne, które działały na nerwy, jak na przykład: „To inna para kaloszy”, „Jeszcze raz, póki czas”. A ponieważ słowo „bycze”, które w ustach modnych dowcipnisiów przez długi czas zastępowało określenia „świetne” lub „doskonałe”, straciło już moc, sprostyowało się i przestarzało — rzuciła się na coś najnowszego, mianowicie na słówko „morowe” i wszystko, serio lub ironicznie, nazywała „morowym”: tor saneczkowy, leguminę i temperaturę własnego ciała, co było już zupełnie obrzydliwe. Należy dodać do tego i jej plotkarstwo, które nie miało żadnych granic. Nie było jeszcze najgorsze, kiedy wtajemniczała wszystkich, że pani Salomon włożyła dzisiaj najwytworniejszą koronkową bieliznę, bo jest zamówiona do badania i chce kokietować obu lekarzy eleganckim dessous; była w tym pewna doza słuszności: Hans Castorp już sam zauważył, że procedura badania, niezależnie od wyników, sprawia paniom wielką przyjemność i że

wybierając się do gabinetu stroją się zalotnie. Ale cóż powiedzieć o jej zapewnieniach, że pani Redisch z Poznania, u której podejrzewano gruźlicę kręgosłupa, musi co tydzień przez dziesięć minut maszerować nagusieńka po pokoju, tam i z powrotem, przed radcą Behrensem? Twierdzenie to było niemal równie nieprawdopodobne jak gorszące, ale pani Stóhr upierała się przy nim i zaklinała się na wszystkie świętości, że tak jest w istocie — chociaż trudno było pojąć, jakim sposobem, jeśli chodziło o podobne rzeczy, ta nieszczęsnica znajdowała tyle energii, zażartości i uporu, podczas gdy załatwianie własnych, najważniejszych spraw wydawało jej się trudnością nie do przewyciężenia. Bo od czasu do czasu nawiedzały ją ataki tchórzliwego i płacznego niepokoju z powodu jej rzekomo wzrastającego „okłapnięcia” albo wznoszenia się wykresu temperatury. Zjawiała się wtedy z płaczem w jadalni, ze strumieniami łez płynącymi po chropowatych i czerwonych policzkach, i skarżyła się w chusteczkę do nosa, że Behrens chce ją wpakować do łóżka, ale ona pragnęłaby wiedzieć, co on powiedział poza jej plecami, co jej właściwie jest, jaki jest jej stan zdrowia i że w ogóle chce prawdzie spojrzeć w oczy! Ku swemu przerażeniu spostrzegła pewnego dnia, że leżąc w łóżku ma nogi skierowane w kierunku bramy zakładu, i to odkrycie przypawiło ją prawie o konwulsje. Nie od razu zrozumiano jej wściekłość i przestach, szczególnie Hans Castorp nieprędko domyślił się, o co tu chodzi. No, więc? Jak to? Dlaczego łóżko nie ma stać tak jak stoi? — Ależ na miłość Boską, czy on naprawdę nie może pojąć! „Nogami naprzód...!” Narobiła rozpaczliwego hałasu i natychmiast musiano łóżko przestawić, chociaż odtąd, leżąc, miała światło w oczy, co przeszkadzało jej w spaniu.

To wszystko razem było niepoważne i nie odpowiadało duchowym potrzebom Hansa Castorpa. Straszny wypadek, który wydarzył się w tych czasach przy stole, wywarł na młodzieńcu specjalnie silne wrażenie. Okazało się mianowicie, podczas gdy goście w najlepsze zajadali, że pan Popów, nauczyciel, pacjent jeszcze dość nowy, chudy i cichy człowiek, któremu wyznaczo-

no miejsce, podobnie jak jego również chudej i cichej narzeczonej, przy lepszym stole rosyjskim, jest epileptykiem. Dostał nagle silnego ataku, i z owym krzykiem, którego demoniczny i nieludzki charakter już nieraz był opisywany, runął z krzesła na ziemię, wymachując dokoła siebie straszliwie pokurczonymi rękami i nogami. Sytuację skomplikował jeszcze fakt, że podawano właśnie rybę, obawiano się więc, że Popów może udławić się ością. Zamieszanie było nie do opisania. Większość pań: panie Salomon, Redisch, Hessenfeld, Magnus, Iltis czy jak się tam nazywały, z panią Stóhr na czele, doznawały najrozmaitszych przypadłości, tak że niektóre z nich zachowywały się prawie tak samo jak pan Popów. Krzyki ich głośno rozbrzmiewały w sali. Widziało się tylko zaciśnięte powieki, szeroko otwarte usta i powykręcane ciała. Jedna tylko z nich dała pierwszeństwo cichutkiemu omdleniu. Zaczęto się dławić, bo wszystkich zaskoczył ten wypadek podczas żucia i połykania. Część towarzystwa zaczęła uciekać, któredy tylko się dało, nawet przez drzwi prowadzące na werandę, chociaż na dworze było zimno i mokro.

Zajście to, poza całą swą okropnością, miało jeszcze w sobie coś szczególnie odpychającego, a to wskutek pewnych nasuwających się skojarzeń z ostatnim odczytem dra Krokowskiego. Ów analityk, wykładając o miłości jako potędze chorobotwórczej, mówił właśnie ostatnim razem o padaczce, i cierpienie to, które w czasach przedanalitycznych ludzkość uważała na przemian bądź za święte, a nawet prorocze nawiedzenie, bądź za diabelskie opętanie, w na pół poetyckich, na pół niemiłosiernie naukowych słowach przedstawił jako równoważnik miłości i spazm miłosny mózgu; jednym słowem, opisał epilepsję w tak podejrzany sposób, że scena, zaimprovizowana przez pana Popowa, ta żywa ilustracja wykładu, musiała na słuchaczach doktora zrobić wrażenie wyuzdanego objawienia i tajemniczego skandalu; ucieczka pań była więc poniekąd jednocześnie zamaskowanym wyrazem pewnej wstydlivosti. Sam radca był wtedy obecny na sali i przy pomocy panny Mylendonk oraz kilku młodych i silnych kuracjuszy wyniósł z sali sinego, ze-

sztywniałego, pokręconego i nieprzytomnego epileptyka, któremu z ust lała się piana. Długo jeszcze widziano, jak w hallu krzątała się starsza siostra i część personelu około nieprzytomnego, którego następnie wyniesiono na noszach. Ale wkrótce potem ujrzano, jak cichutki pan Popów, w dobrym humorze, w towarzystwie również cichej i zadowolonej narzeczonej kończył swój obiad przy lepszym stole rosyjskim jak gdyby nigdy nic!

Hans Castorp był przy tym wypadku obecny i przez cały czas objawiał pełne szacunku przerażenie, ale w gruncie rzeczy nawet to wydawało mu się niepoważne — Bóg z nim! Oczywiście, Popów mógł udławić się ością, ale przecież w rzeczywistości nie udławił się, musiał więc w czasie ataku bezprzytomnego szau i spazmu rozkoszy jednak po kryjomu troszeczkę uważać. A teraz siedział sobie wesoły, kończył posiłek i robił taką minę, jak gdyby nigdy nie był się zachował jak nieokielznany żołdak albo rozwścieczony pijak, i z pewnością tego nawet nie pamiętał. Także jego wygląd zewnętrzny nie był wcale tego rodzaju, żeby wzmacniał pietyzm Hansa Castorpa dla cierpienia, lecz raczej pogłębiał wrażenie rozwiązłości i braku powagi, które Hans Castorp ku wielkiemu swemu niezadowoleniu odbierał tutaj na każdym kroku i przed którym chciał się bronić, interesując się, wbrew panującym tu zwyczajom, ciężko chorymi i skazanymi na śmierć.

Na piętrze obu kuzynów, niedaleko od ich pokojów, leżała bardzo młoda dziewczyna, Leila Gerngross, która według relacji siostry Alfredy była bliska śmierci. W ciągu dziesięciu dni miała cztery gwałtowane krwotoki i jej rodzice przyjechali do sanatorium, żeby ją ile możności żywą jeszcze zabrać do domu. Ale to okazało się niemożliwym. Radca Behrens oświadczył, że biedna mała Leila nie zniesie drogi. Miała szesnaście lub siedemnaście lat. Hans Castorp sądził, że znalazł teraz dogodną okazję urzeczywistnienia swoich projektów i może przesłać chorej doniczkę kwiatów z życzeniami rychłego powrotu do zdrowia. Wprawdzie Leila Gerngross nie obchodziła w tym czasie urodzin i, o ile można było przewidzieć, nigdy już ich

nie miała obchodzić, ponieważ, jak się Hans Castorp dowiedział, przypadały dopiero na wiosnę; ale fakt ten, jego zdaniem, nie powinien być stanąć na przeszkodzie takiemu miłosiernemu aktowi hołdu. Podczas jednej z południowych przechadzek w okolicę Kurhauzu wstąpił z kuzynem do kwiaciarni, gdzie chciwie wciągał w płuca zapach wilgotnej ziemi, zmieszany z wonią kwiatów. Kupił doniczkę z ładną hortensją i kazał ją posłać anonimowo młodziutkiej konającej, z biletem, na którym widniały tylko słowa: „Od dwóch sąsiadów, z najserdeczniejszymi życzeniami szybkiego wyzdrowienia”. Czynił to wszystko z radością, przyjemnie oszołomiony zapachem kwiatów i łagodnym ciepłem sklepu, które po wejściu z mrozu panującego na dworze wyciskało mu łzy z oczu. Czuł przyśpieszone bicie serca i zdawało mu się, że jego skromne przedsięwzięcie, któremu w skrytości przypisywał symboliczne znaczenie, jest niezwykle śmiałe, awanturnicze i zarazem bardzo celowe.

Leila Gerngross nie miała prywatnej pielęgniarki, lecz pozostawała pod bezpośrednią opieką panny von Mylendonk i lekarzy; ale siostra Alfreda często ją odwiedzała i ona to poinformowała młodzieńców o wrażeniu, jakie wywołała ich uprzejmość. Młoda dziewczyna, której stan był beznadziejny, po dziecięcemu ucieszyła się tą uprzejmością obcych jej ludzi. Kwiat stał przy jej łóżku, pieściła go spojrzeniem i rękami, pilnowała, żeby go podlewać, i nawet podczas najgorszych ataków kaszlu nie spuszczała zeń umęczonego wzroku. Rodzice jej, pan Gerngross, major w stanie spoczynku, i jego żona, byli również wzruszeni i uradowani, a ponieważ nikogo tutaj nie znali i nie mogli domyślić się, kim byli ofiarodawcy, więc panna Schildknecht, jak sama wyznała, nie mogła powstrzymać się od zdradzenia tajemnicy i wymieniła nazwiska obu kuzynów. Powiedziała im, że cała rodzina pragnie ich poznać i osobiście im podziękować; tak więc na trzeci dzień Hans Castorp i Joachim, wprowadzeni przez pielęgniarkę, weszli na palcach do pokoju chorej Leili.

Konająca była prześlicznym jasnowłosym stworzeniem, z oczami koloru niezapominajek; mimo znacznego upływu krwi i mimo

to, że oddychała już tylko za pomocą znikomych resztek czynnej jeszcze tkanki płucnej, wyglądała właściwie nieźle, choć bardzo delikatnie. Podziękowała i rozmawiała trochę bezdźwięcznym, ale miłym głosem. Lekki rumieniec wystąpił na jej twarzy i już z niej nie schodził. Hans Castorp objaśniając jej i rodzicom motywy swego uczynku tak, jak tego oczekiwano, i poniekąd się usprawiedliwiając, był wzruszony, mówił cicho i okazywał pełen delikatności szacunek. Niewiele brakowało — w każdym razie nie brakło mu wewnętrznego impulsu do tego — a byłby ukląkł przed łóżkiem na jedno kolano; długo trzymał w swej dłoni rączkę Leili, chociaż ta rozpalona rączka była nie tylko wilgotna, ale zupełnie mokra, bo dziewczyna pociła się nadmiernie. Organizm jej wydzielał wciąż tyle wody, że już dawno musiałby być wyschnąć i ściągnąć się, gdyby chciwe pochłanianie wielkiej ilości lemoniady, która stała w karafce na nocnym stoliku, nie równoważyło poniekąd tej straty. Rodzice, chociaż głęboko strapieni, uprzejmie podtrzymywali tę krótką rozmowę za pomocą różnych konwencjonalnych sposobów i rozpytywali obu kuzynów o ich prywatne stosunki. Major był barczystym mężczyzną, olbrzymem, o niskim czole i sterczących wąsach; jego organiczny brak winy w odniesieniu do chorobliwej konstytucji córeczki — uderzał na pierwszy rzut oka. Winę ponosiła tutaj najwidoczniej jego żona, drobna osóbką o typie wybitnie tuberkulicznym, której sumienie zdawało się też być obciążone z powodu tego posagu. Mianowicie kiedy po dziesięciu minutach Leila zaczęła okazywać zmęczenie albo raczej nadmierne podniecenie (rumieńce na twarzy stały się żywsze, a oczy barwy niezapominajek błyszcząły niepokojąco), i obaj kuzyni, przynaglani spojrzeniami siostry Alfredy, zaczęli się żegnać, pani Gerngross odprowadziła ich na korytarz i poczęła się gwałtownie oskarżać, co dziwnie głęboko poruszyło Hansa Castorpa. To przez nią, to wszystko przez nią — zapewniała skruszona — biedne dziecko mogło to odziedziczyć tylko po niej, jej mąż nie ponosi tu żadnej winy, w najmniejszej mierze nie przyczynił się do tego. Ale i ona, może twierdzić to z całą pewnością, tylko przelotnie cierpiała na tę chorobę,

w słabym tylko stopniu, i to bardzo krótko, jako młoda dziewczyna. Potem przeszło to zupełnie, bez śladu, jak ją zapewniano, kiedy chciała wyjść za mąż; a tak bardzo tego pragnęła — wyjść za mąż i żyć! Zupełnie wyleczona i zdrowa wstąpiła w związek małżeński ze swym mężem, zdrowym i silnym mężczyzną, który nigdy nic wspólnego nie miał z tego rodzaju chorobą. Ale pomimo całą swoją moc i czystość nie zdołał przeszkodzić nieszczęściu. Bo u dziecka te straszne, pogrzebane i zapomniane rzeczy wyszły znowu na jaw, zabijają je i biedactwo nie może się z nimi uporać, ona natomiast, matka, przeżyła to bez szwanku i dożyła wieku, w którym już choroba ta nie jest niebezpieczna; nieszczęśliwe, kochane maleństwo umiera, lekarze nie robią już żadnej nadziei, a ona sama, mając taką przeszłość, jest wszystkiemu winna.

Obaj młodzieńcy starali się ją pocieszyć i przebąkiwali coś o szczęśliwym zwrocie w chorobie. Ale pani majorowa tylko zaskąkała i jeszcze raz im podziękowała za wszystko, za hortensję i za to, że ich wizyta ucieszyła i trochę rozerwała dziecko. Ta nieszczęsna istota leży tam sama wśród cierpień, podczas gdy inne młode dziewczęta cieszą się życiem i tańczą z ładnymi młodymi panami; a choroba przecież nie zabija ochoty do tego. Wnieśli w jej życie trochę słońca, mój Boże, może to już ostatnie jego promienie. Ta hortensja zastąpiła jej powodzenie na balu, a rozmowa z dwoma przystojnymi kawalerami — mały niewinny flircik. Nie uszło to uwagi matki.

Te ostatnie słowa przykro dotknęły Hansa Castorpa, tym bardziej że słowo „flirt” wymówiła pani majorowa błędnie, to znaczy nie z angielska, ale z wyraźnym „i”, co go niezmiernie zirytowało. Nie był też wcale przystojnym kawalerem, ale odwiedził małą Leilę w zamiarach lekarsko-duchownych i aby zaprotestować przeciwko panoszącemu się tu w górze egoizmowi. Słowem, zakończenie całej sprawy zepsuło mu humor, przynajmniej co się tyczy wynurzeń pani majorowej. Poza tym jednak był bardzo ożywiony i pod wrażeniem realizacji swego przedsięwzięcia. Dwa momenty zwłaszcza utkwily mu w duszy i w zmysłach: ciepły zapach ziemi w kwiaciarni i wilgotne do-

tknięcie rączki Leili. A ponieważ początek był już zrobiony, więc tego samego dnia umówił się z siostrą Alfredą, że odwiedzi pozostającego pod jej opieką Fritza Rotbeina; chory ten nudził się straszliwie, podobnie jak jego prywatna pielęgniarka, chociaż jeśli wszelkie oznaki nie myliły, niewiele już chwil pozostawało mu do życia.

Nic nie pomogło poczciwemu Joachimowi: i w tym musiał brać udział. Rozpęd Hansa Castorpa i jego samarytańska przedsiębiorczość były silniejsze niż niechęć kuzyna; toteż Joachim mógł tylko milczeć i spuszczać oczy, bo nie potrafiłby uzasadnić tej niechęci nie okazując braku uczuć chrześcijańskich. Hans Castorp wyraźnie to widział i wyzyskiwał dla swych celów. Rozumiał też doskonale żołnierskie podłoże tej niechęci. Ale cóż, kiedy sam czuł się ożywiony i uszczęśliwiony tego rodzaju przedsięwzięciami i wydawały mu się one pożyteczne. Nie mógł więc zwracać uwagi na cichy opór Joachima. Zastanawiał się wraz z nim nad pytaniem, czy i młodemu Fritzowi Rotbeinowi można przysłać lub przynieść kwiaty, pomimo że ten kandydat na tamten świat jest płci męskiej. Miał wielką ochotę to zrobić, uważał, że kwiaty są w tej sytuacji na miejscu; poprzedni pomysł z hortensją, liliową i nadzwyczaj kształtną, bardzo mu się spodobał; zdecydował wreszcie, że płęć Fritza Rotbeina została zniwelowana przez to, iż jest on już u kresu życia, i że wcale nie jest konieczne, by otrzymywał kwiaty tylko w dniu swych urodzin, bo konający i tak powinni być stale traktowani jak solenizanci. Tak sobie obmyśliwszy, po raz drugi wstąpił z kuzynem w ciepłą atmosferę kwiaciarni, w której unosił się zapach ziemi, i wszedł do pokoju pana Rotbeina ze świeżo zroszoną i pachnącą wiązaną róż, goździków i lewkonii, wprowadzony przez Alfredę Schildknecht, która zameldowała gości.

Ciężko chory młodzieniec, zaledwie dwudziestoletni, ale już trochę łysy i siwawy, woskowo blady i zupełnie wyniszczony, z wielkimi rękami, wielkim nosem i wielkimi uszami, był do łez wzruszony słowami pociechy i rozrywką, którą zawdzięczał obu kuzynom. Witając się i biorąc do ręki wiązaną kwiatów,

zapłakał z wycieńczenia, ale zaraz nawiązał do bukietu i zaczął mówić szeptem prawie o europejskim handlu kwiatami i jego wciąż jeszcze wzrastającym tempie rozwoju, o wielkim eksporcie produktów ogrodowych z Nizy i z Cannes, o wagonowych ładunkach i przesyłkach pocztowych, rozchodzących się z tych miejscowości codziennie we wszystkie strony świata, na rynki zbytu en gros w Paryżu i Berlinie, i o zaopatrywaniu Rosji. Był bowiem kupcem, i w tym kierunku zdążyły jego zainteresowania, póki był jeszcze zdolny do życia. Ojciec jego, fabrykant lalek w Koburgu, wysłał go na studia do Anglii i tam młodzieniec, jak opowiadał szeptem, zachorował. Jego gorączkę jednak uważano początkowo za tyfoidalną i stosownie do tego leczono: trzymano go na diecie, składającej się wyłącznie z wodnistych zupek, wskutek czego doszedł do stanu, w jakim znajduje się obecnie. Tu w górze wolno mu było jeść, więc korzystał z tego: siedział w łóżku i w pocie czoła próbował się posilać. Było jednak za późno, bo kiszki były niestety także zaatakowane; na próżno przesyłano mu z domu ozór i wędzonego węgorka: niczego już nie znosił. Właśnie ojciec jego został telegraficznie wezwany przez Behrensa i jest już w drodze. Bo mają teraz dokonać na nim decydującego zabiegu resekcji żeber; chcą na wszelki wypadek spróbować tej metody, chociaż nadzieje są znikome. Rotbein szeptem mówił o tym bardzo rzeczowo, traktując nawet sprawę operacji wyłącznie jako interes — póki p żyć będzie, pod innym kątem widzenia nie będzie patrzył na |? rzeczy. Koszty, szeptał dalej, wliczając znieczulenie rdzeniowe, || mają wynosić tysiąc franków, bo chodzi prawie o całą klatkę "ij piersiową, o sześć do ośmiu żeber, i wyłania się pytanie, czy ta J] inwestycja może się jakoś opłacić. Behrens namawia do tego, ale |] jego interes jest przecież niewątpliwy, podczas gdy interes chore- J] go wydaje się bardzo wątpliwy, i wcale nie wiadomo, czy nie ma- % i drzej byłoby spokojnie umrzeć, nie myśląc o wycięciu żeber.

Trudno mu było radzić. Kuzyni wyrazili przekonanie, że przy tej kalkulacji należałoby uwzględnić wybitne chirurgiczne zdolności radcy Behrensa. Zgodzono się na to, żeby decyzję pozostawić staremu Rotbeinowi. Przy pożegnaniu młody Fritz znowu

trochę popłakał, a chociaż było to skutkiem jego wyczerpania, to jednak łzy, które wylał, stanowiły dziwny kontrast z suchą rzeczowością jego sposobu myślenia i wyrażania się. Prosił, żeby go jeszcze kiedyś odwiedzili, a oni skwapliwie mu to przyrzekli, ale już nie zdołali dotrzymać obietnicy. Fabrykant lalek przyjechał bowiem tego samego dnia wieczorem, i zaraz nazajutrz przystąpiono do operacji, po której młody Fritz Rotbein nie mógł już przyjmować gości. A w dwa dni później Hans Castorp i Joachim ujrzeni przechodząc przez korytarz, jak robiono generalne porządki w jego pokoju. Siostra Alfreda zapakowała swój kuferek i opuściła sanatorium „Berghof”, bo została pilnie wezwana do innego zakładu, do jakiegoś kandydata na tamten świat; wdychając, ze swym nieodłącznym sznureczkiem od binokli za uchem, udała się do niego: była to jedyna perspektywa[^] jaką życie przed nią otwierało.

„Opuszczony”, zwolniony pokój, w którym wszystkie meble spiętrzone były w stosy i w którym przy otwartych podwójnych drzwiach robiono gruntowne porządki, przedstawiał, kiedy się go mijało idąc do sali jadalnej, lub udając się na przechadzkę, widok wiele mówiący, ale zarazem tak zwykły, że mało kto już się nad nim zastanawiał, szczególnie jeżeli samemu zajęło się w swoim czasie w podobny sposób „zwolniony” i posprzątaną pokój i urządziło w nim po domowemu. Czasami było rzeczą wiadomą, kto mieszkał przedtem w takim numerze, a wtedy nastęczał się temat do rozmyślań: tak było teraz, tak było i w tydzień później, kiedy Hans Castorp przechodząc zauważył, że i pokój małej Gerngross znajduje się w podobnym stanie. W tym ostatnim przypadku umysł jego nie mógł na pierwszy rzut oka zrozumieć panującej wewnątrz krzątaniny. Stał zamysłony i zaskoczony i przyglądał jej się, gdy nagle na korytarzu ukazał się radca Behrens.

— Stoję tu i widzę, że robi się gruntowne porządki — odezwał się Hans Castorp. — Dzień dobry panu radcy. Mała Leila...

— Taak — odpowiedział Behrens i wzruszył ramionami. Po chwili, potrzebnej do podkreślenia wymowy tego gestu, ciągnął dalej:

— Pan zdążył przecież jeszcze przed trzecim dzwonkiem umizgać się do niej według wszelkich prawideł? Podoba mi się, że pan, będąc sam jeszcze względnie rzeński, opiekuje się nieco moimi ptaszkami, które siedzą w klatkach i świstają płucami. To pięknie świadczy o panu — no, no, niech pan pozwoli oddać sobie tę sprawiedliwość, że to bardzo pięknie świadczy o pańskim charakterze. Czy chce pan, żebym czasami tu i ówdzie pana wprowadził? Mam tutaj wiele takich zamkniętych czyżyków — więc jeżeli pana interesują... Teraz na przykład wpadam na chwileczkę do mojej „przepełnionej"! Chce pan iść ze mną? Przedstawię pana po prostu jako współczującego towarzysza niedoli.

Hans Castorp odparł, że pan radca wyjął mu to z ust i że zaproponował mu to właśnie, o co sam chciał prosić. Z wdzięcznością skorzysta z pozwolenia i będzie panu radcy towarzyszył. Ale kto jest ta „przepełniona" i jak należy rozumieć to przerwisko?

— Dosłownie — powiedział Behrens. —• Zupełnie dosłownie i nie metaforycznie. Niech ona sama panu to objaśni. — Po chwili byli już na progu pokoju „przepełnionej". Radca dworu natychmiast wtargnął do środka przez podwójne drzwi, a swemu towarzyszowi kazał zaczekać. Trochę zduszony i przerywany, ale serdeczny i wesoły śmiech i głos doszedł z pokoju do uszu Hansa Castorpa, gdy wszedł tam Behrens. Ale i współczującego towarzysza niedoli powitał ten sam śmiech, kiedy po kilku minutach pozwolono mu wejść i Behrens przedstawił go leżącej w łóżku blondynce, która niebieskimi oczami ciekawie przypatrywała się gościowi. Leżała, na pół siedząc, wysoko wsparta na poduszkach, niespokojnie poruszając się i wciąż śmiejąc się wysokim srebrzystym śmiechem, co chwila tracąc oddech, podniecona i podrażniona, jak się zdawało, dusznościami. Śmiała się też ze sposobu, w jaki radca przedstawił jej gościa, a potem kilka razy wołała za odchodzącym doktorem „adieu", „bardzo dziękuję" i „do widzenia", wyciągała doń rękę, wzdychała, śmiała się perlistymi pasażami, przyciskała rękami

pierś wznoszącą się pod batystową koszulą, i nie mogła nóg utrzymać w spokoju. Nazywała się pani Zimmermann.

Hans Castorp znał ją już trochę z widzenia. Przez kilka tygodni siedziała przy stole pani Salomon i ucznia-obżartucha i zawsze dużo się śmiała. Potem nagle znikła i Hans Castorp nie myślał już o niej. Sądził, że wyjechała, o ile w ogóle zastanawiał się nad jej nieobecnością. A teraz odnalazł ją tutaj, jako „przepelnioną”, i oczekiwał wyjaśnień.

— Cha, cha, cha — śmiała się cieniutko, a pierś jej falowała. — Strasznie śmieszny człowiek ten Behrens, bajecznie śmieszny i zabawny człowiek. Można się śmiać do rozpuku. Niechże pan siada, panie Kasten, panie Karsten, czy jak się pan tam nazywa, pan ma takie śmieszne nazwisko, cha, cha, hi, hi, niech się pan nie gniewa! Niech pan usiądzie na krześle, tam, w moich nogach, ale pan pozwoli, że będę nimi wierzgała, nie mogę cha...a — westchnęła pełną pierśią i śmiała się dalej — nie mogę się powstrzymać.

Była prawie ładna, miała regularne, trochę zbyt uwydatnione, choć miłe rysy twarzy i mały podwójny podbródek. Ale wargi jej były sine, a i koniuszek nosa miał tę samą barwę, prawdopodobnie z braku powietrza. Sympatycznie szczupłe ręce, które korzystnie wyglądały w koronkowych manszetach nocnej koszuli, nie mogły, podobnie jak i nogi, uleżeć spokojnie. Szyję miała dziewczęcą, a po obu jej stronach, nad cieniutkimi obojczykami, widniały „solniczki”; również i piersi, które skutkiem śmiechu i braku tchu wznosiły się szybko i z wysiłkiem pod koszulą, wydawały się delikatne i młode. Hans Castorp postanowił, że i jej przyśle albo przyniesie piękne kwiaty, pochodzące z eksportowych zakładów ogrodniczych Nizy i Cannes, zroszone wodą i pachnące. Z lekkim zakłopotaniem starał się przystosować do niespokojnej i wymuszonej wesołości pani Zimmermann.

— A więc odwiedza pan tutaj ciężko chorych? — spytała. — Jak to zabawnie i miło z pańskiej strony, cha, cha, cha, cha! Ale wie pan, ja wcale nie jestem ciężko chora, a właściwie do niedawna nie byłam, wcale nie... Dopiero niedawno ta historia...

Niech pan sam powie, czy coś komiczniejszego już się panu w życiu... — Iz trudem łapiąc oddech, pośród ciągłych chichotów i trel, opowiedziała, co jej się wydarzyło.

Przyjechała tutaj jako lekko chora — ale bądź co bądź chora, bo inaczej nie byłaby w ogóle przyjeżdżała, może nawet nie tak zupełnie lekko, ale raczej lekko niż ciężko. Sztuczna odma, ta nowa jeszcze, ale już bardzo chętnie stosowana zdobycz techniki chirurgicznej, i w jej wypadku okazała się nadzwyczaj skuteczna. Zabieg udał się znakomicie, stan zdrowia i samopoczucie chorej poprawiały się wyraźnie, a mąż jej — bo była zamężna, chociaż bezdzietna — miał już za trzy, cztery miesiące oczekiwać jej powrotu. Wówczas przyszło jej na myśl pojechać raz dla rozrywki do Zurychu — innego powodu nie było, chciała się tylko zabawić! Bawiła się też świetnie, ale w czasie pobytu w mieście spostrzegła, że musi na nowo dać się nadać, poszła więc do jednego z tamtejszych lekarzy. Bardzo miły, śmieszny, młody człowiek, cha, cha, cha — cha, cha, cha — ale co się zdarzyło? Ten pan przepelnił ją! Trudno o inne określenie, to słowo najlepiej odpowiada rzeczywistości. Chciał za dobrze, a widocznie nie znał się na tym dostatecznie, dość że powróciła do sanatorium przepelniona, to jest z przypadłościami sercowymi i brakiem tchu. A Behrens — cha, cha, hi, hi — grzmiał strasznie i natychmiast wpakował ją do łóżka. Bo teraz jest już ciężko chora, chociaż właściwie nie tak poważnie, ale sfuszowano ją z kretesem, spaskudzono — cha, cha, cha — co za mina, dlaczego pan robi taką komiczną minę? I wskazując palcem na Hansa Castorpa, tak bardzo śmiała się z jego miny, że nawet czoło jej posiniało. Najkomiczniejszy, jak zapewniała, był Behrens z całą swoją wściekłością i gburowatością, i na samą myśl o tym już z góry, gdy tylko zauważyła, że jest przepelniona, pękała ze śmiechu. „Pani znajduje się w bezwzględny niebezpieczeństwie życia” — ryknął na nią bez ogródek i owijania w bawełnę, niedźwiedź taki, cha, cha, cha, hi, hi, hi — niech pan się nie gniewa.

Nie wiadomo było, dlaczego śmiała się tak serdecznie z oświadczenia radcy Behrensa — czy skutek jego „gburowa-

tości" i dlatego że mu nie wierzyła, czy też mimo to, że mu wierzyła? bo przecież musiała mu wierzyć, a tylko sama treść sprawy, to jest niebezpieczeństwo zagrażające jej życiu, wydawała jej się tak strasznie śmieszna. Hans Castorp sądził, że to drugie przypuszczenie jest słuszne i że pani Zimmermann śmieje się tak perliście i serdecznie tylko wskutek swej dziecięcej lekkomyślności i ograniczoności swego ptasiego mózgu. Bardzo mu się to też nie podobało; mimo to posłał tej śmieszce kwiaty, ale również i jej nie zobaczył już nigdy. Przez kilka następnych dni żyła tylko tlenem, a potem rzeczywiście skończyła na rękach telegraficznie wezwanego małżonka. Skończona gęś — jak się wyraził radca Behrens, który poinformował Hansa Castorpa o tym wypadku.

Już przedtem jednak pełen przedsiębiorczości i współczucia Hans Castorp nawiązał przy pomocy radcy dworu i pielęgniarek stosunki z innymi ciężko chorymi, a Joachim musiał w tym uczestniczyć. Kuzyn zaciągnął go do syna pani Tous-les-deux, tego drugiego, który był jeszcze przy życiu, bo pó pierwszym już dawno posprzątało i wykadzono za pomocą H₂CO. Następnie do małego Teddy, który przyjechał tu niedawno z zakładu wychowawczego ipod nazwą „Fridericianum", skąd go odesłano, bo przypadek jego był zbyt ciężki. I jeszcze do pewnego niemiecko-rosyjskiego urzędnika ubezpieczeniowego, dobrodusznego cierpiętnika, który nazywał się Anton Karłowicz Ferge. I do nieszczęsnej, a przy tym tak zalotnej pani von Malinckrodt, która także, jak wszyscy wyżej wymienieni, dostała kwiaty i którą nawet w obecności Joachima Hans Castorp nieraz karmił kleikiem... Wkrótce poczęli obaj kuzyni uchodzić za samarytan i braci miłosierdzia. Settembrini zagadnął też raz Hansa Castorpa w tym duchu.

— Do licha, inżynierze! Dziwne rzeczy opowiadają o panu. Przerzucił się pan na miłosierdzie? Szuka pan usprawiedliwienia w dobrych uczynkach?

— Nie ma o czym mówić, proszę pana. Nie warto nawet o tym wspominać. Kuzyn i ja...

— Ale niechże pan nie miesza w to kuzyna! Mówią o was

obu, chodzi tu jednak tylko o pana, to jest pewne. Porucznik to natura wprawdzie godna szacunku, ale prosta i nie obciążona żadnymi myślowymi komplikacjami, które mogłyby w kłopot wprawić wychowawcę. Nie wmówi mi pan, że inicjatywa od kuzyna wychodzi. Pan jest wybitniejszy, ale i bardziej zagrożony od niego. Pan jest, że się tak wyrażę, wiecznym dla życia strapieniem, bezustannie trzeba się o pana troszczyć. Zresztą pozwolił mi pan opiekować się sobą.

— Zapewne. Raz na zawsze. To bardzo uprzejme z pańskiej strony. A „wieczne strapienie” bardzo mi się podoba! Co za różne pomysły przychodzą zaraz literatowi do głowy! Nie wiem, czy mam być dumny z tego tytułu, ale muszę przyznać, że brzmi pięknie. Tak, a więc ja troszczę się trochę o „dzieci śmierci”, pan pewnie to miał na myśli. Od czasu do czasu, gdy mam wolną chwilę, tak mimochodem — kuracji przez to przecież nie zaniedbuję — odwiedzam ciężko chorych, rozumie pan, takich, co nie siedzą tu dla przyjemności prowadząc rozwiązły tryb życia, takich, co umierają.

— Ale wszak jest napisane: „Niechaj umarli grzebią umarłe swoje” ■■ rzekł Włoch.

Hans Castorp podniósł ramiona: jego wyraz twarzy dawał do zrozumienia, że napisane jest niejedno, bądź to, bądź owo, tak że trudno jest wybrać to, co jest słuszne, i stosować się do tego. Naturalnie, można się było spodziewać po kataryniarzu, że wynajdzie jakiś niepożądany punkt widzenia. Ale chociaż Hans Castorp był zawsze gotów wysłuchać Settembriniego, w sposób nie wiążący uznawać jego nauki za godne uwagi i dla próby poddawać się jego pedagogicznemu wpływowi, to jednak był daleki od tego, żeby dla jakichś wychowawczych punktów widzenia zrezygnować z zamiarów, które mu wciąż w jakiś nieokreślony sposób wydawały się pożyteczne i bardzo doniosłe. I nie przeszkadzała mu w tym ani pani Gerngross, ze swoim „małym niewinnym flircikiem”, ani trzeźwość biednego Rotbeina, ani głupawy chichot przepelnionej pani Zimmermann.

Syn pani Tous-les-deux nazywał się Lauro. Otrzymał „od dwóch współczujących sąsiadów, z serdecznymi życzeniami wy-

zdrowienia", kwiaty, fiołki nicejskie o zapachu ziemi, a ponieważ anonimowość była już czystą formą i każdy wiedział, od kogo pochodzą te upominki, więc pani Tous-les-deux, czarna i blada matrona meksykańska, sama zagadnęła na korytarzu obu kuzynów, dziękując im w swej charczącej wymowie. Pełnym smutku gestem zaprosiła ich do pokoju, aby syn jej — *son seul et dernier fils qui allait mourir aussi* * — mógł im osobiście podziękować. Natychmiast poszli za nią. Okazało się, że Lauro jest niezwykle pięknym młodzieńcem z pałającymi oczami, orlim nosem o drgających nozdrzach i prześlicznymi wargami, ocienionymi czarnym wąsikiem — ale zachowywał się tak pretensjonalnie i dramatycznie, że goście, Hans Castorp rzeczywiście nie mniej od Joachima, byli radzi, kiedy drzwi od pokoju chorego znowu się za nimi zamknęły. Tous-les-deux, z wielkimi workami pod oczami, czarnymi jak z dżetu, w czarnym kaszmirowym szalu i z czarnym węzłem woalu pod brodą, z żałośnie opuszczonym jednym kątem swych ogromnych ust, chodziła wzdłuż i wszerz po pokoju, uginając się w kolanach i marszcząc swe niskie czoło; od czasu do czasu zbliżała się do siedzących koło łóżka młodych ludzi, aby powtórzyć jak papuga swoje tragiczne: „*Tous les de, vous comprenez, messie s... Premiere-ment l'un et maintenant l'autre*” *. Piękny Lauro deklamował, również po francusku, zgrzytliwie, hałaśliwie, nieznośnie patetyczne słowa. Zapewniał, że pragnie umrzeć jak bohater, *comme heros a l'espagnol* *, za przykładem swego brata, *de meme que son fier jeune frere* * Fernando, który umarł również jak hiszpański bohater; gestykulował, rozrywał na szyi koszulę, aby wystawić żółtą pierś na dotknięcie śmierci, i zakłamywał się dopóty, aż atak kaszlu, który wywołał mu na usta rzadką, różową pianę, zdławił jego rodomontady i sprawił, że goście na palcach opuścili pokój.

Nie rozmawiali potem o wizycie u Laura, a także po cichu, każdy dla siebie, wstrzymywali się od sądu o jego zachowaniu. Lepiej podobało im się u pana Antona Karłowicza Fergego z Petersburga. Chory ten, o długich, dobrodusznym wąsach

i wystającej grdyce, mającej w sobie również coś dobrodusznego, leżał w łóżku i z trudem, powoli przychodził do siebie po nieudanej próbie odmy sztucznej, która o mały włos nie przyprowadziła go o natychmiastową śmierć. Doznał przy tym gwałtownego wstrząsu opłucnowego, który zdarza się czasami przy tym modnym zabiegu. Ale u niego wstrząs ten przybrał wyjątkowo niebezpieczną formę, z zupełnie wyraźną zapaścią i długotrwałym omdleniem — słowem, stan był tak ciężki, że musiano przerwać operację i na razie ją odłożyć.

Dobroduszne szare oczy pana Fergego rozszerzały się, a policzki okrywały bladością, ilekroć zaczynał opowiadać o tym przejściu, które musiało zrobić na nim straszne wrażenie. — Bez narkozy, proszę panów. No dobrze, my podobno nie możemy jej wytrzymać, jest w tym wypadku niedozwolona, pojmujemy to i godzimy się z tym, jako rozsądni ludzie. Ale miejscowe znieczulenie nie sięga głęboko, moi panowie, znieczula tylko zewnętrzną warstwę ciała, i czuje się, kiedy człowieka otwierają, właściwie tylko ucisk i jakieś jakby miażdżenie. Leżę sobie z zasłoniętą twarzą, żeby nic nie widzieć, asystent trzyma mnie za prawą rękę, a starsza siostra za lewą. Jest mi tak, jak gdyby mnie ściskano i miażdżono-, mnie, to znaczy ciało, rozcięte i przytrzymane za pomocą klamerek. Ale nagle słyszę, jak radca Behrens mówi: „Taak!”, i w tej samej chwili, proszę panów, zaczyna jakimś tępym narzędziem — ono musi być tępe, żeby nie za prędko przekłuło — obmacywać mi opłucną: szuka odpowiedniego miejsca do przekłucia i wpuszczenia gazu. I podczas kiedy tak jeździ narzędziem po mojej opłucnej — moi panowie, moi panowie! nagle przestałem istnieć, już było po mnie, stało się coś takiego, czego nie potrafię opisać. Opłucnej, proszę panów, nie należy, nie powinno się dotykać, ona nie chce i nie znosi żadnego dotknięcia, opłucna to tabu; osłania ją ciało, izoluje i czyni niedostępną raz na zawsze. A teraz radca Behrens ją odsłonił i obmacywał. Wtedy, proszę panów, zrobiło mi się słabo. Straszne, straszne, proszę panów, nigdy bym nie pomyślał, że takie po stokroć wstrętne i podłe uczucie może się komuś przytrafić na ziemi i w ogóle gdziekolwiek

oprócz piekła! Zapadłem w omdlenie, w trzy omdlenia naraz, jedno zielone, drugie brązowe, trzecie fioletowe. Poza tym śmierdziało mi coś w tym omdleniu, ten wstrząs rzucił mi się na nos, proszę panów, okropnie śmierdziało siarkowodorem, tak chyba musi śmierdzieć w piekle, a przy tym wszystkim, przychodząc do siebie, słyszałem, jak się śmieję; śmiałem się, ale nie po ludzku, tylko najnieprzyzwoitszym i najwstrętniejszym śmiechem, jaki w ogóle w życiu zdarzyło mi się słyszeć. Bo obmacywanie opłucnej, proszę panów, robi wrażenie, jak gdyby ktoś łechtał w najpaskudniejszy, najwyuzdańszy i najbardziej niehumaniczny sposób. Tak, nie inaczej, wygląda to przekłete cierpienie i ta hańba, i to jest właśnie ów wstrząs opłucnowy, od którego was Boże broń!

Często i nie inaczej jak z bladym strachem powracał pan Anton Karłowicz Ferge do tego „łajdackiego” przeżycia i nie-mało się obawiał, że ono się raz jeszcze powtórzy. Zresztą od samego początku robił wrażenie człowieka prostego, dla którego wszelkie „wyżyny” są niedostępne i od którego umysłowości i uczucia nie należy wiele oczekiwać, jak też i on sam od nikogo wiele nie wymagał. Po obustronnym zaakceptowaniu takiego stanowiska, opowiadał dość interesująco o swym dawnym życiu, z którego choroba wytrąciła go, życiu agenta pewnego towarzystwa ubezpieczeń od ognia: z Petersburga odbywał dalekie podróże wzdłuż i wszerz całej Rosji, zwiedzał ubezpieczone fabryki i starał się stwierdzić, które z nich popadły w trudności finansowe, bo statystyka wykazuje, że najczęściej pożarów zdarza się właśnie w słabo prosperujących przedsiębiorstwach. Dlatego też wysyłano go, aby pod tym lub innym pozorem wysondował miejscowe stosunki i zdał swemu bankowi relację; w ten sposób można było zawczasu zapobiec dotkliwym stratom, przez wzmoczoną reasekurację albo podział premii. Mówił o podróżach w zimie po rozległym państwie, opowiadał, jak jechał nocą w trzaskający mróz, leżąc w sankach, okryty baranicą, i jak nieraz, budząc się, spostrzegał oczy wilków błyszczące ponad śniegiem jak gwiazdy. Woził z sobą w skrzyni zamrożone prowianty, kapuśniak i bułkę, a na

stacjach, gdzie zmieniano konie, stawiał je przed zjedzeniem na ogniu, żeby odtajały; bułka przy tym nabierała tej samej świeżości, jaką miała pierwszego dnia. Gorzej było z nastaniem odwilży; wtedy zupa, którą w stanie stałym wziął z sobą, rozpływała się i wyciekała.

Tak opowiadał pan Ferge, a od czasu do czasu wzdychał i mówił, że to wszystko jest bardzo piękne, ale żeby tylko nie musiano powtórnie próbować u niego sztucznej odmy. Nie było to nic wyższego, o czym rozprawiał, ale realne życie, i można go było słuchać z zainteresowaniem. Zwłaszcza Hans Castorp uważał za korzystne dowiedzieć się czegoś o państwie rosyjskim i o tamtejszym trybie życia, o samowarach, pierogach, Kozakach i drewnianych cerkwiach z taką ilością cebulastych kopuł, że wyglądały jak kolonie grzybów. Prosił, żeby mu pan Ferge opowiadał również o tamtejszych ludziach, o ich północnej, a więc w oczach Hansa Castorpa tym niezwyklejszej egzotyce, o azjatyckich domieszkach w ich krwi, o wystających kościach policzkowych, fińsko-mongolskiej opawie oczu — i słuchał z wielkim antropologicznym zainteresowaniem. Kazał powiedzieć sobie kilka zdań po rosyjsku — szybko, niewyraźnie, niezwykle obco i jakby bezkrotnie brzmiał ten wschodni język pod dobrodusznym wąsem pana Fergego, wydobywając się z jego dobroduszenie wystającej grdyki — i Hansa Castorpa cieszyło to (taka już jest młodość), tym bardziej że przecież obracał się w dziedzinie zabronionej mu ze względów pedagogicznych.

Kuzyni wpadali często na kwadransik do Antona Karłowicza Fergego. Odwied ali też małego Teddy z „Fridericianum”, eleganckiego, jasnowłosego, czternastoletniego chłopca, wymuskanego, ubranego w białą jedwabną szamerowaną pidżamę; siedziała przy nim prywatna pielęgniarka. Był bogatym sierotą, jak sam opowiadał. Czekał na poważną operację, a mianowicie na usunięcie nadpsutych miejsc, czego miano spróbować, podnosił się czasami na godzinę z łóżka, jeżeli właśnie czuł się trochę lepiej, i w swym ładnym sportowym ubraniu schodził do towarzystwa. Panie chętnie z nim żartowały, a on przy?

słuchiwał się ich rozmowom, na przykład kiedy mówiono o adwokacie Einhufie, o pannie w reformach lub o Franeczce Oberdank. Potem kładł się znowu. Tak żył sobie wytwornie mały Teddy i robił wrażenie, że niczego innego nie oczekuje od życia, jak właśnie zawsze tylko tego.

Ale pod numerem pięćdziesiątym leżała pani von Mallinckrodt, imieniem Natalia, z czarnymi oczami i złotymi kolczykami w kształcie kół w uszach, kokietka, strojnisia, a zarazem kobiecy Łazarz i Hiob; Bóg zesłał na nią wszelkiego rodzaju dolegliwości. Organizm jej zdawał się być przepełniony truciznami, tak że nawiedzały ją na przemian i jednocześnie wszystkie możliwe choroby. Bardzo zaatakowana była jej skóra, w dużej części pokryta okropnie swędzącą, tu i ówdzie mokrą egzemą, występującą również przy samych ustach, co sprawiało trudności przy karmieniu jej. Jedno po drugim trapiły panią von Mallinckrodt wewnętrzne zapalenia: opłucnej, nerek, płuc, okostnych, a nawet mózgu, tak że traciła przytomność; osłabienie zaś serca, spowodowane gorączką i bólami, wywoływało stany lęku i sprawiało, że nie mogła swobodnie przełknąć jedzenia, które zatrzymywało się jej w przełyku. Słowem, kobieta ta była w okropnym stanie, a w dodatku zupełnie sama na świecie. Porzuciła męża i dzieci dla innego mężczyzny, pełnego jeszcze młodzika, a potem opuszczona została przez kochanka, jak sama opowiedziała Hansowi Castorpowi i Joachimowi. Teraz jest bezdomna, chociaż nie bez środków do życia, bo mąż przysyła jej pieniądze. Korzysta bez dumy, która byłaby tu nie na miejscu, z jego przyzwoitości czy też jego wciąż jeszcze trwającej miłości; nie traktuje samej siebie zbyt poważnie, uważa się za lekkomyślną i grzeszną kobietkę i z tego założenia wychodząc znosi swoje hiobowe męki zadziwiająco cierpliwie i wytrwale; żywiołowa odporność jej rasowej kobiecości triumfowała nad niedolą jej smagłego ciała i nawet z białego gazowego bandażu, który z jakiegoś niemilego powodu opasywał jej głowę, potrafiła uczynić coś w rodzaju ozdoby. Wciąż zmieniała klejnoty, rozpoczynając dzień od koralu, a kończąc go perłami. Bardzo uradowana kwiatami otrzymanymi od Hansa Castorpa, któremu

przypisywała raczej rycerskie niż miłosierne pobudki, poprosiła obu młodych ludzi do siebie na herbatę. Piła ją leżąc w łóżku, z filizanki, z dzióbkiem, a wszystkie jej palce, nie wyłączając wielkich, pokryte były aż do stawów opalami, ametystami i szmaragdami. Potrząsając złotymi kolczykami opowiedziała im zaraz, jakie były jej dzieje: mówiła o porządnym, ale nudnym mężu, o również porządnym i nudnym dzieciaku, bardzo podobnym do ojca, których nigdy nie umiała naprawdę pokochać, i o tym młodym chłopcu, z którym uciekła, i nad którego poetyczną miłością się unosiła. Krewni jego oderwali go jednak od niej podstępem i przemocą, a ponadto mały brzydził się zapewne jej chorobą, której różne formy wtedy właśnie wybuchły z wielką gwałtownością. Czy może i panowie się brzydzą, spytała z kokieterią, i jej rasowa kobiecość zatriumfowała nad egzemą, pokrywającą połowę jej twarzy.

Hans Castorp myślał z lekceważeniem o małym, który brzydził się, i dał temu wyraz wzruszając ramionami. Dla niego samego zniewieściałość poetycznego młodzika była bodźcem przeciwnym, toteż składając często wizyty pani von Mallinckrodt, wykonywał przy niej różne drobne posługi, nie wymagające fachowego wykształcenia; karmił ją ostrożnie kleikiem, gdy go jej właśnie przynoszono na obiad, przytykał jej do ust filizankę z dzióbkiem, kiedy kęs jakiś utknął jej w gardle, albo pomagał jej zmieniać pozycję w łóżku; bo do wszystkich jej cierpień dołączała się jeszcze rana po operacji, utrudniająca leżenie. Wprawiał się w tych zabiegach, wpadając do niej na chwilę, kiedy wracał z sali jadalnej albo ze spaceru; mówił wtedy Joachimowi, żeby sobie nie przeszkadzał, że chce tylko szybko wpaść na małą kontrolę do numeru pięćdziesiątego. Czuł przy tym szczęście wyrastania ponad siebie samego, radość wynikającą z „poczucia pożyteczności i ukrytego doniosłego znaczenia swoich poczynań. Równocześnie cieszył się po szelmowsku z czysto chrześcijańskiego charakteru tych uczynków, w istocie tak pełnych pietyzmu, dobroczynnych i godnych pochwały, że nic nie można im było zarzucić ani z żołnierskiego, ani z humanistyczno-pedagogicznego punktu widzenia.

O Karen Karstedt nie było jeszcze mowy, a jednak Hans Castorp i Joachim nawet specjalnie się nią zajmowali. Należała do prywatnych pacjentów radcy Behrensa, nie mieszkających w sanatorium „Berghof”, i doktor polecił ją miłosierdziu kuzynów. Przebywała tu od czterech lat, nie miała majątku i była zależna od krewnych, ludzi bez serca, którzy już raz, ponieważ i tak była stracona, zabrali ją stąd i tylko na skutek interwencji radcy Behrensa znowu tutaj wysłali. Mieszkała we Wsi, w takim pensjonacie. Była to wątpa dziewczyna, lat dziewiętnastu, miała gładkie, wysmarowane pomadą włosy, a oczy jej starały się nieśmiało ukryć jakiś blask, odpowiadający hektycznym wypiekom na twarzy. Głos jej był charakterystycznie ochryply, ale przyjemny. Kaszłała prawie bez przerwy, a końce wszystkich jej palców były pozaklejane plastrami, bo potworzyły się na nich ranki na skutek zakażenia.

Tej więc dziewczynie poświęcali obaj młodzieńcy wyjątkową uwagę; prosił ich o to Behrens, jako że już mieli tak dobre serca. Zaczęło się od kwiatów, potem nastąpiła wizyta, w czasie której siedzieli wszyscy razem na małym balkoniku biednej Karen w Davos-Wsi, a potem we troje przedsięwzięli to i owo: poszli na zawody łyżwiarskie, przyglądali się wyścigom na bobslejach. Bo sezon sportów zimowych w Davos był już u zenitu, rozpoczął się tydzień uroczystości, widowiska następowały jedno po drugim, owe zabawy i przedstawienia, którymi obaj kuzyni interesowali się dotychczas tylko przelotnie i okolicznościowo. Joachim był wrogiem wszelkich rozrywek tu w górze. Wszak nie po to tu siedział — w ogóle nie siedział tutaj po to, by żyć i być zadowolonym z pobytu, urozmaicając go sobie i uprzyjemniając, ale jedynie i wyłącznie w tym celu, ażeby możliwie prędko pozbyć się toczącego go robaka i móc powrócić na dół do służby, prawdziwej służby, a nie służby „kuracyjnej”, która jest tylko surogatem, ale której mimo to nie chciał w niczym uchybić. Nie wolno mu było brać czynnego udziału w zabawach zimowych, a nie miał też ochoty być gapiem. Co się zaś tyczy Hansa Castorpa, to zbyt ściśle, w znaczeniu zbyt ciasnym i intymnym, związany był z tymi tu w gó-

rze, aby interesować się poczynaniami ludzi, którzy w dolinie tutejszej widzą boisko sportowe.

Miłosierne współczucie dla biednej panny Karstedt spowodowało jednak wyłom w tych zapatrywaniach, a Joachim nie mógł się temu przeciwstawić, nie narażając się jednocześnie na zarzut braku chrześcijańskich uczuć. Kiedyś wstąpili po chorą do jej uboższego mieszkania we Wsi i zaprowadzili ją w mroźny, słoneczny dzień zimowy do dzielnicy angielskiej, tak nazwanej od wznoszącego się w niej Hotel d'Angleterre. Szli pomiędzy luksusowymi sklepami głównej ulicy, po której z brzękiem dzwonek sunęły sanki i spacerowali bogaci próżniacy i darmożjadzi, zebrani z całego świata, a zamieszkali w Kurhauzie i innych wielkich hotelach; szli z odkrytymi głowami, w modnych ubraniach sportowych uszytych z wytwornych i drogich materiałów, z twarzami opalonymi przez zimowe słońce i promieniowanie śniegu. Zdążali w dół, ku położonej w głębi doliny w pobliżu Kurhauzu ślizgawce, która latem, przemieniona w ławkę, służyła jako boisko do gry w piłkę nożną. Słychać było muzykę: na estradzie drewnianego pawilonu u wejścia na czworoboczną ślizgawkę grała orkiestra; z oddali wyzierały śnieżne góry na ciemnoniebieskim tle. Kupili bilety, przedarli się przez tłum publiczności otaczającej powierzchnię lodu z trzech stron, wzdłuż których amfiteatralnie wznosiły się ławki, znaleźli sobie wygodne miejsca i zaczęli się przyglądać. Zawodnicy, kuso odziani, w czarnych trykotach i szamerowanych kurtkach obszytych futrem, kołysali się na lodzie, unosili się w powietrzu, wykonywali skomplikowane figury, skakali i wirowali. Para wirtuozów, pani i pan, zawodowcy nie uczestniczący w zawodach, wykonywali jakąś figurę, którą tylko oni na całym świecie wykonać umieli; rozpętali burzę oklasków i tusze orkiestry. Sześciu młodzieńców różnej narodowości ubiegało się o nagrodę za najszybszy bieg; pędzili pochyleni, z rękami założonymi na plecach, niektórzy z chusteczką przy ustach. Przebiegli tak sześć razy dokoła toru. Muzyka mieszała się z dźwiękiem dzwonka. Od czasu do czasu tłum wznosił okrzyki i klaskał.

Zbiorowisko ludzkie, w którym znaleźli się nasi chorzy, obaj

kuzynowie i ich protegowana, było wielce różnorodne. Anglicy z białymi zębami i w szkockich czapkach rozmawiali po francusku z silnie wyperfumowanymi paniami, od stóp do głów ubranymi w kolorową wełnę, a niekiedy i w spodnie. Amerykanie o małych głowach z przylegającymi włosami, i z fajkami w ustach, odziani byli w futra, wywrócone włosem do góry. Wszędzie widać było brodatych i eleganckich Rosjan, których wygląd trącił barbarzyńskim bogactwem, Holendrów o typie malajskich mieszańców, Niemców i Szwajcarów, a również mnóstwo osób nieokreślonego pochodzenia, mówiących po francusku, przybyłych z Bałkanów czy też ze Wschodu — tłum ludzi dość podejrzanych, dla których Hans Castorp miał pewną słabość, ale którzy, jako indywidua dwuznaczne i bez określonego charakteru, nie wzbudzali sympatii w Joachimie. Dzieci stawały tu i tam do różnych zabawnych konkursów: podskakiwały na lodzie mając na jednej nodze nartę a na drugiej łyżwę albo też chłopcy popychali przed sobą wielkie szufle, w których sadowiły się dziewczynki. Inne dzieci biegały z płonącymi świecami, przy czym zwycięzcą zostawał ten, kto z nie zgaszonym płomieniem dotarł do celu, albo musiały w biegu brać przeszkody czy też za pomocą cynowych łyżek wrzucać kartofle do ustawionych polewaczek. Świat elegancki pokładał się ze śmiechu. Pokazywano sobie najbogatsze, najslawniejsze i najładniejsze dzieci, córeczkę jakiegoś holenderskiego multimilionera, syna jakiegoś pruskiego księcia oraz dwunastoletniego chłopca, nazywającego się jak jedno ze znanych win szampańskich. Biedna panna Karen cieszyła się również nie przestając przy tym kaszleć. Z radości klaskała w ręce z popękanymi palcami. Tak bardzo była wdzięczna.

Zaprowadzili ją także na wyścigi bobslejowe: było to niedaleko zarówno od „Berghofu”, jak i od mieszkania panny Karen Karstedt, bo tor, idący z Schatzalp, kończył się we Wsi pomiędzy domami, położonymi na zachodnim zboczu doliny. W tym miejscu znajdował się posterunek sędziego, którego zawiadamiano telefonicznie o starcie każdego z płaskich pojazdów pędzących po metalicznie lśniących krzywiznach toru, pomię-

dzy śnieżnymi barierami, ściętymi w lód. Na bobslejach siedzieli panowie i panie w białych wełnianych kostiumach, przyozdobieni szarfami o barwach wszystkich narodowości. Saneczki zjeżdżały jedne po drugich w dużych odstępach czasu. Widać było czerwone, pełne napięcia twarze, smagane śniegiem. Upadki, koziółkujące sanki, z których załoga wypadła, doznawały utrwalenia dzięki aparatom fotograficznym widzów. I tutaj grała orkiestra. Publiczność siedziała na małych trybunach albo tłoczyła się na ścieżce dla pieszych wzdłuż toru, oczyszczonej ze śniegu. Na drewnianych mostkach przerzuconych nad torem, spod których od czasu do czasu wypadał rozpędzony bobslej biorący udział w zawodach, było również pełno ludzi. Zwłoki z sanatorium na górze odbywały tę samą drogę, w pędzie przesuwały się pod mostkami, brały wszystkie zakręty i dążyły w dolinę, w dolinę — pomyślał Hans Castorp i nawet coś o tym napomknął.

Nawet do bioskopu w Uzdrowisku zaprowadzili młodzi ludzie pewnego popołudnia pannę Karen Karstedt, bo tak bardzo lubiła rozrywki. W dusznej atmosferze, która ich wszystkich troje bardzo niemile uderzyła (bo byli przyzwyczajeni tylko do powietrza najczystsze), która utrudniała oddychanie i przyprowadzała ich o lekki zawrót głowy, skrzyło się szybkie, urywane, drobno posiekane życie, skaczące, drgające i niespokojne; wtórowała mu niewielka muzyczka, ilustrująca słyszalnymi aktualnie taktami bieg minionych zjawisk, przesuwających się na ekranie przed ich zmęczonymi oczami. Mimo bardzo ograniczonych środków przebiegała wszystkie rejestry uroczystej powagi i pompy, namiętności, dzikości i lubieżnej zmysłowości. Wyświetlano jakiś wstrząsający film erotyczny i kryminalny, rozgrywający się w milczeniu na dworze wschodniego despoty; przed oczyma ich przelatowały sceny pełne przepychu i nagich ciał, pełne rozpasanych chuci tyrana i religijnego szału służalczości, pełne okrucieństwa, żądzy, śmiertelnej rozkoszy i niezapomnianej naoczności, kiedy na przykład pokazywano na ekranie muskulaturę ramion kata. Jednym słowem, film zrodzony był z intuicyjnego wycucia skrytych pragnień wi-

downi, złożonej z przedstawicieli międzynarodowej cywilizacji. Settembrini, jako człowiek o wytrawnym sędzie, zapewne ostro skrytykowałby ten film, nie zgadzający się z humanistycznymi dążeniami; umiałby z klasyczną ironią potępić nadużywanie techniki w celu tworzenia obrazów poniewierających godność człowieka; tak myślał sobie Hans Castorp i szepnął też coś o tym Joachimowi. Pani Stóhr natomiast, która również była obecna i siedziała niedaleko od naszej trójki, zdawała się rozplwać z zachwytu, jej czerwoną, nieinteligentną twarz wykrzywił grymas rozkoszy.

Zresztą, podobne uczucia malowały się na wszystkich twarzach. Kiedy jednak zniknął ostatni drgający obraz jakiegoś aktu, kiedy jaśniało znów światło, a tło dopiero co oglądanych wydarzeń ukazywało się publiczności jako pusty ekran, nie mogły nawet zrywać się oklaski. Nie było nikogo, komu można by dziękować aplauzem, kogo można by wywołać w nagrodę za jego artystyczną kreację. Aktorzy, zebrani kiedyś dla realizacji filmu, dawno już rozproszyli się na cztery strony świata; oglądano tylko cienie ich, miliony poszczególnych zdjęć i króciutkich utrważeń, na które, fotografując je, rozbito ich ruchy, ażeby później dowolnie często rozwijać je w szybkim tempie przed oczami ludzi, nadając im na nowo cechę czasowości. Nie miłe było wrażenie, które wywierał tłum, milczący po przeżytym złudzeniu i jakby pozbawiony nerwów. Ręce widzów spoczywały beczynnie przed nicością. Przecierano oczy, patrzono tępo przed siebie, wstydzono się światła — wszyscy pragnęli powrotu ciemności, aby znowu patrzeć, aby rzeczy, które odbyły się w swoim czasie, oglądać przeniesione w nowy czas i ożywione przez dźwięki muzyki.

Despota ginął pod nożem, jego otwarte usta wydały ryk, którego się nie słyszało. Potem wyświetlano obrazy z całego świata: prezydenta Republiki Francuskiej, w cylindrze i z wielką wstęgą legii honorowej, siedzącego w powozie i odpowiadającego na jakąś mowę powitalną; wicekróla Indii na weselu pewnego radży; niemieckiego następcę tronu na dziedzińcu koczarskim w Poczdamie. Można było też przyjrzeć się życiu i zaję-

ciom krajowców w jakiejś wsi w Nowej Meklemburgii, walce kogutów na Borneo, nagim dzikusom grającym na piszczalkach, polowaniu na dzikie słonie, jakiejś ceremonii na syjamskim dworze królewskim, ulicy domów publicznych w Japonii, gdzie za drewnianymi kratami siedziały gejsze. Oglądano okutanych Samojedów, powożących saniami zaprzężonymi w renifery i mknących przez śnieżne pustynie północnej Azji; rosyjskich pielgrzymów modlących się w Hebronie; karę chłosty wykonywaną na jakimś perskim delikwencie. Było się świadkiem tych scen; przestrzeń była unicestwiona, czas cofnięty, a przeszłość i dal — zamienione w mknącą, zwodniczą, owianą dźwiękami muzyki terażniejszość i bliskość. Na ekranie zjawiała się nagle naturalnej wielkości młoda kobieta marokańska z na wpół odkrytą, pełną piersią, w jedwabnej pasiastej szacie, obwieszona łańcuchami, klamrami i pierścieniami. Miała szerokie nozdrza, oczy pełne zwierzęcego życia, całą twarz w ruchu; śmiała się ukazując białe zęby; jedną ręką, której paznokcie połyskiwały jaśniej niż ciało, przysłaniała oczy, a drugą przesyłała ukłony publiczności. Z pewnym zmieszaniem wlepiano oczy w pełne czaru zjawisko, które zdawało się widzieć, a nie widziało, które nie czuło na sobie spojrzeń i którego śmiech oraz ruchy nie odnosiły się do terażniejszości, lecz do czegoś, co było kędyś daleko i dawno, tak że nie miałoby sensu na nie odpowiadać. To zabarwiało, jak zaznaczyliśmy, uczucie zadowolenia pewną przymieszką bezsilności. Potem zjawisko znikło. Jasność zalała pusty ekran, na którym ukazał się wyraz „koniec”, cykl obrazów był zamknięty i publiczność w milczeniu opuszczała teatr, podczas gdy z zewnątrz napływały świeże tłumy, pragnące przypatrywać się ponownemu wyświetlaniu filmu.

*Pani Stóhr, która się do nich przyłączyła, namówiła ich, aby wstąpili jeszcze do kawiarni w Kurhauzie. Biedna Karen bardzo się ucieszyła i aż ręce złożyła z wdzięczności. I tu grała muzyka. Nieliczną, w czerwone fraki ubraną orkiestrą dyrygował jakiś Czech czy też Węgier, który w pewnej od niej odległości stał pośród tańczących par i ogniście podrygując, wygrywał

z temperamentem swą partię pierwszego skrzypka. Przy stolikach tętniło światowe życie. Podawano wyszukane napoje. Obaj kuzyni zamówili dla siebie i swej pupilki oranżadę, pragnęli się ochłodzić, bo było gorąco i duszno, pani Stóhr zaś kazała sobie przynieść słodką wódkę. O tej godzinie, mówiła, ruch jest jeszcze niewielki. Dopiero w późniejszych, wieczornych godzinach tańce bardzo się ożywiają; biorą w nich tłumny udział pacjenci z różnych sanatoriów, a także swobodnie żyjący mieszkańcy hoteli i Kurhauzu. Niejedna ciężko chora przestąpiła tu, tańcząc, próg wieczności i po wychyleniu ostatniego kielicha rozkoszy uległa ostatniemu krwotokowi in dulci júbilo *. Ignorancja pani Stóhr zniekształciła niewiarogodnie te wyrazy: pierwszy z nich, który wymawiała dolce, zaczerpnęła zapewne z włoskiego słownika muzycznego swego małżonka, drugi zaś brzmiał jak „jubileusz” czy coś podobnego, tak że obaj kuzyni, usłyszawszy tę łacinę, równocześnie schylili się nad szklankami i chwycił za słomki. Pani Stóhr jednak nie wyprowadziło to zupełnie z równowagi. Przeciwnie, wyszczerzając swoje zajęcze zęby, starała się za pomocą aluzji i przycinków dowiedzieć się, jaki zachodzi stosunek pomiędzy trojgiem młodych ludzi; w stosunku tym jasna była dla niej tylko rola biednej Karen, której przy jej lekkim — jak mówiła pani Stóhr — trybie życia dogadza to zapewne, że opiekują się nią dwaj tak wytworni kawalerowie. Mniej jasną wydała jej się ta sprawa ze względu na obu kuzynów. Pomimo swej głupoty i prostactwa doszła jednak dzięki kobiecej intuicji do pewnego wniosku, co prawda połowicznego i pospolitego. Zrozumiała mianowicie i dawała temu wyraz za pomocą przycinków, że właściwym kawalerem był w tym wypadku Hans Castorp, Joachim zaś asystował mu tylko, i że Hans Castorp, którego skłonność do pani Chauchat była jej znana, zajmuje się niepozorną panną Karstedt tylko w braku tamtej — do pani Chauchat widocznie nie umiał się zbliżyć. Wniosek ten, godny pani Stóhr, płytki i niedostatecznie umotywowany, świadczył o intuicji bardzo pospolitej, toteż Hans Castorp odpowiadał na jej płaskie i żartobliwe przytyki znużonym i pogardliwym spojrzeniem, Bez wątpienia, towarzy-

stwo biednej Karen było dla niego czymś w rodzaju zastępczego środka pomocniczego o nieokreślonej skuteczności, podobnie jak w ogóle wszystkie jego miłosierne poczynania. Ale zarazem były one przecież także celem same w sobie, owe cnotliwe poczynania i zadowolenie, które odczuwał, kiedy karmił kleikiem schorowaną panią Mallinckrodt, kiedy słuchał opowiadań pana Fergego o piekielnym wstrząsie opłucnowym albo widział biedną Karen, jak klaszcze z radości i wdzięczności w ręce o palcach pokrytych plastrami — choć było zadowoleniem tylko w znaczeniu przenośnym i względnym, miało w sobie jednak coś z bezpośredniości i czystości. Owiane było duchem kultury wręcz przeciwnej duchowi, który reprezentował z pedagogicznych motywów pan Settembrini, ale zasługiwało, jak sądził młody Hans Castorp, na to, by zastosować do niego maksymę placet experiri.

Domek, w którym mieszkała Karen Karstedt, leżał niedaleko od strumyka i od toru kolejowego, przy drodze prowadzącej do Davos-Wsi, tak że obaj kuzyni pragnąc, by im towarzyszyła na ich służbowym spacerze po śniadaniu, łatwo mogli po nią wstąpić. Idąc tak w kierunku Wsi, aby dostać się na główną promenadę, mieli przed sobą mały Schiahorn, potem na prawo trzy turnie zwane Zielonymi Wieżami, obecnie jednak również okryte oślepiająco białym śniegiem, a jeszcze bardziej na prawo kopułę góry Dorfberg. Mniej więcej na czwartej części wysokości jej ściany znajdował się cmentarz, cmentarz Wsi, okolony murem, skąd roztaczał się zapewne piękny widok, przypuszczalnie na jezioro, i z tego powodu mógł kiedyś stanowić cel spaceru. To też udali się tam wszyscy troje pewnego pięknego przedpołudnia — a wszystkie dni były teraz piękne: bezwietrzne i słoneczne, z ciemnym błękitem nieba, gorące i mroźne zarazem, i lśniące od białości. Obaj kuzyni, jeden z twarzą koloru cegły, drugi opalony na brązowo, szli w samych ubraniach, bo pod palącymi promieniami słońca płaszcze obciążałyby ich zbyt; młody Ziemssen w ubraniu sportowym, w śniegowcach, Hans Castorp również w śniegowcach, ale w długich spodniach — nie przywiązywał powiem dość wielkiej wagi do spraw ciała,

aby włożyć krótkie. Była to pierwsza połowa lutego nowego roku. Tak, cyfra roku zmieniła się od czasu, gdy Hans Castorp tu przybył; pisano obecnie cyfrę inną, następną. Olbrzymia wskazówka wszechświatowego zegara posunęła się o jedno miejsce; co prawda, nie jedna z największych wskazówek, pozwalających odczytać np. tysiąclecia — nieliczni spomiędzy żyjących doczekają jeszcze tej zmiany — nie była to też wskazówka odmierzająca stulecia albo tylko dziesiątki lat. Bynajmniej. Posunęła się tylko wskazówka rejestrująca lata, chociaż od przybycia tutaj Hansa Castorpa nie minął jeszcze rok, lecz dopiero niewiele więcej niż pół roku. Teraz wskazówka ta stoi w miejscu i stać będzie tak — jak wskazówki pewnych wielkich zegarów, posuwających się tylko co pięć minut — aż do chwili, gdy drgnie na nowo. Zanim jednak ten moment nastąpi, wskazówka miesięcy musi posunąć się jeszcze dziesięć razy, to jest kilka razy więcej, niż posunęła się od chwili przybycia Hansa Castorpa tu na górę — lutego Hans Castorp już nie liczył, bo miesiąc rozpoczęty uważał za miniony, podobnie jak banknot rozmienny na drobne — za już wydany.

A więc poszli także raz wszyscy troje na cmentarz leżący na górze Dorfberg — musimy jeszcze i ten spacer opisać dla ścisłości opowiadania. Inicjatywa wyszła od Hansa Castorpa; Joachim, który początkowo miał pewne skrupuły ze względu na stan biednej Karen, zgodził się wreszcie i przyznał, że byłoby bezcelowe bawić się z nią w chowanego i zgodnie z poglądami tchórzliwej pani Stóhr chronić ją trwożnie od wszystkiego, co by przypominało exitus. Karen Karstedt nie była jeszcze w tym ostatnim stadium, kiedy chory się łudzi; wiedziała doskonale, jaki jest jej stan i co oznacza martwica na końcach jej palców. Wiedziała również, że jej nieczuli krewni nie zechcą nawet słyszeć o luksusie transportowania jej do ojczyzny; rozumiała więc, że po swym zgonie będzie musiała tam na górze zająć małe, skromne miejsce. Krótko mówiąc, można było uważać, że ten cel wycieczki jest dla niej bardziej stosowny pod względem moralnym niż niejeden inny, na przykład tor saneczkowy lub kino i było to zresztą nic innego jak tylko akt kole-

żeńskiej grzeczności, wizyta złożona tym tam na wzniesieniu — jeżeli naturalnie nie uważało się cmentarza za osobliwość i za obojętny cel spaceru.

Szli powoli gęsiego, bo oczyszczona ze śniegu ścieżka inaczej iść nie pozwalała, pozostawili za sobą i pod sobą ostatnie, najwyżej na stoku położone wille, i wspinając się ku górze, mieli przed oczami dobrze im znany krajobraz w przepysnej zimowej szacie, w perspektywie nieco przesunięty i nieco rozszerzony: otwierał się na północny wschód, ku wejściu do doliny. Oczom ich ukazał się oczekiwany widok na ocienione lasami, zamrożone i pokryte śniegiem jezioro; poza nim, w miejscu, gdzie jak gdyby stykały się skośne zbocza gór, piętrzyły się na tle błękitnego nieba nowe zaśnieżone wierzchołki. Patrzyli na roztaczający się widok stojąc w śniegu u kamiennej bramy prowadzącej na cmentarz, po czym przeszli przez żelazną furtkę, wprawioną w bramę i tylko z lekka przymknęta.

I tu ścieżki były oczyszczone ze śniegu; mijali groby otoczone żelaznymi kratami i przykryte grubą warstwą śniegu, te pięknie i równo usypane mogiły i widniejące na nich krzyże z kamienia lub metalu oraz małe pomniki, ozdobione medalionami i napisami. Nie było tu jednak żywej duszy. Niczym nie zakłócony spokój tego pustkowia uderzył ich swą głębią i nieokreśloną tajemniczością; mały, kamienny aniołek czy jakaś figurka dziecka, z nieco przekrzywioną czapą śnieżną na główce i palcem na ustach, stała między krzakami i była jakby geniuszem tego zakątka, duchem milczenia — milczenia, które się odczuwało jako wyraźne przeciwieństwo głośnej rozmowy, a *więc* jako zamknięcie, nie pozbawione jednak treści ani znaczenia. Dla obu mężczyzn byłaby to okazja do zdjęcia kapeluszy, gdyby je mieli; ale szli przecież z gołymi głowami — Hans Castorp także — więc tylko pełni trwożnej czci, z lekka się pochylając, postępowali gęsiego, jakby skłaniając się na prawo i na lewo, za Karen Karstedt, która ich prowadziła.

Cmentarz miał kształt nieregularny, ciągnął się najpierw w kształcie wąskiego prostokąta ku południowi, a potem dzielił się na *4w/8 C?CŚci_f* również prostokątne. Najwidoczniej kil-

kakrotnie trzeba go było powiększać i przyłączać doń nowe tereny. Pomimo to cała przestrzeń ogrodzona była już znowu zajęta, zarówno jej partie wzdłuż muru położone, jak i mniej uprzywilejowane, leżące pośrodku — tak że trudno było sobie wyobrazić, gdzie by się tu jeszcze dla kogoś znalazło pomieszczenie. Obcy przybysze przez dłuższy czas stąpali dyskretnie po wąskich ścieżkach i przejściach pomiędzy pomnikami, przystając od czasu do czasu, aby przeczytać nazwisko oraz datę urodzenia i śmierci. Pomniki i krzyże były bez pretensji — nie świadczyły o zbytnich staraniach. Co do napisów, to były to nazwiska ze wszystkich krańców świata — angielskie, rosyjskie lub w ogóle słowiańskie, także niemieckie, portugalskie i różne inne jeszcze; daty zaś miały jedną subtelną cechę: rozpiętość ich była uderzająco mała, różnica między rokiem urodzenia a rokiem śmierci wynosiła przeważnie niewiele więcej nad dwadzieścia lat — leżała tu więc sama młodzież, która nigdzie jeszcze nie zapaściła korzeni i z różnych stron świata zjechała tutaj, aby ostatecznie przybrać poziomą pozycję.

Mniej więcej w środku cmentarza, w miejscu gdzie najęściej stłoczyły się mogiły, było małe, płaskie miejsce, długości ludzkiego ciała — było równe i puste, a po obu jego stronach znajdowały się dwa groby z zawieszonymi na pomnikach metalowymi wieńcami. Troje wędrowców mimo woli przystanęło. Stali tak, panna Karen trochę przed swymi towarzyszami, i czytali czułe napisy na kamieniach: Hans Castorp niedbale, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z na wpół otwartymi ustami i sennymi oczyma, młody Ziemssen nie tylko wyprostowany, ale nawet nieco w tył przechylony. Obaj równocześnie, w przystępie ciekawości, spojrzeli z boku ukradkiem na wyraz twarzy panny Karen Karstedt. Poczuli to jednak i stała zawstydzona i skromna, z głową nieco przechyloną ku przodowi, i uśmiechała się wymuszonym uśmiechem, ściągnąwszy usta i szybko mrugając oczami.

NOC WALPURGI*

Siedem miesięcy upływało w najbliższych dniach od przyjazdu młodego Hansa Castorpa; pięć dźwigał na grzbiecie Joachim w chwili przybycia kuzyna, dwanaście zatem się skończyło, a więc roczek — okrągły rok — okrągły w znaczeniu astronomicznym, od chwili gdy go tu odstawiła mała, mocna lokomotywa; w tym czasie ziemia obróciła się dokoła słońca i znalazła się w tym samym punkcie co wówczas. Był to czas karnawału. Ostatki zbliżały się i Hans Castorp dowiadywał się u Joachima, który siedział tu od roku, jak się to tutaj odbywa.

— Wspaniale — odpowiedział Settembrini, którego obaj kuzyni znowu spotkali podczas przedobiedniego spaceru. — Przepięknie — odpowiedział. — Wesoło tu jakby w Praterze*, zobaczy pan, inżynierze! Tu krecim się w tanczyny zwrot, świetni kawalerowie — wydymając policzki kpił złośliwie i szyderczo, zgrabnie gestykułując rękami, głową i ramionami. — Czego pan chce? Przecież i w maison de sante* odbywają się czasem bale wariatów i idiotów, jak czytałem — dlaczegoż by więc tutaj nie miały się odbywać? Program obejmuje najróżniejsze danses macabres*, jak się pan zapewne domyśla. Niestety, pewna część zeszłorocznych uczestników zabawy tym razem nie będzie mogła się ukazać, bo zabawa kończy się już o 9.30...

— Jak to... Ach, to doskonale! — śmiał się Hans Castorp. — Ależ figlarz z pana! O wpół do dziesiątej! Słyszałeś, Joachimie? Za wcześnie mianowicie, aby „pewna część” zeszłorocznych uczestników mogła wziąć udział w zabawie, chociażby przez godzinę. Cha! cha! to niesamowite. To ta część właśnie, która tymczasem pożegnała się z „mięsem” raz na zawsze. Czy rozumiesz tę grę słów? W każdym razie jestem ciekaw! — powiedział. — Uważam za słuszne, że tak tu święta obchodzimy i w powszechnie przyjęty sposób zaznaczamy etapy naszego pobytu, a więc jakby karby, aby uniknąć monotonii niczym nie różniących się od siebie dni, która, byłaby zbyt dziwna. Przeżyliśmy w pełni świadomości Boże Narodzenie, potem był Nowy

Rok, a teraz nadchodzą zapusty. Później będzie Palmowa Niedziela (a czy można tu dostać obarzanki?), Wielki Tydzień, Wielkanoc i w sześć tygodni później Zielone Świątki, a zaraz potem najdłuższy dzień w roku — przesilenie letnie — rozumie pan, i znów zbliżać się zaczniemy ku jesieni...

— Dość! Dość! Dość! — zawołał Settembrini, wznosząc twarz ku niebu i przyciskając dłońmi skronie. — Niech pan zamilknie! Zabraniam panu w ten sposób popuszczać sobie cugli!

— Ależ przepraszam, mówię właśnie przeciwnie... Zresztą Behrens w końcu zdecyduje się zapewne na te zastrzyki, które mają dla mnie być odtrutką, bo mam wciąż trzydzieści siedem i cztery — pięć — sześć, a nawet siedem. To nie chce się zmienić! Jestem i pozostanę widocznie „wiecznym strapieniem"! Zresztą nie jestem skazany na długi pobyt tutaj; Radamantys nigdy mi nic określonego nie zamruczał, ale mówi, że nie miałyby sensu przerywać przedwcześnie leczenia, skoro przecież już tak długo jestem tu w górze i, że tak powiem, tyle czasu zainwestowałem. I na co zdałoby się, gdyby mi nawet jakiś termin wymienił? Nie miałyby to wielkiego znaczenia, bo gdyby powiedział na przykład pół roczku, byłoby to na pewno za krótko i trzeba by się przygotować na dłużej. Tak było z moim kuzynem: miał być gotów z początkiem tego miesiąca — gotów, to znaczy wyleczony, a tymczasem ostatnim razem Behrens dołożył mu jeszcze cztery miesiące aż do zupełnego wyleczenia — więc co się ma z tego? Wtedy więc będziemy właśnie mieli przesilenie letnie, jak to już powiedziałem bez żadnego zamiaru rozgniewania pana, i znowu zbliżać się będziemy ku zimie. Ale na razie mamy oczywiście dopiero ostatki; słyszy pan przecież, iż, zdaniem moim, jest to bardzo dobrze, że odrabiamy wszystko kolejno, jak należy, tak jak jest w kalendarzu. Pani Stóhr powiedziała, że w łoży portiera można kupić trąbki dziecinne?

Było tak rzeczywiście: w ostatni wtorek już od samego rana, przy pierwszym śniadaniu, słychać było w sali jadalnej dźwięki różnych zabawnych instrumentów muzycznych, to grzechocące, to dęte; podczas obiadu od stołu Gansera, Rasmussena i panny

Kleefeld fruwały serpentyny, a kilka osób, na przykład Marusia z okrągłymi oczyma, włożyło na głowę papierowe czapki, które również można było nabyć u kulawego portiera. Wieczorem zaś rozwinęła się w salonie i pokojach ogólnych zabawa świąteczna, której przebieg...

Na razie tylko nam wiadomo, do czego doprowadziła ta zabawa karnawałowa dzięki przedsiębiorczości Hansa Castorpa. Ale nie damy się bynajmniej porwać ani wyprowadzić ze stanu rozwagi przez nasze wiadomości, nie przyśpieszymy ani na jotę biegu wypadków, oddając czasowi należne mu honory, a nawet będziemy bieg ten powściągali, bo podzielamy cnotliwą nieśmiałość młodego Hansa Castorpa, która tak długo wstrzymywała rozwój owych wydarzeń.

Całe towarzystwo udało się po południu do Uzdrowiska, aby przypatrzeć się zapustnemu ruchowi ulicznemu. Spotykano po drodze maski, pierrotów i arlekinów z grzechotkami; wywiązywała się walka na confetti pomiędzy pieszą publicznością a zamaskowanymi również pasażerami udekorowanych i rozbrzmiewających dzwoneczkami sanek.

Wieczorem w wielkiej sali jadalnej wokół siedmiu stołów zebrano się na kolację w nastroju już bardzo karnawałowym, z zamiarem podtrzymywania nastroju ulicy w zamkniętym gronie. Papierowe czapki, grzechotki i gwizdawki portiera miały wielkie powodzenie, a prokurator Paravant dał początek dalszemu przebieraniu się: włożył na siebie damskie kimono, przypiął do głowy fałszywy warkocz (który — jak powszechnie i głośno zapewniano — był własnością pani konsulowej Wurmbbrand) i zakręcił żelazkiem swe wąsy ku dołowi — co nadało mu wygląd prawdziwego Chińczyka. Zarząd sanatorium nie pozostał w tyle. Każdy z siedmiu stołów ozdobiony był barwnym papierowym lampionem w kształcie księżyca, oświetlonym od wnętrza świecą; na widok tej iluminacji Settembrini wszedłszy do sali i mijając stół Hansa Castorpa zacytował słowa poety:

Czy widzisz ogień ten wspaniały?
Tam klub wesoły zawiązali,

Wypowiedział to z lekkim i subtelnym uśmiechem i zdążył dalej do swego stołu, gdzie przywitano go gradem małych pocisków napełnionych pachnącym płynem. Kuleczki te, o cieniutkich ściankach; dochodząc do celu pękały i oblewały ofiarę perfumami.

Słowem, świąteczny humor był od początku bardzo wyraźny. Rozlegały się wybuchy śmiechu, serpentyny zwieszające się z żyrandoli powiewały w powietrzu, w sosie pieczeni pływało confetti, a wkrótce ukazała się karlica z pierwszą butelką szampana w kubelku z lodem? zaczęto mieszać burgunda z szampanem, do czego sygnał dał adwokat Einhuf, a kiedy ku końcowi kolacji pogaszono nawet światła u sufitu i sala oświetlona tylko barwnymi lampionami pogrążyła się w półmroku przypominającym „włoskie noce”, karnawałowy nastrój dosięgnął szczytu. Przy stole Hansa Castorpa podobała się bardzo napisana przez Settembriniego kartka, którą przesłał za pośrednictwem najbliższej niego siedzącej Marusi, przystrojonej w dżokejską czapczkę z zielonej bibułki. Na kartce napisał ołówkiem:

Lecz zważcie! szął dziś górą rządzi,
A gdy wraz z błędnym ognikiem się błądzi,
Niejedno czasem się przydarza.

Dr Blumenkohl, który miał się znowu bardzo źle, wymamrotał coś ze swym zwyczajnym dziwnym grymasem twarzy czy też raczej ust; ze słów tych można było wywnioskować, co to są za wiersze. Hans Castorp ze swej strony uważał, że powinien na wiersz odpowiedzieć, znaleźć jakąś żartobliwą replikę, która oczywiście mogła tylko dość nieciekawie wypaść; szukał więc ołówka po swych kieszeniach, ale go nie znalazł; nie mógł mu go też dać Joachim ani nauczycielka. Wówczas oczy jego z siecią czerwonych żyłek zwróciły się o pomoc ku Wschodowi, ku lewemu tylnemu kątowi sali, i widać było, jak przelotna jego chęć wyrodziła się nagle w tak daleko idące asocjacje, że zbladł i zapomniał zupełnie o swym pierwotnym zamiarze.

Zresztą były ku temu i inne powody. Pani Chauchat, siedząca

tam w głębi, ubrała się specjalnie na tę noc karnawałową: miała na sobie nową suknię; w każdym razie taką, w jakiej Hans Castorp jeszcze jej nie widział. Była to suknia z lekkiego, ciemnego, prawie czarnego jedwabiu, mieniąca się nieco odcieniem złotobrazowym, z okrągłym, małym jak dla młodej dziewczyny wycięciem, które odsłaniało tylko szyję i część obojczyków, a z tyłu, przy lekkim pochyleniu głowy, kręgi karku pod luźno opadającymi włosami. Ramiona jednak były zupełnie obnażone: były to ramiona delikatne, chociaż dość pełne, chłodne w dotknięciu, jak przynajmniej można było domyślać się, a tak niezwykle białe, tak wstrząsająco odcinały się od ciemnego jedwabiu sukni, że Hans Castorp przymknawszy oczy wyszeptał: „Mój Boże!”. Tego fasonu sukni jeszcze nigdy nie widział. Znał balowe toalety, strojne i uroczyście, o znacznie większych dekoltach, ale były to wycięcia przepisowe i w przybliżeniu nawet nie wywierały tak sensacyjnego wrażenia.

Przede wszystkim błędnym okazało się poprzednie przypuszczenie biednego Hansa Castorpa, że kuszący powab, bezrozumny powab tych ramion, które poznał był już poprzez cienką* gazę, z chwilą kiedy nie będą już, jak to nazywał, „opromienione” gazą, okaże się może mniej silny. Omyłka! Nieszczęsne złudzenie!

Pełna, jaskrawa, oślepiająca nagość tych wspaniałych członków zatrutego chorobą organizmu była o wiele silniej wstrząsającym niż tamto opromienienie zjawiskiem, na które nie było innej odpowiedzi, jak tylko pochylenie głowy i bezgłośnie powtarzane słowa: „Mój Boże!”

Nieco później pojawiła się inna jeszcze kartka z następującym wierszem:

Wokoło towarzystwa kwiat!
Z panienek każda róża,
A z kawalerów każdy chwyt!
Najlepszą przyszłość wróżą.

— Brawo! Brawo! — wołano. Siedziano już przy czarnej kawie, którą podawano w brunatnych kamiennych dzbanuszkach,

ewentualnie też przy likierach, które chętnie spijała na przykład pani Stóhr, kochająca się w słodkich napojach wysokokowych. Towarzystwo zaczęło się rozpraszać, krążyć. Odwiedzano się wzajemnie, zmieniano miejsca przy stołach. Część towarzystwa przeniosła się już do salonów, inni pozostali w jadalni przy kieliszku mieszanego wina. Settembrini, z filiżaneczką czarnej kawy w ręce i wykałaczką w ustach, zjawił się teraz osobiście u stołu Hansa Castorpa i zajął miejsce na rogu, w charakterze hospitanty, pomiędzy nim a nauczycielką.

— Góry Harc — powiedział. — Okolica Schierke i Elend*. Czy za wiele panu obiecywałem, inżynierze? Ot, co się zowie targowisko! Ale niech pan zaczeka, nasza pomysłowość nie wyczerpuje się jeszcze tak szybko, nie jesteśmy jeszcze u szczytu, nie mówiąc o tym, że do końca daleko! Będzie jeszcze więcej masek, jak słyhać. Niektóre osoby znikły, co daje pole do różnych domysłów, zobaczy pan.

Rzeczywiście ukazały się nowe kostiumy: panie po męsku, operetkowe i nieprawdopodobne z powodu obfitych kształtów, z brodami namalowanymi osmalonym korkiem; panowie, przeciwnie, w damskich toaletach, potykający się o długie spódnice, jak na przykład student Rasmussen, który w czarnej dżetowej sukni, z dekoltem pełnym pryszczycy, zawzięcie wachlował sobie papierowym wachlarzem twarz, a nawet plecy. Ukazał się też kulawy żebrak, wsparty na kuli. Ktoś znowu sporządził sobie z białych kalesonów i damskiego filcowego kapelusza strój pierrota, przypudrował mocno twarz, tak że oczy patrzyły nie-naturalnie, a usta jaskrawo pomalował czerwoną kredką do warg. Był to ów chłopiec o paznokciu jak szufelka. Grek od gorszego stołu rosyjskiego, odznaczający się pięknymi nogami, przebrał się za granda hiszpańskiego czy też za księcia z bajki i dumnie kroczył w trykotowych kalesonach koloru lila, krótkim płaszczyku, papierowej kryzie i ze szpadą u pasa. Kostiumy te zaimprovizowano widać w pośpiechu, zaraz po kolacji. Pani Stóhr nie mogła już dłużej wytrzymać na swoim miejscu. Znikła nagle, a wkrótce ukazała się jako posługaczka, z zakasaną

spódnicą, z podwiniętymi rękawami, z zawiązanymi pod brodą wstążkami papierowego czepek, z wiadrem w ręce, i zbrojna w szczotkę; nie zważając na siedzących gości wzięła się do szorowania podłogi pod stołami.

Stara Baubo * też, jak może,

wyrecytował na jej widok Settembrini i dodał jeszcze rymujący się wiersz*, wyraźnie i plastycznie. Usłyszała to, nazwała go „włoskim kogutem”, krzyknęła, aby swoje „sprośne kawałki” zachował dla siebie, mówiła mu przy tym „ty”, korzystając ze swobody maskaradowej, która już podczas kolacji wszechwładnie zapanowała. Właśnie chciał jej odpowiedzieć, gdy przeszkodził mu nowy wybuch śmiechu i hałas, który dochodził z hallu i zwrócił powszechną uwagę.

Na czele tłumu gości wychodzących z salonów pojawiły się dwie cudaczne figury, które widocznie teraz dopiero ukończyły swoje kostiumy. Jedna z nich miała na sobie czarny habit pielęgniarki, od góry do dołu obszyty poprzecznymi białymi plisami: krótsze ułożone były gęsto jedna pod drugą, między dłuższymi odstępami były rzadsze-, wszystko to razem przypominało podziałkę termometru. Maska ta trzymała wskazujący palec na swych białych ustach, a w drugiej ręce tabelkę z wykresem gorączki. Druga maska była cała ubrana na niebiesko: usta i brwi pomalowane na niebiesko, twarz i nawet szyję miała również niebieską, a niebieską wełnianą czapkę nasuniętą na ucho. Figura ta miała na sobie ubranie czy też pokrowiec z jednej sztuki lśniącego niebieskiego płótna — w kostkach ściągnięty był tasemkami, a w środku wypchany tak, że tworzył okrągły brzuch. Poznano panią Iltis i pana Albina. Oboje mieli na piersiach tablice z napisami: „Niemowa” i „Niebieski Henryk”. Chwiejnym krokiem przesuwali się oboje dokoła sali.

Widowisko to wywołało huczne oklaski, rozległy się okrzyki. Pani Stóhr, ze szczotką pod pachą, z rękami na kolanach, śmiała się ordynarnie i ponad wszelką miarę, wpadając w rolę posługaczki. Tylko Settembrini pozostał obojętny. Usta jego

I pod pięknym łukiem wąsa zacisnęły się, gdy spojrzął przelot-
I nie na obie przyjęte z takim entuzjazmem maski.

I Pomiędzy gośćmi, którzy postępując w orszaku „Niemowy”
I' i „Niebieskiego Henryka” wyszli znowu z salonów, znajdowała
f się też Kławdia Chauchat. Przesunęła się w swej nowej sukni
t obok stołu Hansa Castorpa i szła na ukos do stołu młodego
m Gansera i panny Kleefeld, w towarzystwie kędzierzawej Tamary
■ i Bułygina, swego sąsiada o zapadniętej klatce piersiowej, ubra-
p nego we frak. Przystanąwszy przy stole, założyła ręce na plecy
i śmiejąc się wąskimi szparami oczu rozmawiała z ożywieniem,
podczas gdy jej towarzysze poszli dalej za alegorycznymi upio-
rami i wraz z nimi opuścili salę. Pani Chauchat przystroiła się
także w karnawałową czapkę; nie była to nawet kupiona czapka,
ale sporządzona ze zwykłego białego papieru złożonego w trój-
ką, jak to się robi dla dzieci. Włożyła ją w poprzek i było jej
w tym prześlicznie. Ciemnobrązowa suknia jedwabna o zło-
tawym połysku sięgała jej tylko do kostek, spódnica miała fa-
son nieco bufiasty. O ramionach nic tu już nie powiemy. Były
nagie aż po barki.

— Miarkuj dokładnie, kto on a... — usłyszał Hans
Castorp, jak gdyby z daleka, głos Settembriniego. Wiódł za nią
oczami, gdy w chwilę później szła ku szklanym drzwiom
i wreszcie znikła z sali. — To Lilith.

— Kto? — zapytał Hans Castorp. Literat ucieszył się i rzekł:

— Adama pierwsza żona, miej się na stra-
ży...

Oprócz nich obu siedział jeszcze przy stole tylko dr Blumen-
kohl, na jednym z dalszych miejsc. Joachim i reszta współbie-
siadników przeniosła się już do salonów ogólnych.

Hans Castorp powiedział:

— Jesteś dziś pełen poezji i cytat. Cóż to znów za Lilii? Czyż-
by Adam był dwa razy żonaty? Nie miałem pojęcia...

— Tak chce hebrajska legenda. Ta Lilith stała się nocnym
upiorem niebezpiecznym dla młodzieńców, zwłaszcza wskutek
swych pięknych włosów.

— Ej, Do diabła! Upiór z pięknymi włosami? Nie lubisz takich

rzeczy, prawda? *Więc* przychodzisz i załączasz, że tak powiem, elektryczne światło, aby młodzieńców sprowadzić z błędnej drogi. Czyż nie? — rzekł jakby fantazując Hans Castorp. Wypił tego wieczora dużo mieszanego wina.

— Inżynierze, proszę dać temu spokój! — zawołał Settembrini rozkazującym tonem i ściągnawszy brwi. — Proszę, niech się pan zwraca do mnie w zwykłej formie, przyjętej w cywilizowanych krajach Zachodu, to znaczy przez „pan”. Wcale nie jest panu do twarzy z tym, w czym pan tu próbuje swych sił.

— Ależ jak to! Wszak mamy karnawał. Dzisiaj wieczorem jest to powszechnie przyjęte...

— Tak, bo tkwi w tym pewien nieprzystojny powab. Mówienie „ty” do ludzi obcych, a więc takich, do których należy mówić „pan”, jest objawem wstrętnej dzikości, igraniem ze stosunkami pierwotnymi, obrzydliwym igraniem, którego *nie znoszę*, bo zwraca się w gruncie rzeczy przeciwko cywilizacji i dojrzałemu człowieczeństwu — zwraca się bezczelnie i bezwstydnie! Ja panu także nie powiedziałem „ty” — proszę sobie tego nie wmawiać! Cytowałem tylko fragment jednego z arcydzieł pańskiej literatury narodowej. Mówiłem *więc* w sposób poetycki...

— Ja również! Ja też mówię poniekąd w sposób poetycki — bo chwila wydaje mi się po temu odpowiednia, dlatego tak mówię. Wcale nie utrzymuję, że wydaje mi się rzeczą całkiem naturalną i łatwą mówić „ty”, przeciwnie, to wymaga pewnego wysiłku, przewyciężenia się z mej strony, muszę się do pewnego stopnia zmusić, aby to zrobić, ale czynię to chętnie, z radością i z serca...

— Z serca?

— Tak, z serca, możesz mi wierzyć. Już od tak dawna jesteśmy tu razem — siedem miesięcy, jeżeli policzysz. Może to niewiele w naszych warunkach, tu w górze, ale przecież jest to szmat czasu w pojęciach panujących na dole, o ile sobie przypominam. Otóż przeżyliśmy ten czas wspólnie, bo życie obu nas tu przywiodło; widywaliśmy się prawie codziennie i prowadziliśmy często rozmowy na różne tematy, częściowo

o rzeczach, których na dole nie byłbym w ogóle zrozumiał. Tu natomiast dobrze je rozumiem. Tutaj wydały mi się bardzo ważne i bliskie, tak że zawsze gdyśmy dyskutowali, zajmowały mnie w najwyższym stopniu. Albo raczej, gdy ty wyjaśniałeś mi te sprawy, jako homo humanus; gdyż ja, przy swym dotychczasowym braku doświadczenia, nie miałem, naturalnie, wiele do powiedzenia i zawsze mogłem tylko uważać za niezwykle godne słyszenia to, co mówiłeś. Dzięki tobie tylu rzeczy się dowiedziałem, tyle zrozumiałem... To, coś mówił o Carduccim, to jeszcze najmniej ważne, ale na przykład to, w jaki sposób republika jest związana z pięknym stylem albo czas z postępowaniem ludzkości, to, że gdyby czas nie istniał, nie byłoby i postępu, a świat wyglądałby jak stojąca woda lub cuchnąca kałuża... Cóż wiedziałbym o tym wszystkim, gdyby nie ty? Nazywam cię po prostu „ty” i poza tym nie tytułuję cię, wybaczone, ponieważ nie wiedziałbym — jak; nie potrafię tego. Siedzisz tu oto przede mną, a ja mówię ci po prostu „ty”, i to wystarcza. Nie jesteś dla mnie jakimś tam człowiekiem o pewnym nazwisku, ale jesteś dla mnie symbolem, panie Settembrini, przedstawicielem czegoś — tutaj i u mojego boku, tym jesteś — podkreślił Hans Castorp i uderzył dłonią w obrus. — I dlatego chcę ci wreszcie podziękować — mówił dalej i przysunął swój kieliszek z mieszaniną szampana i burgunda do filiżaneczki pana Settembriniego, by trącić się z nim. Chcę ci podziękować, żeś przez te siedem miesięcy tak uprzejmie się mną zajmował, mną, niedowarżonym smarkaczem, na którego zważyło się tyle wrażeń; żeś był mi pomocą w ćwiczeniach i eksperymentach, że starałeś się wpływać na mnie, pouczać mnie zupełnie sine pecunia to opowiadaniem, to wykładami o formie abstrakcyjnej. Czuję wyraźnie, że nadeszła odpowiednia chwila, aby ci za to wszystko podziękować i prosić o przebaczenie, jeżeli byłem złym uczniem, „wiecznym dla życia strapieniem”, jak mnie nazwałeś. Ta nazwa mnie bardzo wzruszyła i ile razy ją sobie przypomnę, wzrusza mnie na nowo. Wiecznym strapieniem byłem także dla ciebie i dla twej żyłki pedagogicznej, o której mówiłeś ze mną zaraz pierwszego dnia. Naturalnie —

to jeszcze jeden związek, który przede mną odsłoniłeś, związek między humanizmem a pedagogiką. Na pewno przypomnę sobie z czasem i inne. Przebacz mi więc i nie myśl o mnie źle! Piję na twoją intencję, za twoje zdrowie! Wychylam kielich na cześć twoich literackich wysiłków skierowanych ku wytępieniu ludzkiego cierpienia! — zakończył i pochyliwszy się w tył, wypił kilkoma wielkimi haustami mieszane wino. Potem wstał — A teraz chodźmy do reszty towarzystwa.

— Słuchaj pan, inżynierze, *co* panu do głowy strzeliło? — spytał Włoch, z oczami pełnymi zdumienia, i wstał również od stołu. — To brzmi jak pożegnanie...

— Ależ nie, dlaczego pożegnanie? — powiedział Hans Castorp wymijająco; wymijający — dosłownie, w znaczeniu fizycznym — był również ruch kolisty, który wykonał górną część swego ciała, tak że musiał chwycić się nauczycielki, panny Engelhart, która właśnie po nich przyszła.

Zawiadomiła ich, że w pokoju muzycznym radca Behrens własnoręcznie rozdziela karnawałowy poncz, zafundowany przez zarząd sanatorium; jeżeli panowie chcą jeszcze zdobyć po szklaneczce, mówiła, niech się spieszą! Poszli więc.

Rzeczywiście, otoczony gośćmi, którzy wyciągali do niego małe szklanki z uszkami, stał radca Behrens przy okrągłym biało nakrytym stole w środku pokoju i chochlą czerpał z wazy buchający parą napój. I on z powodu karnawału ożywił nieco swój zwykły strój: miał na sobie jak co dzień lekarski kitel, bo praca w zakładzie nigdy nie ustawała, ale na głowę włożył szkarłatny, prawdziwy turecki fez z czarnym kwastem, który mu dyndał nad uchem; to połączenie *stanowiło* dla niego dostateczny kostium i wystarczyło, aby jego i skądinąd charakterystyczną postać uczynić bardziej jeszcze niezwykłą i zabawną. Długi biały kitel wydłużał jeszcze figurę pana radcy, a gdyby abstrahować w myśli od pochylenia głowy i całą postać wyprostować, to wydałby się po prostu nadnaturalnej wysokości olbrzymem o małej, jaskrawo przybranej i niezwyklej głowie. Przynajmniej młodemu Hansowi Castorpowi twarz ta nigdy jeszcze nie wydała się tak dziwną jak dziś, w tej błazeńskiej czapce: ta pła-

ska twarz z zadartym nosem i z sinymi, rozpalonymi policzkami, w której pod jasnymi brwiami wzbierały łzami niebieskie oczy, a nad łukowato zakreślonymi, wykrzywionymi ustami sterczały uniesione z jednej strony w górę blond wąsiki. Odwracając się od kłębów pary buchającej z wazy, nalewał w nadstawione łukiem szklanki brązowy, rumem przyprawiony słodki poncz, bez przerwy przy tym perorując swoim zabawnym żargonem, tak że raz po raz wybuchwały wokoło stołu salwy śmiechu.

— Pan Urian* nam przoduje — wyjaśnił po cichu Settembrini, z lekkim ruchem ręki w kierunku radcy dworu, po czym pociągnięto go w stronę Hansa Castorpa. Dr Krokowski był także obecny. Niski, krępy, jędrny w zarzuconym na ramiona czarnym satynowym kitlu, który wyglądał jak domino, trzymał swoją szklankę na wysokości oczu i wesoło rozmawiał z grupą masek poprzebieranych w stroje odmiennych płci. Zabrzmiała muzyka. Pacjentka z twarzą tapira grała na skrzypcach, przy akompaniamencie mannheimczyka, Largo Handla, a potem sonatę Griega, o charakterze narodowym i salonowym. Oklaskiwano ich życzliwie, nawet przy dwóch rozstawionych stolikach, gdzie w maskach i bez masek grano w bridża. Obok grających stały butelki w kubełkach napełnionych lodem. Wszystkie drzwi były otwarte, w hallu również pełno było gości. Dokoła stołu z wazą ponczu stała grupa osób i przypatrywała się radcy Behrensowi, który pokazywał jakąś sztukę.

Polegała ona na tym, że, stojąc, zamknawszy oczy, pochylony nad stołem, z podniesioną w górę głową, aby wszyscy mogli widzieć, że oczy ma naprawdę zamknięte, rysował ołówkiem na odwrotnej stronie biletu wizytowego jakąś figurę. Były to kontury świnki, którą jego olbrzymia ręka narysowała z profilu, bez współudziału oczu. Rysunek był nieco uproszczony, raczej idealny niż realistyczny, ale bądź co bądź były to niewątpliwie kontury świnki z profilu, narysowane w tak niezwykle utrudnionych warunkach. Była to naprawdę nie byle jaka sztuka i udało mu się doskonale. Szpara oczka znajdowała się mniej więcej tam, gdzie być powinna, trochę za blisko ryjka, ale mniej więcej na swoim miejscu; podobnie było ze spiczastym uchem na gło-

wie, z nóżkami zwisającymi u okrągłego brzucha; a przedłużona linia grzbietu pięknie, jako ogonek, zakręcała się w kółko. Wołano z różnych stron „ach!”, i wiele osób porwanych ambicją cisnęło się do stołu, aby naśladować mistrza. Ale niewiele było takich, które by potrafiły z otwartymi oczami narysować świnkę, a cóż dopiero z zamkniętymi! Co za potworki wychodziły spod ich ołówków! Pomiędzy członkami nie było najmniejszego związku. Oczko wypadło poza głowę, nóżki znajdowały się w brzuchu, którego kontury były linią krzywą nie zamkniętą, a ogonek zwijał się w kółko gdzieś na boku, tworząc samoistną arabeskę, nie związaną organicznie ze zniekształconym zarysem reszty ciała. Pękano ze śmiechu. Przybywali nowi ochotnicy. Nawet przy stolikach bridżowych zainteresowano się tą zabawą, i grający, z kartami w ręku ułożonymi w wachlarz, zbliżali się ciekawie do stołu. Widzowie kołem stojący patrzyli pilnie na oczy tego, który właśnie próbował swych sił, czy przypadkiem nie mruga, czego się niektórzy w poczuciu swej nieudolności dopuszczali; chichotano i parskano na widok błędów, jakie popełniał rysujący na oślep, i podnoszono radosne krzyki, gdy otworzywszy oczy spoglądał w końcu na swe absurdalne dzieło. Zbytek ufności we własne siły pobudzał każdego do próby. Bilet wizytowy, chociaż dość duży, szybko pokrył się z obydwu stron rysunkami, tak że nieudane figury zachodziły jedna na drugą. Radca Behrens poświęcił więc jeszcze jeden bilet, wydobywszy go ze swego portfela, a prokurator Paravant po dłuższym namyśle postanowił narysować świnkę jedną nieprzerwaną linią, ale skutek był taki, że jego niepowodzenie przewyższyło wszystkie poprzednie: ornament stworzony przez niego nie tylko nie przedstawiał świnki, ale nie wykazywał najmniejszego podobieństwa do niczego na świecie. Wśród ogólnego poruszenia posypały się powinszowania i burzliwe wybuchy śmiechu! Przyniesiono z sali jadalnej karty ze spisem potraw, tak że więcej osób, pań i panów, mogło jednocześnie rysować; wszyscy współzawodnicy mieli swoich widzów i kontrolerów, a każdy z nich był znowu pretendentem do ołówka, którym się właśnie posługiwano. Ołówków było tylko trzy —

wyrywano je sobie z rąk. Były one własnością gości. Radca Behrens, zainicjowawszy tę zabawę i widząc, że jest w pełnym toku, znikł wraz ze swym towarzyszem.

Hans Castorp, stojąc w tłumie za Joachimem, przypatrywał się rysującym, oparł łokieć na ramieniu kuzyna, podparł podbródek wszystkimi pięcioma palcami, a drugą ręką wziął się pod bok. Dużo mówił i śmiał się. Chciał także rysować, wyrażał głośno to życzenie i dostał wreszcie ołówek, króciutki i prawie zupełnie wypisany; zaledwie można go było ująć pomiędzy wielki a wskazujący palec. Wymyślał z tego powodu, wznosząc do góry twarz z zamkniętymi oczami, wymyślał głośno i kłął niezdatność ołówka, rysując jednocześnie nieopanowanymi rękami jakieś idiotyczne straszidło, z którym w zapędzie zjechał z kartonu na obrus. — To się nie liczy — wołał wśród wybuchów śmiechu, na który zasłużył — jakżeż można czymś takim... do diabła z tym! — i wrzucił ołówek, który był sprawcą złego, do wazy z ponczem. — Kto ma porządny ołówek? Kto mi pożyczycy? Muszę jeszcze raz spróbować! Ołówka! Ołówka! Kto jeszcze ma ołówek? ■— wołał na wszystkie strony, z lewym łokciem jeszcze opartym o stół, potrząsając drugą ręką podniesioną do góry. Nie dostał. Wtedy obrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju nie przestając wołać. Szedł prosto ku Kławdii Chauchat, która, jak wiedział, stała niedaleko portiery u drzwi prowadzących do małego salonu, skąd z uśmiechem na ustach obserwowała zabawę przy stole z ponczem.

Usłyszał za sobą wołanie, dźwięczne cudzoziemskie wyrazy:

— Eh! Ingegnere! Aspettil Che cosa fa! Ingegnere! Un po di ragione, sa! Ma e matto questo ragazzo! * — Ale zagłuszył te okrzyki swym własnym głosem, wobec czego pan Settembrini, z ręką wzniesioną nad głowę, ruchem ogólnie w jego ojczyźnie przyjętym, który niełatwo na słowa przetłumaczyć i któremu towarzyszyło przeciągłe „Ech!”, opuścił karnawałowe towarzystwo. A Hans Castorp stał już na podwórzu wyłożonym klinierem i patrząc z bliska w niebieskoszarozielone skośne oczy z fałdami nakątnymi, spoglądające sponad wystających kości policzkowych, powiedział;

— Czy ty przypadkiem nie masz ołówka?

Był śmiertelnie blady; tak blady jak wtedy, kiedy krwią zbroczony przyszedł na odczyt ze swego samotnego spaceru. Nerwy naczyniowe jego twarzy zostały wprawione w ruch, krew odpłynęła z tego młodego oblicza, a skóra na nim, blada i zimna, zapadła się, nos się zaostrzył, obwódki wokoło oczu nabrały barwy ołowianej jak u trupa. Serce Hansa Castorpa pod działaniem nerwu sympatycznego biło jak młotem, tak że o regularnym oddychaniu mowy być nie mogło, ciałem zaś młodzieńca wstrząsały dreszcze, pod wpływem czynności gruczołów łojowych skóry, które się wyprężyły wraz z torebkami włosowymi.

Kobieta w papierowym kapeluszu mierzyła go wzrokiem od stóp do głowy, z uśmiechem, w którym nie było ani cienia litości lub zaniepokojenia na widok okropnej zmiany w jego wyglądzie. Płeć ta nie zna w ogóle takiej litości ani takiego niepokoju wobec grozy namiętności — żywiołu, najwidoczniej lepiej jej znanego niż mężczyźnie, dla którego z natury jest on obcy. Spotykając mężczyznę na terenie tego żywiołu, nie wita go kobieta nigdy bez szyderstwa i złośliwej radości. Zresztą Hans Castorp podziękowałby zapewne pięknie za litość i troskliwość.

— Ja? — zapytała pacjentka o nagich ramionach, w odpowiedzi na wyraz „ty”... — Być może. — W jej uśmiechu i głosie było jednakże coś z podniecenia, jakie się zjawia, gdy po długiej milczącej znajomości padają pierwsze słowa — z chytrego podniecenia obejmującego skrycie w tej jednej chwili wszystko, co było już dawniej.

— Jesteś bardzo ambitny... bardzo... gorliwy — drwiła dalej egzotycznym akcentem, wymawiając z cudzoziemską literę „r” swym miłym, zawoalowanym, lekko zachrypniętym głosem, i błędnie akcentując słowa, co brzmiało już całkiem obco. Mówiąc to, grzebała w swej skórzanej torebce i wyciągnęła spod chusteczki do nosa, którą najpierw wyjęła, małeńki, srebrny crayon, cienki i kruchy, taki sobie drobiazg galanteryjny, niezbyt zdatny do poważniejszego użytku. Tamten, poprzedni ołówek był daleko solidniejszy.

■— Voila — rzekła i pokazała mu go, trzymając za ostry koniec wielkim i wskazującym palcem, i z lekka nim wywijając.

Podawała mu go, a jednocześnie przytrzymywała, tak że brał go nie odbierając, to znaczy: trzymał ręką na wysokości ołówka, tuż przy nim, z palcami gotowymi do ujęcia go, ale nie chwycił go, lecz patrzył ze swych ołowianych oczodołów na przemian na przedmiot i na tatarską twarz Kławdii. Jego bezkrwiste wargi były otwarte, i tak zostały; nie postugując się nimi przy mówieniu, rzekł:

— Widzisz, wiedziałem przecież, że będziesz miała ołówek.

— Prenez garde, ii est un peu fragile — rzekła. — Cest a visser, tu sais. *

Głowy ich pochylili się ku sobie, a ona pokazywała mu nieskomplikowany mechanizm ołówka, polegający na tym, że po odkręceniu śrubki wypadał cieniutki jak igła, zapewne bardzo twardy i nie nadający się do pisania sztyfcik grafitowy. Stali blisko siebie. Ponieważ był w ubraniu wizytowym, miał tego wieczora sztywny kołnierzyk i mógł na nim oprzeć swój podbródek.

— Mały, ale za to twój — powiedział patrząc na ołówek, z czołem przy jej czole; usta jego były przy tym nieruchome, tak że opuścił głoskę „m”.

— O! jesteś także dowcipny — odpowiedziała zaśmiawszy się krótko. Wyprostowała się i oddała mu wreszcie ołówek. (Zresztą, czyż mogła być mowa o jakimkolwiek dowcipie, gdy przecież najwidoczniej nie było ani jednej kropli krwi w jego głowie.) — No więc idź, spiesz się, rysuj, rysuj dobrze, pokaż, co umiesz — mówiła żartobliwie, jak gdyby odpędzając go od siebie.

— Nie, ty jeszcze nie rysowałaś, więc ty musisz teraz rysować — powiedział, opuszczając „m” w słowie „musisz” i odstąpił krok w tył, jak gdyby ją chciał pociągnąć za sobą.

— Ja? — powiedziała po raz drugi, ze zdziwieniem, którego źródłem było coś innego jeszcze oprócz jego wezwania. Lekko zmieszana i uśmiechnięta stała jeszcze w miejscu, ale po chwili

uległa jego magnetyzującemu ruchowi wstecz i zrobiła kilka kroków w kierunku stołu z ponczem.

Okazało się jednak, że zabawa tam była już na ukończeniu. Ktoś jeszcze rysował, ale nie było już wokół niego ciekawych. Porzucane kartki pokryte były niezdarnymi rysunkami; każdy dowiódł swej nieudolności i stół niemal opustoszał, zwłaszcza że rozpoczął się już ruch w innym kierunku. Gdy się przekonano, że lekarze odeszli, zaczęto nagle domagać się tańców. Już odsuwano stół i stawiano warty u drzwi gabinetu do pisania i pokoju muzycznego, z poleceniem, aby dały znak ostrzegawczy w razie, gdyby ukazał się ponownie „stary”, Krokowski albo starsza siostra. Pewien młody Słowianin uderzył z przejściem w klawisze małego pianina z orzechowego drzewa, i pierwsze pary poczęły wirować pośrodku nieregularnego koła, utworzonego przez fotele i krzesła, które zajęli widzowie.

Hans Castorp ruchem ręki pożegnał odsuwany stół, jak gdyby mówił „Bądź zdrów!”, a podbródkiem wskazał na wolne miejsca, które zauważył w saloniku, w ustronnym kącie przy portierze. Nie mówił nic, może dlatego, że muzyka była zbyt głośna. Przysunął dla pani Chauchat pluszowy fotel, z oparciem ujętym w drewnianą ramę, na miejsce, które przedtem pantomimicznie wskazał, a dla siebie trzeszczący i skrzypiący trzcinowy fotel z zaokrąglonymi poręczami. Usiadł na nim, pochylony ku niej, z ramionami opartymi na poręczach, z ołówkiem w rękę, z nogami daleko wsuniętymi pod fotel. Ona zaś przybrała pozycję niemal leżącą w pluszowym fotelu, wskutek czego kolana jej były nieco za wysoko wzniesione; ale pomimo to założyła jedno na drugie i bujała w powietrzu nogą, której kostka ponad brzegiem czarnego lakierowanego pantofelka obciążona była również czarnym jedwabiem pończochy. Przed nimi siedzieli inni ludzie; wstawali, aby tańczyć, a ich miejsca zajmowali ci, co już byli zmęczeni. Zmieniali się bezustannie.

— Masz nową suknię — rzekł Hans Castorp, aby móc się jej przyglądać; i usłyszał odpowiedź:

— Nową? Znasz moje toalety?

— Czy nie mam racji?

— Owszem. Dałam ją sobie niedawno zrobić u Lukacka we Wsi. On szyje dla wielu pań tutaj na górze. Podoba ci się?

— Bardzo — odpowiedział obejmując ją raz jeszcze spojrzeniem i spuścił oczy. — Czy chciałabyś zatańczyć? — dodał.

— A ty, czy chciałbyś? — odpowiedziała z uśmiechem i podniosła brwi.

— Chciałbym, gdybyś miała ochotę.

— Spodziewałam się po tobie więcej rozsądku — odpowiedziała, a ponieważ zaśmiał się lekceważąco, dodała:

— Twój kuzyn już poszedł.

— Tak, to mój kuzyn — potwierdził niepotrzebnie — ja też przedtem widziałem, że odszedł; zapewne już się położył.

— Cest un jeune homme tres etroit, tres honnete, tres allemand. *

— Etroit? Honnete? — powtórzył. — Lepiej rozumiem po francusku, niż mówię. Chcesz powiedzieć, że jest pedantem. Czy uważasz nas Niemców za pedantów — nous autres Allemands?

— Nous causons de votre cousin. Mais c'est vrai, jesteście trochę bourgeois. Vous aimez l'ordre mieux que la liberte, toute l'Europe le sait.

— Aimer... aimer... Qu'est-ce que c'est! Ca manque de definition, ce mot-la. Co jeden kocha, to drugi ma, comme nous disons proverbialement — twierdził Hans Castorp. — Nieraz w ostatnich czasach — ciągnął dalej — myślałem o wolności. To znaczy, często słyszałem ten wyraz, więc później zastanawiałem się nad nim. Je te le dirai en francais, co myślałem. Ce que toute l'Europe nomme la liberte, est peut-etre une chose assez pedante et assez bourgeoise en comparaison de notre besoin d'ordre — c'est ca!

— Tiens! Cest amusant. Cest ton cousin a qui tu penses en disant des choses etranges comme ca?

— Nie, c'est vraiment une bonne ame, prosta, nie obciążona niczym natura, tu sais. Mais ii n'est pas bourgeois, ii est militaire.

— Nie obciążona niczym? — powtórzyła z trudem... — Tu

veux dire: une nature tout a fait ferme, surę d'elle-meme? Mais ii est serieusement malade, ton pauvre cousin.

— Kto to powiedział?

— Tutaj wiemy wszystko o sobie.

— Czy powiedział ci to radca Behrens?

— Peut-etre en me faisant voir ses tableaux.

— Cest-a-dire, en faisant ton portrait!

— Pourquoi pas. Tu Tas trouve reussi, mon portrait?

— Mais oui, extremement. Behrens a tres exactement rendu ta peau, oh vraiment tres fidelement. J'aimerais beaucoup etre portraitiste, moi aussi, pour avoir l'occasion d'etudier ta peau comme lui.

— Parlez allemand, s'il vous plait!

— Och! czynię to nawet wtedy, gdy mówię po francusku. Cest une sorte d'etude artistique et medicale — en un mot: ii s'agit des lettres humames, tu comprends. A teraz, czy nie chciałabyś zatańczyć?

— Ależ nie, to dzieciństwo. En cachette des medecins. Aussitôt que Behrens reviendra, tout le monde va se precipiter sur les chaises. Ce sera fort ridicule.

— Taki masz przed nim respekt?

— Przed kim? — zapytała krótko, z cudzoziemskim akcentem.

— Przed Behrensem.

— Mais va donc avec ton Behrens! Zresztą za ciasno tu do tańca. Et puis sur le tapis... Popatrzmy lepiej, jak inni tańczą.

— Owszem dobrze — zgodził się blady, zamyślony, niebieskimi oczami swego dziadka patrzył siedząc przy niej na podrygujących zamaskowanych pacjentów w salonie i dalej w czytelní. Podskakiwała tu „Niemowa" z „Niebieskim Henrykiem", a pani Salomon przebrana za mężczyznę, we fraku i białej kamizelce, z silnie zaokrąglonym sztywnym gorsem koszuli, z monoklem i wymalowanym wąsikiem, tańczyła w małych lakierkach z wysokimi obcasami, nienaturalnie wyzierających spod męskich czarnych spodni — tańczyła z pierrotem, którego krwiste wargi jaskrawo odbijały od białej upudrowanej twarzy, a oczy podobne były do oczu królika-albinosa. Grek o pięknych

nogach, w lila trykotach i krótkim płaszczyku, trzymał w objęciach wydekoltowanego i połyskującego ciemnym blaskiem Rasmussena; pan prokurator w kimonie, pani konsulowa Wurmbrand i młody Ganser tańczyli nawet w trójkę, objawszy się ramionami; a co się tyczy pani Stóhr, to tańczyła ze swoją szczotką, którą przyciskała do serca i głaskała po szczecinie, jak gdyby to były włosy sterczące na ludzkiej głowie.

— Owszem, popatrzmy — powtórzył machinalnie Hans Castorp. Rozmawiali po cichu, wśród dźwięków fortepianu. — Będziemy tu siedzieli i patrzyli jak we śnie. Bo dla mnie, musisz wiedzieć, jest jak sen, że tu razem siedzimy — *comme un reve singulierement profond, car ii faut dormir tres profondement pour rever comme cela... Je veux dire: c'est un reve bien connu, reve de tout temps, long, eternel, oui, etre assis pres de toi comme a present, voila l'eternite.*

— Poetę! — powiedziała. — Bourgeois, humanistę et poetę — voila l'Allemand au complet, comme ii faut!

— Je crains, que nous ne soyons pas du tout et nullement comme ii faut — odpowiedział. — Sous aucun egard. Nous sommes peut-etre des wieczne strapienia, tout simplement.

— Joli mot. Dis-moi donc... Il n'aurait pas ete fort difficile de rever ce reve-la plus tôt. Cest un peu tard que monsieur se resoud a adresser la parole a son humble servante.

— Pourquoi des paroles? — powiedział. — Pourquoi parler? Parler, discourir, c'est une chose bien republicaine; je le concede. Mais je doute que ce soit poetique au meme degre. Un de nos pensionnaires, qui est un peu devenu mon ami, M. Settembrini...

— Il vient de te lancer quelques paroles.

— Eh bien, c'est un grand parleur sans doute, ii aime meme beaucoup a reciter de beaux vers — mais est-ce un poetę, cet homme-la?

— Je regrette sincerement de n'avoir jamais eu le plaisir de faire la connaissance de ce chevalier.

— Je le crois bien.

— Ah! Tu le crois.

— Comment? C'était une phrase tout a fait indifferente, ce que j'ai dit la. Moi, tu le remarques bien, je ne parle guere le francais. Pourtant, avec toi je prefere cette langue a la mienne, car pour moi parler francais, c'est parler sans parler, en quelque maniere — sans responsabilite, ou comme nous parlons en reve. Tu comprends?

— A peu pres.

— Ca suffit... Parler — ciągnął dalej Hans Castorp — pauvre affaire! Dans l'eternite, on ne parle point. Dans l'eternite, tu sais, on fait comme en dessinant un petit cochon: on penche la tete en arriere et on ferme les yeux.

— Pas mai, ca! Tu es chez toi dans l'eternite, sans aucun doute, tu la connais a fond. Il faut avouer que tu es un petit reveur assez curieux.

— Et puis — powiedział Hans Castorp — si je t'avais parle plus tot, ii irTaurait fallu te dire „vous“!

— Eh bien, est-ce que tu as l'intention de me tutoyer pour toujours?

— Mais oui. Je t'ai tutoyee de tout temps et je te tutoierai eternellement.

— Cest un peu fort, par exemple. En tout cas tu n'auras pas trop longtemps l'occasion de me dire „tu“. Je vais partir.

Trzeba było pewnego czasu, aby słowo to dotarło do jego świadomości. Potem drgnął i powiódł dokoła siebie nieprzytomnymi oczyma, jak człowiek nagle zbudzony z głębokiego snu. Rozmowa ich toczyła się powoli, ponieważ Hans Castorp z pewnym wysiłkiem i jakby z wahaniem mówił po francusku. Dźwięki fortepianu, na krótko zamarłe, zabrzmiały na nowo, tym razem pod palcami mannheimczyka, który zastąpił młodego Słowianina i rozłożył nuty na pulpicie. Panna Engelhart siedziała przy nim i obracała kartki. Towarzystwo przeredziło się. Większa ilość uczestników przybrała już widocznie pozycję poziomą. Przed nimi nie było nikogo. W czytelni grano w karty.

— Co robisz? — zapytał osłupiały Hans Castorp.

— Wyjeżdżam — powtórzyła z uśmiechem udając, że ją dziwi jego osłupienie.

- To niemożliwe — powiedział — to tylko żart.
- Wcale nie; mówię zupełnie poważnie. Jada.
- Kiedy?
- Ależ jutro. Apres diner.
- Coś w nim nagle gwałtownie runęło. Zapytał:
- Dokąd?
- Bardzo daleko.
- Do Dagestanu?
- Tu n'es pas mai instruit. Peut-etre, pour le moment...
- Czyż jesteś wyleczona?
- Ghiant a ca... non. Ale Behrens jest zdania, że na razie pobyt tutaj już mi dużo nie da. C'est pourquoi je vais risquer un petit changement d'air.
- A więc powrócisz!
- To jeszcze pytanie. A przede wszystkim nie wiadomo kiedy. Quant a moi, tu sais, j'aime la liberte avant tout et notamment celle de choisir mon domicile. Tu ne comprends guere ce que c'est: etre obsede d'independance. C'est de ma race, peut-etre.
- Et ton mari au Daghestan te l'accorde — ta liberte?
- C'est la maladie qui me la rend. Me voila a cet endroit pour la troisieme fois. J'ai passe un an ici, cette fois. Possible que je revienne. Mais alors tu seras bien loin depuis longtemps.
- Tak sądzisz, Kławdio?
- Mon prenom aussi! Vraiment, tu les prends bien au serieux les coutumes du carnaval!
- Czyżbyś wiedziała, jaki jest właściwie stan mojego zdrowia?
- Oui — non — comme on sait <es choses ici. Tu as une petite tache humide la-dedans et un peu de fievre, n'est-ce pas?
- Trente-sept et huit ou neuf l'apres-midi — powiedział Hans Castorp. — A ty?
- Oh, mon cas, tu sais, c'est un peu plus complique... pas tout a fait simple.

— Il y a quelque chose dans cette branche de lettres humaines dite la médecine — powiedział Hans Castorp — qu'on appelle bouchement tuberculeux des vases de lymphes.

— Ah! Tu as moucharde, mon cher, on le voit bien.

— Et toi... Préparesz! Pozwól mi zadać sobie teraz po niemiecku jedno ważne pytanie: kiedy wstałem wtedy od stołu i udałem się na badanie, sześć miesięcy temu... Wtedy odwróciłaś się, by na mnie spojrzeć, pamiętasz?

— Quelle question! Il y a six mois!

— Czy wiedziałaś, dokąd idę?

— Certes, c'était tout à fait par hasard...

— Wiedziałaś o tym od Behrensa?

— Toujours ce Behrens!

— Oh! il a représenté ta peau d'une façon tellement exacte... D'ailleurs, c'est un veuf aux joues ardentes et qui possède un senrice à café très remarquable... Je crois bien qu'il connaît ton corps non seulement comme médecin, mais aussi comme adepte d'une autre discipline de lettres humaines.

— Tu as décidément raison de dire que tu parles en rêve, mon ami.

— Soit... Laisse-moi rêver de nouveau après m'avoir réveillé si cruellement par cette cloche d'alarme de ton départ. Sept mois sous tes yeux. Et à présent, ou en réalité j'ai fait ta connaissance, tu me parles de départ!

— Je te répète, que nous aurions pu causer plus tôt.

— Czy chciałaś tego?

— Moi? Tu ne m'échapperas pas, mon petit. Il s'agit de tes intérêts, à toi. Est-ce que tu étais trop timide pour rapprocher d'une femme à qui tu parles en rêve maintenant, ou est-ce qu'il y avait quelqu'un qui t'en a empêché?

— Je te l'ai dit. Je ne voulais pas te dire „vous”.

— Farceur. Réponds donc — ce monsieur beau-parleur, cet Italien-là, qui a quitté la soirée — qu'est-ce qu'il t'a lancé tantôt?

— Je n'en ai entendu absolument rien. Je me soucie très peu de ce monsieur, quand mes yeux te voient. Mais tu oublies...

ii n'aurait pas ete si facile du tout de faire ta connaissance dans le monde. Il y avait encore mon cousin avec qui j'etais lie et qui incline tres peu a s'amuser ici: ii ne pense a rien qu'a son retour dans les plaines, pour se faire soldat.

— Pauvre diable. Il est, en effet, plus malade qu'il ne sait. Ton ami italien du reste ne va pas trop bien non plus...

— Il le dit lui-meme. Mais mon cousin... Est-ce vrai? Tu m'effraies.

— Fort possible qu'il aille mourir, s'il essaye d'etre soldat dans les plaines.

— Qu'il va mourir. La mort. Terrible mot, n'est-ce pas? Mais c'est etrange, ii ne m'impressionne pas tellement aujourd'hui, ce mot. C'etait une facon de parler bien conventionnelle, lorsque je disais *M*Tu m'effraies". L'idee de la mort ne m'effraie pas. Elle me laisse tranquille. Je n'ai pas pitie — ni de mon bon Joachim ni de moi-meme, en entendant qu'il va peut-etre mourir. Si c'est vrai, son etat ressemble beaucoup au mieñ et je ne le trouve pas particulierement imposant. Il est moribond, et moi, je suis amoureux, eh bien! — Tu as parle a mon cousin a Tatelier de photographie intime, dans l'antichambre, tu te souviens.

— Je me souviens un peu.

— Donc ce jour-la Behrens a fait ton portrait transparent!

— Mais oui.

— Mon Dieu! Et l'as-tu sur toi?

— Non, je Tai dans ma chambre.

— Ah, dans ta chambre. Quant au mieñ, je Tai toujours dans mon porte-feuille. Veux-tu que je te le fasse voir?

— Mille remerciements. Ma curiosite n'est pas invincible. Ce sera un aspect tres innocent.

— Moi, j'ai vu ton portrait exterieur. J'aimerais beaucoup mieux voir ton portrait interieur, qui est enferme dans ta chambre... Laisse-moi demander autre chose! Parfois un monsieur russe qui loge en ville vient te voir. Qui est-ce? Dans quel but vient-il cet homme?

— Tu es joliment fort en espionnage, je l'avoue. Eh bien, je reponds. Oui, c'est un compatriote souffrant, un ami. J'ai fait

sa connaissance a une autre station balneaire, ii y a quelques annees deja. Nos relations? Les voila: nous prenons notre the ensemble, nous fumons deux ou trois papiros, et nous bavardons, nous philosophons, nous parlons de l'homme, de Dieu, de la vie, de la morale, de mille choses. Voila mon compte rendu. Es-tu satisfait?

— De la morale aussi! Et qu'est-ce que vous avez trouve en fait de morale, par exemple?

— La morale? Cela finteresse? Eh bien, ii nous semble, qu'il faudrait chercher la morale non dans la vertu, c'est a dire dans la raison, la discipline, les bonnes moeurs, l'honnetete — mais plutót dans le contraire, je veux dire: dans le peche, en s'abandonnant au danger, a ce qui est nuisible, a ce qui nous consume. Il nous semble qu'il est plus moral de se perdre et meme de se laisser deperir que de se conserver. Les grands moralistes n'etaient point des vertueux, mais des aventuriers dans le mal, des vicieux, de grands pecheurs qui nous enseignent a nous incliner chretienement devant la misere. Tout ca doit te deplaire beaucoup, n'est-ce pas?

Milczał. Siedział *wciąż* tak jak z początku, z nogami skrzyżowanymi pod trzeszczącym fotelem, z ołówkiem w ręku i pochylony ku leżącej pani Chauchat w papierowym, spiczastym kapeluszu na głowie, niebieskimi oczami Hansa Lorenza Castorpa patrzył spod oka na pokój, który już opustoszał. Goście rozpierzchli się. Fortepian stojący w przeciwległym kącie dźwięczał jeszcze z cicha urywanymi tonami, które wydobywał jedną ręką chory mannheimczyk; obok niego siedziała nauczycielka i przerzucała kartki nut leżących na jej kolanach. Kiedy zamilkła rozmowa między Hansem Castorpem i Kławdią Chauchat, pianista przestał zupełnie grać i opuścił na kolana rękę, którą uderzał w klawisze, a panna Engelhart nadal patrzyła w nuty. Cztery ostatnie osoby spośród uczestników nocy karnawałowej siedziały nieruchomo. Cisza trwała przez kilka minut. Głowy siedzącej przy pianinie pary powoli schylały się pod jej działaniem coraz niżej: głowa mannheimczyka ku klawiaturze, a panny Engelhart ku nutom na kolanach. Wreszcie oboje jed-

nocześnie, jak gdyby za tajnym porozumieniem, podnieśli się ostrożnie i cicho, na palcach, umyślnie starając się nie patrzeć na nie opuszczony jeszcze tamten kąt pokoju, z głowami wtulonymi w ramiona i sztywnie opuszczonymi rękami, oddalili się przez czytelnię.

— Tout le monde se retire — powiedziała pani Chauchat. — C'étaient les derniers; ii se fait tard. Eh bien, la fetę de carnaval est finie. — I podniosła obie ręce, aby zdjąć papierowy kapelusz ze swych rudawych włosów, które, splecione w warkocz, na kształt wieńca otaczały jej głowę. — Vous connaissez les consequences, monsieur.

Ale Hans Castorp potrząsnął przecząco głową, nie otwierając oczu i nie zmieniając pozycji. Odpowiedział:

— Jamais, Clawdia. Jamais je te dirai „vous", jamais de la vie, ni de la mort, jeżeli można się tak wyrazić — a powinno się móc. — Cette formę de s'adresser a une personne, qui est celle de l'Occident cultive et de la civilisation humanitaire, me semble fort bourgeoise et pedante. Pourquoi, au font, de la formę? La formę, c'est la pedanterie elle-meme! Tout ce que vbus avez fixe a l'egard de la morale, toi et ton compatriote souffrant — tu veux serieusement que ca me surprenne? Pour quel sot me prends-tu? Dis donc, qu'est-ce que tu penses de moi?

— C'est un sujet qui ne donne pas beaucoup a penser. Tu es un petit bonhomme convenable, de bonne familie, d'une tenue appetissante, disciple docile de ses precepteurs et qui retournera bientot dans les plaines, pour oublier completement qu'il a jamais parle en reve ici et pour aider a rendre son pays grand et puissant par son travail honnete sur le chantier. Voila ta photographie intime, faite sans appareil. Tu la trouves exacte, j'espere?

— Il y manque quelques details que Behrens y a trouves.

— Ah, les medecins en trouvent toujours, ils s'y connaissent...

— Tu parles comme M. Settembrini. Et ma fievre. D'oii vient-elle?

— Allons donc, c'est un incident sans consequence qui passera vite.

—■ Non, Clawdia, tu sais bien que ce que tu dis la, n'est pas vrai, et tu le dis sans conviction, j'en suis sur. La fièvre de mon corps et le battement de mon cœur harasse et le frissonnement de mes membres, c'est le contraire d'un incident, car ce n'est rien d'autre — i blada jego twarz z drżącymi ustami pochyliła się bardziej ku jej twarzy — rien d'autre que mon amour pour toi, oui, cet amour qui m'a saisi à l'instant, ou mes yeux font vue, ou, plutôt, que j'ai reconnu, quand je t'ai reconnue toi — et c'était lui, évidemment, qui m'a mené à cet endroit.,.

— Quelle folie!

— Oh, l'amour n'est rien, s'il n'est pas de la folie, une chose insensée, défendue et une aventure dans le mal. Autrement c'est une banalité agréable, bonne pour en faire de petites chansons paisibles dans les plaines. Mais quant à ce que je t'ai reconnue et que j'ai reconnu mon amour pour toi — oui, c'est vrai, je t'ai déjà connue, anciennement, toi et tes yeux merveilleusement obliques et ta bouche et ta voix, avec laquelle tu parles — une fois déjà, lorsque j'étais collègue, je t'ai demandé ton crayon, pour faire enfin ta connaissance mondaine, parce que je faisais irrationnellement, et c'est de là, sans doute, c'est de mon ancien amour pour toi, que ces marques me restent que Behrens a trouvées dans mon corps, et qui indiquent que jadis aussi j'étais malade...

Zęby mu szczykały. Mając tak, wyciągnął jedną nogę spod trzeszczącego fotela i posunąwszy ją naprzód, drugim kolaniem dotknął podłogi, tak że klęczał obok niej z głową schyloną i drżącą na całym ciele. — Je faime — bełkotał — je t'ai aimée de tout temps, car tu es le Toi de ma vie, mon rêve, mon sort, mon envie, mon éternel désir...

— Allons, allons! — powiedziała. — Si tes précepteurs te voyaient...

Ale on z wyrazem rozpaczki potrząsnął głową i, pochyliwszy twarz nad dywanem, odpowiedział:

— Je m'en ficherais, je me fiche de tous ces Carducci et de la République éloquente et du progrès humain dans le temps, car je faime!

Lekko pogładziła jego włosy krótko ostrzyżone nad karkiem.

— Petit bourgeois! — powiedziała. — Joli bourgeois a la petite tache humide. Est-ce vrai que tu m'aimes tant?

Uszczęśliwiony jej dotknięciem, klęcząc już teraz na obu kolanach, mówił dalej, z głową w tył odrzuconą i zamkniętymi oczami:

— Oh, l'amour, tu sais... Le corps, l'amour, la mort, ces trois ne font qu'un. Car le corps, c'est la maladie et la volupte, et c'est lui qui fait la mort, oui, ils sont charnels tous deux, l'amour et la mort, et voila leur terreur et leur grande magie! Mais la mort, tu comprends, c'est d'une part une chose mai famee, impudente qui fait rougir de honte; et d'autre part c'est une puissance tres solennelle et tres majestueuse — beaucoup plus haute que la vie riante gagnant de la monnaie et farcissant sa panse — beaucoup plus venerable que le progres qui bavarde par les temps — parce qu'elle est l'histoire et la noblesse et la pietę et l'eternel et le sacre qui nous fait tirer le chapeau et marcher sur la pointę des pieds... Or, de meme, le corps, lui aussi, et l'amour du corps, sont une affaire indecente et facheuse, et le corps rougit et palit a sa surface par frateur et honte de lui-meme. Mais aussil ii est une grande gloire adorable, image miraculeuse de la vie organique, sainte merveille de la forme et de la beaute et l'amour pour lui, pour le corps humain, c'est de meme un interet extremement humanitaire et une puissance plus educative que toute la pedagogie du monde!... Oh, enchantante beaute organique qui ne se compose ni de teinture a l'huile ni de pierre, mais de matiere vivante et corruptible, pleine du secret febrile de la vie et de la pourriture! Regarde la symetrie merveilleuse de l'edifice humain, les epaules et les hanches et les mamelons fleurissants de part et d'autre sur la poitrine, et les cotes arrangees par paires, et le nombril au milieu dans la mollesse du ventre, et le sexe obscur entre les cuisses! Regarde les omoplastes se remuer sous la peau soyeuse du dos, et l'echine qui descend vers la luxuriance double et fraiche des fesses, et les grandes branches des vases et des nerfs qui passent du tronc aux rameaux par les aisselles, et

comme la structure des bras correspond a celle des jambes. Oh, les douces regions de la jointure interieure du coude et du jarret avec leur abondance de delicatesses organiques sous leurs coussins de chair! Quelle fetę immense de les caresser, ces endroits delicieux du corps humain! Fetę a mourir sans plainte apres! Oui, mon Dieu, laisse-moi sentir l'odeur de la peau de ta rotule, sous laquelle l'ingenieuse capsule articulaire secrete son huile glissante! Laisse-moi toucher devotement de ma bouche l'Arteria femoralis qui bat au front de ta cuisse et qui se divise plus bas en les deux arteres du tibia! Laisse-moi ressentir l'exhalation de tes pores et tater ton duvet, image humaine d'eau d'albumine, destinee pour l'anatomie du tombeau, et laisse-moi perir, mes levres aux tiennes!

Nie otworzył oczu, kiedy przestał mówić; pozostał, jak był, z odrzuconą głową, z rękami wyciągniętymi przed siebie, trzymając wciąż srebrny ołówek, drżąc i chwiejąc się na kolanach. Ona odezwała się:

— Tu es en effet un galant qui sait solliciter d'une maniere profonde, a l'allemande.

I włożyła mu na głowę papierowy kapelusz.

— Adieu, mon prince Carnavall Vous aurez une mauvaise ligne de fievre ce soir, je vous le predis.

To mówiąc, ześliznęła się z krzesła, przesunęła się po dywanie w kierunku drzwi, ale zawahała się w progu; na wpół odwrócona w tył, wzniosła jedno z obnażonych ramion i wsparła rękę na zawiasie. Powiedziała cicho:

— N'oubliez pas de me rendre mon crayon.

I wyszła.